

Małgorzata Kalicińska: „Opowieść o sile namiętności – tej, która rządzi nami od zawsze, ubrana w lekką i swobodną formę”

**Penny Reid**



**Randka  
z homo  
sapiens**

I tom z serii:

**Kółko Singlek Miejskich**

Penny Reid



Przełożyła Maria Kabat





Mojemu komputerowi:

*Nie byłabym w stanie napisać tego bez Ciebie.*

Dla informatyków odpowiedzialnych  
za funkcję sprawdzania pisowni:

*Jesteście bohaterami mojej codzienności.*

Dla Karen:

*Mam nadzieję, że się uśmiejesz  
i że będziesz ze mnie dumna.*

Dla moich Czytelników  
(wszystkich trzech):

*Dziękuję.*

Kryzys dopadł mnie w łazience.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika, kiedy siedząc na sedesie, zauważyłam cmentarzysko pustych rolek po papierze toaletowym. Tuby z brązowego kartonu ustawione były wręcz ostentacyjnie w formie półokręgu na płaskiej, lśniącej powierzchni metalowego pojemnika. Wyglądały niczym miniaturowy Stonehenge z recyklingu wzniesiony w damskiej toalecie, pomnik upamiętniający perystaltykę minionych dni.

Tak naprawdę to już koło czternastej trzydzieści mój dzień przeszedł z trybu „kiepski niczym piosenka country” w sąsiadujący z nim tryb „doroczny bożonarodzeniowy list od ciotki Ethel”. W zeszłym roku ciotka Ethel z niezmienną szczerością pisała o podagrze wujka Joego, nie jednym, a dwóch wypadkach samochodowych, o nowym zapadlisku na tyłach ich domu, o tym, że nieuchronnie zbliża się moment, w którym eksmitują ich z przyczepy, no i o rozwodzie kuzynki Sereny. Chociaż prawda była taka, że kuzynka Serena rozwodziła się przynajmniej raz w roku, więc w sumie tę ostatnią wiadomość trudno byłoby zaliczyć do kumulacji zeszłorocznych katastrof.

Wzięłam głęboki wdech i sięgnęłam do wnętrza pojemnika na papier toaletowy w nadziei, że moja ręka natrafi na choćby listek. Niestety, wewnątrz znajdowała się tylko kolejna pusta rolka. Wyginając się pod jakimś absurdalnie niewygodnym kątem, próbowałam zajrzeć głębiej, w bezkresny mrok, licząc, że dostrzegę tam ukrytą dodatkową rolkę. Ku mojej rozpaczy pojemnik był pusty.

– Co za gówno – ni to wyszeptalam, ni to jęknęłam, by po chwili wybuchnąć śmiechem na dźwięk swojego niezamierzonego żartu. Doprawdy, co za świetny dobór słów, biorąc pod uwagę moją obecną sytuację. Usta rozciągnęły się w gorzkim uśmiechu, szczęki zacisnęły mocno, a w mojej głowie, już po raz kolejny tego dnia, pojawiły się te cztery słowa:

*Najgorszy. Dzień. Mojego. Życia.*

Był to rzeczywiście, i bez związku z brakiem papieru, totalnie posrany dzień.

Jak we wszystkich najlepszych piosenkach country zaczęło się od „tego zdradzającego drania”. W tej akurat piosence zdradzaną byłam oczywiście ja we własnej osobie, a zdrajcą mój długoletni chłopak, Jon. Odkrycie jego pozazwiązkowych igraszek dokonało się za sprawą pustego opakowania po kondomie, wciśniętego w tylną kieszeń jego spodni, które ja, usłużna, głupia dziewczyna, postanowiłam wspaniałomyślnie wrzucić do prania razem ze swoimi rzeczami.

Wracałam teraz myślami do dyskusji, jaka wywiązała się tuż po tym, jak plasnęłam znalezionym opakowaniem po kondomie prosto w jego czoło. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że pytanie, które zadał mi Jon, było całkiem słuszne: czy byłam na niego wściekła dlatego, że mnie zdradził, czy byłam rozczarowana, że okazał się na tyle głupi, żeby po wyciągnięciu kondomu z opakowania wsadzić je do tylnej kieszeni spodni? Wróciłam myślami do słów, które wypowiedziałam do niego rano:

– Serio, Jon, kto, do licha, tak robi? Kto myśli sobie: „Zaraz zdradzę swoją dziewczynę, ale jestem na tyle świadomym członkiem społeczeństwa, że nie mogę

pozwolić sobie na rzucenie folii na ziemię, nie będę przecież śmiecił”?

Gapiałam się na niebiesko-białe drzwi kabiny, przygryzając dolną wargę, i zastanawiałam się, jakie mam opcje. Może mogłabym pozostać w kabinie do końca dnia? Uch, do cholery z tym wszystkim. W tym momencie pozostanie w kabinie do końca życia również wydawało mi się całkiem niezłym pomysłem, szczególnie że właściwie nie miałam dokąd wracać.

Mieszkanie, w którym żyliśmy z Jonem, należało do jego rodziców. Nalegałam, że będę dorzucać się do czynszu, ale mój mizerny wkład w wysokości pięciuset dolarów plus połowy opłat za media najpewniej nie pokrywał choćby jednej szesnastej kosztów utrzymania apartamentu z dwiema sypialniami i dwiema łazienkami w centrum miasta.

Gdzieś w głębi duszy chyba wiedziałam, że mnie zdradza. Inaczej byłby po prostu zbyt idealny. Wydawał się mieć wszystkie te cechy, których, jak mi się zdawało, szukałam u mężczyzny (i nadal tak mi się zdaje). Błyskotliwy, zabawny, słodki, dobry dla rodziców, przystojny, ale w taki niezdarno-uroczy sposób. Mieliśmy niemal identyczne poglądy polityczne, ideologiczne, liczyły się dla nas te same wartości. Łączyło nas nawet to samo wyznanie.

Dzielnie znosił moje dziwactwa. Mówił o nich nawet, że są słodkie, chociaż od innych słyszałam zazwyczaj pod swoim adresem, że jestem osobliwa.

Nie bał się romantycznych gestów. Był uwodzicielem w czasach, kiedy szlachetna sztuka uwodzenia wydawała się wymarła. W college’u pisał dla mnie wiersze, jeszcze zanim zaczęliśmy się spotykać. I była to naprawdę dobra poezja, nawiązująca do moich zainteresowań i aktualnych nastrojów politycznych. Jej wersy delikatnie grzały moje serce, nigdy jednak nie czułam, żeby moje zmysły miały zaraz eksplodować. Z drugiej strony, nie byłam dziewczyną z tendencją do eksplodujących zmysłów.

Była jednak między nami jedna, dość istotna różnica. Pieniądze – dużo, dużo pieniędzy. Była to zadra, która uwierała mnie od samego początku. Podczas gdy ja ostrożnie kalkulowałam i planowałam każdy wydatek, rozpisując szczegółowo miesięczny budżet, on kupował, co chciał, kiedy chciał.

Chociaż za nic w świecie bym się do tego nie przyznała, podejrzewam, że sporo mu zawdzięczam. Zawsze zastanawiałam się, czy to on albo jego tata, który kazał mi mówić do siebie „Jeff”, ale którego wolałam nazywać panem Holesomem, wstawili się za mną i załatwili mi rozmowę o pracę.

Nawet po naszej kłótni – bo tak naprawdę dzisiejszy poranek był jedynym momentem naszego związku, który można było nazwać kłótnią – Jon powiedział mi, że mam zostać, że powinnam zostać, że chciałby wszystko naprawić. Powiedział, że zaopiekuje się mną. Że go potrzebuję. Zgrzytnęłam zębami, zacisnęłam szczęki, utwierdziłam się w swoim postanowieniu.

Nie zamierzałam zostać.

Nie miało żadnego znaczenia, że był mądry, zabawny i akceptował mnie taką, jaka jestem. Bez znaczenia było przeświadczenie w mojej głowie, że jego akceptacja dla wszystkich moich dziwactw oznaczała, że oto znalazłam tego jedyne. Ani to, jak miło było wyrwać się dzięki niemu spod ciężaru opłat za mieszkanie w Chicago, a uwolnione w ten sposób pieniądze wydawać na tak ważne rzeczy jak bilety na mecze Chicago Cubs,

komiksy i designerskie buty. Nie chciałam zostać.

*Nie ma takiej opcji.*

Nieprzyjemne ciepło, które tłumiałam w sobie przez cały dzień, teraz wypełniło mi klatkę piersiową. Ścisnęło gardło. Pusta rolka, która przepełniła czarę gorzkości, wpatrywała się we mnie z podajnika. Niespodziewanie poczułam trudną do opanowania potrzebę wyszarpięcia jej i podarcia na drobne kawałeczki w akcie zemsty. Opanowałam się jednak i skoncentrowałam na papierowym Stonehenge.

Oczywiście wyobraźni widziałam, jak ochrona budynku przychodzi, żeby wyprowadzić mnie z kabiny w toalecie na pięćdziesiątym drugim piętrze, wokół mnie leżą rozszarpane zwłoki rolek papieru, a moje majtki ciągle są gdzieś na wysokości kostek, podczas gdy ja wskazuję oskarżycielsko na swoich kolegów z pracy, wrzeszcząc: „Następnym razem uzupełniajcie podajnik!!! Po prostu uzupełniajcie podajnik!!!”.

Zamknęłam oczy. Poprawka: moich *byłych* kolegów z pracy.

Drzwi łazienki rozmazały się, kiedy moje oczy napełniły się łzami. Jednocześnie z moich ust wydobył się piskliwy chichot. Wiedziałam, że wypływam na nieznane wody.

Jak to bywa z piosenkami country, kolejne dramaty dzisiejszego dnia układały się w staranne, regularne wersy; w ich rytmie systematycznie odhaczałam kolejne punkty na liście rzeczy, które mi się dziś przytrafiły:

Brak odżywki, a co za tym idzie – sterczące na wszystkie strony włosy, przypominające ptasie gniazdo: *zaliczone*.

Obcas nowych butów złamany na kratce ściekowej: *zaliczone*.

Zgubiona soczewka po tym, jak szturchnął mnie w ramię ktoś z wytaczającego się z windy tłumy: *zaliczone*.

Kawa wylana na najlepszą, ulubioną białą koszulę z kołnierzykiem: *to też mogę już wykreślić ze swojej listy*.

A na koniec tego pięknego maratonu szef wezwał mnie do swojego gabinetu i poinformował, że moje stanowisko zostało zlikwidowane: *zaliczone do kwadratu*.

Właśnie dlatego tak bardzo nie znosiłam rozwodzenia się nad problemami osobistymi. Właśnie dlatego unikanie i obchodzenie najskrytszych myśli i uczuć było o wiele bezpieczniejsze niż czekająca mnie alternatywa. Nie pozwalałam sobie na rozpacz – taką prawdziwą, absolutną rozpacz – od czasu śmierci mojej mamy. I żaden chłopak, pracodawca ani seria gównianych wydarzeń nie mogła tego zmienić. W końcu, patrząc z perspektywy całego życia, z pewnością jest to coś, z czym dam sobie radę.

*A w każdym razie muszę tak sobie powtarzać.*

Z początku próbowałam odgonić wilgoć zbierającą się pod powiekami za pomocą mrugania. Ale potem zamknęłam oczy i, już po raz trzeci tego dnia, zaczęłam korzystać z technik radzenia sobie z emocjami, których nauczyłam się podczas roku obowiązkowej psychoterapii.

Wizualizowałam sobie, jak owijam swój gniew, poczucie krzywdy i postrzępione skrawki poczytalności w wielki, kolorowy ręcznik plażowy. Potem umieszczam ten tobolek w pudełku. Starannie zamykam pudełko i wkładam je na najwyższą półkę mojej wyimaginowanej szafy wnękowej. Gaszę światło. Zamykam drzwi.

Chodziło o to, aby w mojej aktualnej sytuacji wyłączyć emocje, nie unikając przy

tym konfrontacji z rzeczywistością.

Po wielokrotnych próbach powstrzymania łez, co wymagało ode mnie ogromnego wysiłku, wreszcie udało mi się pozbyć ścisłu w gardle i złowrogiego poczucia napływającej chandry. Otworzyłam oczy. Spuściłam wzrok i dokonałam szczegółowej analizy swojego aktualnego wyglądu: różowe klapki, pożyczone jako zastępstwo dla moich szpilek Jimmy Choo; szara spódnica do kolan poplamiona kawą; pożyczona, przyciasna czerwona bluzka, którą musiałam zastąpić moją ulubioną bawełnianą koszulę; szalone, niezamierzone afro na głowie.

Poprawiłam swoje stare okulary w czarnej oprawie, które założyłam po utracie soczewek. Byłam spokojniejsza i miałam silniejsze poczucie kontroli, mimo (nie)dobrej garderoby.

I kiedy tak siedziałam w biurowej łazience, poczułam, jak ogarnia mnie przyjemne odrętwienie, otulając mnie niczym chłodne fale. Wiedziałam już, że dam sobie radę z brakiem papieru toaletowego. Wyprostowałam się stanowczo.

A cała reszta moich problemów będzie musiała poczekać. Nie to, żebym liczyła, że w jakikolwiek sposób magicznie znikną.

\*\*\*

Zbliżając się do swojego biurka – to znaczy mojego *byłego* biurka – myślałam tylko o zaciekawionych twarzach, zerkających w stronę mojego boksu, i ukradkowych spojrzeniach rzucanych w moją stronę. Wszyscy trzymają się w bezpiecznej odległości od pola rażenia: na tyle blisko, żeby móc swobodnie obserwować moje upokorzenie, ale wystarczająco daleko, żeby uznać to za uprzejmy dystans. Zastanawiałam się, co tego typu zachowanie mówi o naszym gatunku. Jaki byłby najbardziej adekwatny odpowiednik tego, co się w tej chwili dzieje, w świecie gatunków z niższych szczebli królestwa zwierząt?

Może krążące wokół rekiny, które zwietrzyły zapach krwi? W tym scenariuszu wyobrażałam sobie, że rekiny chciałyby nasycić się moim dramatem, moją konsternacją, moim poczuciem dyskomfortu. Zagłębiłam się w etnograficzne rozważania i obserwowałam bacznie krążącą wokół mnie grupę. Nie czułam już wstydu, jaki powinien poprzedzać moje wyjście, zamiast tego pochłaniało mnie obserwowanie obserwujących. Próbowałam odczytywać emocje z ich twarzy, zastanawiałam się, co chcą osiągnąć albo zyskać.

Otuliłam się swoją warstwą izolacyjną, ciasno, jak najciaśniej.

I dlatego nie dosłyszałam za moimi plecami dudnienia zbliżających się kroków, ani nie zorientowałam się, że wokół mojego boksu zapadła nagle cisza, dopóki czyjeś dwa palce nie postukały mnie w ramię, delikatnie, ale stanowczo. Odwróciłam się w miarę stabilnie, choć wciąż byłam jeszcze nieco oszołomiona, i przesunęłam wzrok po dłoni, która obecnie znajdowała się na moim łokciu, wyżej, na biceps, masywne ramię, mocno zarysowaną szczękę i podbródek, by na końcu natrafić na zapierające dech w piersiach, przeszywające błękitne spojrzenie Pana Ciacho.

Wzdrygnęłam się.

Chociaż chyba raczej najpierw skrzywiłam się, a potem wzdrygnęłam. A on nie nazywał się wcale Pan Ciacho. Nie wiedziałam, jak się naprawdę nazywa, ale



rozpoznałam w nim jednego z pracowników ochrony przychodzących na popołudniową zmianę. Tego, którego obserwowałam (żeby nie powiedzieć śledziłam) przez ostatnie pięć tygodni.

Nie wiedziałam, jak się nazywa, bo przecież miałam chłopaka, nie wspominając już o tym, że Pan Ciacho był jakieś dwadzieścia tysięcy stopni wyżej ode mnie w hierarchii (przynajmniej w kwestii atrakcyjności) oraz, według mojej przyjaciółki Elizabeth, najprawdopodobniej był gejem. Elizabeth powiedziała mi kiedyś, że mężczyźni, którzy wyglądają tak jak Pan Ciacho, zazwyczaj chcą być z innymi mężczyznami, wyglądającymi jak Pan Ciacho.

Trudno im się dziwić.

O wiele częściej, niż miałabym ochotę przyznać, przyłapywałam się na myśli, że jest to jedna z tych osób, które są zdecydowanie zbyt atrakcyjne. Jego perfekcyjny wygląd wydawał się niemal wbrew naturze. Nie chodziło o to, że był ładnym facetem. Byłam pewna, że nie wyglądałby lepiej w stroju drag queen niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet, które znałam.

Chodziło raczej o to, że wszystko, począwszy od perfekcyjnie zmierzwionych, jasnobrązowych włosów, poprzez oszałamiająco mocną, kwadratową szczękę, po jego bezbłędnie zarysowane, pełne usta było cudownie nieskazitelne. Od patrzenia na niego coś aż ścisnęło mnie w piersi. Nawet jego ruchy były pełne niewymuszonego wdzięku, jak ruchy kogoś, kto czuł się absolutnie swobodnie w swoim ciele, a jego pozycja we wszechświecie była niezachwiana.

Przypominał mi sokoła.

Ja natomiast byłam zawsze zawieszona gdzieś pomiędzy zakłopotaniem a kompletną izolacją od otaczającego świata. Mój wdzięk był porównywalny z wdziękiem strusia. Kiedy akurat nie chowałam głowy w piasek, ludzie prawdopodobnie przyglądali mi się z myślą: „Cóż to za dziwaczny ptak!”

Nigdy nie czułam się komfortowo w towarzystwie prawdziwie boskich przedstawicieli mojego gatunku. Dlatego w przeciągu ostatnich pięciu tygodni nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy, niezmiennie odwracając albo opuszczając wzrok tuż przed momentem, w którym moglibyśmy wymienić spojrzenia. To byłoby jak patrzenie bezpośrednio na coś tak jasnego, że bolały od tego oczy.

Dlatego właśnie podziwiałam go z oddali, zupełnie jakby był jakimś wyjątkowym dziełem sztuki, jednym z tych, które widuje się jedynie na fotografiach albo za szybą w muzeum. To moja przyjaciółka Elizabeth z czułością ochrzciła go Panem Ciacho. Dokładniej rzecz ujmując, wspólnie mianowałyśmy go Panem Ciacho pewnej nocy, która obfitowała w zbyt wiele mojito.

Teraz, patrząc w bezkresną głębię jego błękitnych oczu przez swoje okulary w grubych, czarnych oprawkach, zaczęłam nerwowo mrugać, a bariera ochronna zaczęła się kruszyć. Uczucie szarpnięcia, które pojawiło się po lewej stronie żeber, szybko przerodziło się w ciepło, rozprzestrzeniające się aż po czubki palców, a potem na szyję, policzki, a nawet za uszy.

*Dlaczego to musiał być akurat Pan Ciacho? Dlaczego to nie mógł być Pułkownik Wąs-Musztarda albo Pani Żelek?*

Opuścił ramię wzdłuż ciała, a następnie chrząknął, odwrócił wzrok ode mnie i rozejrzał się po pokoju. Poczułam, że gwałtownie się czerwienię, co było dla mnie dość niecodziennym doświadczeniem, i szybko opuściłam głowę, przyciskając podbródek do mostka i pokpiwając w duchu z samej siebie.

W końcu poczułam zażenowanie.

Przeprowadziłam analizę całego dnia i moich reakcji na każde z wydarzeń.

Dobrze wiedziałam, że muszę popracować nad tym, jak być tu i teraz bez poczucia przytłoczenia. Uświadomiłam sobie, że silniej okazywałam rozpacz z powodu braku papieru toaletowego oraz obecności boskiego ochroniarza, niż kiedy okazało się, że mój chłopak mnie zdradza, w efekcie czyniąc mnie bezdomną, nie wspominając o bezrobociu.

Tymczasem wyglądało na to, że Pan Ciacho czuł się w całej tej sytuacji i jej otocze równie niekomfortowo jak ja. Mrużąc oczy, wodził wzrokiem po zawieszonym w bezruchu tłumie. Ponownie chrząknął i nagle w całym pomieszczeniu zaszumiało jak w ulu, a wszyscy naraz zaczęli krążyć zażenowani, ostentacyjnie odwracając ode mnie wzrok.

Pan Ciacho ponownie omiół pomieszczenie swoim sokolim wzrokiem i, wyraźnie zadowolony z wywołanego efektu, z powrotem skierował na mnie swoją uwagę. Mój wzrok napotkał jego oszalamiające, błękitne oczy, a jego wyraz twarzy natychmiast złagodniał – zakładałam, że wzbudziłam w nim politowanie. Z tego, co wiedziałam, był to pierwszy raz, kiedy w ogóle na mnie spojrział.

Ja z kolei obserwowałam go każdego dnia pracy przez ostatnie pięć tygodni. To przez niego zaczęłam jadać późniejsze lunchy, bo jego zmiana zaczynała się o trzynastej trzydzieści. To przez niego najczęściej jadałam teraz swój lunch w lobby. To przez niego w te dni, kiedy spotykałam się po pracy z Elizabeth, o siedemnastej trzydzieści snułam się po lobby w okolicach arboretum i fontanny. Zerkałam na niego co chwila spomiędzy pni drzewek i tropikalnych palm, z pełną świadomością, że moja przyjaciółka nie będzie w stanie dotrzeć do lobby wcześniej niż o osiemnastej.

Pan Ciacho i ja staliśmy przez dłuższą chwilę, skrępowani, obserwując siebie nawzajem. Policzki miałam nadal zaróżowione, ale za to zachwycił mnie fakt, że jestem w stanie wytrzymać pod jego spojrzeniem i nie odwracać wzroku. Być może działało się tak dlatego, że wcześniej zdążyłam już odłożyć swoje uczucia do wymagowanej szafy w swojej głowie. A może uświadomiłam sobie, że oto nasze wspólne chwile dobiegają końca i że w związku z redukcją mojego etatu jest to jeden z ostatnich momentów, kiedy mogę patrzeć na niego bezwstydnie. Tak czy inaczej, nie chciałam odwracać wzroku.

Wreszcie oparł ręce na swoich wąskich biodrach i wysunął podbródek, wskazując na moje biurko.

– Potrzebujesz pomocy z tymi rzeczami? – spytał wreszcie głębokim głosem, zniżonym niemal do szeptu.

Bez słowa pokręciłam tylko głową. Chodząca katastrofa z wyłączonym dźwiękiem. Wiedziałam doskonale, że nie jest tu po to, żeby pomóc mi z rzeczami. Był tu po to, żeby wyprowadzić mnie z budynku. Odrzuciłam jego ofertę stanowczym fuknięciem. Chciałam mieć tę ścieżkę hańby jak najszybciej za sobą. Odwróciłam się, poprawiłam okulary na swoim lekko piegowatym nosie i pokonałam końcowy dystans dzielący mnie

od biurka. Pożyczone klapki stuknęły o moje pięty z każdym pospiesznym krokiem: klap, klap, klap.

Wszystkie moje rzeczy zostały spakowane do brązowo-białego kartonu, jednego z tych, których używa się do dokumentów. Zajęli się tym jacyś pracownicy HR-u, podczas gdy ja, tak jak mi kazano, czekałam cierpliwie w sali konferencyjnej. Spojrzałam na swoje puste biurko. W miejscu, gdzie do tej pory stał zawsze mój kubek z ołówkami, pozostał tylko idealnie okrągły ślad otoczony kurzem. Ciekawe, czy przed włożeniem kubka do pudełka wyjęli z niego ołówki.

Potrząsnęłam głową, żeby pozbyć się absurdalnych, bezsensownych myśli, wzięłam do rąk pudło, mieszczące ostatnie dwa lata moich zawodowych aspiracji, spokojnie minęłam Pana Ciacho i ruszyłam dalej, w stronę recepcji i wind. Nie odwzajemniłam jego spojrzenia, ale wiedziałam, że za mną idzie, zanim jeszcze zatrzymał się tuż obok, na tyle blisko, że otarł się łokciem o mój łokieć, kiedy próbowałam oprzeć pudło na biodrze i wcisnąć guzik windy.

Niemal czułam na sobie jego wzrok, ale nie odwzajemniłam spojrzenia. Zamiast tego obserwowałam w skupieniu czerwone cyferki informujące o aktualnym położeniu każdej z wind.

– Może pomogę ci to nieść? – rozległ się po mojej prawej stronie jego głęboki głos, znizony niemal do szeptu.

Potrząsnęłam głową i zerknęłam w bok bez odwracania. Oprócz nas na windę czekały jeszcze cztery inne osoby.

– Nie, dziękuję, to nie jest ciężkie. Najwyraźniej jednak zabrali ołówki – z ulgą usłyszałam ton swojego głosu, bezbarwny i pozbawiony emocji.

Kolejne kilka chwil minęło nam w milczeniu i tym samym mój umysł miał niebezpiecznie duże pole do popisu. Moja umiejętność koncentracji była znikoma. Nieustannie miałam przez to problemy. Czas spędzony z własnymi myślami, szczególnie gdy jestem niespokojna, nigdy nie działał na moją korzyść.

Większość ludzi w sytuacjach stresowych ma podobno tendencję do obsesyjnego rozmyślenia o swoim aktualnym położeniu. Zastanawiają się, jak się tu właściwie znaleźli i kombinują, co zrobić, żeby się z tego wyplątać albo jak uniknąć podobnych sytuacji w przyszłości.

Za to w moim przypadku wygląda to tak, że im bardziej stresująca dla mnie sytuacja, tym mniej myślę o niej i o czymkolwiek z nią związanym.

Aktualnie rozmyślałam właśnie o tym, że windy są właściwie trochę jak mechaniczne konie i zastanawiałam się, czy ktoś je kochał albo nadawał im imiona. Zastanawiałam się, jakie kroki powinno się podjąć, żeby usunąć słowo „miąsz” ze słowników. Naprawdę nienawidziłam jego brzmienia i zawsze robiłam wszystko, żeby go unikać. Nie lubiłam też słowa „portki”, ale tutaj czułam się usprawiedliwiona, odkąd jakiś czas temu Mensa wystosowała oficjalne oświadczenie w sprawie tego obrzydliwego wyrazu, proponując usunięcie go z języka potocznego.

Pan Ciacho ponownie chrząknął, wrywając mnie z wciągających rozmyślań o odstręczających słowach. Drzwi jednej z wind były otwarte, jej czerwona strzałka informowała, że jedzie w dół, a ja nadal stałam bez ruchu, zupełnie tego nieświadoma,

pograżona we własnych myślach. Nikt nie odważył się wsiąść do windy przede mną i teraz czułam, że wszyscy się na mnie gapią.

Wzdrygnęłam się lekko, próbując zakotwiczyć się w terażniejszości. Poczułam na swoich plecach rękę Pana Ciacho, który delikatnym pchnięciem kierował mnie w stronę windy. Ciepło jego dłoni było przyjemne, ale jednocześnie niepokojący prąd przebiegł wzdłuż mojego kręgosłupa. Pan Ciacho podniósł drugą rękę, opierając ją w miejscu, gdzie drzwi windy wsuwały się w ścianę, tym samym przytrzymując ją dla mnie.

Błyskawicznie odsunęłam się na bezpieczną odległość i zadekowałam w kącie windy. Pan Ciacho wszedł do środka za mną, ale zatrzymał się tuż przy wejściu, skutecznie je blokując. Szybko nacisnął guzik, zanim ktokolwiek inny zdążył wsiąść. Drzwi windy zasunęły się i zostaliśmy sami. Sięgnął po kartę zawieszoną na breloczku ze zwijaną linką, zamocowanym przy jego pasku, i wsunął ją w otwór na samej górze tablicy z przyciskami. Patrzyłam, jak wciska ten z napisem -1.

– Zjeżdżamy do piwnicy? – spytałam, unosząc brew.

W żaden sposób nie potwierdził mojego przypuszczenia, po prostu odwrócił się w moją stronę i przyglądał mi się bez skrępowania. Staliśmy w przeciwległych kątach. Przez chwilę wyobrażałam sobie, że jesteśmy zawodowymi bokserami. Przestronna winda była naszym ringiem, a mosiężne poręcze wokół – linami. Przyjrzałam mu się, oceniając na chłodno swoje szanse. Gdyby doszło między nami do wymiany ciosów, wygrałby, zdecydowanie.

Jestem dość wysoka jak na dziewczynę, co nie zmieniało faktu, że on bez problemu mierzył jakieś metr dziewięćdziesiąt. Poza tym od czasów piłki nożnej w college'u nie uprawiałam żadnego sportu, w każdym razie niezbyt intensywnie ani przesadnie regularnie. On za to, sądząc po szerokości ramion, codziennie chodził na siłownię i bez problemu mogłabym być jego sztangą, nawet z pudełkiem, które trzymałam w rękach, i to gdyby dorzucili mi do niego ołówki.

Tymczasem on nie przestawał taksować mnie spojrzeniem, zatrzymując teraz wzrok w okolicach mojej szyi. Wróciło to dziwne uczucie pod żebrami. Poczułam, że znowu zaczynam się czerwienić.

Spróbowałam nawiązać rozmowę.

– Może nie wyraziłam się dość precyzyjnie – zaczęłam. – Zakładam, że ten budynek ma więcej niż jedną piwnicę, choć oczywiście nigdy nie widziałam planów. Czy zjeżdżamy do jednej z piwnic, a jeśli tak, po co zjeżdżamy do jednej z piwnic?

Niespodziewanie odwzajemnił moje spojrzenie. Jego wzrok pozostawał nieodgadniony.

– Standardowe procedury – wymamrotał.

– Ach tak – westchnęłam i znowu przygryzłam wargę. No przecież, standardowe procedury. Pewnie nie było to dla niego nowe doświadczenie. Zaczęłam się zastanawiać, czy byłam jedynym zwolnionym tego dnia pracownikiem, którego miał za zadanie wyprowadzić z budynku.

– Ile razy już to robiłeś? – spytałam.

– To?

– No wiesz, wyprowadzałeś ludzi z budynku po tym, jak zostali zwolnieni. Czy tak

się dzieje codziennie? Zwolnienia zazwyczaj przeprowadzane są w piątkowe popołudnia, żeby uniknąć sytuacji, w której jakieś świry chcą wracać do biura następnego dnia. Dziś jest wtorek, więc sam rozumiesz moje zaskoczenie. Zgodnie z międzynarodowym standardem obowiązującym w większości krajów zachodnich, wtorek jest drugim dniem tygodnia. Choć są też kraje, w których zwykło się przyjmować niedzielę jako pierwszy dzień tygodnia i tym samym wtorek określany jest tam mianem trzeciego dnia tygodnia.

*Zamknij się, zamknij się, zamknij się!*

Wzięłam głęboki oddech, zamknęłam buzię i zacisnęłam szczękę, żeby powstrzymać się od dalszej paplaniny. Patrzyłam, jak przygląda mi się lekko przymrużonymi oczami, a moje serce zaczęło łomotać. Już po raz drugi tego dnia rozpoznałam u siebie poczucie zażenowania.

Wiedziałam, jak czasami brzmię. Moi najbliżsi przyjaciele używali wobec mnie ładnego określenia – mówili, że jestem czytana. Cała reszta uważała mnie po prostu za szurniętą. Chociaż niejednokrotnie namawiano mnie do udziału w Va Banque<sup>[1]</sup> i byłam zawsze idealnym, niezawodnym partnerem w grach towarzyskich typu Trivial Pursuit, moja teleturniejowa wiedza w połączeniu z lawiną nonsensownych wypowiedzi, które wydobywały się z moich ust w niekontrolowany sposób, raczej nie przysparzał mi wielbicieli.

Cisza przeciągała się, a ja po raz pierwszy w ostatnich dniach nie próbowałam koncentrować się na teraźniejszości. Jego błękitne spojrzenie świdrowało mnie z taką intensywnością, że nawet moje rozbiegane myśli stanęły w miejscu. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę, jak kącik jego ust unosi się nieco, ledwo dostrzegalnie.

– Międzynarodowy standard? – spytał, przerywając wreszcie ciszę między nami.

– ISO 8601, norma określająca sposób zapisu daty i czasu. Umożliwia płynny kontakt między różnymi organami, rządami, agencjami i korporacjami. – Nie byłam w stanie powstrzymać swojego bełkotu. To było jak choroba.

I wtedy Pan Ciacho uśmiechnął się. Był to króciutki uśmiech zaciśniętych w linijkę ust. I za chwilę zniknął. Gdybym w tym momencie mrugnęła, pewnie nawet bym go nie zauważyła, niemniej na jego twarzy pozostał wyraz zainteresowania. Oparł swoje długie ciało o ścianę windy i skrzyżował ręce na piersi. Rękawy munduru opięły ciasno jego ramiona.

– Powiedz mi coś więcej o tych kontaktach między różnymi organami.

Jego wzrok powędrował leniwie w dół, by po chwili, tym samym powolnym tempem, wrócić i ponownie spotkać się z moim spojrzeniem.

Otworzyłam buzię, żeby coś odpowiedzieć, ale zaraz zamknęłam ją bez słowa. Nagle i niespodziewanie zrobiło mi się strasznie gorąco.

Jego dyskretna, a jednak ewidentna analiza mojej powierzchowności sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest on takim samym dziwakiem jak ja. Całym sobą sprawiał, że czułam się wyjątkowo niekomfortowo. Uwaga, którą na mnie koncentrował, była jak światło reflektora, przed którym nie mogłam uciec.

Przeniosłam pudło z rzeczami na drugie biodro i odwróciłam wzrok od jego dociekliwego spojrzenia. Wiedziałam już, że dobrze robiłam, unikając wcześniej kontaktu wzrokowego. Zasady i zwyczaje związane z kontaktem wzrokowym są bardzo różne

w zależności od kultury danego kraju. *W Japonii, na przykład, dzieci w wieku szkolnym...*

Winda stanęła, a jej drzwi otworzyły się, odrywając mnie od rozmyślań na temat japońskich norm kulturowych. Natychmiast się poderwałam i wyprostowana ruszyłam do wyjścia, by zorientować się, że nie wiem, dokąd właściwie mam iść. Odwróciłam się z głupim wyrazem twarzy i spojrzałam spod rzęs na Pana Ciacho.

Ponownie położył dłoń na moich plecach i pokierował odpowiednio. I jak poprzednio poczułam dziwny przepływ prądu. Szliśmy teraz długim korytarzem pomalowanym na nijaki, beżowo-szary kolor. Z sufitu zwisały nisko lampy jarzeniowe.

Klap, klap, klap... kłapanie mojego obuwia niosło się echem po pustej przestrzeni. Kiedy przyspieszyłam kroku, żeby uciec przed jego elektryzującym dotykiem, on przyspieszył również, nie odrywając dłoni. Może bał się, że mu zwieję albo że jestem jednym z tych wspomnianych wcześniej świrów.

Dotarliśmy do jakichś przeszklonych pomieszczeń. Zesztywniałam cała, kiedy przesunął swoją dłoń po moim nagim ramieniu, tuż nad łokciem. Z trudem przełknęłam ślinę, w pełni świadoma tego, że moja reakcja na jego dotyk była kompletnie absurdalna. W końcu to tylko dłoń na ramieniu.

Wprowadził mnie do jednego z pomieszczeń i wskazał brązowe drewniane krzesło. Potem wyjął mi z rąk pudło i stanowczym, autorytarnym gestem umieścił je na krześle po mojej lewej stronie. Wokół byli ludzie w swoich boksach i biurach. Na samym środku tej przestrzeni, za długim biurkiem recepcji, siedziała kobieta ubrana w taki sam uniform, jaki miał na sobie Pan Ciacho. Napotkałam jej spojrzenie. Mrugnęła, a potem popatrzyła na mnie krzywo.

– Nie ruszaj się. Poczekaaj tu na mnie – rozkazał Pan Ciacho.

Obserwowałam go, jak wychodzi, a następnie idzie w stronę recepcjonistki, która na jego widok zesztywniała i natychmiast wstała. Pochylił się w jej stronę i wskazał coś na ekranie jej komputera. Kiwnęła głową i znów na mnie spojrzała, unosząc brew, ewidentnie zdezorientowana. Potem usiadła z powrotem i zaczęła stukać w klawiaturę.

Pan Ciacho odwrócił się, a wtedy ja popełniłam błąd – spojrzałam bezpośrednio na niego. On zastygł na chwilę. To samo co wcześniej niepokojące, długie spojrzenie sprawiło, że tak jak poprzednio, poczułam rumieniec wypływający na policzki. Miałam ochotę zakryć je dłońmi, żeby nie zauważył. Ruszył w moją stronę, ale niespodziewanie drogę zaszedł mu starszy mężczyzna w eleganckim garniturze i z jakąś teczką w ręku. Z zainteresowaniem obserwowałam ich wymianę zdań.

Kobieta na recepcji zabrała z drukarki jakieś papiery, po czym skierowała się w moją stronę, uśmiechając się bez otwierania ust.

Wstałam, a ona wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Jestem Joy, witaj. Pani Morris, prawda?

Kiwnęłam głową, zakładając za ucho niesforny kosmyk.

– Zgadza się, ale proszę mi mówić Janie. Miło mi panią poznać.

– Z tego, co słyszałam, miałaś kiepski dzień. – Joy usiadła obok mnie i, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej: – Nie martw się, słonko. Zdarza się najlepszym. Mam tutaj papiery, które musisz podpisać. Oddasz mi też swoją przepustkę i klucz, a potem ściągniemy dla ciebie samochód.

– Yyy, samochód?

– Tak, zawiezie cię tam, gdzie będziesz chciała.

– Aha, okej. – Byłam mocno zaskoczona faktem, że organizują mi transport, ale postanowiłam udawać, że to nic wielkiego.

Wzięłam do ręki długopis, który mi podała, i pobieżnie przejrzałam dokumenty. Wyglądały dość nieszkodliwie. Zaryzykowałam krótkie spojrzenie w kierunku Pana Ciacho i przyłapałam go na gapieniu się na mnie w czasie, kiedy udawał, że uważnie słucha mężczyzny w garniturze. Bez wczytywania się w treść dokumentów podpisałam je w miejscach, które wskazała Joy, zdjęłam zawieszoną na szyi przepustkę i wręczyłam jej razem z kluczem. Wzięła ode mnie dokumenty i zaparafowała w kilku miejscach.

Zastygła na chwilę, kiedy dotarła do części z danymi adresowymi.

– Czy to twój aktualny adres i telefon? – spytała.

Zerknęłam i zobaczyłam adres Jona. Wpisałam go, kiedy zostałam tu zatrudniona. Skrzywiłam się.

– Nie, nie jest. Dlaczego pytasz?

– Muszą wiedzieć, gdzie przesłać ci twoją ostatnią pensję. Poza tym potrzebny jest twój aktualny adres na wypadek, gdyby trzeba było odesłać ci jeszcze jakieś rzeczy. Napisz mi, proszę, tu obok swój nowy adres.

Zawahałam się. Nie miałam pojęcia, co wpisać.

– Przepraszam, ja... – z trudem przełknęłam ślinę i wpatrywałam się w kartkę – ja jestem aktualnie w trakcie poszukiwania mieszkania. Może mogłabym po prostu zadzwonić, kiedy będę znała już adres?

– A możesz podać swój numer komórki?

Zacisnęłam zęby.

– Nie mam telefonu komórkowego. Nie wierzę w komórki.

Joy aż uniosła brwi.

– *Nie wierzysz w komórki?*

Miałam ochotę wyjaśnić jej, dlaczego tak bardzo nienawidziłam telefonów komórkowych. Sprawiały, że jest się dostępnym dla całego świata przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Były jak chip wszczepiony w mózg, śledzący każdy twój ruch i mówiący ci, co myśleć. Chip, który na końcu sprawia, że wpadasz w obsesję na punkcie maleńkiego ekranu dotykowego, i który staje się głównym łącznikiem między twoją osobą a prawdziwym światem.

Tylko czy prawdziwy świat jeszcze istniał, skoro wszyscy porozumiewali się za pomocą telefonów komórkowych? Czy gra Angry Birds mogłaby stać się kiedyś moją rzeczywistością? Podobne rozważania w klimacie kartezyjańskim rzadko czyniły ze mnie królową imprez. Może to dlatego, że czytałam za dużo komiksów i książek science fiction, ale komórki kojarzyły mi się z implantami wszczepianymi w mózg, znanymi mi z powieści *Neuromancer* Williama Gibsona. Na poparcie tej tezy chciałam opowiedzieć jej jeszcze o opublikowanym całkiem niedawno artykule w „Wypadki: analiza i zapobieganie” na temat niebezpiecznych zachowań podczas jazdy samochodem.

Zamiast tego wszystkiego powiedziałam tylko:

– Po prostu w nie nie wierzę.

– Okeeej – powiedziała. – Nie ma problemu. – Joy sięgnęła do kieszonki na piersi i wyjęła z niej mały kartonik. – To moja wizytówka. Zadzwoń do mnie, jak już się gdzieś zadekujesz, a ja wpiszę twój adres do systemu.

Wstałyśmy obydwie, a ja wzięłam wizytówkę. Jej sztywne krawędzie wbijały mi się w opuszki palców.

– Dziękuję. Na pewno tak zrobię.

Joy obeszła mnie i podniosła moje pudło, ruchem ramienia pokazując, żebym szła za nią.

– Chodź, zaprowadzę cię do samochodu.

Ruszyłam, ale niczym rozpuszczony dzieciak pozwoliłam sobie na jeszcze jedno spojrzenie przez ramię w kierunku Pana Ciacho. Stał teraz profilem do mnie, nie patrzył już w moją stronę tym swoim obezwładniającym wzrokiem. Był totalnie skoncentrowany na mężczyźnie w garniturze.

Czułam jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Najprawdopodobniej widziałam go właśnie po raz ostatni. Cieszyłam się, że mogę popodziwiać go jeszcze ten jeden raz, nie będąc pod ostrzałem tych oślepiająco błękitnych oczu. Ale jakaś część mnie tęskniła za tym rozgrzewającym uczuciem w piersi i tą intensywną, niemal namacalną samoświadomością, której doświadczyłam, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.



## 2

Wspomniany samochód okazał się limuzyną.

Nigdy wcześniej nie jechałam limuzyną, więc oczywiście przez pierwsze kilka minut siedziałam w kompletnym szoku, przez następnych kilka wciskałam po kolei wszystkie guziki, a potem spędziłam parę minut na próbach posprzątania po tym, jak wystrzeliła woda z butelki. Butelka wypadła mi z rąk, kiedy kierowca zahamował gwałtownie tuż za żółtą taksówką.

Kierowca zapytał, dokąd mnie zawieźć. Miałam ochotę odpowiedzieć „do Las Vegas”, ale obawiałam się, że ten numer jednak nie przejdzie. Skończyło się na tym, że zgodził się wspaniałomyślnie pojeździć ze mną po okolicy, podczas gdy ja zadzwoniłam z jego telefonu w kilka miejsc. Jednym z miłych aspektów nieposiadania telefonu komórkowego – albo niemiłych, zależy od perspektywy – jest to, że musisz znać na pamięć numery swoich bliskich.

Kolejny plus: powstrzymuje cię to przed zawieraniem przypadkowych znajomości.

Większość z nas nie jest w stanie zapamiętać numerów telefonów, których nie używa za często. Telefony komórkowe, podobnie jak inne wymysły naszych czasów związane z mediami społecznościowymi, ułatwiają kolekcjonowanie powierzchownych pseudoznajomości. Zupełnie jak moja babcia, która gromadziła filiżanki i trzymała wszystkie w oszklonym kredensie.

Tylko że teraz zamiast filiżanek mamy znajomych, a zamiast kredensu – Facebook.

Najpierw wybrałam numer do taty. Zostawiłam mu nagrany wiadomość, żeby nie dzwonił już i nie wysyłał listów do mieszkania Jona, wyjaśniając pokrótce, że się rozstaliśmy. Po fakcie uświadomiłam sobie, że telefon do niego nie był wcale niezbędny, a raczej grzecznościowy. Prawie nigdy do mnie nie dzwonił ani nie pisał – jeśli nie liczyć przesyłania e-mailowych łańcuszków. Po prostu zależało mi na tym, żeby wiedział, gdzie jestem i że jestem bezpieczna.

Potem zadzwoniłam do Elizabeth. Tak się złożyło, że miała akurat przerwę. Był to prawdziwy łut szczęścia, biorąc pod uwagę fakt, że Elizabeth była rezydentką na oddziale ratunkowym szpitala Chicago General. Przekazałam jej suche fakty: Jon mnie zdradził, byłam bezdomna, potrzebowałam odżywki do włosów, straciłam pracę.

Była oburzona zachowaniem Jona, wspaniałomyślnie zaoferowała mi swoje mieszkanie i odżywkę do włosów, i wyraziła szczerą ubolewanie z powodu pracy. Elizabeth mieszkała w przyjemnym mieszkanku w północnym Chicago – zbyt małym dla nas dwóch na dłużej, ale wystarczająco dużym, żebyśmy po trzech dniach nie włożyły sobie na głowę.

Ulżyło mi, że tak szybko zadeklarowała, że mogę u niej pomieszkać, bo tak naprawdę nie miałam żadnego planu B. Dodatkowo zwróciła uwagę na fakt, że ze względu na specyfikę jej zawodu sama często zmuszona była spać w szpitalu, więc najprawdopodobniej to ja będę przebywać w jej domu częściej niż ona.

Ustaliłyśmy plan działania: miałam pojechać do Jona, szybko zebrać do pudła najpotrzebniejsze rzeczy, potem pojechać do niej. Po resztę rzeczy miałam wrócić dopiero w następnym tygodniu. Było mnóstwo czasu, tym bardziej, że coś takiego jak godziny pracy aktualnie nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Wahałam się, czy prosić kierowcę, żeby poczekał na mnie, podczas gdy ja pójdę po swoje rzeczy, ale okazało się to niepotrzebne – od początku mnie podsłuchiwał i w efekcie sam zaproponował, że wróci po mnie za dwie godziny.

Pakując się, z zaskoczeniem odkryłam, jak niewiele dóbr materialnych posiadam. Trzy pudła i trzy walizki – tylko tyle potrzebowałam, żeby pomieścić cały swój dobytek. Jedna walizka, ta największa, wypełniona była butami. Jedno pudło, to największe, zawierało komiksy. To plus brązowo-białe pudło z pracy stanowiło podsumowanie mojego życia.

Kiedy kilka godzin później dotarłam wreszcie pod dom Elizabeth, kierowca limuzyny – miał na imię Vincent, czternaścioro wnuków i pochodził z Queens – pomógł mi wnieść wszystkie moje rzeczy na drugie piętro.

Elizabeth powitała nas w drzwiach z ustami pełnymi uśmiechów i przekleństw, i pomogła Vincentowi z walizkami.

Kiedy wypakowaliśmy z samochodu ostatnie pudło, Vincent zaskoczył mnie, składając solenny pocałunek na mojej dłoni. Jego czekoladowe oczy wpatrywały się we mnie, kiedy wygłaszał głęboką życiową mądrość:

– Gdybym kiedykolwiek zdradził swoją żonę, odrąbałaby mi jaja. Skoro nie czujesz, że chciałabyś wykastrować tego gościa po tym, co zrobił, to znaczy, że to nie ten jedyny – oznajmił. Pokiwał głową jakby na potwierdzenie słuszności swoich słów, odwrócił się i za chwilę był już przy drzwiach samochodu.

A potem, zupełnie jak na jakimś filmie klasy B, patrzyłyśmy, jak odjeżdża w stronę zachodzącego słońca.

Tego wieczoru Elizabeth kilkakrotnie opowiadała tę historię na spotkaniu naszej dziergającej grupy; tym razem przypadała jej kolej na pełnienie obowiązków gospodyni, więc pomogłam jej w przygotowywaniu przekąsek i czerwonego wina. Z każdą kolejną relacją Vincent stawał się młodszy, wyższy, bardziej muskularny i z coraz piękniejszymi włosami; jego akcent z Queens został zastąpiony sycylijskim; zrezygnował też z czarnego płaszcza na rzecz zwiewnej, białej koszuli rozpiętej tak, by ukazywała boski tors.

Kiedy opowiadała całą historię po raz ostatni, Vincent wpatrywał się tęsknie w moje oczy i błagał mnie, abym z nim uciekła, a ja, oczywiście, odpowiadałam, że przecież po wykastrowaniu stałby się dla mnie bezużyteczny.

Nie przeszkadzało mi to, że Elizabeth opowiada dziewczynom o moim dniu z taką otwartością. Nazywałam je moją dziergającą grupą wsparcia, chociaż sama nie miałam zielonego pojęcia o robieniu na drutach. Czułam, że są mi o wiele bliższe niż moje własne siostry z dwóch prostych przyczyn: żadna z dziewczyn nie była przestępczynią (przynajmniej z tego, co mi było wiadomo) oraz, po prostu, szczerze uwielbiałam ich towarzystwo.

Kochałam je za to, jakie są otwarte, wspierające i nieoceniające. Było coś w tych kobietach, które spędzały godziny na robieniu na drutach swetrów z obłądnie drogiej włóczki, mimo że mogłyby kupić sobie sweter za zaledwie część tej ceny – nie wspominając już o zaoszczędzonym czasie. Coś, co pomagało uczyć się akceptacji i cierpliwości do życia.

– Kto, na litość boską, chowa folię po kondomie z powrotem do kieszeni? Hola,

hola, panie półgłówku! – Sandra, zadziorna, rudowłosa babka ze starannie ukrywanym teksańskim akcentem, zacisnęła wargi i rozejrzała się po pokoju z pytająco uniesionymi brwiami. Była rezydentką na oddziale psychiatrii w Chicago General i lubiła mówić o sobie per doktor Kozetka.

– Dokładnie – przytaknęłam, podobnie jak pozostałe osoby w pokoju, zadowolona z poparcia dla swojej decyzji.

– Uważam, że będzie ci bez niego lepiej – oznajmiła Ashley, nie podnosząc wzroku znad swojego szalika. Jej długie, proste brązowe włosy były zebrane w elegancki koczek. Była dyplomowaną pielęgniarką, pochodziła z Tennessee, a ja uwielbiałam słuchać jej akcentu. – Nigdy nie ufaj Jonowi bez „h” w imieniu. Powinno być „John”, a nie „Jon”.

– I jeszcze to jego nazwisko: Holesome – dodała Ashley. – Powinno brzmieć Assholesome<sup>[2]</sup>. Ciężki z niego palant.

– Uważam, że przede wszystkim powinniśmy spytać Janie, co czuje w związku z zerwaniem. – Pragmatyczne podejście Fiony spotkało się z natychmiastowym uznaniem. Z wykształcenia inżynier mechanik, z zawodu pełnoetatowa mama, Fiona była prawdziwą szefową naszej grupy. Sprawiała, że wszystkie czułyśmy się wartościowe i zaopiekowane. Mimo metra pięćdziesięciu wzrostu roztaczała wokół siebie przywódczą aurę. Wyglądała trochę jak wróżka z tymi swoimi długimi rzęsami, wielkimi oczami, osadzonymi idealnie symetrycznie na jej drobnej, figlarnej twarzy, którą okalała zawsze ta sama krótka fryzura. Ja, ona i Elizabeth znałyśmy się jeszcze z college’u. Fiona była starostą naszego akademika na pierwszym roku – od zawsze spełniona w roli mamy-kwoki.

Wszystkie spojrzenia zwrócone były teraz w moją stronę. Wzruszyłam ramionami.

– Sama nie wiem. Tak naprawdę nie czuję się wcale wściekła, jestem raczej... poirytowana.

Marie przyglądała mi się badawczo znad połowy swetra.

– Wydawałaś się dość wstrząśnięta, kiedy tu przyszłam. – Spojrzałam jej w oczy, a ona ciągnęła dalej. – Najpierw Jon, potem strata pracy... myślę, że dotknęło cię to bardziej, niż jesteś w stanie przyznać sama przed sobą.

Marie była pisarką i artystką. Zazdrościłam jej zawsze doskonale ułożonych blond loków. Za każdym razem, kiedy się widziałyśmy, wyglądała tak, jakby właśnie zesła z planu reklamy szamponu do włosów.

– To nie o to chodzi – westchnęłam. – To znaczy, pewnie, wołałabym nie tracić pracy, bo jej brak oznacza, że będę musiała poszukać sobie nowej. Ale w sumie to nie było miejsce, w którym mogłam robić dokładnie to, co chciałam. Planowałam zostać architektem, a nie księgową w firmie architektonicznej.

– Ale przynajmniej była to jakaś firma. Trudno teraz o pracę. – Kat, najbardziej małomówna z całej grupy, potrząsnęła z zafrasowaniem głową pełną brązowych fal. Przedstawiłam Kat Elizabeth, kiedy dowiedziałam się, że robienie na drutach było jej wielkim hobby. Kat pracowała w mojej firmie, to znaczy przepraszam, w mojej *byłej* firmie, jako asystentka dwóch wspólników. – Ale będzie im ciebie brakować, Janie. Byłaś z pewnością najbardziej kompetentna z całego zespołu.

– Czy zwalnianym pracownikom zawsze przysługuje limuzyna? – spytała

z zaciekawieniem Ashley.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała Kat. – Ale też zazwyczaj praktykowane są u nas zwolnienia grupowe, po pięć albo więcej osób – zmarszczyła nos. – To wszystko jest rzeczywiście bardzo dziwne. Sprawdzę to.

Mnie też zastanawiała ta limuzyna. Cały mój dzień upływał w oparach absurdu, więc w porównaniu z resztą, limuzyna i Vincent byli niczym łagodne wzniesienie na rollercoasterze moich życiowych anomalii.

– Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, dlaczego to się w ogóle stało, dlaczego ją zwolnili? – Sandra skierowała to pytanie jednocześnie do mnie i Kat, sięgając po swój kieliszek wina.

– Nie, ale postaram się czegoś dowiedzieć – odpowiedziała Kat. Uniosła brwi i rzuciła mi badawcze spojrzenie. – Ale, ale, słyszałam, że wyprowadził cię jeden z ochroniarzy z dołu, to prawda?

Przytaknęłam, wpatrując się natarczywie w swój kieliszek. Czułam się niezręcznie.

– Zaraz, co? Ochroniarz? – Elizabeth pochyliła się w moją stronę i położyła mi dłoń na ramieniu. – Który?

Wzięłam łyk wina i wymijająco wzruszyłam ramionami.

– Och, po prostu jeden z ochroniarzy.

W pokoju zapadła cisza. Miałam ochotę wtopić się w kanapę. Elizabeth odrzuciła w kąt swoją robótkę i zaczęła podskakiwać z ekscytacji.

– O... mój... Boże. To był on, prawda? To BYŁ on! – Jej blond kucyk fruwał na prawo i lewo.

– Co za on? – Sandra odłożyła druty i skrzyżowała ręce na piersi, patrząc to na mnie, to na Elizabeth, to znów na Kat, strzelając spojrzeniem wielkich, zielonych oczu.

Elizabeth zerwała się i pobiegła do kuchni.

– Czekaście! Mam zdjęcie!

Patrzyłam za nią z wybałuszonymi oczami.

– Co takiego? Jak to „masz zdjęcie”? – zawołałam.

Wszystkie dziewczyny natychmiast znieruchomiały. Ostatni raz przerwały w połowie rzędu tamtego dnia, kiedy pizzę dowoził nam wyjątkowo przystojny gość i wszystkie chciały mu dać napiwek. Tym razem wszystkie zaczęły gadać coś jednocześnie, ale ich jazgot umilkł natychmiast, kiedy wróciła Elizabeth i z telefonem w ręku klapnęła obok mnie na kanapie.

– Kinnearowałam go parę razy – wyjaśniła Elizabeth, przeczesując zdjęcia na swojej komórce. Podniosła wzrok i na widok naszych nierozumiejących spojrzeń, dodała: – No wiecie, kinnearować. To znaczy ukradkiem zrobić komuś zdjęcie bez jego wiedzy. No, halo? Nie czytałyście o tym na blogu Yarn Harlot<sup>[3]</sup>?

– Coś słyszałam. Yarn Harlot zrobiła zdjęcie Gregowi Kinnearowi, kiedy wypatrzyła go na lotnisku, dobrze kojarzę? – Ashley odłożyła swoją robótkę i wskazała palcem Elizabeth.

– Tak, dokładnie. Napisała o tym na swoim blogu i „kinnearowanie” zostało umieszczone w internetowym słowniku slangu, Urban Dictionary, a potem jeszcze wspominał o tym „New York Times”, czy coś... – Elizabeth zwróciła się w moją stronę.

Na widok moich otwartych ust i wytrzeszczonych oczu powiedziała tylko: – Och, no już nie udawaj takiej zaskoczonej.

– Ja nadal nie wiem, o kim wy w ogóle mówicie – Sandra wstała i zajrzała Elizabeth przez ramię. Na ekranie pojawiło się pierwsze z kilku zdjęć Pana Ciacho. Łyknęłam jeszcze trochę wina. Wszystkie dziewczyny zebrały się teraz wokół kanapy, podczas gdy Elizabeth co i rusz przesuwiała kciuk po ekranie komórki. Tylko Fiona została na swoim miejscu, czekając, aż skończy się zamieszanie.

Cała grupa wydała z siebie zbiorowe westchnięcie.

– Jak rany, normalnie Batman. Kto to jest? – Ashley miała oczy jak spodki.

– To jest Pan Ciacho. – W głosie Elizabeth pobrzmiwała niemal duma. – Jest ochroniarzem w biurowcu, w którym pracują Kat i Janie. Janie zaczęła ślinić się na jego widok, odkąd zaczął tam pracować kilka tygodni temu. Nie wiem, jak naprawdę ma na imię, ale może Janie wie?

Kat pokiwała głową z lekkim uśmiechem.

– Poznaję go. Nie tylko Janie go zauważyła.

Marie wybuchła śmiechem.

– Nic dziwnego, że nie Jon ci teraz w głowie – zauważyła, wracając do swojej porzuconej włóczki.

– Cholera, Janie, to jak to było, skuł cię kajdankami? – Sandra szturchnęła mnie w ramię. – Wymienialiście gorące spojrzenia w windzie, powietrze kipiało od seksualnego napięcia? To dlatego jesteś teraz tak czerwona jak mój sweter?

Aż do tego momentu nie miałam pojęcia, że się czerwienię. Odstawiłam kieliszek i przycisnęłam dłoń do policzków. Ale nie byłam wcale zawstydzona ich komentarzami, wręcz przeciwnie. Lubiłam to ich dobroduszne droczenie się.

Wiedziałam, że rumienię się na wspomnienie jego intensywnego błękitnego spojrzenia, którym omiatał mnie od góry do dołu. I ciepłego, naelektryzowanego dotyku jego dłoni na moich plecach. Byłam bardziej pochłonięta tym niż wszystkimi pozostałymi wydarzeniami, nawet teraz, cztery godziny później, po tym całym piekielnym dniu. Zasłoniłam twarz rękami i pokręciłam głową.

– Janie, coś się stało? – Poczułam, jak Elizabeth zmienia pozycję na kanapie, żeby pochylić się w moją stronę z równą dozą ekscytacji i niepokoju.

– Nie, nic się nie stało. Po prostu z nim rozmawiałam, a wszystkie dobrze wiemy, jak się to zazwyczaj kończy – westchnęłam, nie odrywając dłoni od twarzy.

– A o czym rozmawialiście? – Miękki głos Fiony sprawił, że poczułam się nieco spokojniejsza.

– Ja... ja opowiedziałam mu o międzynarodowych standardach dotyczących ustalania kolejności dni tygodnia. – Wreszcie odważyłam się oderwać dłoń od twarzy i zmierzyć ze spojrzeniami wokół.

– O matko, Janie, skąd ci się to wzięło? – prychnęła ze śmiechem Ashley, wracając do miękkich kłębów włóczki na swoich kolanach.

– Nie, zaraz, opowiedz wszystko po kolei – poprosiła Elizabeth, podając telefon Fionie, żeby ta też mogła obejrzyć zdjęcia. Elizabeth chwyciła moje dłonie i zmusiła, żebym spojrzała w jej bladoniebieskie oczy. – Wszystko, z najdrobniejszymi

szczegółami. Zaczynij od początku i powtórz wszystko, słowo w słowo.

Tak też zrobiłam. Starłam się skoncentrować na opowiedzeniu całej historii bez niepotrzebnych dygresji i trzymać swój umysł na wodzy. Kiedy doszłam do momentu z ISO 8601 i opowiedziałam, jak zapytał mnie o kontakt między organami, wszystkie aż jęknęły.

– Och! A ty co mu na to odpowiedziałaś? – Sandra ledwo mogła usiedzieć w miejscu. – Nie mogę uwierzyć, że z tobą flirtował! Ty z nim też?

– Zaraz, co? Nie, nie, nie, on wcale ze mną nie flirtował! – pokręciłam stanowczo głową.

– Janie, skarbie, *au contraire mon frère*<sup>[4]</sup>, wręcz przeciwnie, ewidentnie z tobą flirtował. – Ashley zadziornie poruszyła brwiami i posłała mi krzywy, zaczepny uśmiech. Chichotałyśmy wszystkie na dźwięk jej twardego akcentu z Tennessee, z którym wypowiedziała francuski kolokwializm. – Wygląda na faceta typu „silny i milczący”. Musiałaś zrobić na nim wrażenie. Ale w sumie to trochę dziwne, tak flirtować tuż po tym, jak zostałaś zwolniona.

Kat pokiwała głową.

– Zgadzam się, mógł wybrać lepszy moment, co nie zmienia faktu, że rzeczywiście musiałaś zrobić na nim wrażenie.

– Oczywiście, że zrobiłaś na nim wrażenie, tylko spójrz na siebie, jesteś olśniewająca – głos i wyraz twarzy Fiony tchnął niezachwianą pewnością.

Wpatrywałam się w nią wybałuszonymi oczami.

– Nazywasz olśniewającym ten mój wielki tyłek?

Marie zachichotała.

– Dla jednych wielki tyłek, dla innych obiekt westchnień. To chyba nic złego, jeśli facet lubi krągłości, co? Szczególnie jeśli to twoje krągłości!

Dziewczyny wybuchły donośnym śmiechem. Nawet ja nie byłam w stanie powstrzymać cichego chichotu, który wyrwał mi się z gardła. Do głowy mi nie przyszło, że mogłabym mu się spodobać, a już na pewno nie podejrzewałam go o flirt – wydawało mi się to zbyt nieprawdopodobne. Przerwałam im zabawę, żeby dokończyć swoją opowieść. Wszystkim zrzędyły miny, kiedy usłyszały, że wyszłam z budynku z Joy i nie porozmawiałam z nim, ani nawet się z nim nie pożegnałam.

– Ale przecież poprosił, żebyś na niego poczekała – powiedziała Kat. – Dlaczego na niego nie poczekałaś?

– Jestem pewna, że nie o to mu chodziło. Chciał, żebym poczekała na papiery, i tyle – wyjaśniłam.

Ashley potrząsnęła głową.

– Nie, przecież powiedział – tu zniżyła głos do męskiego tak, że brzmiała niemal jak Batman: – „Nie ruszaj się. Poczekał na mnie”.

– Chyba trochę za dużo sobie wyobrażacie – to mówiąc, wstałam i zaczęłam zbierać kieliszki, rozciągając się jednocześnie. Ciężar minionego dnia gniótł mnie w barki. Byłam zmęczona.

– Tak sądzisz? – Fiona rzuciła mi spojrzenie z ukosa. – Zawsze byłaś nierozgarnięta, jeśli chodzi o facetów.

– Ach tak? – zaperzyłam się.

– Właśnie tak – wtrąciła się Elizabeth. – Jesteś śliczna, nawet jeśli w to nie wierzysz. I sporo jest facetów, *naprawdę* sporo, którzy lubią duże cycki, cienką talię, okrągły tyłek, długie nogi jak u amazonki. Dodaj do tego twoje kręcone kasztanowe włosy i piwno-zielone oczy, a niektórzy, wliczając w to mnie, bez wahania orzekliby, że jesteś boska.

Do końca wieczoru usilnie próbowałam – z różnym skutkiem – zmienić temat rozmów. Miałam wokół siebie kobiety, które kochały mnie taką, jaką jestem, było oczywiste, że w ich oczach jestem piękna. Prawda jednak była taka, że niespecjalnie lubiałam rozwdzić się nad swoim wyglądem. Więc tego nie robiłam.

Kiedy tej nocy leżałam na kanapie Elizabeth, byłam zaskoczona tym, dokąd wędrowały moje myśli. Nie byłam w stanie przestać. Raz po raz odtwarzałam w głowie naszą dość jednostronną rozmowę, próbując rozgryźć, czy rzeczywiście wtedy ze mną flirtował. Chociaż w sumie nie miało to większego znaczenia, biorąc pod uwagę fakt, że najprawdopodobniej nigdy więcej już się nie zobaczymy.

Przez chwilę poczułam się prawie normalna, kiedy rozmyślałam obsesyjnie o czymś tak banalnym jak to, czy jakiś chłopak, oceniając tylko po wyglądzie zewnętrznym, mógł uznać mnie za wystarczająco atrakcyjną, żeby ze mną flirtować. Zanim jednak zdołałam przekonać samą siebie, że zachowuję się zupełnie racjonalnie, przypomniałam sobie, że właśnie tego ranka zakończył się mój długoletni związek z kimś, z kim miałam spędzić resztę życia, a potem zostałam zwolniona.

Normalna osoba rozmyślałaby obsesyjnie o którejś z tych rzeczy, albo i o dwóch naraz.

Moją ostatnią myślą, zanim odpłynęłam w sen, było: „Muszę sprawdzić w Wikipedii definicję »kinnearowania«”.

Był piątek rano, półtora tygodnia po najgorszym dniu mojego życia, kiedy oznajmiono mi, że ten wieczór będzie totalny. Totalny, bo, jak wyjaśniła Elizabeth, dostała VIP-owskie wejściówki na jakieś „niezwykłe doświadczenie klubowe”, o którym wszyscy mówili, co w przełożeniu na normalny język znaczyło chyba „idziemy do nowo otwartego baru”.

Byłam bardzo zdeterminowana, żeby jak najszybciej znaleźć nową pracę i nowe mieszkanie, chociaż Elizabeth nie składała żadnych zażaleń co do mojej obecności. Co więcej, zasugerowała nawet, że ponieważ niedługo kończy jej się umowa najmu, możemy wspólnie poszukać sobie czegoś większego i nadal mieszkać razem.

Jej pomysł bardzo przypadł mi do gustu. Mieszkanie z Elizabeth byłoby idealną odtrutką na moje wrodzone, pustelnicze, agorafobiczne zapędy.

Nawet w trakcie mojego związku z Jonem obydwójce zaobserwowaliśmy, że jestem osobą, która potrzebuje dużo własnego czasu i przestrzeni, żeby potem zachowywać się z odpowiednią dozą czułości, kiedy byliśmy razem.

*Może właśnie dlatego poczuł potrzebę, żeby mnie zdradzić.*

To przypuszczenie miało sens. Uznałam je za warte zapamiętania i skatalogowałam w mojej bazie danych.

Przez kilka minionych dni dość intensywnie analizowałam swój aktualny stan „bez”: bezdomności, bezrobocia, bezzwiązkowości. Mniej wcale nie znaczy więcej, a stan „bez” jest bardzo nieprzyjemnym, niestabilnym stanem.

Jon był moim pierwszym chłopakiem. W liceum i w college’u chodziłam co prawda na randki, ale były to same pierwsze randki. Jon był chłopakiem, którego nie odstraszyła moja nieokielznana nieprzewidywalność; wręcz się nią rozkoszował. Zastanawiałam się, czy to możliwe, że on jest tym jedynym.

Ta myśl nie zaprzętała mi głowy tak bardzo, jak powinna. Właściwie to zaprzętała mi ją w o wiele mniejszym stopniu niż myśl o tym, że mogę już nigdy nie przeżyć czegoś takiego jak tłące się ciepło świadomości, którego doświadczyłam podczas moich siedmiu do dwunastu minut spędzonych z ochroniarzem.

Od naszego zerwania rozmawiałam z Jonem tylko raz, i to krótko, i nadal nie byłam w stanie określić do końca, co czułam podczas naszej konwersacji. Był na mnie zły, a właściwie wściekły, i wrzeszczał na mnie przez pierwsze kilka minut naszej rozmowy. Powiedział, że dowiedział się od swojego taty, że straciłam pracę i chciał wiedzieć, dlaczego nie poprosiłam go o pomoc.

Nie wierzyłam własnym uszom. Odpowiedziałam dopiero po dłuższej chwili:

– Jon, czy ty naprawdę mnie o to pytasz? I skąd w ogóle pan Holesome, to znaczy twój tata, się o tym dowiedział?

– Tak, naprawdę cię o to pytam. Potrzebujesz mnie, jesteś moją dziewczyną...

– Nie, nie jestem – zaprzeczyłam, potrząsając głową, jakbym próbowała przekonać samą siebie.

– Nic jeszcze nie jest przesądzone. Chcę się tobą opiekować. Nadal cię kocham. Jesteśmy dla siebie stworzeni – oznajmił zdecydowanym i lekko nadąsanym tonem.



– Zdradziłeś mnie. Nie jesteśmy razem – czułam, że robię się coraz bardziej rozdrażniona, co w moim wypadku było uczuciem najbardziej zbliżonym do gniewu.

Usłyszałam westchnięcie po drugiej stronie słuchawki. Kiedy odezwał się ponownie, jego ton był już nieco łagodniejszy:

– Janie, przecież wiesz, że to nic dla mnie nie znaczyło. To był tylko jeden raz. Bez znaczenia. Byłem pijany.

– Byłeś wystarczająco trzeźwy, żeby schować folię z powrotem do kieszeni.

W odpowiedzi ni to zaśmiał się, ni to mruknął.

– Nadal chcę się tobą opiekować. Pozwól mi się sobą zaopiekować.

– To nie jest twoje zada...

– Możemy zostać przyjaciółmi? – przerwał mi nieco łagodniejszym głosem.

– Tak – odpowiedziałam. I naprawdę tak czułam. Nie chciałam stracić go jako przyjaciela. – Tak, powinniśmy być przyjaciółmi.

– Pozwolisz mi się sobą zaopiekować? – spytał błagalnym głosem. – Dasz sobie pomóc?

Zastanowiłam się nad jego pytaniem. Wiedziałam, że ma na myśli wsparcie finansowe.

– Twoja przyjaźń będzie wystarczającą pomocą.

– A co, jeśli ja nie potrafię być tylko twoim przyjacielem? – słyszałam powracającą w jego głosie irytację. – Myślę tylko o tobie, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

Tym razem to ja westchnęłam. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Dokładniej rzecz ujmując, nie miałam pojęcia, co powiedzieć, a co miałoby związek z naszą rozmową, bo miałam mnóstwo do powiedzenia na temat klimatu Nowej Gwinei albo prehistorycznych przodków afrykańskiego sekretarza.

Po dłuższym milczeniu chrząknął, a kiedy odezwał się znowu, jego głos brzmiał sztywno i zdecydowanie:

– Nic jeszcze nie jest postanowione – powtórzył. – Kiedy możemy się zobaczyć?

Ustaliliśmy, że spotkamy się w sobotę rano na neutralnym gruncie i pożegnaliśmy się. Po raz kolejny powtórzył, że mnie kocha. Nie odpowiedziałam.

Rozmyślałam teraz nad tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie odczuwałam palącej potrzeby, żeby opłakiwać utratę jego i pięciu lat naszego wspólnego życia. Żeby upewnić się co do prawdziwości swoich uczuć, sprawdziłam, czy niewidzialna szafa w mojej głowie jest uchylona, światło zapalone, a pudełko otwarte. Poczucie obojętności pozostało.

Wiedziałam, że moja fascynacja najróżniejszymi ciekawostkami była bezpośrednim następstwem śmierci mojej matki oraz czymś, co mój terapeuta określał naturalną skłonnością do obserwowania życia zamiast uczestniczenia w nim. Nazywał to instynktem samozachowawczym.

Moja babcia ze strony ojca, odwieczna fanka produktów farmaceutycznych i lekarskich interwencji, nalegała po śmierci matki, żebym poszła na terapię. I tak oto zaczęłam swoją przygodę z psychoterapią w trzynastej wiośnie życia.

Zawsze wydawało mi się, że sesje polegają na siedzeniu na kanapie i wpatrywaniu się w kleksy o kształtach podejrzanie przypominających plamy atramentu oraz słuchaniu

o tym, że jestem wściekła na swoją matkę za jej romanse, za to, że uciekła od nas ze swoim najnowszym kochankiem, za to, że dała się zabić w wypadku motocyklowym, za to, że zostawiła mnie z moim nieco głupkowatym, chociaż dobrodusznym ojcem i dwójką rodzeństwa, z których każde miało przestępcze ciągoty, i za to, że w każdy wtorek mojego dzieciństwa robiła nam wegetariańskie tacos zamiast hot dogów i chipsów ziemniaczanych.

I mój terapeuta rzeczywiście robił i mówił te wszystkie rzeczy, tylko że ja nie czułam wściekłości. Byłam raczej smutna, potwornie smutna.

To właśnie dlatego, wyjaśnił mi terapeuta, mój mózg zawsze robi „w tył zwrot” w trudnych lub niewygodnych sytuacjach. Niemniej w przeciągu ostatniego roku, niechętnie, bo niechętnie, ale przyswoiłam sobie parę technik, które działały. Dowiedziałam się, że w momencie emocjonalnego przytłoczenia nawet drobiazgi w rodzaju braku papieru toaletowego w biurowej łazience mogą okazać się problemem urastającym do rozmiarów góry Fudzi. Najzwyczajniejszy kłopot wydaje się absolutnie nie do przejścia.

Miałam jednak poczucie, że robię co w mojej mocy, aby pokisić się w swoich emocjach związanych z rozpadem związku, a mimo to najsilniejsze uczucie, jakie mogę z siebie wykrzesać, to tęskna melancholia na myśl o tym, że mogłabym stracić Jona jako przyjaciela. Dodatkowo, przyznam niechętnie, poczułam ukłucie niezadowolenia, że zdążyłam już kupić mu prezent na urodziny.

Może po prostu byłam płytka.

Elizabeth uznała, że po prostu jestem w szoku.

Nie wiedziałam, jaka była prawda, ale tłumaczyłam sobie, że prędzej czy później się tego dowiemy. Lubiłam myśleć o osobie jako o Lancelocie Gobbo z Szekspirowskiego *Kupca weneckiego*: koniec końców nawet głupek zmądrzeje, jeśli tylko będzie miał dość czasu na niekończące się solilokwia. Ponieważ większość swojego czasu spędzałam właśnie na niekończących się solilokwiach, widziałam dla siebie światelko w tunelu.

Poszukiwania pracy wciąż były jeszcze w powijakach. Mimo wszystko wysłałam co najmniej sto CV i aplikowałam na wszystkie stanowiska, jakie udało mi się znaleźć na Craigslist<sup>[5]</sup> i do których miałam choćby najmniejsze kwalifikacje, skontaktowałam się też ze wszystkimi agencjami pracy tymczasowej, jakie udało mi się znaleźć w Chicago i okolicach.

Byłam zdeterminowana, żeby znaleźć zatrudnienie.

Miałam w banku jakieś niewielkie oszczędności, ale nie chodziło tutaj tylko o pieniądze. Nie mogłam sobie pozwolić na zbyt długą przerwę od pracy. Wynikało to z mojego temperamentu – powinnam być cały czas zatrudniona.

To właśnie w związku z uświadomieniem sobie, że mój temperament zdecydowanie nie ułatwia mi standardowej integracji ze społeczeństwem, zaczęłam w każdy czwartek, po południu i wieczorem, uczyć dzieciaki z podstawówki matematyki i przyrody. Trzeba jednak przyznać, że powód, dla którego nadal to robiłam, wynikał z bardziej egoistycznych pobudek: dzieciaki lubiły komiksy, były zabawne i po prostu miło spędzałam z nimi czas.

Gdyby zostawić mnie samej sobie, z czasem zapewne stałabym się pustelnikiem, nie licząc moich zabaw w nauczyciela w South Side. Wiedziałam, że im dłużej będę bezrobotna, w tym większe przygnębienie będę popadać. W pewnym momencie rozważałam naukę dziergania. To chyba właśnie wtedy Elizabeth zaczęła nalegać, żebyśmy wspólnie robiły więcej szalonych rzeczy.

I dlatego właśnie wybierałyśmy się na noc szaleństw do fantastycznego klubu.

Jedynym elementem mojej garderoby, który uzyskał aprobatę Elizabeth, były buty. Podobały jej się na tyle, że nawet pożyczyła sobie parę pomarańczowych na koturnie, ze sztucznej krokodylej skóry, z turkusową kokardką. Ja założyłam szpilki w zebnę. Pozostała część mojego stroju na wieczór pochodziła z szafy Elizabeth, która oznajmiła, że moje ubrania nadawałyby się na radiologię, a buty na ginekologię, co ze szpitalnego na nasze oznaczało mniej więcej tyle, że ubierałam się jak bibliotekarka, z tendencją do kupowania butów do bzykania.

Może i nosiłyśmy ten sam rozmiar buta, jeśli jednak chodzi o figurę, to poza talią Elizabeth była ode mnie o rozmiar mniejsza. Co z kolei oznaczało, że miała zaledwie dwie sukienki, które mieściły moje pękate krągłości: oliwkową, zapinaną z przodu na guziki, w stylu podomki gospodyni domowej z serialu *Mad Men*, oraz prostą, czarną sukienkę, z szerokim paskiem w talii, odkrywającą w zasadzie całe plecy. Podczas gdy na Elizabeth układała się idealnie, zbierając się w odpowiednich miejscach i opływając jej ramiona i biodra, na mnie w niektórych miejscach marszczyła się, a w innych naciągała do granic możliwości.

Sukienka sięgała do połowy uda. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze, a potem zerknęłam tęsknie w stronę oliwkowej sukienki wiszącej w szafie. Była do kolan.

Elizabeth zauważyła mój wzrok w lustrze i rzuciła mi przez ramię sprośne spojrzenie. Zauważyła, że moja uwaga odpływa w stronę szafy.

Ostatecznie Elizabeth wygrała. Wybrałam czarną sukienkę. Nawet po założeniu pończoch, które zasłoniły moje gołe nogi, czułam się kompletnie obnażona i, co tu dużo mówić, nieco zdzirowato.

Udało nam się wejść do klubu niemal bez problemów, mimo że długa kolejka imprezowiczów zakręcała aż za róg budynku. Elizabeth po prostu podeszła do bramki i wręczyła dwa duże zaproszenia mężczyźnie w okularach przeciwsłonecznych, o policzkach wielkich jak dwa steki.

Na moje oko mężczyzna nawet nie spojrzął na zaproszenie, za to odniosłam wrażenie, że przygląda się nam uważnie zza ciemnych szkieł. Kiwnął tylko głową, a następnie odsunął się, żebyśmy mogły wejść do środka.

Elizabeth rzuciła mi promienny, beztroski uśmiech, kiedy stukot naszych obcasów zaczął tonąć w dzikich odgłosach imprezy. Rozglądałam się wokół równie skrępowana, co oszołomiona. Zdecydowanie zanosilo się na niecodzienne doświadczenie. Elizabeth nie wspomniała wcześniej, że klub nazywa się *Outrageous*, co znaczy „skandaliczny”. Szczerze mówiąc, „Przytłaczający” byłoby o wiele trafniejszą nazwą.

Wnętrze klubu wyglądało prawie jak dzika dżungla. Górowały nad nami wysokie na jakieś sześć metrów repliki drzew z lasów deszczowych, a kiedy prześledziłam wzrokiem jeden z najdłuższych pni, okazało się, że sufit został ozdobiony tak, żeby

przypominał sklepienie lasu deszczowego.

Światło rozmieszczone w strategicznych miejscach sączyło się przez pseudogałęzie, dając efekt zmięczenia w sercu amazońskiej dżungli. Od samego wejścia podłoga opadała w dół pod niewielkim kątem i nie sposób było ocenić, jak duże było całe pomieszczenie. Bardziej domyślałam się, niż rzeczywiście widziałam, że większość ścian pokrywały lustra, co tylko pogłębiało atmosferę jak z dżungli.

W brazylijskich lasach deszczowych skategoryzowano czterysta dwadzieścia osiem gatunków płazów i trzysta siedemdziesiąt osiem gatunków gadów. Zastanawiałam się teraz, jaki procent z nich miało w Outrageous swoją reprezentację w postaci klubowych gości.

W przeciwieństwie do klubów, które miałam nieszczęście odwiedzać wcześniej, muzyka w Outrageous nie była osaczająca ani wszechobecna. Rozpoznałam nienachalne dźwięki płynące z głośników jako połączenie płyty *The Mix-Up* Beastie Boysów, a dokładniej kawałka „B For My Name”, z albumem z instrumentalnym popem i wplecionymi odgłosami dzikiej natury brazylijskich lasów tropikalnych, który to album, notabene, otrzymał w 2007 roku nagrodę Grammy.

Kiedy basowe dźwięki trochę zwolniły, rozległ się odgłos, który w moim mniemaniu należał do chwytnicy zwinnej, żaby zamieszkującej zachodnie i północne rejony Brazylii.

Choć równie dobrze mógł to być zupełnie inny gatunek żaby – przyznaję, żaden ze mnie ekspert, jeśli chodzi o odgłosy wydawane przez amazońskie żaby. Ostatnio czytałam artykuł o chwytnicy zwinnej oraz leczniczych właściwościach jej woskowatej wydzieliny i o problemie biopiractwa, więc była to pierwsza żaba, jaka przyszła mi do głowy.

Na samym środku przestronnego klubu wznosił się masywny łuk, który najwyraźniej miał przypominać piaskowcowy kanion czy też jaskinię, a pod nim znajdował się imponujących rozmiarów bar, który również wyglądał, jakby wykuto go w piaskowcu. Wodospad spływał kaskadami ze szczytu łuku wprost do basenu u stóp baru.

Podłoga wokół baru podświetlona była na niebiesko i nawet z miejsca, w którym stałyśmy, byłyśmy w stanie dostrzec wodę przepływającą pod przezroczystymi szklanymi płytkami. Nagle zobaczyłam kątem oka ruch jakby czegoś futrzanego i zwróciłam uwagę na klatkę, której wcześniej nie widziałam, a która stała między wejściem a środkiem sali klubowej.

– Spójrz... – Pochyliłam się w stronę Elizabeth i wskazałam na klatkę. – Zaraz, tam w środku jest człowiek. Tam w środku jest jakaś małpa i też jakaś kobieta i ona... ona jest naga! – Zasłoniłam usta, pojmując, że kobieta nie jest w klatce sama. – O. Mój. Boże. To wygląda jakby... O, mój Boże.

Elizabeth wybuchła śmiechem, zapewne na widok mojej miny i przez moje problemy z wypowiedaniem się.

Przy bliższej obserwacji okazało się, że z jakiegoś powodu właściciele klubu mocno się postarali, żeby kobieta wyglądała na uwięzioną w klatce razem z małpą, podczas gdy w rzeczywistości zamknięta była w oddzielnym kokonie z pleksiglasu, umieszczonym wewnątrz. Było sporo takich klatek rozsianych po całym klubie. Niektóre

na poziomie podłogi, inne jakby zawieszane na drzewach. W każdej z nich znajdowała się przynajmniej jedna egzotyczna małpa oraz pleksiglasowa tuba pośrodku.

Kobiety nie były w tych tubach same.

Rozglądałam się powoli po klubie, wpatrując się w klatki coraz bardziej wytrzeszczonymi oczami i coraz szerzej otwartymi ustami. Za każdą z kobiet – albo obok niej, albo przed nią, albo opleciony wokół niej – był mężczyzna, przebrany w futrzany kostium, który najwyraźniej miał harmonizować z sierścią zwierzęcia w klatce. Kobieta i mężczyzna pochłonięci byli czymś, co pozwolę sobie nazwać bezpruderyjnymi oznakami czułości. Trudno było powiedzieć z całą pewnością, co właściwie robili. Żeby to określić, trzeba by było podejść bliżej i dokonać dłuższej obserwacji. Zrobiło mi się ciut niedobrze.

– To dość niepokojące – oznajmiłam, przelykając głośno ślinę. Starłam się patrzeć gdziekolwiek, tylko nie na dziwny spektakl, który rozgrywał się przed naszymi oczami. Elizabeth zachichotała i wciągnęła mnie w głąb sali. Rzuciłam jej surowe spojrzenie. – Wiedziałaś o tym, tak?

Potrząsnęła przecząco głową. Była tak rozbawiona, że w kącikach oczu zbierały jej się łzy śmiechu.

– Nie, nie, przysięgam, nie miałam pojęcia! – zarzekała się, kiedy lawirowaliśmy między drzewami. – Poza tym wydaje mi się, że oni tylko się całują. Nie sądzę, żeby... no wiesz, robili to.

Dotarliśmy do baru i stanęliśmy przy dwóch wysokich krzesłach, które wyglądały, jakby były pokryte futrem. Nie zdobyłam się na to, żeby usiąść. Zerknęłam kątem oka na Elizabeth i nie mogłam powstrzymać uśmiešku. Ona też nie miała odwagi usiąść.

Czułam się zbyt niekomfortowo, by wydusić z siebie chociaż słowo. Elizabeth przeżywała właśnie natarcie kolejnego tsunami śmiechu i też nie była w stanie mówić. Jej rozbawienie wreszcie mi się udzieliło – było zbyt zaraźliwe, szczególnie w momencie, w którym z głośników spośród dźwięków dżungli doleciał nas krótki, donośny odgłos papugi ary. Nie byłam w stanie powstrzymać śmiechu, który we mnie wzbierał.

Elizabeth oparła łokieć na barze i popatrzyła na mnie roześmianymi oczami.

– Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Jeden z pacjentów dał mi te zaproszenia w prezencie. Powiedział tylko, żebym przygotowała się na coś zupełnie szalonego. – Elizabeth odwróciła się w stronę baru i dała znak barmanowi, nieznacznie pochylając głowę w moją stronę. – Wydaje mi się, że zmieniają tutaj wystrój co parę miesięcy i za każdym razem próbują przebić samych siebie.

– Zawsze z takim egzotycznym motywem? – wykrzywiłam usta, starając się powstrzymać kolejny napad śmiechu, i wskazałam współczującym kiwnięciem głowy na jedną z klatek. – Szkoda mi tylko tych biednych małpek. Ja nie mam ochoty tego oglądać, a nie jestem sobie w stanie nawet wyobrazić, co one czują, zamknięte w jednym pomieszczeniu z tymi kopulującymi ciałami.

Niespodziewanie poczułam, jak włosy na karku stają mi dęba. Wzdrygnęłam się niekontrolowanie.

Miałam nieodparte wrażenie, że jestem obserwowana.

Uważnie rozejrzałam się po klubie, próbując stłumić w sobie to wszechogarniające

napięcie, towarzyszące niepewności i nerwowemu oczekiwaniu, ale nie byłam w stanie namierzyć ani jednego spojrzenia skierowanego w moją stronę. Staralam się pozbyć tego wrażenia, z nadzieją, że wynika on po prostu z mojego poczucia dyskomfortu: nie dość, że odczuwam wyraźne braki w kwestii swojego (nie)ubrania, to jeszcze dodatkowo stałam się podglądaczką mimo woli.

Uśmiech Elizabeth zniknął na widok mojej miny.

– Ej – położyła dłoń na mojej dłoni – nie musimy tutaj zostawać, jeśli nie chcesz. Jeden drink i spadamy, okej?

Zacisnęłam usta i pokręciłam głową.

– Nie, nie, w porządku. Wszystko dobrze. Tylko po prostu...

Westchnęłam i ponownie przebiegłam wzrokiem po sali, omijając klatki, a przyglądając się tłumowi ubranych klubowiczów, których jakimś cudem nie zauważyłam, kiedy wchodziliśmy.

Nikt nie tańczył, co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że muzyka była niezbyt głośna. Zamiast tego goście siedzieli na dużych, okrągłych poduchach, które wyglądały jak gigantyczne liście lilii wodnych. Mniejsze grupy, głównie pary, wtulały się w siebie we wnękach, jakby wydrążonych w pniach drzew.

Wszyscy byli przepiękni, wszyscy bez wyjątku, w takim luksusowym, błyszczącym, plastikowym stylu. Czułam się, jakbym była w pomieszczeniu pełnym ożywionych manekinów. Ich usta poruszały się co prawda, ale wyraz twarzy pozostawał niezmienny. Jestem pewna, że było tam również sporo sławnych ludzi, chociaż nie od razu udało mi się rozpoznać ich twarze. Poczulałam, jak ogarnia mnie uczucie komfortu – wchodziłam w dobrze znaną rolę obserwatora. Byłam pewna, że nikt nie zauważy mnie w tym pomieszczeniu pełnym plastikowych kobiet i perfekcyjnie umięśnionych rąk i nóg.

– Jest dobrze – zapewniłam Elizabeth i wreszcie odwzajemniłam jej spojrzenie. Uśmiechnęłam się na widok nadchodzącego barmana.

Elizabeth obserwowała mnie z uwagą, a po chwili namysłu kiwnęła głową.

– W porządku. Ale daj znać, jak tylko będziesz chciała wyjść.

Zanim zdążyłyśmy złożyć zamówienie, tleniony barman z wielkimi brązowymi oczami postawił przed nami dwa migoczące kieliszki z czymś, co zapewne było szampanem. Wyszczrzył się do nas w krzywym uśmiechu, który na swój sposób idealnie pasował do jego australijskiego akcentu.

– Miłe panie, to dla was. Zostałem również poinstruowany, że macie za nic nie płacić, a wasz rachunek zostanie uregulowany. Jestem David. Dajcie znać, jeśli będziecie miały jeszcze na coś ochotę.

Elizabeth odzyskała rezon nieco szybciej niż ja.

– Och, nie wiem, czy możemy je przyjąć, chciałybyśmy dowiedzieć się najpierw, kto jest naszym dobroczyńcą.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego wzrok z uznaniem przebiegł po jej turkusowej, jedwabnej sukience.

– Niestety, nie mogę tego ujawnić.

– W takim razie dziękujemy – oznajmiła Elizabeth, odsuwając kieliszki z powrotem w stronę barmana, ale ten powstrzymał ją, pochylając się w jej stronę i kładąc

palec na ustach. Szepnął do niej coś, czego nie byłam w stanie dosłyszeć, a minę miał wyraźnie nietęgą. Moja uwaga była podzielona między ich wymianę zdań a obserwowanie reszty pomieszczenia.

Kiedy David wreszcie się wyprostował, Elizabeth jeszcze chwilę przyglądała mu się ewidentnie podejrzliwym wzrokiem. Posłał nam kolejny krzywy uśmiech, mrugnął do niej, a potem dodał:

– Jak już mówiłem, dajcie znać, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

Moje zamyślane spojrzenie napotkało wzrok Elizabeth.

– Co ci powiedział?

– Poprosił, żebym wypić szampana. I że jeśli go nie wypiję, będzie miał przeze mnie kłopoty – mówiąc to, podniosła do ust złoty płyn, jednocześnie z nowym zainteresowaniem omiatając wzrokiem pozostałych gości przy barze, starannie ukrywając spojrzenie pod czarnymi rzęsami.

– To dość zaskakujące – stwierdziłam, posłusznie podnosząc kieliszek.

Z gardła wyrwał jej się krótki chichot, który przeszedł w zupełnie niestosowne prychnięcie.

– Wcale nie. Po prostu niezłe z nas laski – przysunęła swój kieliszek w moją stronę i uniosła go do toastu. – Wypijmy za to. Za bycie laskami i za darmowe drinki.

Stuknęłyśmy się kieliszkami i każda upiła łyżeczek. Elizabeth nadal bacznie przyglądała się ludziom za moimi plecami, kiedy nagle otworzyła szerzej oczy i zakrztusiła się bąbelkowym płynem. Nieuważnie odstawiała kieliszek i zakaszła. Jej ręka powędrowała na klatkę piersiową, ale wzrok miała nadal wbity w coś za moimi plecami.

– Janie... – wykaszała z trudem. Po chwili znowu spróbowała coś powiedzieć: – Nie odwracaj...

– Poczekaj, przyniosę ci wody. – Wstałam i chciałam ją obejść, ale zatrzymała mnie ramieniem.

– Nie! – kaszlnęła, przełknęła ślinę i zniżyła głos do chrapliwego szeptu. – Nie ruszaj się. On tu jest!

– Cześć – usłyszałam za plecami męski głos, który wydał mi się dziwnie znajomy. Odwróciłam głowę w stronę, skąd dobiegał, i natknęłam się na strzelistą postać Pana Ciacho w czarnym garniturze i czarnej koszuli. Jego oszłamiająco błękitne oczy wpatrywały się we mnie.

Moje serce zamarło. Zrobiłam pełen obrót w jego stronę.

*O Boże, to ty.*

– O Boże, to ty – zbyt późno zorientowałam się, że pomyślałam i wypowiedziałam to jednocześnie.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, kiedy omiatał mnie powoli wzrokiem: moje usta, szyję, ramiona, piersi, brzuch, biodra, nogi, buty. Studiował mnie tak powoli, z takim rozmysłem, że zadrżałam, mimo że czułam przyływ gorąca wypelzający na policzki.

Jego wzrok zatrzymał się chwilę na butach, po czym powędrował z powrotem w górę.

Po dłuższym milczeniu nasze spojrzenia znowu się skrzyżowały.

– Tak. To ja.

Nie byłam w stanie wydusić słowa. Mój umysł, zazwyczaj przepelniony do granic możliwości, teraz był jak biała kartka. Mogłam się tylko gapić. Na szczęście wtedy zza moich pleców wychynęła Elizabeth.

– Cześć, jestem Elizabeth.

Jego oczy powędrowały w jej kierunku. Wykorzystałam ten moment na próbę pozbierania się po tym, jak rozpadłam się na kawałeczki, które leżały teraz wszędzie – na podłodze, na barze, na suficie, jak rozbryzgnięta krew po ranie postrzałowej.

– Cześć, jestem Quinn – odpowiedział i posłał jej uprzejmy uśmiech, wymagany w tego rodzaju sytuacjach. Staralam się wymyślić coś mądrego do powiedzenia, podczas gdy Quinn i Elizabeth ściskali sobie dłonie na przywitanie.

*Quinn. Ma na imię Quinn. Muszę pamiętać, żeby nazywać go Quinn, a nie Pan Ciacho.*

– Co ty tu właściwie robisz? – spytałam, bo była to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Prawie się wzdrygnęłam, kiedy uświadomiłam sobie, że zabrzmiało to nieco oskarżycielsko.

Ponownie skupił swoją uwagę na mnie.

– Pracuję.

– Jesteś bramkarzem? – Mój mózg, jak zacięta płyta, najwyraźniej utknął na strumieniu świadomości składającym się z banalnych pytań.

– Moja firma... – urwał na chwilę, jakby rozważając coś w myślach, a po chwili ciągnął dalej – moja firma zajmuje się ochroną tego miejsca.

– Ach tak, ta sama firma, która ochrania budynek Fairbanks – bardziej stwierdziłam niż zapytałam. W budynku Fairbanks było biuro, w którym pracowałam.

Jego obecność w klubie miała sens, dzięki czemu automatycznie zaczęłam się czuć swobodniej w jego towarzystwie. Dlaczego jednak podszedł do baru, do nas – to nadal pozostawało dla mnie tajemnicą.

– Będziemy mieć jakieś kłopoty? – zapytałam, zanim zdołałam się powstrzymać. Quinn uniósł brwi.

– Czy będziecie mieć jakieś kłopoty?



Kiwnęłam głową.

– Chodzi mi o to, czy zrobiliśmy coś nie tak? To dlatego cię tutaj do nas przysłali?

Potrząsnął głową, ale nie odpowiedział od razu. Na jego twarzy malowała się konsternacja i coś jakby przeblysk niepewności.

– Nie, nikt mnie tutaj nie przysłał.

– Aha – odpowiedziałam tylko. Znowu miałam w głowie pustkę.

Obserwował mnie uważnie, w ten sam sposób, w jaki robił to w windzie po moim nonsensownym wystąpieniu. Przez dłuższą chwilę przypatrywaliśmy się sobie. Potem nagle wskazał skinieniem głowy na nasze kieliszki z szampanem.

– Świątujecie coś?

Zerknęłam w stronę Elizabeth, licząc na jej pomoc, ale ona udawała, że pochłonęła ją lektura listy drinków.

– Nie – odpowiedziałam tylko. Kiedy znowu napotkałam jego wzrok, przyglądał mi się z nieskrywanym zainteresowaniem.

Uwaga, którą na mnie koncentrował, była nieznośnie deprymująca. Zupełnie jakby mój mózg pokryty był melasą. Miałam za to pełną świadomość swojego nagle usztywnionego ciała. Czułam każdy szew – uwierał mnie mój stanik bez ramiączek; delikatna, jedwabista miękkość sukienki sprawiała, że na mojej szyi i ramionach pojawiła się gęsia skórka; pończochy ocierały mnie tak, że aż czułam pieczenie po wewnętrznej stronie ud.

Z największym trudem przełknęłam ślinę i zmusiłam się, żeby coś powiedzieć, nie zwracając specjalnie uwagi na dobór słów.

– Jeden z pacjentów Elizabeth dał jej zaproszenia, a ona postanowiła zabrać mnie tutaj, bo uznała, że musi poprawić mi humor.

– Z powodu utraty pracy? – spytał. Przysunął się bliżej, kładąc dłoń na krawędzi baru między nami.

Ta niespodziewana bliskość sprawiła, że serce zaczęło walić mi jak oszalałe, a w efekcie mój umysł wpadł na najwyższe obroty. Kolejne słowa w niekontrolowany sposób wypadały z moich ust:

– Tak, no i z powodu tego, że dopiero co zerwałam ze swoim chłopakiem. Chociaż nie jestem pewna, czy „zerwanie” będzie tutaj odpowiednim sformułowaniem. Czasem trudno jest znaleźć słowa i zwroty, które rzeczywiście trafnie oddają pewnie działania. Osobiście dostrzegam poważne braki w języku angielskim, jeśli chodzi o czasowniki. Uwielbiam za to rzeczowniki zbiorowe. Najfajniejsze jest w nich to, że możesz użyć dowolnego słowa w języku angielskim i zrobić z niego rzeczownik zbiorowy, który będzie mógł zarówno określać pewne cechy wyglądu, jak i cechy charakteru danej grupy bądź zestawienia. Chociaż są i rzeczowniki zbiorowe, które znalazły swoje miejsce w słowniku. Taki przykład: czy wiesz może, jak się nazywa grupa ryb pływających razem w poszukiwaniu jedzenia?

Pokręcił powoli głową, lekko przekrzywioną w bok. Nie odrywał ode mnie wzroku.

– Ławica. Ja z kolei lubię wymyślać swoje własne rzeczowniki zbiorowe. Na przykład, o, tamte kobiety. – Wskazałam na grupę za jego plecami, a on odwrócił się, podążając w kierunku, który wyznaczał mój palec. – Widzisz tamte plastikowe laski,

siedzące na fioletowym liściu? Nazwałabym je zbiorczo lateksem kobiet, przy czym to lateks byłby rzeczownikiem zbiorowym. A te klatki z małpami i obściskującymi się parami? Nazwałabym je wulgarnością klatek, przy czym to wulgarność byłaby rzeczownikiem zbiorowym.

– Ja bym to zamienił – podjął, jednocześnie gestem przywołując do siebie barmana. – Nazwałbym klatki lateksem klatek, a kobiety wulgarnością kobiet.

Przez chwilę zastanawiałam się nad odpowiedzią.

– A to dlaczego?

Popatrzył mi w oczy i obdarzył mnie uśmiechem.

– Bo tamte kobiety są bardziej wulgarne niż to, co odbywa się w klatkach, a pary w klatkach mają na sobie lateks.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w niego ze zmarszczonymi brwiami, po czym przeniosłam wzrok na jedną z klatek, żeby przyjrzeć się parze w środku. Patrzyłam na nich, przygryzając wargę.

– Kobiety wyglądają, jakby były zupełnie nagie, a faceci są w futrzanych strojach. Gdzie niby miałyby być ten... – zachłysnęłam się z wrażenia. Spojrzałam na niego wybałuszonymi oczami. – Chcesz powiedzieć, że... że oni tam...?

Roześmiał się i pokręcił głową. Jego pełen, szeroki uśmiech sprawił, że w jego oczach pojawiły się iskierki.

– Nie, nie. Zapewniam cię, że nie dochodzi tam do niczego, co wymagałoby *tego* rodzaju lateksu – powiedział i ponownie wybuchnął śmiechem na widok mojej miny. – Mogę cię zapewnić, że wszystko jest wyreżyserowane. To po prostu show, i tyle.

Zmrużyłam oczy.

– Show?

Jego śmiech był głęboki i niepokonany, i powodował w moim wnętrzu najdziwniejsze odczucia, szczególnie że podejrzewałam, iż zwyczajnie się ze mnie naśmiewa. Czułam w brzuchu mieszkankę zażenowania i lęku. Patrzyłam na niego przymrużonymi oczami, próbując zignorować histeryczne sygnały, które wysyłało moje ciało.

– To nadal dość krępujące. Sam powiedz, chciałbyś mieć jedną z tych klatek w swoim domu?

Nie przestawał szczerzyć się w uśmiechu, zapewne z powodu mojego niedowierzania.

– Na pewno nie z małpą w środku – odpowiedział.

– Mówimy teraz o zwierzęciu czy o facecie w przebraniu? – odbiłam piłeczkę.

– O jednym i o drugim – odpowiedział i jeszcze bardziej się przybliżył.

Przełknęłam nerwowo ślinę.

– Ale chciałbyś tamtą kobietę? – wydukałam.

– Nie tamtą – odpowiedział tak cicho, że ledwo dosłyszałam jego odpowiedź. Jego wzrok wędrował teraz po moich włosach, czole, nosie, policzkach, by zatrzymać się na ustach... o wiele za długo, niż to było konieczne... albo stosowne... nie byłam w stanie ustalić, jakie słowo najlepiej oddawałoby stopień zakłopotania, które odczuwałam w tym momencie.

– Co podać? – po mojej lewej stronie rozległ się uprzejmy głos barmana. Na jego dźwięk, ku mojej uldze i jednoczesnemu rozczarowaniu, Quinn oderwał wzrok od moich ust.

– Hej, David, mam prośbę, cokolwiek zamówią te dwie panie, zapisuj to na mój rachunek – poprosił.

David powoli pokręcił głową, spoglądając to w górę, to na Quinna.

– Nie mogę tego zrobić, panie Sullivan.

Quinn zmarszczył brwi.

– A to dlaczego?

– Bo już ktoś inny pana uprzedził – odpowiedział barman z krzywą miną, wyraźnie spięty.

– Kto? – spytał Quinn.

– Tego nie mogę panu powiedzieć – odpowiedział David, ale w jego głosie słychać było wahanie.

Słowa barmana wyraźnie zaskoczyły Quinna – poznałam po zwężonych oczach. Zauważyłam, że mięsień na linii szczęki drgnął mu nerwowo.

– Owszem, możesz – oznajmił niskim głosem.

Zwróciłam się w stronę Elizabeth, ale ona zajęta była swoim pagerem. Dopiero teraz zorientowałam się, że pewnie musiała dostać jakąś wiadomość ze szpitala. Rzuciłam jej pytające spojrzenie, jednocześnie przysłuchując się dyskusji Quinna i Davida.

– Dobra, proszę posłuchać, powiem panu, tylko proszę na nich nie patrzeć, dobra? Dają kosmiczne napiwki.

– O kim mówisz? – Quinn nie podniósł głosu, ale jego ton zdradzał zniecierpliwienie.

– O tamtych gościach na piętrze. Proszę teraz na nich nie patrzeć! To ci w Salce Baldachimowej.

Bardziej wyczułam niż zobaczyłam, że Quinn zbliża się do mnie, podczas gdy ja próbowałam powstrzymać się przed zerknięciem w górę, na piętro, którego wcześniej nie zauważyłam. Zastanawiałam się, gdzie właściwie jest ta salka. Nie było mi jednak dane zatrzymać się przy tym dłużej, bo nagle Quinn położył dłoń na moim ramieniu i obrócił mnie w swoją stronę.

Jego spojrzenie nie było już przyjazne i ciepłe, wręcz przeciwnie, wyglądał wrogo, kiedy oznajmił stanowczo:

– Musicie natychmiast stąd wyjść.

Jego dotyk, jego bliskość, intensywność spojrzenia sprawiały, że czułam się, jakby wewnątrz mnie buzowała lawa. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego reaguję na niego w tak nieobliczalny i kompletnie mimowolny sposób. Miałam wrażenie, jakbym była inną osobą, jakimś przygłupim gamoniem.

Zebrałam się w sobie i już otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, kiedy do rozmowy wtrąciła się Elizabeth.

– W sumie racja, rzeczywiście musimy iść – powiedziała z przeproszającą miną, machając mi swoim pagerem przed nosem. – Właśnie dostałam wezwanie. Jestem potrzebna. Przepraszam, Janie.

Zdezorientowana, patrzyłam to na Elizabeth, to na Quinna.

– Zaraz, zaraz, ale dlaczego *ja* muszę iść?

Dłoń Quinna przesunęła się po moim nagim ramieniu, przyprawiając mnie o natychmiastowe drzenie. Chwycił mnie za rękę. Nasze palce splotły się w uścisku. Zniecierpliwiony pociągnął mnie za sobą i zaczął prowadzić w stronę wyjścia.

– Ponieważ twoja przyjaciółka wychodzi, a ty nie powinnaś być w takim klubie zupełnie sama. To niezbyt bezpieczne, szczególnie w takim stroju.

– A-ale... – wybełkotałam, próbując ogarnąć, co się dzieje, i pojąć znaczenie jego słów. Niestety, moje ciało wciąż nazbyt silnie odczuwało jego obecność. Nie byłam w stanie skupić się na niczym poza naszymi splecionymi dłońmi. Mój umysł był zdecydowanie rozkojarzony. Ponownie odwróciłam się, licząc na pomoc Elizabeth, ale była już sporo dalej i nie miałam pewności, czy usłyszała naszą rozmowę. Quinn nie przemieszczał się przesadnie szybko, więc szliśmy ramię w ramię, trzymając się za ręce.

– Co jest nie tak z moim strojem? – spytałam wreszcie. – I czy z tobą nie jestem bezpieczna? – Wyglądało na to, że mój umysł znowu wszedł w tryb zaciętej płyty.

Zerknął na mnie kątem oka i zawahał się, jakby miał mi za chwilę zdradzić jakiś wielki sekret.

– Niekoniecznie – powiedział wreszcie.

– Nie mogę tu po prostu zostać?

Wyplątał dłoń z uścisku i położył ją na moich plecach.

– Nie, nie możesz – oznajmił, popychając mnie lekko w kierunku wyjścia.

Jego stanowczy dotyk na dole kręgosłupa przypomniał mi, jak prowadził mnie do piwnicy w najgorszy dzień mojego życia. Poczulałam nagłe wzburzenie. Irytacja nasiliła się jeszcze bardziej, kiedy dorzucił:

– Ktoś taki jak ty w ogóle nie powinien przychodzić w takie miejsca.

Odsunęłam się od niego gwałtownie i przystanęłam. Byliśmy jakieś trzy metry od wyjścia.

Czułam się tak, jakbym oberwała od niego w twarz kulą śniegową.

– Ktoś taki jak ja? – powtórzyłam, prostując plecy mimo irytującego poczucia, że na moją szyję i policzki wypływa rumieniec. Rozejrzałam się wokół, po perfekcyjnych ciałach zebranych w klubie manekinów. Wiedziałam dokładnie, co miał na myśli.

Byłam przyzwyczajona do uwag na temat swoich dziwactw i już dawno temu przywykłam do docinków dotyczących mojego nieporadnego wyglądu, ale ten bezceremonialny komentarz, słyszany z ust nieświadomego obiektu moich westchnień ostatnich tygodni, drasnął ranę, która wydawała się dawno zablizniona.

Odsunęłam się od niego, co natychmiast zauważył. Na jego twarzy malowała się mieszanka zaskoczenia, irytacji i dezorientacji. Zrobił krok, żeby zmniejszyć dystans między nami, i sięgnął po moją dłoń, ale ja skrzyżowałam ręce na piersi, żeby uniknąć dalszego kontaktu fizycznego.

Zaskakiwała mnie moja emocjonalna huśtawka. Raz gorąco, raz zimno. Nie podobało mi się to poczucie destabilizacji, szczególnie w momentach, kiedy mnie dotykał. Nie podobało mi się to, że miał jakąś władzę nad moimi wewnętrznymi mechanizmami i reakcjami tylko dlatego, że był piękny. Nie podobało mi się poczucie, że

moje ciało sabotuje umysł, szczególnie że zazwyczaj mój umysł z powodzeniem sabotował sam siebie. Pałące uczucie w żołądku zastąpił zimny ból. Było mi niedobrze i czułam się kompletnie absurdalnie.

– Sądzę, że z powodzeniem poradzę sobie w pokonaniu tych kilku ostatnich metrów bez eskorty. Potrafię jeszcze chodzić.

Staralam się ignorować to, jak wspaniale wyglądał w swoim czarnym garniturze, i rzuciłam mu spojrzenie, które w zamyśle miało być miażdżące, a które w rzeczywistości było zapewne co najwyżej sztywniackie, po czym minęłam go i ruszyłam w stronę drzwi. Wyszłam z klubu, nie oglądając się za siebie, prosto w objęcia wietrznej chicagowskiej nocy.

Elizabeth musiała być daleko za mną – miałam wrażenie, że dołączyła do mnie dopiero po kilku dobrych minutach, dając mi dość czasu, abym mogła wkręcić się w tornado wściekłej irytacji i zażenowania.

Kiedy wreszcie nadeszła, rozmawiała przez komórkę, bez wątpienia ze szpitalem. Uśmiechnęła się do mnie szeroko, szturchnęła łokciem i wyartykułowała bezgłośnie „o-mój-Boże!”. W odpowiedzi na jej ekscytację tylko zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową. Elizabeth zasłoniła ręką słuchawkę, żeby uniemożliwić podsłuchanie naszej rozmowy temu komuś po drugiej stronie. Pytająca zmarszczka na środku jej czoła pogłębiła się, a uśmiech natychmiast ustąpił miejsca zatroskaniu.

– Myślałam, że będziesz zachwycona – powiedziała głośnym szeptem, wskazując kiwnięciem głowy w stronę klubu. – Flirtował z tobą!

Westchnęłam i odwróciłam się.

– Wcale nie.

– Co takiego, zwariowałaś? Przecież leci na ciebie jak nic! Czy on... tak!... – Elizabeth skoncentrowała się z powrotem na głosie dobiegającym z jej komórki. – Tak, jestem, jestem.

Nie przysłuchiwałam się reszcie jej rozmowy. Moje myśli skłębiły się teraz w czarną chmurę przygnębienia, krążącą wokół nieprzystosowanej, zaburzonej osobowości i gargantuicznych gabarytów. Niewiele było momentów w moim życiu, kiedy naprawdę marzyłam o tym, żeby wyglądać inaczej, a wręcz po prostu być kimś innym, niż jestem naprawdę: średnim dzieckiem w rodzinie z trzema córkami, powszechnie znaną jako grzeczna, bezbarwna Janie.

Byłyśmy siostrami Morris. Moja starsza siostra, June Morris, była tą ładną. Ja byłam tą inteligentną. Najmłodsza z nas, Jem Morris, była tą szurniętą. Pierwszy raz aresztowano ją, kiedy miała dziewięć lat, krótko po śmierci naszej mamy. Dźgnęła w rękę jednego z nauczycieli stołówkowym nożem, a potem powiedziała policji, że ukryła gdzieś w szkole bombę.

Ja od najmłodszych lat byłam pogodzona z rolą, jaką przypisano mi w naszej rodzinie, i akceptowałam ją. W ostatnich latach obydwie, June i Jem, dały się poznać jako kryminalistki. June dopiero co uniewinniono w Kalifornii w sprawie karnej dotyczącej jej udziału w prowadzeniu, jak to określał mój tata, „firmy oferującej usługi towarzyskie”. Był zbyt miły, żeby nazywać rzeczy po imieniu – June parała się prostytutką.

Kiedy rozmawialiśmy z Jem ostatnim razem, była szefową warsztatu, w którym

rozbierano na części kradzione samochody, gdzieś w Massachusetts, pod Bostonem. Jednego nie można było dziewczynom odmówić: każda z nich była ekspertką w swojej dziedzinie, mistrzynią w swoim fachu. Ja z kolei poszłam do college'u, żeby zostać architektką. Niestety, zamiast pracy marzeń jedyne, co udało mi się osiągnąć, to zdobycie zatrudnienia, dzięki wstawiennictwu ojca mojego ówczesnego chłopaka, na stanowisku księgowej w kiepskiej firmie.

Nie byłam nawet pewna, czy nadal było to moim marzeniem.

Elizabeth przywołała mnie z powrotem do rzeczywistości krótkim szarpnięciem za ramię. Poprowadziła w stronę taksówki.

– Masz – powiedziała, wciskając mi do ręki plik banknotów. – Po prostu jedź do domu. Ja pojedę do szpitala drugą taksówką, to zupełnie nie po drodze.

Ucisnęła mnie krótko na pożegnanie. Patrzyłam to na nią, to na pieniądze w mojej dłoni.

– Pogadamy jutro – dodała. – Będę w domu dopiero po południu.

Pokiwałam głową w milczeniu. Elizabeth wsadziła mnie do taksówki, zamknęła za mną drzwi, pomachała przez szybę i pobiegła łapać taksówkę dla siebie.

Samochód ruszył. W zamyśleniu przyglądałam się gotówce w ręce. Zastanawiałam się, dlaczego moje siostry były tak nieustraszone. Zastanawiałam się, czy to kwestia genu, który z jakiegoś powodu nie przypadł mi w udziale, tak jak gen urody June i gen szaleństwa Jem. Zastanawiałam się, dlaczego wszyscy – Jon, Elizabeth, a do pewnego stopnia nawet Pan Quinn Ciacho – uważali, że nieustannie potrzebuję opieki: kogoś, kto mnie odprowadzi, kto się mną zajmie, powie, co zrobić i wskaże „właściwy” kierunek.

– Dokąd jedziemy? – Baryton taksówkarza wyrwał mnie z zamyślenia. Zorientowałam się, że przejechaliśmy już spory kawałek. – Gdzie panią zawieźć? – dobiegł ponownie jego głos.

Szybko rozważyłam różne opcje. Mogłam wrócić do mieszkania, poczytać nową książkę na temat infekcji wirusowych i oddać się swoim pustelniczym zwyczajom, albo mogłam poprosić taksówkarza, żeby zawrócił, zawiózł mnie z powrotem do klubu po to, żeby przeżyć choć tę jedną noc bez niczyjej eskorty, próbując odnaleźć w sobie zaginiony gen nieustraszonej siostr Morris.

– Z powrotem do Outrageous, proszę.

Są takie chwile w życiu, po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu, kiedy człowiek zastanawia się, czy orędownicy prohibicji nie mieli racji, używając określenia „diabelski płyn”. Czułam się tak, jakby moje ciało zamieszkiwał demon, dżgający mnie w oczy korkociągiem, wydłubujący kawałki mojego mózgu widelcem, wciskał watę do gardła i skakał w korkach piłkarskich po pęcherzu.

To był trzeci kac w całym moim życiu i, podobnie jak przy dwóch poprzednich, obiecywałam sobie, że ten będzie ostatni. Pierwszego kaca miałam nie ze swojej winy: moja młodsza siostra, Jem, dołała mi wódki do soku pomarańczowego, który piłam do śniadania w dniu egzaminów końcowych w liceum. Powiedziała, że to napój proteinowy, dzięki któremu mój umysł będzie ostry jak brzytwa. Skończyło się na tym, że obrzygałam pół sali egzaminacyjnej, a nauczyciel pilnujący nas podczas egzaminu nawrzeszczał na mnie, że zrujnowałam mu nieskazitelny życiorys zawodowy.

Za drugim razem poszłam z Jonem do tiki baru niedaleko domu jego rodziców w Hamptons. Zamówił dla mnie drinka o nazwie „Huragan”, który smakował jak słodki soczek. Wypiłam ich kilka, bo podobały mi się parasoleczki i inne akcesoria oplatające brzeg szklanki, a potem wymiotowałam na plaży. Kiedy po wszystkim padłam nieprzytomna na piasek, Jon, który jest mojego wzrostu i raczej drobnej budowy, nie miał dość siły, żeby samemu mnie podnieść. Musiał poprosić o pomoc swoich dwóch kumpli i wspólnymi siłami przenieśli mnie do domku gościnnego. Kiedy obudziłam się rano, miałam ochotę umrzeć.

Teraz, leżąc twarzą w dół na cudzym łóżku, z takim kapciem w buzi, jakbym przedtem zjadła coś, co podają w piekle na Święto Dziękczynienia, wiedziałam na pewno, że: po pierwsze, nie jestem w mieszkaniu Elizabeth. Po drugie: mam na sobie tylko bieliznę i pończochy. I po trzecie: mam ochotę umrzeć.

Zacisnęłam mocniej powieki, starając się opóźnić zderzenie z rzeczywistością tak długo, jak to tylko możliwe, i zmusić się do ponownego snu. Nie byłam pewna, ile czasu upłynęło na leżeniu bez ruchu z nadzieją, że moja czarodziejska chrestna matka pojawi się z nienacka razem z gadającymi myszkami i ptaszkami, ubierze mnie w dzinsy i koszulkę, i wsadzi do dyniowej karocy, która powiezie mnie do Starbucksa na sojową latte. Kiedy wreszcie zdecydowałam się otworzyć oczy, wszystkie moje wcześniejsze założenia okazały się boleśnie prawdziwe.

Nie byłam w mieszkaniu Elizabeth. Właściwie nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Z trudem przelękając odrobinę śliny, jaka pozostała w moich wysuszonych ustach, powoli rozejrzałam się po pokoju. Czułam, jakby ktoś potraktował moje gałki oczne papierem ściernym i musiałam zamrugać kilkakrotnie w reakcji zarówno na bezlitosną jasność panującą wokół, jak i fakt, że przespałam noc w soczewkach kontaktowych.

Kiedy moje oczy były już wystarczająco nawilżone, uważnie przestudiowałam wzrokiem pomieszczenie, w którym się znajdowałam. Beżowy, kasetonowy sufit ze śladami rdzy w kilku miejscach. Żadnego górnego oświetlenia. Promienie słońca wpadały przez wysokie okna na dwóch przeciwległych ścianach pokoju. Obok łóżka stała lampa,

aktualnie wyłączona. Podłoga była z polerowanego betonu.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałam jeszcze pięć elementów wystroju poza materacem i lampą: biurko kreślarskie, wysokie drewniane krzesło, regał, brązową skórzaną kanapę i stół kawowy. Na biurku piętrzyły się papiery, a regał zagracony był czymś, co wyglądało jak części jakiejś maszyny.

Miałam na sobie tylko bieliznę i pończochy. Potwierdziłam swoje przypuszczenia, zerkając pod białą kołdrę. Jeszcze raz rozejrzałam się po pokoju i namierzyłam swoją sukienkę, która leżała złożona na pół na oparciu drewnianego krzesła. Buty stały równo pod biurkiem.

Z trudem usiadłam i próbowałam odnaleźć równowagę w tej nieco bardziej pionowej pozycji. Moje ręce automatycznie powędrowały w kierunku klatki piersiowej, żeby poprawić stanik i upewnić się, że zakrywa wszystko co trzeba, pozwalając na zachowanie chociaż minimum przyzwoitości.

Włosy opadły mi na plecy puszystą, nieposkromioną kaskadą loków. Najwyraźniej moja fryzura uległa przez noc całkowitemu zniszczeniu. Elizabeth lubiła mawiać, że mam burzę loków. W mojej opinii „tornado” byłoby zdecydowanie trafniejszym określeniem. Zapuşciłam je tylko dlatego, że w krótkiej fryzurze wyglądałam jeszcze gorzej – każdy włos sterczał w innym kierunku. Długie włosy przynajmniej nie ignorowały praw grawitacji.

Chciałam umrzeć. Niemal w momencie, w którym przyjąłam pozycję siedzącą, ale zanim byłam w stanie w pełni skupić się na otaczającym mnie świecie i swoim aktualnym niefortunnym położeniu, usłyszałam odgłos bieżącej wody, dobiegający zza drzwi po prawej stronie łóżka. Moje serce przeszło nagłe poczucie paniki, zeszywniałam, natychmiast żałując tego niezdarnego ruchu, które przyprawiło mnie o klujący ból w okolicy skroni.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech. Kilka oddechów. Podeszłam do niewidzialnej szafy w swojej głowie i krok po kroku zawinęłam panikę w plażowy ręcznik, pomajstrowałam przy wieczku pudełka, znalazłam wreszcie cholerny kluczyk i włożyłam go do zamka. Próbowałam ignorować fakt, że moje ręce trzęsą się niekontrolowanie, kiedy udawałam w swojej głowie, że układam pudełko na górnej półce, szybko gaszę światło i z wrzaskiem uciekam jak najdalej od wymagowanej szafy.

Musiałam się skupić. *Naprawdę* musiałam się skupić.

Musiałam uciec stąd, zanim tajemniczy ktoś wyjdzie z łazienki. W głowie miałam kompletną pustkę. Nie pamiętałam, czy tajemnicza osoba w łazience to kobieta czy mężczyzna. W tym konkretnym momencie nie miałam pewności, którą opcję właściwie bym wolała, ale czerpałam pewne pocieszenie z faktu, że nie widziałam porzrzuconych wokół na podłodze fragmentów małpiego przebrania.

Podbiegłam do krzesła, chwyciłam swoją sukienkę i szybko założyłam ją przez głowę. Czułam się w niej równie niekomfortowo jak poprzedniej nocy. Chwiejąc się nieco, wsunęłam szpilki na nogi dokładnie w momencie, w którym szum wody w łazience ustał.

– O, Boże.

Nie mogłam znaleźć torebki.



Spojrzałam na biurko i krzesło, które okazały się strefami beztorebkowymi. Mój wzrok przeniósł się na kanapę i stół – torebki brak. Po cichutku podeszłam do materaca i zajrzałam pod pościel. Gdyby nie leżał bezpośrednio na podłodze, wpęzłabym pewnie pod niego.

Zrezygnowałam z torebki i zamiast tego rozpoczęłam poszukiwania jakiegokolwiek telefonu. Zanim jednak zaczęłam, usłyszałam szcęk klamki. Nerwowo zassałam powietrze.

To był mój koniec.

Moja druga ścieżka hańby w przeciągu zaledwie dwóch tygodni. Miałam tylko nadzieję, że ktokolwiek znajdował się za tymi drzwiami, nie będzie nalegał na niezręczne wspólne śniadanie bez patrzenia sobie w oczy. Najgorsze w tym wszystkim było nie to, że przez swoją głupotę zaliczyłam właśnie przygodny seks na jedną noc (oraz, być może, multum chorób wenerycznych w pakiecie), ani zażenowanie, jakie czułam w związku z całą sytuacją. Najgorsze było to, że Jon i Elizabeth mieli rację: potrzebowałam opieki. Nie bez powodu miałam tendencję do pustelniczego życia. Nie byłam przystosowana do życia w prawdziwym świecie i samodzielnego podejmowania decyzji.

Jeszcze raz przełknęłam ślinę i z ręką na brzuchu odwróciłam się w stronę drzwi.

Kiedy stanął w drzwiach, myślałam, że mam halucynacje, albo że co najmniej nadal nie odzyskałam jeszcze przytomności po swoich pijackich wybrykach. Musiałam kilkakrotnie mrugnąć, a potem mrugnąć jeszcze parę razy, aby przyjąć do wiadomości fakt, że oto w drzwiach łazienki stoi nikt inny jak Pan Ciacho, odziany jedynie w biały ręcznik owinięty niedbale wokół bioder, tak jakby nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, czy zostanie na swoim miejscu, czy za chwilę zsunie się na podłogę.

*Jeśli o mnie chodzi, wybieram podłogę!*

Nawet uporczywy, pulsujący, kacowy ból głowy nie przeszkodził mi w gapieniu się na jego perfekcyjny, nagi tors, ramiona, brzuch. Każda część jego ciała wyglądała jak obrobiona z pomocą Photoshopa.

Wreszcie po chwili, która dłużyła mi się jak godzina, a która w rzeczywistości trwała pewnie jakieś cztery sekundy, zorientowałam się, że gapię się na jego bynajmniej nie-twarz i podniosłam wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. Nie uśmiechał się. Jego spojrzenie nie było ani chłodne, ani ciepłe, nie wydawał się ani zniesmaczony, ani zadowolony – był całkowicie nie do rozszyfrowania.

Staliśmy bez ruchu, obserwując się nawzajem. Ja z nieznanym, palącym uczuciem, będącym mieszanką żądy, zażenowania i kompletnego zaskoczenia, on z nieodgadnionym spokojem, jak marmurowy posąg. Nasz bezruch zdawał się trwać wieczność.

On wyłamał się pierwszy, przenosząc spojrzenie na moją, na szczęście ubraną już, sylwetkę. Zadrzałam.

Wreszcie oderwał wzrok i zrobił kilka kroków przez pokój, do regału.

– Pewnie tego szukasz.

Patrzyłam na niego, na mięśnie jego pleców, nadal oszołomiona tą niespodziewaną obecnością. Z łatwością sięgnął na najwyższą półkę i zdjął z niej moją torebkę. Jego bosc stopy niemal bezszelestnie sunęły po podłodze, kiedy zbliżał się do miejsca, w którym

stałam, żeby wręczyć mi torebkę. Wzięłam ją i wetknęłam pod ramię.

– Dziękuję – powiedziałam zaskakująco spokojnym głosem, biorąc pod uwagę fakt, że mój umysł, serce, płuca, żołądek i damskie części ciała po prostu szalały. Miałam silne postanowienie, żeby nie dać się ponieść emocjonalnej huśtawce. Chciałam pozostać niewzruszona.

– Nie ma za co – odpowiedział, omiatając wzrokiem moją twarz. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, bezczelnie wyciągnął rękę, ujął puszyste pasmo moich potarganych włosów i delikatnie owinął je sobie wokół palca. – Masz bardzo dużo włosów.

Thumiąc ciepłe łaskotanie tysiąca motyli w brzuchu, kiwnęłam głową.

– Tak, wiem – odpowiedziałam i bez zastanowienia wypaliłam: – Włosy są jedną z charakterystycznych cech ssaków.

Szybko przygryzłam wargę, żeby powstrzymać się przed dodaniem, że na świecie pozostały już tylko cztery gatunki ssaków, które składały jaja, w tym dziobak oraz nieznaną szerzej kolczatka. Wszyscy zapominają o biednej kolczatce.

Wypuścił moje włosy i skrzyżował ręce na piersi.

– A jakie są pozostałe charakterystyczne cechy ssaków?

Wpatrywałam się w niego intensywnie przez dłuższą chwilę i już, już miałam mu wyjaśnić, że są to gruczoły potowe i kosteczki słuchowe, kiedy nagle do mojej świadomości przedarł się urywek wydarzeń z poprzedniej nocy. Nagle poczułam niezachwianą pewność, że się ze mnie nabija. Przypomniałam sobie absurdalność swojego wczorajszego zachowania w jego obecności i kompletny dysonans między reakcjami mojego umysłu a ciała. Przypomniałam sobie jego słowa tuż przed tym, kiedy po raz pierwszy wychodziłam z klubu – że to nie było miejsce dla kogoś takiego jak ja. Poczułam determinację, żeby pozostać opanowaną, odciętą emocjonalnie, niewzruszoną na jego oszałamiającą fizyczną perfekcyjność i rozbrajające spojrzenie niebieskich oczu.

Skoncentrowałam się więc na jego zaczepkach. Nie przepadałam za zaczepkami osób, których intencji nie byłam pewna, więc wzruszyłam tylko ramionami.

– Nie wiem.

Jego oczy zwęziły się na ułamek sekundy, kiedy na mnie patrzył. Mina wyraźnie mu zrzedła. Wyglądał wręcz na niezadowolonego.

– Co pamiętasz z wczorajszej nocy? – spytał wreszcie.

Zadarłam podbródek, zaciskając zęby.

– Pamiętam, że kazałeś mi wyjść z klubu.

– A pamiętasz cokolwiek potem? – spytał ostrożnie.

Odwróciłam wzrok i zamrugałam, próbując ustalić dokładnie, co tak naprawdę zapamiętałam z poprzedniej nocy. Byłam tak zaferowana przez kaca i chęć ucieczki, że nie przystanęłam nawet na chwilę, żeby zastanowić się, w jaki sposób znalazłam się w jego mieszkaniu, w jego łóżku, w samej bieliźnie. Zanim się zorientowałam, opowiedziałam to, co miałam w głowie:

– Niewiele. Tyle że tam byłeś i pamiętam, jak wychodziłam z klubu.

– Za którym razem? – wtrącił.

– Z Elizabeth. Wyszliśmy razem i wtedy ona wsadziła mnie do taksówki. Poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł mnie z powrotem do klubu. Kiedy tam dotarłam,

tamten gość w okularach przeciwsłonecznych pomachał do mnie. Potem... – Zapatrzyłam się gdzieś w dal, próbując zebrać wspomnienia. – Kiedy weszłam, wpadłam na jakiegoś mężczyznę. Powiedział, że mnie szukał. On... – Odkaszlnęłam i zacisnęłam powieki. Miałam silne poczucie, że wpadłam na kogoś, kogo znałam, mężczyznę, którego rozpoznałam, ale nie byłam w stanie przypomnieć sobie jego twarzy. – Wydaje mi się, że ktoś zaprowadził mnie gdzieś po schodach. To znaczy z początku wydawało mi się, że to drzewo z domkiem na samej górze, ale potem okazało się, że to jakiś pokój.

– Salka Baldachimowa – wyjaśnił Quinn. Jego głos brzmiał rzeczowo, ale coś w jego tonie, jakaś ukryta złość, wyrwało mnie z zamyślenia. Spojrzałam na niego. Stał z rękami opartymi na biodrach, a jego niebieskie oczy pociemniały. – Co jeszcze pamiętasz?

Obserwowałam go przez chwilę, jednocześnie wsłuchując się we własne myśli.

– Niezbyt wiele – przyznałam. Oblizyłam wargi. Była to prawda. Nie pamiętałam zbyt wiele. Pamiętałam, że zaproponowano mi szota czegoś, co strasznie piekło mnie w gardle, ale zupełnie nie byłam w stanie ustalić rozmiaru ani kształtu pokoju, ani żadnych innych konkretnych cech. Wiedziałałam, że znajdowało się w nim kilka osób, bo pamiętam, jak się śmiali, ale za nic nie byłam w stanie powiedzieć, jak wyglądali. Było to trochę tak, jakbym weszła do domu na drzewie i zaraz została spowita czarną mgłą.

Nagła myśl pojawiła się w mojej głowie i sprawiła, że ciasno objęłam się w pasie.

– Czy często tak się dzieje po wypiciu alkoholu?

– Co takiego? Utrata pamięci? – spytał.

– Tak – kiwnęłam głową.

– Nie, nie po alkoholu. Kiedy znalazłem cię na piętrze w salce, niedługo po tym, jak wydawało mi się, że wyszłaś, byłaś jeszcze przytomna, ale plotłaś zupełnie bez sensu, więc cię stamtąd wyniosłem.

– Zaraz, niosłeś mnie? – Moje ciało bardzo dziwnie zareagowało na tę informację. Przytaknął.

– Tak, jeden z naszych... – przez chwilę wyraźnie zastanawiał się nad doborem odpowiednich słów – jeden z właścicieli próbował z tobą tańczyć, tyle że ty nie byłaś zbyt skłonna do współpracy i zajmowałaś się głównie krytyką jego sposobu poruszania się. Wydaje mi się, że ktoś musiał wrzucić ci coś do drinka – skończył i zaczął przyglądać mi się uważnie, próbując wy badać moją reakcję na jego słowa. Albo szykując się na atak hysterii.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś dosypał mi bendoti... betnozot... benzodiazepid... – prychnęłam zniecierpliwiona, zacisnęłam zęby, wzięłam głęboki oddech i powoli wyartykułowałam: – Ben-zo-dia-ze-piny?

– Tak, sądzę, że ktoś wrzucił ci benzodiazepiny do tego czegoś, co wypiałaś w tamtej prywatnej salce.

– Och... – Z ustami w dzióbek rozważałam przez chwilę sugestię, że ktoś mógł podać mi pigułkę gwałtu. Pomysł wydawał się nieco naciągany, ale nie nieprawdopodobny, szczególnie biorąc pod uwagę moją utratę pamięci. Uznałam, że najlepiej będzie się upewnić. – Jest tu gdzieś w okolicy jakaś apteka?

Quinn pokiwał głową.

– Na pewno dobrze ci zrobi aspiryna. Jest w łazience.

– Dzięki, ale chodziło mi raczej o test. Wiedziałaś, że w aptekach można bez recepty kupić test, który pozwoli wykazać, czy masz w organizmie benzodiazepiny?

Uniósł brwi, miał minę osoby zdezorientowanej, więc uznałam, że muszę doprecyzować:

– To test moczowy, nie trzeba pobierać krwi.

Zmarszczył brwi.

– A skąd to wiesz? – spytał z niedowierzaniem. – Kiedyś już przydarzyła ci się taka sytuacja?

– Nie, nie, skąd, nigdy w życiu nie urwał mi się film, ja w ogóle nie jestem zbyt imprezową osobą. Raz upiłam się, bo moja siostra doprawiła mi sok pomarańczowy przed egzaminem, ale tam była tylko wódka. I za drugim razem upiłam się też przez przypadek.

– Chcesz przez to powiedzieć, że byłaś pijana tylko dwa razy w życiu? – jego pochmurna mina złagodniała, wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Po raz kolejny zauważyłam, że jego oczy są bardzo niebieskie, a tors bardzo nagi.

Nie odpowiedziałam od razu, bo nie byłam właściwie pewna, co miałabym odpowiedzieć, szczególnie że pod wpływem jego badawczego spojrzenia, połączonego z nagością, odczuwałam narastający dyskomfort. Wreszcie wzruszyłam ramionami i zastosowałam taktykę, którą podpowiedziała mi Sandra, rezydentka na psychiatrii z mojego dziergającego kółka – odpowiedziałam pytaniem na pytanie:

– A ty, ile razy w życiu byłeś pijany?

Uśmiechnął się lekko.

– Z pewnością więcej niż dwa.

Jego spojrzenie było zupełnie nieodgadnione. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że czuje się tak swobodnie w samym ręczniku w obecności kompletnie obcej osoby.

– Pamiętasz, jak się tu dostałaś? – spytał Quinn, przekrzywiając głowę. Ten ruch przypomniał mi naszą rozmowę przy barze, kiedy zrobił podobnie.

Przeszukałam zakamarki pamięci. Kosztowało mnie to wiele wysiłku, od którego zaczynały pulsować mi skronie. Ostatecznie powoli pokręciłam głową.

– Nie, nie pamiętam, jak się tu znalazłam, ani – dodałam, przełykając nerwowo ślinę – niczego potem.

– Do niczego nie doszło – zapewnił mnie niskim głosem, zbliżając się do mnie. Wytrzeszczyłam oczy, nie rozumiejąc początkowo, co miał na myśli. – Nic się wczoraj nie wydarzyło.

Patrzyłam na niego, otworzyłam usta, żeby coś odpowiedzieć, ale po chwili je zamknęłam.

*Do niczego nie doszło.*

Moje spojrzenie uciekło na jego podbródek, a potem na klatkę piersiową.

*Do niczego nie doszło.*

Oczywiście, że do niczego nie doszło.

Mimowolnie oblizalam wargi i kiwnęłam głową.

– Wiem – odpowiedziałam zachrypniętym głosem.

– Wiesz? Naprawdę? – spytał.

Ponownie przytaknęłam. Serce ścisnęło mi się boleśnie w piersi. Przeszłowałam z nogi na nogę. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Nie rozumiałam swojej reakcji na jego słowa. *Do niczego nie doszło.* Dlaczego poczułam nagle rozczarowanie, skoro powinnam czuć tylko i wyłącznie ulgę? Sama siebie nie rozumiałam. Przecież powinnam była się domyślić, że do niczego nie doszło, kiedy tylko zobaczyłam go w drzwiach łazienki. Dlaczego byłam zaskoczona?

*Oczywiście, że do niczego nie doszło. Oczywiście, że nie jest mną zainteresowany. Oczywiście, że to dla mnie za wysokie progi.*

– Skąd wiesz? – dopytywał defensywnym tonem.

Zrobiłam krok do tyłu i spróbowałam przeczesać ręką włosy, ale moje palce znowu natrafiły na nieznośną płataninę.

– Wszystko kumam, okej? Ja, yyy, po prostu muszę stąd iść. Która jest godzina? – Odwróciłam się od niego i zaczęłam iść w stronę kanapy w poszukiwaniu drzwi wyjściowych.

– Odnoszę wrażenie, że mi nie wierzysz. To mieszkanie mojej siostry. Przysięgam, do niczego między nami nie doszło. – Słyszałam jego głos tuż za sobą, wiedziałam, że idzie za mną.

Odwróciłam się w jego stronę, nie byłam jednak w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Naprawdę, wierzę ci. Wiem z całą pewnością, że do niczego nie doszło – powiedziałam i dodałam po cichu: – Oczywiście, że do niczego nie doszło.

Quinn chyba nie usłyszał tego ostatniego zdania. Zatrzymał się naprzeciwko mnie, tym razem w odległości kilku metrów ode mnie.

– To dobrze – pokiwał głową, łapiąc za ręcznik, zawinięty wokół talii. – Chodźmy zjeść jakieś śniadanie.

– Chcesz iść na śniadanie? – Nie byłam w stanie zapanować nad zaskoczeniem w moim głosie. Wreszcie odważyłam się spojrzeć mu w oczy. Przytaknął. – Ale... ale... w tym? – wydukałam.

Posłał mi sardoniczny uśmiech.

– Oczywiście, że nie, ubiorę się, zanim wyjdziemy.

– Ale, ale... – mrugałam oczami zdezorientowana. Zdecydowanie za dużo mrugałam. – Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami i zanim zniknął za drzwiami łazienki, rzucił:

– Jestem głodny. Tobie przydadzą się jajka na bekonie na twojego kaca. No i mam nadzieję, że opowiesz mi nieco więcej o charakterystycznych cechach ssaków. Mam niejasne wrażenie, że wiesz o nich o wiele więcej, niż chcesz przyznać.

Giavanni's Pancake House to maleńka knajpka, w której nie było stolików, tylko szary blat w kształcie litery L, ciągnący się przez całą długość lokalu. Wzdłuż niego rozmieszczone były niewysokie okrągłe stołki, pokryte czerwonym winylem i przymocowane śrubami do podłogi.

Knajpa była kompletnie zapchana.

Kolejka do wejścia ciągnęła się aż za róg. Ludzie stali cierpliwie, popijając kawę z Dunkin' Donuts, czytając gazety i czekając na swoją kolej na zjedzenie śniadania. Zamiast odszukać koniec kolejki, Quinn bezceremonialnie podszedł do dwóch doskonale widocznych pustych stołków na samym końcu blatu, zdjął leżące na nich plakietki z napisem „Rezerwacja” i gestem zaprosił mnie, żebym zajęła miejsce bliżej ściany.

– Zadzwoń tu, żeby zrobić rezerwację? – spytałam, zanim usiadłam.

Pokręcił przecząco głową.

– Chodź, usiądź – powiedział, dotknął mojego ramienia i skierował w stronę winylowego siedzenia. – Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o ssakach – dodał, nieudolnie próbując ukryć uśmiech.

Zrobiłam, jak kazał, niezadowolona z jego złośliwości.

Zanim wyszliśmy z mieszkania, ale już po tym, jak się ubrał, Quinn zaproponował, żebym przejrzała ubrania jego siostry, na wypadek gdybym miała ochotę zjeść śniadanie w czymś innym niż czarna, klubowa sukienka. Wszystkie jej osobiste rzeczy ulokowane były w niewielkim pomieszczeniu przylegającym do łazienki, przypominającym garderobę. Żeby tam wejść, musiałam przejść przez łazienkę. Nie czułam się zbyt komfortowo, grzebiąc w cudzych rzeczach, więc chwyciłam pierwsze codzienne ciuchy, jakie rzuciły mi się w oczy: niebieską bawełnianą spódnicę do kolan i czarną koszulkę z dekoltem w szpic.

Jej stopy były o rozmiar mniejsze, musiałam się więc zadowolić swoimi szpilem w zebkę. Szczęśliwie spódnica pasowała idealnie, za to koszulka była nieco zbyt opięta. Stanik bez ramiączek, który na sobie miałam, zaskakująco skutecznie podtrzymywał to, co trzeba, niestety, był to również push-up.

Dlatego też wskutek połączenia go z przyciasną koszulką, mój zazwyczaj szczelnie osłonięty dekolt był dziś bezwstydnie na widoku. Przez chwilę rozważałam zdjęcie stanika, ale ostatecznie zrezygnowałam – nie należałam do grona dziewczyn, które mogłyby sobie pozwolić na ten komfort. Za dużo się tam huśtało.

Obmyłam twarz i umyłam zęby przy użyciu palca, po czym zerknęłam na swoje odbicie w lustrze. Dzięki mieszance genów, które dostałam w spadku po moich pochodzących z różnych kultur przodkach, moja karnacja prezentowała się wyjątkowo pastelowo w jasnym, jarzeniowym świetle: blada skóra, która rumieniła się zamiast się opalać, lekki rzucik piegów i rudobrazowe włosy, brwi i rzęsy.

Poczułam się odrobinę lepiej po tych pobieżnych zabiegach. Niestety, moje włosy nadal wyglądały fatalnie. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zapytać Quinna o gumki do włosów albo spinki, albo chociaż kawałek sznurka, cokolwiek, co mogłoby ujarzmić bestię na mojej głowie. Ostatecznie jednak pozwoliłam włosom opadać

swobodnie na ramiona i plecy, a okazjonalnie na twarz. Uznałam, że w najgorszym razie wykorzystam je do osłonięcia swojego wyeksponowanego dekoltu.

Jednak po drodze na śniadanie, za każdym razem, kiedy niesforne kosmyki pozwalały sobie na zbyt wiele, Quinn odgarniał je z mojej twarzy, co z kolei powodowało, że moja blada skóra natychmiast stawała się purpurowa, a ja dekoncentrowałam się i gubiłam wątek. Po każdym takim jego geście bełkotałam coś o koncepcie sekund przestępnych, nanotechnologii oraz kosmicznej windzie, która prędzej czy później uczyni z Księżyca konkurencję dla Disneylandu.

Quinn nie mówił zbyt wiele, ale wydawał się słuchać z zainteresowaniem moich kolejnych elaboratów na najróżniejsze tematy. Od czasu do czasu zadał pytanie. Szczególnie temat kosmicznej windy wywołał lawinę. Ponieważ nie na wszystkie byłam w stanie odpowiedzieć, obiecałam, że prześlę mu mailem link do strony NASA, gdzie na bieżąco informowano o postępach projektu.

A teraz siedzieliśmy w milczeniu przy szarym blacie. Byłam uwięziona między nim a ścianą i gapiłam się na menu, udając, że wnikliwie je studiuję. Staralam się ignorować nagłą, niekomfortową, ale jednocześnie wszechobecną samoświadomość, która na zmianę przyprawiała mnie o gęsią skórę i powodowała przyływ gorąca na karku.

Jego udo ocierało się delikatnie o moje udo. Jego łokieć muskał delikatnie mój łokieć. Oparłam się o ścianę, żeby zapewnić sobie między nami jak największy dystans, ale na tak małej przestrzeni nie było sposobu na kompletne uniknięcie tych drobnych dotknięć. Zerkalam na niego kątem oka. Wydawał się całkowicie wyluzowany. Studiował menu nieświadomy subtelnych tortur, jakim mnie poddawał swoją swobodną bliskością. Pochłonięta przeżywaniem dyskomfortu, byłam wyraźnie zaskoczona, kiedy odezwała się do mnie kelnerka.

– Siemanko, Quinn. Gdzie jest Shelly? Kim jest twoja towarzyszka? – Niska, ciemnowłosa kobieta około sześćdziesiątki rzuciła mi krótki, przyjacielski uśmiech, jednocześnie stawiając przed nami dwa kubki kawy. Miała chrapliwy głos typowy dla palaczy, a dodatkowo mocny, środkowozachodni akcent, co razem sprawiało, że brzmiała jak Mike Ditka.

– Shelly nie mogła dziś przyjść, musiała wyjść z samego rana. To jest Janie. Janie, to jest Viki.

Wyciągnęłam rękę przez ladę, starając się wyglądać i brzmieć na bardziej opanowaną, niż się czułam.

– Miło mi cię poznać, Viki.

Uniosła ręce do góry.

– Oj, skarbie, moje ręce są całe w oleju. Zapewniam cię, lepiej, żebyś ich nie dotykała, chyba że chcesz potem myć ręce w terpentynie. – Z jej ust wyrwał się niski, rześący śmiech. Wyjęła notes i długopis do zapisywania zamówień. – Fajnie cię poznać. Jesteś kumpelą Shelly?

Quinn wtrącił się, zanim zdążyłam odpowiedzieć, że nie znam żadnej Shelly:

– Jest tutaj ze mną.

Viki uniosła brew – rzeczywiście była to jedna, zrosnięta brew – a jej usta ułożyły

się w małe „O” zaskoczenia. Poczułam, jak przygląda mi się z nagłym zainteresowaniem, co sprawiło, że zaczęłam się rumienić... znowu. Mocniej ścisnęłam w rękach menu i spróbowałam przełknąć ślinę, co okazało się zaskakująco trudne jak na tak prostą czynność.

– To... – Viki wytrzeszczyła na mnie oczy. Jej duże brązowe oczy nie ustawały w obserwacji, a jej usta poruszały się bezgłośnie, kiedy najwyraźniej próbowała znaleźć odpowiednie słowa. – To ci dopiero niespodzianka – wymamrotała wreszcie.

Moje policzki płonęły. Słyszałam w uszach łomot własnego serca i szum krwi. Wiedziałam, że Viki nie chciała być niemą. Wyglądała na autentycznie skonsternowaną i, o ile dobrze odczytywałam jej niezręczne milczenie, była wyraźnie w szoku na myśl o tym, że ja i Quinn moglibyśmy być parą. Poczułam potrzebę odcięcia się od takiego przypuszczenia i zapewnienia jej, że ten pomysł również mnie wydawał się kompletnie absurdalny.

*Muszę dopilnować, żeby ona wiedziała, że ja wiem, że on wie, że nie jest mną zainteresowany.* Przystawałam rozumieć samą siebie.

Zanim się obejrzałam, rozpoczęłam swoją standardową werbalną biegunkę:

– Och, ale nie, nie jesteśmy razem. To znaczy siedzimy tu razem i przyszedliśmy razem, ale oczywiście nie jesteśmy, no wiesz, *razem*. Jakim w ogóle cudem moglibyśmy być razem? Najprawdopodobniej po dzisiejszym dniu nigdy więcej go już nie zobaczę. Nie jesteśmy nawet przyjaciółmi. Nawet go nie znam. To znaczy, wiesz, nie znam zbyt dobrze – przechyliłam głowę w jej kierunku i wydałam z siebie krótki chichot. – Trudno to sobie nawet wyobrazić, nie sądzisz? To by było jak z *Planety małp*. On jest Charltonem Hestonem, z tymi swoimi mięśniami i w ogóle, a ja jestem tą małpą-dziewczyną. Nigdy nie mogliby być razem, bo to tak, jakby neandertalczyk spiknął się z człowiekiem, rozmnażanie międzygatunkowe... a to jest po prostu wbrew naturze. Chociaż neandertalczycy są blisko spokrewnieni z homo sapiens i należą tak naprawdę do tego samego gatunku. Jeśli mielibyśmy być drobiazgowi, powiedzielibyśmy, że są podgatunkami albo oddzielnymi gatunkami człowieka.

Zerknęłam w jego stronę i uśmiechnęłam się, nie otwierając ust. Miałam ogromną nadzieję, że udało mi się zawrzeć w swojej wypowiedzi przekaz, że nasze ewidentne niedopasowanie było dla mnie równie oczywiste, jak i obojętne. Zamiast tego zobaczyłam jednak, że przygląda mi się, mrużąc oczy. Zastanawiałam się, czy uznał przedstawioną przeze mnie analogię za nietrafioną. Może nie lubił Charltona Hestona ze względu na jego zamiłowanie do broni palnej.

Tyle że Quinn wydawał się typem, który lubi broń palną.

Odkaszlnęłam i ciągnęłam dalej:

– No bo właściwie dlaczego Charlton Heston miałby chcieć być z małpą? Nawet jeśli ta małpa miałaby wielki... wielki... mózg.

Viki gapiła się na mnie, po czym przeniosła wzrok na Quinna.

– Skądżeś ją wytrzasnął?

Zanim Quinn zdążył się odezwać, czułam się zobligowana do odpowiedzi, w nadziei, że naprawię swoją wcześniejszą gafę.

– Poznałam go w zeszłym tygodniu, a przedtem widywałam go kilkakrotnie



w budynku, gdzie jest ochroniarzem. Pracowałam tam jako księgowa, zanim mnie zwolnili.

Brew Viki zmarszczyła się nad jej nosem.

– Ochroniarzem?

Nabrałam powietrza i posłałam jej nerwowy uśmiech, sięgając po swoją kawę, żeby zmienić temat.

– Uwielbiam kawę. Obecnie Brazylia jest światowym liderem w produkcji zielonej kawy, a we wschodniej Afryce i Jemenie kawa używana była w trakcie tubylczych ceremonii religijnych, które konkurowały z chrześcijaństwem. Z tego powodu w Kościele etiopskim przez wiele lat panował zakaz świeckiej konsumpcji kawy. – Podniosłam kubek do ust, żeby wreszcie powstrzymać się od gadania. Kawa parzyła mnie w język. Postanowiłam to zignorować. – Mmmm, kawa.

Viki zerkała to na mnie, to na Quinna.

– Ooookeeej – powiedziała wreszcie, wydłużając sylaby.

Quinn chrząknął, a potem złożył nasze zamówienie:

– Dla niej jajka sadzone, bekon, kielbasę, smażone ziemniaki i tosty z podwójnym masłem. Ja poproszę to co zwykle.

Kiedy skończył, zabrał moje menu i wręczył je Viki razem ze swoim. Zauważyłam, że jego głos brzmi inaczej, bardziej zdystansowanie. Viki rzuciła nam krótki, zagadkowy uśmiech i poszła sobie.

Upiłam jeszcze kilka łyków kawy i ponownie zerknęłam na Quinna. Nie patrzył w moją stronę. Jego usta układały się w idealnie prostą linię, a jego skronie pulsowały, kiedy zaciskał szczękę. Nie byłam w stanie odczytać czegokolwiek z jego posągowej miny. Miałam dziwne przeczucie, że przyniosłam mu wstyd albo powiedziałam coś niestosownego. Nie było to dla mnie nowe uczucie – często żałowałam wypowiedzianych słów – ale tym razem czułam zażenowanie w jego imieniu.

Odstawiłam kubek i westchnęłam.

– Przepraszam. – Po raz kolejny próbowałam przeczesać ręką włosy i po raz kolejny zrezygnowałam, napotkawszy opór. – Mam niezdrową tendencję do mówienia tego, co myślę i...

Podniósł rękę, żeby mi przerwać i potrząsnął głową.

– Nie... nie musisz przeproszać – powiedział, rzucając mi słaby uśmiech zdradzający napięcie. – Byłaś po prostu... szczerą. Nie pierwszy raz zostałam nazwana neandertalczyciem.

– Ależ to nie ty jesteś neandertalczyciem – zmarszczyłam brwi. – Po pierwsze, jesteś o wiele za wysoki. To siebie porównywałam do neandertalczyka ze względu na swoje cechy fizyczne, jak chociażby rozmiar mojej głowy.

– Chcesz powiedzieć, że twoja głowa jest większa od mojej?

– Tak, nie, to znaczy, neandertalczycy mieli duże, niezgrabne głowy, tak się w każdym razie przyjęło uważać, głowy o wiele za duże w stosunku do ciała. No i jeszcze te włosy.

– Włosy?

– Tak, włosy. Istnieje hipoteza, że rude włosy – wskazałam na stóg na mojej

głowie – pochodzą od neandertalczyków, którzy spółkowali z wcześniej żyjącymi ludźmi.

– Ach, czyli neandertalczyki i ludzie jednak dobierali się w pary?

– Tak. Jest bardzo prawdopodobne, że kobiety i neandertalczyki rodzaju męskiego z powodzeniem się rozmnażali, co, jak się nad tym głębiej zastanowić, nie jest takie znowu nieprawdopodobne, bo do tej pory mężczyźni z dużymi głowami i kobiety z małymi, eee, normalnymi głowami, do tej pory często dobierają się w pary. Obecnie jednak naukowcy uważają, że mężczyźni, którzy dobierali się w pary z neandertalkami, płodzili potomstwo, które było bezpłodne. Wnioskuje to z tego, że u współczesnych ludzi nie ma śladów po mitochondrialnym DNA neandertalczyków. Jak zatem widzisz i gdybyś pomyślał nad tym nieco dłużej, kobieta o niezgrabnej głowie wchodząca w związek z mężczyzną o idealnie kształtnej głowie to nie najlepszy pomysł.

Popatrzył na mnie, spochmurniał, po czym zajął się swoją kawą. Zapadła między nami nieznośna cisza, która przykryła nas jak gruby koc z mgły. Podejrzywałam, że żałuje teraz swojej decyzji o zaproszeniu mnie na śniadanie. Pomyślałam, że może lepsze byłoby porównanie, w którym ja byłabym osłem, a on koniem, ale ostatecznie ugryzłam się w język, żeby nic nie powiedzieć.

Nagle spostrzegłam, że jego policzki, szyja i grzbiet jego nosa przybrały delikatnie różowy odcień, zapewne wywołany irytacją moją nieudaną próbą konwersacji. Zastanawiałam się gorączkowo nad czymś, czym mogłabym odwrócić swoją uwagę. Przyszła mi do głowy nagła myśl i z braku lepszej strategii postanowiłam uciec się do sztuczki, która zazwyczaj albo zachwycała ludzi, albo sprawiała, że się do mnie przekonywali. Uznałam, że będzie to też doskonały dowód na moją niepojętość, a ostatecznie nie miałam przecież nic do stracenia.

Obliznęłam usta i odezwałam się ponownie:

– Chcesz, eee, zobaczyć sztuczkę?

Wzruszył ramionami.

– Jasne – odpowiedział bez grama entuzjazmu.

Zwróciłam się w jego stronę, opierając łokieć i przedramię na blacie.

– Podaj mi jakkolwiek parę liczb, a ja podam ci wyniki ich dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia.

Teraz z kolei on zwrócił się w moją stronę i posłał mi niedowierzające spojrzenie.

– Tak z głowy? Z twojej niewymiarowej głowy?

Odniosłam wrażenie, że był autentycznie zainteresowany, co uznałam za postęp, więc postanowiłam zignorować jego komentarz o mojej głowie.

– Tak, policzę to w głowie. Bez kartki.

Uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie jednym kącikiem ust.

– Jakiegokolwiek dwie liczby?

Kiwnęłam głową.

– Sprawdź mnie.

Zwrócił się teraz w moją stronę całym swoim ciałem. Usilnie starałam się zignorować fakt, że jego nogi dotknęły moich, a jedno kolano wylądowało między moimi, kiedy siedzieliśmy już naprzeciwko siebie.

– Hmm... – zmrużył oczy nieco podejrzliwie. – No dobra, czterysta i siedemset.

Zmarszczyłam nos.

– Proszę bardzo. Dodawanie: tysiąc sto. Odejmowanie: minus trzysta. Mnożenie: dwieście osiemdziesiąt tysięcy. Dzielenie: pięćdziesiąt siedem setnych. Param, pam, pam! Dobra, teraz coś trudnego.

Gapił się na mnie z nieco otwartymi ustami, po czym uśmiechnął się – lekko, ale szczerze, i potarł dłońmi o uda.

– Nooo dobra, to teraz coś trudnego: dwadzieścia jeden i pięć tysięcy sto dwadzieścia cztery.

Odetchnęłam z ulgą. Nasze wcześniejsze zgrzyty najwyraźniej odeszły w niepamięć.

– Okej, to w tej samej kolejności, odpowiedzi: pięć tysięcy sto czterdzieści pięć, minus pięć tysięcy sto trzy, sto siedem tysięcy sześćset cztery i cztery tysięczne. Param, pam, pam! I to też wcale nie było trudne.

Wydał z siebie krótki śmiech połączony z westchnieniem.

– Jak ty to robisz?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Po prostu od zawsze to potrafiłam. Przydaje się szczególnie w czwartki.

– A co jest w czwartki?

– Uczę matematyki i przyrody w klubiku dla dzieci, w czwartkowe popołudnia. Czasami, kiedy mają problem ze skoncentrowaniem się, zwracam na siebie uwagę swoimi „dziwactwami” – powiedziałam, rysując rękami cudzysłów w powietrzu. Natychmiast zezłościłam się za to na siebie. Nie znosiłam, kiedy ludzie tak robili. Tak samo nie znoszę, kiedy ktoś mówi „my” zamiast „ja”, w stylu: „*Bylibyśmy* zaszczytzeni... Właśnie *zrobiliśmy* pranie... Niestety *mamy* grzybicę”.

– Dlaczego właściwie cię zwolnili? Z takimi umiejętnościami jesteś idealną osobą na stanowisko księgowej.

– Też tego nie wiem. Moja przyjaciółka Kat, która nadal tam pracuje, próbowała się tego dowiedzieć, ale z jakiegoś powodu nie była w stanie nic ustalić.

Wziął łyk kawy i zapytał:

– Czy poza tobą zwolniono kogoś jeszcze?

– Nie. Tylko mnie. Ale musisz przyznać, że jestem dość dziwaczna. Może po prostu szukali tylko wymówki, żeby się mnie pozbyć. Znam, no wiesz, całe multum ciekawostek i mam tendencję do zalewania ludzi informacjami. – Mało brakowało, a znowu powiedziałabym o „dziwactwach” z cudzysłowem, ale w ostatniej chwili udało mi się stłumić w sobie ten odruch.

– Hmm... – Jego błękitne oczy przyglądały mi się uważnie. – Czy jesteś... – Odstawił swoją kawę i przysunął się trochę bliżej. – Czy ty masz pamięć fotograficzną?

Nie byłam w stanie powstrzymać nerwowego śmiechu, głównie w reakcji na jego bliskość.

– Nie, Boże drogi, skąd. Zapomniałabym swojego nazwiska, gdyby nie to, że widnieje na moim prawie jazdy. – Zmarszczyłam brwi, uświadamiając sobie nieścisłość mojej wypowiedzi. – Właściwie to nie mam prawa jazdy, odkąd przeprowadziłam się do

Chicago, ale moje nazwisko widnieje na mojej karcie kredytowej i dowodzie. To zdecydowanie pomaga.

Przyglądał mi się jeszcze przez długą chwilę, po czym zapytał:

– Znalazłaś już nową pracę?

Pokręciłam głową, przygryzając wargi. Mimo że minęło dopiero półtora tygodnia, więc miałam jeszcze prawo do bezrobocia, czułam ogromny niepokój w związku z brakiem zatrudnienia.

Sięgnął po swój kubek i pijąc, obserwował mnie znad niego tak, jakby coś rozważał, a dokładniej rozważał mnie do jakiegoś zadania. Kiedy odstawił kawę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej wizytówkę i długopis.

– Myślę, że będę mógł ci pomóc – to mówiąc, napisał na odwrocie wizytówki jakieś nazwisko i numer telefonu.

– A co? Uważasz, że powinnam wejść w branżę ochroniarską? Fakt, jestem dość wysoka jak na dziewczynę. No i potrafię być bezwzględna, kiedy zajdzie potrzeba.

Przekrzywił głowę na bok po raz kolejny tego dnia – zaczynałam się już do tego przyzwyczajać – po czym wręczył mi wizytówkę.

– Nie wątpię, jednak chodzi bardziej o to, że mojej firmie na pewno przyda się w biurze ktoś z twoimi umiejętnościami – odłożył długopis na blat. – Zapisałem ci numer naszego dyrektora zarządzającego. Zadzwoń do niego, podeślij CV. Mogę ci załatwić rozmowę, jeśli chcesz, ale to tyle, pracę będziesz musiała zdobyć sama.

Nadal przyglądałam się wizytówce, kiedy nadeszła Viki z naszym jedzeniem. Odwróciłam w dłoniach kartonik i przeczytałam:

*Quinn Sullivan*

*Cypher Systems, Inc.*

Pod imieniem znajdował się numer telefonu i służbowy adres mailowy. Przekręciłam wizytówkę z powrotem nie tyle po to, żeby sprawdzić, co napisał, ale żeby obejrzeć jego charakter pisma. Napisał wszystko wielkimi literami, prostym, dokładnym pismem. Wyróżniały się siódemki i zera. Słowa układały się w prostą linię mimo zupełnie gładkiego papieru.

Podobał mi się jego charakter pisma. Wyobrażałam sobie, jak czytam ręcznie napisany list od niego. Wyobrażałam sobie, jak poświęca swój czas na to, żeby o mnie pomyśleć, usiąść i zacząć pisać. Na samą myśl o tym poczułam, jakby w moim brzuchu nastąpiła erupcja wulkanu.

Kiedy podniosłam wzrok, Quinn wpatrywał się we mnie poważnie, z pochmurną miną.

– Oczywiście nie musisz tam aplikować, jeśli nie chcesz.

Bez zastanowienia położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Ależ chcę, oczywiście, że będę aplikować. Naprawdę, bardzo ci dziękuję. Dziękuję, że o mnie pomyślałeś. – Jego wzrok spoczął na mojej dłoni, którą natychmiast cofnęłam. Próbowalam jednocześnie zaczesać włosy za ucho i skoncentrować się na talerzu tłustego jedzenia, które zostawiła Viki. Wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę, aż w końcu dodałam:

– Jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Wczorajszego

wieczora, dziś rano... a teraz jeszcze to. – Wskazałam na wizytówkę. Popatrzyłam mu w oczy i posłałam pełen wdzięczności uśmiech. – Naprawdę dobry z ciebie facet.

Zmarszczył brwi i spoważniał jeszcze bardziej, jakbym powiedziała coś obraźliwego. Jego wzrok przemknął po mojej twarzy, włosach i szyi. Na koniec westchnął i spojrzał w górę, ledwo zauważalnie przewracając oczami.

– Nie jestem wcale taki dobry – burknął pod nosem.

\*\*\*

Poza jednym niezręcznym momentem, kiedy to Quinn chciał podwieźć mnie do domu na swoim motorze, a ja nieco spanikowałam, uparcie odmawiałam i nalegałam, że wezmę taksówkę, reszta poranka upłynęła nam bardzo przyjemnie. Byłaby z pewnością jeszcze miłsza, gdyby nie to, że przez część czasu byłam rozkojarzona i pochłonięta wymyślaniami, co zrobić, żeby jeszcze raz zobaczyć go bez koszulki. W chwili słabości rozważałam wylanie na niego swojej kawy.

Wieczorem tego samego dnia leżałam na kanapie w mieszkaniu Elizabeth, próbując skoncentrować się na czytaniu książki – bezskutecznie. Zaczęłam myśleć o swojej rozmowie z Quinnem na temat motocykla. Gdyby zaproponował mi podwózkę samochodem, zapewne bym się zgodziła.

Problem polegał na tym, że miał motor.

Nigdy nie jeździłam na motocyklu, ale ponieważ moja matka zginęła w wypadku motocyklowym, nie miałam najmniejszej ochoty na podejmowanie prób. Oczywiście nie powiedziałam mu tego. Nie lubię myśleć, a już na pewno rozmawiać, o śmierci mojej mamy. Zresztą nie podejrzewałam, żeby Quinn, który i bez tego uznał mnie pewnie za kompletną wariatkę, miał ochotę o niej słuchać.

Wstawałam właśnie, żeby umyć zęby po raz dziesiąty tego dnia, kiedy usłyszałam, jak Elizabeth wpada do mieszkania.

– Janie? Janie, jesteś tu?! – Z jakiegoś powodu w jej głosie brzmiał niepokój, więc wyszłam do niej do przedpokoju.

– Hej, tak, jestem. Wszystko w porządku.

Na mój widok zrobiła krok w tył, zamknęła oczy i położyła rękę na sercu.

– O Boże, o Boziuniu, zabiję Jona.

Zdezorientowana uniosłam brwi.

– Jona? Mojego Jona? Co się stało?

Elizabeth westchnęła i pozwoliła swojej torbie zsunąć się z ramienia na podłogę.

– Dzwonił do mnie jakieś pierdyliard razy, o wiadomościach na pager nie wspomnę. Mówił, że mieliście się dziś spotkać, a ty nie przyszłaś.

Zajął mi jakieś pięć sekund, żeby uświadomić sobie, że rzeczywiście miałam zaplanowane na rano spotkanie z Jonem, o którym oczywiście zapomniałam. Najwyraźniej widok nagiej klaty Quinna musiał wymazać je z mojej pamięci.

– O rany, kompletnie zapomniałam!

Elizabeth przewróciła oczami.

– Musisz sobie kupić komórkę. Blokuję u siebie jego numer, koniec, kropka.

– Przepraszam, Elizabeth, strasznie mi głupio, że zawracał ci głowę w pracy.

– Tym się nie przejmuj, po prostu martwiłam się o ciebie – zaśmiała się, ściągając

swoje szpitalne obuwie. – Ale lepiej napisz mu maila albo zadzwoń do niego na Skypie. Wspomniał coś o zgłoszeniu twojego zaginięcia. – Zatrzymała się na chwilę, żeby mnie uściskać, zanim poszła do swojego pokoju. – Cieszę się, że nic ci nie jest.

Kiwnęłam głową i siadłam przed laptopem. Była już dwudziesta druga. Wiedziałam, że Jon jeszcze nie śpi, ale nie miałam ochoty z nim rozmawiać, postanowiłam więc napisać e-maila. Kiedy odpaliłam swoją pocztę, okazało się, że wysłał mi już pięć wiadomości, w każdej przejawiając coraz większy niepokój. Ostatnia wiadomość, sprzed pół godziny, brzmiała następująco:

*Proszę cię, zadzwoń do mnie i daj znać, czy wszystko u ciebie w porządku. Wariuję z niepokojem. Kocham cię, Janie, i chcę po prostu mieć pewność, że nic ci nie jest. Rozumiem, że cię zraniłem i że jesteś na mnie zła, ale proszę cię, nie karz mnie w taki sposób. To do ciebie zupełnie niepodobne. Jeśli chciałaś mnie w ten sposób zdenerwować, to wiedz, że ci się udało. Jeśli nie chcesz się ze mną spotkać, to po prostu mi to powiedz. Zamartwiam się, że stało ci się coś złego. Jeśli to czytasz i jesteś cała i zdrowa, to będziemy musieli poważnie porozmawiać o kupieniu Ci komórki. Zadzwoń, proszę.*

*Jon*

Westchnęłam i zacisnęłam zęby. Zirytował mnie nie tylko jego tupet przy stwierdzeniu, że *my musimy* porozmawiać o „kupieniu mi” komórki (zupełnie jakbym nie była w stanie zrobić tego sama, gdybym tylko chciała), ale też odrobina poczucia winy, którą udało mu się we mnie wywołać. Zaczęłam pisać odpowiedź:

*Jon, wszystko ze mną w porządku. Szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałam o naszym dzisiejszym spotkaniu. Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale nie masz powodów do niepokojem. Elizabeth właśnie wróciła do domu i powiedziała, że dzwoniła do niej, kiedy była w pracy. Proszę, nie rób tego więcej. Wiesz dobrze, że sprawdzam swoją skrzynkę mailową przynajmniej raz dziennie, znasz też moją opinię na temat telefonów komórkowych. Nie mam problemu ze spotkaniem się z Tobą, nie chciałam cię zdenerwować ani ukarać. Naprawdę chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Daj znać, jeśli miałbyś ochotę spotkać się jakoś w przyszłym tygodniu.*

*Do usłyszenia, Janie*

Przez chwilę wpatrywałam się w kursor, po czym przeczytałam wszystko jeszcze raz. Ostatecznie postanowiłam wykasować „do usłyszenia” i dopiero kliknęłam „wyślij”. Nie chciałam, żeby odebrał to jako obietnicę. Chwilę zajęło mi przejrzanie nieprzeczytanych maili w skrzynce. Ku mojej frustracji, żaden nie dotyczył jednej z setek aplikacji o pracę, które wysłałam.

Moje myśli popłynęły z powrotem w stronę Quinna. Przypomniałam sobie o wizytówce, którą dał mi przy śniadaniu. Wyciągnęłam rękę i wzięłam ją ze stolika koło kanapy. Delikatnie wygładziłam ją palcem w miejscu, gdzie wydrukowane było jego imię, zanim odwróciłam ją, żeby odczytać dane, które dla mnie zapisał. Kiedy mój wzrok napotkał pismo Quinna, usta rozciągnęły się w mimowolnym uśmiechu. Naprawdę, zachowywałam się jak małolata.

Kliknęłam „utwórz wiadomość” i napisałam krótkiego wprowadzającego maila,

nie zapominając o załączeniu CV. Po chwili zastanowienia postanowiłam wysłać wiadomość z kopią do Quinna. Chciałam, żeby przekonał się na własne oczy, że jestem rzeczywiście bardzo zainteresowana tą pracą i wdzięczna za jego polecenie.

Właśnie w momencie, w którym kliknęłam „Wyślij”, rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Kolejny e-mail od Jona. Wpatrywałam się w jego temat:

*Przepraszam. Kocham cię.*

Westchnęłam i skrzyżowałam ręce na piersi. Kręcąc głową, zamknęłam laptopa bez czytania. Byłam zmęczona. Fuknęłam. Chciałam po prostu umyć zęby i iść spać. Nie podobało mi się to, że przez Jona czułam się niezręcznie i miałam lekkie poczucie winy, mimo że byłam przecież pewna – no, prawie pewna – że to z jego powodu nie byliśmy już razem.

– Ciągle wzdychasz. Słyszę cię aż ze swojego pokoju – Elizabeth podeszła i klapnęła koło mnie na kanapie, przeciągając się z ramionami nad głową. – Jak tam z Jonem?

Wzruszyłam ramionami i bez namysłu wydałam z siebie kolejne westchnienie.

– Napisałam do niego e-maila. Nie mam w tym momencie ochoty z nim rozmawiać.

– Musisz mieć komórkę.

– Nie. Gdybym miała komórkę, musiałabym z nim rozmawiać. A skoro jej nie mam, mogę odsunąć w czasie tę rozmowę do momentu, w którym będę na nią gotowa.

– Niech ci będzie – Elizabeth uniosła ręce w geście poddania. – Zresztą i tak nie mam ochoty gadać o Panu Mokre Gacie.

Zaśmiałam się i przewróciłam oczami. Elizabeth nazywała Jona Panem Mokre Gacie od dnia, kiedy przez przypadek usiadł na mokrym fotelu w kinie i przesiedział na nim cały seans – to jest po upewnieniu się, że źródłem wilgoci był napój gazowany.

– No dobra... – Elizabeth poruszyła brwiami. – Mam coś dla ciebie. – To mówiąc, wyciągnęła wizytówkę i z piskiem wcisnęła mi ją do ręki. – Spójrz! To wizytówka Quinna! Dał mi ją wczoraj, zanim wyszliśmy z klubu.

Wpatrywałam się w kartonik przez dobrą minutę i odpowiedziałam:

– Ach, tak. I co, masz zamiar się z nim umówić?

Elizabeth zmarszczyła brwi, po czym pacnęła mnie w ramię.

– Co? Nie! Wyszłaś stamtąd tak szybko, że Quinn zatrzymał mnie i poprosił, żebym ci to dała. – Szturchnęła mnie w ramię. – Chce, żebyś do niego zadzwoniła! Ach, jak pięknie! Zakochana para, Janie i Pan Ciacho, la la la la la la, miziu miziu miziu, bzyku, bzyku...

– Przestań! – przerwałam jej. – Nic z tych rzeczy. Dał ci tę wizytówkę, bo chce pomóc mi w znalezieniu pracy. Podobno w firmie ochroniarskiej, w której pracuje, mogą szukać kogoś takiego jak ja.

Elizabeth prychnęła.

– Co to wygadujesz? Przecież to niedorzeczne! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Wzięłam do ręki identyczną wizytówkę, leżącą obok mojego laptopa i pokazałam ją Elizabeth.

– Bo ja też dostałam od niego wizytówkę. Napisał mi na odwrocie nazwisko jakiegoś managera i zaproponował, żebym zgłosiła się do niego w sprawie pracy.

Elizabeth, oniemiała, zerknęła to na jedną, to na drugą wizytówkę.

– Zaraz – odezwała się wreszcie. – Kiedy on ci to dał?

– Dzisiaj rano.

– Kiedy...? Dobra, zaraz, zacznij od początku. Co się wydarzyło? Kiedy i gdzie widziałas się z Quinnem dziś rano?

Opowiedziałam jej o tym, jak wróciłam do klubu i o wszystkim, co nastąpiło później: o urwanym filmie, o tym, jak obudziłam się w bieliźnie w mieszkaniu siostry Quinna, o tym, jak usilnie zapewniał mnie, że nie przystawiał się do mnie poprzedniej nocy, o śniadaniu i o wizytówce. Elizabeth słuchała, a na jej twarzy malowało się na przemian niezadowolenie i zaskoczenie, a w głównej mierze konsternacja. Ani razu mi nie przerwała, chociaż wiedziałam, że z niecierpliwością wyczekiwała na wyjaśnienie zagadki identycznych wizytówek.

Kiedy skończyłam, przez dłuższą chwilę przyglądała mi się bez słowa.

– I co, poszłaś do apteki po test, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście coś ci wyspali?

Pokręciłam głową.

– Nie, miałam taki zamiar, ale... – westchnęłam i opadłam na kanapę. – Kiedy dotarłam do domu, byłam zbyt zmęczona.

– Rany, co za szczęście, że Quinn cię znalazł! – Uścisnęła moje dłonie. – Czekaj... czy na pewno nic się nie stało? Jak cię znalazł? Kiedy przywiózł cię do domu? Czy ktoś... czy wszystko w porządku? Byłaś u lekarza?

– Tak, to znaczy, nie – znowu westchnęłam. – Tak, wszystko w porządku. Nie, nic się nie stało. Nie, nie poszłam do lekarza. Wydaje mi się, że Quinn znalazł mnie, zanim cokolwiek się stało.

– Aha – uścisnęła moją dłoń jeszcze mocniej, po czym potarła oczy. – Nie powiem, dużo informacji do przetrawienia. Jestem wykończona. Nie mogę uwierzyć, że wróciłaś do klubu. To oczywiste, że Quinn na ciebie leci. Flirtował z tobą. Po co miałby zawozić cię do mieszkania swojej siostry? Kto tak robi? I o co chodzi z tymi zarezerwowanymi miejscami przy śniadaniu? Czy ta kelnerka rzeczywiście miała jedną długą brew? Bardzo się cieszę, że nic ci nie jest.

Wiedziałam, że jest zmęczona, bo jej myśli, zazwyczaj uporządkowane, biegały teraz na wszystkie strony. Uśmiechnęłam się.

– Musisz się położyć. Porozmawiamy o wszystkim rano.

Pomogłam jej wstać z kanapy, a ona uścisnęła mnie.

– Cieszę się, że nic ci nie jest. Jon nieźle mnie nastraszył – to mówiąc, wypuściła mnie z objęć i chwyciła za ramiona, wbijając we mnie swoje bladoniebieskie spojrzenie. – Gdyby coś ci się stało, z kim piłabym w nasze poniedziałki mojito? Z kim byłabym w drużynie, grając w Trivial Pursuit? Kto by sprzątał w łazience?

Chichotałyśmy obie, kiedy delikatnie popychałam ją w stronę sypialni.

– Wydaje mi się, że zanim się tu wprowadziłam, doskonale dawałaś sobie radę ze sprzątaniami łazienki.

– Nie, nieprawda. Nie sprzątałam jej od ładnych paru miesięcy. Wmawiałam



wszystkim, że to moje laboratorium, w którym hoduję bakterie.– Elizabeth ziewnęła. –  
Dobranoc, Janie. Kocham cię.  
– Dobranoc, Elizabeth. Ja też cię kocham.

Bum, bum, bum – dostałam pracę!

Ku mojemu zaskoczeniu i, szczerze mówiąc, kompletnemu niedowierzaniu, otrzymałam wiadomość zwrotną od Carlosa Daviesa, dyrektora zarządzającego w Cypher Systems, w niedzielę rano. Potem sprawy potoczyły się błyskawicznie: Carlos odpowiedział na moją wiadomość i polecił, żeby jego sekretarka, Olivia Merchant, również uwzględniona w naszej korespondencji, umówiła nam spotkanie na poniedziałek rano. Olivia odpowiedziała w niedzielę po południu, informując, że czekają na mnie w biurze o dziesiątej.

Olivia załączyła również mapę dojazdu do biura, plik z informacją na temat warunków pracy i instrukcję, jak do nich dojechać. Natychmiast zauważyłam, że Cypher Systems mieściło się w biurowcu Fairbanks, tym samym budynku co moja poprzednia praca. W niedzielę wieczorem potwierdziłam spotkanie w poniedziałek o dziesiątej rano.

Dokument z pakietem świadczeń zawierał również propozycję pensji na stanowisku samodzielnego księgowego i koordynatora projektów. Musiałam przeczytać ją trzy razy, zanim dotarła do mnie jej wysokość i upewniłam się, że dobrze odczytałam umiejscowienie kropki dziesiątej w stosunku do zer. Próbowałam wyszukać Cypher Systems w Google, ale rezultaty okazały się mało satysfakcjonujące, nie licząc bardzo zgrabnie zaprojektowanej, dopracowanej graficznie, ale nierozbudowanej pod względem treści strony internetowej z formularzem zgłoszeniowym dla potencjalnych klientów.

Ten brak dostępnych informacji sprawił, że czułam się kompletnie nieprzygotowana na rozmowę kwalifikacyjną. Gdyby zapytali mnie, dlaczego interesowało mnie to stanowisko, nie byłabym pewna, jak odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Nie miałam pojęcia o ich firmie, poza tym, że świadczyli usługi ochroniarskie w biurowcu Fairbanks i klubie Outrageous i że proponowali dwukrotnie wyższą pensję od tej, którą otrzymywałam w poprzednim miejscu pracy.

Ach, no i zatrudniali ochroniarzy o wyglądzie modeli pokroju Quinna Sullivana.

Cypher Systems miało swoją siedzibę na ostatnim piętrze biurowca Fairbanks. Zgodnie z instrukcjami od Olivii miałam zameldować się u ochrony w lobby, skąd jeden z ochroniarzy miał zaprowadzić mnie do biura Cypher Systems.

Wyglądało na to, że bycie ochroniarzem w Cypher Systems wymagało przede wszystkim dużego doświadczenia w odprowadzaniu ludzi w różne miejsca.

Z plakietki eskortującego mnie ochroniarza wynikało, że ma na imię Dan. Był niższy ode mnie, szczególnie dziś, kiedy założyłam swoje błękitne, jedwabne szpilki. Był mniej więcej w moim wieku, może kilka lat starszy, i krępy. Wokół jego krótkiej, grubej szyi wiły się tatuaże, widoczne częściowo tuż nad krawędzią kołnierzyka uniformu. Kiedy Dan prowadził mnie do windy, rzucił mi tylko jedno krótkie spojrzenie. Kiedy doszliśmy, zamiast nacisnąć guzik, przyłożył dłoń do szklanego ekranu i naszym oczom ukazała się klawiatura numeryczna. Dan wcisnął kilka guzików i czekał.

– Jesteś bardzo wysoka – powiedział.

Uśmiechnęłam się do niego.

– To prawda. To dlatego, że jak byłam dzieckiem, zjadałam wszystkie warzywa,

które miałam na talerzu.

Była to moja standardowa odpowiedź na komentarze na temat moich wymiarów. Z jakiegoś powodu zawsze drażniło mnie, kiedy ludzie uznawali za konieczne zwrócić mi uwagę na mój wzrost, zupełnie jakbym nie miała świadomości swojej nieprzeciętnej postury. Raz odpowiedziałam komuś: „Tak, za to ty jesteś bardzo mały”. Nie było to zbyt dobre posunięcie z mojej strony, mimo że mówiłam prawdę.

Dan zachichotał i gestem zaprosił mnie do windy. Uświadomiłam sobie teraz, że nigdy wcześniej jej nie zauważałam. W środku okazało się, że prowadzi tylko na jedno piętro. Dan milczał przez całą drogę, ale nadal bezceremonialnie mierzył mnie wzrokiem, a kącik jego ust wygiął się w przyjacielskim, koślawym uśmiechu. Ja również milczałam, ziewając co chwila dyskretnie, żeby odetkać sobie uszy, kiedy mknęliśmy coraz wyżej.

Drzwi windy otworzyły się i moim oczom ukazała się imponująca panorama miasta, rozciągająca się za długim biurkiem recepcji, wykonanym w całości ze szkła. Światło było niemal oślepiające. Przełknęłam nerwowo ślinę i zrobiłam krok naprzód, wolną ręką wygładzając na biodrach swoją dopasowaną, beżową garsonkę. W drugiej ręce trzymałam teczkę z dodatkowymi egzemplarzami CV i rekomendacji od moich profesorów z uczelni.

Dan nie wyszedł za mną z windy, odezwał się tylko za moimi plecami:

– Keira z recepcji się tobą zajmie.

Odwróciłam się, żeby mu podziękować, ale drzwi już się zamknęły. Wyprostowałam się, podeszłam do szklanego biurka i zatrzymałam się przed nim. Siedząca za nim kobieta, zapewne Keira, rozmawiała z kimś przez telefon.

Podniosła na mnie swoje brązowe oczy i uniosła jeden palec, jednocześnie mówiąc do słuchawki:

– Jedną chwileczkę, spróbuję go dla pana namierzyć. – Po czym wcisnęła kilka guzików na telefonie, który wyglądał na supernowoczesny. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, było to, że czarne włosy Keiry były spięte w kok tak ciasny, że musiał chyba powodować ból. Wyglądało to tak, jakby naciągał kąciki jej oczu i ust, nadając jej wygląd nieustannie uśmiechniętego kota.

– W czym mogę pomóc? – zwróciła się do mnie wyszczerzona jak kot z Cheshire.

– Yyy, tak. Mam umówione spotkanie z panem Carlosem Daviesem.

– Ach tak? Spotkanie? A mogę prosić pani nazwisko?

Przełknęłam ślinę. Okropnie zaschło mi w ustach.

– Jestem Janie Morris. Przyszłam na rozmowę kwalifikacyjną.

Keira skoncentrowała swoją uwagę na imponująco wielkim monitorze na swoim biurku i pokiwała głową.

– Ach, widzę, tu pani jest. Dziś pani pierwszy dzień, zgadza się?

Rozdziawiłam usta, z których wydobył się cichutki pisk.

– Nie, nie – powiedziałam szybko – przyszłam tylko na rozmowę.

Przeniosła wzrok z powrotem na mnie, a na jej trójkątnej twarzy malowała się konsternacja.

– Ale przecież pan Sullivan panią przyjął, zgadza się?

– Nie zostałam przyjęta. Qui... eee, to znaczy pan Sullivan tylko zaaranżował tę

rozmowę.

Naszą wymianę zdań przerwał nowy głos.

– Ach, to ty jesteś pewnie Janie Morris.

Odwróciłam się w lewo i spróbowałam uśmiechnąć się ciepło do nadchodzącego mężczyzny, ale na jego widok natychmiast odebrało mi mowę. Był dokładnie mojego wzrostu (w wersji na obcasach) i ucieleśniał wszystko to, co moja przyjaciółka Ashley określała mianem „karmelowego ciacha”. Jego oczy w kolorze czekolady oprawione były długimi, czarnymi rzęsami, jego skóra miała ciepły, oliwkowy odcień, a kiedy się uśmiechał, powoli i na luzie, na jego twarzy pojawiały się dołeczki. Miał na sobie szary garnitur, białą koszulę i srebrny krawat.

– Zgadza się, to ja – wychrypiałam i wyciągnęłam rękę w jego stronę. Ujął moją dłoń i uściśnił stanowczo i z wyczuciem.

– Jestem Carlos. Ogromnie się cieszę, że możesz zacząć od razu. Chodź za mną, wszystko ci wyjaśnię.

– Zacząć? – usłyszałam swój napięty, chrapliwy głos i odkaslnęłam. – Yyy, zaraz, to znaczy, sądziłam, że to miała być rozmowa kwalifikacyjna.

Carlos zamrugał swoimi boskimi rzęsami. Jego uśmiech nieco zbladł, ale nie zniknął z jego twarzy.

– Ach tak, rozumiem. – Jego wzrok krążył po mojej twarzy, nadal życzliwie. – Oczywiście, możemy zacząć od rozmowy, jeśli chcesz. – Odwrócił się i gestem zachęcił, żebym ruszyła za nim korytarzem.

*Jeśli chce?*

Zrównałam się z nim. Idąc obok niego, starałam się stłumić w sobie poczucie niepewności.

– Mam jeszcze kilka egzemplarzy mojego CV, jeśli będzie potrzebne.

Zaśmiał się lekko.

– Nie, nie, nie ma takiej potrzeby. Sprawdziliśmy cię. Masz wysokie kwalifikacje i doskonałe referencje.

Poczułam ciepło wypływające na twarz po usłyszeniu tego komplementu, chociaż wcale nie byłam pewna, czy na niego zasługuję. Prowadził mnie wzdłuż kilku pomieszczeń biurowych. Moją uwagę zwrócił brak boksów. Przystanął przy jednym z pokoi i poprosił siedzącą tam osobę, żeby do nas dołączyła, po czym ruszył dalej.

Pokój Carlosa był rozsądnych rozmiarów – ani gigantyczny, ani przesadnie duży. Wydawał się tylko nieznacznie większy od pokoi, które mijaliśmy. Gestem wskazał mi, żebym usiadła na jednym z foteli z brązowej skóry, a sam usadowił się przy swoim biurku.

– No dobrze, panno Morris, może na początek opowiesz mi co nieco o sobie – jego głos miał bardzo kojący ton, a jego brązowe oczy lśniły.

Dwoiłam się właśnie i troiłam, chcąc zrobić dobre wrażenie. Ostrożnie dobierałam słowa i starałam się nie odbiegać od tematu. Nagle do pokoju wpadł jakiś mężczyzna. Był wysoki i szczupły, a jego blond włosy były w nieładzie, jakby ciągle przeczesywał je palcami. Jego szare oczy spoglądały na mnie zza modnych, czarnych rogowych oprawek umieszczonych na nosie nieco zbyt wyrazistym jak na jego szczupłą twarz.

Natychmiast podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

– Bogu dzięki, że już jesteś. Steven. Jestem pewien, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi. – Dosłownie raz potrząsnął moją dłoń, po czym zapadł się w drugi brązowy fotel stojący obok mojego. – Nie mogę z tymi ludźmi! Jest tyle do zrobienia. Spędziłem cały rano na przygotowywaniu dla ciebie podsumowań projektów.

Carlos chrząknął i posłał Stevenowi życzliwy uśmiech.

– Panna Morris jest tutaj na rozmowie kwalifikacyjnej. Jeszcze nie zdecydowała się przyjąć tej pracy.

Steven patrzył to na mnie, to na Carlosa, a na jego twarzy malowało się autentyczne przerażenie.

– Ale... że co?

Carlos zwiesił głowę.

– Steven... – w jego głosie słychać było ostrzegawczy ton.

Steven skoncentrował swoją uwagę na mnie.

– Janie... mogę ci mówić „Janie”? – przytaknęłam, a on ciągnął dalej, zanim zdążyłam potwierdzić to werbalnie. – No więc, Janie, potrzebuję pomocy. Z tego, co mówił Carlos, znasz się na cyferkach. Masz doświadczenie w zarządzaniu kontami klientów. Z twoich referencji wynika, że jesteś doskonałą księgową. Jesteś niekarana. Uczysz dzieci raz w tygodniu, co oznacza, że dasz sobie też radę z dużymi dziećmi. Wyglądasz jak skandynawska wersja Diany Prince – aż kaszlnęłam, słysząc, że porównuje się mnie właśnie do alter ego Wonder Woman, ale Steven ciągnął dalej: – No i, o ile tylko potrafisz sklecić ze trzy słowa, odniesiesz ogromny sukces wśród naszych klientów. Janie, będę z tobą szczery: oni mnie nie lubią. Nie jestem wystarczająco ładny, żeby wychodzić do ludzi. Ciężko pracuję i jestem podatkowym geniuszem, ale klienci czują się nieswojo w moim towarzystwie. Ty nadasz się o wiele lepiej.

– Steven, panna Morris opowiadała mi właśnie o swoim doświadczeniu zawodowym.

Steven zignorował Carlosa, przysunął swój fotel bliżej i pokazał mi ekran iPada, którego trzymał na kolanach.

– Dobra, tutaj masz bieżące sprawozdania – wyjaśnił, przesuując palcem po kolumnie z kodami numerycznymi, które przypisane były danym klientom, a ja zauważyłam, że kolumny nie mają nagłówków. – Tutaj masz terminy płatności... daty księgowania... a tutaj szacowane wydatki na ten kwartał i faktyczne wydatki za zeszły kwartał. A tutaj jest całoroczny bilans projektu. Jasne?

Kiwnęłam głową, przyglądając się arkuszowi w Excelu.

– Dlaczego nie używasz nagłówków kolumn?

– Bo mnie spowalniają.

– Mhmmm... – jego odpowiedź była kompletnie pozbawiona sensu. Starłam się ignorować liczone w dolarach monstrualne kwoty, a zamiast tego koncentrować się na analizowaniu zgodności obliczeń.

– Zastosowałaś błędną formułę tutaj... – Wskazałam dwie oddzielne komórki na arkuszu. – I jeszcze tutaj. No i to, kiedy zostało utworzone? Bilans powinien być ujemny, jeśli wydatki wpisane w tej kolumnie są poprawne.

Podniosłam wzrok na Stevena, którego usta były zaciśnięte w wąską linijkę wibrującą uśmiechem.

– Jesteś boska. Test zaliczony. Chyba cię kocham, Janie. Pobierzmy się i nie miejmy dzieci.

Wytrzeszczyłam oczy na krótki moment. Byłam pewna, że się ze mnie nabija, ale kiedy zobaczyłam roztańczone spojrzenie jego szarych oczu, zrozumiałam, że miał to być komplement. Odwzajemniłam uśmiech. Poczułam, że lubię Stevena.

Ciszę przerwał głos Carlosa:

– Panno Morris, praca jest twoja, jeśli tylko chcesz.

– Och, proszę, powiedz „tak”! – Steven uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Na twoje oświadczyły czy ofertę pracy? – spytałam.

– Jeśli już musisz wybrać jedno, niech to będzie praca – Steven wręczył mi iPada, po czym ponownie wyciągnął do mnie rękę. – Ja chrapię, a ty jesteś o wiele za wysoka. Po roku bylibyśmy rozwiedzeni.

Roześmiałam się, wstałam i uściśnęłam jego dłoń, zupełnie nie przejmując się jego komentarzem na temat mojego wzrostu.

– W porządku, z przyjemnością będę tutaj pracować – zwróciłam się do Carlosa, który również wstał. – Niemniej jednak chciałabym zobaczyć pełen opis stanowiska. Chcę się upewnić, że rzeczywiście potrafię robić to, do czego zostałam przez was zatrudniona.

Carlos posłał mi kolejny rozbijający, oprawiony w dołeczki uśmiech, który można było określić jedynie mianem uroczego.

– Oczywiście. Ty zacznij ustalać sobie wszystko ze Stevenem, a ja poproszę Olivie, żeby przesłała ci opis mailem. – Obszedł biurko i, jak poprzednio, uściśnął moją dłoń obydwoma swoimi dłońmi. – A gdybyś miała jakiegokolwiek wątpliwości, nie wahaj się mnie spytać.

\*\*\*

Zostało postanowione, że zamiast spotykać się u Kat na wieczór dziergania (tym razem przypadła jej kolej), pójdziemy wszystkie na drinki, a potem na kolację do South Water Kitchen, świętować, że ponownie mam za co płacić podatek dochodowy. Był wtorek, drugi dzień mojej nowej pracy, dokładnie dwa tygodnie po najgorszym dniu mojego życia.

Niemal natychmiast po tym, jak usadowiłyśmy się wszystkie na swoich miejscach, Elizabeth podniosła temat Quinna, piątkowej nocy, małp, nagich tańców w klatkach, sobotniego śniadania à la Pan Ciacho i wizytówki, która stała się kluczem do mojej nowej pracy.

– Pamiętacie pewnie Pana Ciacho, ochroniarza? Janie i ja widziałyśmy go w takim nowym klubie, w którym nagie kobiety tańczą z małpami... tak, dokładnie, Outrageous! W każdym razie on ma na imię Quinn, a Janie poszła z nim do domu po tym, jak została odurzona narkotykami. Rano zjedli razem śniadanie, a on załatwił jej rozmowę kwalifikacyjną, dzięki której dostała pracę.

Naprawdę, to było jak rzucanie „Hustlerów” seksoholikom. Po dwóch sekundach pełnej oszołomienia ciszy, wszystkie dziewczyny zaczęły gadać naraz. Elizabeth posłała mi znad swojej wody z lodem słodki uśmiech.

Przez całutkie pierwsze pół godziny spotkania raczyłam dziewczęta szczegółami wydarzeń minionego weekendu oraz poniedziałkowej rozmowy, która wcale nie była rozmową kwalifikacyjną. Pojawiło się kilka pytań, głównie próśb o doprecyzowanie jakichś trywialnych szczegółów, ale w głównej mierze wszystkie trwały w niemal nabożnym milczeniu. Za każdym razem, kiedy kelner próbował przyjąć zamówienie, Sandra i Ashley przeganiały go szybko, domawiając tylko wino cichym, natarczywym szeptem.

Zbliżając się do końca swojej historii, coraz bardziej czułam narastające napięcie w grupie. Nie mogły się doczekać, aż przyjdzie ich kolej na pytania, jednak wyglądało na to, że Elizabeth miała już opracowany porządek obrad i, kiedy wreszcie dotarłam do końca, natychmiast zaczęła mówić:

– Oto, co mnie zastanawia: skąd Quinn wiedział, że jesteś w Salce Baldachimowej? A może nie wiedział? Czy poszedł tam specjalnie po ciebie, czy może był tam przypadkiem i zorientował się, że trzeba cię ratować? I czy to dlatego kazał nam wychodzić, kiedy dowiedział się, że tamci faceci z Salki Baldachimowej kupili nam drinki? Najwyraźniej wiedział, że to jakieś typy spod ciemnej gwiazdy. No i jeszcze jedno: skoro podejrzewamy, że dosypano ci czegoś do drinka, co możemy z tym faktem zrobić?

Z pełnym satysfakcji uśmiechem, godnym Sherlocka Holmesa, usadowiła się wygodniej na swoim miejscu, podczas gdy reszta grupy snuła domysły i rozważała możliwości odpowiedzi na jej pytania. Nie ulegało wątpliwości, że Elizabeth przemyślała sobie to wszystko o wiele dokładniej niż ja.

Mimo że miałam tendencję do obsesyjnych rozmyślań na tematy takie jak języki wernakularne, przeciętna wysokość brazylijskiego orzechowca czy międzynarodowe standardy dotyczące dat, miałam też niestety zwyczaj pomijania istotnych detali, jak na przykład kto właściwie wrzucił mi pigułkę gwałtu do drinka i co czułam w związku z tym, że urwał mi się film, a potem obudziłam się niemal naga, w obcym mieszkaniu, w którym znajdowało się siedem mebli.

Wzdrygnęłam się lekko, czując wreszcie na barkach ciężar swojej lekkomyślności i nareszcie w pełni pojmując, w jak niebezpiecznej sytuacji znajdowałam się tamtej nocy. Żołądek aż skręcił mi się na myśl o tym, że Quinn znalazł mnie, zniósł z piętra, zawiózł do mieszkania swojej siostry, a to wszystko w czasie, kiedy byłam nieprzytomna.

Może nie musiałabym być nieustannie ratowana, odprowadzana i rozpieszczana, gdybym po prostu skoncentrowała się na istotnych szczegółach, zamiast zajmować się wymyślaniem odpowiedniego rzeczownika zbiorowego dla wszystkiego, czego jest więcej niż jeden.

Koniec końców obiecałam dziewczynom, że spróbuję przydybać Quinna, kiedy spotkam go w pracy, i dopytam o Salkę Baldachimową, jak również o kwestię zapewnienia bezpieczeństwa niepodejrzewającym niczego żeńskim gościom w przyszłości. Ponownie zjawił się przy naszym stoliku kelner i na szczęście wszystkie zaczęłyśmy składać zamówienia, dzięki czemu miałam wreszcie chwilkę przerwy od godzinnego śledztwa dotyczącego mojego weekendu.

– Widziałaś się już z nim? W biurze? – spytała Marie, pochylając się ku mnie

i taksując jasnoniebieskimi oczami.

– Z Quinnem? Nie, dziś był dopiero drugi dzień. Głównie wypełniałam różne druczki, miałam też spotkanie z prawnikami i aklimatyzowałam się w swoim pokoju.

– Miałaś spotkanie z prawnikami? – Po mojej prawej rozległ się spokojny głos Fiony.

– Musiałam podpisać klauzulę poufności i o zakazie konkurencji.

Fiona zmarszczyła brwi. Wymieniła krótkie spojrzenia z Marie, po czym wróciła do mnie.

– Dlaczego musiałaś je podpisywać?

– Po prostu, nie mogę szczegółowo ujawniać charakteru swojej pracy ani z kim pracuję.

Fiona miała coraz bardziej zaniepokojoną minę.

– Jak to? Nie możesz rozmawiać o swoich kolegach z pracy?

Pokręciłam głową i jednym haustem dokończyłam swoje wino.

– Nie, chodzi o to, że nie mogę ujawniać danych klientów, z którymi pracuję: ich nazwisk, tego, ile nam płacą, co dla nich robimy, jakie usługi oferujemy. Tego typu rzeczy.

Wróciłam pamięcią do wcześniejszej rozmowy z dwoma prawnikami. Obydwaj byli okrągłymi mężczyznami po trzydziestce i przypominali mi z wyglądu Dyludyludiego i Dyludyludama z *Alicji po drugiej stronie lustra*. Kiedy się jednak odezwali, ich francuski akcent zaburzył moje wcześniejsze wrażenie.

Le Di i Le Dam wspólnie dali mi bardzo jasno do zrozumienia, że mam zakaz ujawniania jakichkolwiek detali dotyczących klientów, z którymi miałam niebawem współpracować: żadnych nazwisk, cech szczególnych, niczego. Nie mogłam również omawiać z nikim tego, czym się zajmuję, nie mogłam nawet podawać opisu swojego stanowiska ani zakresu obowiązków, ani usług, które oferowała Cypher Systems. Mogłam za to, gdyby ktoś mnie zapytał, podać nazwę swojego stanowiska.

Przyszła kolej Marie na złożenie zamówienia. Wykorzystałam ten moment, żeby samej zajrzeć do menu, ale Fiona nie odpuszczała.

– Cóż, może rzeczywiście ma to sens... – Tu zawiesiła głos, jakby oczekując, że dokończę za nią zdanie.

Skupiłam na niej wzrok i zobaczyłam niepokój malujący się w jej elfich oczach. Posłałam jej krzepiący uśmiech.

– Oczywiście, że ma sens. Przecież tu nie chodzi o tajemnice w stylu „jeśli ci to powiem, będę musiał cię zabić”, tylko raczej kwestię prawa własności. Wiecie, tajemnice handlowe, te sprawy.

Moja odpowiedź wyraźnie ją uspokoiła, bo odwzajemniła mój uśmiech i pozwoliła wrócić do studiowania menu.



Jak się niebawem okazało, nie musiałam czekać zbyt długo na spotkanie z Quinnem. Stało się to drugiego tygodnia mojej nowej pracy.

Cypher Systems było niezwykle wydajną, doskonale naoliwioną maszyną. Oraz bardzo zagadkową. Niemal natychmiast dowiedziałam się o konieczności podpisania klauzuli poufności, a pod koniec pierwszego tygodnia zaczęłam całkiem nieźle orientować się w swoich obowiązkach, systemach i zasadach funkcjonowania biura.

Uwielbiałam swoją nową pracę.

Zarządzałam kontami wszystkich, których Steven określał mianem publicznych – były to w głównej mierze całkiem spore firmy, które korzystały z usług firmy córki Cypher Systems, znanej jako Guard Security.

Guard Security zapewniało usługi ochroniarskie najróżniejszym korporacyjnym nieruchomościom, jak również ochronę osobistą kadry zarządzającej. Szybko dowiedziałam się, dlaczego Steven nie używał nagłówków w swoich arkuszach. Steven wyjaśnił, że firewall Cypher Systems był niemal nieustannie atakowany przez hakerów. Wszystkie pliki z danymi i personaliami były kodowane. Dlatego przez pierwszą połowę miesiąca, kiedy jeszcze się wdrażałam, nie miałam pojęcia, czyimi kontami się zajmuję – widziałam tylko kody, które były im przypisane. Steven powiedział, że po tych pierwszych dwóch tygodniach dostanę od niego pendrive z kluczem kodowym. Będę wtedy miała tylko jeden dzień na zapamiętanie, który kod należał do którego klienta.

Steven zarządzał kontami prywatnymi klientów, czyli z tego, co byłam w stanie wywnioskować z jego oszczędnych wyjaśnień, kontraktami z indywidualnymi, prywatnymi osobami i wysoko postawionymi rodzinami. Poza usługami ochroniarskimi, w kontraktach często zawarte były również usługi detektywistyczne. Ta część firmy Cypher Systems również była firmą córką i nazywała się Infinite Systems.

Poza Guard Security i Infinite Systems, Cypher Systems miało jeszcze inne holdingi i było firmą matką dla kilku innych firm, niemniej ja i Steven byliśmy jedynymi księgowymi w sekcji ochroniarskiej. Właściwie, jeśli nie liczyć wszystkich firm córek, samo Cypher Systems było dość małą firmą, zatrudniającą w biurze zaledwie dziewiętnaście osób.

Mimo to moja firma zajmowała całe ostatnie piętro budynku, a każdy pokój miał duże okno wychodzące na północ. Steven wspominał, że biuro i lokalizacja były nowe – przenieśli się tutaj zaledwie kilka miesięcy wcześniej.

Z okien mojego pokoju nie miałam wprawdzie widoku na jezioro, ale podejrzewałam, że z okien biur od północno-wschodniej strony budynku musiała rozciągać się wspaniała panorama.

Jakaś część mnie miała ochotę zamieszkać w tym biurze. Co pewien czas przyłapywałam się na tym, że odpływam myślami, wpatrując się w imponujący widok na centrum miasta, i bywało, że musiałam szczytać się w ramię, by upewnić się, że nie śnię. Pozostała, niebiurowa przestrzeń na piętrze ogrodzona była dużymi, ciężkimi drzwiami. Aby je otworzyć, trzeba było przejść skan linii papilarnych i siatkówki oka.

Kiedy spytałam Stevena, co jest w pomieszczeniu za drzwiami, wymijająco

wzruszył ramionami.

– Serwery – powiedział tylko.

Po drugim dniu w pracy znalazłam już wszystkich w biurze. Zaliczałam Quinna do grupy moich osiemnastu współpracowników, chociaż nie wiedziałam jeszcze, czym dokładnie się zajmuje ani nie widziałam go od tamtego sobotniego poranka. Osiem z osiemnastu osób było księgowymi. Niektórzy z nich zajmowali to samo stanowisko, co ja – samodzielny księgowy i koordynator projektów, inni byli po prostu samodzielnymi księgowymi.

Poza Carlosem w biurze była jeszcze tylko jedna osoba nazywana dyrektorem, to szefowa HR, która najwyraźniej nie miała pod sobą nikogo poza swoją asystentką. Pozostałą część zespołu stanowili: Keira, recepcjonistka i czasami telefonistka, jeden specjalista do spraw obsługi informatycznej o imieniu Joe, dwóch programistów i kolejna asystentka o imieniu Betty, z którą ani razu jeszcze nie rozmawiałam, ale którą widywałam dość często, kiedy mijala mój pokój.

Betty pracowała dla dyrektora zarządzającego, czyli CEO firmy, który był również jej CIO, CFO i COO, ale o którym wszyscy mówili po prostu „SzeF”.

Szybko stało się dla mnie jasne, że ani Betty, ani SzeF niespecjalnie bratali się z resztą zespołu. Wyglądało na to, że SzeF rzadko pojawiał się w biurze. Nikt nie był zaskoczony jego nieobecnością ani przez pierwszy, ani drugi tydzień mojego zatrudnienia, a ja wciąż nie miałam okazji go poznać.

Betty była niezwykle elegancka i wyglądała na sześćdziesiąt parę lat. Miała stalowoszare włosy i czarne oczy, i codziennie nosiła perły i dopasowaną garsonkę. Nie wydawała się nieprzyjemna, raczej bardzo, bardzo zajęta.

Moje zetknięcie z Quinnem nastąpiło w środę w drugim tygodniu pracy w Cypher Systems.

Uświadomiłam sobie wtedy, że nigdy nie widziałam, żeby Betty wychodziła z biura. Była tam, kiedy przychodziłam, bez względu na to, jak wcześnie, i bez względu na to, jak późno wychodziłam. Jej nieustanne zapracowanie skłoniło mnie do tego, by zaproponować, że przyniosę jej lunch. Najwyraźniej mocno ją zaskoczyłam, bo powtórzyła kilkakrotnie słowo „lunch”, jakby to był jakiś mityczny twór, o którym słyszała dawno temu w bajkach na dobranoc.

Wreszcie uśmiechnęła się do mnie (chyba) z wdzięcznością, przyjęła moją propozycję i poprosiła o miskę zupy jarzynowej, sałatkę i wielkie ciastko owsiane ze Smith’s Take-away and Grocery. Był to popularny w okolicy bar z kanapkami, oferujący również inne artykuły spożywcze. Mieścił się zaledwie ulicę dalej.

Wysłałam nieco wcześniej, żeby w spokoju zjeść poza biurem, ale zdążyć wrócić do południa. W barze było kilka stolików, ustawionych wzdłuż ściany. Usiadłam przy stoliku z brzegu, czytając po raz kolejny jeden ze swoich ulubionych komiksów, antologię całej serii w miękkiej oprawie.

Na hasło „komiks” większość ludzi wyobraża sobie cienki zeszytek, stanowiący ciąg dalszy poprzedniego zeszytiku i kończący się w kulminacyjnym momencie słowami „ciąg dalszy nastąpi”. Czytanie większych antologii w miękkich okładkach było jak oglądanie całego sezonu serialu na Netflixie albo Amazon Instant Videos. Możesz

pochłonać całą serię za jednym razem, pławiąc się w dobrodziejstwie, jakim są powieści graficzne.

Jakiś czas temu pożyczyłam ją jednemu z chłopców, których uczyłam. Zwrócił mi ją w zeszłym tygodniu. Przez ostatnie dwa lata stałam się dla dzieciaków swego rodzaju komiksową biblioteką. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Dbali o nie bez zarzutu, a ja uwielbiałam omawiać z nimi potem przeczytane historie.

Mój kciuk miarowo wygładzał okładkę w miejscu, w którym przerwała się kilka lat temu. Byłam pochłonięta lekturą, nogi miałam splecione pod siedzeniem. Dochodziłam właśnie do momentu, w którym jeden z naprawdę złych gości miał porwać dziewczynę tego dobrego, kiedy usłyszałam tuż obok siebie czyjś głos.

– Co czytasz?

Zesztywniałam i z bijącym sercem odruchowo zwróciłam się w stronę głosu. Quinn patrzył na mnie z góry, z neutralnym, czujnym wyrazem twarzy – nie licząc oczu. Jego oczy zawsze miały nieco chmurny odcień. Próbowałam zrozumieć, co on tu właściwie robi, intensywnie mrugając.

Z zażenowaniem uświadomiłam sobie, że gapię się na niego z otwartymi ustami. Zamknęłam je szybko i odwróciłam wzrok, odruchowo poprawiając włosy. Dziś były związane w ciasny koczek i zachowywały się całkiem grzecznie, czego nie można było powiedzieć o pozostałych częściach mojego ciała.

Chrząknęłam i pokazałam mu okładkę książki, po czym znowu podniosłam na niego wzrok. Zauważyłam, że nie miał dziś na sobie uniformu ochroniarza. Zamiast tego ubrany był w bardzo ładny, szary garnitur z wełny, białą koszulę i szary krawat poprząkany błękitnymi nitkami jedwabiu. Gdybyśmy byli w wiktoriańskiej Anglii, określiłabym go mianem „nadobnego”. Skoro jednak żyliśmy w dwudziestym pierwszym wieku, uznałam, że trafniejsze będzie określenie „jak z okładki magazynu modowego GQ”.

– Hmm... – Wyciągnął szyję i pochylił się, żeby przeczytać tytuł na okładce, po czym wyprostował się z nieodgadnią miną. Jego wzrok przebiegł po mojej twarzy. – Czytasz komiksy?

Kiwnęłam głową, w zamyśleniu gładząc okładkę. Jak zwykle w jego obecności, gdy był taki męski i przystojny, kompletnie zaschło mi ustach.

– Owszem, czytam – odpowiedziałam wreszcie.

– Hmm – mruknął znowu. Przez chwilę mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem i wtedy, jak na zawołanie, pojawiło się to ciepłe uczucie towarzyszące mi zawsze w jego obecności, rozlewające się z dołu brzucha aż po szyję i czubki palców.

– Przesuń się – zarządził nagle, po czym chwycił moją torebkę, leżącą obok mnie na ławie, i położył ją po drugiej stronie stołu. Postawił swoją tacę z jedzeniem obok mojego pustego opakowania po kanapce, zdjął marynarkę, złożył pieczolowicie i umieścił na mojej torebce.

– Yyy, ja... – Kompletnie wytrącona z równowagi próbowałam wcisnąć się w jak najdalszy koniec ławy, żeby mógł usiąść obok, ale z marnym skutkiem. Nie było to miejsce wystarczająco szerokie dla dwóch osób – może nadałoby się dla jednej i trzech czwartych, co oznaczało, że nawet kiedy siedziałam oparta plecami o ścianę, wielki facet

jak Quinn i kobieta o szerokich biodrach jak ja, ledwo się mieściliśmy. Kiedy się wreszcie usadowił, nasze nogi stykały się od biodra aż po kostkę.

Przygryzłam dolną wargę i położyłam książkę na kolanach. Być może był to efekt lektury komiksu w połączeniu z nagłą bliskością Quinna i z poczuciem uwięzienia przez jego masywną sylwetkę – cokolwiek to było, poczułam, że robi mi się trochę słabo.

– Trochę tu ciasno – zauważył z uśmiechem, zwracając się w moją stronę i odpakowując kanapkę. Nasze twarze były w odległości kilkunastu centymetrów od siebie.

– Ja, eee, mogę sobie pójść, jeśli...

– Nie, nie. Zostań. Jak ci się podoba w twojej nowej pracy? – zapytał, wgryzł się w kanapkę i popatrzył na mnie wyczekująco.

– Podoba mi się. – Musiałam się porządnie koncentrować, żeby oddychać normalnie. Jego bliskość doprowadzała mnie do obłędu. Odnosiłam wrażenie, że gdziekolwiek bym teraz nie spojrziała, będę widzieć i jego. Uznałam, że najbezpieczniej będzie patrzeć na jego ręce. W jednej trzymał kanapkę z pieczoną wołowiną, a w drugiej ścisnął serwetkę. – Bardzo mi się podoba. Dopiero zaczynam i, eee... – Nagle zmartwiałam i wypuściłam powietrze z ust. Nie byłam pewna, czy mogę rozmawiać z Quinnem o pracy. Ani razu nie widziałam go jeszcze w biurze i z tego, co się zorientowałam, nie miał swojego biura na moim piętrze.

Najwyraźniej rozważałam tę kwestię nieco za długo, bo po kilku chwilach Quinn zapytał:

– Coś się stało?

– Nie, nic. Po prostu... – Napotkałam jego pytające spojrzenie. – Nie jestem pewna, czy mogę ci o tym mówić.

Zmrużył oczy.

– Nie rozumiem.

– Nie powinnam mówić nikomu o tym, co robię w pracy.

Zamrugął.

– Co takiego?

– Podpisałam klauzulę poufności – uśmiechnęłam się przepraszająco.

Odłożył kanapkę i spojrzał na mnie jakby z niedowierzaniem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zamknął je i roześmiał się krótko.

– Janie, zaufaj mi, ze mną możesz rozmawiać. To moja firma.

Zgarbiłam się troszkę.

– Tak, wiem, że też tam pracujesz. Przepraszam, po prostu nigdy wcześniej nie musiałam podpisywać klauzuli poufności i nie chcę popełnić żadnego błędu.

Jego uśmiech rozciągnął się nieznacznie, a wzrok wędrował po mojej twarzy. W jego oczach pojawiły się iskierki śmiechu, kiedy wyciągał z kieszeni komórkę.

– Zadzwoń do Carlosa. Jeśli on powie, że możesz swobodnie ze mną porozmawiać, porozmawiamy?

Bez zastanowienia położyłam dłoń na jego dłoni, żeby go powstrzymać.

– Nie, nie rób tego. Masz rację, to głupie z mojej strony. Po prostu nie chcę niczego zepsuć. Wszyscy są tacy mili, że aż trudno w to uwierzyć. W ogóle biuro wydaje się zbyt

piękne, żeby było prawdziwe, i sama praca wydaje się zbyt fajna, żeby była prawdziwa. Kiedy połączyć to wszystko razem, można tylko czekać, aż upadnie drugi but<sup>[6]</sup> – westchnęłam. – Chociaż w sumie, nie, pierwszy but jeszcze nie upadł, więc to nie jest idiom odpowiedni do sytuacji, nawet jeśli wywodzi się z miast takich jak Chicago. – Cofnęłam dłoń i położyłam ją na książce, nerwowo skubiąc okładkę.

Quinn pokręcił głową. Zauważyłam, że jego zazwyczaj obojętny, sokoli wzrok wydawał się teraz łagodniejszy i bezpośredni.

– Janie, o czym my właściwie rozmawiamy?

– O pochodzeniu idiomu, którego właśnie użyłam: czekać, aż spadnie drugi but. Wiedziałaś, że wywodzi się z miast takich jak Chicago czy Nowy Jork?

– Nie, nie wiedziałem – odpowiedział, przekrzywiając głowę na bok. Unosił jeden kącik ust do góry, jakby próbował powstrzymać śmiech. – Opowiedz mi o tym.

Czułam, że znów się ze mną droczy.

– No więc tak właśnie było.

Uniósł brwi.

– To tyle? Nie podzielisz się ze mną szczegółami jego pochodzenia?

Potrząsnęłam głową.

– Nie znam szczegółów.

W odpowiedzi również potrząsnął głową, naśladując mój ruch.

– Kłamiesz. Na pewno znasz.

– Nie, nie znam.

– To tak jak z tymi ssakami – westchnął i położył telefon na stole. – Znowu skąpisz informacji – stwierdził, zanim ugryzł kolejny kęs kanapki.

– To nieprawda – spochmurniałam jeszcze bardziej.

Jego słowa były trochę zniekształcone, kiedy oznajmił między jednym kęsem a drugim:

– Rozmyślnie dawkujesz informacje.

– Co takiego?

– Albo może rzeczywiście nie znasz pochodzenia tego idiomu, tylko wymyślasz różne rzeczy, żeby mi zaimponować – powiedział i ponownie wbił zęby w kanapkę.

– Nie, wcale nie! Ten idiom pochodzi z czasów rewolucji przemysłowej z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Wszystkie mieszkania w danym budynku budowane były wtedy w oparciu o ten sam plan. Sypialnia jednego mieszkańca była dokładnie pod sypialnią mieszkańca, piętro niżej. Dlatego słyhać było, kiedy sąsiad z góry zdejmował jeden but, a potem drugi, szykując się do spania.

– Ciekawe, co jeszcze słyszeli – powiedział, patrząc mi w oczy z nagłą intensywnością.

– Cokolwiek, co było wystarczająco głośne.

Uśmiechnął się szeroko, a potem roześmiał – tubalnym, donośnym śmiechem. Podobał mi się jego śmiech i w odpowiedzi uśmiechnęłam się ostrożnie. Jednak w mojej głowie cały czas kotłowały się mieszane uczucia – byłam zadowolona, że udało mi się go rozśmieszyć, ale jednocześnie zastanawiałam się, czy nie jest to kpiący śmiech. Ostatecznie to drugie uczucie zwyciężyło. Opuściłam wzrok i znowu zaczęłam skubać

nerwowo okładkę książki. Czułam, jak po mojej szyi pełźnie w górę gorący rumieniec.

Nie przestawało zaskakiwać mnie to, jak intensywnie na niego reagowałam.

Nie chodziło tylko o jego urodę (swoją drogą cudowną niczym anielskie pierścionki), która mnie rozbrajała – w każdym razie już nie tylko. Gdyby był oszałamiająco przystojnym palantem albo bosko wyglądającym kretyńcem, ochłonięłabym dość szybko i wróciłabym do pionu. Tak się jednak niefortunnie składało, że Quinn nie był ani palantem, ani tym bardziej kretyńcem. Był najbardziej rozważnym, inteligentnym, pewnym siebie, seksownym facetem, jakiego kiedykolwiek poznałam. Zupełnie nie podobała mi się myśl, że mógłby się ze mnie śmiać.

Urwał raptownie.

– Hej, Janie, popatrz na mnie. – Uniosłam podbródek, ale nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Na jego twarzy wciąż widać było resztki uśmiechu, kiedy powiedział: – Tak się tylko z tobą droczę.

Zmusiłam się do słabego śmiechu i wzruszyłam ramionami.

– Wiem. Ja... – Z namaszczaniem spójrzałam na zegarek. – Muszę wracać do biura.

Kończy się moja przerwa obiadowa.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Po chwili chrząknął.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak tam praca.

– Fantastycznie, dlatego nie chcę wrócić za późno.

Przełknął kęs i odsunął kanapkę na bok.

– Nie martw się tym. Zadzwońię do Carlosa.

– Nie, nie rób tego.

– Mnie to nie przeszkadza.

– A mnie owszem.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, a ja, mimo że serce waliło mi jak oszałałe, w milczeniu przetrzymywałam siłę jego spojrzenia. Było mi zbyt gorąco, czułam się zbyt niepewnie, wszystko było „zbyt”. Kiedy wreszcie podniosłam wzrok i nasze spojrzenia się spotkały, jego twarz była nieprzenikniona, ale jego błękitne oczy jak zwykle płonęły intensywnie. Wreszcie wstał. Wypuściłam powietrze – dopiero wtedy orientując się, że do tej pory wstrzymywałam oddech. Kiedy zaczęłam się podnosić, wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać od stolika.

– Słuchaj – zaczął, po czym znowu chrząknął. Nadal trzymał moją dłoń, tym samym unieruchamiając mnie w miejscu. – W przyszłym tygodniu pojedziesz ze mną w kilka miejsc. W ramach wdrażania się.

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Poczułam w piersi ucisk, połączenie bólu i przyjemności na myśl o tym, że będę miała okazję spędzić z nim więcej czasu. Wreszcie zebrałam się w sobie na tyle, żeby złożyć kilka słów w sensowne zdanie.

– Ja... jakie miejsca? – wydukałam.

– Zabiorę cię na kilka spotkań z klientami korporacyjnymi.

– Steven nie wspominał nic o tej części mojego szkolenia – zauważyłam.

– Musiał zapomnieć.

– To raczej nie w jego stylu.

Quinn wyzywająco uniósł brwi.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie chcesz tego robić?

– A będziemy jeździć twoim motocyklem?

– Nie, służbowym samochodem.

– Ach. To w porządku. – Spojrzałam na nasze dłonie, nadal splecione w uścisku po tym, jak pomagał mi wstać. Miał bardzo duże dłonie. Moje wydawały się przy nich maleńkie. Było to dla mnie coś nowego, czuć się taką drobną. Przy Jonie zawsze byłam taka ogromna. Nasze dłonie były tej samej wielkości.

Quinn musiał zauważyć moje spojrzenie, bo natychmiast wypuścił moją dłoń i sięgnął po swoją marynarkę. Odłożył ją na bok i uniósł moją torebkę. Przez chwilę zdawał się przyglądać jej uważnie, zanim wreszcie przekazał ją w moje ręce.

– Dzięki. – Odebrałam ją od niego, ale nie ruszyłam się z miejsca. Zamiast tego posłałam mu delikatny uśmiech, prawie kuląc się pod siłą jego nieruchomego spojrzenia.

– Nie ma za co. Dzięki, że mogłem towarzyszyć ci przy lunchu.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie ma sprawy. Wpadaj, kiedy tylko chcesz.

– Naprawdę? Kiedy tylko chcę? – powtórzył, unosząc kącik ust. Pochylił nieco głowę, jakby chciał zmusić mnie, żebym spojrzała mu w oczy. – Uważaj na słowa, bo mogę je wziąć na poważnie. Mogę uznać, że dotyczą nie tylko lunchu, ale również obiadu i śniadania.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, sprawiły, że ścisnął mi się żołądek, a szyja zrobiła się gorąca. Zerknęłam na niego spod rzęs, niepewna, do czego to wszystko zmierza. Po kilku naszych spotkaniach, a każde było inne, nadal wszystko, co dotyczyło Quinna, sprawiało, że czułam się przewrażliwiona i skrępowana.

Jeśli spodziewał się, że w odpowiedzi zaskoczę go jakimś kokieterijnym, błyskotliwym tekstem, musiał być przygotowany na głębokie rozczarowanie. Nie byłam ekspertką w subtelnej sztuce flirtu. Odpłynęłam myślami, przypominając sobie swoje rozmowy z Elizabeth, która przekonywała mnie, że Quinn na pewno na mnie leci, a ja upierałam się, że to absurd. W sytuacji, w której taki mężczyzna odzywał się do mnie właśnie tak, okazałam się kompletnie nieprzygotowana. Wszystkie próby flirtu podejmowane przeze mnie w podobnych okolicznościach w poprzednich latach, głównie w czasach studiów, kończyły się kompletną katastrofą i powodowały ogromny dyskomfort. Albo zagadywałam zupełnie nie w porę albo wybierane przeze mnie tematy były całkowicie nietrafione.

Na przykład: feromony ścieżkowe termitów.

Teraz, stojąc z zakłopotaniem, unikając kontaktu wzrokowego, próbując odsunąć w czasie moment odpowiedzi, nie wiedziałam nawet, czy Quinn w ogóle oczekuje ode mnie flirciarskiej wymiany zdań. Mężczyźni sprawiali, że czułam się niekomfortowo, a już ten konkretny w szczególności wywracał moje wnętrze na lewą stronę – wystarczyło, że na mnie spojrzał.

Wreszcie postanowiłam zignorować zbliżające się poczucie trwogi i odpowiedzieć z kompletną szczerością. Nie było przecież nic złego w byciu szczerą. To od niego zależało, jak odczyta sobie moją odpowiedź.

Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy, ale wreszcie odpowiedziałam:

– Tak, naprawdę. Kiedy tylko chcesz. – Sama byłam zaskoczona, jak miękko zabrzmiał mój głos.

Jego twarz powoli rozjaśnił niepewny uśmiech, na widok którego z trudem łapałam oddech. Był to bardzo, ale to bardzo seksowny uśmiech. Jego wzrok zatrzymał się na moich ustach. Niemal niezauważalnie oblizał wargi. Lekko zakręciło mi się w głowie.

– To dobrze. Nie omieszkam skorzystać. – Nie przestając się uśmiechać, Quinn sięgnął po swoją marynarkę. – Chodź, odprowadzę cię.

\*\*\*

Quinn niósł lunch Betty przez całą drogę powrotną do biura. Kiedy zbliżyliśmy się do stanowiska ochroniarskiego w lobby, byłam właśnie pochłonięta wyjaśnianiem mu, w jaki sposób można by było udoskonalić struktury rozliczania Guard Security. Dan, ochroniarz z tatuażami na szyi, ten sam, który zaprowadził mnie na moją pseudorozmowę kwalifikacyjną pierwszego dnia, kiwnął głową w stronę Quinna, a potem puścił do mnie oko.

Uśmiechnęłam się i pomachałam mu życzliwie, po czym wróciłam do tłumaczenia Quinnowi impetu, jaki nadałaby analiza kosztów, nad którą właśnie pracowałam.

– Najlepsze w tej propozycji jest to, że ten software dostępny jest za darmo. – Zerknęłam w stronę Quinna, żeby zobaczyć jego reakcję na tę doskonałą wiadomość, ale ku mojemu rozczarowaniu, wyglądał na niezadowolonego. Zatrzymaliśmy się przy windzie i stanęliśmy twarzą w twarz. – Uważasz, że to zły pomysł?

Był wyraźnie spięty. Nie patrzył na mnie, tylko w kierunku lobby.

– Skąd znasz Dana? – spytał, wskazując podbródkiem w jego stronę.

– Kogo? – zerknęłam przez ramię i zobaczyłam Dana, który gapił się na nas, a właściwie na mnie. Uśmiechnęłam się do niego z zaciśniętymi ustami i wróciłam do rozmowy z Quinnem. – A, Dan, ochroniarz. Znam go tylko stąd. Drugiego dnia pomógł mi wwieźć na górę pudło z moimi utensyliami.

– Dużo ze sobą rozmawiacie? – dopytywał Quinn. Nadal na mnie nie patrzył, co mi bynajmniej nie przeszkadzało. Przypominał mi teraz jastrzębia czającego się na mysz. Stojąc tak blisko niego, widziałam, że jego lazurowe oczy płonęły.

Pokręciłam głową.

– Nie, nie bardzo. Tylko od czasu do czasu, kiedy przychodzę rano do pracy albo wychodzę na lunch. Czemu pytasz? Powinam się martwić? – zawahałam się przez chwilę. – Czy jest coś, co powinnam o nim wiedzieć? Czy to zły człowiek?

Quinn wreszcie zwrócił swoją uwagę na mnie, powodując u mnie przyływ gorąca od czubka nosa aż po palce u stóp. Jego wyraz twarzy natychmiast złagodniał. Najwyraźniej zastanawiał się, co odpowiedzieć. Wreszcie westchnął i stwierdził:

– Czytasz za dużo komiksów.

– Co takiego? – Przez chwilę chciałam zaprzeczyć jego oskarżeniu, ale zamiast tego spytałam: – Dlaczego tak twierdzisz?

Drzwi windy otworzyły się. Quinn przytrzymał drzwi, żebym weszła.

– Dobry, zły... większość ludzi plasuje się gdzieś pomiędzy.

Uniosłam brew na to stwierdzenie.

– Nie uważam, żeby to była prawda. Wydaje mi się, że jest się w stanie określić,



czy ktoś jest dobry czy zły w oparciu o jego czyny.

Był to akurat temat, któremu poświęcałam sporo czasu na rozmyślania. Obydwie moje siostry były kryminalistkami. Moja matka notorycznie zdradzała mojego tatę, by na końcu porzucić swoją rodzinę. Lubiłam etykiety. Lubiłam przypisywać ludzi i rzeczy do konkretnych kategorii. Pomagało mi to w kalibrowaniu swoich oczekiwań wobec ludzi i relacji z nimi. Gdybym nie zakwalifikowała moich sióstr jako złych osób, nie byłabym w stanie ocenić ich zachowania, tak jak to robił nasz ojciec. Nie miałam zamiaru spędzać życia na czyjejś wycieraczce w oczekiwaniu i w poczuciu rozczarowania, nieustannie mając nadzieję, że się zmieniają.

– Czy w takim razie jeden zły czyn od razu kwalifikuje daną osobę jako złą? – Quinn przyłożył dłoń do czytnika linii papilarnych, po czym wstukał kod.

– Nie. Dana osoba stanowi sumę swoich wyborów, więc w efekcie jest w dużej mierze definiowana przez swoje czyny.

– Nikt na świecie nie dokonuje samych dobrych wyborów. Wszystkim zdarzają się błędy.

– Ależ tak! Dlatego właśnie w moim przedziale ufności dobrych i złych ludzi kluczowym współczynnikiem są intencje.

Quinn ściągnął usta na bok.

– Co to znaczy „w twoim przedziale ufności dobrych i złych ludzi”? – spytał, opierając się ramieniem o ścianę windy.

– Cóż, to oczywiste, że wszyscy popełniamy błędy, ale jeśli uznajesz coś za błąd tylko dlatego, że zostałeś przyłapany, to źle. Jeśli z kolei zrozumiesz, że popełniłeś błąd, ponieważ uświadomiłeś sobie, że dokonałeś złego wyboru i podejmujesz starania, żeby się zmienić, to dobrze. Jest duża różnica między jednym a drugim.

– Czyli tak naprawdę uważasz, że człowiek jest sumą swoich intencji, a nie swoich czynów.

Drzwi windy otworzyły się. Wyszliśmy, a ja kontynuowałam swój filozoficzny wywód.

– Nie. Bez czynów dobre intencje nie mają żadnego znaczenia.

Niespodziewanie zarejestrowałam, jak przyjemnie i bezstresowo toczy się nasza konwersacja. O dziwo, im bardziej zagłębialiśmy się w temat, mrowienie, które odczuwałam nieustannie w obecności Quinna, zdawało się odpuszczać. Czułam się niemal zrelaksowana. Minęliśmy Keirę, która kiwnęła w moją stronę na powitanie, ale natychmiast przestała stukać w klawiaturę, kiedy zobaczyła Quinna.

Zanim zdążyłam spytać ją, czy wszystko w porządku, Quinn zadał pytanie:

– A co z osobą, która ma dobre intencje, ale nie podejmuje działania? – Jego ręka spoczęła na dole moich pleców, kiedy szliśmy korytarzem w stronę mojego pokoju.

– Jest leniwa.

Staliśmy już praktycznie w moich drzwiach, kiedy zatrzymał mnie, ściskając delikatnie mój łokieć.

– A jak nazwiesz kogoś, kto ma złe intencje, ale czyni dobrze, albo kto ma dobre intencje, ale czyni źle?

– Głupkiem.

Rozważał moje słowa przez dłuższą chwilę. Miał zmarszczone brwi, ale na jego ustach błąkał się uśmiech.

– Popraw mnie, jeśli się mylę: w twojej opinii, na świecie są cztery kategorie ludzi: dobrzy, źli, leniwi i głupi. Zgadza się?

Mój wzrok krążył po twarzy Quinna, kiedy analizowałam jego podsumowanie mojej filozofii.

– Mniej więcej by się zgadzało. Pomyśl o tym jako o wykresie liniowym na ćwiartkach układu współrzędnych.

Zamrugnął.

– Obawiam się, że musisz użyć innej analogii. Nie jestem ekspertem w dziedzinie wykresów liniowych ani układów współrzędnych.

Roześmiałam się i podeszłam do swojego biurka.

– W porządku. Wyobraź sobie mapę Stanów Zjednoczonych. Podziel ją na ćwiartki: północną, wschodnią, południową i zachodnią. Powiedzmy, że najczęściej podróżuję na północ, ale czasem zdarza mi się wyruszyć na wschód. Jeszcze kiedy indziej jeżdżę na północny wschód, a sporadycznie wybieram południe. Każda moja podróż to kropka na mapie. Ta część, na której jest najwięcej kropek, reprezentuje twoją osobowość.

– Czyli ktoś może być dobrym człowiekiem z tendencją do bycia nieco przygłupim.

Powoli przytaknęłam.

– Tak, dokładnie. Weźmy na przykład mnie. Bez wahania jestem w stanie powiedzieć o sobie, że jestem dobrą osobą, z tendencją do bycia leniwą i czasami głupią, szczególnie jeśli chodzi o decyzje i działania niezwiązane z pracą.

– A do jakiej kategorii zaliczyłabyś mnie?

Nasze spojrzenia spotkały się. Quinn stał przede mną w swobodnej pozycji, z obojętną miną niezdradzającą żadnych emocji, ale jego oczy były nieruchome i zdawały się przeszywać mnie na wskroś. Znajome mrowienie natychmiast powróciło. Serce zaczęło mi bić szybciej, poczułam na szyi gorąco.

– No cóż... – Oddech miałam teraz nieco nierówny i oparłam się dłońmi o biurko, głównie dla zachowania równowagi. Stał w odległości pół metra ode mnie, tak że obydwójmy znajdowaliśmy się za biurkiem. Musiałam zadrzeć głowę do góry, jeśli miałam utrzymać z nim kontakt wzrokowy. – Nie uważam cię ani za głupiego, ani za leniwego.

– Hmm... – Przez jego twarz przemknął krótko cień uśmiechu. – Zostają nam w takim razie dwie opcje, jestem albo dobry, albo zły.

– Zakładam, że jednak dobry.

– A to dlaczego?

– Bo pomogłeś mi wtedy w klubie, no i polecieś mnie tutaj... – Oblizyłam usta. Czulałam kompletną suchość w gardle. – Właściwie wciąż jeszcze nie zwróciłam ci ubrań twojej siostry ani nie podziękowałam za załatwienie rozmowy o pracę.

Jego spojrzenie straciło ostrość. Spoważniał. Niespodziewanie zrobił krok do tyłu i wbił wzrok w podłogę. Uniósł rękę, w której trzymał jedzenie.

– Idę zanieść to Betty i wpadnę po drodze do Stevena porozmawiać z nim o twoim szkoleniu. Zobaczymy... – Potarł dłonią kark. – Zobaczymy się jutro.

Nagle przypomniałam sobie, że obiecałam Elizabeth, że zapytam o incydent

w Salce Baldachimowej i o czyjaś domniemaną tendencję do odurzania kobiet. Bez zastanowienia zrobiłam dwa kroki w jego stronę.

– Poczekaj. Muszę cię jeszcze o coś spytać.

Zatrzymał się, podniósł na mnie wzrok i czekał cierpliwie i z zainteresowaniem, aż rozwinę myśl. Usiłowałam przełknąć ślinę, ale miałam ściśnięte gardło. Nie wiedziałam jak, więc po prostu zaczęłam mówić.

– No, to jeszcze co do tego, co się wydarzyło wtedy w klubie... chciałam zapytać... to znaczy... co się stało z tym człowiekiem, który, no wiesz, który podał mi benzodiazepiny?

– Został aresztowany – odpowiedział po prostu.

Wpatrywałam się w niego z nieukrywanym zaskoczeniem.

– Aresztowany?

Quinn przytaknął. Jego wyraz twarzy był neutralny i zupełnie nieodgadniony.

– Czy muszę coś robić w związku z tym? Złożyć jakieś zeznania?

– Nie. Nie został aresztowany za podanie ci pigułki gwałtu. Aresztowano go za coś innego.

– Ach, tak – westchnęłam, rozważając przez chwilę jego słowa. – Kim on jest? Za co go aresztowano?

– Taki tam facet. Nie martw się. Nie będzie miał już okazji cię nachodzić. – To mówiąc, Quinn odwrócił się i wyszedł z mojego pokoju.

Wpatrywałam się w drzwi z uczuciem ulgi i dezorientowania. Nie byłam do końca pewna, jak powinnam odebrać ostatnią część naszej rozmowy. Zanim jednak pograżyłam się w głębszych rozważaniach, do pokoju wpadła Olivia Merchant. Nie patrzyła w moją stronę, tylko na korytarz, w stronę, w którą odszedł Quinn.

– Czy to był pan Sullivan? – Olivia brzmiała, jakby była równie zaskoczona jak ja w tym momencie.

Kilkukrotnie miałam już styczność z Olivią, sekretarką Carlosa. Nie uznałam jej ani za głupią, ani za dobrą, ani złą. Nie była zbyt wydajnym pracownikiem, ale potrafiła robić wokół siebie zamieszanie, kiedy tylko Carlos był w pobliżu. Nie przeszkadzała mi, musiałam tylko znaleźć sposób na to, żeby wykonywała zlecane przeze mnie zadania albo znaleźć metodę na obejście jej przy załatwianiu swoich spraw.

– Tak, to był on. – Stałam przy swoim biurku, opierając się o nie ciężko. Byłam nieco skołowana. Gdyby nie to, pewnie zwróciłabym uwagę na fakt, że był to pierwszy raz, kiedy Olivia zajrzała do mnie, żeby porozmawiać.

– Co on tu robił? – zwróciła się do mnie, opierając ręce na biodrach. Ponownie – gdybym nie była tak skołowana – zauważyłabym jej nieco oskarżycielski i podejrzliwy ton głosu.

– Znosi Betty lunch.

Wyprostowała się i opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Ach, tak. No cóż, to miło z jego strony.

Kiwnęłam głową. To było miłe z jego strony. Miłe było to, że siedział ze mną w trakcie lunchu, że odprowadził mnie do pracy i pozwolił mi na moje głupie rozważania filozoficzne. Nie wydawał się miły, przystępny ani bezpieczny, ale Quinn Sullivan

zdecydowanie *był* miłym facetem.

Był dobrym facetem.

Olivia mruknęła pod nosem coś o pogadaniu z Keirą, a potem wyszła. Nie zwracałam na nią większej uwagi. Byłam podekscytowana, zdenerwowana i zdezorientowana.

Wyglądało na to, że część jutrzejszego dnia spędzę z Quinnem.

Popędziłam do domu, do Elizabeth, żeby opowiedzieć jej o wszystkim i dać się pochłonać typowo babskim, w moim mniemaniu, rozrywkom: rozkładaniu na części pierwsze wszystkich szczegółów mojej wymiany zdań i czasu spędzonego z Quinnem Sullivanem, znanym również jako Pan Ciacho. Niestety, kiedy dotarłam do domu, zastałam karteczkę od Elizabeth. Informowała mnie, że wpadł jej niespodziewanie dyżur w szpitalu i że powinnam pilnie zająć się poszukiwaniem mieszkania z dwiema sypialniami w rozsądnej cenie.

Zamiast więc pławić się w kobiecych pogaduszkach, musiałam zadowolić się babskim serialem na BBC i przeglądaniem strony Craigslist w poszukiwaniu nowego miejsca zamieszkania. Prawda była jednak taka, że wcale nie spieszyło mi się do wyprowadzki. Lubiłam spać na kanapie. Było to miłe uczucie, jakbym każdą noc spędzała na nocowaniu u koleżanki. Lubiłam tymczasowość tego stanu.

Następnego dnia byłam ledwo żywa z nerwów i ekscytacji. Obudziłam się o wiele za wcześnie i wyszłam z domu dopiero po przymierzeniu absolutnie każdej części garderoby, jaką posiadałam. Wreszcie zdecydowałam się na białą koszulkę z szerokim okrągłym dekoltem, ciemnoniebieskie spodnie i buty na obcasie, pod kolor. Miałam poczucie, że osiągnęłam swój cel, jakim był profesjonalny wygląd bez przesadnego starania się. Tyle tylko, że czekając na pociąg, zaczęłam zastanawiać się, czy nie postarałam się za mało.

Martwiłam się, że wyglądam nudno.

Niemal natychmiast wyparłam to przypuszczenie ze swoich myśli. *Quinn Herr Ciacho Sullivan jest moim kolegą z pracy; nie jest mną zainteresowany, więc nie obchodzi go, co mam na sobie, bo nawet tego nie zauważy* – zgałę samą siebie.

Ta myśl sprawiła, że poczułam się lepiej i nieco gorzej jednocześnie.

Kiedy dotarłam do pracy, zaszłam najpierw do pokoju Stevena, żeby dopytać, czy powinnam się jakoś specjalnie przygotować albo wziąć coś konkretnego na szkolenie.

Steven wzruszył tylko ramionami.

– Nie. Pan Sullivan nie mówił mi zbyt wiele na ten temat, ale w sumie nie ma co się dziwić, nie należy w końcu do specjalnie gadatliwych. Najprawdopodobniej pokaże ci którąś z nieruchomości i w ciągu godziny będziecie z powrotem w biurze.

Steven nacisnął przycisk rozmowy konferencyjnej na swoim telefonie, po czym syknięciem przegonił mnie ze swojego biura.

Cały poranek czekałam na telefon od Quinna. Pozostawałam w zasięgu słuchu swojego służbowego telefonu i podskakiwałam nerwowo za każdym razem, kiedy słyszałam dźwięk cudzego telefonu. Około piętnastej zerknęłam na zegarek po raz czterdziesty drugi tego dnia i po raz kolejny poczułam rozczarowanie.

Nadal nie zadzwonił, a minęła już pora lunchu. Ostatnią rzeczą, jaką jadłam, było śniadanie o szóstej rano, składające się z dwóch jajek na twardo. Na dodatek za trzy godziny musiałam być na South Side, na moich czwartkowych lekcjach. Postanowiłam utopić swój smutek i rozczarowanie w tłuszczu z włoskiej kanapki z wołowiną ze Smith's Take-away and Grocery.

Wszystko poszło nie tak, kiedy pobiegłam po lunch dla siebie i Betty, jako że byliśmy jedynymi osobami w całym biurze, które jeszcze nie jadły. W ciągu siedemnastu minut, które zajęło mi przyniesienie lunchu, Quinn zdążył zostawić mi na sekretarce dwie wiadomości.

Pierwsza brzmiała opryskliwie: „Oddzwoń jak najszybciej”.

Druga była jeszcze mniej rozbudowana.

Musiał zadzwonić tuż po moim wyjściu. Serce podskoczyło mi na dźwięk jego głosu, kiedy sprawdzałam nagrania na sekretarce jedną ręką, w drugiej trzymając swój lunch na wynos. Potem do mojego pokoju wpadła Keira, ze słuchawką bluetooth w uchu. Poinformowała mnie, że ma na linii pana Sullivana, który prosił, żebym spotkała się z nim w Starbucksie na rogu.

Natychmiast porzuciłam myśl o zjedzeniu czegośkolwiek i zjechałam windą na dół. Byłam pobudzona. Byłam spięta. Jak się okazało, w jego obecności obydwie te uczucia były gwarantowane. Kiedy go zauważyłam, serce podeszło mi do gardła na widok jego surowej miny i przedmiotu, który trzymał w ręku.

Kiedy stanęliśmy naprzeciwko siebie przy kawiarnianej ladzie, mogłam przyjrzeć się narzędziu mojej zguby w jego dłoni: mały, płaski prostokąt z lśniącym ekranem i tylko jednym przyciskiem. Niemal wszyscy w Cypher Systems mieli służbowe telefony.

Oczywiście było to jak najbardziej sensowne, co nie oznaczało wcale, że musiało mi się to podobać.

Z rękami opartymi na biodrach zerknęłam pogardliwie na komórkę.

– Co to jest?

Uśmiechnął się jakby mimo woli, jakby chciał ukryć twarz za obojętną maską, ale mu się to nie udawało.

– A jak myślisz?

– Nie wierzę w telefony komórkowe – oznajmiłam.

Równie dobrze mogłam powiedzieć, że nie wierzę w prawa termodynamiki.

– Nie rozumiem... – Czulałam na sobie jego świdrujące spojrzenie. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Jego zazwyczaj stoicka mina drażnięta była niedowierzaniem.

Nerwowo przestępowałam z nogi na nogę, wyginając palce dłoni.

– To znaczy, że nie chcę nosić przy sobie telefonu.

– To nie jest prośba – wyciągnął do mnie swoją wielką rękę i umieścił telefon w mojej dłoni.

– A co z Carlosem? Co on na to?

– To był jego pomysł.

Jego kontra w ogóle mnie nie spieszyła. Być może wynikało to z faktu, że kilka dni temu obudziłam się półnaga w mieszkaniu jego siostry, a może z tego, że zaledwie dzień wcześniej zaszło między nami coś na kształt flirtu, a może po prostu do głosu dochodziła moja autentyczna, szczerza niechęć do noszenia przy sobie telefonu komórkowego. Cokolwiek to było, stałam się niespodziewanie przynajmniej w pewnym stopniu odporna na pandemonium, jakie zazwyczaj odbywało się w moim wnętrzu w reakcji na jego bezpośrednią bliskość.

– Nie, to nie był pomysł Carlosa – zaproponowałam. – To twój pomysł. Pewnie ty go

na to namówiłeś.

– W porządku, niech będzie, to mój pomysł, a Carlos zgadza się ze mną w stu procentach. A ponieważ Carlos jest twoim szefem, więc... – uniósł brwi i czekał, aż sama poskładałam wszystko w całość.

Wyzywająco zadarłam podbródek. Jego dłonie otulały moją dłoń, a ja z całych sił starałam się nie emocjonować tym, jednak kompletnie wyprowadzał mnie z równowagi kontrast między delikatnością jego dotyku a natarczywością spojrzenia. Jego kciuk delikatnie zataczał kółka na wierzchu mojej dłoni. Kurczowo przyciskałam swój gniew do piersi niczym ostatnią parę przecenionych szpilek Jimmy Choo w moim rozmiarze.

Wreszcie powiedziałam jedyną rzecz, jaka w tym momencie przyszła mi do głowy.

– To kwestia osobistego wyboru. Nie chcę go.

Westchnął, wyraźnie poirytowany.

– Dlaczego?

– Bo... bo... – wstrzymałam oddech, nie chcąc wyjaśniać mu swojej niekonwencjonalnej antypatii do konwencjonalnej technologii. Nie mogłam się jednak powstrzymać. Jego bliskość, moja dłoń w jego dłoniach, drobny, okrężny ruch jego kciuka, a nawet jego lekko zafrasowane spojrzenie – wszystko naraz sprawiło, że tama blokująca mój nerwowy słowotok puściła.

– Bo... czy tak naprawdę jesteśmy tutaj, naprawdę żyjemy, jeśli kontaktujemy się ze światem za pośrednictwem małego, czarnego pudełka? Słyszałeś o mózgu w naczyniu? Nie chcę tak. Nie chcę, żeby mój umysł był karmiony informacjami za pośrednictwem maszyny pełniącej niemal funkcję implantu mózgu tak długo, żebym przestała odróżniać fikcję od rzeczywistości. Widzisz tych wszystkich ludzi wokoło? – Wskazałam wolną ręką w stronę kolejki klientów czekających na swoją kawę. – Spójrz tylko na nich. Na co oni patrzą? Nie patrzą na siebie nawzajem, nie podziwiają obrazów na ścianach ani nieba za oknem. Wpatrują się w swoje telefony. Nerwowo wyczekują każdego piknięcia, powiadomienia, SMS-a, tweeta, nowego statusu. Nie chcę stać się kimś takim. I bez tego jestem wystarczająco rozkojarzona w realnym, namacalnym, prawdziwym świecie. Zaakceptowałam komputer jako narzędzie wysoce przydatne w pracy i przy sprawdzaniu różnych informacji, w wolnym czasie zdarza mi się nawet korzystać z laptopa, ale w przypadku telefonów komórkowych jestem nieugięta. Jeśli będę odczuwała zapotrzebowanie na media społecznościowe, zapiszę się do klubu książki. Nie dam sobie założyć obroży i smyczy, nie pozwolę, żeby ktoś śledził mnie jak zaczipowaną orkę w oceanie.

Pod koniec mojego wywodu brakowało mi już nieco tchu, kiedy wycofałam swoją dłoń spomiędzy jego palców, zostawiając komórkę w jego dłoniach. Starałam się omijać wzrokiem jego i te przeklęte niebieskie oczy.

Ponownie umieścił telefon w mojej ręce.

– Jakkolwiek wizja ciebie w obroży i na smyczy brzmi obiecująco, telefon komórkowy jest po to, żeby łatwo się było z tobą skontaktować.

– Chyba żeby łatwo mnie było uwiązać i skępować – przerwałam mu.

– Janie, gdybym chciał cię skępować, użyłbym sznura. – Kiedy to mówił, jego głos był cichy i łagodny. Ton mogłam określić tylko jako intymny.

Znienacka spojrzałam mu prosto w oczy, zaskoczona tym brzmieniem, ale pod jego spojrzeniem natychmiast zabrakło mi słów. Przysunął się bliżej, górując nade mną tak, że musiałam zadzierać wysoko głowę. Jego usta układały się w cień uśmiechu, bardziej łobuzerskiego niż pochmurnego. Zamrugałam, speszona intensywnością jego spojrzenia i oparłam się łokciem o ladę dla równowagi.

Poczułam, jak fala gorąca napływa do szyi i wypełza na policzki.

– Rozumiem, o co ci chodzi. – Popatrzyłam na niego poważnie. Irytacja, którą odczuwałam, tylko pompowała moją pewność siebie.

Uniósł brew i oparł się o ladę, naśladując pozycję, w której sama stałam.

– O co takiego mi chodzi?

– Znowu się ze mną droczysz, zupełnie jak wczoraj. Próbujesz wytrącić mnie z równowagi – powiedziałam, kładąc telefon na ladzie.

– Nie próbuję wytrącić cię z równowagi – odpowiedział. Jego wzrok wędrował po mojej twarzy.

Zacisnęłam mocno zęby w nadziei, że w ten sposób łatwiej mi będzie zapanować nad rumieńcem i przyspieszonym biciem mojego głupiego serca.

– Właśnie, że tak. Ale to ci się nie uda.

Uśmiechnął się nieco szerzej, ale nadal delikatnie. Jego spojrzenie intensywnie, ale leniwie kontynuowało wędrówkę po moich rysach.

– A to dlaczego?

Nie odzyskałam pełnej przytomności umysłu, ale za to odzyskałam głos. Zaczęłam gadać bez zastanawiania się nad swoimi słowami:

– Bo nikt nie używa lin. Używają sieci. Śledzą orki w rejonie między Alaską i Hawajami, żeby określić ich ścieżki migracyjne, rytuały związane z łączeniem się w pary, przyrost naturalny. To naprawdę fascynujące. Wiedziałaś, że większość męskich osobników orzek oceanicznych, żyjących w zamknięciu, czyli jakieś sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent, cierpi z powodu klapniętej płetwy grzbietowej?

– Naprawdę? To bardzo interesujące. A co to takiego? – Jego głos był jak spiż, ale z jego twarzy nie schodził niebezpieczny uśmiech. Zrobiłam krok do tyłu.

– Klapnięta płetwa grzbietowa jest wtedy, kiedy ta sztywna płetwa na ich grzbiecie opada na bok i nie mogą unieść jej z powrotem. Naukowcy podejrzewają, że to dlatego, że gdy samce są w niewoli, nie są w stanie zanurzyć się wystarczająco głęboko, dlatego płetwa opada. I dlatego właśnie nie chcę komórki. Nie chcę mieć klapniętej płetwy.

Z każdym słowem mojej litanii uśmiech Quinna i czająca się w jego spojrzeniu pieśczoła bladły coraz bardziej. Spojrzał mi w oczy i zamrugał, jakbym właśnie powiedziała coś zupełnie zwariowanego albo przerażającego. Quinn potrząsnął głową, a potem odwrócił się, najpewniej po to, żeby pozbierać myśli.

– Posłuchaj mnie – niemal warknął, zgarnął telefon z lady i stanowczo wcisnął mi go do dłoni. Szybko założył ręce na piersi, zaciskając dłonie w pięści. – Masz nosić przy sobie ten telefon i koniec. – Ton jego głosu nie pozostawiał zbyt wiele miejsca na negocjacje, nawet kiedy szedł na ustępstwa, ale jego charakterystyczne, trochę niebezpieczne spojrzenie znowu wróciło na swoje miejsce. – Nie musisz się w niego wpatrywać. Musisz po prostu odbierać, kiedy dzwoni. Nikt nie będzie wysyłał do ciebie



SMS-ów, obiecuję. A nawet jeśli tak się zdarzy, możesz je po prostu zignorować. Używaj go tak jak telefonu stacjonarnego, i tyle. Możesz nawet wykorzystywać go do rozmów prywatnych. – Jakkolwiek trudno było w to uwierzyć, wydawał się jeszcze bardziej zaaferowany i zdystansowany niż zwykle.

– Co nie zmienia faktu, że nadal można go używać do namierzania mojej lokalizacji, więc nadal będę jak ten wieloryb... – Przełknęłam ślinę, kiedy moje palce zaciskały się powoli na telefonie, pieczętując swój los. – Nadal istnieje zagrożenie, że będę mieć klapniętą płetwę. Chcesz, żebym miała klapniętą płetwę? Nie możesz powiedzieć Carlosowi, że to zły pomysł? Powiedz mu, że popełniłeś błąd. Może cię posłucha.

Jego wędrujący wzrok zatrzymał się na mojej szyi.

– Wiesz, na czym polega twój problem?

Zmartwiłam się na te słowa i natychmiast rzuciłam mu groźne spojrzenie. Instynktownie skrzyżowałam ręce na piersi.

– Uważasz, że mam jakiś problem?

– Owszem, masz problem. – Skierował swoje świdrujące niebieskie oczy na moją groźną minę i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam, że nie wyglądał już wcale na zdenerwowanego. Wyglądał raczej na skupionego i bardzo zdeterminowanego. Zirykowało mnie to.

– Ach tak? – wypaliłam bez zastanowienia. – Nie mogę się doczekać, powiedz mi, proszę, jaki to twoim zdaniem mam problem. Znasz mnie w końcu całe trzy tygodnie, to świetnie, że już teraz udało ci się mnie zdiagnozować. Proszę, mów, to napięcie mnie wykończy. Oświeć mnie, proszę, o wielki odkrywco ludzkich problemów. – Kiedy tylko słowa wypłynęły z moich ust, aż się zachłysnęłam. Poziom mojego napędzanego irytacją sarkazmu osiągnął masę krytyczną i najwyraźniej nie byłam już w stanie go kontrolować.

– Jesteś niesamowicie utalentowana i jesteś jedną z najinteligentniejszych osób, jakie w życiu spotkałem.

– Tak, rzeczywiście – przerwałam mu. – To brzmi jak poważny problem. Przekonałeś mnie.

– Ale zupełnie nie dostrzegasz pewnych oczywistości.

Poczułam, że znowu się rumienię. Zacisnęłam zęby.

– Cóż, *oczywiście* masz rację. *Oczywiste* jest, że powinnam po prostu nosić przy sobie komórkę. – Wsunęłam telefon do kieszeni. – Naprawdę, Quinn, dziękuję ci bardzo za zwrócenie uwagi na moje błędy w postępowaniu. – Rzuciłam mu słodki uśmiech i minęłam go, ruszając w kierunku drzwi.

Nie zdążyłam zrobić nawet kroku, kiedy zatrzymał mnie, chwytając za ramię tuż nad łokciem.

– Przecież nie mówię o telefonie, do cholery jasnej.

– Muszę wracać do pracy. – Zrobiłam krok do tyłu i wyplątałam się z jego uścisku. Wtedy on z kolei zrobił krok naprzód, skutecznie blokując mi przejście. Nie miałam zamiaru spojrzeć mu w oczy.

– Jesteś na mnie zła – westchnął.

– Nie jestem zła. Ja się nigdy nie złościę.

– W takim razie bardzo dobrze udajesz złość.

„A może rzeczywiście jestem zła?” – pomyślałam. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek była zła, nawet kiedy moja mama nas porzuciła, nawet kiedy Jem dołała mi wódki do soku przed egzaminami, nawet kiedy Jon zdradził mnie z jakąś przypadkową laską. Byłam wytrącona z równowagi, wzburzona i bardziej poirytowana niż kiedykolwiek wcześniej.

Uniosłam dłoń do czoła i pomasaowałam okolice skroni.

– Posłuchaj – fuknęłam. Stał o wiele za blisko. Kiedy moje ciało pragnęło opleść go jak winorośl drzewo, nie byłam w stanie używać swojego mózgu. – Nie jestem na ciebie zła. Odczuwam po prostu zupełnie irracjonalną nienawiść do telefonów komórkowych. Ty jesteś tylko posłańcem.

– Zobaczysz, nie będzie tak źle, jak ci się wydaje. – W jego głosie słychać było skruchę.

– Już teraz jest wystarczająco kiepsko. – Spojrzałam na niego, mrużąc z niezadowoleniem oczy.

– Będę codziennie wysyłał ci dowcipy – oznajmił śmiertelnie poważnym tonem, ale w jego oczach czaiły się chochliki. Położył obydwie dłonie na ładzie, o którą opierałam się plecami, tak że znalazłam się pomiędzy nimi. Zdawał się wypełniać sobą całą przestrzeń wokół mnie.

Chrząknęłam, żeby sprowadzić się do pionu. Moja irytacja zdawała się topnieć z każdą chwilą, przeobrażając się w zupełnie inne, cieplejsze uczucie. Próbowałam się skoncentrować.

– Przecież mówiłeś, że nie będę dostawać żadnych SMS-ów.

– Tylko ode mnie. I nie będziesz musiała na nie odpowiadać.

– Nie mam zamiaru. Nie będę ich nawet czytać.

Na jego twarzy powoli pojawił się ten seksowny uśmiech, przed którym nie potrafiłam się obronić.

– Oczywiście, że będziesz je czytać. Będziesz czytać moje SMS-y – pokiwał powoli głową, jakby chciał podkreślić w ten sposób swoją niezachwianą pewność.

Próbowałam się nie uśmiechać. Udało mi się tylko częściowo.

– Nadal jestem na ciebie zła.

– Mówiłaś przecież, że nie jesteś na mnie zła.

– Patrząc wstecz, wydaje mi się, że jednak byłam... – Próbowałam zrobić krok w bok, ale natknęłam się na nieruchomy mur jego ramienia. – Jestem zła.

– I co możemy z tym zrobić? – Jego wzrok błędził po mojej twarzy.

Starłam się opanować drżenie głosu. Jego bliskość sprawiała, że mój żołądek zwijał się w ciasny supeł. Czy on naprawdę nie wiedział, czym jest osobista przestrzeń?

– Mógłbyś zacząć od zejścia mi z drogi. Zbyt długo nie ma mnie już w biurze, a mój bardzo późny lunch jest już teraz zupełnie zimny.

Kiedy zrobił krok w tył, odetchnęłam z ulgą, musniętą lekko półświadomym poczuciem rozczarowania. Wyprostował się i opuścił ramiona wzdłuż ciała. Nagle stało się dla mnie jasne, że jakkolwiek nie spędziliśmy razem zbyt dużo czasu, nasze wspólne chwile pomogły mi poczuć się przy nim nieco swobodniej. Gdyby osaczył mnie w ten

sposób tego dnia, kiedy wyprowadzał mnie z mojej poprzedniej pracy, podejrzewam, że albo doszłoby do mojego samospalenia z pożądania albo zapadłabym w śpiączkę z nadmiaru rozkoszy.

Odnosiłam wrażenie, że powoli się zaprzyjaźniamy, albo przynajmniej zaczynamy lubić. Nie widziałam w nim już tylko smakowitego, umięśnionego ciacha. Zobaczyłam w nim Quinna: przemądrzałego, inteligentnego, frustrującego, seksownego Quinna, który lubił się ze mną droczyć i uważał, że jestem inteligentna i zdolna.

Kącik jego ust ledwo dostrzegalnie uniósł się w górę.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś wczoraj, że mogę przerywać ci posiłki, kiedy tylko chcę.

Burknęłam coś w niby-odpowiedzi i ciasno oplótłam się ramionami. Bez jego bliskości czułam chłód, a coś w jego spojrzeniu sprawiało, że cała drżałam.

Westchnął, nagle poważny.

– Słuchaj, wcześniej dzwoniłem, żeby odwołać dzisiejsze spotkanie, ale za to przyjadę po ciebie jutro rano o dziesiątej. – Przeczesał palcami włosy, które na krótką chwilę ułożyły się w uroczo niesforne fale, by zaraz powrócić do swojej wcześniejszej perfekcyjnej schludności. – Wracaj zjeść swój zimny lunch. Ja muszę jechać na spotkanie.

– To jedź – wzruszyłam ramionami. – Ale jeśli zatrzaśniesz sobie kluczyki w samochodzie, nie dzwoń do mnie na komórkę po pomoc. I tak nie odbiorę.

W odpowiedzi zmrużył oczy.

– Oczywiście, że odbierzesz. Poza tym jadę na motorze.

Zmartwiałam.

– W takim razie uważaj na siebie.

W odpowiedzi kiwnął głową, uśmiechnął się kącikiem ust i wyszedł. Po jego wyjściu stałam w miejscu jeszcze przez kilka minut, niemal bez ruchu, na przemian uśmiechając się i poważniejąc. Raz po raz odtwarzałam w głowie naszą rozmowę. Telefon ciążył mi w kieszeni. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zgłosić się w jego sprawie z petycją do Carlosa. Sam Quinn powiedział, że to Carlos jest moim szefem. Jeśli uznałby, że komórka nie jest mi potrzebna, może udałoby mi się wymigać od obowiązku noszenia jej wszędzie ze sobą.

Po drodze do biura, gdzie czekał na mnie mój zimny lunch, poczułam wibracje telefonu na swoim udzie. W pierwszym odruchu nie zorientowałam się, co to jest, i aż podskoczyłam przestraszona. Wyłowiłam z torebki urządzenie i zerknęłam na ekran. Zgodnie z obietnicą, Quinn wysłał mi dowcip:

*Na świecie jest dziesięć typów ludzi: ci, co rozumieją system binarny i ci, którzy go nie rozumieją.*

Pokręciłam głową.

– Co za nerd – powiedziałam do samej siebie.

Kiedy wysiadałam z windy na swoim piętrze, na mojej twarzy gościł głupawy, rozmarzony uśmiech, a wszelkie myśli o rozmowie z Carlosem zniknęły bez śladu.

\*\*\*

Kiedy tego wieczoru wróciłam do domu po zajęciach z dziećmi, Elizabeth nadal nie było. Wyglądało na to, że przez cały ten czas nie wróciła jeszcze ze szpitala. To

dla niej dość typowe i wielce prawdopodobne, że był to również jeden z powodów, dla których udawało nam się koegzystować w tak niewielkim mieszkaniu bez większych problemów. No i poza tym z natury byliśmy nieskłonne do dramatyzowania. Przeorałam pałeczkami swoje chińskie danie na wynos, po czym posłusznie włączyłam laptop, by znaleźć nam wreszcie mieszkanie z dwiema sypialniami.

Trzy godziny bezskutecznych poszukiwań później postanowiłam przenieść się na swoją skrzynkę mailową. Jak zwykle znalazłam w niej wiadomość od swojego taty – przesłał mi dalej maila z jakimś żartem. Był to jego sposób komunikowania się ze mną. Czasem zastanawiałam się wręcz, czy mój tata zdaje sobie sprawę z tego, że może modyfikować treść wysyłanych wiadomości, bo nigdy nie dostałam od niego niczego poza przesyłanymi łańcuszkami.

Dostałam też maila od Jona.

Od czasu jego hysterii sprzed półtora tygodnia rozmawialiśmy ze sobą raz na kilka dni, spotykaliśmy się też na kawę albo lunch, albo kolację. Było to trochę tak, jakbyśmy znowu byli w związku, tyle tylko że mieszkaliśmy osobno, a nasze wieczory nie kończyły się słodkimi pocałunkami i pieszczotami, tylko niezręcznymi pożegnaniem i wymianą krzywych spojrzeń.

Za każdym razem, kiedy się widzieliśmy, Jon w mniej lub bardziej zawołowany sposób dawał do zrozumienia, że powinniśmy do siebie wrócić. Miałam nadzieję, że z czasem zda sobie sprawę z tego, że nasza romantyczna przeszłość była dokładnie tym, czym była – przeszłością.

Ten konkretny e-mail był akurat odpowiedzią Jona na moją sugestię, żeby zamiast na lunchu spotkać się na kolacji.

Wcześniej ustaliliśmy, że spotkamy się na lunch w piątek po południu. Planowałam przyjść ze Stevenem. Któregoś dnia w pracy, po przeanalizowaniu struktur kont klientów korporacyjnych, a podczas wyjątkowo śmiesznej historii o kolejnej randkowej katastrofie Stevena, wspomniałam mu, że Jon i ja nadal się przyjaźnimy. Steven powiedział, że po prostu musi zobaczyć, jak wygląda pokojowe rozstanie. On sam, mrużąc podejrzliwie swoje szare oczy, oznajmił, że jego zdaniem ten koncept jest takim samym mitem jak bezwonny żwirek dla kotów.

Jednak w związku z tym, że niecałe czterdzieści osiem godzin temu dowiedziałam się od Quinna, że moje dni pracy mogą być teraz rozszerzone o spotkania z klientami korporacyjnymi, napisałam do Jona w ciągu dnia, informując, że muszę odwołać nasz lunch. Zamiast tego ustaliliśmy, że razem ze Stevenem spotkamy się jutro na kolacji w nowej etiopskiej restauracji niedaleko mojego domu.

Tuż zanim zamknęłam skrzynkę, wyskoczyła jeszcze jedna nowa wiadomość. Musiałam zamrugać parę razy, zanim dotarł do mnie sens jej słów.

To był mail od mojej siostry, Jem.

W samej treści wiadomości nie było ani słowa, a w nagłówku widniały tylko dwa zdania: *Przyjeżdżam w odwiedziny. Chcę się z tobą zobaczyć.*

Następnego ranka obudziłam się, wzięłam prysznic i ubrałam w dziesięć minut. A potem dwadzieścia minut zastanawiałam się nad doborem butów. Pojawiłam się w biurze dość wcześnie i natychmiast zajęłam się pracą – odpowiadałam na e-maile, kończyłam zlecone mi zadania i przygotowywałam się do swojej podróży biznesowej do Las Vegas, mającej się odbyć za niecałe dwa tygodnie. Minuty mijały w koszmarnie wolnym tempie. Wracałam myślami do dziwnej wiadomości od Jem.

Byłam tak pochłonięta swoimi rozmyślaniami, że na dźwięk telefonu komórkowego aż podskoczyłam. Po chwili nerwowych, niezgrabnych ruchów wreszcie udało mi się go odebrać. To było zupełnie absurdalne. Dlaczego firmowy telefon na moim biurku nie wywoływał u mnie takich nerwów?

– Halo? – powiedziałam, kiedy wreszcie przyłożyłam komórkę do ucha.

– Cześć, to ja. Spotkajmy się na dole. – Po drugiej stronie rozległ się chropowaty tenor Quinna. W tle słychać było uliczny gwar i ryk ciężarówki.

Westchnęłam i podniosłam się natychmiast, zbierając z biurka papiery.

– Dlaczego po prostu nie zadzwoniłeś na mój służbowy telefon stacjonarny? Przecież jestem w biurze.

– Chciałem się upewnić, że jesteś uchwytana za pomocą komórki – niemal słyszałam uśmiech w jego głosie. Zirykowałam się lekko, ale bez przekonania.

– Następnym razem dzwoń na numer biurowy – wypaliłam i rozłączyłam się, zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Poczułam ukłucie satysfakcji. Skoro on mógł zaczynać rozmowę ze mną, kiedy tylko chciał, ja mogłam zakończyć ją, kiedy tylko chcę.

Czarny mercedes zaparkowany był w niedozwolonym miejscu na rogu ulicy. Quinn wysiadł z tylnego siedzenia, kiedy tylko zobaczył, jak wychodzę z budynku. Nie miał dziś na sobie stroju ochroniarza ani garnituru. Zamiast tego ubrany był w czarne buty, ciemne dżinsy i niebieski T-shirt. Jak zawsze jego włosy były doskonale zmierzwiowane, a twarz nie zdradzała żadnych emocji. Oczy ukryte były za ciemnymi okularami pilotkami. Przez chwilę kontemlowałam ten piękny widok. Wyglądał naprawdę smakowicie. Możliwe, że westchnęłam na jego widok. Możliwe, że oblizałam też usta.

Zbliżałam się do samochodu z poczuciem, że trochę za bardzo rzucam się w oczy w swojej czerwonej oksfordzkiej koszuli z krótkim rękawem, szarych spodniach i czerwonych satynowych szpilkach. Postanowiłam tym razem założyć okulary zamiast soczewek kontaktowych. Z jakiegoś powodu czułam się w nich nieco bardziej niewidzialna, jakbym lepiej wtapiała się w otoczenie widoczne w oprawkach. Włosy ponownie spięłam w ciasny kok. Kiedy byłam już całkiem blisko, zobaczyłam swoje odbicie w jego okularach, co tylko spotęgowało moje skrępowanie. Myślałam, że palnie mi wykład za to, że rozłączyłam się z nim bez ostrzeżenia, ale on tylko uśmiechnął się do mnie.

– Hej – powiedział i kiwnął głową.

– Cześć. – Machnęłam ręką na przywitanie, przyciskając do piersi duży notes, który wzięłam ze sobą na wypadek, gdybym musiała coś zapisywać. Ani Steven, ani Carlos nie zadali sobie zbytniego trudu, żeby wytłumaczyć mi, jaki jest zakres ani cel mojego

szkolenia. Przypomniałam sobie, co powiedział wczoraj Steven, kiedy spytałam go, czy powinnam coś ze sobą wziąć albo przygotować: stwierdził tylko, że pojedziemy obejrzeć którąś z nieruchomości, ale że nie powinno zająć to więcej niż godzinę.

Steven miał częściowo rację. Quinn rzeczywiście pokazał mi jedną z nieruchomości, ale nie wróciliśmy do biura w ciągu godziny.

Samochód zawiózł nas niedaleko, do League Center – typowej hali widowiskowo-sportowej. Guard Systems pełniło tam rolę konsultanta firmy ochroniarskiej zajmującej się obiektami na co dzień.

W przeciągu ostatnich sześciu miesięcy doszło tam do kilku uchybień w zakresie bezpieczeństwa fizycznego. Ostatnio na przykład jakiś nazbyt entuzjastyczny fan, podający się za członka ekipy, uraczył pierwszych widzów pijacko-jointową wersją piosenki jednej z nastoletnich gwiazdek pop, „Girl, I Love You Hard”<sup>[7]</sup>.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, zostaliśmy oprowadzeni po każdym zakątku obiektu, a nasza wizyta zakończyła się spotkaniem Quinna z głównym koordynatorem z Guard Security i kierownikiem do spraw bezpieczeństwa firmy ochroniarskiej. Spotkanie szkoleniowo-informacyjne dla mnie, dla nich – przegląd nowo wprowadzonych rozwiązań.

Po drodze do League Center Quinn nie odezwał się praktycznie ani słowem, a kiedy tylko weszliśmy na teren obiektu, zaczął zachowywać się bardzo formalnie, szorstko i wręcz autorytarnie wobec wszystkich, z którymi się widzieliśmy. Nie był to ten sam Quinn, którego spotkałam w klubie Outrageous, ani ten, z którym jadłam śniadanie w Giavanni’s Pancake Diner po nocy w mieszkaniu jego siostry, ani ten z Smith’s Take-away and Grocery, ani nawet ten ze Starbucksa. Teraz, o ile nie wyglądał na śmiertelnie znudzonego, o tyle był po prostu niezainteresowany. Ludzie wokół zwracali się do niego „panie Sullivan” albo „sir”. W pewnym momencie miałam wrażenie, że jeden z członków ekipy za chwileczkę mu zasalutuje.

Było to szalenie deprymujące.

W trakcie naszej całej wizyty, mimo swojego formalnego zachowania, Quinn poświęcał mi mnóstwo czasu i uwagi, wyjaśniając wszelkie zagadnienia i skróty, które w jego mniemaniu mogły być dla mnie niezrozumiałe. W jasny sposób wskazał słabe strony zabezpieczeń obiektu, opisywał okoliczności dokonywanych zakupów, szczegóły dotyczące personelu i wszelkich innych tematów, które uważał za powiązane z moimi obowiązkami.

O siedemnastej trzydzieści czułam, że mój umysł nie przyjmie już więcej informacji, a mój żołądek rozpaczliwie burczy. Właśnie skończyliśmy inspekcję serwerowni i Jamal, koordynator z Guard Security, prowadził nas w kierunku windy wąskim, niskim korytarzem.

Zerkając na komórkę, poinformował nas:

– Za godzinę otwieramy bramki na dzisiejszy koncert, więc jeśli jesteście głodni, teraz jest moment, żeby coś zjeść. Pierwszy występ zaczyna się o dziewiętnastej dziesięć.

Spoglądałam błagalnym wzrokiem to na Jamala, to na Quinna. Nie dość, że byłam obłąkańczo głodna i cierpiałam z powodu szpilkowego bólu stóp, to jeszcze na siódmą byłam przecież umówiona na kolację ze Stevenem i Jonem.

– Yyy, to znaczy, że zostajemy na koncercie?

Quinn przytaknął, a jego zdystansowany wyraz twarzy pozostał kompletnie niewzruszony.

Była to dla mnie nowość. Przez całą milczącą podróż windą przygryzałam wargę, zastanawiając się, co robić. W końcu byłam z Quinnem i nie miałam nic przeciwko temu, żeby utknąć z nim tutaj na kolejne kilka godzin, nawet jeśli miałby być w tym czasie „panem Sullivanem”, a nie uśmiechniętym, pozbawionym koszulki, drocącym się ze mną Quinnem.

Winda zatrzymała się wreszcie na naszym, ostatnim piętrze i Quinn położył dłoń na dole moich pleców, kierując mnie w stronę wyjścia. Dotykał mnie w ten sposób przez cały dzień i za każdym razem odczuwałam to samo miłe mrowienie. Byłam tak zaabsorbowana jego dłonią, że nie zauważyłam, dokąd idziemy, dopóki Jamal nie otworzył drzwi prywatnej łoży i gestem zaprosił mnie do środka.

– Proszę bardzo. Przygotowaliśmy dla was kolację. Wrócę za godzinę, żeby przeprowadzić was przez procedury na bramkach, a potem opowiem wam o nowych sposobach kontroli tłumu, które wprowadziliśmy – oznajmił Jamal, nie wchodząc nawet do pomieszczenia i zniknął tak szybko, że nie zdążyłam mu podziękować ani się z nim pożegnać.

Zrobiłam kilka kroków w głąb i przystanąłam na samym środku. Rozglądałam się po przestronnym pomieszczeniu z nieukrywanym zachwytem. Było naprawdę duże. Znajdowała się tam kuchnia z barem, kilka wysokich, okrągłych stolików i stołków, a także pięć rzędów skórzanych siedzeń stadionowych ustawionych frontem do wielkiego okna z widokiem na scenę.

Na barze czekały na nas owoce, sałata, hot dogi, dodatki, chipsy barbecue i napoje w puszcze. W żadnym wypadku nie dałoby się określić tego mianem wykwintnego jedzenia, ale tak się przyjemnie składało, że znalazły się tam moje dwie ulubione potrawy: hot dogi i chipsy ziemniaczane o smaku barbecue.

Quinn podszedł do schodków prowadzących do samego okna i uważnie zlustrował spojrzeniem płytę areny.

Zerknęłam na zegarek i zaczęłam nerwowo skubać jego pasek. Byłam w sytuacji, którą moja siostra Jem nazywała „szampańskim dylematem”. Szampański dylemat jest wtedy, kiedy przydarza ci się coś fajnego, ale dzieje się w tym samym czasie, co jakaś inna rzecz, zazwyczaj wcześniej zaplanowana, a na dodatek albo bardzo ważna, albo również bardzo fajna. Nie byłam pewna, co powinnam zrobić.

Quinn musiał zauważyć mój niepokój, bo zapytał nagle:

– Jesteś głodna?

Kiwnęłam głową i zerknęłam w stronę jedzenia, a mój żołądek, jakby w odpowiedzi, zaburczał donośnie.

– Odpowiada ci takie jedzenie? Mogę zamówić dla nas coś innego.

– Po prostu chodzi o to, że... – ściągnęłam usta. – Mam już plany na wieczór. Umówiłam się na kolację.

– Z kim?

– Ze Stevenem z pracy i moim przyjacielem Jonem.

– Jon – powtórzył Quinn i poruszył się niespokojnie. – Czy tak nie ma na imię twój były chłopak?

– Tak, to właśnie on – przytaknęłam. – Mieliśmy iść we trójkę na lunch, ale zamiast tego przesunęłam nasze spotkanie na kolację, bo uznałam, że w związku z naszym szkoleniem nie uda mi się zjeść lunchu, no i... – westchnęłam, oceniając po jego powściągliwej minie, że go zanudzam. – Przepraszam. Pewnie w ogóle cię to nie obchodzi. W każdym razie, muszę po prostu zadzwonić do nich i odwołać spotkanie.

Quinn obserwował mnie uważnie przez chwilę. Jak zwykle jego twarz była starannie pozbawiona jakichkolwiek emocji.

– Czy to znaczy, że wróciliście do siebie z Jonem? – spytał wreszcie.

– Ależ skąd. Przyjaźnimy się tylko. Ale Steven chciał zobaczyć, jak to jest rozstać się z kimś na pokojowych warunkach, więc mieliśmy iść we trójkę się posilić.

– Chcesz powiedzieć, że nadal widzisz się z tym gościem... z Jonem?

– Mhm.

– Cały czas?

Zaczynałam czuć się jak na przesłuchaniu.

– Nie, nie cały czas. Ze dwa, trzy razy w tygodniu.

Quinn uniósł brwi.

– Jesteś pewna, że do siebie nie wróciliście?

– Tak. Jestem pewna. Zorientowałamby się chyba, że uprawiam z kimś seks – palnęłam i ugryzłam się w język, kiedy tylko słowa wypadły z moich ust. Umierając z zażenowania, poczułam, jak gorący rumieniec pełźnie po mojej szyi i za uszy. Nerwowo zaczęłam bawić się suwakiem trzymanego w ręku notesu.

Staliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę, a ja ciągle musiałam przygryzać wargę, żeby nie zalać go falą najróżniejszych okołoseksualnych faktów, które kłębiły się aktualnie w mojej głowie. Byłam poirytowana jego natarczywością, a jeszcze bardziej tym, że czułam się w obowiązku odpowiadać na jego pytania.

Nie podobał mi się fakt, że wiedział o wiele za dużo o moim życiu seksualnym, a raczej jego braku, a ja nie wiedziałam o nim zupełnie nic – czy z kimś się spotyka, czy ma dziewczynę albo narzeczoną... albo żonę.

Chcąc nie chcąc, odruchowo zerknęłam na jego dłoń. Brak obrączki. Kiedy się odezwałam, zaskoczył mnie ton mojego własnego głosu:

– Nie jesteś żonaty.

– Czy to pytanie?

Zadarłam podbródek i spojrzałam mu w oczy z nadzieją, że jeśli udam wystarczająco pewną siebie, nie zauważy, że cała jestem jednym wielkim zakłopotaniem.

– Nie... tak.

– Nie. Nie jestem żonaty.

Jego odpowiedź tylko dodatkowo mnie zirytowała. Przecież wiedziałam już, że nie jest żonaty. Przez dłuższą chwilę nie mówił nic więcej.

– No i? – ponagliłam go.

– Co „no i”?

– Jak z tym u ciebie? – Pewności siebie dodawał mi albo pusty żołądek, albo moja



irytacja.

– Z czym?

– Sypiasz z kimś aktualnie?

Aż otworzył usta, wyraźnie zszokowany. Autentycznie zaczął się jąkać:

– Co... co... dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Cóż, ty wiesz już, z kim nie uprawiam seksu. Wydaje mi się, że tak będzie sprawiedliwie.

Zmrużył oczy i przez chwilę patrzył na mnie czujnie jak jastrząb, zanim odpowiedział wreszcie:

– Nie spotykam się z nikim.

Zmarszczyłam nos.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Nie spytałam cię, czy się z kimś spotykasz. Spytałam, czy uprawiasz z kimś seks.

– Nie w tym momencie.

Zacisnęłam usta i spróbowałam posłać mu druzgocące spojrzenie. Odpowiedział mi tym samym, tyle że jego spojrzenie rzeczywiście było miażdżące i byłoby całkiem przekonujące, gdyby nie to, że Quinn jednocześnie starał się powstrzymać uśmiech.

Nie było to może zbyt błyskotliwe z mojej strony, ale przewróciłam oczami i prychnęłam:

– Nie to nie, nie musisz odpowiadać. Nie wiem nawet, dlaczego zapytałam.

– Nie. Aktualnie z nikim nie sypiam.

– Ach, tak. – Wzruszyłam nonszalancko ramionami, mimo że z jakiegoś powodu jego odpowiedź napęłniła mnie radością, coś jakby jednorożec przebiegł pod podwójną tęczą i zaczął stepować. Pomimo moich usilnych starań, żeby zachować neutralny wyraz twarzy, czułam, jak usta mimowolnie układają mi się w uśmiech.

Quinn przekrzywił głowę w bok, jakby uważnie analizował moją reakcję na jego deklarację. A potem oznajmił:

– Teraz twoja kolej.

– Moja kolej?

– Tak. Ilu miałaś partnerów seksualnych?

Teraz rzeczywiście była moja kolej – moja kolej na szok.

Szczęka mi opadła i przez kilka sekund z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Mózg odmówił posłuszeństwa i przez chwilę nie byłam w ogóle pewna, czy dobrze go usłyszałam. Kiedy wreszcie zebrałam się na odpowiedź, mój głos brzmiał dziwnie piskliwie:

– Mógłbyś powtórzyć pytanie?

Roześmiał się i zrobił krok w moją stronę.

– Wydaje mi się, że słyszałaś je już za pierwszym razem.

– To nie twoja sprawa. – Zrobiłam krok w tył.

– Nie? Sama spytałaś mnie...

– Ty zapytałaś mnie pierwszy...

Skrzyżował ręce na piersi.

– Nie, nie spytałem. Sama o tym powiedziałaś.

– *Spytales* mnie, czy nadal spotykam się z Jonem.

– Ale to nie ja pierwszy zacząłem mówić o seksie.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale wtedy zdałam sobie sprawę, że miał rację. Wpatrywałam się w niego, zastanawiając się nad pytaniem. Byłam ciekawa, czy gdybym na nie odpowiedziała, zrewanżowałby się tą samą informacją. Ale wcale nie chciałam odpowiadać, bo Jon był jedynym facetem, z którym uprawiałam seks. Sama nie wiedziałam do końca, jak się z tym czuję, na ile normalne lub nienormalne było to, że dwudziestosześcioletnia kobieta miała tylko jednego partnera seksualnego. A nie miałam ochoty dawać Quinnowi kolejnego powodu do dalszych niejednoznacznych gier słownych.

– Racja, niech ci będzie – powiedziałam i przygryzając wargę, stałam bez ruchu, z nadzieją, że zaraz naszą rozmowę przerwie nam któryś z pracowników... albo atak niedźwiedzia, albo trzęsienie ziemi, albo monstualne węże.

Najwyraźniej milczałam już zbyt długo, bo ponaglił mnie:

– Więc?

– To o czym my... z kim spałam... tak?

– Pytanie brzmiało: ilu miałas partnerów seksualnych?

– Mówimy o definicji według Billa Clintona? – spytałam. Nie to, żeby w moim wypadku miało to jakieś znaczenie.

– Nie, o definicji seksu według Hillary Clinton.

– Przestań wreszcie powtarzać słowo „seks”! – Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co wybawi mnie od tej rozmowy. Nie miałam w ogóle pojęcia, jakim cudem potoczyła się w tym kierunku.

– No, to jak?

– A jak to w ogóle działa? Jeśli ci powiem, czy ty też powiesz mi o sobie?

Quinn pokręcił głową.

– Nie, chyba że mnie o to spytasz. Ale wtedy ja mam prawo zadać jeszcze jedno pytanie.

Wyglądał, jakby świetnie się bawił. Był bezlitosny.

– A jakie byłoby twoje następne pytanie?

– Janie, przestań się ociągać i odpowiedz.

– No dobrze, już dobrze. Uprawiałam seks tylko z jedną osobą i, mówiąc szczerze, nie wiem w ogóle, o co tyle hałasu. Moim zdaniem społeczeństwo przywiązuje do tego zbyt dużą wagę. Zupełnie, jakbyśmy chcieli gloryfikować proces prokreacji. Czytasz dzieła takich twórców jak Byron, który przedstawia zbliżenie fizyczne jako jakiś fantastyczny, obezwładniający zmysły akt, stanowiący sens życia, a przecież zupełnie tak nie jest. To jest... – Machnęłam wolną ręką w powietrzu, szukając odpowiednich słów. – To tak, jakby ktoś inny dłubał ci w nosie albo nitkował zęby. Wymaga koordynacji i planowania. Na przykład nie można tego robić, o ile nie brało się prysznic w przeciągu ostatnich tyłu a tyłu godzin. Jeśli wypadnie się z tego przedziału czasowego, trzeba przestać czytać komiks, czy robić cokolwiek innego, co się w danym momencie robi, wziąć prysznic, wysuszyć się, ubrać, bla bla bla. Ile zawracania głowy! Ludzkość powinna brać przykład z bakterii i rozmnażać się przez podział binarny.

Byłam pewna, że moja twarz była w tym momencie dokładnie tego samego koloru co moja koszula. Zaryzykowałam i zerknęłam na niego spod rzęs. Patrzył na mnie, ale na jego twarzy nie widać było śladu wcześniejszego rozbawienia. Nie byłam w stanie odczytać z niej żadnej emocji, co jeszcze dodatkowo wytrącało mnie z równowagi. Odwróciłam się do niego plecami i ruszyłam w stronę drzwi. Supeł w moim brzuchu zmienił się teraz w marsz miliona supełków. Nie byłam już w stanie patrzeć mu w oczy.

– Muszę znaleźć telefon. Zaraz wrócę. – Położyłam swój notes na wysokim stole i ruszyłam w stronę wyjścia. Usłyszałam, jak robi krok w moją stronę.

– A gdzie masz swoją komórkę?

Machnęłam na niego ręką, przyspieszając kroku.

– Zostawiłam w biurze.

Byłam już przy drzwiach, kiedy poczułam, jak jego dłoń zaciska się wokół mojej.

– Janie, powinnaś nosić ją przy sobie.

Wyswobodziłam dłoń z jego uścisku i zrobiłam pół kroku w tył.

– Cóż, sam mówiłeś, że jesteś jedyną osobą, która będzie z niej do mnie dzwonić, a skoro oboje jesteśmy tutaj razem, to chyba nie ma potrzeby, żebym miała ją przy sobie.

– A kiedy planowałaś zabrać ją z biura na weekend?

– Nie planowałam tego – odpowiedziałam, krzyżując ręce na piersi.

– Czy to znaczy, że spędzamy razem cały weekend? – Zrobił krok w moją stronę. Musiałam zadrzeć głowę, żeby utrzymać kontakt wzrokowy.

Na te słowa poczułam się tak, jakby w moim brzuchu fruwał cały rój pijanych miodem pszczół. Z trudem przełknęłam ślinę i powiedziałam to, co w moim odczuciu należało powiedzieć:

– O ile mi wiadomo, nie pracujemy w ten weekend. Dlaczego miałbyś do mnie dzwonić poza godzinami pracy?

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak chwilę potem zatrzasnął je z powrotem, mocno zaciskając szczęki. Posłał mi świdrujące spojrzenie spod półprzymkniętych powiek. Po dłuższej chwili wyciągnął z kieszeni komórkę i wręczając mi ją, powiedział:

– Proszę. Możesz zadzwonić do swojego *przyjaciela* z mojego telefonu.

Spoglądałam to na niego, to na komórkę. Wreszcie niechętnie wzięłam ją, mamrocząc podziękowanie. Z jakiegoś powodu czułam się niezręcznie, dzwoniąc do Jona z telefonu Quinna. Szybko jednak odsunęłam od siebie to poczucie dyskomfortu, powtarzając sobie, że przecież ja i Jon nie jesteśmy już razem, a Quinn jest tylko moim kolegą z pracy. Znajomi z pracy mogą pożyczać sobie nawzajem telefony. Nie było to nic niestosownego. Było to coś zupełnie normalnego.

Jon odebrał dopiero po czwartym sygnale.

– Halo? – rozległ się w słuchawce jego niepewny głos.

– Cześć, Jon, to ja, Janie. – Oddaliłam się nieco od Quinna i starałam się mówić cicho, chociaż tak naprawdę nie wiedziałam do końca, dlaczego.

– Cześć, przepraszam, że tyle czasu nie odbierałam, nie znałem tego numeru. Dzisiejszy wieczór nadal aktualny?

– No właśnie, niestety, w tej sprawie dzwonię. – Zerknęłam przez ramię. Kątem

oka widziałam Quinna stojącego przy barze kilka metrów ode mnie, z twarzą zwróconą w moją stronę. – Słuchaj, dziś wieczorem muszę pracować, nie dam rady. Czy możemy przenieść nasze spotkanie na jutro?

– Och, no dobrze... to wielka szkoda. – Oczami wyobraźni widziałam smutek malujący się na jego twarzy. Usłyszałam, jak wzdycha. – O której jutro w takim razie?

– Masz już jakieś plany? Nie odwołuj ich, zawsze przecież możemy...

– Janie, chcę się z tobą zobaczyć. Oczywiście, że odwołam swoje plany. Ty jesteś dla mnie na pierwszym miejscu.

Poczułam ścisk w gardle, częściowo z frustracji, częściowo z poczucia winy. Odsunęłam się od Quinna o jeszcze kilka kroków. Starałam się mówić dyskretnie, ale tak, żeby nie zniżać głosu do szeptu.

– Jon, nie możesz tak mówić.

Byłam boleśnie świadoma obecności Quinna. Musiał chyba wyczuć mój dyskomfort, bo za chwilę usłyszałam jego ciche „zaraz wracam”. Minął mnie i wyszedł z pokoju.

– Kto to był? Jesteś teraz z kimś? – spytał Jon nieco głośniejszym głosem, a w jego głosie słychać było nieznaczną zmianę tonu. – Janie, czy to naprawdę chodzi o pracę?

Teraz z kolei ja westchnęłam.

– Jon, jestem w terenie, na spotkaniu z jednym z moich kolegów z pracy.

– „Kolegów”? Czyli to facet, tak?

– Tak, jeśli odczuwasz potrzebę wdawania się w szczegóły techniczne, to mogę ci powiedzieć, że jestem tutaj z całą hordą kolegów z pracy – wypaliłam, przewracając oczami.

– I wszyscy pracujecie do późna? Gdzie jesteście?

– Nie mogę ci powiedzieć. Wiesz przecież, że podpisałam klauzulę poufności. Mam zakaz mówienia o moich klientach. – Obróciłam się na pięcie i nerwowo przeszłam na drugi koniec pokoju.

– To jakiś absurd. Kto przy zdrowych zmysłach pracuje w piątek wieczorem? Gdybyś mi tylko pozwoliła, zaopiekowałbym się tobą, przecież...

– Jon... – Miałam nadzieję, że usłyszał mój ostrzegawczy ton.

– Wiesz co? Niech będzie. Niech ci będzie. Rozumiem, musisz pracować do późna. – W jego głosie dało się wyczuć frustrację, ale i ostateczną rezygnację. – Nie zmienia to faktu, że chcę się z tobą jutro zobaczyć. Słuchaj, Janie, przepraszam cię. Przepraszam. Możemy zacząć wszystko od początku? Chcę poznać twojego przyjaciela, Stevena. Możemy po prostu spotkać się jutro na kolacji i dobrze się bawić?

Wpatrywałam się tępo w jeden punkt na ścianie. Poczucie winy zaczęło dominować nad moją frustracją.

– Tak – wypuściłam powietrze z płuc. Usłyszałam jakiś hałas za plecami i zerknęłam przez ramię. To wrócił Quinn. Rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym ruszył w stronę bufetu. – Tak, możemy tak zrobić. Spróbujemy przenieść to na jutro. Zadzwoń do Stevena upewnić się, czy będzie mógł się spotkać. Słuchaj, muszę kończyć.

– W porządku. Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Pieniądzy, czegokolwiek. Zadzwoń jutro.

– Dobrze. Pa, Jon.

– Kocham cię, Janie. Pamiętaj.

Zamknęłam oczy, a usta mimowolnie wygięły się w podkówkę.

– Do zobaczenia jutro – powiedziałam i rozłączyłam się.

Wstukałam numer Stevena. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Tak, panie Sullivan?

– Nie, nie, z tej strony Janie. Słuchaj, ciągle jesteśmy w terenie, będę musiała zostać dłużej, co oznacza, że nici z dzisiejszej kolacji – wyjaśniałam w pośpiechu. Quinn przeszedł koło mnie w stronę stolika z dwoma talerzami w ręku. Unoszący się w powietrzu zapach hot dogów sprawił, że ślinka pociekła mi do ust.

– Ach, tak... – usłyszałam, jak na drugim końcu Steven szura jakimiś papierami. – Ale chwileczkę, gdzie ty właściwie jesteś?

– Jestem...

– Zresztą, nie, wiesz co, wcale nie chcę wiedzieć. Nie ma problemu, przełożymy naszą kolację na jakiś termin po powrocie z Las Vegas.

– A może mógłbyś się spotkać z nami jutro? – spytałam, jednocześnie bezwiednie przesuwając się bliżej miejsca, w którym siedział Quinn. Patrzyłam, jak bierze wielki kęs hamburgera. Jego szczeka poruszała się miarowo, a mięśnie jego policzków i szyi napinały się w dziwnie fascynujący sposób. Chyba trochę się na niego zagapiłam.

– Nie da rady, skarbie. Mam randkę.

Jakiś dźwięk przy drzwiach wejściowych oderwał moją uwagę od Quinna. Z zainteresowaniem i konsternacją patrzyłam, jak do pomieszczenia wchodzi dwie dziewczyny, obydwie ubrane w obcisłe koszulki odkrywające pępek i w o wiele za krótkie szorty. Każda z nich niosła tacę z czymś, co wyglądało na szeroki wybór napojów alkoholowych.

– Yyy... – Zdekoncentrowana obecnością dziewczyn, próbowałam z powrotem skupić się na rozmowie ze Stevenem. – No... okej, w porządku. Po prostu przełożymy to na inny dzień.

– Dobrze, słoneczko. Do zobaczenia w poniedziałek. I nie pozwól, żeby Pan Mądrała przetrzymywał cię w robocie do późna. Papatki!

I rozłączyłam się, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Opuściłam rękę, w której trzymałam telefon, i obserwowałam, jak jedna z dziewczyn, nazwijmy ją Dziewczyną Numer Jeden, niesie Quinnowi trzy duże szklanki wypełnione czymś, co najprawdopodobniej było piwem, w czasie gdy druga dziewczyna, nazwijmy ją Dziewczyną Numer Dwa, ustawiała pozostałe napoje na barze. Dziewczyna Numer Jeden uśmiechnęła się do Quinna. Był to uśmiech, który rozpoznałam od razu, a który śmiało zakwalifikować można było do kategorii weź-mnie-tu-i-teraz. Kiedy byłyśmy w liceum, moja siostra June stosowała go dość często pod adresem członków drużyny futbolowej.

Patrzyłam na tę scenę gniewnym wzrokiem.

Jednak ku mojej uldze i zaskoczeniu, Quinn zdawał się zupełnie nie zauważać jej uśmiechu. Zamiast tego burknął tylko krótkie „dzięki” i natychmiast sięgnął po jedną ze szklanek i upił z niej duży łyk. Dziewczyna Numer Jeden kręciła się jeszcze wokół jego stolika, obserwując go. Ja kręciłam się w drugim kącie pokoju, obserwując ich.

Dziewczyna Numer Dwa kręciła się przy barze, obserwując całą trójkę.

Po chwili Quinn zerknął na Dziewczynę Numer Jeden, przeniósł wzrok na Dziewczynę Numer Dwa, a na końcu na mnie. Wreszcie oznajmił:

– Dam znać Jamalowi, jeśli będziemy czegoś jeszcze potrzebować.

Nie byłam w stanie nie zauważyć rozczarowania na twarzy Dziewczyny Numer Jeden, kiedy wychodziła z pokoju. Nie umiałam też wyjaśnić sama przed sobą dyskretnego uśmiešku satysfakcji błakającego się na moich ustach, kiedy drzwi wreszcie się zamknęły. Stałam w miejscu, nadal trzymając w ręku telefon Quinna, i patrzyłam, jak je. Brał ogromne kęsy. Miałam wrażenie, że za każdym kolejnym w jego ustach znika jedna czwarta hamburgera. Byłam niemal pewna, że pochłonął go czterema kęsami.

– Skończyłaś już rozmawiać? – dźwięk jego głosu niespodziewanie wyrwał mnie z zamyślenia.

Zamrugalam.

– Tak. Tak, rozmowy skończone.

Delikatnie muskałam kciukiem gładką powierzchnię ekranu jego komórki. Podeszłam do stolika i położyłam ją na blacie.

– Proszę, twój telefon. Dziękuję, że pozwoliłeś mi z niego skorzystać.

– Nie ma sprawy – odpowiedział, bez skrępowania i otwarcie taksując mnie wzrokiem, jak to często miał w zwyczaju. Za każdym razem czułam się wtedy niekomfortowo, robiło mi się gorąco i peszyłam się. Uniósł podbródek, wskazując w stronę baru.

– Nie byłem pewien, czego będziesz się chciała napić, więc zamówiłem kilka rzeczy do wyboru.

Przeniosłam uwagę na wskazany bar i przyglądałam się przez chwilę umieszczonym na nim szklankom.

– Czy my... – chrząknęłam i wskazałam trzy szklanki piwa stojące przed Quinnem. – Chyba nie powinniśmy pić w czasie pracy?

Quinn ugryzł kawałek hot doga i wzruszył ramionami.

– Przecież aktualnie nie pracujemy.

– Ale jeszcze nie skończyliśmy. Mieliśmy posłuchać o nowych rozwiązaniach dotyczących kontroli tłumu...

Quinn przerwał mi machnięciem ręki.

– Rozmawiałem z Jamalem. Tę część wizyty możemy sobie odpuścić, skończyliśmy na dziś – oznajmił i jakby chcąc podkreślić ten fakt, wypił jakąś jedną trzecią zawartości swojej szklanki, po czym odstawił ją stanowczo i spojrzał na mnie.

– Ach, tak – odpowiedziałam tylko i zamrugalam nerwowo. Byłam zdezorientowana, co w moim przypadku skutkowało zawsze tym, że wygłaszam swoje myśli, zamiast prowadzić w myślach wewnętrzny dialog jak normalny człowiek. – Czyli tak właściwie nie musiałam wcale odwoływać swoich planów na wieczór?

Quinn zacisnął szczękę i odrobinę posmutniał.

– Wygląda na to, że nie – odpowiedział, po czym umieścił w ustach trzy chipsy i zmiażdżył je zębami, chrupiąc donośnie. Jego szczeka poruszała się miarowo, a on nie przestawał mierzyć mnie wzrokiem. Poczulałam dobrze już znany niepokój, uaktywniający

się pod ciężarem jego świdrującego spojrzenia.

– Cóż, w takim razie... – odkaszlnęłam – powinnam chyba jeszcze raz zadzwonić do Jona i spróbować umówić nas z powrotem. – Jak tylko wypowiedziałam te słowa, poczułam wyraźnie, że wcale nie spieszy mi się do wprowadzania ich w czyn. Zerknęłam na zegarek, wydłużając ten moment.

– Albo – Quinn niespiesznie sięgnął po swój telefon leżący na stoliku i wsunął go do kieszeni. – Możemy zostać tu razem na koncercie.

Podniosłam na niego wytrzeszczone oczy.

– Zostajesz na koncercie?

Przytaknął.

Otworzyłam usta, żeby zapytać, czy w ogóle możemy tu zostać, ale po chwili namysłu zrezygnowałam. Analizowałam obecny stan rzeczy. Analizowałam Quinna. Wyglądał na zrelaksowanego, a jednak wciąż w lekkim napięciu. Po raz kolejny uderzyła mnie jego nieznośnie ewidentna uroda. Ta świadomość przeszła mnie na nowo niczym sztylet. Poczułam, że desperacko potrzebuję się napić. Na chwilę odwróciłam od niego uwagę i przyjrzałam się kieliszкови do martini, wypełnionemu jakimś jasnożółtym płynem i ozdobionemu zawijaskiem ze skórki cytrynowej. Jego brzeg oszroniony był cukrem albo solą, albo mieszanką jednego i drugiego.

Podeszłam do baru i uniosłam kieliszek w jego stronę.

– Co to jest?

– Drink o nazwie lemon drop.

Powąchałam zawartość kieliszka. Pachniała pysznie.

– A co jest w środku?

– Sok cytrynowy, cukier i wódka.

– Wódka?

– Moja siostra Shelly twierdzi, że ten drink smakuje jak lemoniada – powiedział Quinn, wziął wielki łyk swojego piwa, skończył je i natychmiast sięgnął po drugą szklankę czekającą obok talerza.

Pomyślałam o połączeniu wódki z Quinnem – wyszłaby z tego „Quodka”, co brzmiało trochę jak jakaś bułgarska gra karciana z gangsterami i prostytutkami. Odstawiłam drinka z powrotem na blat i wskazałam na szklanki Quinna.

– A jest jeszcze jakieś piwo?

– To nie jest piwo – wyjaśnił – tylko boilermaker. Piwo z whisky.

Mimowolnie uniosłam brwi do góry.

– Ach, tak.

Ostatecznie zdecydowałam się na lemon drop. Upiłam mały łyżeczek. Nie smakował może jak lemoniada, ale rzeczywiście był przepyszny. Podeszłam do bufetu i wolną ręką sięgnęłam po talerz, ale jeszcze zanim zaczęłam usypywać sobie pagórek chipsów, rozległ się głos Quinna.

– Już ci nałożyłem. Talerz czeka na stole.

Odwróciłam się w jego stronę.

– Ach, tak... – Po raz kolejny była to jedyna reakcja, jaka przychodziła mi do głowy. Odłożyłam pusty talerz na miejsce, sięgnęłam po drugi kieliszek z jasnożółtym

płynem i podeszłam do stolika, przy którym siedział Quinn. Usadawiłam się na wysokim stołku obok niego. Przygotowana przez niego porcja składała się z dwóch hot dogów, hojnie okraszonych zarówno keczupem, jak i musztardą, oraz idealnej porcji chipsów.

Uśmiechnęłam się na widok talerza, a mój żołądek ponownie zaburczał donośnie. Upiłam jeszcze łyczek, zanim odstawiłam obydwie kieliszki na blat.

– Dokładnie tak powinno się jeść hot dogi.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Jesteś fanką hot dogów?

Przytaknęłam, wgrzyzając się w kielbasę. Była jeszcze ciepła i absolutnie przepyszna. Kiedy przełknęłam, wyjaśniłam:

– Kiedy byłam mała, hot dogi były moim ulubionym jedzeniem. Żywiłabym się tylko nimi, gdyby mama mi pozwoliła.

– Ale nie pozwalała?

– Nie. Miała obsesję na punkcie zdrowego ciała, nawet kiedy byliśmy mali – odpowiedziałam, zlizując musztardę z palca.

Quinn podążył wzrokiem za moim ruchem i nie odrywając wzroku od moich ust, zapytał:

– Ile masz rodzeństwa?

– Dwie siostry. Ja jestem ta średnia. – Ugryzłam kolejny kawałek, oblizując kącik ust i doprawiłam hojną dawką lemon drop. Praktycznie nie czułam alkoholu. – A ty?

– Mam siostrę i... – Quinn wziął łyk drugiego piwa.

Czekałam, aż zacznie mówić dalej. Ale milczał.

– I?... – ponagliłam, jednocześnie pakując do ust nieelegancko wielki kawałek hot doga.

– I brata, ale zmarł parę lat temu.

Przestałam żuć i nie bacząc na fakt, że mam pełną buzię, wymamrotałam:

– Pfykło mi w powowu woego bata.

Quinn uśmiechnął się lekko.

– Co takiego?

Przełknęłam jedzenie, popiłam drinkiem i powtórzyłam wyraźnie:

– Przykro mi. Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego brata.

Obserwował mnie przez chwilę, po czym odwrócił wzrok. Upił wielki łyk, skończył drugie piwo i wziął się za następne.

Zaczęłam czuć się lekko, w czym niewątpliwie miała udział wódka pita na pusty żołądek, ale udało mi się zignorować ten stan i skoncentrować się na naszej rozmowie.

– Byliście ze sobą blisko?

Kiwnął głową i odchrząknął. Ale nadal na mnie nie patrzył. I nadal nic nie mówił. Bez zastanowienia wyciągnęłam rękę i przykryłam dłonią jego dłoń spoczywającą na blacie.

– To naprawdę okropne.

Dokończyłam drinka i oparłam łokieć na stole, a podbródek o dłoń.

Wreszcie spojrział mi w oczy. Jego spojrzenie było poważne, badawcze. Obrócił dłoń w taki sposób, że teraz trzymaliśmy się za ręce.



– To prawda – wyszeptał ledwie słyszalnie.

Przyglądałam mu się uważnie i bezceremonialnie. Czułam krążące po moim ciele ciepło, a za sprawą alkoholu rozplątał mi się język, dlatego nie zastanawiałam się zbytnio przed wystrzeleniem serii pytań:

– Jaki on był? Byliście do siebie podobni? Był starszy czy młodszy?

– Był starszy. Nie był jak... – zawiesił głos, kiedy przeniósł spojrzenie na nasze złączone dłonie. Przez chwilę marszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał. Spostrzegłam jego niezadowolone spojrzenie i spróbowałam cofnąć dłoń, ale wtedy on wzmocnił swój uścisk – nie boleśnie, ale stanowczo – i zapatrzył się na mnie. Lekko przyciągnął moją rękę do siebie, jakby chciał się upewnić, że nie będę znowu próbować ucieczki. Bez słowa zsunęłam się ze swojego siedzenia i usiadłam na tym bliżej niego. Kiedy już się na nim usadowiłam, wyraźnie się odprężył.

– Nie byliśmy podobni – podjął. – On był bostońskim policjantem.

Siedzieliśmy teraz przodem do siebie, tak że jedna z jego nóg znajdowała się między moimi nogami. Jego stopa spoczywała na dolnym podparciu mojego stołka.

Starłam się skupić na jego słowach, ale świat wydawał się mi trochę rozmyty.

– To, że był policjantem, oznaczało, że nie byliście do siebie podobni? – spytałam i zaczęłam pić drugiego drinka, zlizując z warg nadmiar cukru.

Jego spojrzenie zawisło na moich ustach.

– Tak i nie. Był bardzo honorowym człowiekiem. Wydaje mi się, że został policjantem właśnie dlatego, że chciał zawsze robić to, co należy.

Uniosłam brew i przechyliłam głowę w niemal ten sam sposób, w jaki on robił to przy mnie niezliczoną ilość razy.

– Nadal nie rozumiem. Musisz mówić jaśniej. – Prawie udało mi się upić drinka bez siorbania, po czym zapytałam nieco bełkotliwie: – Chcesz powiedzieć, że nie jesteś taki jak on, bo nie zostałeś policjantem?

– Nie. Nie jestem taki jak on, bo zazwyczaj robię to, czego nie powinienem – odpowiedział, nie odrywając wzroku od moich ust.

Nie wiedziałam, na ile miała na to wpływ jego bliskość, a na ile te półtora kieliszka alkoholu, ale czułam gorące pulsowanie mojego serca. Pewnie i jedno, i drugie. Powietrze zdawało się gęstnieć, a świat wokół zwalniać. Miałam poczucie, jakby właśnie wydarzyło się coś ważnego, ale byłam zbyt otumaniona, żeby zrozumieć, co. Wiedziałam tylko, że sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawiał, że czułam przyjemny ból w dole brzucha.

Zanim jednak zdążyłam dogłębniej przemyśleć tę kwestię, Quinn mnie pocałował.

Uwięził moje usta w pocałunku, subtelnie przyciskając swoje wargi do moich. Po chwili przechylił delikatnie głowę i pocałował mnie ponownie, tak jakby chciał posmakować moich ust z każdej strony. Byliśmy połączeni ze sobą jedynie ustami i splecionymi dłońmi, ale nie trwało to długo. Za chwilę Quinn zrezygnował z uścisku i wpijał palce w moje plecy, przyciągając mnie do siebie całym ciałem. Byłam teraz między jego nogami, półstojąc, półleżąc na jego klatce piersiowej.

Bez zastanowienia pochyliłam się do przodu. Chwyciłam go za poły koszuli, częściowo dla równowagi, a częściowo dlatego, że po prostu nadarzyła się ku temu okazja. Miał ciepłe, miękkie usta. Początkowo całował mnie delikatnie, celebrując każdy dotyk naszych ust. Jednak jego uścisk był mocny, stanowczy. Przyciskał mnie do siebie, jakby w obawie, że się przewrócę albo spróbuję go od siebie odepchnąć.

Miałam poczucie, że mój umysł i ciało nie są ze sobą połączone, dlatego nie od razu zareagowałam z entuzjazmem adekwatnym do sytuacji, co, nie oszukujmy się, stanowiło szczęśliwy zbieg okoliczności. Gdybym była przygotowana na ten pocałunek i wiedziała, kiedy nastąpi, zapewne byłabym tak pobudzona i chętna, że koniec końców przysłałabym się do jego twarzy jak pijawka.

Niemniej jednak nie byłam w stanie powstrzymać cichego jęku, jaki się ze mnie wydobył. Okazało się to bardzo, ale to bardzo dobrą reakcją, bo Quinn niemal natychmiast wsunął mi język do ust. Rozchyliłam usta, a on zareagował niskim mrużeniem, oplatając mnie ramionami jeszcze ciaśniej, i przejął kontrolę nad moimi ustami. Jego dłoń przesunęła się po moich plecach i zatrzymała na moich włosach. Rozplątał ciasny kok, sprawiając, że niesforne loki rozsypały się na wszystkie strony. Chwycił teraz pukiel moich włosów, żeby przytrzymać mnie w bezruchu, kiedy penetrował językiem wnętrze moich ust. Jego pocałunki robiły się coraz bardziej wygłodniałe, a moje ręce, uwięzione między nami, mogły tylko kurczowo ścisnąć jego koszulę.

Moje reakcje były całkowicie odruchowe, kontrolowane tylko i wyłącznie przez rdzeniomózgowie. Byłam tak pochłonięta odczuwaniem bliskości Quinna – jego rąk, ramion, ust, klatki piersiowej – że nie usłyszałam, jak drzwi za mną otwierają się i nie zrozumiałam, dlaczego Quinn nagle zeszywniał i niespodziewanie odsunął twarz od mojej. Miałam nadal zamknięte oczy, zadarty podbródek i rozchylone wargi, kiedy wyplątał rękę z moich loków i odezwał się:

– O co chodzi? – zapytał wściekłym tonem.

Natychmiast otworzyłam oczy, nie pojmując, co się dzieje. W pierwszym odruchu byłam przekonana, że kieruje te słowa do mnie. Dopiero kiedy uświadomiłam sobie, że wcale nie patrzy na mnie, tylko na kogoś za moimi plecami, mój umysł zaczął pracować. Wtedy też rozpoznałam głos za sobą.

– Przepraszam, nic takiego. Cholera. Myśleliśmy, że będziesz chciał... nieważne. – Usłyszałam, jak Jamal pospiesznie znika za drzwiami.

Wtedy właśnie zorientowałam się, że moje okulary są krzywo. Próbowałam spojrzeć Quinnowi w twarz, ale oprawki okularów blokowały mi wizję, z każdej strony ograniczając widoczność czarnymi rogowymi ramkami. Ramiona Quinna nadal oplatały

mnie ciasno, pozwoliłam sobie na chwilę zapomnienia i postanowiłam policzyć do sześciu i w tym czasie rozkoszować się faktem, że mogę przyłgnąć ciałem do jego umięśnionego ciała. Kiedy skończyłam liczyć do sześciu, postanowiłam policzyć jednak do dwunastu.

Quinn zamarł. Był tak nieruchomy, że miałam przez chwilę wrażenie, że wstrzymuje oddech. Delikatnie odepchnęłam się dłońmi od jego torsu, żeby poprawić przekrzywione okulary na tyle wdzięcznie, na ile pozwalały mi okoliczności. On rozluźnił nieco swój uścisk, ale nadal trzymał ręce wokół mojej talii, kiedy się prostowałam. Spojrzałam spod rzęs i podjęłam próbę odczytania wyrazu jego twarzy.

Jego oczy były mroczne, nieodgadnione. Obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek. Jego wargi były zaczerwienione i lekko opuchnięte od naszego pocałunku. Ja z wrażenia chwiałam się na nogach tak, że najprawdopodobniej upadłabym, gdyby mnie nie trzymał. Oblizwał usta. Z trudem powstrzymałam kolejne jęknięcie. Zamknęłam oczy i opuściłam głowę.

Liczyłam, że pod ciemną osłoną powiek uda mi się skutecznie podjąć wysiłek opanowania dzikiej imprezy, która odbywała się właśnie w mojej głowie, gdzie naprzemiennie walczyły o moją uwagę chaos i zwątpienie. Jednak bliskość Quinna, ciepło jego dłoni na mojej talii, jego tors pod moimi palcami sprawiały, że po raz kolejny moje przodomózgowie odmówiło posłuszeństwa.

W moim umyśle wirowała tylko jedna myśl: „Nie mogę uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło”.

Po chwili dołączyła do niej druga myśl: „Co mam zrobić, żeby wydarzyło się to ponownie?”.

Kiedy już upewniłam się, że udało mi się złapać równowagę, otworzyłam oczy, niepewnie podniosłam wzrok i zatrzymałam się na jego szyi. Poczułam, jak jego ręce zaciskają się na mojej talii na krótką chwilę, by zaraz opaść wzdłuż jego ciała. Zrobił jeden ostrożny krok wstecz, potem drugi. Przeczesał palcami włosy, pozostawiając gdzieś tam sterczące w nieładzie kosmyki. Jakby nie wiedząc, co zrobić z rękami, ostatecznie oparł je na biodrach.

– To nie powinno się było wydarzyć – oznajmił.

Jego otrzeźwiający głos wywołał u mnie natychmiastowy efekt. Żar tropików, jaki zapanował w moim ciele pod wpływem alkoholu i Quinna, zniknął pod arktycznym podmuchem tego zdania. Z zaskakującą zręcznością, błyskawicznie udało mi się odciąć od bolesnego uczucia rozczarowania, zanim jeszcze stało się nie do zniesienia: szast-prast, pudełko zamknięte, światełko zgaszone, szafa zamknięta. Mój wzrok napotkał jego spojrzenie na króciutką chwilę. Potem spojrzałam za jego ramię.

– Cóż, jakby nie było, wypileś trzy betoniarki. – Brakowało mi tchu, więc przełknęłam ślinę i skrzyżowałam ręce na piersiach w nadziei, że dzięki temu uspokoję nieco swój słowotok. – Alkohol jest depresantem, a depresanty mają to do siebie, że oddziałują na receptory GABA, czyli głównego neuroprzekaźnika o działaniu hamującym w ludzkim mózgu. Dowiedziono również, że picie alkoholu podnosi poziom noradrenaliny, neuroprzekaźnika odpowiedzialnego za pobudzenie, stąd tak często odczuwamy ekscytację w początkowej fazie picia. Noradrenalina przetwarza wiele

bodźców, co pozwala przypuszczać, że alkohol jest czymś więcej niż zwykłym depresantem. Podwyższony poziom noradrenaliny wzmacnia impulsywność, co z kolei prowadzi do zachowań nastawionych na przyjemność – zachowań, które najprawdopodobniej nie pojawiłyby się, gdyby w organizmie nie krążył alkohol.

Przygryzłam wargę, czując wewnętrzne rozdarcie w związku ze swoim logicznym wyjaśnieniem. Myśl, że nasz pocałunek był po prostu efektem chwilowego alkoholowego szaleństwa, uspokajała mój umysł, tak jakby świat ponownie wrócił na swoje tory, a pewne niezbywalne prawdy nadal miały rację bytu. Jednocześnie jednak całym swoim sercem i wszystkimi żeńskimi częściami ciała czułam rozczarowanie, zupełnie jakbym odkryła właśnie, że Święty Mikołaj nie istnieje, a Superman to tylko postać z komiksów.

Przez cały czas trwania mojego wywodu przenoszącego całą winę na alkohol, Quinn obserwował mnie zaabsorbowany i czerpał z tego wyraźną przyjemność, a kiedy wreszcie skończyłam, westchnął donośnie.

– To, co się wydarzyło, nie miało nic wspólnego z alkoholem.

Postanowiłam, że wolę jednak trzymać się niezbywalnych prawd. Niezbywalnych prawd trzeba się mocno trzymać, wtedy uniknie się rozczarowań.

– Nie możesz być tego pewien – odpowiedziałam, odwracając się od niego. Poprawiłam koszulę i zaczęłam rozglądać się za swoim notatnikiem. Naprawdę nie miałam ochoty na tę rozmowę. – Alkohol, który wprowadziliśmy do naszych organizmów, nadal zaburza naszą umiejętność kontrolowania impulsywnych zachowań – oznajmiłam, przeszukując podłogę w poszukiwaniu gumki do włosów.

– To dlatego odwzajemniłaś pocałunek? Bo twoja umiejętność kontrolowania impulsywnych zachowań została zaburzona? – Czułam na sobie jego spojrzenie, kiedy zrezygnowałam z poszukiwań gumki i ruszyłam w stronę stolika, na którym leżał mój porzucony notes i teczka. Podniosłam je.

– Logika podpowiada, że zarówno mój, jak i twój udział w tym incydencie był w dużej mierze efektem uprzedniej konsumpcji napojów wysokowych. – Zerknęłam niewidzącym wzrokiem na zegarek i ruszyłam w stronę drzwi. Chciałam wyjść jak najszybciej, żeby ułożyć sobie w głowie wydarzenia dzisiejszego dnia i wieczoru. Pomimo pozornej brawury, im dłużej rozmawialiśmy, tym byłam mniej pewna i opanowana.

Zaszedł mi drogę, zanim dotarłam do drzwi, zatrzymując mnie w pół kroku i unosząc rękę do góry. Zrobiłam krok wstecz.

– Wyjaśnijmy sobie jedno: pocałowałem cię, bo tego chciałem. Pragnąłem tego od momentu, w którym po raz pierwszy zobaczyłem cię w lobby budynku Fairbanks.

Jego wyznanie, jeśli można to było tak nazwać, kompletnie mnie zaskoczyło. Z gardła wyrwał mi się cichy okrzyk zaskoczenia. Górna część mnie, ta z mózgiem, i dolna część mnie rozgrywały partyjkę „Ryzyka” i właśnie była kolej mojej dolnej części na rzucenie kostką.

Przestąpiłam z nogi na nogę, niepewna, co powiedzieć ani co zrobić. Wreszcie wzięłam głęboki oddech i wypuszczając powoli powietrze, spojrzałam mu w oczy. Mój żołądek ścisnął się na widok jego powściągliwej miny. Jego oczy zdawały się przyglądać uważnie moim.

Odkaszlnęłam.

– Przecież powiedziałeś przed chwilą, że to nie powinno się było wydarzyć.

Zawahał się przez chwilę, jakby obmyślał kolejny ruch w grze w szachy, nadal przyglądając się nieufnie.

– Bo nie powinno.

Przekrzywiłam głowę na bok, ignorując boleśnie oczywisty fakt, że oto zaczynam naśladować jego zachowania i odważyłam się spytać:

– A myślisz, że doszłoby do tego, gdyby nie alkohol?

Wziął głęboki wdech. Patrzyłam, jak jego klatka piersiowa unosi się powoli, a wzrok wędruje na moje usta.

– Prędzej czy później tak.

Zamrugalam.

– Ja... – nie byłam w stanie wykrztusić z siebie nic więcej. Świat stanął na głowie. – Nie wiem, co powiedzieć.

Ponownie przeczesał palcami włosy.

– Nie mam zbyt wiele doświadczenia w tych sprawach... – wymamrotał, tak że ledwo byłam go w stanie usłyszeć.

– Z czym?

– Chciałbym cię gdzieś zabrać – oznajmił i przełknął ślinę. – To znaczy, na kolację – dodał zaraz.

– Ja... – Świat stanął na głowie i został wystrzelony na konstelację Andromedy. – Ty zapraszasz mnie na kolację?

To musiała być jakaś pomyłka. Moje oczy otwierały się coraz szerzej z niedowierzania i konsternacji. Byłam pewna, że kolejne słowa, jakie padną z moich ust, będą dla mnie źródłem totalnego upokorzenia, i tak jak na rasową masochistkę przystało, wypowiedziałam je głośno.

– W sensie... na randkę? – Głos załamał mi się nieco przy ostatnim słowie.

Nie uśmiechnął się. Nie wyglądał na rozbawionego. Po prostu kiwnął twierdząco głową.

– Na randkę – potwierdził.

Nie miałam pojęcia, ile czasu gapiłam się na niego, spodziewając się, że zaraz wyjaśni, że miał na myśli coś zupełnie innego, albo że ktoś sprowadzi mnie z powrotem na ziemię z tego przedziwnego, równoległego wszechświata. Wreszcie zareagowałam.

– TAK! – oznajmiłam, o jakieś dziesięć decybeli za głośno.

Właściwie to wykrzyczałam. Autentycznie wrzasnęłam „tak”.

Quinn odetchnął głęboko.

– Świetnie.

– TAK, PÓJDE Z TOBĄ NA RANDKĘ, QUINNIE SULLIVANIE. DO JAKIEGOŚ MIEJSCA, GDZIE ZJEMY KOLACJĘ – nie byłam w stanie powstrzymać swojego głosu. Z jakiegoś powodu to, czego aktualnie doświadczałam, sprawiało, że musiałam wykrzyzczeć te słowa.

Zaśmiał się cicho.

– Świetnie. Cieszę się.

Przytaknęłam tylko, nie odzywając się, dopóki nie odzyskałam kontroli nad swoim głosem.

– W porządku. W takim razie ustalone.

Nie byłam pewna, jakie są reguły postępowania w takich wypadkach, dlatego na wszelki wypadek wyciągnęłam rękę.

Przez moment patrzył na nią bez ruchu. Po chwili zamknął moją dłoń w swojej dłoni, ale zamiast po prostu ją uścisnąć, przyciągnął mnie do siebie. Pochylił się i znowu mnie pocałował. Tym razem jednak było to szybkie, delikatne muśnięcie naszych warg, po którym natychmiast się wyprostował. Ten krótki, ale uroczy pocałunek sprawił, że po plecach przebiegł mi dreszcz, włosy stanęły dęba, a serce podskoczyło do gardła. Instynktownie pochyliłam się w jego stronę w momencie, w którym się wycofał.

Zarumieniłam się po raz siedemset trzydziesty pierwszy.

– Muszę już iść – oznajmiłam.

– Nie chcesz zostać na koncercie?

– Ach, rzeczywiście... – Kompletnie o nim zapomniałam.

Wyjął z moich rąk notes i wskazał w stronę szyby.

– Niedługo powinien się zacząć.

Zawahałam się.

– Skończymy jeść, obejrzymy koncert. Możemy wyjść w każdej chwili.

Rozejrzałam się po pokoju. W bardzo krótkim czasie wydarzyło się tu bardzo dużo. Dzisiejszy dzień zdecydowanie zasługiwał na dogłębną analizę.

Quinn delikatnie pociągał mnie za rękę, dopóki nie podniosłam na niego wzroku. Jego spojrzenie było ciepłe i otwarte.

– Obiecuję, żadnych obmacywanek, żadnego zaburzania kontroli impulsywnych zachowań... – I po chwili z tym swoim seksownym, szelmowskim uśmiechem dodał: – Chyba, że będziesz miała ochotę.

Mogłam tylko kiwnąć głową, oszołomiona intensywnością jego uśmiechu. Podążyłam bezwolnie we wskazanym przez niego kierunku.

\*\*\*

Zgodnie z jego przyrzeczeniem nie było żadnych obmacywanek. Mimo że obydwójce nadal spożywaliśmy napoje wysokokowe, żadne z nas nie inicjowało intymności fizycznej, nie licząc drobnych gestów. Od czasu do czasu Quinn odgarniał mi włosy z ramion albo z twarzy, albo kładł rękę na oparciu mojego siedzenia.

To było dziwne uczucie, słuchać koncertu zamiast aktywnie w nim uczestniczyć. Nie śpiewaliśmy, nie tańczyliśmy, nie klaskaliśmy. Właściwie to większość występu przegadaliśmy. Równie dobrze mogłaby to być muzyczka leżąca w tle z głośników. W pewnym momencie zupełnie zignorowaliśmy koncert, przez czterdzieści pięć minut pochłonięci rozmową na temat mojej filozofii dzielenia ludzi na dobrych, złych, głupich i leniwych.

Quinn uparcie twierdził, że skoro ludzie są dobrzy i źli, powinnam uwzględnić w swojej skali również tych inteligentnych i zmotywowanych. Ja z kolei uważałam, że brak głupoty automatycznie implikuje inteligencję, ale już bycie złym nie implikowało bycia dobrym.

Kiedy przyłapał mnie na kolejnym już ziewnięciu, postanowił, że czas do domu. Kiedy zjechaliśmy na dół, przy wyjściu czekał już na nas czarny mercedes. Ku mojemu zaskoczeniu, powitała nas znajoma twarz.

To był Vincent – kierowca limuzyny, ten sam, który pomógł mi przewieźć moje rzeczy z mieszkania Jona do Elizabeth w najgorszym dniu mojego życia. Z początku nie wierzyłam własnym oczom, ale potem, kiedy otwierał nam tylne drzwi, wyraźnie zauważyłam, że do mnie mrugnął. W odpowiedzi tylko się na niego gapiłam.

Quinn i ja spędziliśmy pierwszą połowę drogi w milczeniu, każde z nas na innym końcu skórzanego siedzenia. Mój mózg parował. Byłam już zmęczona próbami nadążania za wszystkimi zmianami i kalibrowaniem adekwatności swoich reakcji. Mimo to zaczęłam rozmyślać nad tym, co wydarzyło się przez ostatnie kilka godzin. Zerkałam też na głowę Vincenta, który raz czy dwa razy uchwycił moje spojrzenie w tylnym lusterku. Postanowiłam, że w którymś momencie będę musiała zapytać Quinna, czy to on załatwił limuzynę, która wiozła mnie z pracy te kilka tygodni temu, czy też może dzisiejsza obecność Vincenta była po prostu dziełem przypadku.

Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, Quinn wyrwał mnie z zamyślenia, odpinając mój pas. Spojrzałam mu w oczy, które w ciemnym samochodzie wydawały się opalizujące; bez słowa przyciągnął mnie do siebie, objął tak, że opierałam się teraz o niego plecami, i zapiął środkowy pas. Było mi ciepło i bezpiecznie, co paradoksalnie sprawiało, że drżałam na całym ciele, a serce waliło mi jak oszałałe.

Kiedy zajechaliśmy pod mój budynek, Vincent otworzył tylne drzwi i zaoferował pomocną dłoń. Uśmiechnęłam się do niego, wysiadając.

– Miło znów cię widzieć.

– Panią też. Wygląda pani przepięknie. – Jego brązowe oczy migotały w świetle ulicznej lampy. Jak poprzednio, uniósł moją dłoń do ust i solennie ucałował.

Quinn wysiadał za mną, zrobiłam więc krok do przodu i obróciłam się tak, żeby móc kontynuować rozmowę.

– Jak się miewa twoja żona? A wnuki?

– Och, dni są długie, ale lata krótkie – odpowiedział tajemniczo, kręcąc głową, i wznosił oczy do nieba.

Quinn patrzył to na mnie, to na niego. Uniósł brew, ale nie powiedział ani słowa. Pożegnałam się z Vincentem, a Quinn położył dłoń na moich plecach i poprowadził mnie w kierunku schodów mojego budynku. Przystanęliśmy pod drzwiami. Zaczęłam szukać swoich kluczy.

– Skąd znasz Vincenta? – spytał Quinn. Jedną rękę miał w kieszeni, a drugą drapał się po pokrytej jednodniowym zarostem szczęce.

– Właśnie, miałam cię o to zapytać – powiedziałam. Przez chwilę milczałam, wyłuskując z pęku kluczy ten do drzwi wejściowych. – Vincent był kierowcą limuzyny, którą jechałam do domu po tym, jak mnie zwolnili.

Quinn spochmurniał na te słowa, po chwili jednak jego brwi uniosły się w przeblysku zrozumienia. Odwrócił ode mnie wzrok i wpatrywał się w drzwi mojego budynku.

Przyglądałam mu się podejrzliwie.

– Czy to ty załatwiłeś wtedy tę limuzynę? – spytałam wreszcie.

Zawahał się, ostatecznie jednak kiwnął głową, nadal unikając mojego spojrzenia.

– Tak.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Popatrzył mi w oczy.

– Wydawałaś się taka... smutna – westchnął.

– Ale przecież nawet mnie nie znałeś.

– Ale chciałem cię poznać – odpowiedział, przysuwając się bliżej. Wyciągnął rękę i odsunął włosy opadające mi na twarz.

Z trudem przełknęłam ślinę i uniosłam podbródek, żeby podtrzymać kontakt wzrokowy, czując szalone ciepło rozlewające się po moim wnętrzu.

– Dlaczego w takim razie nie porozmawiałeś ze mną wtedy? Dlaczego nie zaprosiłeś mnie na randkę?

Quinn zmrużył oczy i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym oznajmił:

– Bo ja nie chodzę na randki.

Zmartwiałam na te słowa, jednak zanim mogłam przetrwać jego odpowiedź, Quinn pocałował mnie po raz trzeci tej nocy. I tym razem znowu było inaczej. Nie był to tak powolny, słodki pocałunek jak nasz pierwszy, a już z pewnością nie tak szybki i przelotny, jak drugi. Tym razem całował mnie zaborczo, zachłannie, pożądliwie.

Zanurzył dłoń w moich włosach i przyparł mnie do drzwi wejściowych. Był to pocałunek, od którego można postradać zmysły. Jak spragniony krwi wilk w pogoni za króliczką. Moje ciało zareagowało w nieznanym mi do tej pory sposób. Plecy wygięły się w łuk. Pragnęłam przylgnąć każdym centymetrem ciała do jego napiętej muskulatury, czując rozkoszny ból w podbrzuszu, rozlewający się dalej po całym moim ciele.

Nasz pocałunek ustał równie nagle, jak się zaczął. Na koniec Quinn skubnął delikatnie moją dolną wargę i odczekał, aż otworzę oczy, żeby w nie spojrzeć. Poczułam, jak wsuwa mi coś do kieszeni. Uśmiechnął się prawie niepostrzeżenie.

– Poprosiłem Jamala, żeby odebrał twoją komórkę z biura. Zadzwoń do ciebie jutro, ustalimy szczegóły naszej kolacji.

Otworzyłam usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zamknął mi je kolejnym szybkim pocałunkiem. Wyjął z mojej dłoni klucze, otworzył drzwi i pokierował mnie do środka, zwracając klucze.

Kolejne czynności wykonywałam automatycznie. Na koniec przystanąłam na moment na schodach, żeby na niego spojrzeć. Nadal stał pod drzwiami, a na jego twarzy wciąż gościł ten tajemniczy uśmiech. Po chwili odwrócił się i już go nie było.

\*\*\*

Weszłam do mieszkania Elizabeth, czując się jak zombie. Potrzebowałam odświeżenia. Emocjonalny roller-coaster o nazwie Quinn Sullivan kompletnie mnie wykończył. Nie miałam jednak w ogóle zamiaru spać. Wolałam siedzieć, gapić się w przestrzeń i rozmyślać obsesyjnie o wszystkim, co się wydarzyło. Cieszyła mnie moja własna reakcja, bo wiedziałam, że tak właśnie zachowują się normalni ludzie.

Elizabeth leżała na podłodze, z nogami opartymi o ścianę, w idealnej pozycji Viparita Karani, czyli nóg uniesionych na ścianie. Słuchała muzyki przez wielkie



słuchawki, podłączone do sprzętu stereo za pomocą zaskakująco długiego kabla.

Elizabeth była posiadaczką równie imponującej, co dziwnej kolekcji płyt i bardzo często relaksowała się na podłodze, słuchając muzyki, jednocześnie ćwicząc jogę, robiąc na drutach albo czytając czasopisma medyczne. Uwielbiała wszelkie boysbandy i sporą część swojej kolekcji miała również na płytach winylowych – począwszy od New Kids on the Block. Musiała zarejestrować moje wejście, bo odwróciła w moją stronę głowę i uśmiechnęła się pytająco. Potem opuściła nogi i zdjęła słuchawki. Przyglądała mi się teraz z nieukrywanym zainteresowaniem.

– Gdzie byłaś, na kolacji z Jonem? – spytała, marszcząc brwi.

Pokręciłam tylko głową i nadal oszołomiona, usiadłam na kanapie. Sięgnęłam po ozdobną poduszkę z kanapy i przycisnęłam ją do siebie.

– Nie, byłam z Quinnem.

Wystrzeliła jak z procy i zajęła miejsce na kanapie obok mnie. Z jej słuchawek dochodziły mnie słabe dźwięki któreś z piosenek One Direction.

– O, mój Boże. I co, i co? Służbowe wyjście? Gdzie byliście?

Schowałam twarz w dłoniach i pokręciłam głową.

– Elizabeth, masz dożywotni zakaz brania dwóch zmian w szpitalu.

Zacząłam swoją opowieść od momentu, w którym wpadłam na niego w środę w czasie lunchu. Uwzględniłam również szczegóły aresztowania domniemanego truciciela kobiet z klubu Outrageous.

Następnie omówiłam naszą niezbyt miłą czwartkową wymianę zdań oraz fakt, że zostałam zmuszona do dołączenia do grona niewolników telefonów komórkowych.

Zakończyłam krótkim opisem naszego dnia zawodowego i szkoleń, i wreszcie przeszłam do tej części, kiedy wszystko stanęło nagle na głowie.

Kiedy powiedziałam jej o naszej rozmowie o seksie, palnęła mnie w ramię: „O, mój Boże, nie wierzę!”.

Kiedy powiedziałam jej o pocałunku, zachłysnęła się, wytrzeszczyła oczy i zasłoniła usta.

Kiedy powiedziałam, że Quinn zaprosił mnie na randkę, zaczęła podskakiwać na kanapie: „A nie mówiłam? Mówiłam! Tak jest, tak!”.

Pominęłam większość koncertu, za to powiedziałam jej o Vincencie i o tym, że to Quinn załatwił dla mnie limuzynę tamtego dnia. Spoważniała i zaskoczona zamrugła oczami.

– No cóż, w sumie to było bardzo miłe zachowanie z jego strony... chociaż również nieco nadgorliwe.

A potem powiedziałam jej o ostatniej informacji z tego wieczoru: że Quinn nie chodzi na randki.

Jej mina zrobiła się jeszcze poważniejsza. Odchyliła się do tyłu i skrzyżowała ręce. Przez chwilę milczała, wreszcie westchnęła.

– Wiesz co, w sumie to można się było tego po nim spodziewać.

– Jak to, co masz na myśli? – Teraz ja spoważniałam.

– Niektórzy faceci po prostu nie są dobrym materiałem na chłopaka.

– Tylko na co? Na zasłony?

Uśmiechnęła się kąciakiem ust i szelmowsko uniosła brew. Rzuciła mi porozumiewawcze spojrzenie. Problem polegał na tym, że nie miałam pojęcia, na jaki temat się porozumiewamy. Pokręciłam głową.

– Co? O co chodzi z tym spojrzeniem? Czego tutaj nie rozumiem?

– On jest Wendellem.

*Wendell.*

– A kto to jest Wendell?

– Wendell to ciacho, przystojniak, z którym nie chodzi się na randki.

– To co się robi z Wendellem?

Dała mi kuksańca w ramię.

– No jak to, Janie! Uprawiasz z nim szalony, gorący seks! Wykorzystujesz jego walory i spędzasz długie, namiętne godziny w erotycznym rajku, czerpiąc z dobrodziejstw jego wspaniałego ciała, każdej jego części, która daje ci rozkosz, do czasu aż się nim znudzisz.

Zarumieniłam się i speszona przyglądałam swoim dłoniom.

– Ja nie... to znaczy, myślę, że...

– O nie, nie. Nie myśl, moja droga. Po prostu pozwól sobie na odrobinę dobrej zabawy! – Przykryła moją dłoń swoją i poklepywała, aż wreszcie spojrzałam jej w oczy. – Zaslugujesz na to. Powtarzaj za mną: Ja, Janie Morris, zasługuję na obłądną, kosmiczną orgazmoterapię w wykonaniu Pana Ciacho.

Wytrzeszczyłam na nią oczy i wzięłam głęboki oddech.

– To jakieś szaleństwo.

Elizabeth zmrużyła oczy.

– Powiedz to!

– Nie mogę! Nie powiem! – potrząsnęłam głową.

– Nie tylko to powiesz, ale to zrobisz. I to nie raz!

Zaśmiałam się wbrew samej sobie.

– Nakłaniasz mnie właśnie do wejścia w intymną relację z męską zdzirą.

– Domniemaną męską zdzirą. I tak, to właśnie robię – odparowała Elizabeth i nagle spoważniała. – Nie byłaś w łóżku z nikim poza Jonem, no a... obydwie wiemy, że nie był on zbyt dobry w te klocki.

– Nigdy tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Wystarczy sam fakt, że nigdy o tym nie mówiłaś.

Przygryzłam wargę. Naprawdę uważałam, że Jon był w porządku, jeśli chodzi o te sprawy. W porządku. Po. Prostu. W. Porządku. Coś w tym złego?

– Janie, seks może być super. Może być naprawdę super, może być świetną zabawą. I o to chodzi z Panem Ciacho, to może być dla ciebie coś dobrego. Może dzięki temu będziesz czuła się pewniej w męskim towarzystwie i poczujesz, jak to jest, kiedy seks jest naprawdę dobry. Wendell, yyy, chciałam powiedzieć Quinn, jest z tobą szczerzy, nie ukrywa swoich intencji. Kiedy znudzi ci się jego towarzystwo, nie będziesz musiała martwić się o jego uczucia – czy to nie wygodne? A potem, kiedy spotkasz na swojej drodze nie-Wendela, któremu się spodobaś i który spodoba się tobie, będziesz już wiedziała, co lubisz i jak zachować się w łóżku.

Pokręciłam głową.

– Wydaje mi się, że nie potrafiłabym być taką osobą. Chyba nie potrafię uprawiać z kimś seksu bez poczucia, że tej osobie na mnie zależy i chce być ze mną... no wiesz, bez czegoś więcej. Wiem, że brzmi to staroświecko, ale nie mam ochoty na wspaniały seks, jeśli nie wiąże się z nim...

– Miłość? – odpowiedziała Elizabeth z sarkazmem w głosie.

Ściągnęłam usta.

– Wzajemna troska, szacunek, empatia, zaangażowanie i tak, owszem, mam nadzieję, że to wszystko składa się na to uczucie zwane miłością.

Prawda była taka, że przerażała mnie wizja siebie samej jako takiej osoby – osoby, która przedkładałaby fizyczny aspekt związku nad emocjonalne zaangażowanie i trwałość. Przerażał mnie nieokiełznany, nieprzewidywalny charakter takiej relacji. Przywodził mi na myśl moją matkę, która co i rusz porzucała swoją rodzinę na rzecz kolejnych tymczasowych partnerów seksualnych. Nie mogłam, nie chciałam mieć z tą kobietą cokolwiek wspólnego. I nawet jeśli miało to oznaczać, że skończę jako singielka albo spędzę resztę życia w statecznym, beznamietnym, ale za to pewnym i solidnym związku, byłam w pełni gotowa ponieść takie ryzyko.

Elizabeth prychnęła.

– Przygarnij psa albo kota, zwierzak ci wystarczy. Mówisz tak, bo nigdy nie doświadczyłaś naprawdę dobrego seksu.

Wybuchłam śmiechem, widząc jej naburmuszoną minę.

– No cóż, w takim razie chyba nigdy nie będzie mi dane doświadczyć naprawdę dobrego seksu.

Elizabeth znowu prychnęła, po czym przytuliła mnie do siebie.

– Kocham cię, Janie, i wierz mi, znam się na dobrym seksie, niestety, tak się składa, że nie gustuję w dziewczynach.

Uśmiechnęłam się, wtulona w jej koszulkę.

– No cóż, daj znać, jeśli kiedyś zmienisz zdanie.

Wyprostowała się i odsunęła mnie na odległość ramienia. Jej mina, podobnie jak ton, były poważne:

– Słuchaj, jeśli nie masz ochoty na gorący seks z Wendellem, to muszę cię ostrzec. Musisz być bardzo ostrożna w relacji z Quinnem. Był z tobą szczery i przyznał, że nie jest typem randkowicza. Lepiej mu uwierz.

– Wierzę mu. Naprawdę – przytaknęłam, starając się ukryć smutek, jaki odczuwałam.

Elizabeth przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, po czym spytała:

– A co zrobił po tym, jak powiedział ci, że nie chodzi na randki?

Przelknęłam ślinę, mimowolnie przykładając palce do ust.

– Zaczął mnie całować jak wariat.

W sobotnie popołudnie, po długim okresie prokrastynacji, wreszcie zebrałam się w sobie i odpowiedziałam na maila od mojej siostry.

Najpierw pospałam do dziewiątej trzydzieści, potem przez następne dwadzieścia minut leżałam na kanapie, rozmyślając o Quinnie Sullivanie i jego magicznych ustach. Pod wpływem dziwnego impulsu postanowiłam wyjść na przebieżkę wokół jeziora Michigan. Pogoda, szczególnie jak na końcówkę września, była wyjątkowo przyjemna, a wiatr orzeźwiający. Cieszyłam oczy widokiem Parku Milenijnego, Akwarium, Muzeum Historii Naturalnej i rozmyślałam o moim mieście.

Chicago jest naprawdę niepowtarzalne.

To przysłowiowe średnie dziecko spośród większych miast USA. Niektórzy mogą odczytywać tę analogię tylko w kontekście jego położenia geograficznego, pośrodku kraju. Jednak ta analogia jest bardziej złożona. Jak większość średnich dzieci albo jak książkę na środku półki, Chicago łatwo jest czasem przeoczyć. Jest eleganckie i autentyczne, ale nieustannie porównywane, chcąc nie chcąc, do swojego starszego i młodszego rodzeństwa, Nowego Jorku i Los Angeles. W porównaniu z Nowym Jorkiem jest mniej znane, ale bardziej eleganckie, za to w porównaniu z Los Angeles jest mniej ostentacyjne, ale znacznie bardziej autentyczne.

Chicago jest piękne, zapierające dech w piersiach, a jednak jakimś cudem nadal nie zakorzeniło się jeszcze w powszechnej świadomości.

Zawsze zastanawiałam się, czy nie jest po prostu tak, że Chicago świadomie unika uciążliwej i często patologicznej popularności i świateł jupiterów. Mam taką hipotezę, że to miasto po prostu woli być eleganckie, autentyczne i zapierające dech w piersiach, a jednocześnie nie ma potrzeby zwracania na siebie uwagi jak inne słynne, ostentacyjne miasta.

Po drodze do domu wstąpiłam do Starbucksa po kawę i oddałam się obsesyjnym rozmyśleniom na temat Quinna Sullivan. Na koniec przystanęłam przed sklepem plastycznym Utrecht Art Supply i pogapiłam się na wystawę. Kiedy dotarłam do mieszkania, zastałam Elizabeth, czyszczącą kuchnię. Poczułam lekkie rozczarowanie – w ramach „prokrastynowania” miałam ambitny plan oddać się właśnie temu zadaniu. Zamiast tego wzięłam prysznic, ogoliłam wszystko, co było do ogolenia, wyskubałam brwi i postanowiłam zrobić sobie pedicure.

Usiadłam na kanapie i położyłam jedną stopę na stoliku. Elizabeth przyglądała mi się podejrzliwie, ale zamierzałam ignorować jej świdrujące spojrzenie.

Po minucie pełnej napięcia ciszy odezwała się pierwsza:

– No dobra, to co takiego musisz zrobić, a czego bardzo nie chce ci się robić?

Prychnęłam, jednocześnie zadowolona i zirytowana tym, że zna mnie tak dobrze.

– Dostałam maila od Jem – wyznałam.

– Jem? – Elizabeth nie kryła zdziwienia. – Kiedy?

– W czwartek.

– I czego chce?

Otworzyłam zmywacz do paznokci i chlusnęłam szczerze na wacik.

- Chce przyjechać z wizytą.
- Do kogo?
- Chyba do mnie. W mailu napisała, że chce się ze mną zobaczyć.

Elizabeth pokręciła głową.

- To bardzo dziwne. Przecież ona cię nie lubi.
- No właśnie. – Wzruszyłam ramionami.

To była prawda. Moja własna siostra mnie nie lubiła. I nie chodziło tu o to, że się nie dogadywałyśmy. Po prostu Jem nikogo nie lubiła. Czasami udawała, że kogoś lubi, ale tylko tak długo, jak było to konieczne, żeby uzyskać to, czego potrzebowała. Prawdopodobieństwo, że moja siostra jest socjopatką, było bardziej niż duże.

Gwałtownym ruchem zamknęłam buteleczkę ze zmywaczem i wyciągnęłam laptop. Musiałam zjeść tę cholerną żabę i odpowiedzieć na jej e-maila.

*Jem, cały przyszedł tydzień jestem w domu, ale w następnym wyjeżdżam służbowo na kilka dni. Kiedy planujesz przyjechać? Na ile zostajesz? Będziesz chciała zobaczyć albo porobić coś konkretnego w trakcie swojego pobytu? Daj znać, jak znajdziesz chwilę.*

*Do zobaczenia, Janie*

Jakkolwiek niewinna w treści, byłam przekonana, że moja wiadomość nieźle ją wkurzy. Nie lubiła zwierzać się ze swoich planów, nawet jeśli miały one wpływ na innych ludzi.

Po uporaniu się tymczasowo z tą kwestią, zdecydowałam się napisać maila do Jona w sprawie kolacji. Mimo że Steven nie mógł do nas dołączyć, czułam się w obowiązku dotrzymać ustaleń z Jonem, szczególnie że już dwa razy pod rząd odwoływałam nasze spotkanie. Zaczęłam właśnie pisać do niego wiadomość, kiedy w pobliżu rozległ się brzęczący dźwięk.

Przerwałam stukanie w klawiaturę i zdezorientowana spojrzałam na Elizabeth.

- Co to takiego? Brzmi jak dzwonek ciężarówka z lodami.

Elizabeth zastygła przy zmywarce z mokrym talerzem w ręku.

– To brzmi jak dzwonek telefonu komórkowego. Czy to przypadkiem nie twoja nowa komórka?

Podskoczyłam, przypominając sobie o jej istnieniu, i zaczęłam przetrząsać salon w poszukiwaniu tego przekłętego urządzenia. W pewnym momencie dźwięk ustał, ale po kilku sekundach rozległ się ponownie. Klnąc jak opętana, w połowie słowa na „k” znalazłam wreszcie ten „wynałazek”.

- Tak! Halo? – odpowiedziałam bez tchu.

– Cześć.

Na zewnątrz moje ciało natychmiast zeszytniało. Wewnątrz czułam, że się roztapiam.

- Och, hej, hej, cześć! Co u ciebie?

– W porządku, a u ciebie? – W głosie Quinna słychać było, że się uśmiecha. Widok jego uśmiechu mignął mi głowie, sprawiając, że włosy na karku stanęły mi dęba.

– Też. Ja, yyy... – Zerknęłam nerwowo w stronę Elizabeth, która wykonywała bardzo sugestywne gesty swoimi mokrymi rękami. Rzuciłam jej potępiające spojrzenie

i odwróciłam się do niej plecami. – Miło, że dzwonicz.

– Mimo że na telefon komórkowy?

Uśmiechnęłam się mimowolnie.

– Wolałabym, żebyśmy nie rozmawiali przez komórkę.

– Ja też. Dzwonię w sprawie dzisiejszej kolacji. O której po ciebie przyjechać?

– Kolacji?

– Tak, kolacji.

– Dzisiaj?

– Tak. Kolacji. Dzisiaj wieczorem.

– Ja, yyy... – Zmartwiałam, zerkając na monitor laptopa na wciąż otwarte okienko wiadomości, którą pisałam do Jona.

– Janie?... Zmieniłaś zdanie?

– Nie, nie. Skąd, nie zmieniłam zdania. Po prostu akurat dzisiaj wieczorem mam już plany.

Kątem oka zauważyłam, że Elizabeth się rusza. Kiedy spojrzałam na nią, wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem, pytając bezgłośnie: „Co ty do cholery wyprawiasz?”. Machnęłam na nią ręką.

Quinn nie odpowiedział od razu, więc odsunęłam telefon od ucha i spojrzałam na ekran, żeby upewnić się, czy przypadkiem nas nie rozłączyłam. Żaden z symboli na to nie wskazywał, więc odezwałam się ponownie:

– Quinn? Jesteś tam? Rozłączyło nas?

– Tak, jestem – usłyszałam westchnięcie. – Czy to te same plany, które miałaś wczoraj ze swoim byłym?

Skuliłam się w środku. A potem również na zewnątrz.

– Tak.

Milczał w odpowiedzi.

– Quinn?

– W takim razie ja też wpadnę – powiedział. Nie zabrzmiało to jak prośba.

– Yyy, co takiego?

Jego ton był formalny i obcesowy.

– Jutro pójdziemy na kolację we dwójkę. A dziś poznam twojego przyjaciela, Jona.

– Chcesz poznać Jona? – Upewniłam się, instynktownie szukając wzrokiem Elizabeth. Musiałam wyglądać na tak zszokowaną, jak się czułam, bo wpatrywała się tylko we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Chcę się dziś z tobą zobaczyć.

Na te słowa podskoczyło mi serce. Z trudem formułowałam myśli.

– W sumie, to może... to znaczy... wydaje mi się, że... to znaczy, to nie tak, że... może moglibyśmy... po prostu nie wydaje mi się, żeby...

– Dokąd idziemy? O której się z nim spotykamy?

– Właśnie pisałam do niego e-maila, żeby ustalić szczegóły.

– Okej. Może w takim razie Chez Jean? Przyjadę po ciebie o siódmej.

– Nie, spotkajmy się w restauracji – zaprotestowałam. Nie chciałam przyjeżdżać tam razem z nim. Nie chciałam robić z Jona piątego koła u wozu.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Przecznicę za restauracją Al's Beef, zgadza się?

– Twoim punktem odniesienia jest Al's Beef? – Wyraźnie słyszałam w jego głosie rozbawienie.

– No jasne, przecież tego lokalu nie można przegapić! Jest w żółto-czarne paski, a na rogu pośrodku szyldu ma gigantyczny kubek papierowy. I wydaje mi się, że jest możliwość franczyzy.

Roześmiał się.

– Do zobaczenia o siódmej.

Na dźwięk jego śmiechu wyszczerzyłam się w głupkowskim uśmiechu.

– Dobrze. O siódmej. Do zobaczenia.

Kiedy skończyliśmy rozmowę, dłuższą chwilę wpatrywałam się w komórkę, tak naprawdę nie widząc jej. Czułam się lekko, jakby moje stopy nie dotykały ziemi, mogłabym skakać ponad chmurami, gdyby tylko naszła mnie taka ochota. Miałam ochotę biegać przez łąki i pola, kręcąc się radośnie w kółko, z orkiestrą przygrywającą w tle. Miałam ochotę stukać obcasami trzewiczków i zjeżdżać w dół po wijącej się poręczy. Miałam ochotę zrywać stokrotki i po kolei obrywać im płatki, recytując „ja kocham jego, on kocha mnie, ja kocham jego, on kocha mnie”.

Przejęty głos Elizabeth wyrwał mnie z moich meandrujących snów na jawie i przynajmniej częściowo przywołał do rzeczywistości.

– Nieźle cię trafiło, moja droga. Jeszcze nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

Westchnęłam, z idiotycznym uśmiechem nadal przyklejonym do twarzy. Wiedziałam dokładnie, jak wyglądałam i jak brzmiałam. Niepozorny głosik w głębi mojego nadaktywnego mózgu wrzeszczał na mnie: „Jesteś zauroczona! Zauroczona, ot co!”.

Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że zauroczenie może być tak boskim uczuciem. Być może nigdy wcześniej nie miałam okazji tego poczuć, dopóki nie pojawił się Quinn.

\*\*\*

Wieczorna kolacja rozpoczęła się od najbardziej niezręcznej ciszy, jakiej kiedykolwiek w życiu doświadczyłam. Musiałam co chwila gryźć się w język, żeby nie zapłacić tej czarnej dziury niewypowiedzianych słów. Po tym, jak wszyscy zostali sobie przedstawieni, Jon usiadł obok mnie na kanapie ciągnącej się wzdłuż ściany, podczas gdy Quinn ulokował się na krześle naprzeciwko nas i uśmiechał się do Jona.

Był to uśmiech zdradzający totalną pewność siebie, podszyty odrobiną zarozumiałości. Nie byłam do końca pewna, co o nim myśleć, więc postanowiłam na jakiś czas po prostu go zignorować. Miałam tylko nadzieję, że moje nerwowe przetykanie śliny pozostało niezauważone. Wreszcie w obawie, że za chwilę eksploduję, przeprosiłam i udałam się do toalety. Posiedziałam tam chwilę, dopóki nie poczułam pewności, że jestem w stanie zapanować nad zalewającą mnie powodzią faktów związanych z czarnymi dziurami, która chlupotała aktualnie w mojej głowie.

Dopiero kiedy wyszłam z łazienki, po raz pierwszy zauważyłam, w jak ładnej restauracji się znajdowaliśmy. Pachniała czosnkiem i smażeniną, a całe ściany były

bladożółte, poza listwami sufitowymi, które zrobione były z naturalnego, ciemnego drewna. Okna okalały firanki w kolorze burgunda. Przepiękne olejne pejzaże, przedstawiające zapewne francuską wieś, dodawały miejscu subtelnego szyku, ale nie zagrażały go ani nie sprawiały, że czuło się tutaj jak w muzeum.

Stoliki przykryte były białymi obrusami. Rzędy widelców, łyżek i noży rozpościerały się jak płatki kwiatów po obydwu stronach kompletów talerzy, poustawianych jeden na drugim, od największego na dole do najmniejszego na górze. Po prawej stronie każdego nakrycia umieszczona była w niewielkiej szklance misternie złożona materiałowa serwetka, przypominająca łabędzia.

Byłam tak pochłonięta wystrojem, że dopiero gdy wróciłam do stolika, zorientowałam się, że Quinn siedzi przy nim sam. Rozejrzałam się po niewielkim pomieszczeniu i zobaczyłam Jona kierującego się pospiesznie w stronę wyjścia. Bez zastanowienia zawołałam go i ruszyłam za nim.

Przystanął. Odwrócił się powoli i zrobił krok w moją stronę. Jego wzrok powędrował najpierw w kierunku Quinna, a potem napotkał moje spojrzenie. Zazwyczaj otwarty i bezpośredni, teraz miał wyraźnie urażoną i zaciętą minę.

– Co się dzieje, Jon? Dokąd idziesz?

Prychnął.

– Wychodzę – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Ale dlaczego?

Spojrzał na mnie badawczo swoimi zielonymi oczami, a jego mina zdawała się nieco łagodnieć. Ujął moją dłoń.

– Posłuchaj, Janie, bez względu na to, co ten człowiek ci naopowiada, chcę, żebyś wiedziała, że cię kocham. Proszę, obiecaj mi, że zadzwonisz do mnie jutro. Bez względu na wszystko, zadzwonisz do mnie jutro i porozmawiamy.

Pokręciłam głową, skonfundowana.

– Czy wy się znacie?

– Nie, nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

– A o czym rozmawialiście?

– O niczym ważnym...

– W takim razie dlaczego wychodzisz?

Delikatnie ścisnął moją dłoń.

– Zadzwonisz, obiecujesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak, tak, obiecuję. Zadzwonię jutro. Strasznie to wszystko dziwne.

Uśmiechnął się sztywno i wypuścił moją rękę. Jednym płynnym ruchem pochylił się, pocałował mnie w policzek, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł. Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w drzwi.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że Quinn mnie obserwuje. Jego mina, jak zwykle, była nieodgadniona, natomiast w jego błękitnych oczach jak zwykle tańczyły złośliwe chochliki.

Ruszyłam z powrotem do stolika, z każdym krokiem coraz wolniej. Wpatrywałam się w Quinna, zszokowana. Usiadłam na swoim miejscu na kanapie.



– Zamówiłem ci lemon drop – oznajmił jakby nigdy nic.

Moja uwaga przeniosła się na stojący przede mną kieliszek i na coś, co najpewniej było whisky w szklance przed nim. Na stole były już tylko dwa nakrycia.

Posmutniałam.

Spojrzałam wyczekująco na Quinna, z nadzieją, że moja mina skutecznie oddaje stopień podejrzliwości.

– O czym rozmawiałeś z Jonem? Dlaczego wyszedł?

Nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby udawać zawstydzonego. Zamiast tego przyglądał mi się tym swoim łobuzerskim spojrzeniem. Zanim odpowiedział, wziął duży łyk swojej whisky.

– To jego powinnaś o to spytać.

– Spytałam. Twierdził, że nie było to nic ważnego – odpowiedziałam beznamiętnym głosem, w którym pobrzmiwało niedowierzanie.

Quinn wzruszył ramionami.

– W takim razie nie było to nic ważnego – skwitował, ale na jego twarzy pojawił się ledwo widoczny uśmiezek – ...chyba że Jon skłamał.

Skrzyżowałam ręce na piersi i odchyliłam się do tyłu, kontemplując jego odpowiedź, która wcale, ale to wcale mi się nie podobała. Wpatrywał się we mnie nieruchomym spojrzeniem. Wreszcie powiedziałam:

– Nie było to zbyt miłe z twojej strony.

– A co zrobiłem niemiłego?

– Mam wrażenie, że jesteś trochę wścibski. I dlatego uważam, że nie jesteś zbyt miły.

Jego uśmiech przygasł.

– Przecież wścibskich ludzi nie ma na twoim wykresie na ćwiartkach współrzędnych, prawda?

Zmrużyłam oczy.

– Może powinni być. Może jedną z osi współrzędnych powinna być szczerść. Może powinnam zrobić model trójwymiarowy.

– Uważasz, że nie jestem z tobą szczerzy? – Jego ton był spokojny, ale oczy patrzyły wyzywająco.

– Nie, uważam, że formalnie jesteś szczerzy, co jest niemal gorsze.

Z jego twarzy zniknęły jakiegokolwiek widoczne oznaki emocji, a spojrzenie zapłonęło. Poczulałam, jak moje policzki czerwienią się pod jego badawczym wzrokiem, ale udało mi się podtrzymać z nim kontakt wzrokowy, mimo że serce zaczęło mi bić szybciej, a kłębek nerwów w brzuchu zaplątał się jeszcze ciaśniej. Po zbyt długim milczeniu, Quinn wstał. Jego potężna sylwetka poruszała się z gracją i zwinnością pantery. Przysiadł się tuż koło mnie, kładąc ramię za mną, na oparciu kanapy. Błądził wzrokiem po mojej szyi, ustach, oczach.

Przez chwilę myślałam, że będzie chciał mnie pocałować. Zamiast tego zbliżył swoją twarz do mojej i wyszeptał:

– Co chcesz wiedzieć?

Chwilę zajęło mi sformułowanie myśli. Jeszcze później przysły wypowiedziane

na głos słowa:

– Chcę wiedzieć, co powiedziałaś Jonowi, kiedy poszłam do łazienki.

Quinn rozważał coś przez chwilę, nie odrywając ode mnie wzroku, wreszcie westchnął.

– Rozmawialiśmy. I najpewniej wyszedł stąd właśnie z powodu tego, co mu powiedziałem. Nie chcę tutaj migać się od odpowiedzi, ale to nie ja mam ci sekret do wyznania.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że jest coś, o czym Jon powinien ci powiedzieć. Jeśli chcesz się tego dowiedzieć, musisz go zapytać.

– A ty nie powiesz mi, o co chodzi?

Pokręcił głową. Jego spojrzenie było nieruchome, a ton spokojny i rzeczowy.

– Nie. To nie moja sprawa.

Przygryzłam dolną wargę i przez chwilę ważyłam jego słowa. Koniec końców postanowiłam mu zaufać.

– W porządku – powiedziałam stanowczo. – Dziękuję, że byłeś ze mną szczery.

Kiwnął głową.

– Nie ma za co. Teraz moja kolej na pytania.

Przewróciłam oczami.

– Znowu gramy w tę grę?

Na jego twarzy natychmiast pojawił się oszałamiający uśmiech.

– Podoba mi się ta gra, szczególnie jeśli gram w nią z tobą.

Zanim jednak zdołał zadać jakiegokolwiek pytanie, przerwał nam kelner.

– Czy są Państwo gotowi, żeby złożyć zamówienie?

Quinn z wyraźną niechęcią przeniósł swoją uwagę ze mnie na niego, w dalszym ciągu pozostawiając ramię na oparciu za moimi plecami. Wzięłam do ręki menu, żeby wybrać sobie coś w pośpiechu, ale już po raz drugi w czasie naszej krótkiej znajomości Quinn znowu zrobił coś, co widziałam tylko w filmach, ale czego nie doświadczyłam nigdy w prawdziwym życiu: nie pytając mnie o zdanie, zamówił dla nas obydwójga.

– Zaczniemy od *tarte aux champignons* i dwóch *salade au chevrotin*. Dla pani będzie *Gigot D'Agneau au jus et Romarin*, a dla mnie *Steak Grillé au Poivre*, średnio wysmażony. Poprosimy też butelkę Chateaufort du Pape, cuvee, rocznik 2005.

Kelner zgiął się w pół, a Quinn wyjął menu z mojej ręki i przekazał mu je.

– Oczywiście, proszę pana – powiedział kelner, uśmiechając się sztywno i odszedł.

Quinn natychmiast zwrócił się z powrotem do mnie całym swoim ciałem, obdarowując mnie po raz kolejny seksownym uśmiechem, który wywoływał we mnie najdziwniejsze reakcje. Czułam się tak, jakby moje wnętrze stopiło się w bezkształtną masę, a moje myśli były za mgłą. Nie byłam zirytowana, że zamówił za mnie jedzenie.

Zanim Quinn zdążył wrócić do swojego pytania, uprzedziłam go i zadałam jedno od siebie:

– Dlaczego zawsze tak bardzo starasz się, żebyśmy pilnowali wyniku?

Nie wiedząc, co zrobić z rękami, wyciągnęłam serwetkę ze szklanki. Misterny łąbędz przeobraził się w gładki, biały, lniany prostokąt, który umieściłam na kolanach.

– W każdym związku czy relacji są zwycięzcy i przegrani. Nie ma znaczenia, czy mowa o relacjach rodzinnych, biznesowych, czy... – urwał na ułamek sekundy, a jego oczy zapłonęły jaśniej – ...czy z płcią przeciwną. Ktoś zawsze wygrywa, ktoś zawsze przegrywa. A ja nie lubię przegrywać.

Jego słowa na swój sposób mnie otrzeźwiły. Moje wewnętrzności wróciły do poprzedniej formy, a mój mózg otrząsnął się ze spowijającej go mgły.

– To bardzo ciekawa teoria. – I była to prawda. To była bardzo interesująca teoria. Dostrzegałam meritum, ale jednocześnie wydawało mi się, że jej główne założenie jest błędne u samych podstaw. – I zapewne jeśli mówimy o związku dwóch osób, które pilnują wyniku, to masz rację, zawsze będzie zwycięzca i przegrany. Tyle tylko, że jeśli żadna ze stron nie przywiązuje do tego wagi, nikt nie przegrywa.

Przez chwilę patrzył na mnie mrużąc oczy, a potem oparł jedną rękę na stole.

– To, że ktoś nie dba o wynik, nie oznacza przecież, że nie jest na minusie w danej relacji, więcej biorąc, niż dając – stwierdził, sięgając przez stół po zapomnianą szklankę z whisky.

– Strasznie dużo przeczeń w jednym zdaniu. Może to właśnie jest twój problem.

– Mój problem?

– Tak, twój problem. Może za bardzo koncentrujesz się na ujemnych kwotach w arkuszu kalkulacyjnym, zwanym związkiem – roześmiałam się. – Moim problemem jest to, że nie zauważam tego, co oczywiste. Twoim problemem jest to, że przywiązujesz do tego zbyt dużą wagę.

Uśmiechnął się, jakby wbrew sobie, a z jego ust wyrwał się krótki, mimowolny śmiech. Jego spojrzenie było otwarte i badawcze.

– Zdecydowanie jest coś w tym, co mówisz – powiedział, skubiąc dolną wargę kciukiem i palcem wskazującym. Nie przestawał mnie obserwować i robił to bez skrępowania. Jego uśmiech robił się coraz szerszy.

Pławiłam się przez chwilę w ciepłe jego zachwyconego spojrzenia.

– No dobrze. – Szturchnęłam go, chcąc wrócić do tematu. – Skąd u ciebie ta pesymistyczna wizja? Czy to dlatego, że rodzice wydzwanają do ciebie, nieustannie prosząc, żebyś zaopiekował się ich kotem albo pomógł montować rynny w ich domu? Raz pomagałam mojemu tacie montować rynny w naszym domu, kiedy miałam szesnaście lat. Koszmar.

Na twarzy Quinna pojawiła się mina, którą byłam w stanie określić tylko jako cień ponurej melancholii. Z trudem przełknął ślinę i wyznał:

– Nie rozmawiam z moimi rodzicami. Nie rozmawiałem z nimi od śmierci brata.

Uśmiech natychmiast zniknął z mojej twarzy. Wpatrywałam się w niego bez słowa przez dłuższą chwilę. Bawiłam się nerwowo serwetką, wreszcie odłożyłam ją i plasnęłam dłońmi w kolana.

– No cóż... – Pokiwałam głową. Miałam poczucie, że powinnam zaoferować w zamian jakąś informację o sobie, na wypadek, gdyby prowadził tabelę wyników, jeśli chodzi o fakty z życia. – Ja rozmawiałam z moim tatą kilka tygodni temu, tego dnia, kiedy straciłam pracę. Nie rozmawiamy ze sobą za dużo, ale to dobry człowiek. Przesyła do mnie e-maile, które dostaje od innych, ale nigdy nie pisze do mnie od siebie. Z moimi

siostrami w ogóle nie rozmawiam.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Dlaczego nie?

– Tak naprawdę nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego, a ich wybory zawodowe sprawiają, że trudno utrzymywać z nimi wartościowe relacje.

– Zarówno mój ojciec, jak i brat, byli policjantami w Bostonie. Niezbyt byli zadowoleni z mojego wyboru.

– Jak to? Nie pasował im zawód ochroniarza, konsultanta, czy kim tam jesteś?

Quinn ściągnął usta na jedną stronę i milczał przez dłuższą chwilę, taksując mnie wzrokiem, rozbawiony i speszony jednocześnie.

– Nie. Widzisz, kiedy byłem młodszy, byłem hakerem na opak.

– Co to znaczy?

– Pomagałem ludziom zabezpieczać ich komputery, systemy, sieci. Tego typu rzeczy.

– I dlaczego twój tata nie był z tego zadowolony?

– Bo moimi klientami byli w większości kryminaliści.

– To znaczy, że tworzyłeś firewalle dla mafijnych bossów? Swoją drogą, nie uważasz, że Mafijny Firewall to świetny pomysł na nazwę dla zespołu? – wypaliłam i zaraz kopnęłam się w myślach za tę nietaktowną uwagę.

– To, co robiłem, było nieco mniej poetyckie. – Zerknął na swoją prawie pustą już szklankę i przyglądał się jej bursztynowej zawartości. Jego ramiona zdawały się ugiąć pod ciężarem czegoś, czego nie dostrzegałam. Po dłuższej chwili wyjaśnił: – Tak naprawdę to zajmowałem się tworzeniem zabezpieczeń, które chroniłyby ich dane na wypadek, gdyby ich sprzęt został skonfiskowany. Żeby nie mogły być wykorzystane przeciwko nim.

Tego się nie spodziewałam.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytałam, zanim zdołałam się powstrzymać.

Wzruszył ramionami. Nie patrzył w moją stronę.

– W dużej mierze byłem samoukiem. Przez dwa lata chodziłem do college'u w Bostonie, do klasy o profilu informatycznym, ale wyleciałem, kiedy mój biznes zaczął się porządnie rozkręcać.

– A czemu przestałeś? Dlaczego nie zajmujesz się już zabezpieczaniem systemów komputerowych różnych bandziorów?

Posłał mi nieobecne spojrzenie.

– Skąd pewność, że już się tym nie zajmuję?

– Właściwie to nie mam takiej pewności. To jak, zajmujesz się?

– Nie.

– Dlaczego? Skoro to taka dochodowa fucha, to...

– Ponieważ... – przerwał mi, wpatrując się badawczo w moje oczy. Zmarszczył brwi, jakby bardzo intensywnie myślał nad rozwiązaniem jakiejś zagadki. Jego uwaga przeniosła się na moje włosy, opadające kaskadami na ramiona. Z nieobecnym wyrazem twarzy wziął pukiel w dwa palce i bawił się nim przez chwilę. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał obco i nieszczęśliwie – ...ponieważ to przeze mnie zginął mój

brat.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko patrzyłam na niego w milczeniu.

Quinn ponownie spojrzał mi w oczy, jakby próbując wyczytać w nich moją reakcję. Uśmiechnął się, ale był to gorzki uśmiech.

– Pierwszy program, który stworzyłem, działał w ten sposób, że w przypadku jakiegokolwiek próby uzyskania dostępu do danych bez urządzenia do identyfikacji radiowej, w tle zaczynał działać skrypt, który natychmiast czyścił twardego dysku, powodując, że zapisane na nim dane były nie do użytku. Z czasem, kiedy moja baza klientów się rozrosła i zwiększyło się zapotrzebowanie na większe systemy danych, zbudowałem degausser. Musiałem dodać zasilanie awaryjne na wypadek braku prądu. Jak się pewnie domyślasz, zdarzało się, że zasilanie awaryjne miało paskudny zwyczaj wybuchania.

Przełknęłam ślinę. Chciałam dodać, że ryzyko pożaru można było zminimalizować poprzez odizolowanie i wychłodzenie degaussera. Zamiast tego zapytałam tylko:

– Dlaczego uważasz, że to przez ciebie zginął twój brat?

Quinn posmutniał i westchnął ciężko.

– Bo jeden z tych gości... jeden z tych „złych gości”, dla których pracowałem... zastrzelił mojego brata.

Zamrugłam gwałtownie.

– Ja... nie rozumiem.

– Kilka miesięcy przed tym, jak Des, mój brat, został zabity, policja miała nakaz przeszukania i skonfiskowała wszystkie komputery, backupy, wszystko. Program, który stworzyłem dla tego gościa, zadziałał bez zarzutu i policja nic nie znalazła. Gdybym nie zainstalował mu tego programu, tym samym pomagając w ukryciu informacji przed policją, gość siedziałby już w więzieniu, a tak...

Przykryłam jego dłoń swoją. Nie chciałam, żeby kończył to zdanie. Co za potworna historia. Miałam ochotę powiedzieć mu, że to wcale nie jego wina, ale czułam, że może odebrać moje słowa jako protekcyjne albo schlebiające.

– Rozumiem, dlaczego się obwiniasz – powiedziałam zamiast tego.

Zamrugął i zmrużył oczy, jakby chciał widzieć mnie wyraźniej. Tym razem zarówno jego spojrzenie, jak i uśmiech przepelnione były smutkiem.

– A czy ty uważasz, że jestem winny?

– Uważam, że winny jest człowiek, który pociągnął za spust i strzelił do twojego brata. Brzmisz jak ktoś, kto ma świadomość popełnionego błędu i podjął próbę zmiany swojego zachowania. Nie wiem, czy pamiętasz, ale to właśnie odróżnia dobrego człowieka od złego.

Wypuścił z płuc powietrze – nie zauważyłam wcześniej, że je wstrzymywał. Jego spojrzenie było nadal smutne, ale wydawał się już nieco pogodniejszy. Wpatrywał się we mnie jakby z zachwytem. Jego głos zniżył się do cichego pomruku.

– Nie sądzę, żebym musiał pilnować wyniku.

\*\*\*

Rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się i świetnie się bawiliśmy. Rozmowa płynęła jak wartka rzeka, a moje zmysły były wyostrzone. Kolejne dania

pojawiły się i zniknęły, podobnie jak butelki wina. Czas mijał błyskawicznie, a ja nie dostrzegałam w restauracji niczyjej obecności poza Quinnem. W pewnym momencie motylki, które czułam w brzuchu, wreszcie zapomniały o Panu Ciacho. Liczył się dla nich tylko i wyłącznie Quinn Sullivan.

Opowiadał mi historie o swojej rodzinie. Był najmłodszy z trójki rodzeństwa i całą młodość był strasznym łobuzem. Jego siostra, Shelly, trzy lata starsza, była wolnym duchem. Zamiast wchodzić w interakcję z resztą ludzkości, wołała naprawiać stare stylowe samochody i tworzyć rzeźby z metalu. Jego brat Desmond, zdrobniale Des, był najstarszy i bardzo odpowiedzialny.

Moja ulubiona opowieść dotyczyła tego, jak to dawno temu, kiedy Quinn i Shelly mieli trzynaście i szesnaście lat, zaspawali drzwi w samochodzie dwudziestoletniego Desa, wszystkie poza tylnymi drzwiami za kierowcą. Des przez dwa tygodnie zmuszony był wsiadać do auta od tyłu. Żadne z nich nie pisnęło rodzicom ani słowa. Pewnego razu, kiedy ojciec Quinna chciał pożyczyć od Desa samochód, ten zarzekł się, że drzwi po prostu zardzewiały na amen. Wołał skłamać niż wydać rodzeństwo.

Quinn mówił o nich i o swoich rodzicach z czułością, która sprawiała, że miałam do niego coraz większą sympatię. Jego oczy szklily się pod siłą wspomnień. Roześmiał się w trakcie opowiadania swojej historii, jeszcze zanim doszedł do puenty, na co wybuchłam śmiechem, co z kolei sprawiło, że i on się roześmiał.

Od czasu do czasu jednak zapadało między nami milczenie, a na jego twarzy pojawiał się cień smutku, czy może żalu – nie byłam w stanie dokładnie tego odczytać. Poczułam, jak bardzo chciałabym poznać przyczynę każdej najdrobniejszej zmiany jego nastroju. Poczułam, że chcę być dla niego źródłem wsparcia i pocieszenia.

Nie były to uczucia, do których byłam przyzwyczajona i pewnie niepokoiłyby mnie, gdybym tylko pozwoliła, żeby zaprzętały mi głowę. Zamiast tego jednak dałam im przeze mnie przepływać. Miałam nad nimi kontrolę i trzymałam je blisko siebie.

A jego dotyk...

O. Mój. Boże. Ten dotyk.

Miałam wrażenie, że nieustannie tylko szuka pretekstu, żeby mnie dotknąć. Było to obezwładniająco cudowne. Od czasu do czasu przysuwał się bliżej, żeby szepnąć mi coś do ucha. Jego policzek muskał wtedy skórę mojej twarzy i szyi, przyprawiając mnie o zawrót głowy. Przez większość czasu nasze nogi ocierały się o siebie. Dotykał mojego ramienia albo kolana za każdym razem, kiedy powiedziałam coś, co uznał za śmieszne albo interesujące, albo tylko dlatego, że nie spróbowałam jeszcze wina.

Same z siebie, wszystkie te zwykłe gesty były z pozoru niewinne, niemal bez znaczenia. Jednak sposób, w jaki reagowało na nie moje ciało, mógł się równać z szalonym zjazdem ze szczytu roller-coastera.

Potem, kiedy jedliśmy deser, bez zastanowienia zlizął z mojego palca odrobinę bitej śmietany. Przysięgam, na parę sekund zapomniałam, jak się nazywam.

Moje zainteresowanie Quinnem, moje pragnienie, żeby z nim być, dotykać go i być przez niego dotykana, chęć przedłużenia naszej rozmowy, a co za tym idzie, wspólnie spędzanego czasu... to wszystko dla mnie samej było ogromnym zaskoczeniem. Na samą myśl o tym, że w końcu będziemy musieli się pożegnać, czułam smutek, napięcie i żal.

Rozmyślałam nad swoimi uczuciami. Były niepokojące. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak silnej potrzeby bycia z kimś, porzucenia samotności, a nie jej celebrowania. W przeszłości zdecydowanie przedkładałam samotność nad towarzystwo innych, chociaż doceniałam wagę związków międzyludzkich i kontaktu z innymi.

Kiedy skończyliśmy jeść kolację, poczułam się zupełnie swobodnie. Dzięki koktajlowi przed kolacją i za sprawą wina w trakcie kolacji, byłam otulona komfortowym ciepłem jak kocem. Wiedziałam, że duża była w tym zasługa trudnej do określenia, idealnej ilości alkoholu w moim organizmie. Ilości, która sprawia, że pozwalasz sobie na odrobinę więcej i tracisz zahamowania, ale nie jest na tyle duża, żeby chwiać się na nogach albo dostawać nudności.

Kiedy na stole pojawił się rachunek, zaczęliśmy się o niego kłócić. Wyglądało to w ten sposób, że ja nalegałam, że płacimy po równo, a on odpowiadał stoickim milczeniem.

W ogóle nie wdawał się w dyskusję ani nie włączył się do mojej jednostronnej rozmowy, tylko po prostu bez słowa położył na tacce z rachunkiem swoją kartę kredytową. Z rozmysłem trzymał ją poza moim zasięgiem, podczas gdy ja wyliczałam po kolei wszystkie powody, dla których każde z nas powinno zapłacić za siebie, między innymi to, że przecież ustaliliśmy, że to nie była randka. Potem dyskretnie przekazał kartę kelnerowi, który przechodził obok. Nieświadoma tego faktu, nadal perorowałam, chcąc udowodnić swoją rację, kiedy spostrzegłam, że Quinn składa podpis na rachunku.

– Czekaj, ale... co ty robisz? – spytałam, patrząc to na niego, to na świstek papieru. Cisza. Szybki podpis. Dalej cisza.

– Czy ty właśnie podpisałeś rachunek? Co, do licha... – Mój głos uderzył w piskliwe tony, wytrzeszczyłam na niego oczy z udawanym oburzeniem.

Podniósł na mnie wzrok, a na jego twarzy malowała się mina niewiniątka.

– A co, chciałeś zapłacić za siebie? Oj, to bardzo przepraszam.

Spojrzałam na niego gniewnie, ale nie byłam w stanie denerwować się zbyt długo, kiedy się tak uśmiechał. Jego uśmiech wywoływał już we mnie konkretne wspomnienia i na jego widok za każdym razem czułam w brzuchu to rozkoszne ciepło. Byłam odurzona dobrym winem, pysznym jedzeniem i fantastyczną rozmową.

Przeniósł uwagę na swój portfel. W kącikach jego ust tańczył jeszcze delikatny uśmiech, kiedy chował swoją kartę kredytową. Moja wściekłość rozplynęła się w mgnieniu oka, przyglądałam mu się teraz bez najmniejszego skrepowania. Naprawdę, wpatrywałam się w niego.

Nie był tak idealny, jak mi się wcześniej wydawało, jednak niewiele mu brakowało. Przez środek jego prawej brwi biegła niewielka blizna. Postanowiłam, że muszę zapytać go, jaka wiąże się z nią historia. Jedno ucho było nieco większe od drugiego, a nos był odrobinę przekrzywiony w lewą stronę. Linia jego włosów była nierówna, a same włosy zbyt gęste. Zdecydowanie przydałoby mu się strzyżenie i wycieniowanie. Jego dolne zęby były nieco krzywe, ale nie zwracałam na to uwagi, dopóki nie uśmiechał się swoim pełnym, szerokim uśmiechem o mocy tysiąca watów.

Cudowne było to, że kiedy na niego patrzyłam, nie widziałam już olśniewającej fasady perfekcyjności, która charakteryzowała Pana Ciacho. Widziałam frustrująco

aroganckiego, szalenie dowcipnego, irytująco złośliwego, zniewalająco inteligentnego, bardzo seksownego, dobrego faceta.

– A ten uśmiech to z jakiej okazji?

Zamrugałam i lekko potrząsnęłam głową, żeby oczyścić umysł. Jego głos zdawał się pobrzmiwać z daleka, wyrывая mnie z zamyślenia. Uświadomiłam sobie, że się na niego gapię, ale byłam w tak błogim, przyjemnym stanie, że nie czułam z tego powodu wstydu.

– Myślałam właśnie o moich pierwszych wrażeniach i o tym, jakie to dziwne, że jesteś jednak osobą z krwi i kości.

– A wcześniej byłem...? – uniósł pytająco brwi.

– Przystojnym robotem.

Spojrzał na mnie spođe łba.

– Uważasz, że jestem przystojny? – upewnił się, przyglądając mi się badawczo.

– Daj spokój. Dobrze wiesz, że jesteś przystojny – przewróciłam oczami i dałam mu kuksańca w bok, co jak na mnie było nietypowo pieszczotliwym gestem.

– Po prostu jestem zaskoczony, że ty tak uważasz. Kiedy poszliśmy na śniadanie do Giavanniego, bałem się, że zaraz każesz mi założyć papierową torbę na głowę.

– Co? Dlaczego? O czym ty mówisz? – parsknęłam, szturchając go drugi raz.

– Kiedy Viki spytała, czy jesteśmy razem, zaczęłaś...

– Ale to dlatego, że popatrzyła na mnie jak na nieślubne dziecko Cerbera i cyklopa, kiedy powiedziałaś jej, że przyszedłam z tobą! – Chciałam szturchnąć go po raz trzeci, ale wtedy chwycił mnie za nadgarstek. Nasze palce splotły się.

Wzruszył ramionami i przyglądał się naszym połączonym dłoniom, które spoczywały teraz na jego kolanie. Niespodziewanie spoważniał.

– Chyba po prostu była zaskoczona.

Zadałam kolejne pytanie, nie do końca pewna, czy chcę poznać na nie odpowiedź.

– Czy to dlatego, że nie jestem w twoim typie?

Gwałtownie podniósł na mnie wzrok. Jego rysy straciły nagle trochę ze swojej wcześniejszej swobody i łagodności.

– Można tak powiedzieć.

Moje usta mimowolnie wygięły się w podkówkę. Żal ścisnął mi serce. Poczułam się w tym momencie jak normalna, prawdziwa dziewczyna. Dziewczyna, która chciałaby usłyszeć od chłopaka, który jej się podoba, że jest piękna.

Czułam się jak gówniara, było to i bolesne, i nieznośne jednocześnie, bo wiedziałam, że to strasznie gówniarskie z mojej strony.

– W takim razie jaki jest twój typ? Piękna? Blondynka? Z figurą modelki?

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Nie to miałem na myśli.

– W takim razie, co miałeś na myśli?

Był teraz nieco poważniejszy.

– Chodzimy z Shelly do Giavanniego praktycznie w każdą sobotę. Viki po prostu nie spodziewała się zobaczyć mnie tam z kimś innym.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie widziała cię jeszcze nigdy z dziewczyną, która



nie jest twoją siostrą? Nie chodzisz tam z dziewczynami na randki?

– Ja w ogóle nie chodzę na randki. – Jego twarz znów przykryła maska ostrożnej obojętności, do którego zdążyłam się już przyzwyczaić przez ostatnie tygodnie. Potem dodał: – Właściwie powinienem doprecyzować: nie miałem zwyczaju randkować.

*On jest Wendellem.*

Słowa wypowiedziane rano przez Elizabeth kołatały się w mojej głowie. Próbowałam ukryć rozczarowanie za dziarskim uśmiechem i pociągnęłam temat, zadając kolejne pytanie, na które nie chciałam poznać odpowiedzi:

– A dlaczego nie chodzisz na randki?

– To żadna zagadka. Nigdy nie musiałem – odpowiedział rzeczowo.

– Co to znaczy: nigdy nie musiałem? – Czułam się tak, jakby każde wypowiedziane przez niego zdanie było kolejnym elementem układanki. Cały obrazek coraz bardziej przypominał Wendella. Z niechęcią zaczynałam powoli godzić się z myślą, że Elizabeth miała rację w swojej ocenie.

– Wiesz przecież, co to znaczy – powiedział, ale w jego głosie słychać było wahanie, jakby sam nie był o tym przekonany.

Pokręciłam głową i wpatrywałam się w niego z szeroko otwartymi oczami.

– Nie. Naprawdę nie wiem. Będziesz musiał mi wytłumaczyć.

Przez dłuższą chwilę rozważał moje słowa, patrząc na mnie badawczo, uważnie. Wreszcie spytał:

– A jak to było u ciebie? Dlaczego rozstaliście się z Jonem?

– Najpierw chcę się dowiedzieć, co to znaczy, że nigdy nie musiałeś chodzić na randki. Czy ty... – szukałam dla tej sytuacji wyjaśnienia, które stanowiłoby alternatywę dla wendellizmu Quinna i przyszedł mi do głowy tylko jeden pomysł. Wypowiedziałam go na głos, dziękując w myślach za swoją podsyconą alkoholem zuchwałość: – Żyjesz w celibacie?

– Nie. – Jego usta wykrzywiły się w ponurym uśmiechu, który nie znalazł jednak odzwierciedlenia w jego oczach. – No dobrze... to znaczy, że nigdy nie musiałem chodzić na randki, żeby dobrze się bawić. Jest... – chrząknął i podrapał się po karku, rozglądając się na boki, jakby unikając mojego spojrzenia. – Było kilka dziewczyn, z którymi imprezowałem od czasu do czasu, ale nigdy nie było mowy o wyłączności.

Mrugałam z dużą częstotliwością, oswajając się z tą informacją.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że jest kilka dziewczyn, do których dzwonicz, kiedy masz ochotę uprawiać seks? Seksprzyjaciółki?

Nawet w dyskretnym świetle świec nietrudno było zauważyć, że jego szyja i policzki nieco się zaczerwieniły. Nic nie odpowiedział, ale westchnął ciężko. Wypuścił moją dłoń, wstał i wziął mój płaszcz. Trzymał go, czekając, aż się w niego ubiorę. Patrzyłam na niego wytrzeszczonymi oczami, uznając jego milczenie za potwierdzenie. Bez słowa położył dłoń na moich plecach i pokierował w stronę drzwi.

Myślałam, że to nieprzyjemne uczucie w pewnym momencie minie. Ale nie miało. Quinn był Wendellem. Nawet gorzej, był Wendellową męską zdziwą otoczoną seksprzyjaciółkami. Byłam smutna, zrezygnowana i, o dziwo, trochę zła na Elizabeth za to, że miała rację.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, przeszło mnie chłodne miejskie powietrze. Było to orzeźwiające uczucie i pomogło mi przewietrzyć głowę. Zerknęłam w stronę Quinna i pozwoliłam sobie na chwilę zadumy nad absurdalnością sytuacji, w której się znajdowałam. Byłam w towarzystwie świetnego faceta, który, zdaniem Elizabeth, chciał uprawiać ze mną fantastyczny seks, ale tylko seks, którego nie będę chciała z nim uprawiać, choćby dlatego, że miał już parę innych dziewczyn, z którymi chętnie ten seks uprawia. Zanim zdołałam się powstrzymać, zrobiłam krok w tył i spytałam:

– Wszystkie naraz czy pojedynczo?

Quinn zatrzymał się gwałtownie i popatrzył mi w oczy. Jego spojrzenie zdradzało kompletne zaskoczenie.

– No? – naciskałam.

Pokręcił tylko głową, a jego usta rozciągnęły się w mimowolnym uśmiechu. Odszukał moją dłoń i nie przestawał ciągnąć, aż ruszyłam się z miejsca.

– Twoja kolej – oznajmił, bezceremonialnie ignorując moje pytanie.

– Jeszcze nie. Potrzebuję więcej danych na temat logistyki – nie mogłam się powstrzymać. Cały ten koncept wydał mi się nagle jednocześnie absurdalny i zaskakująco wydajny. – O ilu dziewczynach mówimy? Jaki procent mieszkanek Chicago jest aktualnie w gotowości, żeby uprawiać z tobą seks? A co w sytuacji, jeśli któraś musi wyjechać z miasta? Masz jakąś rozpiskę z numerami telefonów? Czy masz jakiś plan zastępczy albo awaryjny na sytuacje wyjątkowe?

Quinn zasłonił usta wolną dłonią, a jego ramiona zaczęły się trząść od bezgłośnego śmiechu.

Czułam się nieco lepiej widząc, że jest w stanie śmiać się z samego siebie.

– Czy są jakieś kryteria wstępu? – ciągnęłam. – Masz specjalny zespół poszukiwawczy? Procedury kwalifikacyjne? Test umiejętności? Czy muszą znajdować się w promieniu określonej liczby kilometrów? Może jedna z nich jeździ teraz po okolicy, tak na wszelki wypadek? Czy jedna zawsze musi kręcić się w pobliżu? Może któraś czekała w restauracji? Gdzieś przy barze?

– Janie, serio, twoja kolej. – Jego ton był stanowczy, ale w jego oczach widziałam iskierki rozbawienia. Z wyraźnym trudem zachowywał powagę.

– Moja kolej? – Zdezorientowana uniosłam brwi. Mimo podejmowanych przeze mnie prób nabijania się z jego relacji z kobietami, nadal czułam uporczywe przygnębienie w związku z wyłaniającym się stopniowo obrazem wyuzdanego życia seksualnego Quinna... W każdym razie wyuzdanego w porównaniu z moim, co czyniło je wyuzdanym przez porównanie. – Przecież już wszystko wiesz. Nie jestem materiałem na seksprzyjaciółkę.

– Dlaczego ty i Jon się rozstaliście?

Myślałam przez chwilę nad odpowiedzią, ale szczere wyznanie Quinna nie dawało mi spokoju. Quinn nigdy nie randkował.

Nie. Powiedział, że nigdy nie *musiał*.

Czy miałam z tym problem? No bo kim tak naprawdę jest męska zdzira? Czy to naprawdę taka straszna rzecz, skoro doświadczenie z seksprzyjaciółką gwarantowało, że jest dobry w łóżku? Czy gdybyśmy kiedykolwiek wylądowali w łóżku, musiałabym

owinąć się folią i wykąpać w lizolu, żeby nie zarazić się od niego jedną z jego licznych chorób wenerycznych? Czy miał jakieś choroby weneryczne? Czy kiedykolwiek wylądujemy w łóżku? Skoro miał nieograniczony dostęp do szerokiego grona seksualnych weteranek, czy byłby w ogóle zainteresowany wylądowaniem w łóżku ze mną, było nie było, praktycznie nowicjuską? Czy ja chciałam wylądować w łóżku z Wendellem, szczególnie po tym, jak dowiedziałam się o długiej liście seksprzyjaciółek czekających w gotowości? Czyżbym miała się stać jedną z jego seksprzyjaciółek?

Byłam stuprocentowo pewna, że nie chcę stać się jedną z wielu seksprzyjaciółek Quinna Sullivana.

Przy okazji odnotowałam, że „Jedna z wielu seksprzyjaciółek” to kolejna doskonała nazwa dla zespołu, albo przynajmniej tytuł albumu.

– Janie?

Zatrzepotałam rzęsami, rozglądając się nieprzytomnie wokoło.

– Tak?

– Ty i Jon. Dlaczego się rozstaliście? – Zauważyłam, że zniżył głos. Brzmiał niemal przymilnie. Znajdowaliśmy się przy schodach na peron kolejki.

Odpowiedziałam bez zastanowienia:

– Właściwie nie wiem, jaki był prawdziwy powód naszego rozstania, ale jestem pewna, że katalizatorem był fakt, że Jon mnie zdradził.

– Że cię... – Quinn aż przystanął na schodach i pociągnął mnie za rękę, żebym spojrzała mu w oczy. – *On zdradził cię?*

Przytaknęłam.

– Tak, ale żeby było jasne, powiedział, że był wtedy bardzo pijany i że to był tylko ten jeden raz.

W oczach Quinna malowało się niedowierzenie.

– Nie mogę uwierzyć, że to *on* zdradził *cię*.

– Tak, no cóż... mam już pewien pogląd na tę sprawę i dlaczego do tego doszło, jednak nadal rozważam różne opcje.

Wysunęłam swoją dłoń z jego uścisku i zaczesalam włosy za uszy. Zaczęłam iść w górę po schodach, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– W każdym razie, jeszcze wcześniej pojawiały się różne niewygodne kwestie. Na przykład fakt, że jest bogaty.

Dotarliśmy na poziom peronu i otworzyliśmy kartami bramki. Quinn uniósł wysoko brwi, słysząc moje wyznanie.

– A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

– Na przykład różnice w priorytetach. On miał możliwość wydawania pieniędzy na wszystko, na co miał ochotę. I chętnie z tego korzystał. Ja z kolei zawsze byłam, i nadal jestem, raczej ostrożna z pieniędzmi i zakupami. Poza tym, przez to zawsze czułam się w pewien sposób ułomna. Miałam poczucie, że go wykorzystuję, albo że jestem mu coś winna za każdym razem, kiedy coś od niego przyjmowałam, czy to pieniądze, czy prezenty, czy pomoc. Jeśli nie przyjmowałam jego pomocy, zawsze prowadziło to do negatywnych emocji i nieprzyjemnych dyskusji, po których czułam, że to ze mną jest problem – mój umysł zaczął wreszcie przekierowywać się na tory naszej aktualnej

rozmowy, zamiast koncentrować się na tej sprzed dwóch minut. Postanowiłam, że na rozmyślanie o jego sekspryjaciółkach jeszcze przyjdzie pora. – Jestem zdeterminowana, żeby nie wykraczać wyżej niż o jeden stopień od mojej sfery socjoekonomicznej.

Z łoskotem nadjechał nasz pociąg. Quinn odczekał z odpowiedzią, dopóki pociąg kompletnie się nie zatrzymał. Na twarzy Quinna malowało się jednocześnie zdumienie, determinacja i niepokój.

– Czy... – zaczął, ale po chwili urwał i przeszył mnie wzrokiem z nagłą siłą. Kiedy się wreszcie odezwał, byłam zaskoczona jego kłótliwym tonem. – A czy w takim razie umówiłabyś się z kimś, kto zarabia mniej od ciebie? – spytał, wprowadzając mnie do wagonu i wskazując miejsca przy drzwiach. Kiedy usiedliśmy, położył ramię wzdłuż okna, tuż za moimi plecami.

– Ależ tak, jak najbardziej – przytaknęłam natychmiast. – Nie miałabym z tym żadnego problemu. Problemem byłby dla mnie taki facet, którego majątek pozwoliłby mu na podjęcie z dnia na dzień decyzji o porzuceniu prawdziwego życia i wyruszeniu w podróż dookoła świata i który oczywiście oczekiwaliby, że ja będę w stanie zrobić to samo tylko dlatego, że on ma na to pieniądze za nas oboje. Albo taki, który kupowałby mi ekstrawaganckie prezenty, na przykład samochód czy kosztowną biżuterię, i to na dodatek zupełnie bez powodu. To powoduje mój dyskomfort.

Poczułam nagły dreszcz, jakby ktoś mnie obserwował. Rozejrzałam się uważnie po pociągu, od prawej do lewej, ale poza nami było tylko parę osób, które wyglądały na studentów. Już raz czułam się podobnie – w klubie, kilka tygodni temu.

– A co w tym złego? Skoro jesteś z kimś w związku, dlaczego nie miałabyś przyjmować od niego prezentów i odwiedzać różnych miejsc na jego koszt?

Kiedy z powrotem skierowałam swoją uwagę na Quinna, chwilę zajęło mi złożenie jego słów w całość i zrozumienie ich znaczenia. Częściowo nadal skoncentrowana byłam na niekomfortowym wrażeniu, że ktoś śledzi uważnie każdy mój ruch.

Oblizyłam usta i pokręciłam głową, żeby otrząsnąć się z tych myśli.

– Chciałabym być finansowo niezależna. Kiedy byłam z Jonem, męczyło mnie to, że muszę nieustannie to wyjaśniać i się usprawiedliwiać. Kiedyś Jon kupił mi samochód, naprawdę dobry samochód, i nie był w stanie pojąć, dlaczego uważam taki prezent za niestosowny.

– A dlaczego uważasz, że to niestosowne?

Postanowiłam zignorować uporczywe poczucie, że jestem obserwowana, zrzucając je na karb mojej niejednokrotnie zbyt wybujałej wyobraźni i zacisnęłam usta.

– Dobrze wiesz, dlaczego.

– Nie. Naprawdę nie wiem. Będziesz musiała mi wytłumaczyć – powtórzył moje słowa sprzed kilkunastu minut. Wydawał się dziwnie spięty.

Prychnęłam.

– No bo powiedz tylko, w jaki sposób mogłabym się mu odwdzięczyć? Co miałabym do zaoferowania?

– Siebie.

Zmarszczyłam nos.

– To brzmi tak, jakbym się sprzedawała.

Quinn przekrzywił głowę na bok, przyglądając mi się otwarcie.

– I kto tu teraz pilnuje wyniku? – spytał.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale po chwili je zamknęłam. Przełknęłam ślinę i podjęłam:

– To nie to samo. Nie mogę uwierzyć, że trzymasz jego stronę.

– Ależ to dokładnie to samo – zaproponował. – Jeśli nikt w związku nie dba o wynik, to przecież nie ma to znaczenia, prawda? Powinienem mieć swobodę dawania ci czego tylko chcę bez zamartwiania się o to, że będziesz się miała poczucie winy albo wrażenie, że powinnaś mi się jakoś odwdzięczyć.

Zmarszczyłam brwi, bacznie go obserwując, i próbowałam przyswoić sobie jego logikę.

– Niechętnie muszę przyznać, że twoja uwaga jest poniekąd słuszna – oznajmiłam wreszcie z wahaniem i zanim wyraz triumfu w pełni rozbłysnął na jego twarzy, dodałam: – Jednak przetrwanie i ewentualne przyzwyczajenie się do takiej perspektywy zajmie mi z pewnością nieco czasu.

Jego wzrok chwilę błędził po mojej twarzy, aż wreszcie jego usta rozciągnęły się w delikatnym uśmiechu.

– Obiecuję, że nie będę pilnować wyniku, jeśli ty obiecasz mi to samo.

Rzuciłam mu z ukosa długie, intensywne spojrzenie. Rozważałam jego propozycję. Wydawała się fair. Kiwnęłam głową i wyciągnęłam do niego rękę.

– Umowa stoi.

Uśmiechnął się szerzej, a jego rysy rozjaśnił autentycznie zwycięski wyraz twarzy. Jego spojrzenie było bardziej łobuzerskie niż kiedykolwiek, kiedy uściskał mi dłoń i spytał:

– To co mam ci kupić najpierw?

Szturchnęłam go w bok.

Kiedy dotarliśmy pod mój budynek, nadal pochłonięci byliśmy swobodną rozmową, więc nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby pożegnać się z nim przy drzwiach wejściowych. Rozmawialiśmy o jego podróży do Nowego Jorku zaplanowanej na przyszły tydzień, od czego oczywiście płynnie przeszliśmy do rozmowy o tym, że Gotham City wzorowane jest właśnie na Nowym Jorku. Potem rozmawialiśmy o naszych ulubionych miastach – tych prawdziwych i tych fikcyjnych.

Jednak kiedy wchodziliśmy po schodach do małego mieszkania, które dzieliłam z Elizabeth, zaczęłam odczuwać lekki niepokój w związku z moim niewypowiedzianym na głos zaproszeniem.

Quinn wchodził na górę. Wchodziliśmy razem na górę.

Czułam, że powinnam go uprzedzić, że mieszkanie jest naprawdę małe, a moje rzeczy są porzucane bez troski na wszystkie strony bez ładu i składu. Chciałam mu wyjaśnić, że aktualnie śpię na rozkładanej kanapie z Ikei na środku salonu, ale nie miałam pojęcia, jak poruszyć ten temat.

Chciałam mu też powiedzieć, że nie mam najmniejszego zamiaru zostać jedną z jego seksprzyjaciółek, bo jakkolwiek wizja obłądnego seksu z nim wydaje się bardzo kusząca, zdecydowanie jestem dziewczyną, która potrzebuje za partnera nie-Wendela, nawet jeśli miałoby to oznaczać średnio obłądny seks. Purpurowy rumieniec coraz bardziej zalewał moją twarz z każdym krokiem w górę, a nasza rozmowa ucichła kompletnie, kiedy dotarliśmy pod moje drzwi.

– A więc... – powiedział.

Zatrzymałam się gwałtownie, zwróciłam w jego stronę i uśmiechnęłam się zaciśniętymi ustami. On nonszalancko oparł się o framugę i stał z założonymi rękami, niespiesznie błędząc wzrokiem po mojej twarzy.

– A więc? – powtórzył. Był spokojny, pewny siebie i cholernie seksowny.

– A więc... – westchnęłam, opuściłam wzrok i zerknęłam na klucze, które trzymałam w ręku. – Słuchaj, ja... świetnie się dziś bawiłam. Wspaniale się z tobą rozmawia i bardzo miło spędziłam czas, ale wolałabym jednak zapłacić za swoją kolację.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– Hej, Janie, żadnego pilnowania wyniku, pamiętasz?

– Pamiętam, ale to nie była randka i ja wiem, że to nie była randka i rozumiem, że nie chodzisz na randki i bardzo chciałabym się z tobą przyjaźnić, ale...

– Chciałabyś się ze mną *przyjaźnić*? – powtórzył ponuro, jakby zdezorientowany.

– Tak. – Podniosłam wzrok i na chwilę spojrzałam mu w oczy. Jego wyraz twarzy był równie ponury jak ton jego głosu. Westchnęłam. – Słuchaj, powinieneś... hm, powinieneś wejść do środka, wtedy moglibyśmy pogadać o... – Odwróciłam się do drzwi i nieco drżącymi rękami próbowałam je otworzyć. Wcześniejszy rumieniec palił jak ogień piekielny, kiedy nieudolnie mocowałam się z zamkiem. – Możemy porozmawiać o etykietkach i Wendellach, i kolacji, i seksprzyjaciółkach, i... o, dzięki Bogu – drzwi otworzyły się nareszcie, a ja z ulgą wpadłam do mieszkania. – Wejdz, wejdz, proszę, zaraz zrobię nam kawę.

Zapaliłam światło w przedpokoju, a potem ruszyłam do kuchni, włączając po drodze wszystkie lampy. Usłyszałam za sobą stuknięcie zamykanych drzwi i pełne wahania kroki. Pospiesznie rozpoczęłam proces przygotowywania kawy. Zagotowałam wodę i wsypałam zmieloną już kawę do zaparzacza. Kiedy wszystko było gotowe, ruszyłam w stronę kanapy – czyli mojego łóżka – i zauważyłam kurtkę Quinna rzuconą w jej róg. Na ten widok poczułam dziwne ciepło w brzuchu i, nie będąc ukrywać, trochę nizej też.

Pospiesznie zdjęłam kurtkę, szczególnie że zaczęłam się już pocić, i rzuciłam ją na jego kurtkę. Quinn przechadzał się powoli po niewielkiej przestrzeni, przyglądając się półkom, na których stała moja kolekcja komiksów i płytowa kolekcja Elizabeth. Wziął do ręki album Backstreet Boysów i zwrócił się do mnie z pytającym wyrazem twarzy.

Zaśmiałam się lekko.

– Och, to płyta Elizabeth. Mieszkam z moją przyjaciółką Elizabeth, poznałeś ją zresztą przy barze tamtej nocy, kiedy... no, wiesz. W każdym razie to jest jej mieszkanie, a ja tymczasowo śpię u niej, w sumie to właśnie tutaj, na kanapie, dopóki nie znajdziemy sobie wspólnie czegoś większego.

Odłożył płytę na miejsce, a jego wzrok powędrował na kanapę. Zaczesałam palcami włosy za uszy i chrząknęłam. Dziwnie się czułam, goszcząc go w naszym mieszkaniu.

Fakt, byłam tu tylko gościem, a styl i wystrój mieszkania w żaden sposób nie odzwierciedlały mojego gustu. Mimo to jednak męczyło mnie poczucie, że Quinn tutaj nie pasuje, nie pasuje do mojego życia. Tak jakby otaczał go jakiś nieziemski blask, który sprawiał, że wszystko poza nim, łącznie ze mną, chowało się w cieniu. Był zbyt potężny, zbyt przystojny, zbyt elegancki. Nie pasował do naszego małego, niedoskonałego świata.

Na myśl o tym zalała mnie fala żalu i z nagłą determinacją zacisnęłam usta. Nasze spojrzenia spotkały się dokładnie w tym momencie i Quinn spochmurniał na widok mojej miny. Nie spuszczać ze mnie wzroku, ruszył w moją stronę, a ja odruchowo założyłam ręce. Na widok tego gestu zawahał się na ułamek sekundy, ale mimo to nie zwalniał kroku. Zatrzymał się jakieś pół metra ode mnie.

Cisza między nami wydłużała się coraz bardziej. Wreszcie Quinn zapytał:

– Kto to jest Wendell?

Zamrugłam zaskoczona.

– Wendell?

– Powiedziałaś, że chciałabyś porozmawiać o etykietkach, kolacji i o Wendellach.

– Ach, tak. Wendell. – Odwróciłam się, wzięłam nasze kurtki i przewiesiłam przez kanapę. Potem usiadłam z podkulonymi nogami, opierając ramię wzdłuż oparcia. – Proszę, usiądź.

Posłusznie usiadł, chowając jedną zgiętą nogę pod siebie, tak że nasze kolana dotykały się, a jego ramię przykrywało moje. Jego potężna dłoń spoczęła na moim łokciu. Musiałam mocno koncentrować się na oddychaniu.

– Więc kto to jest ten Wendell?

Pokiwałam głową, przygryzając wargę, nie do końca pewna, jak poprowadzić naszą rozmowę bez odsłaniania przed nim wszystkich moich dziwactw. Jak zwykle jednak,

moje usta zaczęły się ruszać, zanim jeszcze mózg zdążył wyemitować sygnał ostrzegawczy.

– Ty jesteś Wendellem. Właściwie, to ty jesteś Wendellem, a ja nie mogę być twoją seksprzyjaciółką i dlatego właśnie chciałam porozmawiać z tobą o kolacji i o etykietkach.

Uniósł jedną brew. Poczułam, jak jego ciało sztywnieje. Otworzył usta, jakby chciał mi przerwać, ale uznałam, że skoro już zebrałam się na odwagę i powiedziałam tak dużo, nie dam sobie teraz przerwać. Kontynuowałam więc zapalczywie:

– Chodzi o to, że... lubię cię. Podobasz mi się, i to bardzo, a znam cię przecież zaledwie od kilku tygodni, od niecałego miesiąca... ale naprawdę trudno cię nie lubić. Chciałabym zostać twoją przyjaciółką, bo doceniam twoją szczerłość i to, że przyznałeś się do bycia Wendellem. Dlatego chciałabym pójść z tobą jeszcze kiedyś na kolację, nie na randkę, ale uważam, że powinniśmy opatrzyć naszą kolację etykietką „przyjaciele”, a nie „Wendell łamane na seksprzyjaciółka”, bo ta druga opcja po prostu mi nie pasuje. Ale zrozumieć, jeśli nie będziesz zainteresowany przyjaźnią ze mną, szczególnie że już teraz lawirowanie między tyłoma seksprzyjaciółkami musi być dla ciebie nie lada wyzwaniem. Będę rozczarowana, ale zrozumieć.

Poczułam, jak w czasie mojej tyrady to rozluźniał się nieco, to znowu spinał, to rozluźniał. Baczenie mnie obserwował. Kiedy skończyłam, pochylił się w moją stronę i spytał:

– Okej, po pierwsze, ustalmy wreszcie: kto to jest Wendell?

– Wendell to taki facet... – Wskazałam na niego. – Akurat w tym przypadku ty jesteś Wendellem. To facet, który jest bardzo... przystojny, a także bardzo... – Nie byłam w stanie na niego spojrzeć, wybrałam więc sobie jeden punkt na spódnicy i wytrwale się w niego wpatrywałam. – Wendell jest bardzo doświadczony i/lub przejawia olbrzymi talent w pewnych dziedzinach, które powiązane są z... rozrywkami sypialnianymi, zarezerwowanymi dla dorosłych, no i który, eee, ma szeroki wybór towarzyszek rodzaju żeńskiego, gotowych towarzyszyć mu we wspomnianych wcześniej rozrywkach, w których to towarzyszkach może przebierać jak w ulęgalkach, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Na sekundę podniosłam na niego wzrok i zobaczyłam, że obserwuje mnie z uśmiechem, ewidentnie rozbawiony moim zakłopotaniem.

– Janie, po prostu to powiedz.

Westchnęłam. Nagle ogarnęła mnie nieprzeparta chęć, żeby chwycić go za rękę – również dlatego, że byłam przekonana, że nie będę miała ku temu więcej okazji.

Nasze palce splotły się. Ścisnęłam jego dłoń. Popatrzyłam mu prosto w oczy i poczułam, jak moje silne postanowienie słabnie, ale dzielnie brnęłam dalej:

– No, dobrze. Wendell to facet, który jest bardzo przystojny i świetny w łóżku. Wendelle nie łączą się w pary, to znaczy nie chodzą na randki, tylko spotykają się na seks z różnymi kobietami. Nie mnie to oceniać, w sumie to nawet czuję podziw dla ich jurności i chęci zapewnienia najwyższej jakości usług tak licznej grupie kobiet. To bardzo efektywne, a jednocześnie szczodre dysponowanie posiadanymi środkami. Niemniej jednak – wzięłam głęboki oddech i przełknęłam ślinę, wpatrując się w nasze splecione palce jak ostatni tchórz. – Niemniej jednak bez względu na to, jak przejrzysty i uczciwy



mógłby to być układ, nie jestem zainteresowana nierandkowaniem z Wendellem. A skoro ty jesteś, jak widać, Wendellem, czułabym się lepiej, gdybyśmy obopólnie przystali na etykietkę „przyjaciele”. Nie „przyjaciele, którzy się całują, ani „łóżkowi przyjaciele”. Po prostu „przyjaciele”.

Ponownie zapadła między nami długa cisza. Poczułam na sobie jego spojrzenie. Westchnął głęboko.

– Janie, możesz na mnie spojrzeć? – poprosił.

Podniosłam na niego wzrok. Nie zobaczyłam na jego twarzy ulgi, irytacji ani złości, jak się obawiałam. Wyglądał raczej na zamyślonego i zakłopotanego. Odczekał dłuższą chwilę, zanim znów się odezwał, i miałam wrażenie, że w jego oczach pojawił się cień bólu, ale albo natychmiast go ukrył, albo było to tylko moje przywidzenie.

– Nie jestem przyzwyczajony do tego wszystkiego, więc będziesz musiała dać mi trochę czasu, żebym się z tym... oswoił – powiedział cicho.

– Jasne, ile tylko chcesz. – Wsparłam go dzielnie, bez przekonania próbując wyplątać swoją dłoń z jego dłoni. Bezskutecznie – natychmiast ścisnął ją mocniej.

– Nie chcę... – westchnął ciężko i na chwilę zamknął oczy, a potem nagle otworzył je i spojrzał na mnie z nowo odzyskanym opanowaniem. – Doceniam twoją szczerość.

Przygryzłam dolną wargę i czekałam. Kiedy nie doczekałam się kontynuacji, otworzyłam szeroko oczy.

– Zaraz. To tyle? Tylko tyle masz do powiedzenia?

– Tak jest – przytaknął. – Tylko tyle.

Wzięłam głęboki oddech i odruchowo rozejrzałam się po mieszkaniu, jakby w poszukiwaniu tego, co przegapiłam.

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Czy my... czy ty... czy ty właśnie zgodziłeś się na naszą etykietkę?

– Nie.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, zamknęłam je, by po chwili znowu otworzyć, a potem oblizałam wargi, które nagle okazały się kompletnie suche.

– W takim razie, jakiej etykietki będziemy używać?

Jego wzrok zszedł na moje usta. Uniósł rękę, która spoczywała na moim łokciu i odgarnął gęste loki z mojego ramienia. Jego palce delikatnie muskały moją szyję.

– Nie będziemy używać żadnych etykietek.

Nerwowo wciągnęłam powietrze. W tym momencie nie obchodziło mnie już, że zblaznię się bardziej. Jakie znaczenie miał jeszcze jeden debet w postaci upokorzenia, skoro mój bilans był na minusie, bardzo, bardzo na minusie?

– Lubię etykietki. Lubię zaznaczać lokalizacje na mapach. Lubię diagramy z oznaczeniami i lubię przypisy. Nie znoszę sytuacji, w których nie znam czyichś intencji i nie mam możliwości odpowiedniego dostosowania moich oczekiwań.

– Dobrze wiedzieć.

– Quinn!

Z godnym podziwu wysiłkiem próbował powstrzymać uśmiech wypływający na jego twarz. Nie patrzył mi w oczy.

– Jesteś taka śliczna. Mam ogromną ochotę cię pocałować.

Jego słowa uderzyły mnie niczym gorąca fala tsunami, rozlewająca się po całym moim ciele, aż po czubki palców i koniuszki uszu.

– To nie fair. Nie jesteś zbyt miły.

– Przecież już ci mówiłem, że niezbyt miły ze mnie gość. – Przyglądał mi się z coraz większą intensywnością, nie spuszczając wzroku z moich ust i przysuwając się blisko, coraz bliżej...

Wiedziałam, że gdyby teraz mnie pocałował, nie opierałabym się, ale, do cholery jasnej, nie mogłam, po prostu nie mogłam iść z nim do łóżka.

*Nie dam się, nie dam się, nie zdejmę majtek dziś, o nie!*

Delikatnie ujął dłonią moją twarz, jego długie palce prześlizgnęły się na moją szyję. Przyciągnął mnie do siebie. Zatrzepotałam rzęsami i tuż przed momentem, w którym nasze usta się spotkały, wyszeptałam bez tchu:

– Jesteś miły. A w każdym razie jesteś miły dla mnie.

Znieruchomiał, podniósł na mnie wzrok. Z jego ust wyrwał się niski dźwięk, coś jakby pomruk. Przycisnął usta do mojego czoła. Uśmiechnęłam się smutno, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie.

Po długiej chwili odsunął się ode mnie i szybkim ruchem potarł twarz dłońmi i potrząsnął głową, jakby chciał otrzeźwieć.

– Cholera – wymamrotał.

Woda w czajniku postanowiła zagotować się dokładnie w tym momencie. Donośny pisk gwizdka przerwał gęstą od napięcia ciszę. Wstałam nieco chwiejnie i wskazując kciukiem przez ramię, spytałam:

– Chcesz kawy?

– A nie masz czegoś mocniejszego?

– Hm, zaraz sprawdzę.

Odwróciłam się na pięcie i uciekłam do kuchni, gdzie czajnik darł się już wniebogłosy. Z ulgą zdjęłam go z palnika. Wiedziałam doskonale, że jedynym alkoholem, jaki miałyśmy w domu, była tequila, a ja nie miałam najmniejszego zamiaru pić tequili z Quinnem.

Quinn plus tequila dałoby *Quinquila*, a to brzmiało jak coś rodem z meksykańskiego więzienia.

Pozwoliłam sobie na nieco dłuższy pobyt w kuchni, żeby pozbierać myśli, zanim wreszcie wróciłam do salonu. Quinn stał w korytarzu, zerkając na zdjęcia. Poczulałam ukłucie rozczarowania, kiedy zauważyłam, że ma na sobie kurtkę. Kiedy zaczęłam iść w jego stronę, zbliżył się do drzwi. Otworzył je i zrobił krok na korytarz. Odwrócił się w moją stronę.

Wreszcie spojrzął mi w oczy, stawiając kołnierz kurtki.

– Ja... – zawahał się. Wyraz jego twarzy wyraźnie złagodniał. Opuścił ręce wzdłuż ciała, a jego oczy uważnie studiowały moją twarz. – Zastrzegam sobie prawo do zmiany zdania.

– Ach tak? A na temat czego dokładnie? – spytałam, opierając się o framugę.

– Całowania się z tobą.

Bezwiednie oblizałam wargi i objęłam się nerwowo, czerwieniąc się jak burak. Wyglądało na to, że byłam po prostu skazana na przybieranie najróżniejszych odcieni szkarłatu za każdym razem, kiedy Quinn wygłaszał pod moim adresem choćby odrobinę prowokacyjne uwagi. Kiedy się wreszcie odezwałam, z moich ust wydobył się nienaturalnie piskliwy głos.

– Yyy, okej, dzięki za ostrzeżenie. Czuję się należycie poinformowana.

Na jego twarz wypłynął ten charakterystyczny, seksowny uśmiech, na widok którego moje serce wykonało salto. Potajemnie nienawidziłam go za to. Ten uśmiech doprowadzał mnie do szaleństwa. I podejrzewałam, że on doskonale o tym wie.

Przestępując z nogi na nogę, oparł rękę na framudze tuż nad moją głową, uśmiechając się do mnie z góry.

– To jak, jesteście umówieni na jutro?

Wzruszyłam ramionami.

– Jasne, *przyjacielu*. Gdzie chciałbyś pójść na kolację?

Zmrużył oczy w reakcji na mój zawołowany sarkazm, ale odpowiedział pozornie niewzruszony:

– Pomyślałem, że zamiast samej kolacji, moglibyśmy zjeść razem i lunch, i kolację.

– Hm, jasne. O której?

Wyprostował się i wyciągnął telefon.

– Przyjadę po ciebie o jedenastej trzydzieści. Obowiązują stroje piknikowe.

Otworzyłam szeroko oczy ze zdziwienia.

– Och, no dobrze. Co mam przynieść?

– Nic. Ty sama wystarczysz – odpowiedział i wycofał się, nie patrząc w moją stronę, pochłonięty ekranem swojego telefonu.

Wysłałam na korytarz.

– Pozwól mi coś przynieść. Albo przynajmniej zapłacić za kolację. To nie fair, żebyś...

Uniósł rękę w górę i kierując się na schody, rzucił mi obezwładniający uśmiech.

– Żadnego pilnowania wyniku.

Mruknęłam z niezadowolenia, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko jego śmiech i odgłos jego kroków na schodach. Westchnęłam i wróciłam do mieszkania, zamknęłam drzwi i pozwoliłam głowie oprzeć się ciężko o ścianę.

Z zamyślenia wyrwał mnie ćwierkający dźwięk, który nauczyłam się już rozpoznawać jako odgłos mojej cholernej komórki. Wróciłam do salonu i znalazłam urządzenie na stoliku kawowym. Zerknęłam na wiadomość. Był to SMS. Od Quinna.

*Cytat na dziś: Przyjaźń jest jak zsikanie się w majtki – coś, co wszyscy widzą, ale tylko ty czujesz.*

\*\*\*

Zgodnie z obietnicą Quinn zadzwonił dokładnie o jedenastej dwadzieścia dziewięć, żeby poinformować mnie, że czeka już na dole. Tłumiąc napływającą falę zdenerwowania, zaczęłam nerwowo poprawiać okulary, powtarzając sobie, że przecież dość często zdarza mi się spędzać pół dnia z przyjaciółmi. Równie dobrze mogłam przecież spędzić pół dnia z moim najnowszym przyjacielem. Nie było w tym niczego

niepokojącego. Nic zupełnie. Kompletnie.

Gryząc paznokieć, rzuciłam ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze. Zobaczyłam kątem oka, jak Elizabeth przygląda mi się ze zmartwioną miną. Nie powiedziała ani słowa, ale wyczuwałam jej troskę kierowaną pod moim adresem.

Musiałam przyznać, że wyglądałam całkiem ładnie. Ślicznie nawet. Elizabeth pomogła mi zapleść włosy w warkocz, z którego zrobiła potem kok. Miałam na sobie białą jedwabną halkę i zwiewną, białą letnią sukienkę z rękawami trzy czwarte. Rękawy i kołnierzyk wykończone były delikatną bawełnianą koronką, której wąski pasek oplatał też moją talię. Sukienka kończyła się tuż za kolanem. Białe klapki na obcasie dopełniały całości.

Po raz pierwszy miałam na sobie tę sukienkę, głównie dlatego, że sama w sobie była dość przezroczysta. To Elizabeth zasugerowała, żebym założyła pod nią halkę. Ta prosta letnia sukienka idealnie podkreślała moje walory – biust, talię i nogi – ale była też bardzo grzeczna, wręcz konserwatywna. Zdecydowanie był to odpowiedni strój na piknik.

Poprawiłam okulary, które założyłam z rozmysłem zamiast soczewek, i odwróciłam się, żeby sięgnąć po sweter i torebkę. Torebka zawierała dwa jabłka i ostatnie letnie brzoskwinie, jakie udało mi się znaleźć na targu. Elizabeth z zaniepokojoną miną zaszła mi drogę, wymachując rękami.

– Oooch, powinnaś chyba założyć coś innego! Ale jesteś śliczna, nawet *ja* mam ochotę cię przelecieć. Zobaczysz, jak nic będzie się do ciebie dobierał w samochodzie!

– Daj spokój! – zaśmiałam się, a ona przyciągnęła mnie do siebie i przytuliła.

– Serio, Janie – powiedziała Elizabeth, trzymając mnie za ramiona. – Jeśli ta cała historia z Wendellem Panem Ciacho ma cię czegoś nauczyć, to przynajmniej tego, że powinnaś przyjąć wreszcie do wiadomości, że jesteś niezłą laską i niejeden chciałby się dostać do twoich majtek.

Odrzuciłam jej rękę i ruszyłam w stronę drzwi.

– A ty jakie masz plany na popołudnie?

– Ja? Och, pójdę sobie na siłownię, a potem muszę skoczyć do pracy powypełniać karty pacjentów – odpowiedziała. Przyciągnęła się i ziewnęła. Wiedziałam, że poprzedniej nocy przespała niecałe sześć godzin, a mimo to wstała godzinę wcześniej, niż musiała, żeby wysłuchać mojej opowieści o kolacji z Jonem i Quinnem i o rozmowie na temat „pozostania przyjaciółmi”.

Powiedziała, że była pod wrażeniem tego, jak zgrabnie rozegrałam całą tę sytuację i pogratulowała mi szczerości i odwagi – chociaż w głębi duszy wolałaby chyba, żebym uległa pokusie i została krótkoterminową seksprzyjaciółką Quinna-Wendela. Potem zwróciła moją uwagę na fakt, że Quinn nie zgodził się na etykietkę przyjaciół.

Powtórzyła to zresztą kilkakrotnie.

Ja z kolei musiałam trzymać się swoich etykietek, bo miałam poczucie, że bez nich będę po prostu dryfować po bezkresnym morzu niewiadomych. Dlatego zbiegając po schodach, czułam ekscytację na myśl o spotkaniu z moim nowym przyjacielem. Tak, właśnie tak – tylko przyjacielem.

Wyszłam z budynku i zobaczyłam go stojącego na chodniku przy schodkach. Opierał się o betonowy słupek i gapił się w swój telefon, prawdopodobnie przeglądając

wiadomości. Był cholernie przystojny. Westchnęłam cichutko. Szczęściary z tych sekspryjaciółek.

Słońce było olśniewające i oślepiające. Był idealny wrześnieowy dzień, pewnie jeden z ostatnich łagodnych dni przed nadejściem października. Quinn musiał usłyszeć odgłos zatraskiwanych drzwi, bo niespodziewanie podniósł wzrok znad telefonu w kierunku szczytu schodów, gdzie stałam. Wyprostował się i zastygł bez ruchu.

Zaczęłam schodzić do niego, jednocześnie grzebiąc w torbie.

– Wiem, wiem, miałam niczego nie przynosić, ale wzięłam ze sobą jabłka i brzoskwinie z niedzielnego targu. – Na dowód, że nie kłamię, wyciągnęłam przed siebie jabłko, by po chwili schować je z powrotem do torby.

Wydał z siebie cichy, jakby zbołały pomruk.

– Nie jesteś dla mnie zbyt miła – powiedział niskim, spizowym głosem.

Zmarszczyłam nos.

– Oj, daj spokój. Chyba mogę przynieść owoce. Mam prawo przynieść owoce – to mówiąc, dźgnęłam go palcem, a on złapał mnie za rękę.

– Nie mówię o cholernych brzoskwiniach.

– Nie lubisz jabłek? A powinieneś. W dwa tysiące dziesiątym rozkodowali genom jabłka, dzięki czemu posiadliśmy nową wiedzę na temat kontroli chorób i upraw selektywnych. To ma naprawdę o wiele poważniejsze konsekwencje...

Zamknął mi usta pocałunkiem, obejmując mnie w talii i mocno przyciągając do siebie. Odnosiłam wrażenie, że smakuje mnie w taki sam sposób, w jaki kosztowałby brzoskwinie. Moje zdradzieckie ciało zareagowało natychmiast, wyginając się w łuk i przylegając do jego ciała. Odwzajemniłam pocałunek i teraz ja smakowałam jego. Nie był to przyjacielski pocałunek. W każdym razie nigdy nie całowałam się w ten sposób z żadnym z moich przyjaciół.

Wreszcie, kiedy już dogłębnie się sobą nasyciliśmy, Quinn przerwał nasz pocałunek i oparł czoło o moje czoło.

– Cześć – wyszeptał.

Zamrugałam na niego. Moje serce i umysł walczyły właśnie w szaleńczym biegu pod górę, ale zdołałam ostatecznie wydusić z siebie cichutkie „cześć”.

– Zmieniłem zdanie na temat całowania się z tobą.

– Cóż – odpowiedziałam. – Było nie było, ostrzegalesz mnie.

Ciepłe, wibrujące uczucie wypełniało mi serce.

\*\*\*

W samochodzie nie miałam zbyt wiele do powiedzenia, za to co i rusz przylapywałam się na skubaniu dolnej wargi. Quinn prowadził. Jechaliśmy jeszcze innym czarnym mercedesem. Zastanawiałam się, czy to służbowe auto. Było mi niewygodnie z myślą, że korzystał z firmowej własności podczas naszej randki.

*A może nie ma się co tym przejmować, bo to nierandka, tylko nasza wendellada czy coś, jak zwał, tak zwał.*

Pozwoliłam sobie na zamartwianie się kwestią samochodu głównie po to, żeby zająć czymś myśli. Quinn nie podejmował rozmowy i wydawał się zadowolony z jazdy w milczeniu. Ku mojemu zaskoczeniu, panująca między nami cisza nie była nieprzyjemna

ani krępująca. Po prostu była.

Kiedy znajdowaliśmy się w niewielkiej odległości od parku, zaskoczył mnie, parkując na jednym z wielopiętrowych, prywatnych parkingów. Zatrzymał się na oznaczonym numerem miejscu w podziemiu. Poruszyłam się niespokojnie na swoim siedzeniu i zerknęłam w stronę Quinna, który właśnie wyłączył silnik.

– Gdzie my... czy ty tutaj mieszkasz?

Pospiesznie wysiadł z samochodu i obszedł go szybkim krokiem. Zanim zdążyłam pociągnąć za klamkę, otworzył mi drzwi w niespodziewanym, choć niezaskakującym przejawie szarmanckości. Wyciągnął w moją stronę rękę, pomagając wysiąść z pojazdu, a potem nie cofnął jej. Palce naszych dłoni splotły się i Quinn pociągnął mnie za sobą w stronę windy. W tym momencie zorientowałam się, że powoli zaczynam się już przyzwyczajać do dotyku jego dłoni ściskającej moją dłoń.

– Zanim zrobimy sobie piknik, chcę ci coś pokazać.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, w milczeniu czekaliśmy na windę. Kiedy byliśmy już w środku, stanęliśmy tuż obok siebie, nadal trzymając się za ręce, podczas gdy winda sunęła w górę. Wszystko w tej sytuacji wydawało mi się tak dziwne, niemal surrealistyczne, że zaczęłam zastanawiać się, jakim cudem się tu w ogóle znalazłam.

Sięgnęłam myślami wstecz, przewijając je jak film na podglądzie, i przeanalizowałam kolejność wydarzeń: tak naprawdę wszystko zaczęło się od tamtej nocy w klubie kilka tygodni temu i sobotniego poranka tuż po. Wróciłam do środy, kiedy spotkaliśmy się przypadkiem w Smith's. Potem był czwartek i incydent z telefonem. Potem był piątek, piątek był świetny, zupełnie zwyczajny aż do momentu, kiedy przestał być zwyczajny, chociaż nadal był świetny, bo Quinn mnie pocałował, i to trzy razy. Sobotnie wydarzenia wiele wyjaśniły i równie dużo namieszały, a po sobocie nastąpiła niedziela i kolejny pocałunek, a potem moment, w którym znajdowaliśmy się obecnie – w windzie, trzymając się za ręce.

Pomimo moich usilnych starań, dryfowałam teraz po nieznanym oceanie niewiadomych, próbując odnaleźć sobie miejsce do zakotwiczenia, mimo braku jakiegokolwiek mapy, diagramu albo przypisów. Byłam jednocześnie kompletnie przerażona i podekscytowana... ale głównie przerażona.

Mimo gonitwy myśli, jaka odbywała się w mojej głowie, sama podróż windą trwała tak naprawdę bardzo krótko. Drzwi otworzyły się, ukazując długi, biały korytarz z czterema parami drzwi. Marmurowa podłoga pokryta była płachtami folii, a w powietrzu unosił się silny zapach świeżej farby. Quinn położył dłoń na dole moich pleców i poprowadził mnie na koniec korytarza. Wyciągnął pęk kluczy i otworzył jedne z drzwi. Z nieśmiałym, ale wyczekującym uśmiechem, gestem zaprosił mnie do środka.

Przekroczyłam próg z lekkim wahaniem i stanęłam na drewnianej podłodze w popielatym kolorze. Rozejrzałam się po przestrzeni, która okazała się bardzo, ale to bardzo ładnym mieszkaniem. Było nieumeblowane, więc drewniane panele układały się nieprzerwanie niczym wachlarz, przecinane poziomymi prostokątami światła padającego z trzech olbrzymich okien, ciągnących się w salonie od podłogi aż po sufit, z widokiem na Millennium Park. Ruszyłam powoli w stronę okien, zauważając przy okazji obłędnie wysoki sufit. Zatrzymałam się na środku i obróciłam wokół własnej osi, chłonąc piękno

całego wnętrza. Odgłosy moich kroków niosły się głośnym, dźwięcznym echem. Ściany pomalowane były na biało, podobnie jak listwy na górze i przy podłodze.

– A tutaj jest kuchnia – zadudnił gdzieś koło mnie głos Quinna. Podążyłam za nim i po chwili znalazłam się w przestronnej kuchni z szaroniebieskiego marmuru. Wszystkie sprzęty zrobione były ze stali nierdzewnej – piekarnik, kuchnia gazowa, zmywarka, gigantyczna lodówka – wszystkie oprócz olbrzymiego zlewu z białej porcelany. Była to kuchnia stworzona do tego, żeby w niej gotować.

Wydawała się tylko trochę smutna bez drobnych sprzętów i akcesoriów, książek kucharskich i jedzenia porozrzucanego na blatach – jak dzieciak, który chce, żeby wybrać go do drużyny.

Quinn dał mi chwilę na obejrzenie pomieszczenia, po czym położył dłoń na moich plecach i łagodnie poprowadził mnie korytarzem w stronę dwóch sypialni. Były bardzo podobne rozmiarem i każda miała własną łazienkę. Główna różnica między nimi polegała na tym, że ten nieco większy pokój miał również okna wychodzące na park, a w jego łazience znajdowało się jacuzzi rozmiarów cysterny.

Aż wytrzeszczyłam oczy jego na widok. Było naprawdę imponujące. Czułam, że nigdy nie będę w stanie pozbyć się z pamięci wizji tego jacuzzi, które przywoływało myśli na temat kąpieli z siedemnastką moich najbliższych przyjaciółek z kółka. Tak, bez problemu mogłabym urządzać nasze wieczorki w tym jacuzzi.

Quinn chyba wyczuł, że potrzebuję chwili na oswojenie się z ogromem jacuzzi, bo postanowił zaczekać na mnie w sypialni. Kiedy wyszłam z łazienki, rzuciłam w jej stronę jeszcze ostatnie, tęskne spojrzenie, po czym skoncentrowałam swoją uwagę na Quinnie.

Jacuzzi plus Quinn równa się... Quinnuzi albo Jacuzzinn. Ostatecznie uznałam, że Jacuzzinn brzmi bardziej kusząco. Jaccuzzinn z Quinnem... pozwoliłam, aby ta myśl przepłynęła przeze mnie.

Nawet nie próbowałam walczyć z rumieńcem, który pojawił się wtedy na mojej twarzy.

– Hej – usłyszałam. Quinn siedział na szerokim drewnianym parapecie. Odnotowałam w myślach, że można by trzymać na nim różne rzeczy.

– Hej – odpowiedziałam, powoli wypuszczając powietrze i gorączkowo zastanawiając się nad jakimkolwiek tematem do rozmowy niezwiązanym z jacuzzi.

– I co myślisz? – uprzedził mnie, jednocześnie kiwnięciem głowy zapraszając, żebym usiadła obok niego przy oknie.

– Jest naprawdę bardzo przyjemne – odpowiedziałam, podchodząc do niego powolnym krokiem, wciąż rozglądając się po wnętrzu. – Myślisz o tym, żeby się tu wprowadzić?

– Nie, nie ja. Pomyślałem, że może to być mieszkanie dla ciebie i Elizabeth.

Zatrzymałam się gwałtownie jakieś półtora metra od niego.

– Co takiego?

– Wspominałaś, że ty i Elizabeth szukacie dla siebie czegoś większego.

– Owszem, czegoś większego, ale nie... – uniosłam ramiona do góry i zaczęłam wymachiwać nimi w sposób, który przypominał zapewne łopotanie skrzydeł. – ...nie czegoś rozmiarów rezydencji à la Richie Rich.

Uśmiechnął się szeroko na te słowa.

– Nie jest aż tak wielkie.

Przekrzywiłam głowę w ten sam sposób, jaki już tyle razy miałam okazję u niego podpatrzeć, i oparłam ręce na biodrach.

– Jestem niemal stuprocentowo pewna, że jego wynajem przekracza nasze możliwości finansowe.

Teraz on również przekrzywił głowę.

– I tu się mylisz. Widzisz, to piętro i jeszcze cztery piętra pod nim, należą do Cypher Systems. Te mieszkania zostały zakupione specjalnie z myślą o pracownikach.

– Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że te mieszkania należą do firmy?

Przytaknął.

– Ale po co szef miałby kupować mieszkania dla swoich pracowników?

Wzruszył ramionami.

– Właściwie to był pomysł Betty. Razem z mężem chcą się wyprowadzić ze swojego dotychczasowego domu. Ich dzieci są już dorosłe, a dla nich dwojga jest za duży. Poprosiła mnie o pomoc w znalezieniu mieszkania blisko pracy, żeby nie musiała dojeżdżać.

– Aha. – Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co usłyszałam. – I w związku z tym szef postanowił kupić mieszkania na pięciu piętrach apartamentowca z widokiem na Millenium Park?

– Jak się nad tym zastanowić, to naprawdę ma sens. – Wstał, zrobił krok w moją stronę, ujął moje dłonie i poprowadził do okna. – To miłe udogodnienie dla pracowników. Dobrze się tu mieszka, jest blisko do Loop i w ogóle do centrum, no i do parku. Cypher jako firma zajmuje się przede wszystkim szeroko pojętą ochroną. Jeśli pracownicy są porozrzucani po całym Chicago, trudno jest zagwarantować wszystkim bezpieczeństwo. Gdyby wszyscy mieszkali tutaj, mieliby bliżej do pracy, a dodatkowo łatwiej byłoby mieć ich na oku.

– Sądysz, że szef chce mieć swoich ludzi na oku?

– I tak, i nie. Nie tak, jak myślisz.

– Czyli w takim razie jak? – Zmarszczyłam brwi.

Westchnął i przeczesał palcami włosy. Przez dłuższą, pełną napięcia chwilę wpatrywał się w podłogę. Wreszcie odpowiedział:

– Nie masz zbyt wiele do czynienia z prywatnymi klientami.

Zamrugalam, słysząc to pozornie niezwiązane z tematem stwierdzenie, zastanawiając się, do czego zmierza.

– To prawda... no i?

– No i dlatego nie mogę zbyt wduwać się w szczegóły.

Przeanalizowałam jego wypowiedź i pospiesznie wysnułam wnioski.

– Czy to ma coś wspólnego z klauzulą poufności?

– Coś w tym stylu.

– A ci... prywatni klienci... czy to źli ludzie?

Rzucił mi badawcze spojrzenie z ukosa, a jego rysy rozjaśniła delikatna zapowiedź uśmiechu.



– Nie, nie tyle źli, co ważni.

– Hm – mruknęłam. Znowu zaczęłam skubać nerwowo dolną wargę, błędząc niewidzącym wzrokiem po mieszkaniu. Bez zamiaru wypowiedzenia tych słów na głos zapytałam: – A czy ty wprowadzisz się do któregoś z tych nowych mieszkań?

Zawahał się przez chwilę.

– Nie – odpowiedział wreszcie – do żadnego z nowych mieszkań.

– Ach tak. – Spojrzałam w stronę drzwi do łazienki. – A wiesz może, ile będzie wynosił czynsz?

– Tak, mniej więcej. Na pewno więcej niż za wasze aktualne mieszkanie. Zakładam, że nieco mniej niż dwukrotność tego, co teraz płacicie.

– Aha. Cóż, w sumie ma to sens. I właściwie to wcale nie tak dużo. – Skrzyżowałam nogi i zaczęłam postukiwać stopą o podłogę. – Ale chyba dziwnie bym się czuła, pracując i mieszkając w jednym budynku z tymi samymi ludźmi. A co, jeśli postanowię odejść z pracy? Musiałabym się wyprowadzić?

– A planujesz odejść z pracy? – Jego głos był monotony, ale dało się w nim wyczuć delikatne napięcie.

– No, nie. Nie w najbliższym czasie, to na pewno.

– Podoba ci się tam? Nadal lubisz to, co robisz?

Pokiwałam głową.

– Tak, lubię. To dziwne, ale w mojej poprzedniej pracy nie przepadałam za opieką nad klientami. Myślałam tylko o tym, żeby spróbować aplikować na stanowisko architekta. A teraz, tutaj, naprawdę to lubię. Tu jest inaczej.

– A co dokładnie jest inaczej?

Zerknęłam w jego stronę. Wydawał się autentycznie zainteresowany, więc podkuliłam jedną nogę, kładąc stopę na drewnianym parapecie, i zwróciłam się w jego stronę. Na chwilę dałam się rozproszyć widokowi parku za oknem.

– Tu jest... no... po prostu lepiej. Uczę się dużo nowych, interesujących rzeczy. Poza tym Carlos i Steven są bardzo otwarci na wszystkie moje pomysły dotyczące ulepszenia struktur rozliczania i operacji, co było nie do pomyślenia w mojej starej firmie, gdzie nikogo nie interesowały moje propozycje. Poza tym lubię ludzi, z którymi pracuję.

Quinn uniósł brwi i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ach, tak? Których dokładnie?

– Hm, pomyślmy. Oczywiście, Keira, jest bardzo miła. Poza tym Steven. Dan też jest bardzo życzliwy. A Carlos...

Quinn spoważniał.

– Co z nim? Chyba się do ciebie nie przystawiał?

Zachichotałam, autentycznie zachichotałam i posłałam mu szeroki uśmiech.

– Nie, nie, skądże znowu. To by było niedorzeczne.

– Dlaczego niedorzeczne?

– Bo Carlos jest moim szefem. Przenigdy nie dałabym się poderwać swojemu szefowi.

Twarz Quinna zastygła w bezruchu. Zamrugał kilkakrotnie, jakbym powiedziała coś absolutnie wstrząsającego.

– Dlaczego nie?

Teraz ja spowaźniałam.

– Czy próbujesz właśnie namówić mnie na randkę z Carlosem?

– Nie, nie, zdecydowanie nie. Tylko po prostu to, że ktoś jest twoim szefem, nie powinno od razu kwalifikować go do kategorii „niedostępny”.

– Yyy, ależ oczywiście, że tak. Umawianie się z szefem stawia mnie na z góry przegranej pozycji.

– Podobnie jak umawianie się z kimś, kto jest bogaty?

Prychnęłam.

– Tak, w sumie tak. Sytuacja jest podobna, ale jeszcze gorsza.

– Dlaczego gorsza?

– Quinn.

– Janie. – Ton jego głosu i wyraz jego twarzy ani drgnęły.

– Dlaczego w ogóle prowadzimy tę rozmowę?

– Bo cię o to proszę.

– Nawet ja, chociaż jak obydwójce wiemy, miewam problemy z dostrzeżeniem tego, co oczywiste, rozumiem tę ideę. – Szturchnęłam go. Nie podobało mi się to, że zrobił się nagle taki poważny i zachodziłam w głowę, co spowodowało u niego tę niespodziewaną zmianę nastroju.

Zmrużył oczy, przyglądając mi się wyteżonym wzrokiem i z kompletnie obojętną miną.

– Wydaje mi się, że takie podejście dowodzi, że twój umysł jest zamknięty na niektóre możliwości.

Wyprostowałam plecy, krzyżując ręce.

– Ach tak? A to dlaczego?

– Dlaczego tak bardzo lubisz przyczepiać etykiety?

– Bo to sprawia, że wiele rzeczy staje się prostsze.

– Ale ludzie są skomplikowani.

– Ale dzięki etykietkom stają się mniej skomplikowani. A dlaczego ty tak bardzo nie lubisz etykietek?

Zacisnął szczękę i popatrzył na mnie rozbieganym wzrokiem.

– Jeśli przypisywane ludziom etykiety stają się jedynym czynnikiem definiującym drugą osobę, a co za tym idzie decydującym o tym, jak będzie ona traktowana, to jest to po prostu stereotypizowanie.

Otworzyłam usta, ale po chwili zamknęłam je gwałtownie i przełknęłam ślinę. Czułam w piersi nieprzyjemne gorąco, mieszanekę dyskomfortu i irytacji. Mierzyliśmy się wzrokiem. Mój oddech stawał się coraz szybszy.

– Nie traktuję ludzi stereotypowo. Stereotypizowanie jest wtedy, kiedy oceniasz ludzi, nie posiadając wiarygodnych danych na ich temat, opierając się tylko i wyłącznie na prostackich społecznych uproszczeniach.

– Szef nigdy nie będzie materiałem na faceta – oznajmił. Z rozmysłem powiedział to śmiertelnie poważnym tonem.

– To po prostu zdrowy rozsądek. – Zerwałam się na równe nogi, a wtedy on

chwycił mnie za ramię, nie gwałtownie, ale stanowczo, i wstając, jednocześnie obrócił mnie w swoją stronę.

– „Bogaci faceci nie sprawdzają się w związkach”. Czy to nie etykieta?

– Nie, to nie etykieta. To preferencja – odparowałam.

– A sekspryjaciółki i Wendelle? – nie ustępował.

– No cóż, jeśli coś chodzi jak kaczką i kwacze jak kaczką i nieskrępowanie uprawia seks z wieloma partnerami, to...! – Z każdym słowem mój głos się podnosił, a oczy otwierały się coraz szerzej, kiedy uświadamiałam sobie, że odczuwam coś więcej niż irytację, coś, co udało mi się rozpoznać jako uczucie bardzo zbliżone do autentycznego gniewu.

Warknął i poruszył się niespokojnie jak zwierzę w klatce.

– Nie lubię być zamykany w szufladce.

– Nie mów mi, że traktuję ludzi stereotypowo tylko dlatego, że nie podoba ci się twoja etykieta. Jeśli nie chcesz być Wendellem, to po prostu przestań nim być. To twoje czyny decydują o tym, jak jesteś postrzegany i traktowany.

– Albo może ty mogłabyś sobie odpuścić i nie być taką krytykancką, ograniczoną...

– I co? – Wyrwałam się z jego uścisku. – Tak bardzo otworzyć swoją głowę, żeby mózg mi wypadł? Usprawiedliwiać złe zachowania innych i pozbawić się kręgosłupa moralnego? Nie, dziękuję. Nie mam najmniejszej ochoty certolić się z gównianymi problemami innych ludzi i twierdzić, że są niepowtarzalne jak płatek śniegu. Nie będę szukać wymówek dla ludzi, którzy traktują innych wokół siebie jak śmieci. Gdybym miała na to ochotę, nadal byłabym z Jonem, usprawiedliwiając jego zdradę albo pożyczalabym moim siostrą pieniądze na ich kryminalną działalność, podczas gdy sama żyłabym sobie w stanie permanentnego rozczarowania.

– Nie mówię, że masz pozwalać ludziom, żeby traktowali cię jak śmiecia – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Sugeruję po prostu, że czasem warto się wysilić i spróbować zrozumieć zachowania innych ludzi i motywacje, jakie im towarzyszą, zamiast po prostu od razu ich przekreślać tylko dlatego, że nie pasują do kryteriów jednego z twoich skrótów myślowych.

Nie byłam w stanie powstrzymać fali sarkazmu, który wylewał się ze mnie, mimo że aż mnie skręcało, kiedy wypowiadałam następujące słowa:

– Popraw mnie, proszę, jeśli się mylę: osobiście zakładam, że motywacja, towarzysząca byciu Wendellem, dotyczy chęci uprawiania seksu bez ograniczania się w zakresie liczby, różnorodności i częstotliwości partnerów.

Ale on ciągnął dalej, jakby mnie nie słyszał:

– Może mogłabyś po prostu przyjąć do wiadomości, że to, że ktoś zachowywał się w przeszłości tak czy inaczej, nie oznacza wcale, że tak samo chce się zachowywać teraz albo w przyszłości.

– Ludzie się nie zmieniają – wypaliłam bez namysłu, mimo że tak naprawdę ani nie chciałam wypowiedzieć tych słów, ani w nie zupełnie nie wierzyłam. I natychmiast ich pożałowałam. Po tym, czego się dowiedziałam, po tym, z czego Quinn zwierzył mi się poprzedniej nocy o jego przeszłości i jego bracie, czułam, że powinnam go natychmiast przeprosić. Zamiast tego jednak zaczęłam przygryzać wargę.

Jego oczy błysnęły groźnie. Przełknął ślinę i wpatrywał się nieruchomo w jakiś punkt za moim lewym ramieniem. Zobaczyłam, jak przenosi ciężar ciała na jedną nogę, jakby chciał ruszyć i przejść obok mnie.

– Przepraszam – wykrztusiłam i wyciągnęłam do niego ręce, chwytając go za nadgarstki, licząc, że w ten sposób uda mi się go zatrzymać. Nasze spojrzenia spotkały się. Zrobiłam mały krok w jego stronę. – Masz rację, ludzie mogą się zmieniać, a nasze motywacje mają znaczenie. Nie wiem, czemu to powiedziałam. Po prostu... – Wypuściłam jego nadgarstki z uścisku i westchnęłam ciężko, masując czoło palcami. – Po prostu kiedy byłam młodsza, moja matka... ona... – Przewróciłam oczami z irytacją na myśl o tym, że będę musiała przyznać przed kimkolwiek, że moja matka i decyzje, które podejmowała, miały wpływ na to, jaką osobą dziś jestem i jakie decyzje podejmuję.

Quinn skrzyżował ręce na piersi i przechylił głowę w bok.

– Nigdy wcześniej nie wspomniałaś o swojej matce – powiedział to takim tonem, jakby sam dopiero uświadomił sobie ten fakt.

Zacisnęłam zęby.

– To dlatego, że niezbyt lubię o niej rozmawiać.

– Dlaczego?

Westchnęłam.

– Ponieważ była niestabilna emocjonalnie, nieodpowiedzialna i była kobiecą wersją Wendella.

Obserwował mnie otwarcie, ściągając swoje piękne usta.

– Wendellina?

Moje wargi wygięły się w mimowolny uśmiech. Przytaknęłam.

– Była... – Błędziłam niewidzącym wzrokiem po pokoju, a potem zapatrzyłam się w widok za oknem za jego plecami. – Była naprawdę piękna, a mój tata był skończonym pantoflarzem, był jej podnóżkiem. Nie było jej w domu tygodniami, a nawet miesiącami, wyjeżdżała z jakimiś facetami, potem wracała, ojciec wszystko jej wybaczał, a my musiałyśmy udawać, że wszystko jest w porządku.

– Zdradzała twojego tatę? – spytał, opierając ręce na biodrach.

Pokiwałam głową.

– Nieustannie. To było wręcz absurdalne. Pod sam koniec więcej czasu spędzała poza domem niż z nami.

– Pod koniec?

Nasze spojrzenia znowu się spotkały.

– Pod koniec to znaczy tuż przed jej śmiercią – powiedziałam i poruszyłam się nerwowo, kiedy ogarnął mnie nagły niepokój. – Sam więc rozumiesz, że bycie czyjąś sekspryjaciółką jest dla mnie kompletnie pozbawione uroku, nie mam również ochoty być niczym podnóżkiem. Lubię jasno zdefiniowane sytuacje, nie lubię niespodzianek i lubię wyraźnie sprecyzowane oczekiwania – to mówiąc, ujęłam się pod boki i wyprostowałam plecy. – A jeśli to czyni ze mnie ograniczoną, to niech i tak będzie.

Przez długą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, a potem Quinn niespodziewanie poruszył się gwałtownie.

Poczułam się dziwnie bezbronna, kiedy odległość między nami zmniejszała się

z każdym jego krokiem, aż między nami nie było już niczego, nie było niczego między naszymi ciałami, przylgnęły do siebie, a ja w milczeniu obserwowałam, jak moje własne ciało bez mojej zgody niemal wtapia się w niego.

Przesunął dłońmi po moich ramionach, by po chwili położyć je na moich biodrach, tuż nad pośladkami. Z zaskoczeniem i, wstyd przyznać, pewną przyjemnością, czułam na sobie nacisk każdej twardej części jego umięśnionego ciała, w tym podłużnej, twardej wypukłości napierającej na moje podbrzusze.

Zarumieniłam się.

Quinn pochylił się i nasze usta złączyły się w obłędnie delikatnym pocałunku. Mój strach, ta płonąca kula paląca moje wnętrze, nie tyle zniknął, co został stłumiony przez nowe uczucie. Nie znałam go wcześniej. Sprawiało, że miałam ochotę zedrzyć z Quinna jego ubranie.

Delikatnie podniósł głowę i spojrzał na mnie spod półprzymkniętych powiek.

– Gotowa na naszą randkę?

Odkaszlnęłam i z trudem powstrzymałam się przed ocieraniem się o niego, nagle bardzo tego spragniona. Odkaszlnęłam znowu.

– Wydawało mi się, że nie chadzasz na randki.

Quinn musnął policzkiem mój policzek.

– Chciałbym chodzić na randki z tobą. – Chuchnął mi w ucho ciepłym oddechem.

Zadrżałam i mimowolnie przymknęłam oczy.

– Czy to znaczy, że masz zamiar wycofać z obiegu swoje seksprzyjaciółki? – spytałam.

Poczułam, jak się uśmiecha. Po chwili złożył na moim ramieniu długi pocałunek.

– Już ich nie ma – powiedział i znowu mnie pocałował, tuż obok miejsca, gdzie ramiączko sukienki stykało się ze skórą. Moje ciało, moje nielojalne ciało, przylgnęło do niego ciaśniej, a słowa wypłynęły z moich ust razem ze westchnieniem:

– A kiedy to się stało?

Poczułam, jak wzrusza ramionami. Ten prosty ruch sprawił, że jego tors otarł się o moje piersi, a ja musiałam przygryźć wargę, żeby powstrzymać się od jęku rozkoszy.

– Już jakiś czas temu.

Odsunął się odrobinę, unosząc jedną dłoń. Delikatnie przesunął palcami po brzegach mojej sukienki, po miejscu na ramieniu, gdzie mnie wcześniej pocałował, po moim obojczyku, dekolcie, a potem znowu wyżej. Poczułam gęsią skórę na całym ciele.

*Jakiś czas temu.*

Gwałtownie otworzyłam oczy. Nasze spojrzenia się spotkały. Czułam się oszołomiona i dezorientowana, i bardzo chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o znikających seksprzyjaciółkach. Widok uśmiechu pojawiającego się powoli na twarzy Quinna sprawił, że kompletnie zgubiłam wątek. Wspomniane wcześniej palce, bawiące się ramiączkiem sukienki, teraz zsunęły się w dół i splotły z moimi.

Pociągnął mnie za rękę.

– Chodź. Czas na nasz piknik.

Spędziłam w parku prawie cały dzień. Zagraliśmy może kilka rundek we frisbee, wskutek czego dorobiłam się kilku plam z trawy na swojej białej sukience.

Ku mojemu zaskoczeniu w Jay Pritzker Pavilion odbywał się darmowy koncert bluesowy. Postanowiliśmy zostać i posłuchać muzyki na koniec naszego pełnego rozrywek dnia. Zajęliśmy miejsce na brzegu trawnika, z dala od reszty odwiedzających.

Quinn położył się na kocu, kładąc głowę na moich kolanach, zupełnie jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie, a ja przeczesywałam palcami jego włosy. Czułam, że powinnam się uszczyplnąć, żeby upewnić się, że nie śnię ani że nie zostałam wessana w jakąś alternatywną rzeczywistość rodem z *Matrixa*, ale wcale nie chciałam znać prawdy. Czerwona pigułka? Nie, dziękuję!

Quinn przysnął, a ja nie chciałam go budzić, więc zostaliśmy aż do końca ostatniego seta. Patrzyłam na niego jak zahipnotyzowana, podziwiając rysy jego twarzy i kształt jego ust. Jego wargi były lekko rozchylone, a ja skutecznie powstrzymałam się przed pocałowaniem ich.

Głośne oklaski wyrwały go z drzemki. Zmarszczył brwi, wyraźnie zdezorientowany, i zamrugał, patrząc na mnie. Kolor jego oczu i intensywność wzroku, kiedy w napotkanym spojrzeniu rozpoznał moje, sprawiły, że poczułam w piersi bardzo miłe ukłucie. Uśmiechnęłam się.

Pod wpływem impulsu pochyliłam się i musnęłam wargami jego wargi, z zamiarem ofiarowania mojemu śpiącemu królewiczowi szybkiego całusa. Jednak zanim zdążyłam podnieść głowę, ręce Quinna powstrzymały mnie – jego potężne dłonie na moich policzkach, jego długie palce gładzące moją szyję.

Nasz pocałunek pogłębiał się coraz bardziej, nawet kiedy Quinn uniósł się do pozycji siedzącej i napał na mnie tak, że teraz półleżałam odchylona, oparta głową o jego kolano. Zacisnęłam palce dłoni na jego ramionach dla zachowania równowagi. Jego język był cudownie ciepły i miękki, kiedy z namaszczeniem i obłądną subtelnością pieścił mój język. Było to tak, jakby smakował mnie i delectował się mną jak porcją lodów albo wykwinnym deserem. Efekt był oszałamiający.

Jakiś przechodzień zagwizdał, prawdopodobnie na nas, a wtedy ja wyprostowałam się i opuściłam głowę, przerywając nasz pocałunek. Oddychałam z trudem. Quinn opuścił ręce. Zerknęłam na niego spod rzęs i zza bezpiecznej ochrony, jaką dawały mi czarne oprawki moich okularów. Widziałam jego profil – przyglądał się człowiekowi, który na nas zagwizdał. Ze swoim czujnym spojrzeniem wyglądał bardzo stanowczo, a przez to bardzo władczo, i dalej – cholernie seksownie.

Oblizalam wargi, czując na nich jego smak. Chcąc z powrotem zwrócić na siebie jego uwagę, zapytałam bez tchu:

– Dobrze spałeś?

Spojrzał mi w oczy, a ja przez chwilę poczułam się sparaliżowana. Miałam wrażenie, jakby moje kończyny stały się nagle bardzo ciężkie i bezużyteczne. Zignorował moje pytanie i zamiast odpowiedzi zadał swoje:

– Dlaczego masz na sobie okulary, a nie soczewki?

Musiałam chyba wciąż jeszcze być oszołomiona naszym pocałunkiem, bo bez zastanowienia odpowiedziałam mu zupełnie szczerze:

– Bo dzięki nim czuję się bezpiecznie.

Mrugnął i uniósł kącik ust.

– Czy z tego samego powodu czeszesz się w ten sposób? – spytał, wskazując na moje włosy splecione w ciasny kok. – Czujesz się bezpieczniej, kiedy masz spięte włosy?

– Nie. Czeszę włosy w kok, bo jeśli tego nie robię, wyglądają jak węzowe włosy Meduzy.

Na twarz Quinna wypląnął powoli jego typowy, wyluzowany uśmiech.

– Wcale nie wyglądają jak włosy Meduzy.

– Owszem, wyglądają. Swoją drogą, wiedziałeś, że Meduza też miała dwie siostry? Była środkową córką, tak jak ja. Ale była też jedyną śmiertelniczką z trójki. Według większości mitów została zgłodzona przez Perseusza. Użył lustrzanej tarczy, żeby nie musieć na nią patrzeć. Potem, po jej śmierci, z jej ciała wyskoczył Pegaz, skrzydlaty koń oraz olbrzym trzymający w ręku miecz.

Quinn uniósł kącik ust, a następnie delikatnie zdjął mi okulary i położył je na kocu między nami.

– Brzmi to dość nieprawdopodobnie.

Wzruszyłam ramionami. Czulałam się odrobinę nieprzytomna i oszołomiona, siedząc razem z Quinnem na kocu, w parku, o zmierzchu. Bez swoich okularów czulałam się też nieco obnażona.

– Według niektórych w momencie śmierci była w ciąży, zapłodniona przez Posejdona. Może miał jakąś magiczną odmianę spermy zamiast takiej ze standardowymi chromosomami X i Y – powiedziałam i sięgnęłam po swoją wodę. Piłam długo, obserwując Quinna przez plastik butelki. Światło wczesnego wieczoru ustępowało powoli mrokowi nocy, ale nadal byłam w stanie dostrzec, że się uśmiecha. Wciąż jeszcze byłam na tyle otumaniona naszymi pocałunkami, że bez najmniejszego skrępowania wypaliłam:

– Gdybyś miał magiczną spermę, jakie istoty chciałbyś stworzyć?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Pokręcił głową i rozejrzał się wokół, patrząc wokół na ludzi zbierających się do wyjścia.

– Chyba na nic by mi się zdała magiczna sperma bez dziewczyny o węzowych włosach, prawda? – to mówiąc, Quinn sięgnął po swoją wodę i upił duży łyk.

– Mógłbyś wykorzystać mnie! – powiedziałam. Quinn zakrztusił się.

Gwałtownie odstawił wodę, usiadł wyprostowany i sięgnął po serwetkę. Kaszlał długo, szeroko otwierając oczy. Wyciągnęłam rękę i poklepałam go uspokajająco po plecach.

– Powinieneś napić się jeszcze trochę wody.

– Dzięki – wychrypiał. Pijąc, obserwował mnie uważnie.

Siedziałam i wyrozumiale czekałam, aż Quinn dojdzie do siebie. Po pewnym czasie spytałam:

– Już w porządku? Wpadło nie do tej dziurki, co trzeba?

Przytaknął, śledząc wzrokiem moje ruchy i nieco zbyt mocno ściskając trzymaną w ręku serwetkę. Wreszcie odezwał się:

– Przerwałem ci. Mówiłaś coś o tym, jak mógłbym cię wykorzystać?

– A, tak. W tej hipotetycznej sytuacji jesteś posiadaczem magicznej spermy, z której mogą powstawać najróżniejsze stworzenia... – Zakręciłam swoją butelkę, odłożyłam ją na koc i zaczęłam rozplątywać włosy. – A ja, jak już ustaliliśmy, mam włosy Meduzy. – To mówiąc, potrząsnęłam głową, a moje szalone loki opadły na ramiona, plecy i piersi. – Masz więc już swój węzowłosy pojemnik na magiczną spermę. Jaką istotę możemy razem stworzyć?

Jego wyraz twarzy można było określić jedynie jako niedowierzający. Jego oczy z mroczną intensywnością wpatrywały się w gąszcz moich włosów.

– Czego dodałaś do tej wody?

– To najzwyczajniejsza woda. Dlaczego pytasz?

Quinn westchnął. Zabrzmiało to nieco cierpiętniczo. Odwrócił wzrok, jakby patrzenie na mnie było wyczerpujące albo sprawiało mu ból. Wstał i wyciągnął rękę w moją stronę, z lekkością pomagając mi się podnieść.

– Powinniśmy już iść na kolację.

Przechyliłam głowę na bok, obserwując go uważnie.

– Nie masz zamiaru odpowiedzieć na moje pytanie?

Pokręcił tylko przecząco głową, nie patrząc na mnie, i zajął się zbieraniem z ziemi koszyka, butelek i składaniem koca. Schował moje okulary do kieszonki na piersi. Przygryzłam wargę i nerwowo wyginałam palce, przyglądając mu się uważnie. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że powiedziałam coś nie tak. Założyłam włosy za ucho i zaczęłam pomagać mu w sprzątaniu.

Zebraliśmy nasze rzeczy, a on nadal ani razu na mnie nie spojrzał. Czułam niepokój, a w związku z tym moje myśli rozpoczęły swoje tradycyjne wędrówki. Wzięłam wszystkie śmieci i ruszyłam do pobliskiego śmietnika, roztrzásając, czy parkowe śmieci wywożone są codziennie, czy może jednak co drugi dzień. Zastanawiałam się też, ile śmieci produkowali goście parku. I czy ktokolwiek rozważał wprowadzenie recyklingu w parkach miejskich. I jaki byłby to koszt dla miasta. I...

– Uch!

Zamyślona, wpadłam na kogoś z impetem. Natychmiast chciałam zrobić krok w tył, ale ten ktoś chwycił mnie za ramiona, wcale nie delikatnie, i nie pozwolił mi się ruszyć. Spojrzałam na niego i zobaczyłam niezbyt miłą twarz. Nie był brzydki, wręcz przeciwnie, mężczyzna był całkiem przystojny, ale jego twarz wykrzywiona była w nieprzyjemnym grymasie, a spojrzenie było twarde i zimne.

Obcy mężczyzna był wyższy ode mnie o jakieś pięć centymetrów i niezwykle umięśniony. Miał ogoloną głowę, oliwkowozielone oczy, kanciastą, zaciśniętą szczękę, a jego szyję oplatały wypełzające spod kołnierzyka koszuli czarne tatuaże, a pełne usta wygięte były w zaciekły grymas.

Zdobyłam się na nieśmiały i, miałam nadzieję, uprzejmy uśmiech, ale on tylko świdrował mnie tym swoim stalowym spojrzeniem. Miałam niejasne wrażenie, że mnie nie lubi. Co więcej, wydawało mi się, że chce mi zrobić krzywdę.

Przełknęłam ślinę i ponownie spróbowałam się odsunąć.

– Prze-przepraszam... nie patrzyłam, gdzie idę.



Ale on, zamiast mnie puścić, jeszcze mocniej zacisnął łapy na moich ramionach i zbliżył swoją twarz do mojej.

– Jeśli ci się wydaje, że się z tego wymigasz, jesteś w błędzie – wysyczał.

– Hej! – Po lewej stronie za moimi plecami rozległ się głos Quinna. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak pędzi w naszą stronę, a na jego twarzy maluje się wściekłość. W tym momencie on również wyglądał niezbyt przyjemnie. Prezentował się jak ktoś, kto ma zamiar zrobić komuś zaraz wielką krzywdę.

Zanim Quinn do nas dobiegł, mężczyzna zwolnił uścisk, odepchnął mnie i uniósł ręce do góry, w geście poddania. Zrobił krok wstecz.

– Spoko, stary, nic się nie dzieje.

Quinn natychmiast stanął między mną a nieznajomym i natarł na niego.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Słyszając ton jego głosu, postanowiłam się wtrącić.

– Quinn, posłuchaj, to nic takiego. Nie patrzyłam, gdzie idę i...

– Lepiej słuchaj swojej dziewczyny.

Quinn osaczył przysadzistego mężczyznę i patrzył na niego z góry piorunującym wzrokiem.

– Masz jej nie dotykać, masz nawet na nią nie patrzeć – oznajmił złowrogim szeptem. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek się na ciebie natknę, uwierz, że będzie to ostatni raz, kiedy ktokolwiek się na ciebie natknie.

Wzdrygnęłam się. Nie odniosłam wcale wrażenia, żeby była to jakaś przenośnia albo żeby jego słowa miały dodać sytuacji dramatyzmu. Instynktownie czułam, że są prawdziwe i w tym momencie musiałam przyznać z całą szczerością, że Quinn mnie przerażał.

Mierzyli się wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, aż wreszcie łysy poruszył się niespokojnie i odpuścił. Z pozoru usatysfakcjonowany, Quinn cofnął się o kilka kroków, po czym odwrócił na pięcie i, nawet na mnie nie patrząc, chwycił mnie za rękę i pociągnął w kierunku naszego porzuconego koszyka piknikowego. Trochę się trzęsłam, a serce waliło mi jak oszalałe. Mimowolnie zerknęłam przez ramię.

Łysy mężczyzna wciąż mi się przyglądał.

Nie nam.

On patrzył na mnie.

Patrzył na mnie, jakby mnie znał, jakby nadal chciał mi zrobić krzywdę i jakby jedyną rzeczą, która go przed tym powstrzymuje, była obecność potężnego, wściekłego mężczyzny u mojego boku. Odwróciłam wzrok i przysunęłam się bliżej Quinna.

Po raz trzeci w przeciągu ostatnich trzech tygodni miałam wyraźne poczucie, że ktoś mnie obserwuje. Tylko że tym razem wiedziałam na pewno, że mam rację.

\*\*\*

Szliśmy bez słowa. Quinn mocno trzymał moją dłoń, ściskając ją niemal do granicy bólu. Ja niosłam koszyk i koc, a on trzymał swój telefon, co kilka minut dotykając jego ekranu i rozglądając się bacznie po parku. Nie wróciliśmy do podziemnego garażu, zamiast tego Quinn zaprowadził mnie na South Michigan Avenue przy Face Fountain. Nie upłynęło nawet trzydzieści sekund, kiedy podjechał czarny SUV i zatrzymał się tuż

przy nas.

Quinn otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj – rzucił.

Zbyt zdenerwowana, żeby zaprotestować, posłusznie wgramoliłam się na tylne siedzenie, sadowiąc się na środku i kładąc obok siebie koc i kosz piknikowy. Quinn wsiadł zaraz po mnie i trzasnął drzwiami. Niemal w tej samej sekundzie usłyszałam dźwięk centralnego zamka. Chwilę zajęło mi, zanim wzrok przyzwyczyił się do ciemności panujących wewnątrz samochodu. Zerknęłam w stronę Quinna. Z kolanem przyciśniętym do mojego siedział nieco bokiem, wyglądając przez szybę, jakby kogoś szukał.

Ruszyliśmy, a ja spróbowałam ustalić tożsamość naszego kierowcy. Jedyne, co byłam w stanie dostrzec, to tył jego głowy i imponująco szeroką szyję. Z pewnością nie był to Vincent, chyba że Vincent postanowił urosnąć o jakieś czterdzieści centymetrów, odmłodzić o trzydzieści lat i zostać Afroamerykaninem. Kiedy poczułam, jak Quinn kładzie rękę na moim kolanie i delikatnie je ścisną, z powrotem zwróciłam się do niego.

Obserwował mnie uważnie, z podejrzliwością. Mogłam tylko patrzeć na niego z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Nie miałam pojęcia, co się właśnie wydarzyło. Nie miałam pojęcia, dlaczego mężczyzna w parku wpatrywał się we mnie tak złowieszczo. Nie miałam pojęcia, dlaczego Quinn uznał za konieczne uciekać się do średniowiecznych gróźb pod jego adresem. Nie miałam pojęcia, dlaczego musieliśmy uciekać z parku, jakbyśmy byli ścigani. Byłam kompletnie zdezorientowana.

Możliwe, że nieco zaczął mi drzeć podbródek.

Quinn musiał to zauważyć, bo otoczył mnie opiekuńczo ramieniem i przytulił do piersi. Byłam daleka od płaczu, ale chętnie poddałam się jego pocieszaniu. Miło było znajdować się w jego silnych objęciach, więc przyłgnęłam do jego torsu, zatapiając się w nim. Oparł podbródek o moją głowę. Poczulałam, jak wzdycha.

– Znasz tego człowieka? – spytałam. Mój głos brzmiał zaskakująco cicho wewnątrz tak wielkiego samochodu.

Quinn cały zeszywniał.

– Nie. – Jego dłoń zsunęła się z mojego ramienia na biodro. Przyciągnął mnie do siebie bliżej. Po chwili dodał: – Nie jestem pewien. Wyglądał znajomo.

Uniosłam nieco głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– Czy to jeden z prywatnych klientów?

Quinn pokręcił głową. Rzucił krótkie spojrzenie kierowcy, a potem znowu przeniósł wzrok na mnie.

– Nie, zdecydowanie nie. Wyglądał jak ktoś, kogo znałem dawno temu.

– Ach, tak.

Leniwie wodził kciukiem po moim biodrze, a jego wzrok błędził badawczo po mojej twarzy.

– Nic ci się nie stało? Nie skrzywdził cię? – zapytał szorstko.

– Nie, po prostu mnie wystraszył. To pewnie jakiś zupełnie obcy facet, poza tym pamiętaj, że na niego wpadłam, więc sam rozumiesz, nie ma się czym przejmować.

Pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego. Położyłam dłoń na jego torsie, a on przykrył ją swoją dłonią i przesunął na wysokość serca. Biło bardzo, bardzo szybko.

Odkasznął.

– Chcesz, yyy... chcesz jechać do domu?

– Do domu? – powtórzyłam ze słabym uśmiechem.

Potrząsnął głową i oznajmił:

– Tak, najlepiej będzie, jeśli pojedziesz do domu.

Poczułam ciemną, ciężką chmurę rozczarowania opadającą na moje czoło. Nie chciałam jeszcze, żeby ten wieczór się skończył. Nie rozumiałam, dlaczego jeden incydent przesądził o końcu naszego wspólnego dnia.

– A jakie mam inne opcje? – Spojrzałam na nasze złączone dłonie na jego sercu, a potem przeniosłam wzrok na jego usta i mimowolnie oblizałam wargi.

– Dom – powtórzył stanowczo.

Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam, że mierzy mnie paradoksalnie płomiennym, stoickim spojrzeniem. Jakby jednocześnie odpychał mnie i przyciągał do siebie. Coś mnie opętało, jakiś nieposkromiony, lubieżny instynkt i gwałtownie napałam na niego. Poczułam, jak cały sztywnieje. Uniosłam się lekko, przyciskając piersi do jego torsu. Wstrzymał oddech. Wsunęłam nogę między jego nogi i muskając ustami jego szyję, zbliżyłam je do jego ucha i z nadzieją, że moje słowa nie zabrzmiały głupio i niezręcznie, wyszeptałam:

– Jestem spragniona.

Z jego gardła wyrwało się kolejne zbolące westchnięcie, podobne w tonie do tego w parku. Położył dłoń na moim udzie w miejscu, w którym sukienka zadarła się do góry, obnażając moją nogę. Trzymał ją nieruchomo, a ja czułam na skórze jego ciepło przez krótką, pełną wahania chwilę, zanim chwycił za brzeg mojej sukienki i zasłonił moje kolano, jednocześnie odsuwając się ode mnie. Dotkliwie odczułam utratę jego ciepła na swoim ciele, kiedy rozwiązywał płataninę naszych rąk i nóg.

Quinn pochylił się delikatnie w stronę kierowcy.

– Musimy zawieźć panią Morris do domu.

Wpatrywałam się w niego, początkowo z zaskoczeniem, a następnie z palącym poczuciem odrzucenia, od którego aż dzwoniło mi uszach. Na moją szyję, policzki i dalej aż na czubki uszu wypełził szkarłatny rumieniec tak silny, że miałam wrażenie, że zaraz spalę się ze wstydu. Skrzyżowałam ręce na piersi i siedziałam ze złączonymi nogami, z kolanami jak najdalej od niego.

Przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu. Słyszałam tylko szum krwi przepływającej przez moje ciało. Moje myśli pędziły teraz szaloną, pełną dramatyzmu kolejką górską, charakterystyczną głównie dla wątpiących w siebie nastolatek, i układały się w monolog, w którego każde słowo aktualnie wierzyłam: *Nigdy nie będę tą dziewczyną. Po prostu nie mam tego w sobie, nie potrafię być seksowna i uwodzicielska. Może po serii operacji plastycznych wartych dziesiątki tysięcy dolarów stanę się na tyle ponętna, żeby przy przygaszonym świetle i po kilku kieliszkach wzbudzić cień zainteresowania w jakimś biostatystyku, ewentualnie księgowym.*

Kiedy dojechaliśmy pod mój budynek, wyciągnęłam swoją torebkę z kosza piknikowego. Quinn zaskoczył mnie, odgarniając niesforne pukle z mojego ramienia. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. W wyciągniętej ręce trzymał moje okulary.

Wzięłam je od niego i odwróciłam wzrok, mamrocząc „dziękuję”, a potem umieściłam je na nosie.

– Nie ma za co – odpowiedział miękko.

Samochód zatrzymał się, ale Quinn nie od razu otworzył drzwi. Czułam na sobie jego wzrok. Starając się unikać jego spojrzenia, zaczęłam przeszukiwać torebkę w poszukiwaniu kluczy. W końcu wysiadł, a ja wyskoczyłam na ulicę jak z procy, kiedy tylko zszedł mi z drogi. Kiedy wbiegałam po schodach do drzwi wejściowych, czułam, że idzie tuż za mną.

– Dasz sobie radę?

– Jasne. Bez problemu. – Udało mi się trafić kluczem do zamka już za pierwszym razem. Byłam wdzięczna losowi za ten mały cud.

Histeryczna, zajadła tyrada we wnętrzu mojej głowy bynajmniej nie dobiegła jeszcze końca: *Poderwanie i zatrzymanie przy sobie kogoś takiego jak Quinn Sullivan musisz niestety odłożyć do swojej skrzynki z niespełnionymi marzeniami, tuż obok remake’u gry Final Fantasy 7 z dwuwymiarową grafiką na PlayStation 3 albo znalezienia oryginalnego, zachowanego komiksu numer dwadzieścia siedem z serii Detective Comics, gdzie debiutował Batman. Próżny twój trud. Będziesz musiała pogodzić się z faktem, że Quinn Sullivan na zawsze pozostanie w sferze marzeń.*

Ruszyłam pędem po schodach, nie czekając, aż zamkną się za mną drzwi wejściowe i nie oglądając się za siebie. Z niezadowoleniem usłyszałam za sobą jego kroki. Przyspieszyłam. Kiedy dotarłam do drzwi, los po raz kolejny okazał się dla mnie łaskawy, bo niemal od razu udało mi się otworzyć zamki. Quinn stał z boku, w pewnej odległości ode mnie, i bacznie mi się przyglądał.

Zerknęłam na niego przez ramię i niedbale machnęłam mu ręką na pożegnanie.

– No, to dobranoc. Dzięki za... za piknik. – Już, już miałam uciec do mojej bezpiecznej przystani, jaką jawiło mi się teraz mieszkanko Elizabeth, kiedy poczułam jego dłoń na swojej ręce, tuż nad łokciem.

– Chciałbym, żebyście poważnie zastanowiły się z Elizabeth nad przeprowadzką do mieszkania, które oglądaliśmy.

Wzruszyłam ramionami i otworzyłam drzwi na tyle szeroko, żeby postawić torebkę w przedpokoju i wejść jedną nogą do mieszkania.

– Jasne, nie ma sprawy, porozmawiam z nią o tym. – To mówiąc, zrobiłam kolejny krok.

Quinn wyciągnął rękę i przytrzymał drzwi, jakby chciał powstrzymać mnie przed zamknięciem ich.

– Mówię poważnie.

– W porządku. – Kiwnęłam głową, a nasze spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Mój umysł dryfował już kilka metrów dalej, w moim mieszkaniu, w bezpiecznej odległości od bolesnego poczucia odrzucenia, zajęty lekturą nowej, dopiero co wypożyczonej biografii Marii Skłodowskiej-Curie. Nie było go już w teraźniejszości, na korytarzu, gdzie wciąż jeszcze tkwiłam jak królowa pobożnych życzeń.

Staliśmy tak w milczeniu przez kilka sekund. Czułam na sobie jego wzrok. Walczyłam z rumieńcem, który lada chwila mógł zabarwić moje policzki na czerwono.

Wreszcie odezwał się Quinn:

– Będę musiał wyjechać na jakiś czas.

– Tak, pamiętam – przytaknęłam. – W czwartek jedziesz do Nowego Jorku.

– Nie. Wyjeżdżam dzisiaj. To znaczy, że w tym tygodniu nici ze szkoleń. Przez następne kilka dni będę trudno dostępny, ale zawsze możesz napisać do mnie SMS-a, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Wzruszyłam ramionami, a w uszach znowu usłyszałam szum. Wycofałam się w mrok, w głąb mieszkania. Rumieniec przejął nade mną kontrolę i wił się teraz w górę mojej szyi i dalej, na policzki, paląc mnie z tą samą intensywnością, z jaką płonęła Atlanta po przejściu wojsk generała Shermana.

– Najpierw jadę do Bostonu, potem do Nowego Jorku. Wracam w niedzielę...

*Zaraz, co on powiedział? Czy on dalej do mnie mówi?*

– ...więc musimy przełożyć naszą niedoszłą kolację na przyszły tydzień, dobrze?

Westchnęłam rozkojarzona, nadal nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Tak, jasne. Po prostu zadzwoń do mnie, kiedy już wrócisz.

Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek zadzwoni.

Kiwnął głową i zajrzał do mojego mieszkania. Nagle zatrzymał się, znieruchomiał, a potem puścił drzwi i wycofał się na klatkę schodową. Z frustracją przeczesał palcami włosy.

– Przykro mi z powodu dzisiejszego wieczoru, naprawdę.

Spojrzałam na niego. Wyglądał na zmartwionego, jednak zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek, odwrócił się na pięcie i poszedł sobie, wyciągając po drodze telefon z kieszeni kurtki. Zamknęłam drzwi dopiero, kiedy przestałam słyszeć na schodach jego kroki.

Nie zapalałam świateł, tylko po omacku ruszyłam w kierunku kanapy. W otaczającej mnie ciemności pozwoliłam sobie wypuścić swoje myśli na wolność.

Kompletnie nie rozumiałam tego człowieka.

Udaje, że chce chodzić ze mną na randki, żeby po chwili odrzucić moje oczywiste awanse, a na koniec jeszcze wymyśla jakieś wyjazdy, żebym tylko nie zawracała mu głowy. Byłam kompletnie skołowana. Jeśli chciał mnie spławić, naprawdę nie musiał się uciekać do fingowania podróży służbowych.

Gdzieś w mieszkaniu rozległ się obrzydliwy dźwięk przychodzącej wiadomości. W pierwszym odruchu warknęłam z frustracji, ale po chwili ciekawość zwyciężyła. Dzwonek rozległ się ponownie, zanim zdążyłam dojsć do kuchennego blatu, gdzie leżało diabelskie urządzenie, podłączone do ładowarki. Zerknęłam na ekran. To był SMS od Quinna. Właściwie było ich kilka.

Pierwszy: *Dostaniesz ochronę, nawet ich nie zauważysz, przepraszam za to wszystko.*

Drugi: *Zadzwoń w czwartek, kiedy już będę w Nowym Jorku.*

I trzeci: *Neutron przejeżdża przez granicę. Celnik pyta: – Przewozi pan coś? – Nie, nie mam ładunku.*

Zmarszczyłam brwi i wpatrywałam się w telefon. Równie dobrze mógł pisać do mnie hieroglifami. Po dłuższej chwili odłożyłam komórkę na blat i przeszłam do salonu.

Usiadłam na kanapie, by w końcu się położyć. Nagle poczułam się potwornie zmęczona. Kręciło mi się w głowie. Nie rozumiałam mężczyzn. Byli nieprzewidywalni i zachowywali się kompletnie irracjonalnie.

Miałam świadomość tego, że leżę w ubraniu oraz że nie umyłam nawet zębów, ale nie byłam w stanie zmusić się do wstania. Byłam sparalizowana. Odpływając w sen, pomyślałam jeszcze, że mężczyźni powinni mieć w pakiecie instrukcję obsługi, napisy i możliwość resetowania ustawień.

\*\*\*

Nabrałam zwyczaju radzenia się dziewczyn z mojego dziergającego kółka. Były moim kompasem we wszystkich kwestiach, które dla mnie były zbyt pogmatwane i trudne do pojęcia, co w dużej mierze oznaczało związki i po prostu interakcje z innymi ludźmi. Wspierały mnie na niepewnych wodach biurowych rozgrywek i pomagały ułożyć relację z mamą mojego byłego. Dlatego kiedy wyłuszczyłam im moją obecną sytuację z Quinnem, jak zwykle okazały się wspierające i zaangażowane.

Był wtorek wieczór. Prawie wszystkie zebrałyśmy się w przestronnym, trzypokojowym mieszkaniu Sandry. Brakowało tylko Fiony, która niespodziewanie musiała zostać w domu, bo jej córka zachorowała na grypę. Większość z nas trzymała w rękach drinki, a ja właśnie kończyłam przekazywać im kolejno swój diabelski telefon, żeby każda mogła przeczytać wiadomości od Quinna. Jednocześnie przedstawiłam im skróconą wersję wydarzeń zeszłego tygodnia.

Żadna się nie odzywała. Ashley gapiała się przed siebie, Marie wpatrywała się w swój niedokończony sweter, Sandra stała w drzwiach swojej kuchni, opierając się o ścianę, jakby pogrążona w rozmyślaniach, Kat obserwowała mnie z mieszanką introspekcji i niepokoju, a Elizabeth wciąż jeszcze czytała SMS-y od Quinna.

Ashley pierwsza przerwała ciszę.

– Wydaje mi się, że był po prostu zestresowany tamtą sytuacją w parku i dlatego odrzucił twoje gorące awanse. – Jej akcent rodem z Tennessee sprawiał, że nawet te słowa brzmiały uroczo.

Niektóre z dziewczyn kiwały twierdząco głowami, inne nadal patrzyły przed siebie niewidzącym wzrokiem. Westchnęłam.

– A może tak naprawdę wcale nie jest mną zainteresowany? Na młot potężnego Thora – przecież ja się zwyczajnie na niego rzuciłam!

Elizabeth popatrzyła na mnie spode łba.

– Czy ty właśnie powiedziałaś „na młot potężnego Thora”?

– Staram się mniej przeklinać.

Niektóre z dziewczyn kiwały twierdząco głowami, inne nadal patrzyły przed siebie nieobecny wzrokiem. Westchnęłam.

– Chyba kompletnie spartoliłam. Pewnie uważa teraz, że jestem żałosna i próbuje unikać mnie za wszelką cenę, i dlatego wymyślił sobie jakąś podróż służbową, żeby nie musiał ze mną rozmawiać.

Marie pokręciła głową, wprawiając w ruch swoje blond włosy prosto z reklamy szamponu.

– Nie. To nie to – oznajmiła z absolutną pewnością. – To na pewno nie to.

Elizabeth pokiwała głową.

– Zgadzam się z Marie. Facet leci na ciebie jak nic.

Niektóre z dziewczyn kiwały twierdząco głowami, inne nadal patrzyły przed siebie niewidzącym wzrokiem. Westchnęłam.

– W takim razie dlaczego odrzucił moje zaloty? – Nie byłam w stanie ukryć swojej frustracji. Wiedziałam, że częściowo wynika ona z nieobecności Quinna. Przez cały poprzedni tydzień dałam się rozpuszczać niemal codziennymi spotkaniami, a teraz po prostu za nim tęskniłam. Zeszłej soboty, kiedy oglądał moje mieszkanie, myślałam o tym, jak bardzo nie pasuje do tego miejsca i do mojego życia. A teraz jego nieobecność sprawiała, że czułam się tak, jakby nieustannie brakowało mi tchu.

A przecież minęły tylko dwa dni.

– Jak rany, dziewczyno! Przecież dopiero co patrzył, jak atakuje cię jakiś wredny, wytatuowany skinhead! – odezwała się Sandra, dołączając do nas w salonie. – Gdyby nie był tobą zainteresowany, nie zapychałby ci skrzynki SMS-ami. Moim zdaniem martwi się o ciebie.

– Poza tym wybaczone, kochanie, ale możliwe, że twoje zaloty nie były dla niego tak oczywiste, jak ci się wydaje. Widziałam cię w akcji, kiepska z ciebie flirciara. Czasem aż przykro patrzeć – Ashley aż się skrzywiła.

– Nie rozumiem tylko jego reakcji na tamtego gościa w parku – odezwała się cichutko Kat. – Wydaje się zdecydowanie przesadzona. Janie, czy tam chodziło o coś więcej? Czy ten facet ci groził?

Pokręciłam głową.

– Nie. Po prostu na niego wpadłam. Był przerażający, fakt, ale nie zrobił nic poza tym, że chwycił mnie za ramiona.

– Ale czy Pan Ciacho nie powiedział ci przypadkiem, że go zna? – Sandra dźgnęła mnie marchewką, po czym zanurzyła ją w dressingu z sera pleśniowego i wgryzła się w nią z głośnym chrupnięciem.

– Nie do końca. Brzmiało to dość niejasno. Powiedział, że wydał mu się znajomy. Sama nie wiem. – Mocno przycisnęłam dłonie do oczodołów, a moja głowa opadła ciężko na wysokie krzesło za moimi plecami. – Wiecie, prawda jest taka, że pierwszy raz rozmawialiśmy ze sobą cztery tygodnie temu. Tak naprawdę w ogóle go nie znam. Może nie mam racji, może rzeczywiście zestresował go incydent z tamtym gościem w parku. A może mam rację i mu się nie podobam. A może Quinn jest po prostu kosmitą, który ukończył właśnie swoje badania dotyczące rodzaju ludzkiego i nie jestem mu już potrzebna jako egzemplarz okazowy.

Marie pokręciła głową.

– Cztery tygodnie to wystarczająco długo. Niejeden zakochał się po uszy w jeszcze krótszym czasie.

– Czy on naprawdę przydzielił ci ochronę? – Ashley skierowała pytanie do mnie, ale patrzyła w stronę Elizabeth.

– Tak, naprawdę – przyznałam z niezadowoleniem. Po raz pierwszy zobaczyłam ich w poniedziałek rano, w drodze do pracy. Podeszli do mnie, kiedy wychodziłam z naszego budynku, obydwaj ubrani zwyczajnie, w T-shirty i dżinsy. Powiedzieli, że

pracują dla Infinite Systems. Okazało się, że pan Sullivan zlecił dwóm ekipom pilnowanie mnie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obiecali, że będą dla mnie niewidzialni. Mieli rację – przez te dwa dni zdążyłam już o nich kompletnie zapomnieć.

– Siedzą teraz pewnie pod domem. Może powinniśmy znieść im na dół kawę, czy coś takiego. – Elizabeth podniosła wzrok znad komórki i oddała mi ją. – Ten o przyjaźni i sikaniu jest śmieszny. Chyba stanie się moim mottem.

Przyjęłam znienawidzony telefon z rąk Elizabeth i wpatrywałam się w ostatnie dwie wiadomości. Quinn, zgodnie z obietnicą, codziennie wysyłał mi dowcipy, przez co byłam jeszcze bardziej zdezorientowana.

Marie wróciła do swojej robótki na drutach.

– Czas pokaże. Poczekamy, zobaczymy. Może coś się wyjaśni, jak zadzwoni w czwartek. Zobaczymy, co będzie miał ci do powiedzenia.

Wstałam i przeciągnęłam się.

– Masz rację! Koniec z rozmyślaniami na ten temat. Koniec, koniec, koniec! – oznajmiłam. Zatoczyłam ręką kółko w powietrzu, trzykrotnie pstryknęłam palcami i ruszyłam do łazienki z nadzieją, że podczas mojej nieobecności ktoś zmieni temat rozmowy.

Nie posiedziałam tam długo, ledwo zdążyłam umyć ręce, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi.

– Już chwilę, zaraz skończę – zawołałam nieprzytomnie.

– Janie, to ja, Kat. Mogę wejść?

– Tak, już, zaraz zwolnię ci łazienkę.

– Nie... – Kat zniżyła głos do szeptu. Słysząc było, że mówi teraz, przykładając usta do szpary w drzwiach. – Chciałabym do ciebie dołączyć. Muszę ci coś powiedzieć.

Otworzyłam jej drzwi, a potem zaczęłam się rozglądać za ręcznikiem.

– O co chodzi? Wszystko w porządku?

– Ja... dowiedziałam się czegoś... – W głosie Kat słysząc było wahanie. Ciche stuknięcie zamykanych drzwi zaskoczyło mnie, więc odwróciłam się w jej stronę, wycierając wilgoć z rąk wyjątkowo puszystym i chłonnym ręcznikiem. Odnotowałam w myślach, żeby zapytać Sandrę, gdzie go kupiła.

Kiedy Kat nie podjęła wątku, uniosłam brwi.

– Czego? – ponagliłam.

Wyglądała śmiertelnie poważnie, jak mój tata tego dnia, kiedy powiedział mi, że Święty Mikołaj nie istnieje. Miałam wtedy piętnaście lat.

– Chodzi o twoją pracę. – Znowu się zawahała. Założyła włosy za uszy, próbując pozbierać myśli. – Dowiedziałam się, dlaczego cię zwolniono.

– Ach, tak. – Ścisnęłam ręcznik. Był przyjemnie gąbczasty. Zapomniałam już, że Kat zaproponowała, że spróbuje ustalić, dlaczego mnie zwolniono. W mojej obecnej sytuacji niewiele mnie to już obchodziło.

– Janie...

Wypowiedziała moje imię w taki sposób, że spodziewałam się, iż doda zaraz: „Gdzie byłeś w noc morderstwa?” albo: „Lepiej, żebyś usiadła, zanim ci to powiem”. Mocniej ścisnęłam ręcznik.



– To pan Holesome.

Zamrugałam. Zapadła między nami cisza. Kat nie przestawała obserwować mnie uważnie szeroko otwartymi oczami.

– Pan Holesome? – powtórzyłam, kompletnie zbита z tropu. – Masz na myśli tatę Jona? Tatę mojego Jona? Tego pana Holesome’a?

Kat przytaknęła i oparła się o zamknięte drzwi, wzdychając ciężko.

– Ale ja... – Znowu zamrugałam i usiadłam na zamkniętym sedesie. – Ja nic nie rozumiem. Dlaczego ojciec Jona miałby chcieć, żebym straciła pracę?

Wyglądała bardzo nieszczęśliwie.

– Nie wiem dlaczego, ale mogę ci powiedzieć, że wiem na sto procent, że to właśnie on był odpowiedzialny za twoje zwolnienie. Groził, że wycofa się z projektu South Side, jeśli cię nie zwolnią, i jeszcze nalegał, że musi to być dokładnie *tego* dnia.

*Tego* dnia.

*Tego* dnia, w którym dowiedziałam się, że Jon mnie zdradził. *Tego* dnia, kiedy zerwałam z nim, zanim poszłam do pracy.

Kat musiała chyba zauważyć, że skrzypiące trybiki w mojej głowie obracają się powoli, bo odezwała się:

– Myślisz, że to Jon go o to poprosił?

Potrząsnęłam głową.

– Nie wiem. Nie potrafię... – urwałam w pół zdania. Zastanowiłam się nad tym, co Kat wypowiedziała na głos, a o czym ja tylko pomyślałam.

Nie wydawało się to zbyt prawdopodobne, ale z przykrością musiałam przyznać, że nie było zupełnie niemożliwe. Jon niejednokrotnie powtarzał, zarówno kiedy jeszcze byliśmy razem, jak i już po naszym zerwaniu, że chciałby, żebym na nim polegała, że chciał się mną opiekować, że go potrzebowałam. Ja wcale tak nie uważałam. Zastanawiałam się, dlaczego on tak czuł. Może dlatego, że uważał, że to prawda.

A może dlatego, że jego ojciec był w stanie za pomocą jednego telefonu doprowadzić do zwolnienia mnie.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała Kat, nerwowo splatając dłonie, zestresowana i niespokojna w moim imieniu.

– Nie wiem. – Potrząsnęłam głową. – Po prostu nie wiem.

Nie wydawało się prawdopodobne, żeby Jon, pod wpływem impulsu, postanowił wykonać telefon, który kosztował mnie moją pracę. Pracę, w której, pamiętajmy, byłam dobra, ale za którą nie tęskniłam. Zupełnie nie wiedziałam, co zrobić z tą informacją. Jakaś część mnie nie była pewna, czy ma ona jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Jon nie mógł mi już nic zrobić. Nie byliśmy już razem. On i jego ojciec nie mieli żadnego wpływu na mojego obecnego pracodawcę. Kiedy to sobie uświadomiłam, poczułam ogromną ulgę. W swojej nowej pracy miałam poczucie bezpieczeństwa. Czułam się pewnie i bezpiecznie.

Może więc Jon wyświadczył mi przysługę?

W czwartek poczułam pierwsze ukłucie niepewności związane z moją nową pracą, a mówiąc „ukłucie niepewności”, mam na myśli „piorunujący strach”.

Quinna nie było od niedzieli, ale nadal codziennie wysyłał mi SMS-owe dowcipy. Odczytywałam je wszystkie, śmiałam się z nich, ale nie odpowiadałam, bo czułam się głupio z powodu mojego zachowania. Kiedy tamtej nocy odwiózł mnie do domu, dopadła mnie emocjonalna huśtawka, która przyprawiała mnie o nudności.

Po co wciąż do mnie pisał, skoro mnie unikał?

Na dodatek w środę napisał mi jeszcze jedną wiadomość – przypomnienie o naszej zaplanowanej na czwartek rozmowie telefonicznej. Obiecałam sobie, że porozmawiam z nim przez tę cholerną komórkę i nie dam się wsadzić na emocjonalną huśtawkę, kolejkę górską ani żadne inne urządzenie.

Jednak zarówno niedzielny incydent, jak i następne spędzone oddzielnie dni skłoniły mnie do pewnej refleksji: tak naprawdę nie wiedziałam o Quinnie zbyt wiele. Nie wiedziałam nawet, czym się dokładnie zajmuje, a przecież z nim pracowałam. Nie rozumiałam dokładnie, jaką rolę pełni w firmie, ani jakie zajmuje stanowisko. W biurze nikt o nim zbyt nie wspominał, a jeśli już się tak zdarzyło, zawsze mówiono o nim per „pan Sullivan”.

Dlatego zebrałam się w sobie i o Quinna postanowiłam zapytać Stevena.

Jedliśmy razem lunch w biurowym pomieszczeniu socjalnym, które było właściwie długim korytarzem ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian budynku, z widokiem na miasto. Omawialiśmy właśnie czekającą mnie niebawem moją pierwszą podróż służbową i spotkanie z klientem.

Steven i ja mieliśmy lecieć do Las Vegas w następny poniedziałek. Wyjaśnił mi, że to ten sam klient, który jest właścicielem klubu Outrageous (na dźwięk tej nazwy od razu pomyślałam o Quinnie) i chciał skorzystać z usług Guard Security przy obsłudze swojego innego klubu w Las Vegas. Chciał również omówić kwestię osobistej ochrony oferowanej przez Infinite Systems.

– Czy Cypher Systems ma swoje biuro w Las Vegas? – spytałam, zanurzając kawałek kurczaka z mojej sałatki w kubeczku z kwaśną śmietaną.

Steven pokręcił głową w połowie kęsa.

– A w Nowym Jorku? Mamy biura gdziekolwiek poza Chicago?

Steven właśnie skończył maczać swój kawałek sushi z tuńczykiem w sosie sojowym i zanim włożył go sobie do ust, wyjaśnił:

– Ptysiu... mogę cię nazywać Ptysiem? Nie, nie mamy innego biura. Tylko nasze wariatkowo.

– Nie nazywaj mnie Ptysiem. A co z Quinnem Sullivanem? Gdzie jest jego biuro? – starałam się, żeby zabrzmiało to możliwie obojętnie. Obserwowałam Stevena znad porcji sałatki na widelcu, próbując powstrzymać rumieniec wypływający na moje policzki. Miałam wielką nadzieję, że tego nie zauważył.

Pokręcił głową.

– Pan Sullivan ma swoje biuro w tym budynku, ale jak już pewnie zauważyłaś, nie

korzysta z niego zbyt często w godzinach pracy. Wydaje mi się, że woli działać w terenie.

– Dlaczego wszyscy mówią o nim per „pan Sullivan”?

Steven umieścił solidną porcję imbiru na swoim sushi i spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

– A jak mielibyśmy go nazywać? Sully? Mistrzunio?

– Nie, chodzi mi o to, że pan Davies jest „Carlosem”, i wszyscy pozostali też używają swoich imion. Dlaczego w takim razie nie zwracamy się do pana Sullivana per „Quinn”?

Steven wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Pracuję tutaj od trzech lat. Jest „panem Sullivanem”, odkąd pamiętam. – Steven zaczął dogłębniej analizować moje pytanie, przeżuwając kolejny kawałek sushi. Potem dodał z pełnymi ustami: – Widuję go tylko na spotkaniach z klientami. Zwracanie się do niego per „pan Sullivan” jest wtedy uzasadnione. Może w ten sposób chce mieć pewność, że będzie traktowany poważnie. – Steven znowu wzruszył ramionami i przełknął jedzenie. – Właściwie to jest ważny. Dziwaczny, ale ważny.

– Dlaczego „dziwny”?

– Spędziłaś z nim przecież zeszły piątek, prawda? Wtedy, kiedy musiałaś pracować do późna? Totalnie w jego stylu. Nalegał, że to właśnie on ma cię zabrać w teren na szkolenie – Steven uniósł ręce w górę, wstawiając dwa ostatnie słowa w wirtualny cudzysłów. – Mówiłem Carlosowi, że pewnie po prostu chciał się na kogoś pogapić. Jestem pod wrażeniem, że tak bezproblemowo to wszystko zniosłaś.

Zmarszczyłam nos.

– O czym ty mówisz? On wcale się na mnie nie gapi.

Steven rzucił mi pełne współczucia spojrzenie.

– Och, Janie, jesteś zdecydowanie zbyt miła.

Odłożyłam widelec i z niedowierzaniem wpatrywałam się w Stevena.

– O czym ty w ogóle mówisz? Bardzo dużo się od niego nauczyłam. Uważam, że bardzo pożytecznie spędziłam ten dzień. – Czułam, że powinnam stanąć w obronie Quinna. Nie chciałam, żeby Steven pomyślał, że Quinn był dla mnie niesympatyczny albo kiepsko mnie szkolił. Nie chciałam, żeby Quinn miał przeze mnie kłopoty.

– Co ty powiesz, naprawdę? – Steven uniósł brwi.

– Tak, naprawdę.

Steven zacisnął wargi w linijkę i posłał mi wybitnie niedowierzające spojrzenie.

– Kiedyś spędziłem z nim sam na sam dwadzieścia minut, w samochodzie z lotniska na jedno ze spotkań. Przez cały ten czas wypowiedział może trzy słowa, a jego wyraz twarzy nie zmienił się ani razu. A nie, przepraszam, nie mam racji. – Uniósł ręce do góry, jakby chciał powstrzymać mnie przed wtrąceniem się. – Zmienił się raz. Najpierw miał stoicki wyraz twarzy, ale potem, pod koniec, był już apatyczny. A to wszystko mimo oczywistego faktu, że próbowałem zabawiać go fascynującą konwersacją.

– Stoicki i apatyczny to synonimy – powiedziałam, z trudem powstrzymując śmiech. Wyobraziłam sobie ich wspólną dwudziestominutową podróż: Quinn wpatrujący

się w Stevena, który w tym czasie snuje opowieści o swoich imprezowych podbojach i najnowszych zdobyczach wewnątrzarskich.

– Oczywiście, jest śliczny, to muszę ci przyznać, ale chyba przyznasz, że jest z nim coś nie tak. – Steven rozejrzał się na wszystkie strony z teatralną przesadą, po czym wysyczał scenicznym szeptem: – Wiedziałaś, że czasem dołącza do ochroniarzy w lobby na dole i udaje jednego z nich?

Ściągnęłam usta, rozważając przez chwilę, czy przyznać się Stevenowi do tego, że sama pierwszy raz poznałam Quinna, kiedy odprowadzał mnie do wyjścia po tym, jak zwolniono mnie z poprzedniej pracy. Zamiast tego powiedziałam tylko:

– No, a nie jest tak? Nie jest jednym z nich?

Steven przyglądał mi się przez chwilę.

– W pewnym sensie może i owszem, jest – odpowiedział bardzo szorstkim tonem. – Ale tak naprawdę, trzymając się faktów, nie, zdecydowanie nie jest.

– Hmm... – Ponownie sięgnęłam po widelec i w zamyśleniu grzebałam nim w sałatce. – A dlaczego widzisz go tylko podczas spotkań z klientami?

– Właściwie to on nie chodzi na wszystkie spotkania z klientami. Tylko w sytuacji, kiedy pojawia się jakiś problem albo kiedy trzeba sprawdzić nowego klienta. Zazwyczaj wysyła na spotkania Carlosa.

Mój widelec zastygł w połowie drogi między plastikowym pojemnikiem z sałatką a moimi ustami.

– Zaraz... – Niemal słyszałam klekotanie i zgrzytanie trybików w mojej głowie. – Jak to „wysyła Carlosa”? Czy to nie szef powinien decydować o tym, kto chodzi na spotkania?

Steven zamrugał trzykrotnie, a jego brwi uniosły się tak wysoko, że wyglądały teraz jak małe parasolki ponad jego szarymi oczami.

– Co ty za bzdury wygadujesz? Przecież to pan Sullivan jest szefem.

Czas się zatrzymał.

Wszystko zdawało się trwać w zawieszeniu, podczas gdy mój umysł usilnie próbował zaakceptować rzeczywistość. Był to jeden z tych momentów, które wspomina się w późniejszym życiu, myślisz wtedy – jak to możliwe, że twój umysł był w stanie wyprodukować tak wiele myśli w tak krótkim czasie. I że w twoim sercu przez ten mały odcinek czasu, jakim jest sekunda, wezbrało naraz tyle najróżniejszych uczuć. Czas musiał się zatrzymać – to było jedyne wytłumaczenie.

*Quinn jest moim szefem.*

Zaczęłam wracać myślami do wszystkich chwil, które spędziliśmy razem w poszukiwaniu wskazówek. I znalazłam kilka. Było ich nawet więcej niż kilka. Miałam ochotę schować twarz w dłoniach i rozplakać się, ale powstrzymałam się i tylko mocno przygryzłam dolną wargę.

*Jak mogłam przeoczyć coś tak oczywistego?*

Przypominałam sobie słowa Quinna: „Zupełnie nie dostrzegasz pewnych oczywistości”.

Tak naprawdę był kimś więcej niż moim szefem. Był szefem szefów. Właścicielem całej firmy. Właścicielem naprawdę imponującej, świetnie prosperującej firmy.

Wszystkie baloniki wypełnione nadzieją, które wciąż jeszcze unosiły się pod sufitem w alternatywnej rzeczywistości, jakim był karnawał moich fantazji, teraz w mgnieniu oka sflaczały, a właściwie zostały bezceremonialnie przekłute. Facet, o którym fantazjowałam bezustannie przez ostatnie dwa miesiące i z którym wydawało mi się, że jakoś tam, w pewnym sensie, tak jakby się spotykam, był spoza mojej ligi nie tylko w kwestii fizycznej atrakcyjności. Był dla mnie niedostępny w każdy możliwy sposób.

Ja byłam w lidze dziwnogłowych neandertalczyków, a on w lidze obłudnie przystojnych ninja milionerów.

Jako koledzy z pracy byliśmy z Quinnem mniej więcej na równej stopie. Nawet jeśli na dłuższą metę nie narodziłoby się między nami romantyczne uczucie, wydawało mi się, że przynajmniej zaczęliśmy budować przyjacielską relację. Taką miałam nadzieję, bo abstrahując od wszystkiego, naprawdę go lubiłam. Myślałam o nim z alarmująco wysoką częstotliwością. Był interesujący, dobrze mi się z nim rozmawiało i po prostu *chciałam* mieć z nim trwałą relację.

A w każdym razie tak mi się do tej pory wydawało. Myśląc o wszystkim, co się między nami wydarzyło – miniony weekend, tak zwane szkolenia, SMS-owe żarty, długie rozmowy – czułam się coraz bardziej komfortowo i przyjemnie. Wydawało mi się, że wspólnie spędzony czas miał nas doprowadzić do czegoś trwałego, czegoś, co łączy dwójkę ludzi, których relacja wykracza poza pracę.

Byłam ślepa. Byłam totalnie ślepa. I głupia. Myliłam się. Wcale nie stawaliśmy się przyjaciółmi. Zwykli śmiertelnicy nie zawierają długotrwałych przyjaźni z przystojnymi milionerami.

Co Quinn powiedział do mnie tamtej nocy po koncercie? Że nie randkuje.

Prędzej czy później straci mną zainteresowanie, a wtedy w najlepszym wypadku będę widywać go sporadycznie na spotkaniach z klientami, gdzie on będzie panem Sullivanem, a ja Janie Morris, jego pracownicą. Etykietyki „szefa” i „pracownicy” definiowały naszą relację tak jak pola minowe wokół Guantanamo na Kubie definiują ją jako amerykańską bazę wojskową.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie chodzi na spacer po polu minowym.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjaźni się ze swoim szefem.

A już z pewnością nie pozwala sobie na łóżkowe fantazje z szefem w roli głównej albo nieodwzajemnione długotrwałe zauroczenie. Pożądanie własnego szefa to jak zadurzenie się w nauczycielu angielskiego w liceum – jest równie żałosne.

Moje zaskoczenie musiało być widoczne, bo na twarzy Stevena pojawiło się teraz zrozumienie.

– Och... ojej. Nie wiedziałaś. Nie wiedziałaś, że pan Sullivan jest szefem?

Z trudem przełknęłam ślinę. Nagle strasznie zaschło mi w gardle.

– Nie wiedziałam – odpowiedziałam bezbarwnym głosem.

– Jak mogłaś tego nie wiedzieć? – Tym razem to w jego głosie słychać było niedowierzanie. – Przecież to on cię zwerbował. Spędziłaś z nim cały piątek. Jestem też pewien, że to nie pierwszy raz, kiedy o nim rozmawiamy. Myślałaś, że kogo mam na myśli, kiedy mówiłem o „szefie”?

Nie słuchałam więcej biadolenia Stevena. Czułam się, jakbym była w matriksie

i przez przypadek wzięła czerwoną pigułkę. Moje wzburzone myśli kręciły się w kółko jak bęben pralki w trybie wirowania. Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu i większość czasu udawało mi się unikać kontaktu wzrokowego ze Stevenem.

W końcu Steven zatrzymał moją wewnętrzną lawinę rozpaczy.

– Myślałam, że wiedziałas o tym, kiedy cię zatrudniał.

Spojrzałam mu w oczy ze smutkiem.

– Powiedział... powiedział, że może załatwić mi rozmowę, ale że sama będę musiała postarać się o tę pracę – wyjaśniłam, z trudem zachowując spokojny ton.

Quinn był bogaty. I to nie tak zwyczajnie bogaty. Był cholernie nadzianym sku... skurkowańcem. A ja po raz kolejny pozwoliłam, żeby kto inny sterował mną po oceanie przeznaczenia. Po raz kolejny stałam się przypadkowym przechodniem w mojej iluzji sukcesu.

Steven zdawał się czytać mi w myślach.

– Ależ naprawdę sama zdobyłaś tę pracę – zapewnił mnie natychmiast, jednak moja mina wyrażała chyba powątpiewanie i smutek, bo Steven odłożył swoje pałeczki i przez stół wyciągnął w moją stronę ręce, patrząc na mnie łagodnie. – Nie, naprawdę, posłuchaj mnie, Janie. Przyznaję, pan Sullivan nigdy wcześniej nie rekomendował nikogo na rozmowę kwalifikacyjną. Zazwyczaj po prostu przyjmował ludzi do pracy, a oni zaczynali od zaraz i już. I wiesz co ci powiem, nigdy się jeszcze nie pomylił co do swoich pracowników. Spójrz tylko na mnie – uśmiechnął się krzywo.

Spróbowałam odpowiedzieć mu tym samym, ale nie mogłam się otrząsnąć. Byłam jednocześnie zdruzgotana i wściekła na siebie. Dopiero niedawno odkryłam, że albo Jon, albo jego ojciec załatwili mi rozmowę, a pewnie i samą pracę w mojej poprzedniej firmie, i proszę, jak się to skończyło. Uwierała mnie myśl, że jedyny powód, dla którego zostałam zatrudniona w Cypher Systems, był taki, że Quinn Sullivan uznał pod wpływem impulsu, że ma ochotę mnie pocałować oraz że dobrze sobie radzę z cyferkami.

– Misiu patysiu... mogę cię nazywać „misiem patysiem”? – spytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Posłuchaj mnie. Wiedziałem, że się sprawdzisz, skoro pan Sullivan chciał cię zatrudnić. Ale jeśli poprawi ci to humor, wtedy, pierwszego dnia pokazałem ci swojego iPada z błędnymi formułami w ramach testu, który, jak oboje wiemy, zdałaś śpiewająco.

Westchnęłam. Nagle nie miałam już ochoty na sałatkę. Właściwie miałam wrażenie, że nigdy niczego nie będę już w stanie przełknąć.

– Dzięki.

Przyglądał mi się spojrzeniem, które uznałam za badawcze.

– To jego firma. Jego ukochane dziecko. Naprawdę myślisz, że zatrudniłby w niej kogoś, kto nie jest absolutnie fantastyczny? Ponownie prezentuję ci jako przykład twojego kolegę po drugiej stronie stołu.

Zmusiłam się do półuśmiechu i przewróciłam oczami.

– Nie, nie możesz nazywać mnie „misiem patysiem”.

Problem tkwił w tym, że nie mogłam szczerze powiedzieć Stevenowi, co tak naprawdę mnie trapiło. Klarowność sytuacji, w której się znajdowałam, uwierała mnie. Czułam klucie w sercu i zdałam sobie sprawę, że moje wspomniane wcześniej fruujące

baloniki, wypełnione nadzieją, aż do tej pory rzeczywiście unosiły się pod sufitem w alternatywnej rzeczywistości, jakim był karnawał moich fantazji, mimo usilnych starań, żeby twardo stąpać po ziemi.

Nagle myśl o ponownym spotkaniu z Quinnem napełniła mnie przerażeniem. Moje serce zamarło, kiedy przypomniałam sobie o nadchodzącej podróży do Las Vegas.

– Czy... yyy... – zaczęłam, odchrząknęłam i nerwowo wytarłam palce w serwetkę. – Czy pan Sullivan będzie brał udział w spotkaniu w Las Vegas?

Steven, który znowu zajął się jedzeniem swojego sushi, pokiwał głową.

– Tak, tak jak mówiłem ci już wcześniej, szef zawsze sprawdza nowych prywatnych klientów. Leci z nami i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Och – wykrztusiłam tylko. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Szykując się na spotkanie w Las Vegas, przygotowywałam różne propozycje dla tajemniczego szefa, nie mając jeszcze pojęcia, że jest nim Quinn. Co gorsza, uświadomiłam sobie, że powiedziałam Quinnowi o jednym ze swoich pomysłów, kiedy poprzedniego tygodnia natknął się na mnie podczas lunchu w Smith's. Zrobiło mi się niedobrze.

– Wszyscy lecimy tym samym lotem? – wychrypiałam.

– Lecimy firmowym samolotem – wyjaśnił Steven tak nonszalanckim tonem, jakby właśnie oznajmiał mi, że w środy obcina paznokcie u nóg.

– Mamy firmowy samolot? – wykrztusiłam.

– Tak.

Na myśl o spędzeniu z Quinnem czterech godzin w zamkniętej przestrzeni serce zaczęło walić mi jak oszałałe.

– I wszyscy będziemy lecieć razem... razem z nim?

– Tak.

Wgapiałam się w blat stołu, jakby z nadzieją, że wyczytam w nim jakieś odpowiedzi.

– A co, jeśli chciałabym polecieć zwykłym samolotem? – spytałam, próbując zakamuflować panikę w moim głosie.

Steven pytająco uniósł brew.

– A dlaczego miałabyś tego chcieć?

Prychnęłam. Nie chciałam powiedzieć mu prawdy, ale jednocześnie uświadamiałam sobie, jak dziwnie musiało to zabrzmieć. Przyszło mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie.

– Mam uzbierane mile do wykorzystania.

Cienkie wargi Stevena wygięły się w szerokim uśmiechu, a potem nagle wybuchł tak opętańczym śmiechem, że w kącikach jego oczu zebrały się łzy. Czułam, jak robię się najpierw czerwona, a po chwili szkarłatna ze wstydu. Jednak jego śmiech szybko okazał się zaraźliwy. Zdołałam wydusić z siebie kpiący, wymuszony chichot.

– Och, Janie, jesteś słodka. – Chyba miałam odebrać to jako komplement, ale usłyszałam tylko „jesteś zrobiona z cukru”. – Uwierz mi, nie pożałujesz utraty swoich cennych mil. To całkiem bezstresowy sposób podróżowania. Poza tym w trakcie lotu będziemy raportować do szefa i wspólnie ustalać strategię działania, więc od strony organizacyjnej taka wspólna podróż również się sprawdza. Szef nie jest taki zły, o ile

tylko będziemy trzymać się tematów ściśle służbowych.

Nie miałam poczucia, że będzie to bezstresowa podróż. Już teraz na samą myśl byłam dość zestresowana.

– A kto jeszcze będzie w samolocie?

Steven otarł ostatnie łzy rozbawienia i posłał mi szeroki uśmiech.

– No, ty i ja, Carlos, Olivia, no i szef, czyli, wiesz, Quinn Sullivan.

Gapiałam się na niego przez dłuższą chwilę.

– Tak. Dzięki. Już załapałam.

Wyszczrzył zęby w rozbajającym uśmiechu.

– Chciałem się tylko upewnić.

Nagle potwornie rozboleła mnie głowa.

\*\*\*

Tego wieczora odwołałam swoje lekcje na South Side i zadzwoniłam do Jona.

Nie odezwałam się do niego w poprzednią niedzielę, mimo że obiecałam. Początkowo było to zwykle przeoczenie, ale po wtorkowej łazienkowej rozmowie z Kat celowo unikałam z nim kontaktu. Nie wiedziałam, co miałabym mu powiedzieć. Nie byłam pewna, czy to przez niego straciłam pracę, a nie chciałam, żeby okazało się to prawdą.

Jednak z jakiegoś powodu obecnie naprawdę chciałam się z nim zobaczyć. Elizabeth ani słowem nie skomentowała mojej nagłej decyzji, ale zanim wyszłam z mieszkania, bombardowała mnie spojrzeniami pełnymi dezaprobaty, a kiedy zakładałam buty, rzuciła:

– Czy przypadkiem Quinn nie miał dzwonić do ciebie dziś wieczorem z Nowego Jorku?

Poczułam nagle szarpnięcie w piersi. Jej słowa trafiły niechcący w czuły punkt: tęskniłam za Quinnem i chciałam z nim porozmawiać. Brakowało mi naszych rozmów, naszych spotkań, jego dotyku. Pomimo mojej konsternacji po niedzielnych wydarzeniach, przez cały tydzień czekałam na jego telefon. Przełknęłam gulę w gardle i wysunęłam dolną szczękę.

Nie planowałam na razie wyjawiać Elizabeth, że Quinn jest szefem mojego szefa. Musiałam to najpierw przetrwać, zdecydować, co to tak właściwie oznacza. W tym momencie, w moim aktualnym stanie ducha, oznaczało to, że między mną a Quinnem już wszystko skończone.

W odpowiedzi na jej pasywno-agresywne dociekania wzruszyłam tylko ramionami i zaczęłam zbierać się do wyjścia.

– Nie bierzesz tego ze sobą? – Wskazała wysuniętym podbródkiem telefon. Pokręciłam głową.

– Nie – odpowiedziałam, wkładając płaszcz.

Elizabeth skrzyżowała ramiona na piersi. Czułam na plecach ciężar jej spojrzenia.

– Cóż, jeśli zadzwoni, nie omieszkam mu powiedzieć, że wyszłaś spotkać się ze swoim *przyjacielem*.

Przystanąłam w drzwiach, wzięłam głęboki oddech.

– Nie czekaj na mnie – rzuciłam przez ramię, zamykając ze sobą drzwi.



Wydawało mi się, że usłyszałam za drzwiami wściekłe warknięcie, ale może tak tylko mi się wydawało.

Kiedy wyszłam z budynku i ruszyłam w stronę stacji, byłam w pełni świadoma obecności idących za mną dwóch ochroniarzy. Zaczęłam się zastanawiać, czy są w stałym kontakcie z Quinnem. Zastanawiałam się, czy przekażą mu potem, dokąd poszłam i z kim się spotkałam. Na samą myśl dostałam lekkiej zgagi. Nie podobało mi się poczucie uwiązania. Komórka, którą miałam przecież zaledwie tydzień, ciążyła mi jak kamień u szyi. Ochroniarze też zaczęli działać mi na nerwy.

Wzdrygnęłam się, jakby chcąc strząsnąć z siebie narastającą irytację i ze zdwojoną siłą starałam się skoncentrować na czekającym mnie zadaniu. Przyspieszyłam kroku.

Spotkaliśmy się w jednej z knajpek, które kiedyś odwiedzaliśmy z Jonem regularnie. Była to włoska restauracja na North Side z wysokimi, skórzanymi boksami w kolorze burgunda, delikatnym oświetleniem i doskonałym smażonym serem. Nie odwzajemniłam uścisku Jona, kiedy się ze mną witał, stałam tylko z rękami bezwładnie opuszczonymi wzdłuż ciała. Nie czułam choćby cienia nostalgii, kiedy otulił mnie intensywny pomidorowo-winno-mięsny aromat. Pozwoliłam jednak zaprowadzić się do naszego stolika. Zamówiliśmy napoje. Ja poprosiłam tylko o wodę, ale Jon zamówił butelkę drogiego wina Sangiovese i dwa kieliszki.

Kiedy tylko kelner odszedł od naszego stolika, natychmiast wypaliłam:

– Dlaczego mnie zdradziłeś?

Nie planowałam zadać tego pytania. Tak naprawdę nawet nie interesowała mnie odpowiedź. Po prostu robiłam podchody przed głównym atakiem: chciałam skonfrontować go z oskarżeniami Kat, dotyczącymi udziału jego ojca w moim zwolnieniu z pracy. Poza tym, z jakiegoś powodu, miałam ochotę zrobić aferę. Miałam ochotę na kogoś nawrzeszczyć.

– Janie... – westchnął Jon. Jego głowa opadła ciężko, a ramiona zgarbiły. – To był błąd. To był największy błąd mojego życia.

– Jon, chcę wiedzieć.

– To wszystko zabrzmiało idiotycznie. Musisz... – Zrobił gest, jakby chciał mnie złapać za rękę, ale w ostatniej chwili się zreflektował. – Powiem ci, ale musisz mi obiecać, że zostaniesz... że jak skończę, zostaniesz i porozmawiasz ze mną. Że nie wstaniesz i nie wyjdiesz.

– Przecież to ja cię o to zapytałam, prawda? Chcę wiedzieć. Chcę o tym porozmawiać. – Oko drgnęło mi na to kłamstwo. Tak naprawdę chciałam tylko nawymyślać mu od kłamców i manipulatorów.

– Ale może nie będziesz chciała zostać po tym, jak powiem ci, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem. Musisz po prostu obiecać mi, że nie wyrzucisz mnie ze swojego życia po tym, co usłyszysz. Nie byłbym w stanie tego znieść.

Zacisnęłam usta.

– Dobrze, obiecuję – burknęłam wreszcie. – Obiecuję, że zostanę, żeby porozmawiać. Może poczujesz się lepiej, jeśli ustalimy sobie jakiś przedział czasowy? W stylu: obiecuję, że zostanę i będę z tobą rozmawiać co najmniej przez godzinę po tym, jak powiesz mi prawdę?

– Szczerze mówiąc tak, rzeczywiście poczuję się lepiej. – W jego głosie słyhać było ulgę i lekką desperację.

Zamrugalam z niedowierzaniem, ale spełniłam jego prośbę.

– Obiecuję, że zostanę i będę z tobą rozmawiać przez godzinę po tym, jak powiesz mi prawdę.

Westchnął ponownie, kiwając głową. Wyglądał, jakby mu było niedobrze. Przełknął ślinę. Wbił wzrok w jeden punkt na blacie stolika i zaczął mówić tak cicho, że musiałam się nachylić, żeby cokolwiek usłyszeć.

– Musisz wiedzieć, że pokochałem cię od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłem. Po prostu wiedziałem, że jesteś dziewczyną dla mnie. Pamiętasz? – Uśmiechnął się smutno, ze wzrokiem wciąż wbitym w stół. – Kłóciłaś się z naszym wykładowcą już pierwszego dnia o użycie równań liniowych w celu przybliżenia równań nieliniowych. Byłaś taka wściekła.

– Nie byłam wściekła.

Zerknął na mnie. W jego zielonym spojrzeniu, wciąż nieco smutnym, dostrzegłam iskierki rozbawienia.

– Nie każde równanie da się rozwiązać. Jeśli nie będziemy używać równań liniowych, pozostanie nam tylko chaos.

Uśmiechnęłam się na te słowa i pokręciłam głową.

– Nie, nie będziemy o tym teraz rozmawiać. Poza tym, ja się nie wściekam. Byłam poirytowana.

Cień rozbawienia natychmiast zniknął z jego twarzy.

– Ale to ma znaczenie dla tego, co zaraz powiem. Fakt, że nigdy się nie wściekasz. To prawda. Przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy razem, nigdy nie widziałem u ciebie nic więcej poza minimalnym odchyleniem od normy. Nigdy się niczym nie ekscytujesz. Nigdy nie jesteś zażenowana. Nawet kiedy wypijałaś za dużo wtedy w Hamptons, byłaś taka spokojna. Gdybyś nie zwymiotowała, nie zorientowalibyśmy się nawet, że jesteś pijana.

– Nadal nie widzę związku.

Jon chrząknął i znowu wbił wzrok w stół.

– Zrobiłem to, żeby się do ciebie zbliżyć.

Odczekałam chwilę, aż zacznie mówić dalej. Kiedy to nie nastąpiło, nachyliłam się bliżej i kładąc ręce na stole, ponagliłam go:

– Co masz na myśli? Co to znaczy, że zrobiłeś to, żeby się do mnie zbliżyć?

Wziął głęboki oddech. Nasze spojrzenia się spotkały. Jego oliwkowe oczy przepelnione były smutkiem i żalem, ale też patrzyły odrobinę oskarżycielsko.

– Zrobiłem to, żeby być bliżej ciebie. Czasami jesteś taka... – Jego dłoń leżąca na stole zacisnęła się nagle w pięść. – Jesteś taka zdystansowana, niemal apatyczna w stosunku do mnie. Do nas. Jakby w ogóle nie obchodziło cię, czy jestem, czy mnie nie ma. Wiesz, jak się przez to czuję. Tak bardzo cię kocham. Pragnę cię. Spalam się dla ciebie. – Chwycił moją dłoń przez stół z gwałtownością, która mnie zaskoczyła. – Chciałem po prostu, żebyś poczuła coś do mnie, choćby jedną dziesiątą tego, co ja czuję do ciebie. Nie mogę przestać o tobie myśleć i po prostu... cholera, Janie...

Po raz pierwszy od nie wiem kiedy, a może w ogóle po raz pierwszy, Jon sprawił,

że moje serce zabiło szybciej. Emocje w jego głosie były tak surowe, autentyczne i intensywne, że miałam wrażenie, że jestem w stanie dotknąć jego słów. Był w moim życiu taki moment, w którym byłam przekonana, że to jest właśnie człowiek, za którego wyjdę, z którym będę mieć psa, dom i dwójkę dzieci. Wydawało mi się, że jest pewny, bezpieczny i niezawodny.

A teraz, nagle, zobaczyłam w nim *pasję*.

Poczułam w sobie coś, co z braku lepszego określenia nazwałabym drgnieniem; coś podobnego do mrowienia w nodze, kiedy zdrętwieje. Nie było to ani miłe, ani niemiłe. Po prostu było. Ale musiałam to zignorować. Musiałam najpierw zrozumieć i poradzić sobie z usprawiedliwianiem zdrady i sabotowaniem mojego zatrudnienia, a dopiero potem zająć się określaniem stopnia intensywności uczucia, którego równie dobrze mogło w ogóle nie być.

– Nie rozumiem, Jon. W jaki sposób twoja zdrada miała nas do siebie zbliżyć?

Jeszcze mocniej ujął moją dłoń. Zacisnął szczękę. Powoli, ze świstem wypuścił powietrze z ust przez zaciśnięte zęby.

– Przespałem się z Jem – wyznał wreszcie.

Szczęka mi opadła. Rzęsy trzepotały nerwowo. Uznałam, że się przesłyszałam.

– Co ty powiedziałeś?

Patrzyłam, jak przelyka ślinę. Jego spojrzenie mnie przerażało. Jego mina wyrażała agonię.

– Przespałem się z Jem. Spałem z twoją siostrą.

Odgłos bicia serca osiągnął apogeum w moich uszach.

– To przecież nie ma sensu. Jem nie jest... Jem mieszka... – westchnęłam. Usta Jona poruszały się, ale nie słyszałam zupełnie, co mówił. Wydawało mi się, że moje imię. Błądziłam wzrokiem po stole, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi. – To przecież nie ma sensu – powtórzyłam.

Delikatnie przyciągnął moją dłoń ku sobie, wrywając mnie ze stanu zawieszenia. Był w połowie zdania, kiedy mój umysł na nowo zaczął rejestrować jego słowa.

– ...zadzwoiła do mnie i oznajmiła, że jest w Chicago. Powiedziała, że chce ci zrobić niespodziankę, więc się z nią spotkałem. – Jego słowa były niczym rozpędzająca się lawina, z każdym kolejnym brzmiał coraz natarczywiej. – Nie widziałem jej od czasu, kiedy odwiedziła nas w college’u. Kiedy zobaczyłem ją teraz, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Wyglądała dokładnie tak jak ty. Identycznie. Jest wyższa niż była. Jest twojego wzrostu, ma taki sam kolor oczu i włosów jak ty. Z daleka wydawało mi się, że to jesteś ty, ale z bliska od razu zobaczyłem różnice. Jej głos jest zupełnie inny. Jest całkiem inną osobą. Teraz to wiem, ale wtedy... ale wtedy wydawała się mną zainteresowana i była tak podobna do ciebie, a jednocześnie tak inna – dzika, otwarta, bez zahamowań – że pomyślałem... pomyślałem...

Gapiliśmy się na siebie przez długą chwilę, w trakcie której mój umysł próbował nadażyć za jego słowami. Powiedział, że wyglądała jak ja, a jednak wspomniął tylko o kolorze jej włosów i oczu. To nie trzymało się kupy. Rzeczywiście od zawsze byłam podobna bardziej do niej niż do June, ale Jem zawsze robiła, co mogła, żeby to zmienić. Obcinała włosy, farbowała je na fioletowo albo tleniła. Nosila kolorowe soczewki. Miała

przekłuty nos, usta i wiele innych części ciała. Ostatni raz rzeczywiście widziałyśmy się sześć lat temu, kiedy ona miała lat siedemnaście, a ja dziewiętnaście. Ja od tamtego czasu nie zmieniałam się praktycznie w ogóle.

Nagle dotarło do mnie znaczenie reszty jego słów: „Jest zupełnie inną osobą niż ja. Jest interesująca, impulsywna. Nie ma zahamowań”. Osobiście nigdy nie sądziłam, żeby Jem kiedykolwiek była kimś autentycznie zainteresowana – udawała tylko zainteresowanie dla osiągnięcia własnych celów. Nigdy też nie określiłabym jej mianem otwartej. Jeśli już, była jeszcze bardziej zamknięta w sobie niż ja. Zawsze myślałam o niej jako o zimnej i wyrachowanej. Za to z pewnością nie miała żadnych zahamowań.

Westchnęłam. Ciężko oparłam czoło o rękę. Jon odebrał to jako sygnał, żeby mówić dalej. Zamknęłam oczy.

– Wypiłem za dużo, ale to żadne wytłumaczenie. Pożądałem jej. Tak bardzo przypominała mi ciebie, ale jednak czułem się inaczej, bo... – wypuścił powietrze z płuc. – Zawsze pragnąłem tylko ciebie. Ale ty nigdy nie odwzajemniałaś mojego pożądania z tą samą intensywnością. Zawsze wydawałaś się taka zdystansowana. A ona zachowywała się tak, jakby mnie pragnęła, i to mi się podobało. – Ostatnie słowo wypowiedział ledwie słyszalnie.

Podniosłam głowę i przyglądałam mu się. Wyglądał na kompletnie zagubionego. Zakaszlałam lekko, żeby zwrócić jego uwagę.

– Jon, dlaczego nie powiedziałeś mi tego wszystkiego, kiedy byliśmy razem? Nigdy nie wiedziałam, że tak się czujesz. Nigdy nie mówiłeś mi, że coś jest nie tak. Nigdy nie wspominałeś, że jestem zdystansowana.

– Próbowałem. Naprawdę, próbowałem. Kiedy byliśmy ze sobą pierwszy raz, uznałem, że to przyjdzie z czasem. W końcu byłem twoim pierwszym chłopakiem, byłem twoim pierwszym... no wiesz. A potem uznałem, że może po prostu niezbyt interesują cię... fizyczne aspekty związku. Wydawało mi się, że mi to nie przeszkadza. Że dam sobie radę, o ile będzie to oznaczało, że będziemy razem – wziął kolejny głęboki oddech, a kiedy znowu się odezwał, miał wyraźnie ściśnięte gardło: – A teraz nie mogę przestać o tobie myśleć. Kiedy mówiłem, że spalam się dla ciebie, mówiłem prawdę. Codziennie odliczam minuty do naszego spotkania i myślę sobie: „Może to dziś! Może dzisiaj zmieni zdanie i postanowi mi wybaczyć”. – Jego oczy zaczerwieniły się i zaszyły łzami. – Janie, czy możemy spróbować jeszcze raz? Czy mi wybaczysz?

Nagle coś sobie przypomniałam.

– Czy to dlatego wyszedłeś z restauracji tamtego wieczora, kiedy poznałeś Quinna? Czy on wie o tym wszystkim?

Jon w milczeniu namyślał się przez chwilę.

– Spotykasz się z nim? – spytał wreszcie.

Zastanowiłam się nad tym pytaniem.

– Nie – odpowiedziałam szczerze.

– Ty z nim zerwałaś czy on z tobą? – spytał, świdrując mnie spojrzeniem.

Prychnęłam zniecierpliwiona.

– Czy Quinn wie? Wie o tobie i Jem?

Pokręcił powoli głową.

– Nie. A w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie dlaczego wtedy uciekłeś? Co ci takiego powiedział?

Jon wyglądał na jeszcze bardziej skrępowanego niż wcześniej.

– Nie chcę o tym jeszcze rozmawiać. Dopiero co ci powiedziałem... – Przeczesał palcami włosy. – Możemy najpierw skończyć jeden temat? Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy będziesz kiedyś w stanie mi wybaczyć?

Zacisnęłam usta w wąską linijkę, po czym zapytałam jeszcze raz:

– O czym rozmawialiście wtedy z Quinnem? Dlaczego wyszedłeś?

Jon pokręcił głową, wyraźnie unikając mojego spojrzenia.

Ale ja wiedziałam. Nagle byłam absolutnie pewna.

– Chodziło o moją pracę, prawda? Kazałeś swojemu ojcu mnie zwolnić.

Jon zamknął oczy i odchylił się. Jego głowa uderzyła o miękkie skórzane oparcie boksu. Wydawało mi się, że usłyszałam z jego ust ciche przekleństwo. Wyglądał na zdruzgotanego.

Spróbowałam przełknąć ślinę, ale byłam skonsternowana, jakieś lepkie emocje ścisnęły moje gardło.

– Skąd... – wychrypiałam, a potem spróbowałam jeszcze raz: – Skąd on wiedział? Skąd wiedział, że to przez twojego tatę wyleciałam z pracy?

Jon pokręcił głową, nie otwierając oczu.

– Nie wiem – odpowiedział bardzo cicho. – Po prostu wiedział.

– To Quinn cię zatrudnił, prawda?

Spojrzałam na Olivie, mrugając. Byłam zaskoczona jej niespodziewanym pytaniem, ale szybko się pozbierałam.

– Tak, można tak powiedzieć.

Był piątek po południu. Piątek poprzedzający naszą superważną podróż służbową – tę, której wizja aktualnie napawała mnie przerażeniem. Piąty dzień najdziwniejszego tygodnia mojego życia. A ja próbowałam funkcjonować po dwóch godzinach niespokojnego snu.

Zupełnie nie czułam zmęczenia, kiedy poprzedniej nocy wróciłam do mieszkania po drugiej. Elizabeth już spała – słyszałam jej delikatnie pochrapywanie – więc pospiesznie zdjęłam buty i po cichu zamknęłam drzwi, żeby nie wyrwać jej przypadkiem z błęgiego snu i tym samym nie ściągnąć na siebie jej gniewu.

Mój umysł był nadal w pełni aktywny. Czułam się wytrącona z równowagi, a jednocześnie dziwnie odrętwiała. Sprawdziłam swoją skrzynkę mailową, nagle przypominając sobie o Jem. Byłam ciekawa, czy odpisała coś na moją wiadomość, którą wysłałam minionej soboty. Czy przez cały ten czas była w Chicago? Dlaczego przespała się z Jonem?

Uruchomiłam Gmaila. Nie było żadnych nowych wiadomości.

Myślałam przez chwilę o tym, żeby napisać do niej ponownie, ale gdybym zadała jej te wszystkie pytania, które miałam ochotę jej zadać, to mimo mojej obojętności wobec Jona i faktu, że nasz związek się zakończył, zostałabym pewnie uznana za szalejącą z zazdrości eks. Moje życie w zastraszającym tempie zaczynało przypominać odcinek programu Jerry'ego Springera. Do kompletu brakowało tylko zakwestionowania czyjegoś ojcostwa.

Zaczęłam pisać:

*Cześć Jem, piszę, żeby dopytać, czy jesteś w Chicago. Jon wspominał, że spotkaliście się kilka tygodni temu. W poprzednim mailu pisałaś, że chciałabyś się ze mną zobaczyć. Czy to nadal aktualne?*

*Janie*

Kliknęłam „wyślij”, a potem wpatrywałam się bezmyślnie w ekran tak długo, aż się rozmazał.

Jon w wielu sprawach miał rację. Unikałam emocjonalnej intymności. Nienawidziłam polegać na innych. Nie byłam w tym dobra. Kiedy tylko pojawiały się problemy, chowałam głowę w piasek. Z tego powodu uginałam się czasem, gdy coś było dla mnie ważne, albo, jak to było w przypadku Jona, natychmiast kończyłam związek. Na dodatek wchodziłam w związek z Jonem z celowo zaniżonymi oczekiwaniami, czując, że tak długo, jak moje oczekiwania będą na minimalnym poziomie, będę mogła usprawiedliwiać swoje marginalne zaangażowanie emocjonalne w relacji z nim. Było to nie fair w stosunku do Jona.

Nie zmieniało to jednak faktu, że zdradził mnie z moją własną siostrą, a kiedy z nim

zerwałam, poprosił swojego wysoko postawionego ojca, żeby pociągnął za parę sznurków i doprowadził do mojego zwolnienia. Nic go nie usprawiedliwiało – ani motywacja, jaka za tym stała, ani jego desperacja. Nie chciałam i nie miałam zamiaru mu wybaczać.

*No i był jeszcze Quinn...*

– Jak się poznaliście? Chyba jesteście dość bliskimi znajomymi, prawda? – spytała Olivia, wyczekująco unosząc brwi.

Spotkałyśmy się po to, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik przed poniedziałkowym wylotem do Las Vegas. W trakcie spotkania była raczej mało pomocna, ale nie w tak ewidentny sposób, żebym mogła mieć do niej jakieś konkretne uwagi. Po skończonym zebraniu nadal nie ruszała się z miejsca. Miałam ochotę warknąć na nią i kazać jej wracać do pracy, ale zamiast tego odpowiedziałam:

– Dlaczego tak sądzisz?

Olivia wzruszyła ramionami, nieco zbyt natarczywie lustrując mnie swoim bladoniebieskim spojrzeniem.

– Keira wspominała, że dzisiaj próbował się do ciebie dodzwonić już trzy razy, a ty ani razu nie odebrałaś połączenia. Ktokolwiek inny wyleciałby z pracy.

Kiedy wróciłam do domu po spotkaniu z Jonem, wyłączyłam komórkę, nawet na nią nie patrząc. Staralam się nie rozmyślać obsesyjnie o tym, jak bardzo byłam nieświadoma ani jak oczywista musiała być dla niego moja nieświadomość. Nie chciałam o tym myśleć, więc nie myślałam.

Również po przyjeździe do pracy ustawiłam w swoim telefonie służbowym automatyczną pocztę głosową. Kiedy w drzwiach mojego pokoju pojawiła się Keira, informując, że ma na linii pana Sullivana, który dzwoni z Nowego Jorku i chce ze mną rozmawiać, oznajmiłam jej, że właśnie wychodzę na spotkanie i obiecałam do niego oddzwonić. Zastosowałam tę wymówkę jeszcze dwukrotnie.

Prawda była taka, że nie chciałam z nim rozmawiać. Nie wiedziałam, jak miałabym z nim rozmawiać. Minionej bezsennej nocy rozłożyłam nasze rozmowy na czynniki pierwsze i uświadomiłam sobie, że Quinn nigdy nie stwierdził wprost, że nie jest moim szefem. Ale teraz, kiedy już wiedziałam, że jest *szefem szefów*, wszystko się zmieniło.

Zignorowałam aluzję, dotyczącą unikania przeze mnie rozmów z Quinmem, i kombinowałam, w jaki sposób odpowiedzieć szczerze na pytanie Olivii bez wdawania się w szczegóły.

– Poznałam pana Sullivana w mojej poprzedniej pracy – wybrnęłam.

– Przeskoczyłaś z jednej firmy do drugiej?

– Nie.

– Hmm... – Olivia przyglądała mi się kątem oka przez dłuższą chwilę, zanim oznajmiła: – Mnie zatrudnił Carlos. Jestem jedyną osobą w firmie, której nie rekrutował Quinn.

– Naprawdę? Nie wiedziałam. – Byłam zaaferowana wydarzeniami poprzedniego tygodnia, a co za tym idzie, rozpaczliwie pragnęłam znaleźć ukojenie w próżni apatycznego odrętwienia i po prostu nie byłam w stanie wykrzesać z siebie dość energii, żeby udawać zainteresowanie jej słowami.

– Wydaje mi się... – Pochyliła się bliżej mnie i zniżyła głos do konspiracyjnego

szeptu. – Wydaje mi się, że wprawiam go w zakłopotanie.

Mimowolnie uniosłam brwi, wpatrując się w nią z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Kogo, Carlosa?

Olivia zaśmiała się lekko i odrzuciła w tył falujące czekoladowobrązowe włosy.

– Ależ skąd, Quinn, oczywiście!

Staralam się nie robić krzywej miny, słysząc, jak mówi o nim „Quinn”, zamiast „pan Sullivan”.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Cóż, poza Carlosem wszyscy, których zatrudnił Quinn, są tacy... tacy... – podniosła oczy do góry, szukając odpowiedniego słowa. – Wszyscy są, no wiesz, tacy... mdli. Nie zauważyłaś? Mdli albo dziwaczni – powiedziała i urwała, wpatrując się w czubek mojej głowy: – Jesteś strasznie wielka jak na dziewczynę.

Wiedziałam dokładnie, do czego zmierza. Jej słowa trafiły w samo sedno. Były jak cios w żołądek. Okazało się, że nie jestem tak odporna na pogardliwe traktowanie, jak mi się wcześniej wydawało. Zamrugałam kilkukrotnie i nic nie powiedziałam, ale w myślach wypaliłam pod jej adresem: „Ależ z ciebie franca”.

„Franca” było odpowiednim słowem. Nie wypowiedziałam go jeszcze na głos, ale podobało mi się to, jak brzmiało w mojej głowie.

Tymczasem Olivia ciągnęła dalej:

– Carlos insynuował, że Quinn kompletnie nie potrafi flirtować. – Jej piękne usta uniosły się w porozumiewawczym uśmiechu. – Wydaje mi się, że specjalnie zatrudnia kobiety, które wyglądają przeciętnie albo dziwacznie, żeby nic nie rozpraszało go w pracy. Pewnie jest już nieźle zdesperowany. Założę się, że flirtował nawet z tobą.

Odpowiedziałam jej najlepszą imitacją uśmiechu, na jaką było mnie stać. Podejrzewam, że wyglądałam jak pies z wyszczerzonymi zębami.

– To ciekawa teoria – powiedziałam.

– Hmm – powtórzyła i odchyliła się na swoim krześle. – To jak, flirtował z tobą? Pokręciłam głową i wbiłam wzrok w teczkę leżącą na moich kolanach.

– Nie, chyba że flirtowaniem nazywasz całowanie.

Olivia na ułamek sekundy wytrzeszczyła na mnie oczy, a potem roześmiała się.

– Zabawna jesteś!

Poklepała mnie po nodze dłonią z perfekcyjnym manikiurem, a potem odrzuciła do tyłu swoje długie, proste, lśniące włosy.

– No cóż – westchnęła głośno. – Dobrze, że mu się nie podobasz. Inaczej pewnie w ogóle by cię tutaj nie zatrudnił.

Miałam ochotę dźgnąć ją czymś w szyję.

– Janie, skończyłyście już? – W moich drzwiach pojawiła się sylwetka Stevena, a ja natychmiast zerwałam się na równe nogi, wdzięczna za tę ingerencję, która powstrzymała mnie przed usiłowaniem zabójstwa i dała szansę na ucieczkę. Stanęłam za moim wielkim biurkiem, żeby w ten sposób zwiększyć odległość między Olivią a długopisem, który kurczowo ścisakałam w ręku.

– Tak jest. Wydaje mi się, że Olivia wie już wszystko.

– Jeśli będę miała dodatkowe pytania, po prostu wpadnę później – powiedziała,



wstając, i posłała Stevenowi szeroki, przyjacielski uśmiech.

Steven pokręcił głową, ściskając usta w wąską linijkę.

– Olivio, później Janie nie będzie miała czasu się tobą zajmować. Musi przygotować się na przyszły tydzień, a ten raport ma być gotowy dziś wieczorem. Lepiej, żebyś wiedziała już wszystko, co trzeba.

Olivia popatrzyła mi w oczy i uśmiechnęła się szerzej.

– Jasne. Wiem już wszystko.

\*\*\*

Weekend spędziłam, pracując w biurze, rozkoszując się samotnością. Zyskałam dzięki temu przestrzeń, której tak potrzebowałam, żeby nie dać się porwać zagmatwanym i/lub nieprzyjemnym myślom.

Tak naprawdę wcale nie musiałam pracować w biurze. Równie dobrze wywiązałamby się ze swoich obowiązków w domu, w papuciach i z laptopem. Prawda była jednak taka, że unikanie Elizabeth było zamierzonym efektem ubocznym dwóch pracowitych dni spędzonych z dala od naszego wspólnego mieszkania. Nie powiedziałam jej jeszcze ani o rewelacjach, które usłyszałam od Kat w dniu spotkania naszego kółka, ani o tym, że Quinn jest moim szefem, ani o tym, że Jem i Jona połączył *coitus extremus*. Nie miałam pojęcia, jak jej to przekazać i czułam, że to dla mnie po prostu za dużo. Nie byłam gotowa na to, żeby o tym wszystkim rozmawiać, a wiedziałam, że Elizabeth będzie chciała mnie zmusić do mówienia.

Usprawiedliwiałam swoją nieobecność, przekonując samą siebie, że muszę dokończyć prezentację dotyczącą fakturowania. Wcześniej miałam nadzieję, że dzięki niej szef zastosuje proponowane przeze mnie nowe rozwiązania dla Guard Security. Teraz jednak, kiedy wiedziałam już, że będę przedstawiać ją Quinnowi, a nie jakiejś obcej osobie, zaczęły dopadać mnie wątpliwości odnośnie całej inicjatywy. Rozmawiałam o moim pomysle z Quinnem tamtego dnia podczas lunchu, kiedy nie wiedziałam jeszcze, że to on będzie podejmował decyzję dotyczącą ewentualnego wprowadzenia go do firmy.

Czułam teraz, że muszę udowodnić całemu światu swoją wartość. Nie miałam poczucia, że praca, którą miałam, była naprawdę moja, ani że na nią zasłużyłam. Odczuwałam ogromną presję – stresowałam się wizją spotkania z klientem, dodatkowo chciałam pokazać, że zasługuję na pracę w Cypher Systems, nie wspominając już o tym, że miałam spotkać Quinna po raz pierwszy od tygodnia, pierwszy raz, odkąd dowiedziałam się, że jest moim szefem. Mój żołądek przypominał włosy posklejane gumą do żucia – jeden wielki, obrzydliwy, gruby supeł. Spędziłam długie godziny, pracując bez wytchnienia nad swoją prezentacją. Potem poszłam do domu i uciekłam w świat komiksów, czytając je do pierwszej w nocy, a potem obudziłam się wcześniej rano i znowu zakopałam się w papierkowej robocie.

Nie miałam pojęcia, co zrobię, jak już go spotkam. Co mu powiem? Co on mi odpowie? Nie miałam instrukcji obsługi dla takich sytuacji. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy się i podobało mi się to, nawet bardzo.

W poniedziałek rano, w dniu wyjazdu, byłam tak wykończona, że Elizabeth musiała mną potrząsnąć, żebym się obudziła. Poinformowała mnie, że mój budzik wył od siedmiu minut, a ja nawet nie wyciągnęłam ręki, żeby włączyć opcję drzemki.

W pośpiechu wzięłam prysznic, zaplotłam włosy w warkocz, który zawinęłam w kok na czubku głowy, i ubrałam się w czarną marynarkę i spodnie do kompletu.

W ostatniej chwili zdecydowałam się założyć okulary zamiast soczewek kontaktowych. Tłumaczyłam sobie, że to dlatego, że za bardzo trzęsły mi się ręce i nie mogłam ich włożyć. W taksówce na lotnisko kilkakrotnie wykonałam swoje standardowe ćwiczenie z pudełkiem, kluczem i szafą, dzięki czemu na szczęście czułam się całkiem zdystansowana, kiedy dojechałam na miejsce.

Steven czekał na mnie w umówionym wcześniej miejscu z kawą, drożdżówką i pokrzepiającym uśmiechem. Poprowadził mnie na pas startowy dla prywatnych samolotów, opowiadając mi po drodze o swojej koszarnej randce z jakimś prawnikiem o nazwisku Deloogle – w każdym razie tak mniej więcej brzmiało. Odnosiłam wrażenie, że nazwiska wszystkich jego wybranków rymują się z Google albo Bing. Nie po raz pierwszy raczył mnie w poniedziałkowy poranek opowieściami o swoich weekendowych wyczynach. Zazwyczaj każdy z wieczorów kończył się jakąś przekomiczną, spektakularną klapą.

Byłam tak pochłonięta jego historią, że nie zwracałam uwagi na to, dokąd idziemy. Kiedy wsiedliśmy na pokład samolotu, Steven przekazał moją torbę stewardessie, a potem zajęliśmy miejsca obok siebie.

– To było tak obrzydliwe – dokończył swoją historię – że w niedzielę musiałem zadzwonić po czyszcicieli dywanów, żeby się tym zajęli. – Pokręcił głową. – To był ostatni raz, kiedy umówiłem się na randkę z kimś, kto uważa żywą tchórzofretkę za doskonały dodatek do stroju.

Uśmiechnęłam się i zachichotałam, po czym nagle zorientowałam się, gdzie się znajduję. Wcześniejszy spokój i odrętwienie ustąpiły miejsca bolesnej świadomości. Posadzono nas blisko wejścia do prywatnego odrzutowca. Z trudem powstrzymałam się przed wyciągnięciem szyi i rozejrzeniem się po reszcie współpasażerów. Zamiast tego postanowiłam skoncentrować się na wystroju samolotu.

Nigdy wcześniej nie podróżowałam prywatnym samolotem, nie miałam więc żadnego porównania, ale całość prezentowała się naprawdę imponująco. Wszystko było takie nowe i lśniące. Skórzane fotele były białe, z granatowymi detalami, podobnie jak podłoga, a ścianki działowe wykończone drewnianymi panelami. Fotele ulokowano w grupach po cztery, po dwie pary naprzeciwko siebie. Uznałam, że to po to, żeby łatwiej się rozmawiało podczas lotu.

Podeszła do nas stewardessa, bardzo ładna kobieta po czterdziestce.

– Czy życzą sobie państwo coś do picia, zanim wystartujemy?

Zakasłałam.

– Ja to nie, dziękuję. Ale... yyy... Czy mam jeszcze chwilę, żeby skorzystać z toalety?

Pokiwała głową.

– Jasne, skarbie. Jest tam na końcu.

Uśmiechnęłam się w ramach podziękowania i podniosłam się, żeby pójść na tył samolotu, kiedy niespodziewanie stanęłam twarzą w twarz, a raczej pierś w pierś, z potężną ścianą męskiego ciała.

– Och, przepraszam. – Zrobiłam krok do tyłu i uczepliłam się fotela, żeby złapać równowagę. Automatycznie podniosłam wzrok w kierunku stojącej przede mną blokady.

I natychmiast tego pożałowałam, bo okazał się nią nikt inny jak Quinn Pan Ciacho Sullivan.

*Na młot potężnego Thora!*

Chwycił mnie za ramiona, prawdopodobnie po to, żeby pomóc mi złapać równowagę. Staliśmy tak przez dobrą minutę, ja gapiąc się na niego, on obserwując mnie nieruchomym spojrzeniem jego płomiennych błękitnych oczu. Był jeszcze bardziej wstrząsająco i niesprawiedliwie przystojny, niż go zapamiętałam. Na domiar złego ubrany był w świetnie skrojony czarny garnitur, ewidentnie szyty na miarę, białą koszulę i olśniewający niebieski jedwabny krawat.

Pierwsza odwróciłam wzrok.

Cofnęłam się i wyplątałam z jego uścisku, koncentrując swoją uwagę na granatowym dywanie, niepotrzebnie majstrując przy swoich okularach. Udało mi się mniej więcej dojsć do siebie, a jednocześnie odczuwałam irytację, że sama obecność tego człowieka sprawiała, że zamieniałam się w buzujący hormonami kłębek nerwów.

Wyciągnęłam dłoń na przywitanie.

– Dzień dobry, panie Sullivan. Miło znów pana widzieć. – Patrzyłam na niego, jak podaje mi rękę. Staralam się nie myśleć o dotyku jego skóry i o tym głupim szoku, jakiego doznałam, czując coś jakby rozkoszny ból, kiedy nasze dłonie się zetknęły (tak, *głupim*, bo było to bardzo uciążliwe, a moje słownictwo w jego obecności stawało się nagle bardzo ograniczone). Miałam nadzieję, że udało mi się uścisnąć jego dłoń w stanowczy, wystarczająco profesjonalny sposób.

– Panno Morris... – Mimo że poczułam ukłucie żalu w reakcji na jego formalny ton, jego głos jak zawsze wywołał u mnie dreszcz i zaraz wpadłam ponownie w wir emocji. Jak zawsze bezceremonialnie, otwarcie wodził wzrokiem po moich ustach, szyi, ramionach, niżej.

Nasze uściśnięte dłonie trwały nieruchomo w zawieszeniu między nami, a ja walczyłam dzielnie ze szkarłatnym rumieńcem pod ciężarem jego spojrzenia. Nie wykonałam żadnego gestu, żeby zwolnić uścisk, i nie miałam na to najmniejszej ochoty. Byłam pewna, że ten człowiek nie ma pojęcia, co się dzieje z moim ciałem od samego trzymania go za rękę i patrzenia mu w oczy. Przez ułamek sekundy wyobraziłam sobie jego dłoń na innej części mojego ciała i przegrałam walkę z rumieńcem.

Z całych sił starałam się ukryć swój wstyd i w efekcie oczywiście zaczęłam gadać bez zastanowienia.

– Bardzo ładny ma pan samolot – powiedziałam, a on raptownie podniósł na mnie wzrok. – Choć nie mam specjalnego doświadczenia, jeśli chodzi o firmowe czy też prywatne odrzutowce. Zdaje się jednak, że jego wydajność paliwowa stanowi poważny problem, biorąc pod uwagę fakt, że samoloty ogólnie uważane są za środek transportu najmniej ekonomiczny pod względem zużycia paliwa.

Quinn przekrzywił głowę na bok, przykuwając moją uwagę swoim intensywnym spojrzeniem.

– Chce pani przez to powiedzieć, że wolałaby pojechać do Las Vegas samochodem?

– Są jeszcze pociągi, miło się nimi podróżuje. Być może warto byłoby zainwestować w firmowy pociąg. AEA Technology przeprowadziło badanie, podczas

którego porównywano podróż pociągiem i samolotem na trasie Londyn-Paryż. Okazało się, że pociągi emitowały średnio dziesięć razy mniej dwutlenku węgla na pasażera niż samochody. No i nie zapominajmy, że pociągi mają wagony sypialne do... spania.

Usta Quinna ułożyły się w ledwo dostrzegalny uśmiech, a odcień jego oczu jakby pociemniał.

– W samolotach też bywają łóżka. Może mógłbym zainstalować jedno w tym samolocie przed kolejną podróżą służbową.

– Ale jak zdecydujemy, kto podróżuje w łóżku, a kto na fotelu? – spytałam.

Otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale po chwili zamknął je i bez słowa wypuścił moją dłoń, marszcząc brwi.

– Racja.

Rozległo się chrząknięcie, które odwróciło moją uwagę od Quinna. Olivia Merchant i Carlos Davies stali tuż obok, przyglądając się naszej wymianie zdań. Carlos uśmiechnął się do mnie zdawkowo, mrużąc oczy, po czym przecisnął się dalej między mną a Quinnem. Za to Olivia, z której gardła wydobyło się przed chwilą chrząknięcie, przyglądała się nam z ponurą miną. Zupełnie ich wcześniej nie zauważyłam. Właściwie to nie widziałam nikogo ani niczego poza Quinnem od momentu, w którym zderzyłam się z jego torsem.

– Janie, czy mogłabyś nas przepuścić? Próbujemy dostać się na swoje miejsca – oznajmiła, wskazując na dwa puste fotele naprzeciwko mnie i Stevena.

– Och, oczywiście, przepraszam. – Zrobiłam krok w bok, żeby umożliwić im przejście, a potem wyminęłam Quinna, starannie unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego czy fizycznego, i popędziłam w kierunku łazienki z tyłu samolotu.

Kiedy znalazłam się nareszcie w zaciszu toalety, oparłam się ciężko głową o ścianę i napotkałam swoje odbicie w lustrze. Przyznaję, zdarza mi się czasem gadać do siebie w lustrze. Właściwie to robię to całkiem często. Z lustra spoglądała na mnie dziewczyna z ponurą miną i czerwonymi plamami na twarzy – pozostałością po imponującym rumieńcu.

Bardzo chciałam, a nawet *musiałam* znaleźć jakiś sposób, żeby zneutralizować moją intensywną, mimowolną reakcję na Quinna. Nie było go zaledwie tydzień, a wypracowane z trudem poczucie komfortu i spokoju w jego obecności prysło jak bańka mydlana. Znowu zachowywałam się jak zwariowana nastolatka.

*Okej, Janie, pamiętaj: Quinn jest twoim szefem – szefem szefów.*

*Szefem.*

Jęknęłam.

Wzięłam kilka głębokich wdechów, próbując uspokoić bicie serca. Dlaczego czułam się tak boleśnie samoświadoma? Czy to dlatego, że widziałam w nim teraz zakazany owoc i wiedziałam, że jestem skazana na wieczny brak wzajemności? Ku mojej rozpaczy jego obecność sprawiała, że niewidzialne pudełko w mojej głowie eksplodowało natychmiast w momencie nawiązania kontaktu wzrokowego, rozrzucając moje poukładane myśli i uczucia po całej wyimaginowanej garderobie.

I nie chodziło już jedynie o fizyczny aspekt jego wyższości nade mną, a w każdym razie nie tylko to wytrącało mnie z równowagi. Nie dało się ukryć, że doskonałość rysów

jego twarzy sprawiała, że stawałam się nieznośnie niezdatna do normalnej rozmowy, czego najlepszym dowodem była nasza pierwsza wspólna podróż windą. A teraz znałam go. Miałam związane z nim wspomnienia. Z najdrobniejszymi szczegółami pamiętałam, w jaki sposób przechyla głowę, kiedy kogoś słucha. Pamiętałam ton jego głosu. Dźwięk jego śmiechu. Jego cięte odpowiedzi na moje hipotetyczne pytania. To, jak się ze mną droczył. Dotyk jego palców, kiedy odgarniał moje włosy. Jego gorące spojrzenie, błędzące po moim ciele. *Widok jego torsu tuż po wyjściu spod prysznic.*

Ta ostatnia myśl sprawiła, że znowu jęknęłam, kiedy zaatakowała mnie nowa fala wstydu, wywołując ciarki od żołądka aż po czubki palców.

Rozejrzałam się po maleńkiej toalecie i zastanawiałam się, jak długo mogę tu jeszcze zostać, nie budząc podejrzeń co do mojego zdrowia fizycznego bądź psychicznego. Już po raz drugi w przeciągu miesiąca rozważałam zamieszkanie na stałe w kabinie łazienkowej. Zerknęłam na zegarek. Według planu mieliśmy startować za niecałe dziesięć minut. Musiałam wziąć się w garść.

Zamknęłam oczy i próbowałam wykonać standardowe ćwiczenia uspokajające, jednak kiedy usiłowałam poskładać swoje niespokojne emocje i grzecznie odłożyć je na półkę, z jakiegoś powodu wszystkie przybierały kształt czarnej i czerwonej koronkowej bielizny. Sfrustrowana, przygryzłam mocno dolną wargę i postanowiłam umyć ręce. Uznałam, że jeśli uda mi się skoncentrować na tak prostej czynności jak umycie i wysuszenie rąk, być może przetrwam kolejne cztery godziny w prywatnym odrzutowcu Quinna Sullivana.

Po raz ostatni wzięłam głęboki oddech, a potem opuściłam bezpieczne terytorium toalety, wygładzając dłońmi spodnie, żeby ukoić nerwy. Szłam równym krokiem na czoło samolotu i starałam się wyglądać możliwie obojętnie, jak normalna, opanowana, pewna siebie istota ludzka, a nie jak niezgrabny, wielkogłowy neandertalczyk, którym w rzeczywistości jestem.

Kiedy zobaczyłam, że Carlos zajął miejsce, na którym siedziałam wcześniej, obok Stevena, a Quinn usiadł naprzeciwko Carlosa, niewiele brakowało, żebym uciekła z powrotem do łazienki. Przy takim układzie w tej części samolotu pozostawało dla mnie tylko jedno wolne miejsce – obok Quinna. Z trudem przełknęłam ślinę i zawahałam się. Jeszcze mnie nie zauważyli. Rozejrzałam się po kabinie i mój wzrok padł na tył głowy Olivii. Siedziała sama w rzędzie tuż obok. Aż dziwne, że fotel naprzeciwko niej nie miał na sobie wywieszki „najlepsza opcja dla Janie”.

Zdecydowałam się tam usiąść i już zbliżałam się do swojej najlepszej opcji, kiedy Steven – cholerny Steven! – zepsuł mój misterny plan.

– Janie, siadź, proszę, tutaj. – Wskazał fotel koło Quinna. – Olivia będzie robiła notatki. Musisz zreferować panu Sullivanowi ostatnie faktury. Wspominałem mu również o twoich pomysłach, dotyczących zarządzania wydatkami Guard Security przy użyciu oprogramowania do monitoringu faktur.

– Ach tak... No dobrze... – Patrzyłam to na uśmiechniętego Stevena, to na Olivię, która, o ile to w ogóle możliwe, posmutniała jeszcze bardziej. Wreszcie wsunęłam się na miejsce obok Quinna. Nie byłam jednak w stanie na niego spojrzeć. Nie patrzyłam na niego, kiedy wyjaśniałam zastosowanie oprogramowania, opowiadałam o tym, jak

natrafiłam na ten open source'owy projekt na studiach podyplomowych i jak okazał się dla mnie efektywnym narzędziem do mierzenia czasu spędzanego na wykonywaniu konkretnych zadań i do określania ilości pracy włożonej w każde zadanie.

Samolot wystartował. Pokrzepiający uśmiech Stevena, ciepłe spojrzenie brązowych oczu Carlosa, a nawet nieco wrogie spojrzenie Olivii sprawiało, że powoli opadało ze mnie napięcie. Kiedy skończyłam opowiadać o tym, jak można by dostosować ten system do potrzeb firmy i w ten sposób zwiększyć wydajność i rentowność w porównaniu z obecnym czasowym systemem, z którego korzystali, byłam niemal zupełnie spokojna.

– W oparciu o dane z poprzednich lat przeprowadziłam analizę, która, chociaż hipotetyczna, wykazała, że moglibyśmy w ten sposób zwiększyć dochody nawet w krótkim okresie. Carlos, czy mógłbyś, proszę, podać mi mojego iPada? Jest chyba pod twoim siedzeniem – poprosiłam, wskazując na swoją torbę.

– Jasne – odpowiedział Carlos i pochylił się, żeby ją wyciągnąć.

– Interesujący pomysł – mruknął Quinn. Wydawał się nieco zamyślony. Poczułam, jak przysuwa się nieco bliżej, kiedy uruchomiłam swojego iPada i pokazałam wypunktowaną listę, która miała na celu przekonanie ich do wdrożenia proponowanego przeze mnie oprogramowania.

– Nie będziemy mogli skorzystać z produktu open source, ale możemy zlecić naszemu zespołowi informatyków stworzenie czegoś podobnego na nasz użytek – wtrącił Carlos.

– Kiedy to naprawdę świetny produkt. – Przewinęłam prezentację w dół do opisu oprogramowania. – Na dodatek w zeszłym tygodniu wypuścili nową, zaktualizowaną wersję.

– To nie o to chodzi – głos Quinna był tuż przy moim uchu i czułam, jak powietrze wokół mnie zmienia się, kiedy pochylił się, żeby spojrzeć na ekran iPada przez moje ramię. – Jestem pewien, że to bardzo dobry produkt, ale nie możemy skorzystać z oprogramowania open source.

– Nie moglibyśmy też zastosować go w przypadku grupy Infinite Systems – wtrącił Steven, wzruszając ramionami. – Ale w przypadku naszych partnerów korporacyjnych taki system z pewnością wiele by im rozjaśnił w temacie struktur rozliczania.

Zerkałam to na Carlosa, to na Stevena.

– Czy ja coś przegapiłam? – spytałam, marszcząc brwi. – Dlaczego nie możemy skorzystać z programów open source?

Quinn wyciągnął rękę, położył dłoń na mojej dłoni i przysunął iPada tak, że teraz leżał między nami, zmuszając mnie w ten sposób do zwrócenia się w jego stronę. Nie patrzył jednak na mnie, tylko na ekran.

– Kwestia bezpieczeństwa danych.

Starłam się z całych sił skoncentrować na czymś innym niż na dotyku jego nieruchomej dłoni na swojej. Nieco niepewnym głosem zapytałam:

– Ale dlaczego nie możemy skorzystać z niego w przypadku grupy Infinite Systems?

Quinn gwałtownie podniósł na mnie wzrok. Zmrużył oczy. Zapadła niezręczna

cisza. Myślałam, że mi nie odpowie. Miał mocno zaciśnięte szczęki, a usta ułożone w bardzo wąską linijkę. Wyglądał, jakby rozmyślał nad czymś bardzo nieprzyjemnym. Wykorzystałam moment, żeby mu się przyjrzeć, naprawdę dobrze mu się przyjrzeć. Świdrujący ból, który pojawił się po lewej stronie klatki piersiowej, sprawił, że wstrzymałam oddech. Brakowało mi tego. Brakowało mi patrzenia na Quinna. Brakowało mi rozmów z Quinnem.

Ale to nie był Quinn. To był pan Sullivan. Szef szefów.

Oblizalam usta i przerwałam milczenie.

– W sumie to nie ma znaczenia, po prostu pomyślałam... pomyślałam, że dobrze byłoby zachować spójność w ramach całej firmy.

Przez ułamek sekundy na twarzy Quinna pojawiło się coś jakby przerażenie. Zwrócił się do Stevena niemal oskarżycielskim tonem.

– Wydawało mi się, że Janie pracuje tylko z klientami korporacyjnymi.

Steven uniósł lekko ręce w obronnym geście.

– I tak jest. Podzieliliśmy się. Ja zajmuję się wszystkimi prywatnymi klientami od strony technicznej, ale... – Steven spojrzał na mnie przez ułamek sekundy, po czym mówił dalej: – Carlos i ja stwierdziliśmy, że być może przypadłaby do gustu niektórym klientom Infinite Systems.

– Wydawało mi się, że postawiłem sprawę jasno. – Mimo że powiedział to cichym głosem, w jego tonie słychać było groźny pomruk. Wyjął iPada z moich dłoni i ułożył go sobie na kolanach, poświęcając całkowitą uwagę cyferkom na ekranie.

Carlos chrząknął, a ja mogłam tylko obserwować ich wymianę zdań nierozumiejącym spojrzeniem.

– Panie Sullivan, Janie jest bardzo zdolna. Proszę rozważyć...

Quinn fuknął.

– Nie mam zamiaru. I nie wspominajcie już o tym więcej.

Był wściekły. A kiedy był wściekły, był jeszcze bardziej niesamowity. Uświadomiłam sobie tę idiotyczną priorytetyzację zachodzącą w moim procesie myślowym, kiedy patrzyłam na niego, jak przegląda przygotowane przeze mnie informacje. Wiedziałam, że zamiast koncentrować się na jego wyglądzie, powinnam skupić się na tym, dlaczego zostałam z premedytacją wykluczona z działań w ramach Infinite Systems. Może miało to coś wspólnego z moim podejrzeniem, że nie zasługuję na tę pracę i że zostałam zatrudniona pod wpływem kaprysu, a nie ze względu na umiejętności.

Odwróciłam od niego wzrok i przełknęłam ślinę. Czułam nieprzyjemny ścisk w gardle. Rozejrzałam się po reszcie grupy. Steve na krótką chwilę napotkał moje spojrzenie i posłał mi wymuszony, przepraszający uśmiech. Na twarzy Carlosa malowała się ponura frustracja, a wzrok miał wbity w ręce oparte na kolanach. Olivia przyglądała mi się jakby podejrzliwie, z niezadowoleniem.

Zanim zdążyłam odpłynąć myślami gdzieś daleko, Quinn nagle wziął do ręki iPada, opuścił go na moje kolana i odezwał się zdystansowanym głosem:

– Wyślijcie link do naszego zespołu deweloperskiego, niech zapoznają się z tym produktem i zaczną zbierać listę wymagań. A teraz, zanim wylądujemy, chciałbym



przejsć przez faktury dla klubu Outrageous i ustalić zakres pracy w przypadku lokali w Las Vegas.

Temat mojego zaangażowania w sprawy Infinite Systems został tym samym zamknięty, a my przeszliśmy do rozmowy o nadchodzącym spotkaniu.

Przez całą dwugodziną naradę wojenną robiłam co w mojej mocy, żeby koncentrować się na zadawanych przez Quinna pytaniach i miejscach, które wskazywał, a nie na jego ustach i dłoniach. Słowo daję, nie wiem, jakie feromony rozsiewał wokół siebie Quinn Sullivan, ale były moją kocimiętką.

Najtrudniejsze i najbardziej niebezpieczne były te momenty, w których przysuwał się bliżej mnie, albo zaglądał mi przez ramię. Musiałam walczyć z pokusą, żeby zanurzyć nos w kłapie jego marynarki i chłonąć jego zapach. W pewnym momencie byłam tak pochłonięta obserwowaniem pulsującej żyłki na jego szyi, że o mały włos nie dosłyszałabym jednego z pytań Carlosa.

Carlos uznał chyba moją rozkojarzoną odpowiedź za oznakę zmęczenia, bo zaproponował krótką przerwę. Wszyscy gorliwie przytaknęli. Na szczęście Quinn przeprosił nas i oddalił się natychmiast na drugi koniec samolotu, wyciągając z kieszeni telefon, żeby gdzieś zadzwonić.

Powstrzymałam się przed oglądaniem się za nim, żeby podziwiać jego tylną część ciała, mimo że miałam na to ogromną ochotę. Zamiast tego podniosłam oczy na Stevena, który mrugnął do mnie porozumiewawczo. Wiedziałam, że ten drobny gest ma na celu uspokojenie mnie, więc nie bez wysiłku rozluźniłam ręce i ułożyłam je na pokrowcu iPada.

Pierwszy odezwał się Carlos

– Poszło ci naprawdę świetnie – oznajmił cicho. Nie byłam pewna, czy stara się nie przeszkadzać Quinnowi w trakcie jego rozmowy, czy też może nie chce zostać usłyszany.

– Dzięki – uśmiechnęłam się nerwowo. – Zawsze jest taki na wyjazdach?

Steven kiwnął głową.

– Potrafi być brutalny. Ale, no wiesz, jest tu szefem. Robi co do niego należy i my też musimy.

Olivia przechylila się w naszą stronę ze swojego rzędu.

– Mnie to nie przeszkadza. Uważam, że jest fantastyczny.

Steven mruknął pod nosem coś, czego nie dosłyszałam. Zmarszczyłam pytająco brwi, na co wyjaśnił bezgłośnie: „Później ci powiem”.

– Wygląda na to, że niedługo będziemy na miejscu – oznajmił Carlos, w zamyśleniu wyglądając przez okno.

Jak na zawołanie pojawiła się przy nas stewardessa i poleciła wszystkim zapiąć pasy. Za chwilę mieliśmy lądować. Kiedy wykonywałam jej polecenie, zauważyłam, że Quinn usiadł na jednym z foteli z tyłu samolotu i nadal rozmawia przez telefon. Nasze spojrzenia spotkały się na króciutki moment i wydawało mi się, że zauważyłam jego uśmiech – jeden z tych jego leciutkich, ledwo dostrzegalnych uśmiechów. Zaraz jednak odwrócił wzrok, a jego twarz znów przybrała poważny, mocno poirytowany wyraz.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania, a ja siedziałam sztywno w fotelu swojej emocjonalnej kolejki górskiej, pogrążona w niepewności.

Świetnie. Po prostu świetnie.

\*\*\*

Postanowiłam przesiedzieć w łazience aż do momentu, w którym wszyscy opuścili pokład.

Kiedy tylko wyszłam z samolotu i rozejrzałam się wokół prywatnego lotniska, natychmiast uderzyło mnie, jak barwny i jednocześnie bezbarwny był krajobraz rozciągający się wokół. Pustynia mieniła się wszystkimi odcieniami brązu, czerwieni i pomarańczy, ale poza nią nie było właściwie nic. Mieszanka gorąca, piasku, ognia, benzyny i papierosów. Nagle potwornie zachciało mi się pić.

Kiedy wreszcie zeszałam po schodach na dół, zobaczyłam dwie czarne limuzyny zaparkowane w niewielkiej odległości od samolotu. Steven, Carlos i Olivia właśnie przekazywali swoje bagaże kierowcy, a Quinn stał przy drugiej limuzynie, pochłonięty rozmową przez komórkę. Ruszyłam w stronę Stevena, ciągnąc za sobą swoją walizkę na kółkach, jednak zanim zdążyłam oddać ją kierowcy, usłyszałam za plecami głos Quinna:

– Panno Morris, pojedzie pani ze mną.

Odwróciłam głowę w jego stronę i zawahałam się przez chwilę. Z trudem przychodziło mi zaakceptowanie faktu, że nie będę jechała limuzyną numer dwa ze Stevenem, Carlosem i Olivią. Miałam jechać limuzyną numer jeden, z Szefem Sullivanem Panem Ciacho.

Steven wyciągnął do mnie rękę, uściśnił moją dłoń i zatrzymał mnie na krótką chwilę. Mówił bardzo cicho, tak, żeby pozostali na pewno go nie usłyszeli.

– Zostaniesz teraz poddana torturom w postaci dwudziestominutowej podróży z piekła rodem. Po dzisiejszym spotkaniu zamówimy sobie jedzenie do pokoju i zrobimy babski wieczór. Trochę się nad sobą poużalasz, a potem będziesz mogła wypłakać się na moim ramieniu.

Zaniepokojona uniosłam brwi, przypominając sobie opowieść Stevena o koszarnej przejażdżce w towarzystwie Quinna. Zaczęłam się zastanawiać, czy teraz, skoro wiadomo już było, że jest moim szefem, Quinn przestanie się do mnie odzywać. W samolocie zachowywał się zupełnie inaczej, był zdystansowany i chłodny. Wyobraziłam sobie, jak jedziemy w milczeniu w limuzynie, podczas gdy on siedzi bez ruchu z miną oscylującą między stoicką a apatyczną.

Poczułam nagły ucisk w żołądku.

Kierowca numer jeden przejął ode mnie torbę, a ja potulnie ruszyłam za nim. Quinn nadal rozmawiał przez telefon, chodząc nerwowo tam i z powrotem, kiedy podchodziłam do tylnych drzwi. Wsunęłam się do ciemnego wnętrza samochodu. Kilka chwil zajęło mi przyzwyczajenie oczu do panującego półmroku.

Już drugi raz w życiu byłam w limuzynie. Po raz pierwszy siedziałam w limuzynie w najgorszym dniu mojego życia. Zastanawiałam się, co aktualnie porabia Vincent, mój kierowca.

Ta limuzyna była zdecydowanie większa niż poprzednia. Długie skórzane kanapy ciągnęły się wzdłuż każdego boku. Tuż pod szybą, oddzielającą tylną przestrzeń od szoferki, umieszczone było coś, co wyglądało na w pełni wyposażony barek. Wnętrze pachniało nowością i tym ciężkim, ziemistym aromatem porządnej skóry.

Zamiast sięść na kanapie przodem do kierunku jazdy, zdecydowałam się na jedno z bocznych siedzeń. Nie miałam specjalnej ochoty siedzieć obok Quinna. Uznałam, że jeśli zwiększę dystans między nami, łatwiej będzie mi przetrwać zbliżającą się nieuchronnie podróż z piekła rodem.

Quinn wsiadł do samochodu od tej samej strony co ja. Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, od razu zerknął w prawą stronę, znieruchomiał, po czym zaczął rozglądać się po wnętrzu. Niemal natychmiast zatrzymał na mnie wzrok. Nie odwzajemniłam jego spojrzenia, ale czułam, jak na mnie patrzy, podczas gdy ja koncentrowałam się na kryształowych karafkach stojących przy barku.

– Masz ochotę na coś do picia?

Pokręciłam przecząco głową. Mimo że byłam bardzo spragniona, czułam, że nie będę w stanie niczego przełknąć. Nerwowo zaplatałam i rozplatałam palce dłoni, aż wreszcie położyłam je płasko na kolanach. Rozległ się warkot silnika i limuzyna ruszyła. Wyjrzałam przez okno tuż obok mnie, ale szyba była tak ciemna, że skutecznie ograniczała widoczność.

Kolejne minuty mijały w milczeniu i po raz pierwszy w życiu z ulgą oddałam się swoim beztroskim rozmyśleniom. Policzyłam lampki wzdłuż drewnianego panelu na suficie i próbowałam wyobrazić sobie, jak wyglądałyby roboty pracujące przy taśmie produkcyjnej, odpowiedzialne za tak misterną robotę. Podobała mi się sama idea robotów i miałam nadzieję, że dożyję dnia, w którym roboty zostaną wprowadzone do gospodarstw domowych w roli zwierzątek albo po prostu do towarzystwa.

– O czym myślisz? – zapytał cicho Quinn, przerywając moje rozważania.

Chrząknęłam i wzruszyłam ramionami. Niespodziewanie dla samej siebie odpowiedziałam mu zupełnie szczerze, zanim zdołałam się powstrzymać:

– O robotach.

– Robotach – powtórzył. Usłyszałam, jak poruszył się na swoim miejscu, po czym przesiadł się na kanapę naprzeciwko mnie. Nasze kolana zetknęły się, jego długie nogi naruszały moją prywatną przestrzeń. – Dlaczego akurat o robotach?

Pod wpływem jego bliskości moje serce najpierw zamarło, by po chwili zacząć łomotać szaleńczo. Otrząsnęłam się i skoncentrowałam na jego niebieskim jedwabnym krawacie. W mroku kabiny miał ciemnofioletowy kolor. Mimo moich najszczerzych chęci i prób kontrolowania się, fizyczny kontakt między nami sprawił, że miałam poczucie, jakby w moim brzuchu obudziło się gniazdo wściekłych os. Milczałam, bo moje usta nagle zupełnie odmówiły posłuszeństwa.

Pochylił się ku mnie, opierając łokcie na kolanach. Jego splecione dłonie zawisły tuż nad moimi udami.

– Janie, dlaczego nie odbierasz moich telefonów? – W jego głosie słychać było napięcie, jakby starał się kontrolować i z trudem utrzymywał emocje na wodzy.

Podniosłam na niego wzrok, zaskoczona, że użył mojego imienia. Przełknęłam ślinę.

– Ja... panie Sullivan...

– Proszę, nie rób tego – powiedział na wpół błagalnym, na wpół zirytowanym tonem i przykrył dłońmi moje dłonie.

Przyglądałam mu się przez chwilę. W gardle miałam ciasny supeł, a gniazdo os miało się furiacko w moim brzuchu w reakcji na jego dotyk. Wreszcie zdołałam wykrztusić w odpowiedzi:

– Nie wiem, co ci powiedzieć.

Zmrużył oczy w sposób, który otwarcie wyrażał frustrację, ale już po chwili przeniósł wzrok na moje usta.

– Dlaczego wyłączyłaś komórkę?

Zacisnęłam zęby. Bzyczące osy w moim brzuchu zmieniały się powoli we wściekły, afrykański rój. Ich zajadła wrogość zdawała się wypełniać powoli całe moje ciało, które aż wibrowało od urazy. Sama byłam zaskoczona swoją reakcją, kiedy odpowiedziałam ze złością:

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś moim szefem?

Spojrzał na mnie świdrującym spojrzeniem, które wbiło mnie w fotel.

– Powiedziałem.

Zesztywniałam cała, a potem wyplątałam dłonie z jego uścisku i zacisnęłam je na skórzanym siedzeniu po bokach.

– Och, naprawdę? Czyżbym spała w trakcie tej rozmowy?

Zmarszczył brwi.

– Jesteś na mnie zła?

Mrugnęłam raz, może trzy, albo nawet cztery, kompletnie zdezorientowana.

– Ja... wcale nie... – wyjąkałam tylko. Po chwili udało mi się wydusić pełne zdanie. – Nie jestem na ciebie zła.

– W takim razie doskonale udajesz złość.

– Panie Sullivan...

– Nie nazywaj mnie tak – przerwał mi ponownie, ale tym razem brzmiał nieco łagodniej. – Nie nazywaj mnie tak, chyba że chcesz.

– Chcę.

Moja deklaracja spotkała się z milczeniem. Jego surowa mina wyrażała frustrację i determinację. Miałam wrażenie, że wpatruje się we mnie przez dobre kilka minut. Próbowałam odwzajemnić spojrzenie, ale nie byłam w stanie się na to zdobyć. Z każdą sekundą moje poczucie dyskomfortu narastało, co z kolei oznaczało, że moje myśli zaczęły rozpierzchać się na wszystkie strony. Samochód jechał dalej, a ja pomyślałam sobie, że musi mieć naprawdę dobre amortyzatory, bo było tak, jakbyśmy ślizgali się po gładkiej powierzchni. Wyobraziłam sobie samochód na łyżwach, sunący po zamrzniętym jeziorze, popychany przez roboty.

Wreszcie bardzo, bardzo cicho zapytał:

– Dlaczego?

– Dlatego. – Przełknęłam ślinę. Czułam potworny ucisk w piersi. – Dlatego, że mam tendencję do mówienia totalnie niewłaściwych rzeczy, o czym miałeś się już okazję przekonać. A ty nie jesteś po prostu moim szefem. Jesteś „S” w B&S, Betty i Szef. Jesteś szefem szefów. Jestem w stanie przypomnieć sobie co najmniej siedemnaście sytuacji, kiedy mówiłam do ciebie rzeczy, których absolutnie nie powinnam mówić swojemu szefowi. A jeśli będę zwracać się do ciebie... – wzięłam głęboki wdech i wbiłam palce

w skórzane siedzenie – jeśli będę zwracać się do ciebie po imieniu, to zapewne takich sytuacji będzie co najmniej o siedemnaście więcej, jeśli nie o trzydzieści cztery więcej. Albo o sto osiemdziesiąt dziewięć.

– To w takim razie zdecydowanie nadal powinnaś zwracać się do mnie po imieniu. Westchnęłam i spojrzałam na niego nieufnie.

Niespodziewanie pochylił się, delikatnie ujął moją rękę. Jego kciuk wędrował powoli po wierzchu mojej dłoni.

– Posłuchaj mnie. Ogromnie podobało mi się wszystkie siedemnaście niestosownych tekstów, które wygłosiłaś pod moim adresem. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, ale ja również odwzajemniłem ci się co najmniej siedemnastoma.

Dotyk jego kciuka poruszającego się leniwie po mojej dłoni wywoływał dziwne, niespodziewane uczucie w moim ciele. Żeby to ukryć, zdecydowanie przełknęłam ślinę, zacisnęłam usta w wąską linijkę i nic nie odpowiedziałam. Tak naprawdę miałam ochotę rozpiąć bluzkę i poprosić go, żeby powtórzył ten sam ruch na innej części mojego ciała.

– Byłoby mi przykro, gdybyś zaczęła zachowywać się przy mnie inaczej niż dotychczas – dodał. Jego głos i wyraz twarzy były śmiertelnie poważne i błagalne. Jego oczy przybrały w słabym świetle ciemny, kobaltowy odcień, w którym czał się ogień. Jego kciuk zataczający powolne kręgi tylko pogarszał sprawę.

Czułam się oszołomiona i dezorientowana. W efekcie mój głos zabrzmiał bardziej oskarżycielsko, niż tego chciałam, kiedy zadałam pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy:

– Dlaczego mnie zatrudniłeś?

Jego kciuk zastygł w miejscu na krótką chwilę.

– Bo wbrew temu, co sama twierdzisz, naprawdę *masz* fotograficzną pamięć, masz niezwykle analityczne podejście do biznesu, jesteś fantastyczną księgową, a twoje nogi wyglądały zabójczo w tamtych szpilkach.

Wyplątałam dłoń z jego uścisku, a ponieważ nie miałam pomysłu, co zrobić z drżącymi kończynami, znanymi również jako moje ręce, skrzyżowałam je na piersi.

– Nie możesz mówić takich rzeczy. Jesteś moim szefem.

Zacisnął szczękę, a jego dłonie zwarły się w pięści.

– Ale nie jestem przecież tylko twoim szefem, prawda?

– Masz rację. Właściwie to jesteś szefem mojego szefa.

Zignorował moje słowa.

– Spotykamy się.

– Mam zasadę, że nie chodzę na randki z szefem, więc... – Zamknęłam oczy i westchnęłam. Bardzo chciałam, żeby ta podróż już się skończyła. Może wraz z zamkniętymi oczami cały ten dramat się skończy.

Usłyszałam, jak wzdycha, jakby z wściekłością. Jego nogi ciągle dotykały moich. Czułam ciepło jego ciała przenikające warstwy ubrań.

Nie otwierając oczu, spytałam:

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, kim naprawdę jesteś?

– Powiedziałem. I to nie raz.

Powoli wypuściłam powietrze z płuc.

– Wiesz, o co mi chodzi – zaproponowałam. Uniosłam powieki i napotkałam jego gniewne spojrzenie. – Wiedziałeś, że źle cię zrozumiałam. Dlaczego nie sprostowałeś?

Jego oczy zapłonęły z oslepiającą intensywnością. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał surowo:

– Gdybym ci powiedział, czy zostałabyś ze mną na koncercie? Pozwoliłabyś, żebym cię pocałował? Poszłabyś ze mną na kolację? Zostałabyś w parku? – zapytał, mrużąc oczy, a ja czułam, jak zapadam się w sobie, widząc, jak z każdym słowem jego twarz przybiera coraz bardziej obojętny wyraz.

Pokręciłam powoli głową.

– Nie – odpowiedziałam szczerze. – Nie. Nie zrobiłabym tego. Ale przecież wiedziałeś, że prędzej czy później poznam prawdę.

Odwrócił wzrok i poprawił krawat, wygładzając jedwabny materiał.

– Tylko że miałem nadzieję, że wtedy nie będzie to już miało znaczenia – odpowiedział, a jego głos przesiąknięty był przygniatającym sarkazmem.

Samochód zwolnił, po czym się zatrzymał. Z trudem przełknęłam ślinę, czując w gardle wielką gulę. Nie chciałam zadawać tego następnego pytania, ale musiałam się tego dowiedzieć. Lepiej było wiedzieć.

– Co masz zamiar teraz zrobić?

W jego głosie nie było słyhać żadnych emocji, jego twarz była maską.

– W jakim sensie? – spytał niemal znudzonym tonem.

– Pytam, czy nadal mam pracę.

Drgnął gwałtownie, jakbym go spoliczkowała. Rozchylił usta, a jego ciemne brwi opadły na oczy, które zdawały się ciskać pioruny w moją stronę.

– Co takiego? – Przez chwilę wyglądał na kompletnie oszołomionego.

Uniosłam podbródek i chwyciłam się skórzanej kanapy.

– Czy nadal mam pracę?

Drzwi samochodu otworzyły się, a moje oczy automatycznie zwróciły się w stronę światła i mojej drogi ucieczki.

Quinn nie poruszył się ani nic nie odpowiedział. Kiedy z powrotem przeniosłam na niego swoją uwagę, nie wyglądał już tak groźnie jak wcześniej, a jego spojrzenie zdecydowanie złagodniało. Milczące zrozumienie malujące się na jego twarzy przygnębiało mnie jeszcze bardziej niż poprzedni chłodny stoicyzm. Westchnęłam i przesunęłam się bliżej drzwi. Wmawiałam sobie, że chcę jak najszybciej zapomnieć o tej podróży samochodem, zapomnieć, że Quinn kiedykolwiek był kimś więcej niż tylko moim szefem.

Wysiadłam jako pierwsza i podeszłam do bagażnika. Miałam nadzieję, że uda mi się chwycić swój bagaż i zniknąć w tłumie w wielkim kasynowym lobby. Bałam się, że mogę się popłakać. Limuzyna numer dwa zbliżała się już do celu, ale nadal pozostawała nieco w tyle za nami.

Poczułam, jak Quinn staje za mną. Jego ręka zacisnęła się na moim ramieniu tuż nad łokciem. Ciepło jego słów owiało moje ucho i moją szyję, sprawiając, że zadrżała mimo gorącego słońca Las Vegas.

– Znajdę cię później.

Odwróciłam się w jego stronę, ale on zdążył już mnie puścić i szedł teraz w stronę lobby, oddalając się ode mnie.

Byłam jak Rudolf czerwono-nosy renifer, tylko że ze szkarłatnym rumieńcem zamiast czerwonego świecącego nosa. A Quinn Sullivan zapalał i gasił moje czerwone światełko jak chciał i kiedy chciał. Z takim rumieńcem mogłam równie dobrze prowadzić przez mgłę sanie Świętego Mikołaja – albo prywatny odrzutowiec. Był jak światło ostrzegawcze, mieszanka wstydu, upokorzenia, przyjemności, niegodziwości, świadomości, frustracji i, owszem, również złości.

Później jednak przybrałam normalny, jasnobezowy odcień. Udawałam, że z zainteresowaniem słucham, jak Quinn przedstawia prezentację, którą nasz zespół przygotował wspólnie na to spotkanie. Było to omówienie środków bezpieczeństwa w klubie Outrageous, plan nowego klubu w Vegas, na który naniesiono zlokalizowane uprzednio słabe punkty, porównanie standardów zarządzania różnymi systemami zabezpieczeń w ramach całej nieruchomości, w tym kasyna, i tak dalej. To była bardzo dobra prezentacja. Znałam ją na pamięć.

Nie usłyszałam z niej ani słowa po części dlatego, że znałam ją na pamięć, a po części dlatego, że to Quinn ją przedstawiał. Przez całe pół godziny udawałam, że z uwagą słucham treści prezentacji, kiedy tak naprawdę obserwowałam wspaniałe, zwinne ruchy prelegenta, intonację jego głosu, głębię jego kobaltowych oczu, *kształt jego...*

Z premedytacją zamrugałam i potrząsnęłam lekko głową, żeby zawrócić myśli na właściwy tor. Na szczęście światło w pomieszczeniu było przyciemnione na czas prezentacji.

Aż do tego momentu całe popołudnie pamiętałam jak przez mgłę. Tuż po tym, jak Quinn zostawił mnie na płycie lotniska przed limuzyną numer jeden, podjechała limuzyna numer dwa ze Stevenem, Carlosem i Olivią. Carlos nie wyglądał na zaskoczonego, że czekam na nich zupełnie sama, życzliwie włączył mnie do ich grupy i pomógł z zameldowaniem w hotelu. Tak naprawdę jedyne, co musiałam robić, to posłusznie dreptać za nim. On zajął się całą resztą. Wręczył mi nawet klucz, powiedział, który pokój jest mój i którędy idzie się do wind.

Ustaliliśmy, że spotykamy się w lobby za godzinę i rozeszliśmy się do swoich pokoi. W tym czasie nie robiłam zbyt wiele – zamartwiałam się, skorzystałam z łazienki, umyłam zęby i przejrzałam listę dostępnych kanałów telewizyjnych, a potem ruszyłam z powrotem na dół, uzbrojona w teczkę i iPada. Carlos i Olivia siedzieli naprzeciwko siebie na wielkich, złotych, bogato zdobionych kanapach. Nie rozmawiali ze sobą, raczej siedzieli razem, ale oddzielnie, każde z nich pochłonięte zawartością swojego telefonu komórkowego.

Rozejrzałam się wokół pełna obaw. W lobby nie było ani Quinna, ani Stevena. Carlos zauważył mnie pierwszy. Kiedy się do nich zbliżyłam, obydwójce z Olivią jednocześnie powoli się podnieśli. Dopiero wtedy zauważyłam, że jest jeszcze trzecia osoba, która wstała razem z nimi, również pochłonięta swoim telefonem komórkowym. Był to mężczyzna przeciętnego wzrostu, odrobinę wyższy ode mnie, o zupełnie zwyczajnych blond włosach z rudym odcieniem, zupełnie zwyczajnych niebieskawych oczach i zupełnie zwyczajnych, delikatnych piegach, które pokrywały jego policzki, ale,



o dziwo, nie jego nos.

Szybko zostaliśmy sobie przedstawieni. Nieznajomy okazał się bratankiem właściciela kasyna i managerem nowego klubu. Miał na imię Alex albo Adrien, albo Aiden, albo Aleen... w każdym razie jakoś na „a”. Ja zostałam mu przedstawiona jako pani Morris, księgowa do spraw rachunkowości i opiekun klienta. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Możliwe, że uśmiechnął się do mnie i przytrzymał moją dłoń odrobinę za długo. Możliwe, że nawet do mnie mrugnął. Nie byłam w nastroju, żeby zwracać na to wszystko uwagę.

Allen, Aiden, czy jak mu tam było, miał oprowadzić nas po nowym klubie, tym klubie, którego ochroną mieliśmy się zająć i którego dotyczyła wcześniejsza prezentacja. Próbowałam zmusić się do wykrzesania z siebie choćby iskiejki profesjonalizmu i zainteresowania albo przynajmniej choć odrobiny ludzkiej ciekawości.

W trakcie jazdy windą na górę zostałam poinformowana przez Olivię, że Quinn i Steven udali się na oddzielne spotkanie, z prywatnym klientem – spotkanie, na które nie zostałam zaproszona. Posłałam jej sztywny, obojętny uśmiezek.

Przechadzka po klubie była w porządku. Klub był w porządku, chociaż wyglądał trochę niepokojąco bez tłumu imprezowiczów, a dodatkowo był jasno oświetlony za sprawą okien z zachodnią ekspozycją. Wyglądał zupełnie inaczej niż Outrageous i przypominał typowy nocny klub. Chociaż trzeba było przyznać na ich usprawiedliwienie, że wystrój wyraźnie nie został jeszcze dokończony. Kilku mężczyzn, zapewne pracowników budowy, wchodziło i wychodziło z głównego pomieszczenia, ale nie marnowałam na nich swojej mentalnej energii.

Zjedliśmy razem lunch przy czarnym stole przy jednym z okien. Nie dostrzegałam widoku Las Vegas Strip ani rozciągających się za nim kanionów i grani.

Dryfowałam bezmyślnie przez kolejne etapy spotkania, nie czując smaku jedzenia, odzywając się, tylko kiedy do mnie mówiono, odpowiadając na pytania, ale nie zadając własnych. Byłam kompletnie niezainteresowana tym, co działo się wokół, co powinno mnie martwić, ale nie martwiło.

Odwiedziliśmy jeszcze kilka pomieszczeń na piętrze, gdzie znajdowało się kasyno, skrytki i kilka miejsc w piwnicy. Wreszcie, po trudnym do ustalenia czasie, spędzonym na banalnych pogawędkach, zostaliśmy zaprowadzeni do sali konferencyjnej, gdzie podstawiono nam pod nos kawę, herbatę i wodę ogórkową. Manager klubu wyszedł na chwilę, a w tym czasie Carlos i Olivia przygotowywali salę do prezentacji. On wyciągnął pendrive, a ona układała teczki z wydrukowanymi materiałami przed każdym ze skórzanych foteli przy długim stole konferencyjnym.

I wtedy na sali pojawili się Steven i Quinn. Nagle, niespodziewanie, mój umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach. Zaczęłam zauważać różne rzeczy.

I nie mogłam przestać.

Zauważyłam, że nie patrzył w moją stronę ani nie odzywał się do mnie, i że wybrał fotel usytuowany jak najdalej od mojego.

Zauważyłam, że to Carlos nas przedstawiał, kiedy pojawił się klient, pan Northumberland – wysoki, opalony mężczyzna po pięćdziesiątce o ciemnych oczach i szpakowatych włosach. Był właścicielem kasyna. Jego bratanek, Aiden czy tam Allen,

czy Alex, w każdym razie na „a”, wszedł do sali tuż za nim, a potem weszła jeszcze ich świta w postaci czterech mężczyzn i trzech kobiet. Podejrzewałam, że ich nazwiska były tutaj bez znaczenia. To nie oni podejmowali decyzje. Równie dobrze mogliby być elementem wystroju.

Zaczął się od zdawkowych uprzejmości, krótkich gadkach o futbolu. Ktoś wspomniał, że na zewnątrz jest gorąco. Zapytano mnie, czy miałam już okazję pograć w kasynie. Chciałam odpowiedzieć, że życie jest grą hazardową, w której wszyscy prędzej czy później przegramy. Powstrzymałam jednak swoją emo-posepność. Odpowiedziałam, że nie, i natychmiast zajęłam swoje miejsce.

Wtedy zaczęła się prezentacja. Chociaż aktualny kolor mojej twarzy był całkiem normalny, wiedziałam, że to tylko kwestia czasu, zanim Quinn powie albo zrobi coś, co uruchomi moje czerwone światło. Ten facet był w posiadaniu czerwonego guzika do obsługi Janie i używał go nieustannie.

Zauważyłam, że pan Northumberland wyglądał na bardzo niecierpliwego człowieka – niecierpliwił się, że prezentacja jeszcze się nie zaczęła, niecierpliwie dopytywał, czy uda się wdrożyć na czas wszystkie elementy zabezpieczeń. Kilukrotnie przerywał Quinnowi pytaniami w stylu: „A ile to zajmie czasu?”, „Ale chyba macie już wszystko, czego potrzebujecie?” albo: „Czy to w jakikolwiek sposób opóźni projekt?”.

Kiedy prezentacja dobiegła końca, Olivia wstała i zapaliła światła, a Quinn polecił pracownikom kasyna otworzyć leżące przed nimi teczki. Przeprowadził ich krok po kroku przez proces wdrażania zabezpieczeń, kolejne etapy realizacji projektu, środki, które zapewnimy, oraz koszty. A potem dodał coś, co zaskoczyło nie tylko mnie, ale i resztę naszego zespołu:

– Budżet, który tutaj przedstawiliśmy, to wstępne szacunki. Planujemy modernizację naszej struktury rozliczania, dzięki czemu zapewnimy naszym klientom korporacyjnym większą przejrzystość danych. Kiedy następnym razem będziemy prezentować szacunki, jak i faktury, znajdziecie tam szczegółowe informacje o każdej pozycji.

Pan Northumberland pokiwał głową, najwyraźniej z uznaniem, bo odpowiedział:

– Świetnie, to naprawdę świetnie. Byle tylko nie spowodowało to jakichkolwiek opóźnień.

Quinn zapewnił go, że wprowadzane przez nas zmiany nie spowolnią projektu, a następnie przeszedł do omawiania wymagań dotyczących okablowania i usług sieciowych. Mogłam tylko przyglądać mu się z ukrywanym niedowierzaniem.

Poczułam, jak Steven kopie mnie lekko pod stołem i odwróciłam wzrok w jego stronę. Miał niesamowitą umiejętność jednoczesnego wytrzeszczania i mrużenia swoich szarych oczu, co bardzo mi imponowało. Teraz również posyłał mi jedno z takich spojrzeń. Miało wyrażać zaskoczenie i podejrzliwość. Ledwo dostrzegalnie pokręciłam głowę z nadzieją, że zrozumie taką formę komunikacji. Nie miałam pojęcia, dlaczego Quinn postanowił akurat w takim momencie wspomnieć o moim pomysle na zmiany w sposobie rozliczeń ani dlaczego i kiedy podjął decyzję o tym, że Cypher Systems przeniesie się na nowy software w stu procentach.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem obserwowana przez Olivię. Naprawdę

trudno było nie zauważyć morderczych spojrzeń posyłanych w moją stronę, nawet kątem oka. Postanowiłam, że nie będę koncentrować się na ciskanych sztyletach, ani na szczegółach projektu, o których mówił Quinn, ani na ukradkowych spojrzeniach Stevena. Zamiast tego wpatrywałam się tępo w dwuwymiarowy plan architektoniczny klubu, znaleziony w leżącej przede mną teczce.

Nowy system rozliczeń to naprawdę nie była taka wielka sprawa. Nie podejrzewałam, żeby choćby w najmniejszym stopniu obchodziło to pana Northumberlanda albo któregoś z jego sługusów.

Po co to zrobił? Po co w ogóle o tym wspomniał?

*To nic wielkiego. To nie ma znaczenia. Przestań popadać w obsesję.*

Mój wzrok błędził po liniach planu. Postanowiłam zająć czymś myśli – przyglądałam się stworzonej komputerowo topografii klubu i porównywałam ją z przestrzenią, którą wcześniej oglądaliśmy. Jak się okazało, analiza planu bardzo skutecznie zajęła moje myśli.

Zmarszczyłam brwi, mrugnęłam, sprawdziłam jeszcze raz. Spochmurniałam jeszcze bardziej.

Plan załączony do materiałów prezentacji nie pokrywał się z powierzchnią, rozkładem ani wyposażeniem klubu, który oglądaliśmy wcześniej.

Najwyraźniej westchnęłam nieco zbyt głośno albo wydałam z siebie jakiś inny odgłos niezadowolenia, bo nagle w pomieszczeniu zapadła cisza. Gdzieś po mojej prawej stronie rozległo się chrząknięcie. Podniosłam wzrok. Wszyscy, łącznie z Quinnem, gapili się na mnie.

– Panno Morris... – Quinn brzmiał teraz bardzo jak pan Sullivan. – Czy chciałaby pani coś dodać?

Patrzyłam to na Quinna, to na Carlosa, to na Allena (czy Alexa albo Andrew, czy jak tam nazwali go rodzice), to na naszego klienta, pana Northumberlanda. Stałam nad przepaścią. Byłam na swoim pierwszym spotkaniu z klientem, byłam najmłodsza doświadczeniem. Nie byłam nawet pewna, czy dostałam tę pracę ze względu na swoje umiejętności, czy też więcej miały w tej sprawie do powiedzenia moje szpilki w rzucik zebry. Czułam, że powinnam uśmiechnąć się uprzejmie i przeprosić albo zasymulować atak kaszlu, żeby zatuszować wcześniejszy, niezamierzony dźwięk. Albo udać, że cierpię na zespół Tourette'a.

Albo mogłam poinformować zebranych, że nasze wyceny oparte były na niedokładnych planach, co mogło być skutkiem albo zwykłego przeoczenia albo, co gorsza, świadomego wprowadzenia nas w błąd przez klienta.

*A co mi tam. Co mam do stracenia?*

Oblizałam usta i położyłam splecione dłonie na stole.

– Owszem, mam. Zanim przejdziemy do dalszych zagadnień, chciałabym zatrzymać się na chwilę przy planie stworzonym przy pomocy programu AutoCAD i poprosić o wyjaśnienie, dlaczego pomieszczenia klubu, które dziś oglądaliśmy, nie są zgodne z planami, które kasyno przesłało nam w zeszłym miesiącu i które uwzględnione są w przygotowanych na dzisiaj materiałach. Wszystkie nasze estymacje oparte były właśnie na planach przygotowanych w tym programie.

Zapadła cisza, podczas której cała grupa najwyraźniej przyswajała usłyszane właśnie informacje. Po chwili wszystkie oczy zwróciły się w stronę bratanka – Allena. Alexa, Andrew, Aidena. Ja również na niego spojrzałam.

Wyglądał na bardzo zakłopotanego. Jego wzrok skakał po całym pokoju, by na koniec zatrzymać się na panu Northumberlandzie. Po chwili z jego ust wyrwał się krótki, nerwowy chichot.

– Różnice są naprawdę niewielkie. To praktycznie to samo.

Zmarszczyłam brwi, czując, że kilka par oczu wystrzeżło teraz spojrzeniami w moją stronę, ale postanowiłam skoncentrować się na bratanku.

– Z całym szacunkiem, nie mogę się z panem zgodzić. W klubie są dwie ściany działowe, które nie zostały uwzględnione w cyfrowym planie architektonicznym. Obecnie w pomieszczeniu znajdują się okna wychodzące na zachód, jest tam również zewnętrzne patio, a na planie nie ma ani okien, ani patio. Dodatkowo metraż klubu jest co najmniej o trzysta metrów większy niż na planie, i to nie licząc patio – powiedziałam i odważyłam się spojrzeć w stronę Quinna.

Nie byłam w stanie nic odczytać z jego twarzy. Mogło to wynikać bardziej z mojego aktualnego stresu, związanego z wszelkimi okołociachowymi tematami, niż z jakichś wyjątkowo intensywnych starań z jego strony. Jego spojrzenie nie było ani wrogie, ani życzliwe. Z całą pewnością mogłam za to powiedzieć, że było uważne.

Bratanek wiercił się niespokojnie na swoim krześle, jakby nie mógł się na nim wygodnie usadowić.

– To jakiś absurd. Chyba nie powie mi pani, że potrafi odczytywać schematy architektoniczne.

– Tak się akurat składa... – Quinn odwrócił ode mnie wzrok i zwrócił się do pana Northumberlanda, który po raz pierwszy nie czuł potrzeby, żeby mu przerwać. – Tak się akurat składa, że panna Morris doskonale potrafi odczytywać takie schematy, ponieważ ukończyła z wyróżnieniem Iowa State University z dwoma specjalizacjami: architektura i matematyka. Widzi pan, jeśli chodzi o architekturę, Iowa State jest jedną z czołowych uczelni w kraju.

Drgnęłam odrobinę, prawie niezauważalnie dla kogoś, kto by mnie obserwował, kiedy Quinn wyliczał moje kwalifikacje. Nie miałam pojęcia, że był tak obeznany z moimi osiągnięciami akademickimi. Jego słowa sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze o mnie wie i kiedy stał się takim ekspertem w temacie.

Mina pana Northumberlanda wyrażała zaskoczenie połączone z nagłą niecierpliwością. Poczulałam ulgę, kiedy skierował swoje piorunujące spojrzenie w stronę bratanka.

– Allen, czy to prawda? To absolutnie niedopuszczalne! Jeśli spowoduje to jakiegokolwiek dodatkowe opóźnienia...

Quinn wtrącił się gładko:

– Panie Northumberland, możemy dostosować naszą strategię do nowej sytuacji w wyznaczonym wcześniej terminie, jeśli rzeczywiście czas jest w tym wypadku kluczowy. Niemniej, jeśli chodzi o koszty... – Quinn westchnął, zamknął leżącą przed nim teczkę i oparł się na swoim fotelu. – Nie mogę zagwarantować, że koszt projektu się nie

zmieni.

Bez żadnego ociągania ani pretensji mężczyzna pochylił się naprzód i wycelował w Quinna palcem.

– Jeśli tylko zdążycie na czas, dam wam nawet trzykrotnie większy budżet – oznajmił, rzucając ciężkie spojrzenie swojemu bratankowi. – Absolutnie nie mogę pozwolić sobie na dalsze opóźnienia.

Quinn kiwnął głową, a po chwili podniósł się gwałtownie. Patrzyłam, jak swoimi długimi palcami zapina górny guzik marynarki.

– W takim razie na tym możemy dziś zakończyć. Nie widzę powodu do dalszych pretensji i dyskusji. Najważniejsze, żebyśmy zabrali się do roboty.

Northumberland również wstał, niemal ochoczo. Jego świta także podniosła się z miejsc. Przywodzili na myśl pływaków synchronicznych, tylko w garniturach.

– Szanowny panie, zgadzam się w całej rozciągłości – odpowiedział ich szef. Wyciągnął rękę w stronę Quinna i uścisnęli sobie ręce przez stół. – Ma pan naprawdę świetny zespół.

Steven rzucił w moją stronę znaczące spojrzenie, a ja w odpowiedzi uniosłam brew i wzruszyłam ramionami z udawaną nonszalancją, mimo że w środku wydawałam z siebie urywane, ostrożne westchnienie ulgi.

Zaryzykowałam. Miałam tylko nadzieję, że to wystarczy, aby utrzymać stanowisko.

\*\*\*

Carlos i Quinn zniknęli gdzieś tuż po zakończeniu spotkania, a ja wymiksowałam się z kolacji ze Stevenem, wymawiając się bólem głowy. Oczywiście Steven nadal groził mi obietnicą wspólnego nocowania. Uśmiechnęłam się wymijająco, rozbawiona jego życzliwymi żartami, ale zupełnie nie miałam ochoty na towarzystwo. Chciałam zaszyć się w swoim pokoju w samotności, z butelką wina, hamburgerem i HBO.

Zanim uciekłam, Steven przypomniał mi, że nasze spotkania zaplanowane na następny dzień zostały odwołane i że odlot przewidziany jest na piętnastą. zaproponował, żebyśmy spotkali się w ciągu dnia i połazili trochę po Vegas przed wyjazdem. Ponownie nie odniosłam się do jego propozycji. Czułam się jak ostatnia łajza.

Naprawdę bolała mnie głowa. Była przeciążona od chaosu panującego w moich myślach. Musiałam ustalić, co powinnam, czego pragnęłam, co było słuszne i czy istniał jakikolwiek punkt wspólny dla tych trzech zbiorów.

Wiedziałam, że powinnam zachować bezpieczny dystans między sobą a osobnikami płci męskiej – Jonem i Quinnem, jak również nie stracić pracy i przeorganizować swoje życie w taki sposób, żeby przywrócić w nim spokój i porządek.

Pragnęłam rzucić się na Quinna i zachowywać się jak zadurzona nastolatka.

I zupełnie nie wiedziałam, co było słuszne.

Kiedy obsługa hotelowa przyniosła moje zamówienie, wzięłam butelkę wina i udałam się z nią do wanny na kąpiel z pianą. Wanna nie była choćby w połowie tak zachwycająca jak jacuzzi w mieszkaniu, które oglądałam z Quinnem, ale w tej chwili była idealna dla moich potrzeb.

Niemniej jednak po godzinie samotnego picia w wannie nie czułam się ani trochę

bliżej znalezienia rozwiązania dla swojego dylematu. Zamiast tego została mi tylko pusta butelka po winie, palce pomarszczone jak suszone śliwki i jeszcze więcej pytań kołaczących się po głowie.

Właśnie się ubierałam, kiedy usłyszałam stanowcze pukanie do drzwi. Było tuż po dziewiątej trzydzieści. Naturalnie uznałam, że to Steven postanowił spełnić swoją groźbę i przyszedł nocować. W efekcie tego lekkomyślnego założenia nie spojrzałam przez wizjer, tylko po prostu otworzyłam drzwi.

I był to z mojej strony wielki, żeby nie powiedzieć monstrualny, błąd.

Gdybym przed otwarciem drzwi zobaczyła Quinna w dziurce w drzwiach, miałabym czas się przygotować. Mogłabym udać, że śpię. Mogłabym przewrócić na siebie jakiś ciężki mebel. Albo po prostu wyskoczyć przez okno z trzydziestego piętra.

Ale ponieważ tego nie zrobiłam, patrzyłam teraz na niego, nieco podpiita i kompletnie zaskoczona. Moje narządy i grupy mięśni były bezradne wobec zachodzących we mnie reakcji chemicznych, które zamieniały je w zamarzną, a jednocześnie galaretowatą breję. Moje serce, naturalnie, skakało jak na sprężynie prosto do gardła. Nagle uświadomiłam sobie, że ubrana jestem tylko w biały top na ramiączkach, stanik i majtki, czyli, de facto, stoję przed nim w bieliźnie.

Chciałabym móc powiedzieć, że stojąc twarzą w twarz z Quinem Sullivanem i jego powłóczystym spojrzeniem, jego imponującą, umięśnioną sylwetką w moich drzwiach, z wielkimi dłońmi, opartymi o framugę, oraz po wypiciu butelki wina, praktycznie w ogóle nie zareagowałam na jego obecność ani fizycznie, ani emocjonalnie.

Niestety, gdybym tak powiedziała, byłabym kłamczuchą – bardzo niegrzeczną kłamczuchą.

Quinn, zawieszony w próżni między byciem w moim pokoju a poza nim, wciąż miał na sobie swój czarny garnitur, białą koszulę i niebieski jedwabny krawat.

Niemniej był wyraźnie rozchełstany.

Poluzowany krawat krzywo wisiał u szyi. Jego koszula była pognieciona po całym dniu noszenia. Włosy w nieładzie sterczały na wszystkie strony. Jego podbródek i szczękę zaczynał powoli pokrywać cień zarostu. Oczywiście nadal wyglądał jak model prosto z okładki GQ, tyle tylko, że zamiast wersji eleganckiej miałam przed sobą wersję niegrzeczną.

Nie pomagał wcale fakt, że nic nie mówił. Tylko... patrzył.

Z początku tylko patrzył mi w oczy. Potem popatrzył w górę, potem w dół, potem na boki. Robił to wszystko z taką rozmyślną, leniwą bezczelnością, że miałam poczucie, jakbym była towarem na półce, a on rozważał zakup. Przez mój zamroczony alkoholem umysł korciło mnie bardzo, żeby zapytać, czy szuka czegoś konkretnego, czy tak się tylko rozgląda.

Tak czy inaczej, jego oczy były słoniem, a moje wszelkie wcześniejsze próby zachowywania dystansu składem porcelany, którą roztrzaskiwał na kawałki – *bum, bum, bum*.

Wzięłam głęboki oddech, ale z jakiegoś powodu nie byłam w stanie wypuścić go z płuc. Bardzo możliwe, że przypominałam w tym momencie czerwono-nosowego renifera, oślepionego światłem reflektorów.

Wtedy się poruszył.

– Mogę wejść? – powiedział tonem bardziej twierdzącym niż pytającym i nie udając nawet, że moja odpowiedź ma jakiegokolwiek znaczenie, wszedł do środka. Ja nadal stałam, trzymając drzwi, patrząc za nim.

– Ja nie... Ja... no, cóż... jeśli... w sumie... no dobrze.

Kiedy mnie mijał, poczułam zapach whisky. Jego skóra i ubranie nadal przesiąknięte były wodą po goleniu albo mydłem, którego używał.

Pachniał bardzo smakowicie. *Bum, bum, bum.*

Po kolejnych trzech, może czterech sekundach wypuściłam wreszcie powietrze i jakby na szwankującym autopilocie, z wahaniem zaczęłam zamykać drzwi. Poruszając się w zwolnionym tempie, co chwila zmieniałam zdanie odnośnie tego, czy należało albo wypadało mi zamykać drzwi w sytuacji, gdy szef mojego szefa rozglądał się właśnie po moim pokoju hotelowym.

Mój wewnętrzny dialog przebiegał mniej więcej w taki sposób: *Zostaw drzwi otwarte! Ale jeśli ktoś będzie przechodził obok, to będzie dziwnie wyglądało! A kogo to obchodzi? Jak to kogo? Mnie obchodzi! Dlaczego właściwie mnie to obchodzi? Zamykaj te drzwi! Nie możesz ich zamknąć, jesteś w samej bieliźnie! A za zamkniętymi drzwiami może... do czegoś dojść. Sytuacja wygląda następująco: jestem w swoim pokoju hotelowym, w samej bieliźnie, w towarzystwie Quinna, a moje wewnętrzne hamulce są zbyt zamroczone winem, żeby skutecznie działać. To jakby zamknąć się na klucz w sklepie z czekoladkami. Oczywiście, że będziesz chciała czegoś spróbować! Nie próbuj niczego! Nawet niczego nie wachaj! Jeśli powąchasz, będziesz chciała spróbować. Nie wachaj go już więcej... Koniec. Z. Wąchanie. Mam nadzieję, że nie zauważy pustej butelki po winie... Załóż coś na siebie. Czy to będzie dziwne, jeśli zacznę się przy nim ubierać? Och, mam taką ochotę na czekoladę... Nie, nie! Ubranie!*

Wreszcie drzwi zamknęły się, mimo że nie podjęłam co do tego świadomej decyzji. Wzięłam głęboki, uspokajający oddech, odwróciłam się i ruszyłam za Quinnem, zachowując pewien dystans, by po chwili uciec na drugą stronę pokoju, jak najdalej od miejsca, w którym przystanął. Zauważyłam moją koszulkę do ćwiczeń leżącą na łóżku i podjęłam próbę założenia jej ukradkiem.

Quinn zwrócony był plecami do mnie i leniwie krążył po pokoju. Najwyraźniej nigdzie mu się nie spieszyło. Na widok mojego laptopa przystanął i przez krótką chwilę wpatrywał się w ekran.

Wydawał się zagubiony i odrobinę bezbronny. *Bum, bum, bum.*

Wykorzystałam ten moment i włożyłam spodnie dresowe i bluzę, które wyciągnęłam z walizki. Ubierałam się w takim pośpiechu, że założyłam bluzę tył na przód, z dekoltem w kształcie „V” na plecach i z metką z przodu, ale postanowiłam zignorować ten fakt i chwyciłam jeszcze kurtkę wiszącą w szafie za moimi plecami i włożyłam na siebie.

Quinn podszedł do okna i podziwiał widoki, podczas gdy ja wciskałam stopy w skarpety i ręcznie robione na drutach papucie, które Elizabeth dała mi na Gwiazdkę.

Przypominałam tornado nieskoordynowanych ruchów, kiedy tak tajniacko i na oślep narzucałam na siebie kolejne elementy garderoby. Możliwe, że próbowałam

zrekompensować wcześniejsze braki w tym zakresie. W każdym razie przerwałam ubieranie dopiero w momencie, w którym Quinn niespiesznie odwrócił się w moją stronę. Zamarłam w pół gestu z rękami na głowie, na którą wciskałam właśnie białą czapkę, kolejny zrobiony na drutach prezent od Elizabeth.

Quinn westchnął.

– Musimy porozmawiać o twojej sio... – zaczął i urwał w pół zdania, kiedy podniósł na mnie wzrok.

Jego rysy, wyrażające w tym momencie coś na kształt osłupiałego oszołomienia, otulało ciepłe światło pobliskiej lampki.

Miał w tym momencie szczerze zaskoczony i nieco chłopięcy wyraz twarzy. *Bum, bum, bum.*

Zmrużył lekko oczy i omiółł hipnotyzującym spojrzeniem moją kompletnie zakrytą sylwetkę. Jedynymi widocznymi częściami ciała były ręce i twarz. Gdybym myślała jasno i trzeźwo, najpewniej poczułabym się w tym momencie co najmniej idiotycznie. Jednak jako że zdecydowanie nie myślałam w tym momencie jasno i zdecydowanie nie byłam w tym momencie trzeźwa, przeklinałam siebie w duchu za to, że zostawiłam w Chicago swoje rękawiczki oraz nerwowo rozglądałam się za okularami.

Poruszył się w miejscu, wbił ręce w kieszenie i obserwował mnie z nieskrywanym, rosnącym rozbawieniem.

– Wybierasz się gdzieś?

Przełknęłam ślinę i próbowałam wzruszyć ramionami, ale zupełnie mi to nie wyszło pod tyłoma warstwami ubrań.

– Tak. – Uniosłam podbródek, czując nagłe uderzenie gorąca, które uświadomiło mi z kolei, jak upalnie musi być tutaj na dworze, nawet o wpół do dziesiątej wieczorem. Zaraz więc sprostowałam: – Właściwie to jeszcze się nie zdecydowałam.

Lekko przechylił głowę na bok, uśmiechając się kącikiem ust, a potem powolnym, bardzo powolnym krokiem ruszył w moją stronę, jak drapieżnik zbliżający się do swojej ofiary. Jakby obawiał się, że każdy nazbyt gwałtowny ruch może znowu uruchomić u mnie tryb tornada.

– A gdzie planowałaś wyjść?

– Pograć trochę w kasynie – wypaliłam. Było to jedyne, co przyszło mi do głowy w moim nieco nietrzeźwym stanie. W końcu nocowaliśmy w hotelu w światowej sławy kasynie w Las Vegas.

– Och, doprawdy? – spytał swobodnym tonem, jakbym mówiła mu właśnie o promocyjnych cenach w sklepie Save-A-Lot. – A w co zamierzałaś grać, jeśli mogę spytać?

– W pokera. – Chciałam skrzyżować ręce na piersi, ale w związku z ilością ubrań na sobie i problemami z koordynacją, napotkałam na opór. Moje ruchy były mocno ograniczone.

– W pokera. – Kiwnął głową, unieruchamiając mnie spojrzeniem z wyraźnie sceptycznym i odrobinę rozbawionym wyrazem twarzy. – Czy w miejscu, gdzie masz zamiar grać w pokera, jest bardzo zimno?

Nawet nie zauważyłam, jak się do mnie zbliżył. Najpierw był na drugim końcu



pokoju, a po chwili stał tuż naprzeciwko mnie, oddzielało nas nie więcej niż metr powietrza i ubrań.

– N-nie... niekoniecznie. Po prostu chciałam być przygotowana.

– Na arktyczne temperatury?

– Na różne ewentualności.

– Jak na przykład? Poker w zamrażarce?

– Jak rozbierany poker – wypowiedziałam te słowa, zanim mój mózg zdążył je przeanalizować. Ponieważ dzielił nas niewielki dystans, zobaczyłam w jego oczach coś dokładnie przeciwnego do spokoju. Przygryzłam wargę, żeby mieć pewność, że nie palnę już żadnej głupoty. Czulałam, że miałam nieco zbyt szeroko otwarte oczy, a spojrzenie uważne i zawstydzone słowami, jakie wydobyły się z moich ust.

Quinn przełknął ślinę, a jego wyraz twarzy gwałtownie się zmienił. Nadal był równie intensywny, ale już nie tak prześmiewczy.

– Moglibyśmy... – Jego spojrzenie przemknęło po moich ustach i zawisło na moim czole. – Moglibyśmy zagrać w rozbieranego pokera tutaj.

Moje wytrzeszczone oczy otworzyły się jeszcze szerzej. Mrugałam nerwowo raz za razem.

– J-j-ja... – Wyciągnęłam rękę w poszukiwaniu czegoś, czego mogłabym się przytrzymać. Ostatecznie oparłam się o ścianę za moimi plecami. – Nie mogę... nie możemy tego zrobić.

– Ale przecież przed chwilą byłaś gotowa grać w rozbieranego pokera z obcymi? – Przyglądał mi się z bardzo bliska.

– Nooo... tak. – Była to doprawdy dziwna konwersacja, bo mówiłam to zarówno dosłownie, jak i teoretycznie. Teoretycznie mogłabym zagrać w rozbieranego pokera z obcymi, w zależności od okoliczności i tożsamości obcych, ale nie miałam takiego dosłownego zamiaru.

Quinn natychmiast zripostował:

– A gdybym to ja grał w pokera – rozbieranego pokera – przy jedynym pokerowym stole w kasynie, nadal zdecydowałabyś się zagrać?

Zawahałam się. Czułam, że chce zwabić mnie w pułapkę, której jednym z elementów miało być pozbawianie go ubrań. Była to całkiem kusząca wizja.

– Nie – odpowiedziałam niechętnie.

– Dlaczego nie?

– Bo ty... to ty. – Pogratulowałam sobie w duchu, że nie zabrzmiałam bełkotliwie, mimo że kropelki potu zbierały się na moim karku i dekolcie.

– Ufasz mi?

– Czasami.

– Czasami? – Uniósł lekko brwi. – Przecież zawsze byłem wobec ciebie szczery.

– Formalnie rzecz biorąc tak.

– Czy sądzisz, że mógłbym cię skrzywdzić?

Jego pytania padały z prędkością strzałów, a sposób, w jaki na mnie patrzył, w połączeniu z moim dobrowolnie nałożonym kombinezonem termoizolacyjnym oraz niezbyt rozsądną ideą picia w samotności sprawiły, że zaczynało kręcić mi się w głowie.

Zawahałam się znowu, zanim powiedziałam:

– Nie wiem.

Zmarszczył brwi na moją odpowiedź, ale nie ustępował.

– Nie uważasz, że każdy zasługuje na szansę?

– Szansę?

– Tak, szansę.

– Jaką... jaką szansę? – Głos mi trochę drżał, wyraz jego twarzy pozostawał nieodgadniony, ale jego spojrzenie... jego spojrzenie było ciemne, zdeterminowane i niemal przerażające w swojej intensywności.

To jego cholerne powłóczyście spojrzenie. *Bum, bum, bum.*

– Szansę, żeby się wykazać, żeby pokazać, że czasem nie warto chodzić na skrót i mieć przyjęte z góry oczekiwania, preferencje i... etykiety.

Zacisnęłam usta. Było to jedno z tych pytań, na które nie było dobrej odpowiedzi,

takie samo jak „*Kiedy przestał pan bić swoją żonę?*”. Czy wierzyłam, że każdy zasługuje na szansę? Tak. Ale on przecież dobrze o tym wiedział. Zaczęłam wciągać powietrze przez nos, ale przestałam, kiedy poczułam jego zapach: whisky, woda toaletowa, Quinn.

Pachniał cudownie. *Bum, bum, bum.*

W chwili słabości, spowodowanej zapewne jego zapachem w moich nozdrzach, odpowiedziałam cichutko, z tonem lekkiej rezygnacji:

– Tak. Każdy zasługuje na szansę.

Posłał mi ledwo dostrzegalny uśmiech, właściwie cień uśmiechu, i oblizał usta.

– W takim razie ja też chcę dostać swoją szansę.

– A w jakiej formie miałbyś otrzymać wspomnianą szszszącą? – Przełknęłam ślinę, żeby opanować bełkot. – Szansę ode mnie? Jaki nośnik proponujesz?

Powtórzyliśmy słowo „szansa” już tyle razy, że zaczęło brzmieć bezkształtnie i śmiesznie: *szansa, szansa, szansa, sząsa, sząsa, sząsa, sząs, sząs...*

Przeszedł do sedna bez zbędnych wstępów:

– Chcę się z tobą spotykać, monogamicznie. Chcę, żebyśmy spędzali wspólnie czas, tak jak robiliśmy to przed moim wyjazdem do Bostonu. A jeśli będę musiał wyjechać, chciałbym, żebyś odbierała telefon, kiedy do ciebie dzwonię, żebym mógł słyszeć twój głos.

Z każdą sylabą wypływającą z jego ust czułam, jak raz po raz naciska mój czerwony guzik, czego efektem był zalewający mnie doszczętnie karmazynowy rumieniec.

– Och... I... i to wszystko...?

– Nie – przerwał mi, kręcąc głową. – To nie wszystko. Chcę móc cię dotykać i całować jak najczęściej, i chcę... – poruszył się w miejscu, jakby próbował stanąć stabilniej, po czym wyciągnął rękę, zrobił krok w moją stronę i ujął w dłoń mój policzek – chcę, żebyś ty mnie dotykała.

O mój Boże! Jego słowa! *Bum, bum, BUUUUM!!!*

– I jeszcze... – zaczął, ale po chwili urwał. Jego palce przeczesywały moje włosy tuż nad skronią, zanurzając się pod czapkę na mojej głowie. Ściągnął ją. Obydwoje pozwoliliśmy, żeby opadła na podłogę. – Chcę zagrać z tobą w rozbieranego pokera. Tu i teraz.

Ostrożnie wzięłam kolejny wdech ustami. Nie chciałam, żeby wachanie Quinna wpłynęło na moje funkcje mózgu – były już dostatecznie zaburzone przez butelkę wina. Cichutki głos gdzieś z tyłu mojej głowy powtarzał mi: *Nie ufaj mu! Wcale nie jesteś wyjątkowa! Jesteś dziwacznym, niezgrabnym neandertalczykiem z wielką głową i włosami Meduzy! On musiał pomylić cię z kimś innym!*

Niemal natychmiast kazałam temu głosowi się wypchać i iść w cholerę.

Chciałam wierzyć Quinnowi.

Moje dłonie leżały płasko oparte na ścianie za moimi plecami. Zadarłam podbródek, żeby móc dobrze przyjrzeć się Quinnowi. Patrzył na mnie jednocześnie ostrożnie i z nadzieją. Byłam w stanie odczytać jego spojrzenie tak trafnie dlatego, że sama czułam się podobnie od momentu, w którym się poznaliśmy.

Odkaszlnęłam i wzięłam kolejny uspokajający wdech, przez usta. Wypuściłam

powietrze i zapytałam:

– A co, jeśli odmówię?

Quinn znieruchomiał.

– A chcesz odmówić? – Jego głos brzmiał odrobinę groźnie.

Pokręciłam głową.

– Nie... to znaczy, nie mówię nie. Po prostu chciałabym wiedzieć, co się stanie, jeśli powiem nie.

Znowu znieruchomiał, wpatrując się we mnie, jakby odpowiedź na to pytanie wypisana była na mojej twarzy. Z jego spojrzenia zniknęła nadzieja, pozostała już tylko ostrożność. Cisza, która między nami zapadła, trwała prawie minutę, podczas której mierzyliśmy się wzrokiem. Niespodziewanie Quinn zamrugał, a na jego twarzy pojawiło się coś jakby błysk zrozumienia, od którego załśniły mu oczy.

– Janie – zaczął i odsunął się ode mnie, opuszczając dłoń, a jego oblicze wyraźnie spochmurniało. – Obiecuję ci, że nie stracisz pracy.

Ściągnęłam usta i jeszcze raz niezgrabnie spróbowałam założyć ręce na piersi.

– Nie będziesz niezadowolony?

– Oczywiście, że będę niezadowolony... – urwał i chrząknął. Na moment odwrócił wzrok, żeby za chwilę znowu spojrzeć mi w oczy. – Będę rozczarowany. – Wypowiedział to ostatnie słowo bardzo ostrożnie, wyważenie, jakby miały to być cztery słowa w jednym. – Ale nie mam zamiaru szkodzić swojej firmie tylko dlatego, że ty... – jego uniesione ręce zawisły na moment między nami, ale zaraz oparł je na biodrach. – ...że ty nie jesteś mną zainteresowana.

Obserwowałam go bacznie przez chwilę, po czym spytałam:

– Czy miałabym to samo stanowisko, które mam teraz? Czy jakieś inne?

Zacisnął szczęki.

– To samo stanowisko.

Pokiwałam głową w zamyśleniu. Mimo że Quinn wyglądał na coraz bardziej zdystansowanego i niezadowolonego, ja z kolei zauważyłam, że jestem zdecydowanie spokojniejsza.

Zrobiłam krok naprzód i wyplątałam się z kurtki.

– Czy bylibyśmy przyjaciółmi, czy tylko panem Sullivanem i panną Morris? Moglibyśmy dalej spędzać razem czas?

Westchnął głęboko. Nie podobał mi się surowy wyraz jego twarzy, zaciskający jego usta w ciasną linijkę ani to, jak jego zazwyczaj ogniste spojrzenie stawało się coraz zimniejsze i odległe.

– Posłuchaj – zaczął powoli, ochryple – nie jestem jakimś narzucającym się palantem, ale nie jestem też masochistą, więc moja odpowiedź brzmi: nie. Nie jestem zainteresowany przyjaźnią z tobą.

– Hmmm – mruknęłam, przyglądając mu się uważnie. Gdybym miała być zupełnie szczerą, musiałabym przyznać, że jego odpowiedź z jakiegoś powodu bardzo mnie ucieszyła. Nie rozumiałam dlaczego, więc odłożyłam ten punkt do późniejszej analizy. Teraz po prostu czułam z tego powodu radość, pozwoliłam sobie więc na delikatny uśmiech. Emocjonalne emo-szaleństwo, naprzemiennie gorące jak lawa i zimne jak lód,

z którym żyłam od minionej niedzieli, opadło nieco, pozostawiając mnie w stanie leciutkiej, utrzymującej się niepewności.

– A co jeśli...

– Janie... – Uniósł ręce, zawahał się przez chwilę, po czym chwycił mnie za ramiona. Zaintrygowało mnie to, że czasem zachowywał się tak, jakby musiał mnie dotknąć, zanim się odezwie. – Co mam powiedzieć, żeby przekonać cię, że nasz związek w żaden sposób nie wpłynie na twoje zatrudnienie?

– A jeśli byśmy się rozstali?

– I tak bym cię nie zwolnił.

– Jak możesz być tego taki pewien? A gdybym porwała ci psa?

– Co? Dlaczego miałabyś... – sapnął zniecierpliwiony i pokręcił głową. – Przecież nawet nie mam psa.

– Nie w tym rzecz. Co, jeśli okażę się kompletnie szurniętą laską, ale w dalszym ciągu będę świetnym pracownikiem firmy?

– Jestem profesjonalistą. Potrafię oddzielić życie prywatne od zawodowego.

Westchnęłam smutno.

– Ale nie wiesz przecież...

Zsunął ręce w dół po moich ramionach i chwycił moje dłonie.

– Janie, nie jesteś w stanie przewidzieć każdego scenariusza i każdej ewentualności.

– A co, jeśli nasz związek okaże się koszmarną pomyłką?

– A co, jeśli okaże się, że była to najlepsza decyzja w życiu?

– Źle znoszę ryzyko – wypowiadając te słowa, ścisnęłam jego dłonie w obawie, że zwolni uścisk.

Quinn obserwował mnie w zamyśleniu, wyraźnie sfrustrowany, głęboko marszcząc brwi. Wreszcie przysunął się nieco bliżej i wycelował we mnie intensywne spojrzenie.

– A co, jeśli to nie my podejmiemy decyzję? Zdamy się na ślepy los?

Przełknęłam ślinę.

– Jak to?

– Zagramy w pokera.

– Jedno rozdanie?

– Nie, będziemy grać do północy. Ten, kto o północy będzie miał na sobie więcej ubrań, wygrywa.

– A o co gramy?

Musnął spojrzeniem moje usta, po czym oblizwał swoje.

– Jeśli ja wygram, przez miesiąc będziemy chodzić na randki. W tym czasie będę też mógł kupować ci, co tylko będę chciał – zaczęłam protestować, ale on podniósł głos, żeby mnie zagłuszyć, przytrzymując mnie. – A ty przestaniesz szukać powodów, etykietek, czy czegokolwiek innego świadczącego o tym, że nie powinniśmy być razem. Jeśli ty wygrasz, wtedy... – wzruszył lekko ramionami – ...wtedy to ty decydujesz, co potem.

Ponownie przełknęłam ślinę, nieufnie mierząc go spojrzeniem. Wreszcie wysunęłam dłonie z jego uścisku i stanęłam z boku.

Nadal było mi gorąco, więc zdjęłam przez głowę bluzę, a wraz z nią koszulkę do ćwiczeń. Rzuciłam je na kurtkę, której pozbyłam się już wcześniej. W ten sposób miałam na sobie tylko koszulkę na ramiączkach, stanik, spodnie dresowe, majtki, skarpetki i kapcie – sześć elementów. Osiem, jeśli liczyć każdy kapeć i skarpetkę oddzielnie.

Pokój hotelowy pochylił się nieco, w efekcie czego zachwiałam się nieznacznie. Mój stan upojenia alkoholowego otulał mnie jak grube futro i istniało wysokie prawdopodobieństwo, że nie minie jeszcze przez kilka godzin. Każda decyzja, jaką bym w tym czasie podjęła, będzie najprawdopodobniej zaburzona.

*Zaburzona umiejętność oceny sytuacji – jest.*

Jego wzrok błędził w kółko po mojej szyi, piersiach, brzuchu. W jego oczach pojawił się znajomy płomień, ale połączony z czymś jeszcze. Czymś, czego nie byłam w stanie określić albo, co bardziej prawdopodobne, rozpoznać. Wyglądał trochę tak, jakbym właśnie go spoliczkowała, ale nie do końca.

Zarzuciłam próby czytania mu w myślach, zamiast tego koncentrując się na liczeniu jego części garderoby. Miał na sobie krawat, koszulkę, marynarkę, podkoszulkę, spodnie, skarpetki, buty i albo bokserki, albo slipy. W sumie dawało to osiem elementów ubioru. Dziesięć, jeśli liczyć każdy kapeć i skarpetkę oddzielnie.

– Nie jesteśmy dopasowani – powiedziałam, wskazując na jego krawat, po czym oparłam ręce na biodrach, naśladując jego postawę. Miałam nadzieję, że moja brawura i opary wina pomogą mi w podtrzymaniu mojej stanowczości. Póki co, szło mi całkiem nieźle.

Wpatrywał się we mnie, wyglądając na urażonego. Jego głos był zimny jak stal, kiedy zapytał:

– Co dokładnie masz na myśli? Dlaczego tak twierdzisz?

Podbródkiem wskazałam na jego krawat.

– Mam na myśli twój krawat, Quinn. Ja mam na sobie osiem sztuk garderoby, a ty, przy założeniu, że masz pod spodniami jakąś bieliznę, dziesięć. Albo ja zakładam czapkę, albo ty zdejmujesz krawat.

Z każdym moim słowem chłód jego spojrzenia ustępował miejsca zaskoczeniu, ale już pod sam koniec ostatniego zdania na jego twarzy pojawiło się zrozumienie, połączone zarówno z rozdrażnieniem, jak i rozbawieniem. Z jego ramion i szyi wyraźnie opadło napięcie.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez jakieś pół minuty, kiedy w końcu przerwałam milczenie.

– Albo mógłbyś zdjąć marynarkę?...

Quinn uśmiechnął się kąciakiem ust. Płynnym ruchem pozbył się marynarki i rzucił ją na stos moich ciuchów, po czym zaczął rozpinać mankiety. Westchnienie, które wydobyło się z jego ust, kiedy posyłał mi świdrujące spojrzenie, wyrażało wyraźną ulgę. Uśmiechnęłam się.

– Zapłacisz za to.

– Za co? – spytałam, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

– Hmmm... – Z trudem powstrzymał uśmiech. – Masz karty, czy musimy jakoś je zdobyć?

Przeszłam chwycić obok niego i wdrapałam się na łóżko po swój bagaż.

– Mam karty. Lubię grać w pasjansa w podróży.

– Nie możesz grać na telefonie albo iPadzie? – spytał, patrząc, jak przekopuję walizkę.

– Lubię czuć karty pod palcami – wyjaśniłam. Wyłowiłam wreszcie talię i ruszyłam w kierunku kanapy. W pokoju stało biurko, oparte o ścianę, nie było jednak żadnego stolika obok kanapy. Był za to podnóżek. Położyłam na nim gazetę i uznałam, że to wystarczająco płaska powierzchnia, żeby na niej grać. Zaczęłam tasować karty.

Tasowanie pomagało. Dzięki temu nie trzęsły mi się ręce, kiedy słaby głos w mojej głowie, należący do trzeźwej mnie, pytał raz po raz: „Co ja właściwie wyprawiam? Czy ja naprawdę to robię?”

Quinn był... oślepiająco przystojny, obrzydliwie bogaty i był moim szefem. Trzy powody, dlaczego *nie* pasowaliśmy do siebie.

Tyle że naprawdę bardzo, bardzo go lubiłam. Był cholernie seksowny, interesujący, piekielnie inteligentny i irytująco przenikliwy. Musiałam uwierzyć, że jest we mnie coś, co on dostrzegał i co lubił na tyle, żeby porzucić swoje seksprzyjaciółki i Wendellowy styl życia. Ufanie innym nie było moją mocną stroną, nie lubiłam też stawiania wysoko poprzeczki, ale naprawdę chciałam mu wierzyć. Może to przez wino, może zaćmienie spowodowane oparami zapachu Quinna, ale było mi zbyt ciepło i błogo, żeby zajmować się tymi bardziej przerażającymi aspektami rozbieranego pokera.

*Zaburzona umiejętność oceny sytuacji... nadal aktualne.*

– Ale... – usłyszałam za plecami głos Quinna. Najwyraźniej nie ruszył się z miejsca. – Właściwie to przyszedłem tu też po to, żeby porozmawiać z tobą o czymś innym.

– O czym? – spytałam, zerkając na niego przez ramię.

Przejechał palcami włosy i schował spinki do mankietów do kieszeni.

– Musimy porozmawiać o tamtej niedzieli, o tamtym... facecie w parku.

Kłęczałam na podłodze przy podnóżku, ale coś w tonie jego głosu sprawiło, że usiadłam na piętach i zwróciłam się cała w jego stronę.

– Dobrze – powiedziałam tylko i odłożyłam karty na gazetę. Miał moją całkowitą uwagę, a w każdym razie tyle, ile byłam w stanie mu poświęcić, zważywszy mój brak trzeźwości.

Quinn zawahał się. Zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju, nie patrząc w moją stronę.

– Kiedy wiele lat temu opuściłem Boston, nie byłem tam... zbyt lubiany. – Nerwowo bawił się różnymi elementami wystroju pokoju: abażurem lampki, zawartością minibarku, instrukcją modemu. – Skopiowałem różne dane, żeby mieć pewność, że nikt nie będzie... zawracał mi głowy, kiedy będę w Chicago.

Zatrzymał się przy minibarku, dotykając miniaturowej buteleczki Johnniego Walkera.

– Dane?

– Kopiowałem dla siebie dane ludzi, dla których pracowałem, którym instalowałem skrypty i degaussery.

– Masz na myśli tych złych gości?

Uśmiechnął się słabo i kiwnął głową.

– Tak, tych złych – Quinn podszedł do kanapy, zawahał się przez chwilę, wreszcie usiadł. Położył swoje wielkie dłonie na kolanach i wyglądał tak, jakby w każdej chwili mógł się zerwać na równe nogi. – Janie... – zawiesił głos i popatrzył na mnie niezdecydowanym, pełnym niepewności wzrokiem.

– Tak?... – Milczał już tak długo, że odczułam potrzebę, żeby go ponaglić. Poczucie niepokoju zaczęło powracać do mnie ze zdwojoną siłą. Quinn nie miał w zwyczaju budować napięcia w taki sposób. Zwykle od razu przechodził do rzeczy.

Westchnął i wreszcie zapytał:

– Czy w ostatnim czasie miałaś kontakt ze swoją siostrą, Jem?

Musiałam wyglądać komicznie, gapiąc się na niego tępo w reakcji na jego pytanie. Równie dobrze mogłby zapytać: „Chcesz dostać tampony czy podpaski na swoją bat micwę?” i bardzo możliwe, że zobaczyłby mniej skonfundowaną minę.

Głośno wypuściłam powietrze z płuc i zadałam pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy:

– Znasz Jem?

Pokręcił głową ze wzrokiem skupionym na mojej twarzy, na której najróżniejsze emocje zmieniały się zapewne jak w kalejdoskopie.

– Właściwie to nie znam. Ale żeby być bardziej niż formalnie szczerym, muszę przyznać, że wiem, kim jest.

– Co to znaczy, że wiesz, kim jest?

– To znaczy tuż przed tym, jak sześć lat temu wyjechałem z Bostonu, poznałem ją, kiedy byłem w domu... współpracownika. Jem była... związana z nim i... zostaliśmy sobie przedstawieni.

– Sześć lat temu? – powtórzyłam, marszcząc brwi. Jem miała wtedy jakieś siedemnaście, osiemnaście lat. – Jesteś pewien? Pamiętasz ją?

– Cóż, trudno zapomnieć kogoś, kto próbował podpalić twój samochód.

Szczęka mi opadła i powoli wypuściłam powietrze z ust w ten niezgrabny, przesadzony sposób, właściwy tylko osobom, które są prawie pijane, ale nie do końca.

– To w sumie bardzo w jej stylu.

Quinn odwrócił ode mnie wzrok i pochylił się, żeby wziąć karty. Zaczął rozdawać.

– Tuż przed tym, jak wyjechałem z Bostonu, tuż przed śmiercią Desa, zajmowałem się zabezpieczeniami systemów dla grupy, która... w sumie detale nie mają znaczenia. W każdym razie nie była to standardowa operacja. Szef tej bandy, o imieniu Seamus, był w zasadzie skinheadem, bandziorem, ale zaskakująco inteligentnym bandziorem – Quinn odłożył talię, sięgnął po swoje karty i zaczął je układać. – Wszyscy zaufani członkowie gangu mają na szyi taki charakterystyczny tatuaż – wyjaśnił, wskazując na swoje gardło i kreśląc palcem kręte linie – od kołnierzyka koszuli, za uchem, aż do karku.

– Tamten facet w parku – to on miał taki tatuaż!

– Dokładnie. Jeszcze Dan, szef ochrony biurowca Fairbanks, kiedyś też należał do tego gangu.

– A co takiego zrobiła Jem, że ten koleś tak się na nią wkurzył? – spytałam,



marszcząc nos chyba nieco zbyt teatralnie, bo kiedy Quinn na mnie spojrział, jego spojrzenie natychmiast złagodniało. Uśmiechnął się.

– Czy to ważne?

– Nie... tak. – Ściągnęłam górną wargę między zęby i przygryzłam. – Nie, właściwie to nieważne, ale mimo wszystko chciałabym wiedzieć.

– Pomogła jednemu z jego wrogów w napadzie na niego.

– Dlaczego to zrobiła?

– Bo chciała go wkurzyć. Bo jest szurnięta. – Jego ton był beznamiętny, jakby wyjaśniał coś absolutnie elementarnego, oczywistego.

– Nie mogę uwierzyć, że kiedyś pracowałeś z tymi ludźmi. – Dla odmiany zaczęłam teraz skubać dolną wargę.

Quinn spojrział mi w oczy.

– Kiedy w parku zobaczyłem tamtego gościa, myślałem, że to mnie szukał. Ale potem pojechałem do Bostonu i spotkałem się z Seamusem...

Drgnęłam.

– Spotkałeś się z nim? Z hersztem skinheadów z Bostonu?

Przytaknął z zaciśniętą szczęką.

– Kiedy spotkałem się z Seamusem...

– Ale czy on nie jest niebezpieczny? Po co to zrobiłeś? – przerwałam mu znowu.

Quinn zignorował moje pytania i mówił dalej:

– Seamus wyjaśnił mi, że szuka Jem. Tamten koleś w parku myślał, że ty to Jem.

Na mojej twarzy musiał odmalować się kolejny kalejdoskop min, odzwierciedlających moje myśli, bo Quinn dodał szybko:

– Od zeszłego tygodnia masz całodobową ochronę. Wyjaśniłem Seamusowi, że nie jesteś Jem. Wie też, że pracujesz dla mnie i że nie jesteś odpowiednim... – urwał na chwilę, jakby chciał starannie dobrać słowa. – Wydaje mi się, że wierzy mi, że nie ma realnej szansy na zainicjowanie kontaktu z Jem za twoim pośrednictwem. Ale dla bezpieczeństwa będę chciał, żebyś nadal miała ochronę, kiedy wrócimy do Chicago.

Pokiwałam energicznie głową, aż zaczęłam czuć się tak, jakbym kołysała się na łodzi. Chrząknęłam. Moje dłonie leżały sztywno na kolanach i dopiero teraz zauważyłam, że zacisnęłam je w pięści. Z trudem rozluźniłam palce, sięgnęłam po swoje karty i zmusiłam się do spojrzenia na nie: as kier, dwójka trefl, trójka karo, dziesiątka trefl, dziewiątka trefl. Co za gówniane rozdanie.

– Dlaczego... jak... – Rozłożyłam swoje karty w wachlarz i położyłam na kolanach. – Dlaczego Jem chciała podpalić twój samochód?

Quinn wzruszył ramionami, nie patrząc w moją stronę.

– Nie pamiętam. Nie wydaje mi się, żeby miała ku temu jakiś konkretny powód. Pamiętam tylko, że była szurnięta.

Ogarnęło mnie współczucie dla samej siebie. Że mam kiepskie karty i że mam siostrę, której głównym znakiem rozpoznawczym było to, że była na bakier z prawem. Niektórzy mają irytujących krewnych, którzy piją za dużo w święta, a potem przydybują kogo się da, dzieląc się swoimi subiektywnymi teoriami spiskowymi na temat rządu, który nie dość, że jest żenująco niekompetentny, to jeszcze jest w stanie ustawić takie wymyślne

przekrety jak lądowanie na Księżycu, Pearl Harbor albo teoria względności.

Ja miałam siostrę, która bynajmniej nie ograniczała się tylko do świąt, zdarzało jej się uprawianie seksu z moim chłopakiem... i/lub usiłowanie zabójstwa bez konkretnego powodu. Z nudów.

Szybko jednak powróciłam ze swojej wędrówki do krainy defetyzmu. Nie mogłam nic zrobić z kartami, które dostałam. Mogłam tylko wycisnąć z nich, co się da, być dobrej myśli i pogodzić się z losem.

Albo mogłam kantować.

– Czy ty... czy... – Znowu podniosłam karty, ale nie patrzyłam na nie. Nadal koncentrowałam się na Quinnie. Zamrugotałam dwukrotnie, żeby wyostrzyć wzrok. – Czy uważasz, że wyglądam jak ona? Jak Jem? Czy ty też myślałeś, że jestem nią?

Quinn zmarszczył czoło, nie odrywając oczu od kart. Wreszcie podniósł na mnie wzrok.

– Tak.

Czekałam, aż rozwinie temat. Kiedy tego nie zrobił, wyciągnęłam szyję i spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Tak? Tylko tyle? Tak?

Pokiwał głową.

– Ale co „tak”? Na które pytanie odpowiadasz?

– Wyglądasz jak ona. Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, myślałem, że jesteś Jem – odpowiedział. Wyglądał przy tym tak, jakby chciał rozmawiać w tym momencie o czymkolwiek innym, wliczając w to być może cykl menstruacyjny koali, albo o regulacjach dotyczących produkcji masła orzechowego.

Przesunęłam w bok dolną szczękę.

– To dlatego chciałeś mnie pocałować? Bo myślałeś, że jestem nią? – spytałam, przywołując wyznanie Quinna z tamtej nocy, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy. Poczułam coś twardego w żołądku i dziwną gorycz w ustach, jakby mieszankę smaku zwietrzałego wina i znaczków pocztowych.

Pokręcił głową.

– Jezu, nie, skąd. Wydaje mi się, że rzeczywiście zwróciłem na ciebie uwagę ze względu na wasze podobieństwo. Ale zupełnie szczerze zapewniam cię, że nigdy nie chciałem pocałować twojej siostry.

– A kiedy zorientowałaś się, że jesteśmy dwiema różnymi osobami?

Złożył swoje karty i odłożył, po czym pochylił się w moją stronę, z łokciami na kolanach.

– Dzień po tym, jak cię pierwszy raz zobaczyłem, na długo przed tym, zanim się poznaliśmy. Prześwietliłem cię bardzo dokładnie, żeby mieć pewność, że nie jesteś Jem. – Byłam pod wrażeniem szorstkości jego tonu, nawet jeśli widać było po nim, że to wyznanie wiele go kosztowało. Miał zmęczone spojrzenie.

Byłam też pod wrażeniem, że nadal jest ze mną bardziej niż formalnie szczerzy, nawet jeśli wiązało się to z poczuciem, że wyszarpuję z niego odpowiedzi na moje pytania.

Chłonełam te informacje, nie odrywając od niego wzroku.

– To dlatego wyprowadziłeś mnie z budynku, kiedy mnie zwolnili? Bałeś się, że wysadzę coś w powietrze?

– Nie. Powiedziałem ci przecież, wtedy wiedziałem już, że nie jesteś nią.

– W takim razie dlaczego udawałeś jednego z ochroniarzy?

– Nie udawałem. Lubię spędzać czas w terenie ze swoim zespołem, szczególnie na początku nowych projektów. Dopiero co zaczęliśmy ochraniać ten budynek i przeprowadziliśmy nasze biuro na ostatnie piętro. Chciałem... – Odwrócił wzrok, westchnął i spojrzał na mnie ponownie. – Chciałem przekonać się, jacy ludzie pracują w budynku.

– I dlatego wyprowadziłeś mnie z biura? Żeby przekonać się, jakich ludzi zwalniamy w budynku?

– Nie – odpowiedział.

– Nie? – wyszeptalam.

– Nie – powiedział tym razem nieco bardziej stanowczo, wyraźnie.

– Hmm... – Przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę i tak trwaliśmy w swoim standardowym pojedynku na spojrzenia. Miał nade mną pewną przewagę, bo byłam, co tu dużo mówić, pod wpływem.

– Dlaczego to ty po mnie przyszedłeś? – spytałam wreszcie.

Zacisnął szczękę, ale w jego oczach czaił się znajomy chochlik. Kąciki ust rozciągnęły się w uśmiechu Mony Lisy.

– Ilu kart potrzebujesz? – spytał.

– Nie wymiguj się od odpowiedzi.

– Nie wymiguję się... Przyszedłem po ciebie, bo... – przełknął ślinę i fuknął. – Kiedy pojawiło się u nas zgłoszenie, rozpoznałem twoje nazwisko i chciałem... zobaczyć... chciałem troszkę lepiej cię poznać – Quinn uporczywie wpatrywał się w swoje karty.

Na mojej twarzy pojawił się szeroki, głupawy uśmiech.

– Chciałeś troszkę lepiej mnie poznać?

Nie odpowiedział. Wyjął ze swojej puli trzy karty, odłożył na bok i wziął trzy nowe z talii.

– Obserwowałeś mnie wcześniej? – spytałam, uśmiechając się coraz szerzej i bardziej głupio.

Podniósł na mnie wzrok, a kąciki jego ust uniosły się lekko.

– Żeby było jasne, doskonale wiem, że ty też mnie obserwowałaś.

– Ja? Obserwowałam? – Zamrugałam nerwowo.

Przytaknął, uśmiechając się chytrze.

– W lobby, schowana za roślinami. Schodziłaś na dół w przerwie na lunch i podglądałaś mnie w trakcie pracy.

Guzik wciśnięty, rumieniec uruchomiony. Zaczerwieniona po uszy, bez słowa wbiłam wzrok w swoje karty. Po dłuższej chwili oddałam mu wszystkie poza asem. Czułam się tak, jakbym została przyłapaną z ręką w majtkach, jednocześnie zażenowana, ale ucieszona, że mnie zauważył (i że mu się to podobało).

– Wcale nie – wymamrotałam.

– Owszem, tak.

Rzuciłam mu krótkie spojrzenie i zobaczyłam, że on obserwuje mnie tym swoim odrobinę groźnym wzrokiem. Zaciśnęłam usta, żeby powstrzymać uśmiech.

– Lepiej dla ciebie, żebyś miała asa – powiedział, podając mi cztery nowe karty.

– Owszem, mam asa – Wyszarpnęłam karty z jego wyciągniętej dłoni, pilnując się, żeby jej nie dotknąć. – Chcesz go zobaczyć?

– Jeszcze go zobaczę, uwierz mi.

Zerknęłam na niego znad swojej puli. Moje rozbiegane spojrzenie napotkało jego nieruchomy, iskrzący wzrok.

Iskrzący, pfff! Jego oczy płonęły zmysłową obietnicą z taką intensywnością, że przez chwilę rozważałam, czy nie poddać się od razu i rozebrać się do naga tu i teraz. Wiedziałam, że oszukiwanie było jedynym sposobem na wygranie tej rozgrywki.

Mój główny problem polegał na tym, że wcale nie byłam pewna, czy chcę wygrać.

Wpatrywałam się w niego.

Mimo zamroczenia spowodowanego wypiciem butelki wina, przez całą grę liczyłam karty. Wiedziałam, że przez ostatnie parę rozdań kantował. Ale nie mogłam przecież przyznać się do liczenia kart. Wtedy musiałabym zdradzić, że ja też od początku kantowałam. Poza tym aktualnie miałam na sobie majtki, koszulkę, stanik i jedną skarpetkę, podczas gdy jemu został krawat, bokserki i jedna skarpetka.

To ostatnie rozdanie oznaczało remis.

Roześmiał się, tasując karty, a w jego niebieskich oczach tańczyły rozbawione chochliki.

– To jak, skarpetka czy koszulka?

Siedziałam na podłodze, oparta plecami o łóżko. On siedział na kanapie. Między nami stał podnózek, służący za stół do gry.

Zaczęłam zastanawiać się nad tym, której części garderoby pozbyć się tym razem, a jednocześnie z uznaniem wodziłam wzrokiem po jego torsie. Marzyłam o tej kłacie od tygodni, ściślej od tamtego skacowanego poranka, kiedy wyszedł spod prysznica. Myślałam o tym, co bym z nim zrobiła albo kiedy, gdyby znalazł się w moim posiadaniu.

Zamrugalam intensywnie i starałam się skupić na podnóżku. Z niewiadomych przyczyn zacisnęłam mocno uda, ignorując ciepło rozlewające się w dole brzucha.

Delikatny głos Quinna wyrwał mnie z narastającego, bezcelowego oblędu:

– Janie, skarpetka czy koszulka?

Niespodziewanie spojrzałam mu prosto w oczy, zastanawiając się, czy odgadł, o czym myślę. Przyglądanie się jego twarzy tylko pogorszyło sprawę. Do północy pozostały dwie minuty. Quinn miał poważny wyraz twarzy, a jego oczy znów patrzyły tak cholernie uwodzicielsko, kiedy w skupieniu wędrowały po mojej twarzy.

Fuknęłam zniecierpliwiona.

– Już, już. Ani jedno, ani drugie.

Uniósł brew.

– Jak to?

Przechyliłam głowę na bok, odwróciłam spojrzenie i pozwoliłam, żeby włosy opadły mi na twarz. Pochyliłam się, ściągnęłam ramiączka stanika z ramion jednym płynnym ruchem. Potem rozpięłam stanik i, jak za sprawą czarów, ściągnęłam z siebie biały koronkowy biustonosz bez zdejmowania bluzki.

Nie obchodziło mnie, że moja koszulka była biała i tak cienka, że praktycznie przezroczysta. Nie chciałam, żeby mu się wydawało, że już wygrał, że potrafi przewidzieć moje kocie ruchy. Bardzo szybko przekonałam się, że butelka wina potrafiła nastroić mnie do wielu fantastycznych rzeczy, a kocie ruchy to był dopiero początek.

Rzuciłam stanik przez ramię i oparłam o krawędź łóżka.

– No dobrze, rozdawaj – powiedziałam, nie patrząc na niego. Był zbyt rozpraszająco piękny. Zamiast tego przeczesalam palcami włosy, przeciągając się i wyginając plecy w łuk.

Usłyszałam, jak wstrzymuje oddech.

Spojrzałam na niego.

Jego oczy nie patrzyły już uwodzicielsko. Nagle z ogromną mocą zapłonął w nich ogień. Zazgrzytał zębami, przyglądając się, jak się przeciągam. Jego spojrzenie mówiło mi, że ja jestem stekiem, a on tygrysem, co oznaczało, że jestem obiadem i deserem jednocześnie.

– Nie powinnaś tego robić. – Jego mroczne, gorące spojrzenie, ułożenie szczęki, białe kostki jego zaciśniętych pięści, to wszystko zdradzało siłę jego skupienia. Koncentrował się bardzo, bardzo mocno.

Zastygłam w bezruchu w trakcie przeciągania się.

– Czego?

– Tego – powiedział umęczonym głosem. – Nie rób tego, chyba że już skończyłaś ze mną grać.

Oblizalam usta, nagle potwornie suche, a moje oczy błędziły wygłodniałym wzrokiem po jego ciele.

Mówiąc zupełnie szczerze, w tym momencie nie pamiętałam w ogóle, o co gramy, co po części wyjaśniałoby, dlaczego nagle nie miałam już najmniejszej ochoty na dalszą rozgrywkę.

Może po prostu znowu była to kwestia zaburzonej umiejętności oceny sytuacji.

Pozwoliłam swoim rękóm powoli opaść wzdłuż ciała, oparłam dłonie na dywanie. Moje rozpuszczone włosy przykryły ramiona i plecy. Ponownie oblizalam usta, obserwując jego reakcje z szeroko otwartymi oczami. Powoli, bardzo powoli, uniosłam się i na klęczkach, bez zastanowienia ani jakiegokolwiek planu, odepchnęłam na bok podnózek. Mimo moich, jak mi się zdawało, płynnych ruchów, wszystkie karty spadły z prowizorycznego stołu na podłogę.

Jego oczy śledziły mnie z uwagą, intensywnie, ostrożnie. On sam siedział na kanapie zupełnie nieruchomo. Podeszłam do niego na czworakach i przyklękłam między jego nogami. Wstałam, delikatnie opierając się rękami na jego nagich udach dla podtrzymania równowagi. Drgnął lekko, kiedy moja skóra dotknęła jego.

– Quinn – wyszeptałam jego imię. Nie wiedziałam, dlaczego właściwie mówię szeptem, ale podejrzewałam, że moje struny głosowe po prostu odmówiły mi posłuszeństwa. – Quinn.

Raptownie oplótł swoje długie palce dłoni wokół mojego karku i zanim zdążyłam pomyśleć albo jakkolwiek zareagować, przywarł do mnie wargami i zatopił się w moich ustach. Było namiętnie, mokro i gorąco, a trzepoczące, wijące się ciepło w dole brzucha sprawiało, że napięcie między moimi udami stawało się nie do zniesienia. Złączyłam kolana i zacisnęłam je mocno.

Przerwał nasz pocałunek i zaczął pieścić ustami moją szyję. Na przemian gryzł mnie, ssał i całował. Szorstkość jego nieogolonej twarzy na mojej skórze sprawiała mi przyjemny ból, a każdy wprawny ruch jego języka łagodził zadrapania pozostawione przez zarost.

Zamknęłam oczy, oddając się w pełni doznaniom, jakie wzbudzały na całym moim ciele jego ręce i usta, i w pewnym momencie chyba straciłam przytomność.

Może powinnam doprecyzować to ostatnie stwierdzenie. Wydaje mi się, że moje

odurzone alkoholem przodomózgowie chwilowo utraciło zdolność przytomnego myślenia. Za to moje Id, część mózgu odpowiedzialna za impulsy, instynktowne zachowania i zaspokajanie potrzeb, przez którą chcemy codziennie jeść lody na kolację – ta część najwyraźniej dosypała czegoś do drinka mojemu przodomózgowiu po to, żeby przejąć kontrolę nade mną i wyczyniać z moim ciałem, co tylko jej się podoba. Dla uproszczenia postanowiłam nazwać tę część mojego mózgu Idą.

I Ida rzeczywiście wyczyniała z moim ciałem, co jej się żywnie podobało. Żeby było jasne.

W trakcie naszej długiej, długiej podróży do łóżka Ida robiła, co tylko chciała na kanapie, na podłodze, na szafce. W pewnym momencie robiła, co chciała, przyparta plecami do ściany.

Chyba po raz pierwszy w życiu mój umysł nie błędził myślami przez tak długi czas, zwyczajnie dlatego, że nie był w stanie spowodować ani uzyskać tarcia. Powierzchnia mojego przodomózgowia była chwilowo niebezpiecznie śliska. Rozpraszające było wszystko i nic. Byłam totalnie skoncentrowana na chwili obecnej, na uczuciach i doznaniach, jakie wiązały się z byciem z Quinnem (jak również na nim, pod nim i obok niego).

Byłam dotykana, chwytana, przyciskana, głaskana, adorowana, pieszczona i, och, tak bardzo podniecona. Byłam podniecona, jakby jutro miało nigdy nie nadejść. W pewnym momencie wydawało mi się, że rozerwie mnie na pół i poczułam panikę jak dzikie zwierzątko, które ktoś niespodziewanie pogłaskał.

Ku mojemu zdumieniu Quinn zdawał się instynktownie wyczuwać, czego w danym momencie potrzebowałam. Wiedział, kiedy oczekuję czułości, a kiedy pragnęłam... cóż, czegoś innego. Idealnie dostosowywał swoje ruchy, pieszczoty i pocałunki w reakcji na pragnienia, o których nie miałam nawet pojęcia, że we mnie drzemią, ale bez których, byłam tego teraz pewna, nie wyobrażałam sobie życia. Za sprawą jednego intensywnego, przenikliwego spojrzenia, które pozbawiło mnie tchu i trzymało w niewoli, ten nasz jeden wspólny moment sprawił, że stałam się nieustraszona.

Niepokojący aspekt tego wszystkiego, bo był i taki, stanowił fakt, że Quinn zatracił się równie mocno jak ja, a moje ciało, moje dłonie, moje usta, moje oczy, instynktownie wiedziały, jak na niego reagować, jak wspierać i pobudzać, jak się poruszać i jak odpowiadać. Gdyby moje przodomózgowie działało jak zwykle, jestem pewna, że nie rozpoznałoby mnie w tej nieustraszonej postaci, która znalazła w sobie odwagę i śmiałość, i która porzuciła jakikolwiek lęk, by zatracić się w cudownych rozkoszach idealnej fizycznej intymności.

Kiedy wreszcie Ida – nasycona, usatysfakcjonowana, zadowolona Ida – z powrotem, na krótką chwilę, uniosła kurtynę, leżeliśmy z Quinnem na łóżku, spleceni rękami i nogami w ciasnym uścisku, zaplątani w prześcieradła. Nie byłam już tak bardzo pijana od alkoholu, byłam za to o wiele mocniej pijana euforią, jaka najwyraźniej towarzyszy oszalamiającemu seksowi.

Ida szepnęła mi do ucha, że jest jej ciepło, przyjemnie i dokładnie tak jak trzeba. Kiwnęłam głową na te słowa, mimo że niewielki ból w okolicach serca sprawił, że przez krótką chwilę nie mogłam złapać tchu. Stłumiłam to uczucie i odłożyłam na półkę, żeby

pomyśleć o nim później.

Niespodziewanie przez moją głowę przebiegły trzy krótkie myśli:

*Quinn nadal ma na sobie krawat.*

*Ciekawe, czy pozwoli mi go zatrzymać.*

*Ciekawe, czy pozwoli mi go użyć do...*

I wtedy, jak za dotknięciem różdżki, Ida znów przejęła kontrolę.



Los bywa zabawny.

I nie mam tu tylko na myśli „zabawny” w sensie „śmieszny”. Mam na myśli to, że los potrafi być przewrotny, kapryśny, kuriozalny i dziwny jak „The joke’s on you, Batman!”<sup>[8]</sup>.

Stopniowo wybudzałam się ze snu. Ostre światło bezlitośnie padało na moją twarz. Zamrugałam. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była niemal olśniewająco biała poduszka i puste miejsce na wygniecionym prześcieradle. Mój zaspany wzrok odnotował, że pościel wygląda nie do końca znajomo, a w pokoju jest zdecydowanie zbyt jasno. Zmarszczyłam brwi i zamknęłam oczy, by po chwili ponownie je otworzyć. I wtedy sobie przypomniałam.

Leżałam naga.

Na łóżku.

W hotelu.

W Las Vegas.

A tę lepszą część wczesnego poranka spędziłam zajęta beztroskim spółkowaniem z Quinnem Sullivanem.

Usiadłam gwałtownie. Po wcześniejszej senności nie było już śladu. Natychmiast otrząsnęłam się ze snu, zupełnie jakby mój kręgosłup przeszył prąd elektryczny. Usilnie próbowałam ogarnąć wzrokiem wszystko naraz: pokój, okno, drzwi, zegar, łóżko, swoją nagość, porzucone ubrania piętrzące się na podłodze jak mrowisko, rozsypane karty wokół podnóżka.

Nasłuchiwałam intensywnie jakichkolwiek dźwięków – kroków, oddechu, szumu prysznicza albo kranu. Przez kilka dobrych sekund wstrzymywałam oddech, dopóki nie zyskałam pewności, że jestem sama. Powoli wypuściłam powietrze i odrobinę rozluźniłam mięśnie. Pozwoliłam, aby mój umysł skoncentrował się na innych myślach i uczuciach niż tylko popłoch i gotowość bojowa, w trakcie gdy mój wzrok powoli oswajał się z otaczającą mnie przestrzenią. Przyglądałam się detalom wystroju, a nie próbowałam upewnić się, czy istnieje bezpośrednie niebezpieczeństwo natknięcia się na Quinna.

Prawda była taka, że tuż po tym, jak zorientowałam się, gdzie jestem i co się wydarzyło, w pierwszym odruchu poczułam właśnie to: zagrożenie.

Ponieważ większość swojego dzieciństwa byłam ignorowana i pozostawiana sama sobie, można by pomyśleć, że jako dorosła będę już doskonale oswojona z uczuciem porzucenia. Tak naprawdę w dorosłym życiu cały czas spodziewam się odtrącenia. Nieustannie szykuję się na to, że zostanę odrzucona, a w związku z tym spędzam znaczną ilość czasu na przygotowywaniu się na tę ewentualność.

Obniżam oczekiwania, nie angażuję się w poważne związki, wzbraniam się przed prawdziwą intymnością, zarówno fizyczną, jak i jakąkolwiek inną.

„Zaangażowanie” to w tym wypadku słowo klucz.

Problem polega na tym, że kiedy już się zaangażuję, kiedy wreszcie się na to decyduję, a potem zostaję porzucona, wcale nie przynosi ulgi fakt, że już to kiedyś

przechodziłam. Odrzucenie za każdym razem boli tak samo i jest tak samo niespodziewane.

Dlatego w ogóle nie pozwalałam, żeby do tego doszło.

Przełknęłam ślinę, oblizałam usta i ze zmartwieniem przygryzłam dolną wargę. Rozejrzałam się po pokoju i odnotowałam z chłodnym zainteresowaniem, że zegar wskazywał dziewiątą trzydzieści jeden rano. I że jedynymi ubraniami rozrzuconymi po pokoju były moje własne. Byłam sama.

Był jeszcze liścik.

Biała kartka leżała na łóżku obok mnie. Zauważyłam wytłoczone na niej hotelowe logo i rozpoznałam zamaszysty charakter pisma Quinna. Nie byłam w stanie odczytać treści liściku z pozycji, w której siedziałam, więc tylko się na niego gapiłam.

I gapiłam.

I jeszcze trochę gapiłam.

A potem się pogapiłam.

I potem jeszcze chwilę się pogapiłam.

Próbując skoncentrować się na czymś innym, odgarnęłam z oczu swoje ciężkie, długie włosy za ramię i oparłam czoło na dłoni, masując skronie kciukiem i palcem wskazującym. Coraz dokładniej przypominałam sobie wydarzenia poprzedniej nocy. Nie były to już tylko rozproszone urywki, ale wyraźne wspomnienia tego, co wydarzyło się, zanim zasnęłam nad ranem, wszystkiego, co powiedziałam i co robiłam, co robiliśmy razem. Słabe, dobrze znane bolesne ukłucie pojawiło się gdzieś w okolicy serca, sprawiając, że nagle zabrakło mi tchu.

*Zaburzona umiejętność oceny sytuacji.*

Nie czułam paniki ani strachu. To było raczej coś na kształt marzenia, tęsknoty... albo nadziei. To uczucie przypominało mi te nieliczne momenty z mojego dzieciństwa, kiedy moja matka niespodziewanie pojawiała się na moje urodziny, albo kiedy nasi rodzice sadzali nas na kanapie, wszystkie trzy, i oznajmiali nam, że tym razem mama zostaje z nami na stałe.

Odczuwałam pewien dyskomfort w związku z tym uczuciem. Powodowało narastające we mnie przygnębienie i znużenie. Dlatego postanowiłam odsunąć je od siebie, tak samo jak zrobiłam to poprzedniej nocy, po tym, jak kochaliśmy się po raz pierwszy. Wstałam i ruszyłam do łazienki, żeby wziąć prysznic. Próbowałam nakłonić swój umysł do rozmyślań o czymkolwiek innym niż treść tajemniczego liściku od Quinna. Nie byłam gotowa na zastanawianie się, czy poprzednia noc cokolwiek zmieniła, czy w świetle dnia moje wczorajsze decyzje okażą się dobre, gdzie właściwie był teraz Quinn i kiedy znowu go zobaczę.

Jednak ku mojemu rozczarowaniu i mimo wzmożonej chęci, żeby odpłynąć myślami jak najdalej, jedyne, o czym mogłam myśleć, to Quinn i związane z nim co, jak, gdzie, kiedy. Mogło wynikać to po części z faktu, że ślady po nim były wszędzie. A mówiąc wszędzie, mam na myśli – na całym moim ciele.

Byłam obolała od... trudów minionej nocy, naznaczona zadrapaniami, obtarciami i śladami zębów. Wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze przez bliżej nieokreślony czas, po czym, zgrzytając zębami, weszłam pod prysznic.

Problem nie polegał tylko na tym, że nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiej więzi, takiej intymności ani takich doznań jak zeszłej nocy. Najdziwniejsze było to, że do tej pory nie miałam nawet pojęcia o istnieniu we mnie takiego pożądanego.

Czułam się kompletnie zbita z tropu w związku z faktem, że niezidentyfikowany wcześniej niedostatek zamienił się teraz w realną potrzebę. Quinn był mi potrzebny jak woda, powietrze, komiksy i ładne buty. Nie podobało mi się to, co się we mnie obudziło. Wolałam mieć kontrolę nad swoimi pragnieniami. Co więcej, wolałam, kiedy moje pragnienia mogły być w pełni zaspokojone bez udziału i pomocy osób trzecich. Na tym przecież polega samowystarczalność.

Próbowałam wmawiać sobie, że przecież skoro byłam pijana, nic, co wydarzyło się poprzedniej nocy, nie liczyło się ani nie miało tak naprawdę znaczenia.

*Zaburzona umiejętność oceny sytuacji.*

Z pewnością niedługo zdam sobie sprawę z tego, że wykazałam zaburzoną umiejętność oceny sytuacji.

Po prysznicu wysuszyłam się ręcznikiem i nałożyłam odżywkę na swoje loki. Moje policzki były zaczerwienione – nie tyle od gorącej kąpieli, co od wspomnień minionej nocy.

Wróciłam do pokoju i przycupnęłam na krawędzi łóżka, pozbierałam swoje ubrania z podłogi, złożyłam je w schludną stertę obok walizki, przez cały ten czas wciąż nie patrząc w kierunku liściku. Jak na autopilocie wyjęłam z szafy swój drugi biznesowy strój i zaczęłam się ubierać.

Była dziewięta czterdzieści siedem, a samolot odlatywał o piętnastej.

Groziło mi pięć godzin w towarzystwie jedynie liściku od Quinna. Wpatrywałam się w niego z desperacją.

Drugą rzeczą, którą z niepokojem przypominałam sobie w powiązaniu z poprzednią nocą, był moment obustronnego zaufania. W tamtej chwili dałam mu coś, kiedy nasze spojrzenia spotkały się i kiedy poczułam, że jestem nieustraszona. Dałam mu część siebie. A teraz, w bardzo jasnym świetle dnia, nie byłam już taka pewna, czy była to z mojej strony mądra decyzja.

A on nie zasłużył sobie na to zaufanie. Dałam mu tę część siebie w chwili słabości. Uwierzyłam mu, tyle że była to wiara oparta na ocenie sytuacji, dokonanej przez zamroczony winem umysł.

Nie chciałam przeczytać tego liściku. Byłam przekonana, że dobrze znam jego treść. Quinn był w końcu Wendellem, a ja *właśnie stałam się jedną z jego seksprzyjaciółek*. Na samą myśl o tym poczułam ucisk w gardle.

Ale nie. Przecież ja nie byłam seksprzyjaciółką.

Postanowiłam, że nie dam się kontrolować Janie-histeryczce-i-królowej-dramy i spróbuję pozwolić dojść do głosu logicznie myślącej Janie, która zaznaczyła swoją obecność słowami: *Seks upojny, przez godzin kilka uprawiany, seksprzyjaciółką nie czyni nikogo*.

Te myśli również nie okazały się zbyt pomocne.

Fuknęłam zirytowana, podeszłam do łóżka i wzięłam do ręki kartkę. Janie-królowa-dramy była pewna, że została spławiona. Logicznie myśląca Janie postanowiła wstrzymać

się z oceną do momentu przeczytania liściku.

*Janie,*

*Zaraz wracam, poszedłem po kawę i śniadanie. Zadzwoń, jak tylko wstaniesz.*

*Quinn*

Gapiałam się na liścik.

I gapiałam.

I jeszcze trochę gapiałam.

A potem się pogapiłam.

I potem jeszcze chwilę się pogapiłam.

Uczucie tęsknoty powróciło, a wraz z nim nadzieja. Rozprzestrzeniła się w moim sercu, moim umyśle, moim ciele z prędkością błyskawicy, tak że niemal traciłam dech. I dlatego zrobiłam jedyną rzecz, która w tym momencie miała dla mnie sens.

Spanikowałam.

Zastanawiałam się, czy przez Quinna nie będę już nigdy w stanie spojrzeć na innego mężczyznę, podobnie jak przez jego prywatny samolot nie będę już nigdy w stanie podróżować z przyjemnością zwykłymi liniami lotniczymi.

Opuściłam Las Vegas o jedenastej trzydzieści pięć, na pokładzie samolotu linii AlliantSouth lecącym bezpośrednio do Chicago. Stojąc w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, czułam się jak uchodźca, a potem było już tylko gorzej. Kiedy czekałam na otwarcie bramek, żółw domowy, który najwyraźniej komuś zwiął, ukradł mi okulary i przegryzł je na pół. Kiedy wsiadałam do samolotu, napierający pasażerowie koszmarnie się rozpychali i jestem niemal pewna, że facet za mną złapał mnie w pewnej chwili za tyłek. Kiedy wreszcie zajęłam swoje miejsce przy oknie, siedząca obok mnie kobieta zdjęła buty.

Smród spoconych stóp towarzyszył mi nieustannie przez dwie godziny. Zastanawiałam się, czy żółwiowi-złodziejowi przypadłby do gustu ten aromat.

Szczęśliwie ponad tysiąc mil i jedną podróż taksówką później siedziałam już przy swoim biurku, sprawdzałam maile, popijałam kawę i modyfikowałam nasz pierwotny projekt dla klubu w Las Vegas. Było tuż po osiemnastej, w biurze panowała kompletna cisza. Zatraciłam się w arkuszach, wyliczeniach, formułach i tabelach przestawnych.

Rozdzwonił się mój telefon służbowy. Po uważnym sprawdzeniu, czy obliczane wartości widoczne na ekranie na pewno się zgadzają, podniosłam słuchawkę.

– Janie Morris, słucham?

– Janie, co do cholery?!

Jak nagły wstrząs elektryczny.

Był wyraźnie rozgniewany, a dźwięk jego głosu sprawił, że po moim kręgosłupie przebiegł dziwny dreszcz, promieniujący do moich nóg, rąk, palców i uszu.

– Och, cześć, cześć, Quinn. – Czułam ucisk w piersi i oddychałam z trudem. Mimo to starałam się, żeby mój głos brzmiał spokojnie i zrównoważenie.

Cisza.

– Jak minęła ci podróż?

Cisza.

– Miło słyszeć twój głos...? – To ostatnie zdanie zabrzmiało trochę jak pytanie, zupełnie jakbyśmy grali w Va Banque, a ja przed chwilą wybrałam swoją kategorię.

Usłyszałam westchnienie. Oczami wyobraźni widziałam jego piękną twarz i malującą się na niej frustrację.

Wreszcie spytał:

– Co się dzieje?

Zaczęłam dłubać paznokciem przy plastikowej podstawce na kalendarz na biurku. Czułam się potwornie, potwornie winna.

Zamknęłam oczy.

– Tak mi przykro.

– Dlaczego jest ci przykro? – Irytacja w jego głosie nieco osłabła.

– Ja po prostu... – zawahałam się przez chwilę, ciężko opierając czoło o rękę.

Nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Nie mogłam też powiedzieć mu, że jest mi przykro, że wykazałam się kiepską, podlaną winem umiejętnością oceny sytuacji i w efekcie się z nim przespałam, bo nie byłoby to prawdą. Nie żałowałam tego. Cieszyłam się ze swojego alkoholowego zamroczenia – gdyby nie ono, nie pozwoliłabym sobie na tak nierozsądne zachowanie. Cieszyłam się, że moja umiejętność oceny sytuacji została zaburzona.

Nie mogłam przyznać się, że uciekłam, bo byłam idiotką, która pomyliła fantastyczny seks z głębokim uczuciem.

Nie mogłam mu powiedzieć, że chciałam dzielić z nim życie. Że desperacko marzyłam o wspólnej przyszłości.

Więc skłamałam.

– Rozmyślałam o powrocie ze wszystkimi, z tobą i z pozostałymi i wiesz, wydaje mi się, że dla takich sytuacji nie ma instrukcji obsługi, a jeśli są, byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mi takową podesłał, bo naprawdę nie chciałabym powiedzieć niczego niestosownego w obecności naszych kolegów z pracy. Wiesz, nie rozmawialiśmy jeszcze o tym, jak to wszystko będzie wyglądać – praca w jednej firmie, gdzie ty jesteś kim jesteś i ja jestem kim jestem i... i... nie chcę zepsuć sobie relacji zawodowych z całym zespołem...

Wtrącił się, kiedy przerwałam na chwilę, żeby złapać oddech.

– Janie, Janie! W porządku. Okej? Wszystko w porządku. Rozumiem.

Zamarłam. Zawahałam się przez chwilę. Przygryzłam wargę, zastanawiając się, czy zrozumiał, o czym mówię, bo szczerze mówiąc, nawet ja nie do końca siebie rozumiałam.

– Naprawdę?

– Tak, rozumiem. Wiem, że lubisz etykiety i jasno określone oczekiwania. Jeśli chodzi o kwestie zawodowe, jestem w stanie się dostosować. Możemy zawrzeć pewnego rodzaju umowę, która będzie definiować zawodowe oczekiwania i inne.

– Czy to znaczy, że ty też uważasz, że coś takiego nam się przyda?

– Tak, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. A tym bardziej, jeśli dzięki temu przestaniesz mi uciekać.

– Dlaczego właściwie ci się podobam? – wykrztusiłam, zanim mój umysł zdążył powstrzymać moje słowa.

Zacisnęłam oczy i zmarszczyłam czoło. Moje pytanie oceniłam jako totalnie żenujące, tym bardziej, że spotkało się z jego kompletnym milczeniem. Natychmiast ochrzaniłam w myślach samą siebie: *Nie zadawaj tego pytania. On może nie znać odpowiedzi.*

Usłyszałam ciche kliknięcie, a potem w słuchawce zapadła cisza.

Otworzyłam oczy i spojrzałam niewidzącym wzorkiem na leżące przede mną papiery.

– Quinn? – Żadnej odpowiedzi. Z trudem przełknęłam ślinę. – Quinn, jesteś tam?

– To nie jest rozmowa na telefon – usłyszałam z boku jego głos.

Podniosłam głowę. Po chwili zobaczyłam, skąd dobiegają te słowa. Quinn stał w drzwiach mojego pokoju, opierając się o futrynę, nadal trzymając w ręku telefon. Powoli odłożyłam słuchawkę i wstałam. Na moją twarz wbrew mojej woli wypłynął

głupawy, nieśmiały uśmiech, niekontrolowana reakcja na jego obecność.

– Cześć – wyszeptałam bez tchu.

– Cześć. – Jego usta rozciągnęły się w powolnym uśmiechu, a ciepło jego spojrzenia sprawiało, że miałam dziwną ochotę go ugryźć.

Zrobił krok naprzód, zamknął za sobą drzwi. Postawił torbę na ziemi i wsunął telefon do kieszeni. Miał na sobie białą koszulę i wzorzysty krawat, ale był bez marynarki.

Wpatrywaliśmy się w siebie intensywnie. Bałam się, że jeśli tylko poruszę się albo odezwę, rozplynie się w powietrzu i okaże się zaledwie wytworem mojej wyobraźni. Nie chciałam, żeby zniknął.

I wtedy, zupełnie jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie, podszedł do mnie i pocałował mnie. Sposób, w jaki mnie całował, wyraźnie dawał mi do zrozumienia, że się za mną stęsknił i że cały dzień myślał o tym, żeby to zrobić.

Jego pocałunek również sprawił, że miałam ochotę go ugryźć.

Kiedy już nasycił się moimi ustami, wyprostował się i przechylił głowę na bok. Przyglądał się mojej twarzy spod półprzymkniętych powiek. Podniosłam wzrok i wgapiałam się w niego z tym nieśmiałym uśmiechem, który pojawił się na mojej twarzy bez wyraźnego polecenia ze strony mojego mózgu, napawałam się widokiem Quinna.

– Nie masz okularów – stwierdził rzeczowo, ale jego głos brzmiał głęboko, cicho i bardzo intymnie. Brzmiał cudownie.

– Nie, zostały uprowadzone.

– Uprowadzone?

– To długa historia, w dodatku z udziałem pewnego żółwia.

Uśmiechnął się z oczami pełnymi typowo męskiego rozbawienia.

– Żółwia? Naprawdę?

– Tak – odpowiedziałam, zaciągając się jego zapachem. Pachniał cudownie.

– Co robisz dziś wieczorem?

– Mam o siódmej spotkanie z dziewczynami z mojego dziergającego kółka.

– Nie wiedziałem, że robisz na drutach. – Uniósł brwi.

– Nie robię.

Jego brwi podjechały jeszcze wyżej.

– Aha. No dobrze. A później?

Postanowiłam być szczerą.

– Planowałam uporządkować swoje komiksy w oparciu o stopień wpływu drugiej fali feminizmu.

– W odróżnieniu od wpływu pierwszej fali feminizmu?

– To fakt, że to Susan B. Anthony położyła fundamenty pod wszystko, co nastąpiło później i że to wszystko jest ze sobą w jakiś sposób powiązanie, ale jednak sądzę, że nie miała ona bezpośredniego wpływu na komiksy z końca dwudziestego wieku.

Quinn zamknął oczy i pokręcił głową, a na jego usta wypłynął wyraźnie powstrzymywany uśmiech.

– A dlaczego pytasz? Co ty dzisiaj robisz? – powiedziała rozmarzona. W tym momencie czułam się jak mała, bezbronna dziewczynka.

Napotkał moje spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

– Miałem nadzieję, że uda mi się pokazać ci jeden z powodów, dla których mi się podobasz. Jeden z bardzo wielu, warto dodać. Ale skoro wieczorem musisz się zająć porządkowaniem komiksów, chyba będę musiał pokazać ci go teraz.

Jego dłonie przesunęły się powoli po moich ramionach i dalej na biodra i pośladki. Nie tyle położył na nich swoje dłonie, ile mocno zacisnął je na moim ciele i przysunął mnie do siebie, jednocześnie gładząc moje krągłości. Ten ruch sprawił, że moje wnętrze eksplodowało. Poczułam siłę nuklearnego wybuchu tak dojmująco, że niemal straciłam dech.

– Och – wyszeptałam tylko, bo na nic więcej nie było mnie w tym momencie stać.

Uśmiechnął się i pochylił. Zaczął całować mnie za uchem, a potem stopniowo schodził niżej. Oczywiście natychmiast odchyliłam głowę, żeby miał lepszy dostęp do mojej szyi.

I wtedy właśnie straciłam przytomność – to znaczy rozbudziła się Ida i przejęła nade mną kontrolę.

\*\*\*

Tak, to prawda.

Naprawdę uprawiałam fantastyczny seks w biurze, z własnym szefem, na własnym biurku.

To się naprawdę stało.

Zdarzało mi się już wcześniej doświadczać tego osobliwego uczucia: są surrealne momenty, kiedy konkretne połączenie oświetlenia, całej sytuacji, zapachów, ludzi, w towarzystwie których przebywam, i stroju, który mam na sobie, sprawiają, że czuję się jak w filmie.

Stojąc teraz w swoim biurowym pokoju, próbując poprawić włosy i bieliznę, jednocześnie zapinając koszulę, z Quinnem Sullivanem na drugim planie, zdecydowanie czułam się jak w filmie.

Cała ta sytuacja była zupełnie nieprawdopodobna.

– Muszę częściej przychodzić do biura – usłyszałam żartobliwą nutkę w jego głosie, ale nie uśmiechnęłam się. Moje dłonie marzyły o dotyku jego nagiej skóry, a serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

Mimo że właśnie skończyliśmy obłapiać się w naszym biurze, dosłownie na moim biurku, już teraz nie byłam w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak znowu go opleść. Było to uczucie, z którym nie miałam do tej pory zbyt dużego doświadczenia. Jego intensywność była nieco niepokojąca.

– Wiem, gdzie możemy pójść dziś na kolację – usłyszałam za plecami jego głos. Podejrzywałam, że stał przy oknie. – Tylko będziemy musieli się przebrać.

Palce zaczęły mi drżeć, więc przerwałam zapinanie koszuli. Położyłam ręce na biodrach, oparłam na blacie biurka i opuściłam głowę. Miedziane spirale opadły na moją twarz jak kurtyna, podczas gdy ja próbowałam przyswoić fakt, że zarówno poprzednia noc, jak i to, co miało miejsce przed chwilą, stanowiły autentyczne wydarzenia z mojego życia. Miały prawo zamieszkać w mojej głowie jako wspomnienia.

Mój mózg powtarzał w kółko: *To się naprawdę stało. To się naprawdę stało. To się naprawdę stało. To się naprawdę dzieje.*



I tym razem nie mogłam winić alkoholu za swoją zaburzoną umiejętność oceny sytuacji.

Usłyszałam jego kroki. Przez zasłonę moich włosów patrzyłam, jak jego czarne skórzane buty zatrzymują się dokładnie przede mną. Przytaknął, a potem odgarnął moje włosy i założył je za ucho. Ten niesamowicie delikatny gest sprawił, że poczułam się cudownie dopieszczona.

– Hej – powiedział.

Zerknęłam na niego spod rzęs. Wpatrywaliśmy się w siebie przez dłuższą chwilę. Czułość jego spojrzenia wypełniała mnie palącą potrzebą przerwania panującej między nami ciszy.

Odkasznęłam i w pełni podniosłam na niego wzrok. Chciałam powiedzieć coś, co nieco złagodziłoby narastający rozdźwięk między moim mózgiem, sercem a waginą – moim trójkątem bermudzkim. Wreszcie zdecydowałam się na pochwałę i szczerość:

– To było bardzo przyjemne. Zdecydowanie warte odnotowania.

Uśmiechnął się krzywo kącikami ust, podczas gdy jego wzrok błędził po mojej twarzy.

– Odnotowania? Chcesz powiedzieć, że prowadzisz rejestr?

Kiwnęłam głową.

– Tak, odnotowuję wszystko. Dane mają ogromną wartość, dlatego na przykład mamy tak surowe zasady dotyczące dostępu do danych w przypadku badań naukowych.

Zauważyłam, że gdzieś w połowie mojej wypowiedzi jego wzrok nagle znieruchomiał, zatrzymując się na moich oczach.

– Czy... czy ty... – Oblizał wargi. – Chcesz powiedzieć, że prowadzisz rejestr, w którym zapisujesz, ile razy uprawiałaś seks?

Spojrzałam na niego z powagą.

– Nie bądź śmieszny. Niczego nie zapisuję. Prowadzę taki rejestr w swojej głowie. No wiesz, co mi się podobało, a co niekoniecznie. Co tobie się podobało, a w każdym razie miałam wrażenie, że się podobało. Tego typu rzeczy.

Zamrugnął powoli.

– Aha. – W jego spojrzeniu dostrzec można było totalną konsternację, co było dość nietypowe w jego przypadku.

Zaczęłam czuć się nieco nieswojo pod nieustannym ostrzałem jego spojrzenia. Opuściłam głowę, żeby nie patrzeć bezpośrednio na niego. Być może było jeszcze za wcześnie, żeby odkrywać przed nim swoje dziwaczne zwyczaje.

Nagle jednak przyszła mi do głowy myśl, że może to był dokładnie *ten* moment, w którym powinnam odkryć przed nim swoje dziwactwa. Może to była odpowiednia chwila, żeby go wystraszyć i pozwolić mu uciec – co bez wątplenia nastąpi prędzej czy później – zanim naprawdę mi odbije i zajdzie we mnie jakiś Quinnopochodny proces biochemiczny, coś jak metylacja, który uruchomi moje puszczalskie markery DNA, w efekcie czego zacznę jak nałogowiec uganiać się za Quinnem, żeby dostać kolejną jego dawkę.

– To trochę jak z rozmiarami butów – powiedziałam, bacznie mu się przyglądając.

– Rozmiarami butów. – Znowu zamrugnął powoli. – O czym ty mówisz?

– Chodzi o to, że jest tylko określona liczba rozmiarów butów. Jeśli masz stopę większą niż największy rozmiar, jesteś uważany za osobę z nienormalnie wielkimi stopami – zaczęłam dotykać guzików bluzki kciukiem i palcem wskazującym, żeby upewnić się, czy wszystkie są zapięte i sumiennie dopinając dwa ostatnie. – Lepiej, żebyś wiedział już teraz, że mam równie nieuleczalnie nienormalne cechy.

Quinn w pierwszym odruchu się uśmiechnął, potem jednak zmusił się do powagi. Chrząknął.

– No dobrze, a co z klaunami? Klauni mają nienormalnie wielkie buty.

– No i?

– No i to znaczy, że wielkie buty mają swoje miejsce na świecie.

– Tak, w cyrku... – Skrzyżowałam ręce na piersi. – No wiesz, z innymi dziwadłami. Ustawił się w tej samej pozycji.

– Nie jesteś dziwadłem.

– Sądzę, że powinienes to wiedzieć, zanim to, cokolwiek między nami jest, wymknie się spod kontroli: owszem, jestem dziwadłem.

– Zdefiniuj „wymknięcie się spod kontroli”.

Jakimś cudem potrafił sprawić, że nawet taki kolokwializm brzmiał nieprzyzwoicie. Spłonęłam rumieńcem.

Mimo to jednak wyprostowałam się i starałam się okazać rozsądek i opanowanie.

– No wiesz, zanim nasza relacja zamieni się w coś innego, a tobie będzie się wydawało, że jestem jakaś, podczas gdy tak naprawdę jestem zupełnie inna.

– Janie, nie jesteś jedynym dziwadłem w tym pokoju.

– Ty nie jesteś dziwadłem. Ty jesteś sokołem, a ja strusiem.

Wyglądał rzeczywiście bardzo drapieżnie, kiedy zmrużył oczy.

– Po pierwsze, o wiele za dużo analogii dziś u ciebie, a po drugie...

– Widzisz? – przerwałam, wskazując na siebie obydwoma rękami dla wzmocnienia przekazu. – Dziwadło!

Zignorował mnie.

– A po drugie, cóż, muszę przyznać, że totalnie widzę podobieństwo między tobą a strusiem.

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie. Sądziłam, że będzie raczej próbował podważać moje oskarżenia pod adresem mnie samej.

– Yyy... widzisz? – Tym razem to ja mrugałam powoli osłupiała.

– Tak – powiedział, a na jego usta wypłynął powoli seksowny uśmiech.

– Czy to dlatego, że jestem dziwacznym ptakiem, który lubi chować głowę w piasek?

Roześmiał się i delikatnie podrapał się w brodę.

– Nie. Dlatego, że masz długie nogi, duże oczy i... – jego wzrok przebiegł po moich włosach – bujne upierzenie.

Odruchowo zebrałam ciasno swoje znieawidzone niesforne loki, próbując je okiełznać, ale bezskutecznie.

Uśmiechnął się.

Moc jego uśmiechu niemal zwałała z nóg.

– Wracając do kolacji...

– Yyy, nie mogę iść dziś z tobą na kolację. – Byłam autentycznie zaskoczona tym, jak opanowanie brzmiał mój głos. – Bo wiesz, spotykam się z dziewczynami na dzierganiu. Mówiłam ci już o tym, zanim, zanim my... zanim... – sapnęłam speszona.

Quinn przechylił głowę na bok, a potem położył swoje duże dłonie na moich ramionach. Czułam się tak dziwnie ze świadomością, że mógł teraz dotykać mnie, jak tylko chciał – i że rzeczywiście tego chciał. Nagle było to nie tylko akceptowane, ale i pożądane. Pękła pewna tama. Granica została przekroczona.

Długo sądziłam, że pewne prawdy są niezaprzeczone – prawdy o mnie samej, o ludziach, o świecie i o tym, jak wszystko się ze sobą łączy. A teraz te prawdy się zmieniły.

Wszystko zmieniało się tak szybko. Wszystko. Jedyłą stałą była ciągła zmiana.

Jego dłonie zsunęły się w dół po moich ramionach. Przyciągnął mnie do siebie. Pozwoliłam, żeby mnie przytulił i odgarnął włosy z mojej twarzy. Ujął delikatnie mój podbródek i złożył na moich ustach czuły pocałunek.

Nie wypuścił mnie z objęć od razu. Jego długie palce nadal trzymały mój podbródek, ale odsunął głowę na taką odległość, że wyraźnie widziałam jego czoło i nos. Wpatrywał się we mnie tymi swoimi oczami – po raz kolejny zaskoczyło mnie, jak bardzo są błękitne – i na chwilę straciłam dech, kiedy próbowałam wypuścić powietrze.

– Nadal chcesz iść dzisiaj na to swoje babskie spotkanie?

Kiwnęłam głową.

Jego wzrok błędził po mojej twarzy, jakby w poszukiwaniu potwierdzenia wiarygodności mojej niemej odpowiedzi.

– Zawsze możesz odpuścić sobie dzisiejsze dzierganie i spędzić trochę czasu z tym gościem, z którym się spotykasz. – Jego dłonie przeniosły się na moją talię pod pretekstem zatrzymania mnie w miejscu.

Przełknęłam ślinę i uśmiechnęłam się, zaciskając usta.

– To niewątpliwie bardzo kusząca propozycja.

Uśmiechnął się kąciakiem ust. Patrzył na mnie wyczekująco, pełen nadziei, co było pod każdy względem dziwne, biorąc pod uwagę jego zwykłą wstrzemięźliwość w okazywaniu emocji.

– Moglibyśmy pójść do kina.

Chciałam... nie, *musiałam* dotrzymać słowa danego dziewczynom i pójść na to spotkanie. Nagle poczułam, że koniecznie muszę tam dziś być.

– Muszę przynieść wino, dzisiaj moja kolej. Jeśli nie przyjdę, zaczną wydzwaniać do starszych ludzi i robić im dowcipy, a potem, jak przyjdzie do aresztowań, zwałą całą winę na mnie.

Prawda była taka, że potrzebowałam czasu, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie. Czułam bardzo silną więź z Quinnem, ale martwiłam się, że to trochę przedwcześnie. Zazwyczaj moje przywiązanie do innych kształtowało się latami. Quinna znałam niecałe sześć tygodni, a już teraz myślałam o nim częściej i czułam do niego więcej, niż kiedykolwiek do Jona.

Na litość Thora, przecież tęskniłam za nim, nawet kiedy nadal jeszcze byliśmy

w jednym pokoju! Siła moich uczuć i ich nieposkromiona zachłanność sprawiały, że miałam ochotę schować się pod biurkiem, dopóki mój mózg, moje serce i moja wagina nie dojdą do konsensusu.

Dlatego właśnie odpychałam go od siebie, możliwie delikatnie, i nalegałam, że muszę spotkać się z przyjaciółkami.

Wyraz jego twarzy zmienił się – nadzieja przeszła w ponure niezadowolenie. Zacisnął szczękę, a kąciki ust opadły.

Z jego gardła wydobyło się zbolące westchnienie.

– Janie, myślałem, że... po tym... – Quinn oblizał usta, opuścił ręce i zrobił krok w tył. Stał z założonymi rękami i szeroko rozstawionymi nogami, jakby w pozycji bojowej. – Co to w ogóle jest? – spytał.

Musiałam przełknąć ślinę, zanim odpowiedziałam:

– O czym mówisz?

Znowu patrzył na mnie okiem drapieżnika. Miałam poczucie, jakby jego spojrzenie emanowało wrogością.

– Dopiero co... – zaczął coraz bardziej podniesionym głosem i urwał. Patrzyłam, jak z trudem przelika ślinę, odwraca wzrok, po chwili znowu patrzy mi w oczy. Ponownie westchnął. – Chcesz iść na spotkanie z dziewczynami ze swojej dziergającej grupy dzisiaj, po tym, co się właśnie wydarzyło? Po tym, co wydarzyło się zeszłej nocy?

Zaczęłam nerwowo przygryzać wargi, a moje oczy były wytrzeszczone od nadmiaru emocji, które trudno mi było wyjaśnić.

– Tak?

– Tak? – Wyczekująco uniósł brwi. – Czy to pytanie?

– Nie?

Zmarszczka między jego brwiami pogłębiła się.

– Czy nam w ogóle chodzi o to samo?

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. – Objęłam się ramionami, zaciskając zęby.

Wpatrywaliśmy się w siebie. Niezręczny moment, sztywny jak przesadnie wykrochmalona koszula. Jego spojrzenie – znużone, oskarżycielskie, ale i wyczekujące – sprawiło, że poczułam się jak idiotka. W sumie, może byłam idiotką.

Właściwie to byłam pewna, że nią jestem.

Miałam właśnie okazję spędzić wieczór z Quinnem, którego naprawdę bardzo, bardzo lubiłam w każdy możliwy sposób. I traciłam tę okazję, bo byłam przerażona – tak, przerażona.

*Prze-ra-żo-na.*

Nie będąc w stanie znieść jego świdrującego spojrzenia, powoli odetchnęłam, zamknęłam oczy i odwróciłam od niego twarz – ale tylko twarz – i pokręciłam głową.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. – Mój głos, nawet dla mnie samej, brzmiał zaskakująco lękliwie.

Nie tyle zobaczyłam, co poczułam, że przysuwa się nieco bliżej.

– Jeśli nie myślisz o nas jako o czymś na stałe, muszę wiedzieć o tym teraz.

Z moich ust wyrwał się krótki śmiech, mimowolny jak moje słowa:

– Mój Boże, Quinn, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo chciałabym, żeby to było

na stałe. Chciałabym, żebyśmy byli niezniszczalni jak ciasteczka Twinkies i karaluchy, jak śmierć i podatki. Ale ja...

Jego dłonie znowu były na moim ciele, na mojej talii, potem na plecach. Przycisnął mnie do siebie i zatonełam w jego uścisku. Odruchowo chwyciłam poły jego koszuli i trzymałam się go mocno.

– Więc zostań dziś ze mną – powiedział ciepłym szeptem prosto w moje ucho. Po jego wcześniejszym wybuchu irytacji nie było śladu. W jego głosie słychać było wręcz ulgę.

– Potrzebuję po prostu... – zaczęłam urywanym oddechem. Wypłynęłam na kompletnie nieznaną wodę, a moje niekontrolowane wyznanie wcale nie ukoilo moich nerwów, ale też nie pogorszyło sytuacji.

Byłam w emocjonalnym zawieszeniu.

Oparłam czoło o jego ramię i chłonełam jego zapach. Był taki ciepły, jak piec. Zamknęłam oczy.

Wreszcie wypowiedziałam jedyne słowa, jakie naprawdę miały sens, a które łatwiej było mi wypowiedzieć dzięki poczuciu anonimowości, jaką zapewniała mi ciemność pod zamkniętymi powiekami.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Boję się. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Poczułam na skórze mojej szyi, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. Wargi musnęły delikatnie moje ramię. Odsunął mnie od siebie powoli, z wyraźną niechęcią.

Jego dłoń gładziła mój policzek. Drugą dłoń zanurzył w moich włosach i odchylił moją głowę.

– Spójrz na mnie.

Wzięłam głęboki oddech, a potem otworzyłam oczy.

Jego wcześniejsza frustracja w dużej mierze wyparowała, a sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawił, że stałam się w pełni świadoma równie krępującego, jak i rozkosznego faktu, że przylegaliśmy do siebie ciasno od pasa w dół.

– Pójdziemy na naszą randkę jutro, okej? – powiedział, kreśląc kciukiem hipnotyzujące okręgi na moim policzku.

Przytaknęłam.

– I spędzisz ze mną jutro cały wieczór? – Quinn opuścił podbródek tak, że patrzył na mnie teraz niemal przez swoje gęste brwi. – Żadnych feministycznych komiksów? Żadnych spotkań przy winie z dziergającymi przyjaciółkami?

– Na pierwszym miejscu jest dzierganie, któremu tylko towarzyszy wino, ale tak, potwierdzam, spędzimy razem cały wieczór. – Podbródek drżał mi lekko, przez co mój głos drżał również.

Chyba wyczuł, że jestem w bardzo delikatnym stanie emocjonalnego zawieszenia, bo uśmiechnął się do mnie w sposób, który niwelował całe napięcie związane z jego wcześniejszą frustracją i zaczął koić moje niejasne niepokoje.

– W porządku. – Wypuścił z rąk pasma moich włosów i zrobił powoli krok w tył, wbijając ręce w kieszenie, jakby musiał powstrzymać się przed kolejnym ruchem. Jego uśmiech jakby posmutniał, a spojrzenie znów krążyło po mojej twarzy. – Poczekam.

Tym razem była kolej Marie na użyczenie lokalu naszej grupie. Quinn nalegał, że odwiezie mnie na nasze spotkanie i był w tym temacie nieugięty. Odprowadził mnie pod same drzwi i pocałował na do widzenia. Pocałunek był absolutnie oszałamiający, a kiedy Quinn odszedł, czułam się tak, jakby jakaś część mnie odchodziła razem z nim.

Nie muszę chyba dodawać, że było to cokolwiek niepokojące uczucie.

Zanim odszedł, nalegał jeszcze, żebym koniecznie zadzwoniła do niego później, w trakcie porządkowania komiksów. Twierdził, że jest bardzo ciekawy, jak druga fala feminizmu wpłynęła na sztukę tworzenia komiksów pod koniec dwudziestego wieku.

Nie wiedzieć czemu, miałam pewne wątpliwości co do wiarygodności jego słów.

Drzwi otworzyła mi Elizabeth. Sunęłam przez wspaniałe urządzone mieszkanie Marie, praktycznie nie zwracając uwagi na nic ani na nikogo. Gdybym była bardziej świadoma tego, co się wokół mnie działo, zauważyłabym wgapiające się we mnie pary oczu i pytające spojrzenia wymieniane między dziewczynami.

Jednak mój umysł bujał w obłokach i nie miałam tu na myśli mojej tendencji do odpływania myślami. Tym razem mój umysł oddawał się lubieżnym wspomnieniom. Położyłam palce na ustach i przypomniałam sobie, jak Quinn podniósł mnie i posadził na biurku, jakbym była lekka jak piórko, przypomniałam sobie jego gorące palce pod moją spódnicą, nad koronką pończoch i...

– Janie?

Zamrugalam, wyrwana z transu, i skoncentrowałam się na osobie stojącej dokładnie na wprost mnie, wpatrującą się we mnie z lekkim niepokojem.

To była Ashley.

– Tak?

– Jak rany, dziewczyno, dokąd odleciałaś i czy potrzebujesz towarzystwa? – spytała Ashley, wyciszając swój zaśpiew z Tennessee. – Wszystko w porządku?

– Ja, yyy... – Nie przestając mrugać, rozejrzałam się po pokoju i po zebranych w nim osobach, zupełnie jakbym widziała je po raz pierwszy. Wszystkie patrzyły na mnie z wyraźną troską i ciekawością. Jedynym dźwiękiem w pokoju były odgłosy chipsów chrupanych przez Sandrę.

– Przepraszam – wydusiłam wreszcie. – Mówiłaś coś do mnie?

Elizabeth siedziała na kanapie, obserwując mnie bacznie szeroko otwartymi oczami. Poklepała miejsce obok siebie.

– Pytałam, czy chcesz usiąść, a ty nic, tylko stoisz bez ruchu.

– A, tak, tak, jasne! Bardzo chętnie usiądę. – Opuściłam głowę i podeszłam do kanapy, żeby zająć miejsce obok Elizabeth. Torebka zsunęła mi się z ramienia i upadła na podłogę.

– A gdzie twoja walizka? Zdążyłaś zostawić ją w mieszkaniu? – Elizabeth przyglądała mi się podejrzliwie, ale jej głos brzmiał lekko i swobodnie.

– Nie, jeszcze nie. Prosto z lotniska pojechałam do biura.

Marie wręczyła mi talerz z chipsami i dipem cebulowym i nad moją głową wymieniła porozumiewawcze spojrzenia z Fioną.

– Jak tam twoja podróż?

– Było... – Zarumieniłam się gwałtownie, a na mojej twarzy pojawił się mimowolny, szeroki uśmiech. Pochyliłam głowę tak, żeby moje włosy opadły naprzód i osłoniły mnie jak tarcza.

Nagle rozległ się lekki okrzyk.

– Nie! Nie mów! – krzyknęła Elizabeth. – O! Mój! Boże!

– Zaraz... co? Co się stało? – spytała Ashley, podchwytyjąc entuzjazm Elizabeth.

Zacisnęłam powieki, a w pokoju wybuchł harmider. Elizabeth podskakiwała na kanapie tak mocno, że chipsy fruwały na wszystkie strony.

– Zrobiłaś to, zrobiłaś to! – podśpiewywała.

– Co takiego? Co zrobiła? – Ciche, ale pełne ciekawości słowa Kat przebiły się w końcu przez zgiełk.

– Zaliczyła upojne bzykanko z Panem Ciacho! – Pod wpływem podskoków Elizabeth o mało co nie spadłam z sofy na podłogę. Odłożyłam papierowy talerz na kolana, jak się okazało słusznie, bo za chwilę tonęłam już w niedźwiedzim uścisku.

– Dzięki Bogu! – Sandra przytulała mnie z całej siły, z jedną nogą przerzuconą przez moje kolana. Ułamek sekundy później jej tłuste od chipsów palce znalazły się na moich policzkach i podniosła moją twarz na wysokość swojej. Jej teksańskie zaciąganie słyhać było jeszcze wyraźniej niż zwykle. – Kiedy Elizabeth powiedziała nam, że chcesz trzymać chłopaka na dystans, martwiłam się jak cholera, że nie będę mogła przeżywać twoich sekskapad – to mówiąc, dała mi nagle szybkiego buziaka, po czym przytuliła mnie do piersi, jakbym była małym dzieckiem. – Uwierz mi, gdybyś nie wlaźła na tego faceta jak małpa na drzewo, sama pobawiłabym się w drwała!

W tym momencie śmiałam się już w głos, parszkając raz po raz.

– Co ty w ogóle wygadujesz? – Roześmiana Marie próbowała wyplątać mnie z objęć Sandry. – Daj dziewczynie trochę przestrzeni, żeby mogła nam wszystko opowiedzieć. I mam na myśli naprawdę wszystko! – Kiedy Marii udało się wreszcie odciągnąć Sandrę, od razu zabrała się za sprzątanie rozsypanych chipsów. Próbowałam ruszyć jej z pomocą.

Elizabeth znowu zaskrzeczała podekscytowana i usiadła na kanapie przodem do mnie, przytulając do piersi wielką poduchę. Jej oczy aż błyszczały z ekscytacji i radości.

– Zaczynij od samego początku! Niczego nie omijaj, opowiadaj dokładnie, co się po kolei wydarzyło.

– I bardzo cię proszę, opisuj wszystko w calach. Nie potrafię przeliczać w głowie z metrycznego na nasze – dorzuciła Ashley, rozsiadając się wygodniej i sącząc czerwone wino.

Schowałam twarz w dłoniach i pokręciłam głową.

– Uch! Nie wiem nawet, od czego zacząć!

– Zaczynij od momentu, w którym zaczęliście zdejmować z siebie ubrania! – Sugestia Kat sprawiła, że moja twarz zapłonęła jeszcze intensywniejszym rumieńcem.

– Nie o to chodzi. Nie macie pojęcia, ile się wydarzyło w ostatnich dniach – westchnęłam. Opuściłam ręce na kolana i chwyciłam rąbek spódnicy. – Dowiedziałam się, że Quinn nie jest... no cóż, okazało się, że jest moim szefem, no i jeszcze sprawa

z Jonem i moją siostrą, poza tym jeszcze sprawa mojego zwolnienia...

– Dajcie jej chwilę! – zbesztła resztę Fiona, po czym dodała: – Pozwólmy dziewczynie zebrać myśli. Inaczej wszystko jej się pomyli i zapomni opowiedzieć nam najlepsze fragmenty.

\*\*\*

Próbowałam opowiedzieć im, co się wydarzyło, i naprawdę starałam się trzymać wszystkich faktów, ale niestety, kiedy przyszło do zrelacjonowania pikantnych szczegółów, okazałam się przygnębiająco kiepską gawędziarką.

W pewnym momencie Ahsley nie wytrzymała:

– Boże, Janie, jak ty to robisz, że wszystko, co mówisz, brzmi jak nudny policyjny raport?

– O, rety... – Maria przygryzła wargę, świdrując mnie swoim błękitnym, zaniepokojonym spojrzeniem. – Kochanie, jak się z tym wszystkim czujesz? Nie mogę uwierzyć, że to wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia.

– Jak widać, ma się świetnie – przerwała Sandra, odkładając swoją robótkę na stół i biorąc łyk piwa. – Mnie interesuje, kto wygrał w rozbieranego pokera?

Elizabeth chwyciła mnie za rękę.

– Nie mogę uwierzyć, że jest właścicielem firmy. Tego się nie spodziewałam.

– Ja nie mogę uwierzyć, że Jon przespał się z twoją psychiczną siostrą – wtrąciła się Ashley. – Przecież ta laska jest szuuurnięta!

– Kto wygrał, Janie? – spytała Fiona cichym głosem. Przyglądała mi się uważnie zmrużonymi oczami w sposób, który wzbudzał mój niepokój.

Przełknęłam ślinę.

– Był remis.

– Hmm... – Fiona w zamyśleniu zacisnęła usta w linijkę. – To znaczy, że się spotykacie, tak?

Potrząsnęłam głową, jakbym próbowała oczyścić ją z myśli.

– Na to wygląda.

– I właśnie tego chcesz? – dociskała Fiona.

Przytaknęłam, zanim zorientowałam się, że moja głowa się porusza.

– Tak – przyznałam z drżącym podbródkiem. – Tak, ale jednocześnie strasznie się boję, wiesz?

– Och, Janie... – Fiona uśmiechnęła się do mnie, a jej elfie oczy błyszczały. – Właśnie po tym poznajesz, że to jest to.

\*\*\*

Napisałam Quinnowi SMS-a tuż po wyjściu ze spotkania:

*Nie będę porządkować komiksów. Zamiast tego planuję paść ze zmęczenia, jak tylko wejdę do domu.*

Odpowiedział:

*Okej. W takim razie daruję ci rozmowę. Do zobaczenia jutro po pracy. Dla twojej wiadomości: twoi ochroniarze dopilnują, żebyś bezpiecznie dotarła do domu.*

I jeszcze, minutę później:

*Tęsknię. Jutro powinnaś spędzić noc u mnie.*



I jeszcze, trzydzieści sekund później:

*Albo mogłabyś przyjechać do mnie teraz. Obiecuję, że dam ci się wyspać.*

Zaczęłam rozważać jego propozycję.

Rozważałam ją. Moja głowa mówiła „nie”, moja vagina mówiła „tak”, a moje serce mówiło: „Nie wiem, nie wiem! Jestem emocjonalnie zablokowane! Dajcie mi spokój!”.

Byłam świadoma obecności ochroniarzy, którzy szli za mną jak cień, towarzysząc mi w trakcie mojego krótkiego spaceru do domu. Maria mieszkała niedaleko, zaledwie trzy przecznice od naszego budynku. Elizabeth miała nocną zmianę w szpitalu i musiała wyjść z naszego spotkania nieco wcześniej. Noc była zimna. Chłodny chicagowski wiatr szczypał mnie w policzki, rozwiewając moje rozpuszczone włosy i wywijając nimi wokół moich ramion.

Zimne powietrze podziało na mnie otrzeźwiająco. Odpisałam na ostatnią wiadomość Quinna:

*Jeśli przyjadę teraz, nie będą chciała spać. Idź już do łóżka.*

Wsunęłam komórkę do kieszeni płaszcza i ruszyłam po schodach do drzwi wejściowych. Niemal od razu poczułam wibracje telefonu. Zerknęłam na ekran, jednocześnie otwierając drzwi kluczem i idąc na górę.

*W takim razie tym bardziej powinnaś do mnie przyjechać.*

Uśmiechnęłam się. Czułam, jak moja skóra robi się coraz cieplejsza, a policzki różowieją. Ten człowiek potrafił sprawić, żebym się zarumieniła nawet przez SMS-a.

W rozkojarzeniu pokonywałam kolejne stopnie i jednocześnie pisałam odpowiedź do Quinna, szczerząc zęby w uśmiechu jak głupia:

*Nie. Obojgu nam przyda się sen. Idź do łóżka.*

Po chwili zastanowienia i zanim zdołałam się powstrzymać, dodałam jeszcze jedno zdanie, które było prawdą i które nagle bardzo zapragnęłam mu napisać:

*Ja też za tobą tęsknię.*

Otworzyłam drzwi mieszkania, kliknęłam „wyślij” na telefonie, zatrzasnęłam drzwi i zasunęłam zasuwkę. Wzięłam głęboki oddech i oparłam się o ścianę. Moja głowa opadła swobodnie do tyłu, a ja zastanawiałam się, jak to możliwe, że jestem poza domem niecałe czterdzieści osiem godzin. Tak wiele się zmieniło, od kiedy byłam tutaj po raz ostatni.

– Co z tobą nie tak, do cholery?

Zesztywniałam. Z oczami jak spodki rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu źródła głosu. Wiedziałam, kto to, jeszcze zanim ją zobaczyłam.

Jem.

Stała w przedpokoju oparta ramieniem o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi i z podbródkiem uniesionym w ten sam dumny, uparty sposób, w jaki unosiła go... cóż, zawsze.

Ubrana była w czarne sprane dzinsy, brązowe kozaki i białą bluzkę z długim rękawem. Był to strój zdecydowanie grzeczniejszy i bardziej zabudowany niż to, co zakładała zazwyczaj. Tłumaczyłam to sobie faktem, że przecież na zewnątrz jest chłodno, a poza tym, cóż, ogólnie nie przypominała siebie. Jej włosy wyglądały jak moje, długie, kręcone i niesforne. Były nawet tego samego koloru. Mimo że nosiła ubrania dwa rozmiary mniejsze ode mnie, natychmiast zrozumiałam, że ktoś mógłby nas pomylić. Wyglądałam jak jej sobowtór, szczególnie z daleka.

Zamrugałam, patrząc na nią. W pierwszym odruchu zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest po prostu wytworem mojej wyobraźni – szczerze mówiąc, miałam taką nadzieję. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, chropowaty głos Jem przerwał mój wewnętrzny monolog.

– No?

Przyglądałam się jej przez długą chwilę, zanim wreszcie spytałam:

– W jaki sposób udało ci się dostać do mojego mieszkania?

Jem wzruszyła ramionami.

– Udawałam, że jestem tobą. Powiedziałam waszemu dozorczy, że zgubiłam klucz, i mnie wpuścił.

– Świetnie, po prostu świetnie – westchnęłam ciężko i weszłam do środka. Zdjęłam brązowy wełniany płaszcz, powiesiłam na wieszaku i wpatrywałam się w Jem wytrzeszczonymi oczami.

– Nie cieszysz się ze spotkania ze swoją małą siostrzyczką? – spytała, ściskając usta w pełną irytacji linijkę.

Minęłam ją i ruszyłam do salonu, a potem dalej do kuchni. Nagle nabrałam ogromnej ochoty na drinka. Jem ruszyła za mną. Oparła się o blat, pochylając się mocno do przodu i patrzyła, jak nalewam sobie soku pomarańczowego i tequili.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

Zignorowałam jej pytanie i wymieszałam płyny za pomocą łyżki.

– Nauczyłaś się wreszcie pić? Ostatnim razem, kiedy widziałam cię z alkoholem w ręku, straciłaś przytomność po pięciu szotach wódki.

– Nie straciłam przytomności, tylko zwymiotowałam na egzaminatora – sprostowałam. Nie byłam o to zła, już nie. Po prostu wiedziałam, że będąc w pobliżu Jem, muszę trzymać się faktów tak ściśle, jak to tylko możliwe.

– Jak tam chcesz.

– Po co tu przyszedłaś? – spytałam i wzięłam duży łyk drinka.

– Pisałam ci przecież, że wpadnę z wizytą.

Wpatrywałyśmy się w siebie przez kilka długich chwil. Spytałam ponownie:

– Po co tu przyszedłaś?

Wyprostowała się powoli i skrzyżowała ręce na piersi.

– Przyjechałam do Chicago i potrzebuję noclegu na kilka dni.

Potrząsnęłam głową.

– Jesteś w Chicago od kilku tygodni. Dlaczego przyszłaś dopiero teraz?

Jej oczy zwęziły się ledwo dostrzegalnie, kiedy uniosła podbródek.

– Jak dużo wiesz?

Wzięłam kolejnego łyka mojego soku, po czym odstawiłam szklankę na blat.

– Całkiem sporo.

Przyglądała mi się uważnie. Jej spojrzenie było zimne i powściągliwe. Dokładnie tak, jak to zapamiętałam. Zaczęła mówić, powoli, jakby ostrożnie dobierając słowa.

– Skąd wiesz, że jestem w Chicago od kilku tygodni? Kto ci powiedział?

– Jon – odpowiedziałam, bawiąc się szklanką, żeby zająć czymś ręce. Miałam ochotę się ruszyć, miałam ochotę stąd uciec, miałam ochotę przywalić jej w nos, miałam ochotę zjeść zbożowego batonika.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, spojrzenie ani drgnęło.

– Straszny z niego dupek, wiesz?

– Z ciebie też – odparowałam. Miałam coraz większą ochotę na tego batonika. Odstawiłam szklankę i zaczęłam przeczesywać szafki.

– Może i tak, ale przynajmniej nie udaję, że jest inaczej. A on próbuje usprawiedliwiać wszystkie swoje łajzowate zachowania, twierdząc, że to z miłości. Daj mi szklankę.

Zerknęłam przez ramię i patrzyłam, jak odkręca butelkę z tequilą.

– A teraz jeszcze będziesz piła moją tequilę?

– Tak.

Wzruszyłam ramionami i podeszłam do szafki z kubkami i szklankami. Podałam jej jedną, a potem wróciłam do polowania na batonika.

– Jaki właściwie miałaś plan, Jem? Dlaczego to zrobiłaś? – Niespecjalnie obchodziło mnie to, dlaczego przespała się z Jonem. Po prostu źle się czułam, siedząc z nią w kompletnej ciszy, a biorąc pod uwagę okoliczności, uznałam, że to rozsądny temat do rozmowy.

– Szantaż, oczywiście.

– Oczywiście. – Znalazłam wreszcie zapas batoników i wyciągnęłam dwa. Podałam jej jeden, a sama zabrałam się za rozrywanie opakowania drugiego. Zawsze miałam problem z otwieraniem niewielkich opakowań, jak paczki M&M-sów czy kondomy.

– Ale on, oczywiście, musiał to wszystko spieprzyć, mówiąc ci prawdę. – Jem szczerze chlusnęła sobie tequili do szklanki, ale nie piła.

– Ale po co szantaż?

– Potrzebowałam pieniędzy.

– Na co?

Jem wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, prychnęła, po czym zaczęła rozglądać się z uwagą po niewielkiej kuchni, jakby robiła inwentaryzację. Wzięła łyk czystej tequili. Nawet się nie skrzywiła.

Wykorzystałam ten moment, żeby jej się przyjrzeć. Po raz pierwszy od bardzo

dawna Jem wyglądała wyraźnie niepewnie. Nagle uświadomiłam sobie, że panująca między nami cisza sprawia mi przyjemność. Z przyjemnością zamlaskałam po kolejnym łyku mojego drinka i z przyjemnością słuchałam głośnego chrupania batonika zbożowego. Wszystkie te dźwięki brzmiały jeszcze intensywniej w połączeniu z emanującym z niej napięciem i niepokojem.

Kiedy stało się jasne, że nie miała zamiaru odpowiedzieć na moje pytanie, zdecydowałam się spytać z buzią pełną chrupiących, słodkich płatków owsianych:

– Mogę zgadywać?

Kilka owsianych okruchów wypadło mi z ust i wylądowało na blacie. To absolutnie obrzydliwe. Byłam zachwycona.

Jem przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, zataczając kółka swoją szklanką. Nadal nie patrzyła w moją stronę.

– Jasne.

– Okej. Mam trzy szanse. – Odłożyłam batonik na blat, dopiłam drinka i w ramach rozgrzewki strzeliłam stawami palców. – Opcja numer jeden: potrzebujesz pieniędzy, żeby pójść na studia.

Podniosła na mnie wzrok. Kąciki jej ust uniosły się lekko w niewielkim uśmiechu. Była autentycznie rozbawiona.

– Tak jest, zgadza się. Przyjęli mnie na MIT, ale potrzebuję jeszcze dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów na podręczniki.

Odzwajemniałam uśmiech. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz się do niej uśmiechałam, czy to szczerze, czy fałszywie.

Pokręciłam powoli głową.

– Nie, nie, to jednak nie to. Zgaduję jeszcze raz. – Chrząknęłam, ściągnęłam usta i zmrużyłam oczy. – Planujesz założyć organizację non profit i potrzebujesz dofinansowania.

Przytaknęła.

– Tu mnie masz. Chcę nauczyć biedne sieroty, jak się łowi homary. Jeśli nie nauczą się tego ode mnie, dowiedzą się tego na ulicy.

– Tak właściwie to nie mówi się „łowić homary”. Główną metodą łapania homara norweskiego jest trałowanie, chociaż te większe okazy, na przykład homary amerykańskie, łapane są zazwyczaj za pomocą pułapek.

– Spieprzaj z tym swoim wikipediowym pierdoleniem.

Uśmiechnęłam się szerzej, chociaż czułam gorycz tego uśmiechu. W ustach miałam octowy smak.

– Ach, czyli rozumiem, że to jednak też nie to. W porządku – położyłam palec wskazujący na brodzie. Byłam zaskoczona, że Jem włączyła się do mojej głupiej zabawy, żartuje sobie ze mną i nagle przyszło mi do głowy, że ona pewnie nie spodziewa się, że znam prawdziwy powód jej obecności. Wzięłam głęboki oddech.

– Niech się zastanowie...

– Może jedno i drugie. Może chcę iść na studia, żeby założyć organizację non profit.

Pstryknęłam palcami. Niemal ją wystraszyłam.

– Wiem!

– Dobra, tu mnie masz. Chcę adoptować wszystkie dalmatyńczyki w Bostonie i zrobić sobie z nich futro – powiedziała śmiertelnie poważnym głosem. Uniosła tequilę do ust.

– Nie... – zawahałam się, a potem wzięłam kolejny głęboki oddech. – Uciekasz przed skinheadem o imieniu Seamus, który ma dziwne tatuaże na szyi i chce cię zabić.

Jem zastygła w kompletnym bezruchu, świdrując mnie spojrzeniem, ze szklanką w połowie drogi do ust. Dałam jej kilka sekund na reakcję. Nie wyglądała już na rozbawioną.

Moja ręka namierzyła porzucony papierek po batoniku i zacisnęła się na nim. Zgniotłam opakowanie i ciągnęłam dalej:

– I potrzebujesz pieniędzy, żeby się przed nim ukryć.

Jem wzięła kolejny łyk złotego płynu i odstawiła szklankę. Miała nieodgadniony wyraz twarzy. To była ta Jem, którą znałam. Nie pamiętałam już żadnego momentu, kiedy nie patrzyła na mnie (i na cały świat) z kamienną miną. Jej klatka piersiowa uniosła się powoli, jakby brała uspokajający oddech.

– Skąd o tym wiesz? – spytała tak cicho, że ledwo ją słyszałam.

Próbowałam ją naśladować i przybrać niewzruszony wyraz twarzy, ale wiedziałam, że mi nie wychodzi. Czułam, jak rozpala mnie poczucie rozżalenia, wypełza ze mnie przez palce i gałki oczne. Z każdym oddechem czułam to gorąco.

– Zgadłam – odpowiedziałam. Oblizawałam usta. Były słodkie od soku pomarańczowego.

Wpatrywałyśmy się w siebie w milczeniu przez dłuższy czas. Miałam ochotę na nią nawrzeszczeć. Miałam ochotę zapytać ją, czy kiedykolwiek zdarza jej się pomyśleć o kimś innym poza sobą. Miałam ochotę zapytać ją, w którym momencie życia postanowiła być tą szurniętą siostrą Morris, kiedy mogła być tą słodką, albo dobrze wychowaną, albo duszą towarzystwa, albo jakąkolwiek inną dziewczyną, którą chciałyby być.

Jem pierwsza przerwała milczenie:

– Potrzebuję pieniędzy.

Westchnęłam i spojrzałam na moją prawie pustą już szklankę. Pomasowałam palcami czoło. Zaczynała boleć mnie głowa.

– Wiem.

– Nie, Janie. Ja *naprawdę* potrzebuję pieniędzy.

Przez chwilę wpatrywałam się w nią i z zaskoczeniem zobaczyłam, że w jej oczach czaił się lęk, częściowo przesłaniający jej kamienną nieustępliwość.

– Nie mam pieniędzy.

– Ale Jon ma.

Pokręciłam głową.

– Nie sądzę, żeby Jon dał ci pieniądze.

– Ale tobie da. On da ci wszystko, o co go poprosisz.

Musiałam przygryźć wargę, żeby powstrzymać swoją nagłą i niespodziewaną chęć wrzaśnięcia na nią. Impuls był tak gwałtowny, że musiałam nerwowo przełknąć ślinę.

Ręce mi się trzęsły.

Byłam wściekła.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć, więc znowu pokręciłam głową.

– Janie, do kurwy nędzy! Przynajmniej tyle mógłby dla ciebie zrobić po tym, jak cię zdradził.

I wtedy zaczęłam się śmiać. Początkowo był to krótki, kompletnie mimowolny wybuch. Potem, kiedy natrafiłam na jej spojrzenie, z ust wyrwał mi się histeryczny chichot. Przepadłam. Chwilę później śmiałam się już tak głośno, że bolały mnie brzuch i szczeka. Musiałam oprzeć się o kanapę, żeby przypadkiem nie upaść na podłogę.

Nic w całej tej sytuacji nie było zabawne. A jednak byłam zupełnie pewna, że zaraz po prostu pęknę ze śmiechu.

– No co? Nie wybaczysz mi, że przespałam się z twoim dupkowatym facetem?

Otworzyłam usta ze zdziwienia. Nie sądziłam, że cokolwiek w jej zachowaniu będzie mnie jeszcze w stanie zaskoczyć. Najwyraźniej myliłam się.

Jednak tak bardzo przywykłam już do tłumienia emocji, związanych ze swoją rodziną – tych, które odczuwałam w ich obecności, na myśl o nich, czy wspominając dzieciństwo – że moje zaskoczenie nie trwało długo. Było trochę tak, jakbym patrzyła na nich i na moją przeszłość przez mikroskop. Byli po prostu nieudanym eksperymentem naukowym.

– Jem – położyłam dłonie na piersi. – Nie mogę ci wybaczyć, skoro nie żałujesz tego, co zrobiłaś.

Jej zielone oczy wyglądały teraz jak wąskie szparki.

– Ta, w sumie masz rację – przyznała cicho, przekrzywiając lekko głowę. – Nie żałuję. Zrobiłabym to jeszcze raz. A gdybyś miała kolejnego bogatego faceta, od którego mogłabym zdobyć pieniądze, też bym się z nim przespała.

Wzdrygnęłam się na te słowa. Zamknęłam oczy, żeby nie musieć na nią patrzeć.

– Wiesz, my dwie wcale się tak bardzo od siebie nie różnimy – usłyszałam jej skrzeczący głos jakoś bliżej siebie.

Nawet nie otworzyłam oczu w reakcji na to idiotyczne stwierdzenie. Zamiast tego zapadłam się głębiej w kanapę i marzyłam, żeby sobie już poszła.

Ale ona ciągnęła dalej:

– Nie wydaje mi się, żeby Jon był z tych, którzy są wierni tylko do momentu, kiedy nadarzy się okazja. Naprawdę wydaje mu się, że jesteś tą jedyną. A ciebie zdaje się nie obchodzić, że ciebie zdradził. I w ogóle gównu cię obchodzi.

Prychnęłam.

– Najpierw twierdzisz, że jest dupkiem, bo mnie zdradził, a po chwili mówisz mi, że to ja jestem ta niedobra, bo za mało przejmuję się tym, że mnie zdradził. Jem, zerwałam z nim. Koniec.

– Tak, ale nie wydajesz się zbyt przygnębiona z tego powodu.

Otworzyłam oczy, ale byłam już tak rozplaszczona na sofie, że nie widziałam wiele ponad blat stolika kawowego.

– To nie działa, Jem. Nadal nie mam zamiaru prosić Jona o pieniądze.

Twarz Jem była pozbawiona jakichkolwiek emocji. Nie byłam tym specjalnie

zaskoczona.

– Widzisz, Janie, jesteś dokładnie taka jak ja. Zostawiłaś Jona, irytująco miłego faceta, z którym spotykałaś się od lat i który kocha cię bardziej niż kogokolwiek na świecie, i teraz odczuwasz tylko i wyłącznie ulgę. Nie mam racji? Czujesz ulgę, że nie musisz więcej przejmować się jego uczuciami. Masz możliwość ocalić swoją młodszą siostrę przed pewną śmiercią i nie jesteś w stanie wydusić z siebie choćby odrobiny udawanego sentymentu, żeby spróbować jej pomóc. Jesteś niezdolna do jakichkolwiek głębszych uczuć, Janie. Tak jak ja. Tak jak mama.

Ze spokojem spjrzałam jej w oczy, chociaż jej słowa trafiały do celu z chirurgiczną precyzją. Jej przesadnie uproszczona interpretacja mojej sytuacji z Jonem była bardzo zbieżna z moim obecnym poglądem na rzeczywistość, ale nie skończyłam jeszcze analizowania wszystkich powodów, dla których nasz związek dobiegł końca. To prawda, nie byłam przywiązana do Jona tak mocno jak on do mnie. Prawdą było też, że czułam w ogromnej mierze ulgę, że ten związek się skończył. Ale to on mnie zdradził, to on postanowił kłamać potem na ten temat, to on kazał mnie zwolnić. To wszystko były jego decyzje.

Wiedziałam dobrze, że nie jestem bez winy, ale nie byłam też pierwszą dziewczyną w historii ludzkości, która była z facetem tylko dlatego, że z pozoru wydawał się idealny. Na litość Thora! Przecież Jon był moim pierwszym chłopakiem. Mam prawo do błędów.

Za to jej drugi zarzut, że nie jestem w stanie wskrzesić w sobie udawanego sentymentu, żeby uratować Jem, sprawił, że wpadłam we wściekłość. Wściekłość, która nie pozostawiała wątpliwości, że jestem zdolna do głębszych emocji.

Nienawidziłam jej.

Odwróciłam od niej wzrok. Kiedy się odezwałam, mówiłam w przestrzeń:

– Możesz tu na razie zostać, jeśli chcesz. Zazwyczaj śpię na kanapie, ale mogę ci ją odstąpić.

Milczałam przez dłuższą chwilę. Wiedziałam, że rozważa, czy cisnąć mnie dalej o pieniądze. Ku mojemu zaskoczeniu postanowiła odpuścić.

– A ty gdzie będziesz spać?

Westchnęłam głęboko.

– Elizabeth jest w pracy na dyżurze, więc prześpię się na jej łóżku.

– Nadal przyjaźnisz się z Elizabeth?

Kiwnęłam głową, zawahałam się przez chwilę, po czym podniosłam na nią wzrok. Jej twarz nadal była nieruchoma i nie zdradzała żadnych emocji, ale w jej oczach widziałam cień zainteresowania. Była to bardzo subtelna i równie rzadka demonstracja uczuć z jej strony.

Jem przełknęła ślinę i oblizwała usta.

– To dobrze. Wydaje się, że jest dla ciebie dobra.

– Jest. – Z jakiegoś powodu, którego nie byłam na razie w stanie zrozumieć, słowa Jem sprawiły, że zaczęły mnie szczypać oczy, więc zamrugałam.

Jem ściągnęła usta na bok i opuściła ręce. Z cichym westchnieniem weszła do przedpokoju i sięgnęła po swoją skórzaną kurtkę.

– Nie mogę już tego nosić. Możesz ją zatrzymać, czy coś. Pozbądź się jej, wszystko

jedno. – Cisnęła kurtkę w moją stronę, a ja odruchowo ją złapałam. Pachniała Jem: papierosami, mydłem i agresją. Wspomnienia naparły na mnie z taką siłą, że musiałam zacisnąć palce na kurtce, żeby złapać równowagę.

Kochałam ją kiedyś.

Kiedy była mała, miała jakieś trzy, cztery latka, nosiłam ją na barana po okolicy albo wozilałam ją w przyczepce przypiętej do mojego roweru. Zawsze lubiła, żeby było szybko.

Zaczęła palić, kiedy miała jedenaście lat. Nie było nikogo, kto by jej tego zabronił. Tylko ja próbowałam, ale wyśmiewała mnie. Dorastając z nią w jednym domu, często miałam wrażenie, że się ze mnie śmieje. Nie złościło mnie to. Raczej smuciło.

Pieczenie oczu przybrało na sile. Przygryzłam górną wargę. Nie byłam w stanie mówić. W gardle miałam wielki, ciasny supeł. Patrzyłam na nią, jak bierze mój brązowy wełniany płaszcz i narzuca sobie na ramiona.

– Zabieram go.

Ściągnęłam usta i odchyliłam się ciężko na oparcie kanapy. Jej czarna skórzana kurtka ciągle leżała na moich kolanach.

– Proszę bardzo – odpowiedziałam, chociaż wiedziałam, że wcale nie pyta mnie o pozwolenie.

– Wychodzę. Nie wiem, czy... – Jem bawiła się nerwowo jednym z guzików. Jej spojrzenie było zimne, ale intensywne. Zapięła płaszcz.

Nie dokończyła zdania, więc chrząknęłam i spytałam z trudem:

– Dokąd pójdziesz?

Jem wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Włożyła ręce do obszytych futerkiem kieszeni mojego płaszcza.

– Nie wiem.

Nie zatrzymując się, bez choćby machnięcia czy uśmiechu na pożegnanie, Jem odwróciła się i wyszła.

Drzwi zamknęły się za nią z cichym stuknięciem.



Tej nocy spałam twardo i miałam przedziwne sny.

Były to sny z gatunku tych męczących, w trakcie których wydaje ci się, że wszystkie działania i wydarzenia są prawdziwe, a dopiero potem, po przebudzeniu, uświadamiasz sobie, że były kompletnie nieprawdopodobne.

Ten, który zapamiętałam najdokładniej, był o tym, jak tracę zęby. Fragmenty kości wypadały z moich ust za każdym razem, gdy otwierałam je, żeby coś powiedzieć, a potem uciekały, mimo że nie miały nóżek, co we śnie napawało mnie panicznym lękiem.

Nie ma to jak oglądać ucieczkę swoich własnych, beznogich zębów.

Potem jakaś banda turystów zaczęła przypadkowo deptać moje uciekające zęby. Musiałam ganiać moje trzonowce i kły po Michigan Avenue, jednocześnie wymijając zwiedzających w czarnych skarpetkach i szortach, białych butach Keds i tęczowych daszkach. Kiedy rozdzwonił się mój budzik, musiałam przejechać czubkiem języka po zębach, żeby upewnić się, czy wszystkie są na swoim miejscu, w moich ustach, mocno osadzone.

Kiedy dotarłam do biura i przywitałam się z Keirą w recepcji, ostatnie migawki mojego dentystycznego koszmaru ulotniły się niemal całkowicie. Nie zmieniało to faktu, że pozostało poczucie niepokoju i kompletnie nieracjonalnego lęku. Czulałam w piersi ucisk, ciężar i ogólny dyskomfort, jakby dopadła mnie koszmarna mieszanka bronchitu i grypy żołądkowej.

Podczas krótkiego spaceru korytarzem do mojego pokoju, zamiast rozmyślać nad moimi coraz bardziej skomplikowanymi uczuciami do Quinna albo wracać do starcia z moją siostrą, mój umysł postanowił odpłynąć. Zaczęłam zastanawiać się nad składem włókien tutejszych wykładzin i zrobiłam sobie mentalną notatkę, żeby koniecznie zgłębić temat. Co sprawiało, że najnowsza generacja wykładzin była odporna na plamy? Czy aktualnie normą stała się przyjazna środowisku produkcja wykładzin? Które państwo jest liderem w eksporcie wykładzin biurowych?

Nadal przyglądając się wykładzinie, otworzyłam zamknięte drzwi mojego pokoju. Z podłogowego zamyślenia wyrwał mnie fakt, że miałam w pokoju niezapowiedziane towarzystwo.

Olivia stała za moim biurkiem. Na mój widok zeszywniała i otworzyła szeroko oczy, kiedy napotkała moje spojrzenie. Gwałtownie położyła rękę na piersi i wydała z siebie zduszony okrzyk.

Zawahałam się, zmarszczyłam brwi i wyjrzałam na zewnątrz, żeby sprawdzić nazwisko na drzwiach i upewnić się, że to rzeczywiście mój pokój. Wszystko się zgadzało. Przeniosłam wzrok na Olivię i czekałam na wyjaśnienia, kiedy potwierdziło się, że to mój pokój i że Olivia rzeczywiście jest w moim pokoju.

Cisza między nami przeciągała się w nieskończoność, kiedy mierzyłyśmy się wzrokiem. Olivia jak zwykle wyglądała nieskazitelnie i mimo że to ja nakryłam ją w swoim pokoju, i to za zamkniętymi drzwiami, zachowywała się tak, jakby to ona czekała na wyjaśnienie mojej obecności.

Odczekałam jeszcze chwilę, po czym uniosłam brwi i spojrzałam na nią spode łba.

– No i?

– Słucham, o co chodzi? – Olivia skrzyżowała ramiona na piersi i oparła się biodrem o moje biurko.

Zamrugałam, zastanawiając się przez chwilę, czy aby przypadkiem to nadal nie jest sen.

– Co ty tutaj robisz? To mój pokój.

– To nie jest twój pokój. Nie jesteś jego właścicielką. Pokój należy do firmy.

Fuknęła.

Naprawdę fuknęła na mnie.

Był to chropawy dźwięk, mocno przesadzony, połączony jakby z parsknięciem.

Ja również założyłam ręce, naśladując jej postawę, głównie po to, żeby ukryć przed nią, że moje dłonie zacisnęły się w pięści.

– Olivio. Co robisz w pokoju, który został mi przypisany i w którym znajdują się wszystkie moje dokumenty i poufne raporty, na dodatek za zamkniętymi drzwiami?

Uniosła jedną, doskonale wyregulowaną brew.

– Szukam zaktualizowanego planu klubu w Las Vegas.

Pokręciłam głową.

– Nie dostaliśmy go jeszcze od zespołu z Las Vegas. Mówili, że prześlą go mailem do piątku.

– Ach, tak. No cóż, po prostu prześlij go do mnie, kiedy go już dostaniesz. Dopóki nam go nie prześlesz, blokujesz pracę całego zespołu – ton i sposób mówienia Olivii był tak impertynencki, że przez chwilę poczułam się niemal, jakby to z mojej winy klient nie przesłał nam jeszcze aktualnych schematów.

Zacisnęłam szczękę.

– Jak tylko klient nam je dostarczy, natychmiast roześlę je do całego zespołu.

Olivia ściągnęła usta, posłała mi pseudouśmiech i mijając mnie, wyszła na korytarz bez żadnego słowa.

*Co to miało być, do cholery?*

Nieco wbrew samej sobie stałam jak wryta, zastanawiając się, czy chcę dalej drażnić temat i ścigać ją po firmowych korytarzach, czy też może wolę po prostu poużalać się nad sobą. Patrzyłam na jej oddalającą się sylwetkę – wyraźnie przyspieszyła kroku, nabierając nerwowo tempa. Otrząsnęłam się, przewróciłam oczami i westchnęłam głośno i dobitnie. Moje wcześniejsze zażenowanie ustąpiło miejsca bezbrzeżnej irytacji.

Podeszłam do biurka i przyjrzałam się jego powierzchni. Wszystkie papiery i teczki były schludnie poukładane w stosiki, dokładnie tak, jak je wczoraj zostawiłam. Sprawdziłam szuflady – wszystkie były zamknięte. Mój komputer był wyłączony. Jeśli Olivia szukała na moim biurku czegoś konkretnego, nie byłam w stanie dostrzec żadnego widocznego gołym okiem śladu jej obecności.

Ucisk w klatce piersiowej przybrał na sile, oscylując teraz między irytacją a niepokojem. Opadłam na swoje biurowe krzesło. Spróbowałam oczyścić umysł, wyglądając w tym celu przez okno. Na kilka krótkich chwil pozwoliłam sobie na dryfowanie po białych, puszystych chmurach widocznych w oddali.

Po raz pierwszy w ciągu ostatnich tygodni udało mi się wreszcie usiąść bez ruchu

i nie myśleć absolutnie o niczym. Gapiłam się w niebo, aż poczułam suchość w oczach.

Nie miałam pojęcia, ile upłynęło czasu, zanim wybuchy śmiechu i odgłosy typowych biurowych rozmów wyrwały mnie z mojego transu. Zamrugałam, zamknęłam oczy i przez chwilę masowałam palcami powieki. Postanowiłam podjąć uczciwą próbę zabrania się do pracy. Nie myślałam już o wykładzinach ani Quinnie, ani Jem, ani Olivii. Zamiast tego kurczowo chwyciłam się cudownie bezosobowej listy zadań do wykonania.

Ignorując stos notatek służbowych i wydruków raportów, leżących na moim biurku, zanurzyłam się w świat arkuszy kalkulacyjnych, tabel przestawnych i wymagań, dokumentów i diagramów przepływu pracy. Napięcie ściskające mi płuca malało z każdą godziną, w której pograżałam się w cyferkach, diagramach torowych i programie Visio.

Niespodziewany odgłos otwieranych drzwi przywołał mnie do rzeczywistości i zwrócił moją uwagę na mężczyznę, który właśnie wszedł.

Zamrugałam. Rozdziawiłam usta. Wstałam.

Przyjemne ciepło rozlewało się powoli z mojego brzucha po całym ciele, aż po czubki uszu, w niewyjaśniony sposób ostatecznie rozluźniając ucisk w klatce piersiowej niczym kojący balsam. W tym samym momencie uświadomiłam sobie, że to Quinn stoi przed zamkniętymi drzwiami mojego pokoju. Uśmiechał się w ten dziwny, milczący, typowy dla siebie sposób – nie tyle poprzez uniesienie kącików ust, a raczej subtelnym błyskiem w oku i uniesieniem podbródka.

Nie byłam w stanie powstrzymać szerokiego uśmiechu, który wywołało jego pojawienie się, tak samo jak nie byłam w stanie dogonić zbłąkanych zębów z mojego snu. Cholernie podobało mi się to, jak był ubrany – sprane džinsy i czarna koszula z długim rękawem. Nie golił się, odkąd widzieliśmy się ostatni raz.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałam automatycznie, a arkusze kalkulacyjne i tabele przestawne natychmiast uleciały mi z pamięci.

Podszedł do mnie i przywitał krótkim, czułym pocałunkiem, zanim zdążyłam rozpoznać jego zamiary i zareagować odpowiednio, po czym natychmiast się wyprostował, a między nami pojawiła się trzymana przez niego papierowa torba. Była żółta i cała w tłustych plamach, a czarny napis głosił: Al's Beef.

– Przyniosłem wołowinę po włosku i frytki.

Oderwałam wzrok od torby i spotkałam jego błękitne spojrzenie. I znowu zareagowałam na ten widok odruchowym, szczerym uśmiechem.

– Przyniosłeś mi jedzenie z Al's Beef na śniadanie?

Ściągnął usta na bok, przyglądając mi się i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

– Nie, przyniosłem ci lunch. Już prawie trzecia.

Otworzyłam usta i zerknęłam na zegarek na mojej ręce. Rzeczywiście, zbliżała się piętnasta.

– O, mój Boże.

Quinn postawił torbę z jedzeniem na biurku i zaczął wyciągać jej zawartość: kanapkę i frytki dla mnie, kanapkę i frytki dla siebie. Przyniósł nawet dwa zielone plastikowe koszyczki, żebyśmy w zaciszu mojego biura mogli w pełni rozkoszować się jedzeniem, prawie jakbyśmy byli w Al's Beef.

– Usiądź. – Wskazał moje krzesło, a sam zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

Zrobiłam, jak prosił, ale nie od razu odpakowałam swoje jedzenie. Zamiast tego wolałam obserwować go, dopóki mój żołądek nie zaczął burczeć, domagając się mojej uwagi. Najpewniej dopiero w tym momencie zorientował się, że nic nie jadł przez cały dzień. Zapach frytek i wołowiny sprawiał, że zaczęła mi cieknąć ślinka.

Naśladując ruchy Quinna, wrzuciłam swoje frytki do koszyczka i odwinęłam papier, który skrywał w środku smakowicie wilgotną kanapkę. Quinn był już w trakcie jedzenia, a z każdym jego kęsem znikало jakieś ćwierć kanapki. Wydawał się kompletnie wyluzowany, zupełnie jakby pojawienie się w biurze z lunchem dla mnie było czymś, co robił codziennie. Jakby tak właśnie miało być.

Zamykanie drzwi pokoju, żeby zapewnić prywatność, ukradkowe pocałunki, przynoszenie lunchu dla obojga – ludzie w związku robili takie rzeczy. Znałam przecież to wszystko. Byłam wcześniej w związku. Ale z Quinnem wszystko wydawało się mieć o wiele większe znaczenie niż kiedykolwiek miało z Jonem.

Podniosłam do ust kanapkę, ale jej nie ugryzłam.

Byłam zbyt zajęta wyszukiwaniem w nim różnych drobnych rzeczy, których nie zauważałam w nikim innym. Chłonełam jego ruchy, sposób, w jaki układał dłonie, trzymając kanapkę, jego nonszalancki, beztroski nastrój, jak był ubrany i jak wiele ciała odkrywał, długość jego włosów. Liczba szczegółów była przytłaczająca, ale ja czułam się spragniona detali, chciałam wiedzieć o nim wszystko i zanotować to w swojej pamięci.

Czułam się jak czajnik nastawiony na herbatę. W każdej chwili mogłam zacząć bulgotać i piszczeć od nadmiaru szczegółów.

– Nie do końca wiem, jak to się robi – wypaliłam nagle. Odłożyłam kanapkę do koszyczka i odchyliłam się na swoim krześle.

Quinn nie odpowiedział, dopóki nie skończył przeżuwać. Zerkał na zmianę to na mnie, to na kanapkę.

– Co się robi?

– Jak być twoją dziewczyną.

Kąciki jego ust uniosły się w górę w coś na kształt uśmiechu.

– Do tego też potrzebujesz instrukcji obsługi? Jeśli tak, koniecznie chcę mieć swój udział w szkicowaniu diagramów.

Zacisnęłam usta i pacnęłam go frytką. Wybuchnął niepohamowanym śmiechem, a ja zaczerwieniłam się jak burak.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedziałam, nie patrząc w jego stronę. Wpatrywałam się w mój koszyczek z wołowiną po włosku i frytkami.

Ostatecznie przestał się śmiać, ale nie od razu. Wyciszał się powoli. Patrzyłam na niego spod rzęs. Na jego twarzy nadal gościł szeroki uśmiech, a w jego spojrzeniu malowała się szczerza, niezmacona wesołość.

Wyglądał na szczęśliwego.

Poczułam trzepotanie serca. Tak, serce trzepotało niekontrolowanie. Trzepotanie przeobraziło się w łopoczący monsun, gdy patrzyłam, jak jego uśmiech powoli słabnie, a jego spojrzenie staje się bardziej intensywne, płomienne.

– Jesteś taka piękna – westchnął, zupełnie jakby jednocześnie pomyślał

i wypowiedział to zdanie i nie do końca miał świadomość, że zrobił to na głos.

Jego komplement trafił mnie prosto w serce. Był nieco przerażający i ekscytujący jednocześnie. Podniosłam głowę i zamrugałam z lekko rozdziawionymi ustami. Jego wzrok błędził po moich ustach, włosach, szyi, potem jeszcze niżej. Zauważyłam, że mocno zaciska serwetkę w rękę, jakby ktoś miał mu ją zaraz ukraść.

On też wydawał się spragniony szczegółów.

Założyłam włosy za uszy i przesunęłam dłonią po szyi. Każde miejsce na ciele, które omiatał wzrokiem, swędziało mnie i łaskotało.

Chrząknęłam.

– Ty też.

Spojrzał mi w oczy i przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, nadal uśmiechając się lekko.

– Ale inaczej niż ty. Twoja uroda bierze się nie tylko z twojego wyglądu.

Ku mojemu własnemu zaskoczeniu jego komplement, dotyczący mojego wewnętrznego piękna, speszył mnie o wiele bardziej niż ten dotyczący moich cech zewnętrznych. Nie byłam wcale pewna, czy wewnętrzna Janie była pięknym człowiekiem. Przypomniałam sobie słowa Jem z poprzedniej nocy, swoją ewidentną gruboskórność wobec Jona i naszego rozstania, niechęć do pomocy siostrze w potrzebie. Wszystko to sprawiało, że zaczynałam wątpić, czy jestem kimkolwiek więcej niż tylko samolubną i banalną kopia własnej matki.

– Chcesz przez to powiedzieć, że twoja uroda jest tylko powierzchowna? – Przekrzywiłam głowę na bok. Zdecydowanie wolałam podroczyć się z nim trochę niż zastanawiać się, jak wysoko plasowałam się w dziesięciostopniowej skali banalności.

Quinn wciągnął powietrze nosem, uniósł brwi i opuścił wzrok na swoje dłonie. Przestał ścisnąć serwetkę i zaczął zawijać ją kciukiem i palcem wskazującym.

Nie odpowiedział, co odebrałam jako potwierdzenie swoich słów.

– Uważam, że nie masz racji.

Nadal bez słowa bawił się serwetką, skręcając ją mocno, aż zaczęła przypominać niewielki kawałek liny.

Obserwowałam go uważnie. Wciąż było jeszcze wiele rzeczy, których nie wiedziałam o Quinnie Sullivanie, dlatego przez chwilę dopuszczałam do siebie myśl, że mógł mieć rację. Być może rzeczywiście był on tylko wydmuszką człowieka o wspaniałej powierzchowności, imponującym intelekcie i ciętym dowcipie.

Po chwili jednak zmarszczyłam brwi. Taka wizja była zupełnie rozbieżna z rzeczywistością.

– Naprawdę. Jesteś dobrym człowiekiem. – Przechyliłam głowę na bok i wędrowałam wzrokiem po jego ustach, włosach, szyi, a potem jeszcze niżej, tam, gdzie biło jego serce. – Widzimy u innych ich mocne i słabe strony, których nie jesteśmy dostrzec w nas samych.

– Janie... – Nasze spojrzenia wreszcie się spotkały. Jego słaby uśmiech, bardziej grymas, wydał mi się wymuszony.

– Próbujesz mnie wystraszyć?

Pokiwał głową, ale wzdychając, odpowiedział:

– Nie.

– Czy masz jakieś nieczne plany? Czy częstowanie mnie kanapką z wołowiną jest elementem jakiejś grubszej intrygi? Czy to, co jest między nami – gestem wskazałam na siebie i na niego – jest jakimś wyrafinowanym kłamstwem? Masz zamiar rozbudzić we mnie fałszywe poczucie bezpieczeństwa, wykorzystać mnie, rozpalić we mnie nadzieję, a potem wyrzucić mnie ze swojego życia jak zapałkę albo choinkę po świętach?

– Nie – odpowiedział z poważną miną.

– W takim razie dlaczego upierasz się przy stwierdzeniu, że brak ci wewnętrznego piękna?

– Bo wszystko, co robię, robię z egoistycznych pobudek.

– Jak bycie w związku ze mną?

– Bycie z tobą jest przejawem totalnego egoizmu.

Na te słowa nagle zupełnie zabrakło mi słów, szybko jednak doszłam do siebie.

– Gdybyś... gdybyś był egoistą, to pozostałbyś Wendellem, a ja byłabym seksprzyjaciółką.

Potrząsnął głową.

– Gdybyś była moją seksprzyjaciółką, wtedy nasza relacja nie byłaby na wyłączność, co oznaczałoby, że możesz spotykać się z innymi ludźmi.

– I dlatego uważasz się za egoistę?

– Dlatego uważam się za egoistę – potwierdził niskim, chropowatym głosem, świdrując mnie spojrzeniem.

Wykorzystałam ten moment na przeżucie zimnej frytki i rozważenie jego słów.

– Powiem to tak... – Quinn przytrzymał mnie spojrzeniem, a wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziej poważny, zupełnie jakby stał na krawędzi przepaści i szykował się na dramatyczne wyznanie. – ...Sprawiasz, że nie chcę być aż takim dupkiem, jakim jestem.

Zatrzepotałam rzęsami.

– Serio? Łał – wydusiłam.

Było to rzeczywiście pewnego rodzaju wyznanie, niestety, z gatunku tych, na które miałam ochotę reagować raczej sarkazmem niż uznaniem. Jego deklarację odebrałam jako szczyt pseudosubtelnej autodeprecjacji i byłam zdumiona, że była tak wymijająca i powściągliwa.

– Ależ to szalenie poetyckie. Powinieneś pisać teksty na kartki okolicznościowe: „Kochany tato, dziękuję, że pomogłeś mi zostać nie aż takim strasznym palantem jak ty. Nadal jestem palantem, ale z ciebie jest jeszcze większy palant”.

Quinn znowu się roześmiał, tym razem kompletnie niekontrolowanie. Był to głęboki, gromki śmiech, a na dodatek, ponieważ znajdowałam się w bezpośrednim otoczeniu źródła hałasu, okazał się również nieznośnie zaraźliwy. Bardziej czułam go niż słyszałam. Quinn zaśmiewał się z ręką na sercu i moja uwaga skupiła się na tym miejscu. Nawet, kiedy się śmiałam, czułam nieprzyjemny ścisk w tym samym punkcie mojego ciała.

Pragnęłam go tak bardzo, że aż bolało. Chciałam być blisko niego. Chciałam wiedzieć o nim wszystko.

Raptowność tego bólu tak mnie zaskoczyła, że musiałam zamknąć oczy, próbując mu się oprzeć. Oddychałam powoli. Starłam się opanować i nie zatracić się w pożądaniu, które podpowiadało mi, że powinnam przeskoczyć swoje biurko i rzucić się na niego tu i teraz, z kanapką na jego kolanach i serwetką w dłoni.

– Janie?

Nie otwierając oczu, posłałam mu delikatny, wymijający uśmiech.

– O czym myślisz?

Przełknęłam ślinę, ale nic nie odpowiedziałam. Serce waliło mi jak oszalałe. Chciałam powiedzieć mu, że rozmyślałam o składzie włókien plamoodpornej wykładziny, ale byłoby to kłamstwo. Nawet gdybym chciała, a bardzo tego chciałam, wyglądało na to, że nie byłam w stanie zająć swoich myśli czymś innym niż terażniejszością, byciem z nim i całym niepohamowanym lękiem i pożądaniem, jakie się z tym wiązało.

– Co cię tak przeraża?

– Przeraża mnie to, że nie myślę o składzie włókien plamoodpornej wykładziny – odpowiedziałam, uparcie nie otwierając oczu.

– Co to znaczy?

– To znaczy... – Uniosłam powieki i zobaczyłam, że przygląda mi się ze zwykłą ciekawością. Przełknęłam kulę ściskającą mnie w gardle. Wiedziałam, że muszę wyznaczyć mu prawdę. – To znaczy, że mój mózg uważa cię za bardziej interesującego niż wszystkie *naprawdę* interesujące kwestie, które mogłabym w tym momencie roztrząsać i analizować.

W odpowiedzi posłał mi niespieszny, wyważony uśmiech.

– To chyba najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział.

Odwzajemniłam jego uśmiech, mimo że nagle zaczęłam znowu trzeźwo myśleć. Z jakiegoś powodu poczułam, że mam wilgotne oczy.

– Quinn... – wzięłam głęboki, uspokajający oddech – Quinn, musisz być dobrym człowiekiem. Chcę, żebyś był dobrym człowiekiem.

Pokiwał głową, a rysy jego twarzy dostosowały się do mojej nagłej powagi.

– Wiem. Ja też chcę nim być – Quinn oblizał wargi i zawiesił wzrok na moich ustach. – I będę. Dla ciebie.

Wyszliśmy z pracy chwilę po szesnastej – razem.

Quinn chwycił mnie za rękę. Posłał mi szeroki uśmiech i nie wypuszczał mojej dłoni, kiedy szliśmy korytarzem, mijaliśmy po drodze gapiącą się na nas Keirę i wchodziliśmy do windy, wszystko to na oczach pracowników ochrony. Zjechaliśmy na parter, do lobby. Kiedy tak szliśmy, z palcami splecionymi w uścisku, Quinn delikatnie gładził kostki mojej dłoni wierzchem kciuka i opowiadał mi o problemach z klientem z Las Vegas.

Z początku byłem zbyt pochłonięta faktem, że nasz kontakt fizyczny został wystawiony na widok publiczny, i ograniczałam się tylko do monosylabicznych odpowiedzi. Jednak później, kiedy wsiadaliśmy już do czarnej limuzyny, starałam się skoncentrować na jego słowach, a nie na spojrzeniach niewątpliwie zaskoczonych współpracowników.

Ale potem usadowiliśmy się obok siebie na kanapie, a on uniósł moje nogi tak, żeby leżały na jego kolanach i zaczął się bawić kołnierzykiem mojej koszuli, wpatrując się w jej guziki.

Patrzyłam na jego usta, kiedy mówił. Próbowałam włączyć się do rozmowy, ale sposób, w jaki na mnie patrzył, jego bliskość, dotyk jego dłoni – jednej na moim udzie, drugiej na szyi – sprawiały, że czułam zamęt w głowie i zupełnie nie byłam w stanie się skoncentrować.

– Janie?

Zamrugałam. Jeszcze zanim usłyszałam swoje imię, widziałam, jak jego usta układają się w jego kształt. Otworzyłam szerzej oczy i napotkałam jego spojrzenie.

– Przepraszam, co?

– Czy ty... słyszałaś w ogóle, co mówiłem?

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i z powrotem skoncentrowałam się na jego wargach, które przyciągały moją uwagę jak magnes.

Quinn delikatnie ścisnął moje udo.

– Zanudzam cię?

– Nie – westchnęłam i oparłam głowę o jego ramię, nadal pochłonięta obserwowaniem dolnej połowy jego twarzy. – Po prostu myślałam właśnie o twoich ustach.

Odruchowo oblizał wargi, a ku mojemu zaskoczeniu jego szyja i policzki lekko się zarumieniły.

– I co sobie o nich myślałaś?

– Że je lubię.

– A co ci się w nich podoba?

– Wszystko – odpowiedziałam bez zastanowienia – ich kształt i to, jak są duże, i to wcięcie w górnej wardze, i kształt rynienki podnosowej. Czy wiesz, że według medycyny chińskiej istnieje ścisła zależność między kształtem i kolorem rynienki podnosowej a stanem zdrowia układu rozrodczego danej osoby?

Jego wzrok, najwyraźniej wbrew jego woli, zawisł na mojej twarzy w miejscu



pomiędzy ustami a nosem, by za chwilę przenieść się z powrotem wyżej.

– Co ty powiesz...

Przytaknęłam.

– Nawet nie masz pojęcia, jak wiele jest fascynujących i niezwykłych badań, które wykazują związek między kształtem ust a innymi częściami ludzkiego ciała oraz ich funkcjami.

Zauważyłam, że zaczął głośniejszym oddychać. Przełknął ślinę.

– Jakimi na przykład?

Przesunęłam palcem po jego górnej wardze, rozkoszując się faktem, że oto wykorzystywałam swoją znajomość różnych dziwacznych faktów do pewnego rodzaju nerdowatej gry wstępnej i, co więcej, wyglądało na to, że Quinnowi bardzo się ta gra podoba.

– Na przykład łuk kupidyna, czyli wcięcie na środku górnej wargi. Naukowcy ze Szkocji twierdzą, że kobiety z wyraźnie zarysowanym łukiem kupidyna częściej doświadczają orgazmu podczas seksu.

Wzrok Quinna znowu zawisł na moich ustach.

– Nie powinnaś mówić takich rzeczy w sytuacji, kiedy nic nie mogę z tym zrobić – jęknął.

Z przyjemnością słuchałam jego umęczonego głosu. Spojrzałam mu w oczy, które wyraźnie pociemniały.

Staralam się z całych sił zachować powagę.

– No i należy jeszcze rozróżnić zewnętrzne i wewnętrzne mięśnie języka.

– Natychmiast przestań. – Quinn chwycił pukiel moich włosów i odchylił moją głowę do tyłu, zamykając mi usta pocałunkiem i tym samym tłumiąc mój niekontrolowany śmiech.

Kiedy wreszcie odkleił się ode mnie, wyszeptałam:

– Język zaopatrywany jest w krew głównie przez tętnicę językową.

Pocałował mnie jeszcze raz. I jeszcze.

Gdybym przysłuchiwała się całej tej naszej całusnej rozmowie jako obserwator, a nie jako uczestnik, najpewniej co i rusz przewracałabym oczami z rozdrażnieniem. Przyznaję, prawdopodobieństwo, że cytaty z medycznych pism naukowych i wyniki badań nad ludzką anatomią doprowadzą jedną osobę, a co dopiero dwie, do stanu najwyższego podniecenia, było nikłe. A jednak oto byliśmy: obłapialiśmy się z narastającą gwałtownością, kiedy przywoływałam kolejne szalone teorie, łączące stopień owłosienia uszu z pobudzeniem narządów płciowych.

Kiedy limuzyna dojechała na miejsce, byliśmy na wpół ubrani, a guziki mojej koszuli rozsypały się na podłodze. Oczywiście Quinn musiał rozerwać ją z pomrukiem rozkoszy, kiedy wspomniałam o gruczołach mlekowych.

Spanikowana, odsunęłam się i chwyciłam poły swojej niezdatnej do użytku koszuli.

– O, cholera!

Quinn nadal wydawał się zatracony w miłosnym amoku – przesuwając dłoń do góry po wewnętrznej stronie mojego uda, a jego usta bezwiednie szukały moich ust. Odepchnęłam go od siebie, mimo że każda część mojego ciała protestowała w rozkosznej

agonii. Zupełnie bezsensownie próbowałam wygładzić włosy. Syknęłam, kiedy moja koszula znowu się rozchyliła.

– I co ja teraz zrobię?

Quinn wreszcie się ode mnie odkleił i bez najmniejszego pośpiechu włożył sweter na goły tors. Uniósł brew, kiedy poprawiał sobie spodnie i zapinał rozporek. Zesztywniałam, słysząc ten dźwięk, jakby dopiero on uświadomił mi, jak niewiele brakowało, żebyśmy uprawiali seks na tylnym siedzeniu samochodu.

– Moim zdaniem wyglądasz świetnie.

Gapiałam się na niego przez dwie sekundy, zanim wymierzyłam mu kuksańca w jego irytująco umięśnione ramię.

– Nie mam jak zapiąć koszuli, poza tym... – Zaczęłam się nerwowo wiercić i rozglądać wokoło. Mój głos być może brzmiał nieco piskliwie, kiedy zapytałam: – Gdzie są moje majtki?!

Bez cienia rozbawienia w głosie odpowiedział:

– Spokojnie, są bezpieczne.

Wytrzeszczyłam na niego oczy w osłupieniu. Miałam również świadomość, że szczęka opadła mi w dół aż do samej ziemi.

– Oddawaj je.

– Wcale ich nie potrzebujesz.

– Oddawaj natychmiast.

– Powinnaś próbować nowych doznań.

– Nie wysiądę z tej limuzyny bez majtek!

Drzwi pasażera po stronie Quinna otworzyły się, a ja błyskawicznym szarpnięciem obciągnęłam spódnicę do połowy łydki. Nie umknął mi uwadze jego uśmiech, kiedy stało się jasne, że nie będę ciągnąć tematu zaginionej bielizny do momentu, aż znajdziemy się w bardziej ustronnym miejscu. A wtedy najprawdopodobniej nie będzie on już miał znaczenia.

Quinn sięgnął po swoją skórzaną kurtkę i otulił nią moje ramiona, po czym zapiął suwak. Pływałam w niej, tak była wielka, ale przynajmniej nie byłam zmuszona do chodzenia z biustem na wierzchu. Quinn wysiadł z limuzyny i wyciągnął do mnie rękę. Przysunęłam się bliżej drzwi i wysiadłam tak dyskretnie, jak to było możliwe. Kiedy chrząknął, podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy. Mrugnął do mnie i ukradkowo, ale sugestywnie oblizał usta.

Ruszyłam za nim.

\*\*\*

Jakiś czas później, około północy, Quinn oddał mi moje majtki, uprzednio wymuszając na mnie obietnicę, że do świtu nie założę nic poza bielizną. Jediną inną opcją było chodzenie nago, ponieważ wcześniej Quinn skonfiskował wszystkie pozostałe elementy mojej garderoby i schował je gdzieś w czeluściach ogromnego penthouse'u, który nazywał swoim domem.

Penthouse. To było do przewidzenia.

Był to ten sam budynek, w którym szef zakupił pięć pięter mieszkań dla pracowników Cypher Systems. Z początku, kiedy tu dotarliśmy, myślałam, że idziemy do

mieszkania, które pokazywał mi wcześniej. Wyobrażenia podsuwała mi wizje naszej wspólnej kąpieli w gigantycznej wannie z jacuzzi.

Jacuzzi Quinna, jak się okazało, było jeszcze bardziej imponujące, podobnie jak widok z okien i kuchnia, a dwie sypialnie były o wiele bardziej przestronne.

Apartament był niemal tak samo surowy pod względem wystroju i umeblowania jak mieszkanie, które widzieliśmy kilka tygodni temu. W salonie nie było kanapy ani foteli, w jadalni stołu, a w sypialni była tylko jedna komoda i łóżko, a właściwie drewniana skrzynia i materac na podłodze, i tyle. Nie było też widać żadnych zdjęć.

Owinięta prześcieradłem, odwróciłam się od niego i zerknęłam na swoją bieliznę. Były to zwykłe bawełniane majtki, które, pomyślałam sobie teraz, raczej nie były seksowne. Bieliznę wybierałam zazwyczaj ze względu na wygodę, cenę i praktyczność. Zerknęłam w stronę Quinna, wciągając na siebie babcine gacie i bezsensownie przytrzymując prześcieradło dla zachowania pozorów skromności.

– Dlaczego uprowadziłeś moje majtki?

Quinn leżał na plecach z rękami za głową, wyciągnięty na całej długości swojego niepościelonego łóżka, i obserwował mnie.

Był kompletnie nagi. On nie bawił się w żadne prześcieradła. Nic z tych rzeczy. Skromność, jaka skromność? Najwyraźniej czuł się absolutnie swobodnie w swojej skórze. Zazdrościłam mu tej jego nieskrępowanej umiejętności bycia po prostu nagim.

I podziwiałam ją.

– Nienawidzę ich – wyjaśnił, a jego wzrok przeniósł się z miejsca, gdzie prześcieradło zakrywało dolną część mojego ciała, na moje nagie ramię, a potem z powrotem na moje starannie ukryte uda. Sposób, w jaki studiował moje ciało, przyprawiał mnie o dreszcze.

Strzeliłam gumką majtek wokół talii.

– Czy to dlatego, że są za mało frywolne?

Leniwie pokręcił głową.

– Nie. Nie obchodzi mnie, jak wyglądają. Po prostu nienawidzę twojej bielizny, jakakolwiek by nie była.

Zmarszczyłam brwi.

– Czyli jesteś wrogiem bielizny?

– Tylko twojej bielizny.

– Bielizna pełni kluczowe funkcje.

– Nie chcę wiedzieć jakie.

Usiadł na łóżku, zamasztył ruchem zwiesił nogi i wyciągnął rękę w moją stronę. Rozchylił fałdy mojego prześcieradła i zahaczył palcem o krawędź moich dyskusyjnych majtek, przyciągając mnie do siebie na kolana. Gestem zachęcił mnie, żebym usiadła na nim okrakiem, a potem całkowicie ściągnął ze mnie prześcieradło. Nie odrywając ode mnie wzroku, zmiął materiał i cisnął jak najdalej od nas. Zadrżałam. Oplótł mnie ciasno w talii tak, że jego ramiona krzyżowały się na moich plecach, a dłonie ogrzewały mnie po bokach.

– Zostajesz ze mną na noc. Nie masz wyjścia.

Zacisnęłam dłonie na jego nagich bicepsach.

– Nie dałeś mi zbyt wielkiego wyboru. Zabrałeś mi nawet prześcieradło. Nie mogę pójść do domu ubrana tylko i wyłącznie w babcine gacie. Podobno noc ma być dzisiaj chłodna.

Czule otarł się nosem o moją szyję i przytulił mnie do siebie ciasniej. Przyłgnęliśmy do siebie. Mimo że byłam już kompletnie wymęczona i nasycona po naszym popołudniowym maratonie seksualnym, ten moment sprawił, że serce znowu zaczęło mi być szybciej.

– Jutro też ma być zimno. Dlaczego zostawiłaś swój płaszcz w pracy? – wymamrotał, nie odrywając ust od mojej skóry, wyznaczając pocałunkami ścieżkę przez długość mojego obojczyka, zwieńczoną rozkosznym ugryzieniem w ramię.

Naprawdę i w pełni rozkoszowałam się tym kontaktem fizycznym do tego stopnia, że go pożałowałam, a jednak nie pozwalałam sobie na rozmyślenia nad tą niewytłumaczalną zmianą, jaka dokonała się we mnie ostatnimi czasy. Odpowiedziałam westchnieniem, automatycznie, bez zastanowienia:

– Nie zostawiłam. Jem mi go zabrała.

Quinn natychmiast zeszytywniał i zastygł bez ruchu. Po chwili jego dłonie zacisnęły się na moich ramionach. Odsunął się ode mnie trochę, nadal mnie przytrzymując, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Widziałaś się z Jem?

Napotkałam jego zszokowane spojrzenie i nagle miałam problem z wydaniem z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Pisnęłam raz czy dwa, zanim wreszcie wydusiłam:

– Tak.

Jego oczy zapłonęły. Posłał mi świdrujące, oskarżycielskie spojrzenie.

– Kiedy? Gdzie?

– Wi-widziałam się z nią zeszłej nocy. Była w moim... czekała na mnie w moim mieszkaniu.

– Cholera jasna – Quinn zacisnął zęby, aż jego szczęka i skronie zaczęły pulsować. Przyciągnął mnie nagle do siebie. Zatonęłam w jego potężnym uścisku. – Cholera jasna, Janie. Trzeba było do mnie zadzwonić.

– Nie siedziała zbyt długo – odpowiedziałam, tuląc się do niego mocno, mimo że nie do końca była dla mnie jasna gwałtowność jego reakcji.

Obejmowaliśmy się tak przez dłuższą chwilę. Moje spotkanie z Jem ciążyło na mnie z siłą zawodnika sumo przez całą minioną noc i poranek, ale zupełnie przestałam o nim myśleć w momencie, w którym Quinn pojawił się w biurze ze swoją wysokotłuszczową ofertą lunchową.

Kolistymi ruchami gładziłam go po plecach z nadzieją, że w ten sposób załagodzę trochę jego niespodziewaną zmianę nastroju. Pocałowałam go w skroń.

– Nie rozumiem, czemu się tak zdenerwowałaś.

– Ponieważ Jem jest niebezpieczna – odpowiedział. Poczułam, jak bierze głęboki wdech, jakby brakowało mu powietrza. – Nie chcę, żebyś miała z nią cokolwiek wspólnego.

Odchyliłam się i zmusiłam go, żeby spojrział mi w oczy.

– Jem nigdy by mnie nie skrzywdziła.

Zmrużył oczy.

– Nie masz racji. Skrzywdziłaby – odpowiedział głosem zimnym jak stal. – Naprawdę uważam, że powinnaś się przeprowadzić do tego budynku.

Zacisnęłam usta, ale nic nie odpowiedziałam.

Jego potężne dłonie delikatnie ujęły moje policzki, a palce wtopiły się w moje włosy tuż za uszami i na skroniach.

– Proszę. Nie musisz przecież zostawać tutaj na zawsze. Proszę cię tylko, żebyś pokazała to mieszkanie Elizabeth i żebyście wspólnie się nad tym zastanowiły. Zostańcie tu chociaż do czasu, aż wyjaśni się ta cała afera z Jem.

– Quinn, ja... – Moje dłonie wędrowały w dół po jego bicepsach i zatrzymały się na przedramieniu. – Jesteś moim szefem. Jesteś również facetem, z którym się spotykam. A teraz chcesz jeszcze zostać właścicielem mojego mieszkania?

Skrzywił się na te słowa i zazgrzytał zębami.

– To nie tak.

– Bycie w związku samo w sobie może skomplikować, nie, *komplikuje* relacje między dwojgiem ludzi. Nie możesz być dla mnie wszystkim. Muszę być samodzielna.

Obserwował mnie sokolim wzrokiem, coraz uważniej.

– Mogłabyś wprowadzić się do mnie.

Uśmiechnęłam się, mimo że było mi ciężko na sercu.

– Spotykamy się niecały miesiąc, poza tym nie stać mnie na choćby jedną dziesiątą czynszu.

– To moje mieszkanie. Nie ma żadnego czynszu.

– Quinn...

Nie dał mi dokończyć – zamknął mi usta pocałunkiem i jednym płynnym ruchem obrócił nas tak, że teraz leżałam pod nim na łóżku.

– Po prostu nie mów „nie” – pocałował mnie znowu. – Jeszcze nie – poprosił, całując moją szyję. Jego słowa i oddech były gorące i natarczywe. – Dam ci klucze i kod do budynku. Obiecuj mi, że pokażesz Elizabeth to mieszkanie – skubnął zębami koniuszek mojego ucha i szepnął: – I obiecuj, że zastanowisz się nad zamieszkaniem ze mną.

Przytaknęłam na zgodę, z pełnym rozmysłem. Chciałam go po prostu udobruchać, żebyśmy mogli zająć się przyjemniejszymi rzeczami.

Odsunął się i spojrzał mi uważnie w oczy.

– Obiecuj mi.

Jeszcze raz kiwnęłam głową i zatopiłam dłoń w jego włosach.

– Obiecuję.

\*\*\*

W przeciągu naszych wspólnych czterdziestu ośmiu godzin Quinnowi udało się przywieźć moją walizkę z rzeczami z podróży do Vegas. Dzięki temu na szczęście byłam w stanie przebrać się przed pracą w świeże ubrania, z kompletem guzików.

W następstwie spędzonej w jego mieszkaniu nocy wiedziałam teraz o Quinnie nieco więcej: że praktycznie nie sypia, że codziennie ćwiczy i lubi jeść drożdżówki na śniadanie. Wstał już o piątej rano, a o szóstej trzydzieści był z powrotem w domu po

porannym joggingu.

Po prysznicu obudził mnie w możliwie najprzyjemniejszy sposób.

Tak. Właśnie tak.

Stałam potem w jego kuchni, oparta o blat, i piłam przepyszną latte z jednego z tych cudów techniki, które parzyły espresso jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, i zagryzałam wiśniowo-serową drożdżówką. Była siódma dwadzieścia. O siódmej czterdzieści szliśmy już do pracy, niespiesznym spacerem pokonując ten niewielki dystans, trzymając się za ręce i rozmawiając o czekającym nas dniu.

W związku z tym, że w czwartki wieczorem udzielałam lekcji, umówiliśmy się na kolejne spotkanie na piątkowy wieczór. Quinn pocałował mnie na pożegnanie przed wejściem do budynku i zostawił mnie tam, oszołomioną i z miękkimi kolanami o siódmej pięćdziesiąt osiem. Punktualnie o ósmej byłam już w windzie.

Jak to różnie można zacząć dzień.

Nadal uśmiechałam się nieprzytomnie, kiedy szłam biurowym korytarzem, nie dostrzegając praktycznie niczego i nikogo. Siadłam za biurkiem i bezmyślnie przekładałam z miejsca na miejsce leżące na biurku teczki. Nie miałam jeszcze ochoty odpływać w świat arkuszy i tabel, więc postanowiłam zająć się lekturą ogólnofirmowych notatek, których sterta piętrzyła się na moim biurku, grożąc zawaleniem. Uznałam, że dzięki temu zyskam jeszcze trochę czasu na wspomnienie jedwabistych rozkoszy poprzedniej nocy i dzisiejszego poranka.

Pierwsze dziesięć notatek dotyczyło proponowanego przeze mnie nowego programu. Ostatnia z nich stanowiła sugestię, żeby dalszą korespondencję przenieść na drogę mailową. Była to typowa procedura dla tej firmy. Większość dyskusji inicjowano na papierze w formie notatek służbowych, potem jednak, jeśli kwestia okazywała się niezbyt paląca, omawiało się ją w mailach. Wszystkie notatki służbowe miały być niszczone po przeczytaniu.

Ponieważ Steven był odpowiedzialny za klientów prywatnych, większość jego wewnętrznej korespondencji prowadzona była na papierze. Ponieważ ja zajmowałam się klientami korporacyjnymi, większość mojej korespondencji prowadzona była drogą elektroniczną.

Pospiesznie kartkowałam całą korespondencję, kiedy nagle moją uwagę przykuł widok mojego nazwiska zestawionego z nazwiskiem Quinna w wydrukowanej wersji e-maila. Nigdy wcześniej nie otrzymałam drukowanej wersji e-maila. Mój wzrok powędrował w górę strony, gdzie widniał adres nadawcy, który po chwili rozpoznałam: był to jeden z francuskich prawników, których poznałam drugiego dnia pracy tutaj. W pierwszym odruchu przejrzałam e-mail tylko pobieżnie, ale po drugim zdaniu zmusiłam się do rozpoczęcia lektury od początku. Wczytałam się w jego treść z pełną uwagą:

*Betty,*

*w nawiązaniu do prośby pana Sullivana oraz do naszej rozmowy telefonicznej, szczegółowo omówiliśmy z Jeanem sprawę panny Morris. W naszej opinii najkorzystniejszym ruchem ze strony pana Sullivana byłoby rozwiązanie stosunku pracy z panną Morris tak szybko, jak to możliwe (to jest bez zakłócania działań będących*

aktualnie w toku). W takich przypadkach jak ten często stosowanym rozwiązaniem jest zaoferowanie wysokiej odprawy i zwolnienie pracownika z postanowień klauzuli o zakazie konkurencji, podpisanej na początku współpracy.

Panny Morris nie powinno się informować wprost o powodach zwolnienia z pracy, nie należy też nawiązywać/odnosić się do nich w jakiegokolwiek dokumentacji, w celu uniknięcia dalszych roszczeń ze strony panny Morris. Dodatkowo sugerowane jest, aby pan Sullivan nie przeprowadzał osobiście rozmowy dotyczącej zwolnienia. Pozwoliłem sobie umieścić w kopii tego e-maila pana Daviesa oraz jego asystentkę z uwagi na fakt, że w naszej opinii to on, jako osoba upoważniona przez pana Sullivana, powinien zająć się tą delikatną sprawą.

Drugą opcją jest sytuacja, w której panna Morris sama rezygnuje ze swojego stanowiska. Bez względu na ostateczną decyzję, przygotowaliśmy specjalny formularz, który panna Morris zobowiązana będzie podpisać i który, bez względu na dalszy rozwój wydarzeń, powinien, na tyle, na ile to możliwe i w stopniu dopuszczalnym przez prawo, zwolnić Cypher Systems z jakichkolwiek dalszych żądań. Sugeruję, aby warunkiem otrzymania odprawy było uprzednie podpisanie ww. formularza.

Proszę nas poinformować, jaką decyzję podjął pan Sullivan, żebyśmy mogli rozpocząć procedurę anulowania klauzuli o zakazie konkurencji. Panna Morris będzie miała najpewniej ogromne kłopoty ze znalezieniem nowego zatrudnienia, dopóki ta kwestia nie zostanie rozwiązana.

Mec. Henry LeDuc

– Pokazałaś mu to? Pytałaś go o to?

Pokręciłam głową i nadal obgryzałam paznokcie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń za plecami Elizabeth.

Siedziałyśmy w Starbucksie, cztery przecznice od mojego biurowca. Kiedy tylko odkryłam tego e-maila, użyłam znienawidzonej komórki, żeby zadzwonić do Elizabeth i ubłagać ją, żeby spotkała się ze mną na lunch. Jak się okazało, obudziłam ją, bo odsypiała dyżur. Natychmiast wyszła z domu, żeby spotkać się ze mną na kawie. W związku z tym miała na sobie piżamę i kozaki.

– Muszę być z tobą szczerą, Janie. Nie jestem specjalistką od prawniczego bełkotu, więc nie do końca rozumiem, o co tutaj chodzi. Ale – Elizabeth złapała mnie za rękę, żebym skupiła się na niej – uważam, że powinnaś zapytać go o to, zanim wyciągniesz jakieś pochopne wnioski.

Przełknęłam ślinę.

– Wiem. Tak zrobię.

Elizabeth zmarszczyła brwi.

– A jakim cudem to w ogóle trafiło w twoje ręce? Ktoś przez przypadek wysłał ci to mailem?

– Nie, leżało wśród notatek służbowych na moim biurku. Ktoś musiał... – zamrugałam, tracąc nagle ostrość widzenia, a po chwili zamknęłam oczy.

*Ależ oczywiście.*

– Co? O co chodzi?

– Olivia. – Poczulałam, jak krew odpływa mi z twarzy, mimo że na szyję wypełzało gorąco. – Wczoraj rano przyłapałam Olivię, asystentkę Carlosa, w moim pokoju. To na pewno ona to tam zostawiła.

– Ta laska, która rzuca ci krzywe spojrzenia? W takim razie może to fałszywka?

– Nie sądzę. – Rozważałam przez chwilę teorię Elizabeth, ale ostatecznie odrzuciłam taką możliwość. – To autentyk. Po prostu chciała, żebym ją znalazła.

Elizabeth zacisnęła wargi i obserwowała mnie uważnie. Wreszcie stwierdziła:

– Po wszystkim, co usłyszałam od ciebie na jego temat, wątpię, żeby Quinn chciał cię zwolnić.

Pokiwałam głową i ku własnemu zaskoczeniu uświadomiłam sobie, że w pełni zgadzam się ze zdaniem Elizabeth.

– Ja też w to nie wierzę.

Posłała mi krzywy uśmiech pełen nadziei.

– Czy to znaczy, że pomimo tego dziwnego e-maila i jego niejasnej, ale obciążającej go treści, nadal ufasz Quinnowi?

Przytaknęłam bez zastanowienia i wypowiedziałam na głos swoje myśli:

– Tak. Tak właśnie jest. – Spojrzałam w jej błękitne oczy. – Ufam mu. Jestem pewna, że jest jakieś racjonalne wytłumaczenie całej tej sytuacji.

– Hura! – Elizabeth natychmiast uśmiechnęła się szeroko i mocno ścisnęła mnie za rękę. – Mimo że z zasady nie jestem wielką fanką miłości, mogę szczerze powiedzieć, że



cieszę się szczęściem twoim i Quinna.

Przekrzywiłam głowę – bardzo w stylu Quinna – zanim zdążyłam opanować odruch.

– O czym ty mówisz?

– O tobie i Quinnie. – Elizabeth wzięła łyk swojej kawy. – Janie, jesteś zakochana.

– Nie jestem zakochana! Jestem zaślepiona pożądaniem, jestem totalnie zauroczona, jestem... zdecydowanie *bardzo* lubię Quinna, ale nie jestem...

*Czyżbym była zakochana?*

Jakkolwiek przerażała mnie ta myśl, była ona całkiem prawdopodobna.

Kochałam z nim przebywać. Kochałam z nim rozmawiać. Kochałam jego śmiech, jak również to, jak się czasami rządził i wymądrzał. Kochałam jego momenty słabości i jego determinację. Kochałam to, że zdawał się zmieniać, chciał się zmieniać, kochałam też to, że ja sama się zmieniam. Kochałam to, że wkraczamy w jakiś nowy etap, razem. Kochałam to, że mogę mu ufać. Kochałam się z nim kochać – naprawdę kochałam.

*Jeśli ktoś chodzi jak kaczką i kwacze jak kaczką i kocha jak kaczką...*

*Na wielkiego Thora!*

Poczułam dzwonienie w uszach.

Elizabeth zaczęła wiercić się na swoim siedzeniu i unosić i opuszczać brwi.

– Kooochasz go.

– Przecież ty nie wierzysz w miłość – zmierzyłam ją surowym spojrzeniem z nadzieją, że stłamszę w zarodku tę niespodziewaną myśl, którą sobie uświadomiła. Gdybym miała jeszcze chwilę, żeby się nad tym wszystkim zastanowić, bez podskakujących brwi Elizabeth, z pewnością byłabym w stanie przeanalizować całą tę sytuację z odpowiednią dawką pragmatyzmu.

Elizabeth pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– Wiesz dobrze, że to nieprawda. Wierzę w *jedną* miłość, *pierwszą* miłość.

Wiedziałam, że nie powinnam w tym momencie naciskać i wypominać jej brak wiary w miłość, szczególnie w jej sytuacji. Znałam historię Elizabeth i nie chciałam zmuszać jej do zgłębiania tematu, o którym wiedziałam, że jest dla niej szczególnie bolesny.

Spróbowałam zatem przekonać ją do swojej racji za pomocą argumentu odwołującego się do obecnej sytuacji.

– A co z Jonem? Przecież go kochałam.

– Nie, nie kochałaś go. Tolerowałaś go, tak jak uczą nas tego w pracy albo w szkole – stwierdziła i skrzywiła się, jakby posmakowała czegoś nieprzyjemnego. – Wydaje mi się, że lubiłaś go tak jak powinno się lubić drugą istotę ludzką, ale nigdy nie czułaś do niego niczego więcej niż tolerancja.

– Ale Quinn chce... Quinn jest moim szefem, jest też moim chłopakiem. A teraz pojawił się jeszcze temat tego mieszkania w jego budynku. Obiecałam mu, że cię tam zaprowadzę, żebyśmy obejrzały je razem.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku, pójdziemy tam jutro po południu przed waszą randką – stwierdziła i znowu zaczęła poruszać brwiami.

Wstrzymałam na chwilę oddech, a po chwili westchnęłam głęboko. Opuściłam głowę i podtrzymując ją dłonią, wyszeptałam prosto w blat stołu:

– I co ja mam teraz zrobić?

Elizabeth chrząknęła, a potem delikatnie pogłaskała mnie po nadgarstku.

– Cóż, teraz wrócisz do pracy i nie pozwolisz, żeby jakaś cholerna Olivia deVil wyobrażała sobie, że w jakikolwiek sposób wpłynęła na twoją relację z Quinnem. Wieczorem pojedziesz uczyć dzieci matmy na South Side. Jutro pójdziemy obejrzeć to bajeranckie mieszkanie. A potem, kiedy już będziesz na randce z mężczyzną, którego kochasz, znanym również jako Quinn Sullivan, tudzież Pan Ciacho, po prostu zapytasz go o tego e-maila.

W jej ustach wszystko brzmiało tak prosto, rozsądnie, tak wykonalnie.

Pozostało mi tylko przytaknąć i mieć nadzieję, że Elizabeth ma rację.

\*\*\*

Wszystko szło zgodnie z planem, tyle że potem przestało.

Tak jak ustaliłyśmy, wróciłam do pracy. Tak jak ustaliłyśmy, kompletnie ignorowałam Olivie, mimo że przez resztę dnia gorliwie wchodziła mi w drogę i zagadywała. Potem rzeczywiście pojechałam uczyć dzieciaki i skutecznie unikałam rozmyślań na temat tego, czy jestem zakochana w Quinnie, aż do momentu, kiedy wysłał mi, jak co wieczór, SMS-a na dobranoc o matematyczno-romantycznym wydźwięku:

*Gdybym był funkcją, ty byłabyś moją asymptotą. Zawsze dążyłbym do Ciebie.*

Zaraz potem przyszła kolejna wiadomość:

*Tęsknię.*

Rozkoszowałam się nimi przez chwilę i zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy rzeczywiście nie wpadłam w pułapkę miłości. Bo zaiste, była to pułapka – mroczna i nieznana. Niepokojąca, osaczająca mnie z każdej strony.

Dlatego też, aby unikać ciemnych i przerażających pułapek, postanowiłam, że podejmę decyzję odnośnie mojego zakochania podczas naszego kolejnego spotkania.

Następnego ranka czułam się już lepiej z tym całym prawniczym e-mailem. Byłam spokojniejsza i bardziej pewna, że wszystko da się wyjaśnić. Wczesnym przedpołudniem zaczęłam odczuwać radość na myśl o oglądaniu mieszkania z Elizabeth, a kiedy wreszcie spotkałyśmy się pod budynkiem, z trudem ukrywałam ekscytację, wyobrażając sobie czekającą mnie randkę.

Wszystko się popsuło, kiedy wsunęłam klucz do zamka. Zanim go obróciłam, sąsiednie drzwi otworzyły się i wypadł przez nie Quinn, ze wzburzoną miną i nagim torsem.

Dokładnie. Nie miał na sobie koszuli.

Kompletnie zaskoczone zrobiliśmy z Elizabeth krok wstecz, a w tym samym momencie on, równie zaskoczony, wyhamował i zachwiał się na nogach.

– Janie – zachłysnął się na mój widok, jednocześnie sięgając ręką za siebie, w stronę klamki drzwi, którymi przed chwilą wyszedł.

Moje spojrzenie powędrowało z jego nagiego torsu na dzinsy. Potem z powrotem spjrzałam mu w oczy. Wyczułam, że Elizabeth kręci się za moimi plecami, próbując zajrzeć do mieszkania.

– Co ty tu robisz? – spytał Quinn. W jego głosie nie było słycać złości ani oskarżycielskiego tonu. Wydawał się po prostu szczerze zaskoczony.

– Ja... przecież obiecałam ci, że pokażę Elizabeth mieszkanie.

Quinn przeniósł wzrok ze mnie na Elizabeth. Zamrugał.

– Powiedz, Quinn... – usłyszałam przy swoim ramieniu głos Elizabeth, w którym zdecydowanie słycać było złość i oskarżycielski ton. – Kogo tam ukrywasz, dlaczego, do cholery, nie masz na sobie koszuli i co, do cholery, masz na szyi?

Quinn wyraźnie się wzdrygnął, czy to w reakcji na jej słowa, czy na ton jej głosu.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Elizabeth zrobiła krok do przodu i wskazała na jego szyję.

– Czy to ślad po ugryzieniu?

Automatycznie dotknął ręką miejsca, które wskazała.

Elizabeth zwróciła się do mnie.

– Ty mu to zrobiłaś? – spytała podniesionym głosem.

Pokręciłam głową. Wszystko działo się tak strasznie szybko. Było zbyt dużo danych, których nie byłam w stanie przyswoić. Były rozsypane po całej podłodze i uciekały przede mną jak beznogie zęby z mojego snu. Mogłam tylko przez słowa zerkać to na Elizabeth, to na Quinna i na drzwi, które próbował za sobą zamknąć.

Elizabeth zwróciła się z powrotem do Quinna i wskazała na jeszcze jeden ślad na jego piersi.

– A tutaj masz ślad po przypaleniu papierosem! Co jest, do cholery? – wrzasnęła piskliwie. – Wiem na pewno, że tego nie zrobiła ci Janie!

Jego wzrok napotkał mój i zobaczyłam w nim strach.

– Posłuchajcie mnie, posłuchajcie przez chwilę. Musicie stąd iść, obydwie. Nie powinno was tu w ogóle być, gdzie do cholery, są twoi ochroniarze? – Quinn najwyraźniej próbował dojść do siebie. Jego nagły ton był stanowczy, ale i podszyty lekką paniką.

Drzwi za nim otworzyły się z rozmachem i w tym momencie moje serce i mózg przestały działać.

Za Quinnem stanęła Jem, ubrana tylko w stanik i dżinsy, z papierosem w zębach i bezdusznym uśmiechem.

– Cześć, siostrzyczko.

Quinn nieuważnie zerknął przez ramię i po chwili prawie podskoczył na jej widok.

– Co jest, do cholery?

Otworzyłam usta i usłyszałam dziwny odgłos, jakby coś pękło, ciche pstryknięcie z tyłu głowy, po którym ogarnęła mnie nagła fala intensywnego, fizycznego bólu za oczami i w okolicy serca. Nie byłam w stanie oddychać. Quinn, Elizabeth i Jem, wszyscy krzyczeli coś jednocześnie, ale ja nie słyszałam nic.

Nie słyszałam absolutnie nic.

\*\*\*

Patrząc wstecz, kiedy próbuję przypomnieć sobie wydarzenia następnych paru minut, wszystko zlewa mi się w jedną całość. Jakimś cudem Elizabeth wyciągnęła mnie z budynku i wpakowała do taksówki. W pewnym momencie zorientowałam się, że mam mokrą twarz i uznałam, że to pewnie od płaczu. Dojechaliśmy do mieszkania. Elizabeth

wprowadziła mnie za sobą do środka, trzymając za rękę. Pokierowała mnie w stronę kanapy i zostawiła tam na dosłownie chwilę, po upływie której wróciła z tequilą.

Postawiła ją na stole, chwyciła mnie za ramiona i mocno potrząsnęła.

– Janie! Janie, posłuchaj mnie. – Jej głos brzmiał bardzo odlegle.

Zwróciłam się w jej stronę i spojrzałam w oczy. Były wielkie i dostrzegłam w nich niepokój. Przyciągnęła mnie do siebie i zatonełam w jej mocnym uścisku.

– Cholerny skurwysyn – słyszałam, jak mamrocze. – Zatłukę go... Wszystkie będą chciały... Będziemy na zmianę przypalać go papierosami... Zaraz tu będą...

Odsunęłam się, szybko mrugając.

– Kto zaraz tu będzie?

Odgarnęła mi włosy z twarzy, czym przypomniała mi o Quinnie. Ścisnęło mi się serce.

– Podczas gdy ty siedziałaś w taksówce, pogrążona w katatonii, napisałam do wszystkich dziewczyn. Robimy sobie dziś zebranie sztabu kryzysowego.

Pokręciłam głową. Ku mojemu zaskoczeniu, z moich ust wyrwał się niekontrolowany szloch.

– Nie. Nie chcę nikogo widzieć.

– Tak, dziewczyny przyjeżdżają. Tak, będziesz dziś otoczona ludźmi, ludźmi, którzy cię kochają i chcą być dla ciebie wsparciem. Będziesz się użalać nad sobą w weekend. A dziś nawalisz się i zeżresz nieprzyzwoitą ilość lodów.

Słuchałam jej tylko częściowo i niemal kompletnie nie rozumiałam znaczenia jej słów. Znowu zanosłam się płaczem i wszystko wokół się rozmazało. Elizabeth wcisnęła mi do ręki butelkę i kazała pić.

Tequila paliła mi gardło i przełyk, a ja celebrowałam to nieprzyjemne uczucie. To była prawdziwa ulga, poczuć ból z innego źródła niż własne serce. Elizabeth odebrała mi butelkę i wzięła długi łyk, po czym z hukiem odstawiła ją na stolik.

– Tak mi przykro, Janie. – Objęła mnie ramieniem i przycisnęła moją głowę do swojej piersi. – Tak strasznie mi przykro.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Elizabeth wstała, żeby odebrać domofon. Usłyszałam w słuchawce głos Marie. Machinalnie sięgnęłam po butelkę tequili i poczułam lekkie rozczarowanie, kiedy kolejny łyk nie palił już tak intensywnie jak pierwszy.

Niemniej jednak po trzecim łyku spłynęło na mnie wyczekiwane otępienie.

Chwilę później ramiona Marie otoczyły mnie ciasno i oparły moją głowę na jej ramieniu. Poczułam półprzytomnie, że jej włosy-jak-z-reklamy pachną cytryną i lawendą. Za chwilę oplotły mnie ramiona stojącej za mną Kat. Po pewnym czasie usłyszałam jeszcze głos Sandry, która zajęła miejsce Marie na kanapie.

– Chodź do mamy, kochanieńka. – Sandra pocałowała mnie w czoło i zatonełam w jej uścisku. Chcąc chyba przypomnieć mi, że jest psychiatrą, zaczęła przemawiać do mnie kojącym głosem: – Pamiętaj, nie musisz nic mówić, dopóki nie będziesz gotowa. Kochamy cię i jesteśmy tutaj dla ciebie. – Po tych słowach wzięła głęboki oddech i, chcąc chyba przypomnieć mi, że jest Sandrą z Teksasu, dodała: – A kiedy będziesz już gotowa obciąć mu jaja, służę nożem.

Jak przez mgłę usłyszałam, że ktoś się śmieje. Podniosłam głowę i z zaskoczeniem zorientowałam się, że byłam to ja sama. Spojrzałam w zielone oczy Sandry, migoczące, ale i przepełnione troską, i zmusiłam się do zasmartanego uśmiechu.

Rozejrzałam się po pokoju. Elizabeth krążyła przy drzwiach przyciskając do policzka zaciśnięte dłonie. Marie siedziała na fotelu obok kanapy i uśmiechała się ze współczuciem. Kat stała za mną, gładząc mnie po plecach delikatnymi, okrężnymi ruchami. Sandra trzymała mnie za ramiona. W ich spojrzeniach odbijała się moja bezbronność i rozpacz, jak gdyby chciały, a wręcz oczekiwały, że przejmą ode mnie chociaż część mojego ciężaru.

Bardzo je wszystkie kochałam.

Kat głaskała moje włosy i oparła głowę na moim ramieniu.

– Och, Janie, ależ się dzisiaj nawalimy!

Moje oczy znowu napełniły się łzami, mimo że z ust wyrwał mi się krótki, mimowolny śmiech. Znowu rozległ się dźwięk domofonu. Elizabeth otworzyła drzwi przyciskiem, nie sprawdzając, kto dzwoni.

– To pewnie Fiona. Musiała załatwić opiekunkę do dzieci, dopóki Greg nie wróci z pracy. Ashley musi skończyć zmianę, ale powiedziała, że dołączy do nas koło siódmej – to mówiąc, Elizabeth otworzyła drzwi mieszkania i zostawiła je otwarte dla Fiony.

Sandra zabrała mi z ręki tequilę i podała ją Marie.

– Musimy mieć jakieś szkło. Kocham, was, dziewczyny, ale nie mam zamiaru przez cały wieczór pić z wami z jednego ustnika.

– Zamówmy jedzenie! – zaproponowała Kat, obejmując mnie od tyłu i podnosząc głowę. Położyłam dłoń na jej ramieniu i odwzajemniłam uścisk.

– Chińszczyzna czy pizza? – Marie wstała i ruszyła do kuchni, zdejmując ulotki z lodówki, nadal z butelką tequili w ręku.

Otarłam łzy z oczu, smarkając i czując to przyjemne, ciepłe odrętwienie, które ogarnia człowieka w towarzystwie przyjaciół i po trzech szybkich łykach tequili. Miłość rzeczywiście była pułapką, a ja byłam na samym dnie tej pułapki. Nie wiedziałam jeszcze jak, ale byłam przekonana, że te kobiety pomogą mi wydostać się z tego mrocznego dołu, do którego wpadłam kompletnie na oślep. Najpierw jednak musiałam poukładać myśli i uporządkować wszystkie informacje. Musiałam przeanalizować ostatnie pół godziny i ustalić, co dokładnie widziałam, co czułam, w co wierzyłam.

Jednak zanim jeszcze zaczęłam zbierać fragmenty rzeczywistości, nie mówiąc już o studiowaniu ich z należną uwagą, usłyszałam głos Quinna, wypowiadającego moje imię jak piłę mechaniczną, wgrzyzającą się w kruche odłamki mojego serca.

– Janie!

Zdezorientowana, podniosłam głowę i otworzyłam szeroko oczy, kiedy zobaczyłam Quinna pędzącego w moją stronę. Gwałtownie odepchnął stolik stojący mu na drodze i przyklęknął przede mną, wyciągając ręce w kierunku mojej talii. Zajęło mi chwilę, zanim zorientowałam się, że obmacuje mnie jakby w poszukiwaniu czegoś, albo jakby spodziewał się, że jakaś część mojego ciała będzie uszkodzona albo wybrakowana.

Kolejne kilka sekund zajęło mi zorientowanie się, że on naprawdę tu jest, że mnie dotyka i że coś mówi.

– Nic ci nie jest? Czy nikt cię nie nachodził? Dlaczego, do cholery, zostawiłyście drzwi otwarte na oścież?

Kiedy tylko otrząsnęłam się z szoku, wyplątałam się z jego objęć i uniosłam ręce tak, żeby blokowały przestrzeń między nami. Na przemian zamykałam i otwierałam usta, podczas gdy mój mózg próbował przyjąć do wiadomości jego niespodziewaną obecność, gniew, który pobrzmiwał w jego słowach, ulgę, którą widać było w jego oczach. Niewątpliwie rejestrowałam bieżące wydarzenia z pewnym opóźnieniem.

Przerwałam pełną osłupienia ciszę.

– Quinn, co... co ty tu robisz?

Nagle całe pomieszczenie wypełniły wzburzone kobiece głosy, zupełnie jakby do tej chwili wszystkie były równie oszołomione jego obecnością, a moje słowa spowodowały lawinę.

– Cholera jasna! – usłyszałam warknięcie Elizabeth gdzieś za jego plecami.

– Posłuchaj, kolego... – Sandra próbowała wepchnąć się między mnie a Quinna.

– Najlepiej byłoby, żebyś wyszedł – Marie wyłoniła się z kuchni, trzymając butelkę z tequilą jak skuteczną broń.

Kat ścisnęła mnie za rękę.

Quinn próbował mi coś powiedzieć, przedrzeć się przez nieustępliwy jazgot moich przyjaciółek i barykadę w postaci sylwetki wściekłej Sandry.

– Janie, proszę cię, posłuchaj mnie. Grozi ci niebezpieczeństwo. Twoi ochroniarze mieli cię dzisiaj pilnować, musimy stąd wyjść. Nigdy nie pozwoliliby ci wejść do budynku.

Ponownie rozległ się dzwonek domofonu. Mimo panującego wokół hałasu, usłyszałam przez głośnik głos Fiony. Elizabeth wcisnęła guzik, nieustannie piorunując Quinna wzrokiem.

– A to dlaczego? Bo wiedzieli, że byłeś zajęty chędożeniem jej siostry? – zawołała oskarżycielsko Elizabeth i wyciągnęła komórkę. – Dzwonię na policję. Quinn, wyjdź stąd. Natychmiast!

Quinn nie ruszył się z miejsca przede mną, reagując na jej słowa z wrażliwością granitu.

– Nie byłem z Jem.

– Przecież was widziałyśmy!

– Nie, nic nie rozumiecie – zwrócił się do mnie, ale Sandra uprzedziła jego ruch i zastąpiła mu drogę. – Janie, nie byłem z nią, nikogo nie chędożyłem, próbowałem pomóc.

– W takim razie dlaczego nie miałeś na sobie koszuli, co, Quinn? O ile oczywiście to twoje prawdziwe imię – prychnęła Elizabeth z podejrzliwością godną Sherlocka Holmesa, jednocześnie wstukując trzy cyfry na komórce.

– Bo Jem jest pieprzoną wariatką i przypaliła mnie papierosem, a potem ugryzła... – prychnął. – Naprawdę nie mamy czasu na to wszystko!

– Serio, wielkoludzie, słodko ci radzę, wypierniczaj stąd – odezwała się ostrzegawczym tonem Sandra, krzyżując ręce na piersi.

Quinn zaciął się na chwilę i unióśł brwi w reakcji na bezceremonialny rozkaz

Sandry.

– Nie wyjdę, dopóki nie będę miał pewności, że jest bezpieczna.

Marie skrzyżowała ręce na piersi.

– A co niby jej grozi?

Elizabeth rozmawiała przez komórkę i właśnie podawała centrali nasz adres.

– Proszę przysłać policję... – dodała, ale nie była w stanie dokończyć zdania, bo nagle ktoś wyrwał jej z ręki telefon i powalił ją na ziemię. W pokoju rozległ się zbiorowy okrzyk przerażenia, a wszystkie spojrzenia skierowane były teraz na trzech bardzo dużych, bardzo groźnie wyglądających, wytatuowanych skinheadów, którzy wpadli do niewielkiego mieszkania, które z ich masywnymi sylwetkami w środku wydawało się jeszcze mniejsze.

Jeden z mężczyzn mocno trzymał Fionę. W rękę miał pistolet, wycelowany w Quinna, ale uwaga wszystkich trzech była niezaprzeczalnie skierowana na mnie.

– A niech mnie, Jem. Kopę lat.

Najwyższy z nich skierował te słowa do mnie, a ja rozpoznałam w nim wtedy tamtego straszego gościa z parku.

– Co ty do cholery wyprawiasz, Sam? Seamus wie, że tu jesteś? – Quinn stanął przede mną, Sandrą i Kat, osłaniając nas przed dwoma bandziorami i Samem.

– Stul mordę, Quinn – usłyszałam ostrą odpowiedź Sama. – Mówiłeś, że nie wiesz, gdzie ona jest.

– Popelniasz poważny błąd. – Poczulałam dreszcz przeszywający mnie na dźwięk głosu Quinna. Mimo że celowano do niego z pistoletu, jego ton dawał jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru zawracać sobie głowy czymś tak banalnym jak naboje. – Mówiłem już Seamusowi, że to nie jest Jem.

Zauważyłam, że Marie poruszyła się nieznacznie, a jej dłoń nadal była zaciśnięta na szyjce butelki tequili. Spojrzenie jej szeroko otwartych oczu przeskakiwało co i rusz między Quinnem a skinheadem o imieniu Sam.

Usłyszałam jakieś kliknięcie. Domyśliłam się, że to Sam odbezpieczył pistolet, bo Quinn nagle zamarł w bezruchu, a groźba w ostrożnie wypowiedzianych słowach była niemal namacalna.

– Co ty, do cholery, robisz?

– Zabieram tę sukę ze sobą. Zabieram ją do Seamusa, niech on zdecyduje, czy to Jem, czy nie, bo ja mam dość szlajania się po Chicago.

Niespodziewanie to Marie odezwała się następna.

– Nie licz na to, gnoju.

A potem kilka rzeczy wydarzyło się jednocześnie.

Nie widziałam wszystkiego zbyt dokładnie, jako że znajdowałam się za Sandrą, która z kolei stała za Quinnem, a na dodatek po swojej prawej miałam Kat, która też mocno ograniczała mi widoczność. Widziałam za to krajobraz po bitwie, dzięki czemu byłam w stanie odtworzyć wcześniejsze wydarzenia i poskładać je w całość.

Marie najwyraźniej cisnęła butelką w jednego z skinheadów, tego, który trzymał Fionę, bo nagle jego pistolet wystrzelił, a kula trafiła w ścianę gdzieś nad oknem. Zatoczył się do tyłu, łapiąc się za głowę. Fiona najwyraźniej przygotowywała się na ten moment,

bo jednym ruchem wyciągnęła ze swojej torby dwa długie druty marki Susan Bates, takie długie, grube, z białymi główkami na końcu, z których zazwyczaj korzystają początkujący, i wbiła je facetowi w ramię. Pistolet natychmiast wypadł mu z ręki.

Wtedy Elizabeth, która przez cały ten czas leżała na podłodze, sięgnęła po broń, podczas gdy Zbir Numer Dwa potknął się o jej nogi i poleciał jak długi wprost na regał z książkami.

Kat kwiknęła w momencie, gdy wystrzelił pistolet i chwyciła mnie za rękę. Ku mojemu zaskoczeniu rzuciła się za kanapę, pociągając mnie za sobą. Przewróciłam się dość niezgrabnie, boleśnie upadając całym swoim ciężarem na lewą stronę ciała.

Quinn przewrócił na bok stolik kawowy, zapewne po to, żeby pełnił rolę choćby minimalnej ochrony przed potencjalnym deszczem kul i sięgnął do tyłu po swojego glocka, schowanego w spodniach. Natychmiast wycelował nim w skinheadów dokładnie w momencie, w którym Sam wyciągnął pistolet. Jednak zanim którykolwiek z nich zdążył oddać strzał, niska, filigranowa Fiona wrzasnęła i z całej siły popchnęła Sama.

Ona była mała, a on wielki, więc po chwilowej utracie równowagi Sam szybko doszedł do siebie i skierował całą swoją wściekłość, jak również swoją broń, w kierunku Fiony. Ale na tym etapie Elizabeth była już w stanie oddać strzał z pistoletu. Trafiła Sama prosto w brzuch. Mężczyzna natychmiast zgiął się w pół, bełkocząc przekleństwa, a za chwilę Zbir Numer Dwa podbiegł do Elizabeth i próbował wyrwać jej broń, w trakcie szamotaniny brutalnie uderzając ją łokciem w twarz.

– Oż w mordę! Auć! To bolało! – wrzasnęła Elizabeth.

Zanim jednak Zbirowi Numer Dwa udało się użyć broni, Marie i Sandra rzuciły się w jego stronę przez pokój, przy czym Sandra jodłowała niczym Tarzan.

– Cholera jasna! – usłyszałam wrzask Quinna, który sekundę później przeskoczył nad stolikiem.

O dziwo, Marie i Sandra w bardzo skuteczny sposób powaliły olbrzyma na ziemię. To znaczy, kiedy go dopadły, nadal był na kolanach, próbując się podnieść, i Marie kopnęła go w krocze spiczastym butem, kiedy tylko znalazła się w obrębie jego przestrzeni osobistej. Sandra wykorzystała jego nieuwagę i chwyciła jego pistolet, i ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu, po szybkim zabezpieczeniu broni, zaczęła tłuc go po głowie kolbą.

– Zrobię...

*Łup.*

– ...z ciebie...

*Łup.*

– ...miazgę...

*Łup.*

– ...gnoju!

Chwilkę mi zajęło, zanim zorientowałam się, że Sandra trzymała w drugiej ręce, którą akurat nikogo nie okładała, kłębek wełny. Wtłaczała go teraz w usta Zbirowi Numer Dwa nawet w momencie, gdy zadawała mu kolejny miazdzący cios.

Fiona doczołgała się do Elizabeth i zasłoniła jej twarz dłońmi, próbując ochronić ją przed uderzeniami, a wtedy Quinn zamachnął się pistoletem na Sama, powalając



wytatuowanego bandziora na ziemię jednym ciosem.

Marie podniosła butelkę po tequili i zamierzyła się wściekle na Zbira Numer Jeden, który najwyraźniej otrząsnął się już z szoku po tym, jak dźgnięto go drutami. Zbir uniósł sprawną rękę, żeby osłonić głowę, ale było już za późno – Marie z całej siły przywaliła butelką. Rozległ się donośny trzask i mężczyzna runął do tyłu jak powalone drzewo, tracąc przytomność.

Kat i ja wyjrzałyśmy ostrożnie zza kanapy. Jedynymi dźwiękami, wypełniającymi małe mieszkanko, były ciężkie, zmęczone oddechy, dopóki ktoś, chyba Marie, nie odezwał się z pretensją:

– A niech to szlag! Sandra! Czy ten dupek ma w gębie moją włóczkę z limitowanej kolekcji Madelintosh Aran? Przecież wiesz, że nigdzie jej już nie dostanę!

Policja pojawiła się jakieś dziesięć sekund później. I całe szczęście. Marie trzymała w ręku potłuczoną butelkę, a wokół niej leżały rozprysnięte kawałki szkła, Sandra z kolei trzymała w ręku pistolet. Kłóciły się zajadle o motek jakiejś włóczki, najwyraźniej bardzo drogiej i trudno dostępnej, którą Sandra wpakowała do gardła jednego ze skinheadów.

Kiedy tylko do pomieszczenia weszła policja, Quinn odwrócił się w moją stronę. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy i zobaczyłam mieszankę napięcia i ulgi. Mimo to nie podszedł do mnie, tylko położył swoją broń na ziemi, uniósł ręce, splótł je za głową i czekał na policję. Pokój wydał mi się nagle nieznośnie wielki, a dystans między nami nieskończony.

Dopiero kilka godzin później, po złożeniu zeznań i pseudobadaniach wykonanych przez sanitariusza, zostałyśmy zwolnione. Quinn niedługo po przyjeździe policji został zakuty w kajdanki i zabrany na komisariat, mimo protestów ze strony Kat, Elizabeth, Sandry, Marie, Fiony i, oczywiście, mojej.

Ashley pojawiła się dokładnie o zapowiadanej godzinie i została szybko poinformowana przez Sandrę o wszystkim, co wydarzyło się podczas jej nieobecności. W miarę, jak historia się rozwijała, na jej twarzy odmalowywał się cały wachlarz emocji.

Ostatecznie pozostałe uczucia zostały zdominowane przez irytację.

– No wiecie co? Dlaczego najciekawiej robi się wtedy, kiedy mnie nie ma? Słowo daję, kiedy następnym razem boski facet będzie chciał uratować was przed wytatuowanymi skinheadami, poczekajcie lepiej, aż skończę zmianę, bo inaczej nieźle się wkurzę!

– To nie on nas uratował, czy ty w ogóle słyszałaś, co się wydarzyło? – odezwała się Elizabeth, przykładając lód do policzka w miejscu, w którym oberwała łokciem. – Fiona dźgnęła jednego z nich drutami, Marie przywaliła mu butelką jak maczugą, Sandra wychłostała drugiego, a ja postrzeliłam trzeciego.

– A gdzie w tym czasie były Janie i Kat? – spytała Ashley, patrząc to na mnie, to na Kat.

– Chowałyśmy się za kanapą, jak normalni ludzie! – oznajmiła Kat, zanim ktokolwiek inny zdążył się odezwać.

Ashley posłała nam łzawy uśmiech.

– Cholera, dziewczyny, gdyby którejkolwiek z was coś się stało, byłabym bardzo niezadowolona. Co wyście sobie w ogóle myślały?

I przygarnęła nas wszystkie do siebie w grupowym uścisku, który trwał o wiele dłużej, niż by wypadało, bo żadna z nas nie chciała przestać się tulić.

\*\*\*

Po tym, jak wszystkie dziewczyny sobie poszły – w tym również Elizabeth razem z Marie – ale zanim jeszcze odjechał ostatni samochód policyjny, podeszłam do krępego ochroniarza, którego od razu rozpoznałam, i który obserwował mnie od momentu, w którym policja zaprowadziła nas wszystkie do karetki na rutynowe oględziny. To był Dan, pracownik ochrony z budynku Fairbanks.

Ruszyliśmy ku sobie z naprzeciwka i spotkaliśmy się w połowie drogi. Jego

brązowe oczy były duże i łagodne. Uśmiechnął się nieśmiało, niemal przepraszająco.

– Panno Morris – kiwnął głową na powitanie.

– Witaj, Dan – odpowiedziałam.

Westchnął.

– Wszystko w porządku?

Przytakiwałam automatycznie. Nie mogłam mówić „tak”, bo właściwie nie do końca byłam pewna, czy wszystko jest w porządku. Nie chciałam jednak wyjść na wariatkę, bo bardzo potrzebowałam jego pomocy.

– Posłuchaj, Dan, czy może mógłbyś zawieźć mnie do mieszkania Qui... eee, do mieszkania pana Sullivana?

– Spokojnie, ja też mówię do niego „Quinn” – to mówiąc, Dan wskazał kciukiem na samochód zaparkowany za nim, czarnego mercedesa coupe. – Po to tu właśnie jestem.

Uśmiechnęłam się i odetchnęłam.

– No tak, oczywiście.

– Chodźmy. – Ruchem głowy wskazał, żebym poszła za nim.

Kiedy już usiedliśmy w samochodzie i włączyliśmy się do ruchu, zauważyłam, że Dan co chwila zerka na mnie kątem oka, rzucając mi długie spojrzenia, tak jakby chciał mi coś powiedzieć, albo o coś zapytać, ale nie miał pomysłu, jak zacząć.

Zlitowałam się nad nim wreszcie.

– Czy chciałbyś mi coś powiedzieć?

– Tak – wykrztusił. – Tak, chciałem przeprosić i powiedzieć, że jest mi strasznie przykro.

Zamrugałam kilka razy, zastanawiając się jednocześnie, jak to się stało, że mimo iż rozmawialiśmy już wielokrotnie, nie zauważyłam wcześniej u niego tego silnego, bostońskiego akcentu.

– Przeprosić? Dlaczego ty miałbyś za coś przeproszać?

– Dlatego, że Seamus jest moim bratem. I dlatego, że jest kompletnym sku... yyy, jest bardzo złym człowiekiem.

Poruszyłam się i oparłam plecami o drzwi, tak, żebym mogła lepiej go widzieć.

– W takim razie ja powinnam przeprosić za moją siostrę. Ona też jest bardzo złym człowiekiem.

Stłumił śmiech.

– Tak. Tak, to prawda.

Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie.

– Znasz Jem?

Kiwnął głową.

– Nadal jest tak samo szurnięta, jak była wtedy, kiedy ją znałem.

– Ach... widziałeś ją niedawno?

Znowu przytaknął.

– Tamtego popołudnia, kiedy przyszłyście do nowego budynku, byłem w mieszkaniu z Quinnem i Jem – zerknął na mnie, skręcił w prawo i wjechał na Michigan Avenue.

Zesztywniałam.

– Więc... ty też tam byłeś?

– Tak jest. Ta suka... eee, to znaczy twoja siostra, jest szurnięta, ale to już wiesz. Quinn chciał jej pomóc. Zaoferował jej pieniądze, żeby tylko zniknęła, ale ona zaczęła nagle bluzgać i w ogóle świrować, ściągać z siebie ubranie i takie tam. Przysięgam, gdybym jej nie znał i nie wiedział, jaka jest, pomyślałbym, że jest totalnie naćpana. Potem jeszcze go ugryzła i przypaliła papierosem, przez koszulę. Leciła mu krew z szyi, jakieś szaleństwo.

Krzywiłam się odruchowo, wyobrażając sobie, jak Jem gryzie Quinna aż do krwi.

– Ale dlaczego w ogóle zaczęła się rozbierać?

– Cholera wie. Może dlatego, że jest szurnięta? Quinn próbował doprowadzić się do porządku, oczyścić z krwi i tak dalej. Kiedy się pojawiliście, wychodził właśnie po ubrania do przebrania. Gdyby to mnie ugryzła, przez tydzień moczyłbym się w alkoholu i wybielaczu.

Przygryzłam wargę i chłonełam wszystko to, co przed chwilą usłyszałam. Czułam ulgę, było mi głupio, martwiłam się. Dan zatrzymał się na parkingu podziemnym i zaprowadził mnie aż do penthouse'u Quinna. Otworzył mi drzwi, ale sam nie wszedł do środka.

Po naszej rozmowie nie odzywałam się już ani słowem. Próbowałam uporządkować zamęt panujący w mojej głowie, plątaninę emocji i wrażeń minionego dnia. Ale nie byłam w stanie przestać myśleć o Quinnie i czułam, że nie będę mogła myśleć o niczym innym, dopóki go nie obejmę i nie tyle zobaczę, co poczuję, że jest bezpieczny.

– No i tak... – Dan wręczył mi klucze do mieszkania. – Quinn powinien wrócić do domu jeszcze dziś. Kiedy do mnie dzwonił, mówił, że nie został o nic oskarżony i że się na to nie zanosz, biorąc pod uwagę, że ma pozwolenie na broń, którą miał przy sobie.

Odwrócił się i chciał odejść, ale zatrzymałam go.

– Dan, czy mogłabym cię o coś spytać?

Uniósł brwi i kiwnął głową.

– Jasne.

Przełożyłam klucze z jednej ręki do drugiej i założyłam włosy za uszy.

– Jak długo znasz Quinna?

Wzruszył ramionami.

– Odkąd byliśmy dziećmi.

– A wiesz, dlaczego Quinn wyjechał z Bostonu?

Zawahał się. Zmrużył oczy i ściągnął usta.

– Tak – odpowiedział wreszcie.

Nie byłam w stanie powstrzymać uśmiechu, słysząc tę zdawkową odpowiedź, niezbity dowód jego lojalności.

– Ja też... tak mi się wydaje.

Stał przez chwilę bez ruchu, bacznie mnie obserwując, wodząc intensywnym spojrzeniem po rysach mojej twarzy. Wreszcie powiedział:

– Wiesz, on naprawdę za tobą szaleje. I nie mam na myśli szaleństwa w stylu twojej siostry Jem. Szaleje za tobą tak bardzo, że chce być dla ciebie lepszym człowiekiem.

Zacisnęłam usta, a moje serce, znowu posklejane w całość, załomotało mi w piersi, kiedy odpowiedziałam:

– Czuję dokładnie to samo.

\*\*\*

Z początku nawet nie brałam pod uwagę snu. Krążyłam w kółko po mieszkaniu Quinna, żalując, że nie mam ze sobą żadnego komiksu i uprzytamniając sobie, że nawet nie wzięłam ze sobą głupiego telefonu komórkowego. W przypiływie bezsilnego rozdrażnienia rzuciłam się na łóżko i po chwili już spałam.

Kiedy się obudziłam, byłam zupełnie skołowana. Rzut oka na panoramę parku i stawu uświadomił mi, że wciąż jeszcze była noc, ale nie miałam pojęcia, jak długo spałam. Przeciągnęłam się i już chciałam wstać i sprawdzić w świetle łazienki godzinę na swoim zegarku, kiedy niespodziewanie uświadomiłam sobie, że nie jestem sama.

Ktoś leżał obok mnie.

Co więcej, owinęłam się wokół tego kogoś.

I ten ktoś wcale nie spał.

Wzięłam głęboki wdech.

– Quinn?

Ramię wokół mnie zacisnęło się delikatnie, po czym Quinn zabrał je i zmienił pozycję tak, że leżał teraz z głową podpartą na łokciu i patrzył prosto na mnie.

– Hej.

Jego dłoń natychmiast zanurzyła się w moich włosach. Przyciągnął mnie do siebie i nasze usta złączyły się. Poddawałam się jego pocałunkowi, przylgnęłam do niego mocno, całym ciałem, i czułam obezwładniającą mieszankę nieopisaną radości, ulgi i wdzięczności.

Całowaliśmy się, po prostu i tylko całowaliśmy, przez bardzo długi czas. Czasem ja byłam na górze, czasem on, czasem siedzieliśmy, czasem leżeliśmy. Trwało to i trwało bez końca i gdyby nie konieczność dostarczenia organizmowi tlenu, możliwe, że całowalibyśmy się do końca świata i jeszcze trochę. Nie miałabym nic przeciwko temu.

Byliśmy na środku łóżka, ja siedziałam okrakiem na jego kolanach, kiedy odgarnął włosy z mojej twarzy i oparł się czołem o moje czoło.

– Quinn, tak bardzo cię przepraszam. – Przytuliłam się do niego, ciasno oplatając jego szyję.

– Janie, nie masz mnie za co przepraszać.

– Ale zakładałam najgorsze. Zobaczyłam cię z Jem i myślałam, że... że ty i ona...

Zacieśnił uścisk.

– Że ją chędożyłem, jak to ładnie ujęła Elizabeth. – Mimo wspomnienia minionego wieczoru żadne z nas nie było w stanie powstrzymać chichotu.

Kiedy po chwili przestaliśmy się śmiać, delikatnie zanurzyłam twarz w zgięciu jego szyi, starannie omijając ranę.

– Dan przywiózł mnie tutaj i opowiedział, jak to było z Jem. Przykro mi, że cię ugryzła.

Jego dłoń gładziła moje plecy okrężnymi ruchami, za każdym razem zjeżdżając niżej i niżej, aż dotarł do samego dołu moich pleców, tuż nad krągłościami moich

pośladków.

– Nie przejmuj się. Nie obchodzi mnie Jem.

Odsunęłam się od niego trochę, tylko na tyle, żeby móc spojrzeć mu w twarz. Wyglądał na wyczerpanego i znużonego.

– Mnie też nie – powiedziałam, a po chwili westchnęłam na myśl o tym, ile kłopotów wyrządziła moja siostra. – Chcę, żebyś wiedział, że ci ufam.

Uśmiechnął się słabo – ustami, ale nie oczami.

– Możemy porozmawiać o tym rano.

– Nie, nie, posłuchaj... – Poruszyłam się. Początkowo nie chciał mnie wypuścić, ale wreszcie pozwolił mi przesunąć się na brzeg łóżka i wstać. Sięgnęłam do kieszeni spodni i wyjęłam z niej złożoną kartkę z wydrukowanym e-mailem.

– Olivia, a w każdym razie wydaje mi się, że to była ona, zostawiła to wczoraj na moim biurku. Chciałam ci to dzisiaj pokazać – powiedziałam i wyciągnęłam rękę z kartką w jego stronę.

Przez chwilę spoglądał to na mnie, to na kartkę, po czym z wyraźnym wahaniem odebrał ją ode mnie. Ruszyłam w stronę łazienki i zapaliłam w niej światło. W ten sposób zrobiło się wystarczająco jasno, żeby mógł przeczytać treść e-maila. Usiadł na brzegu łóżka, ale w miarę jak czytał, jego długa sylwetka prostowała się stopniowo, a potem zeszytniała. Nagle gwałtownie wypuścił powietrze z ust i zerknął w moją stronę.

– Nie widziałem tego wcześniej, ale, Janie, mogę cię zapewnić...

Przykryłam dłonią jego dłoń, w której trzymał papier.

– Nie musisz. To nie ma znaczenia. Chciałam ci po prostu powiedzieć, że... chcę ci po prostu powiedzieć, że kiedy to wczoraj zobaczyłam, przez krótki moment, przyznaję, rzeczywiście spanikowałam, ale potem przemyślałam to i zrozumiałam, że ci ufam. Wiedziałam, że musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie dla tego maila i miałam zamiar pokazać ci go dzisiaj wieczorem, zanim przenieśliśmy się z filmu obyczajowego Judda Apatowa prosto do thrillera Quentina Tarantino.

Quinn zrobił krok w moją stronę, kręcąc głową.

– Poprosiłem ich o to.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć. Ufam ci teraz i ufałam ci, kiedy to czytałam. Chcę po prostu, żebyś wiedział, że się nie bałam. Ja... wierzę w ciebie.

Tym razem szelmowski uśmiech zawitał również w jego oczach. Wydawał się niemal dumny z siebie. Jego wzrok wędrował powoli po mojej twarzy.

– Pozwól mi wytłumaczyć, o co chodzi, okej?

Pokiwałam głową.

– Dobrze, ale nie musisz tego robić.

– Ale chcę – Quinn opuścił podbródek i zmierzył mnie wzrokiem. Potem rzucił okiem na e-mail i oddał mi kartkę. – Po naszej wtorkowej rozmowie, kiedy powiedziałas mi, że nie chciałaś lecieć ze wszystkimi firmowym samolotem, zrozumiałem, że czujesz się niekomfortowo z tym, że zasady naszego funkcjonowania w pracy nie zostały jasno określone. Zadzwoiłem do Betty i poprosiłem ją, żeby porozmawiała z prawnikami. Mieli przygotować propozycję formalnego zapisu, który definiowałby nasze zawodowe oczekiwania w taki sposób, żebyśmy mogli swobodnie spotykać się poza pracą.

W miarę jak wszystko wyjaśniał, jeszcze raz zaczęłam czytać e-maila, tym razem mając w głowie nabytą przed chwilą wiedzę.

– Jak widać, nie zrozumieli mojej prośby. Chciałem, żeby zaproponowali coś konkretnego, jakiś zapis, dzięki któremu poczułabyś się pewniej, coś, co by cię chroniło na wypadek gdybyśmy kiedykolwiek... się rozstali – dokończył, masując ręką kark.

– Wygląda to tak, jakby wywnioskowali z twojej prośby, że twoim głównym celem jest zabezpieczenie interesów firmy. Chcą, żebym odeszła z pracy, bo wtedy będziemy mogli się spotykać bez narażania firmy na jakiegokolwiek ryzyko.

– Zajmę się tym i wyjaśnię jak najszybciej. – Przysunął się bliżej i pogłaskał mnie wierzchem dłoni w miejscu, gdzie krawędź mojej koszulki stykała się ze skórą mojego dekoltu.

Przyjrzałam się e-mailowi raz jeszcze, po czym odsunęłam się od Quinna i położyłam kartkę na komodzie.

– Wiem, że tak będzie – powiedziałam. Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Jakaś część mnie zastanawiała się, czy rzeczywiście nie byłoby dla wszystkich lepiej, gdybym po prostu odeszła z pracy. Wtedy mogłabym spotykać się z Quinnem, a inni nie musieliby się obawiać, że będę stanowiła zagrożenie dla firmy.

– Hej... – Delikatnie ujął mnie pod brodę i czekał, aż spojrzę mu w oczy. – O czym myślisz? Tylko nie mów, że o robotach.

Uśmiechnęłam się szeroko mimo woli.

– Może rzeczywiście powinnam odejść z pracy.

– O, nie. – Pokręcił głową. – To niedopuszczalne.

– Quinn.

– Byłoby to ze szkodą dla firmy.

– Ale przynajmniej...

– Czego się tak naprawdę boisz?

– Boję się, że kiedy poznasz mnie lepiej, uznasz, że jestem dziwna. – Nie miałam pojęcia, że wypowiem te słowa, które wyskoczyły nagle z moich ust jak niedająca się stłumić czkawka.

Jego wzrok z powrotem nabrał ostrości. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Znam cię już całkiem dobrze. I masz rację, jesteś dziwna.

– Boję się, że będziesz śmiał się ze mnie, a nie ze mną.

Wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Jesteś zabawna.

– Boję się, że twoje pieniądze i mój brak pieniędzy kiedyś nas poróżnią.

Oparł ręce na biodrach.

– Nie pozwolę na to.

– Boję się, że pragnę ciebie bardziej niż ty mnie.

– To niemożliwe. – Pokręcił powoli głową.

– Boję się, że wszystko między nami dzieje się o wiele za szybko i że to tylko zauroczenie.

– Nie wiem, co to jest... – zaczął Quinn i wziął głęboki oddech, jakby zaraz chciał mówić dalej, ale nagle przerwał.

Obserwował mnie uważnie, a potem spojrział mi w oczy. Wydawało się, że próbuje znaleźć odpowiednie słowa.

Wiedziałam, co chciałabym od niego usłyszeć. Chciałam, żeby powiedział mi, że to wcale nie jest zauroczenie, że jesteśmy sobie przeznaczeni po wsze czasy, że ślicznie wyglądam i żeby spytał, czy zrobiłam dziś coś z włosami, żeby powiedział, że jestem dla niego najpiękniejszą kobietą na świecie. Właśnie to chciałam od niego usłyszeć, ponieważ czułam, że zaczynam się w nim zakochiwać.

*Wcale nie zaczynam się w nim zakochiwać. Kocham go.*

Wreszcie Quinn zaczął mówić, ostrożnie, z rozmysłem dobierając słowa.

– Myślę o tobie bez przerwy. – Zmrużył oczy i zacisnął szczękę, jak gdyby to wyznanie bardzo dużo go kosztowało. – I nie jestem w stanie zagwarantować ci, że to nie jest zauroczenie, bo czasem wydaje mi się, że po prostu musi być. Ale... – Jego wzrok powędrował gdzieś wyżej, w przestrzeń za moimi plecami. – Nie uważam, żebyś była idealna.

Zmartwiałam.

*Nie uważam, żebyś była idealna.*

– Och... rozumiem. – Moje rzęsy zatrzepotały rozpaczliwie, a mój umysł zaczął sporządzać listę wszystkich moich wad. – Czy to dlatego, że jestem za wysoka? Czy to przez to, że non stop zasypuję ludzi faktami jak z teleturnieju? A może to przez moje wielkie gacie?

– Nie, posłuchaj, to nie... – Pokręcił głową i przełknął ślinę. – Gdyby to było tylko zauroczenie, to w pewnym momencie zacząłbym, zaczęlibyśmy dostrzegać swoje wady i pojawiłoby się rozczarowanie, zgadza się?

Przytaknęłam, zupełnie nieprzekonująco.

– Ale ja wcale nie uważam, że nie masz wad. Ty też nie masz co do mnie żadnych złudzeń. Jesteś na to zbyt praktyczna, poza tym, gdyby tak było, nie powiedziałaabyś mi w srodę, że muszę być dobrym człowiekiem.

Przytaknęłam znowu, tym razem z większym przekonaniem, choć jednocześnie bardziej nieufnie.

– Nie wydaje mi się, żeby to – wskazał na mnie i na siebie – żeby to, co jest między nami, było po prostu zauroczeniem.

Przysunął się bliżej i przez chwilę myślałam, że mnie dotknie, ale on zamiast tego skrzyżował ręce na piersi. Mówił dalej, tym razem ciszej i łagodniej:

– Wiem, że życie generalnie cię przeraża. Wiem, że często nie jesteś w stanie dostrzec tego, co oczywiste, i wiem, że potrafisz zachowywać się czasem kompletnie nieracjonalnie.

Odruchowo otworzyłam usta, bo mój mózg mówił mi, że powinnam zaprotestować, ale ku mojemu zaskoczeniu nie czułam wcale oburzenia w związku z faktem, że zostałam nazwana przerażoną, irracjonalną i nieświadomą wielu rzeczy. Jego ocena mojej osoby była, mniej więcej, zgodna ze stanem faktycznym. Świadomość, że wiedział o mnie te wszystkie rzeczy i pomimo tego wydawał się akceptować mnie taką, jaka jestem, sprawiała, że czułam się lepiej i gorzej jednocześnie.

– I to wszystko doprowadza mnie do szaleństwa. Ty doprowadzasz mnie do



szaleństwa. – Jego głos stał się głębszy, a zwężone oczy wpatrywały się we mnie. – A jednak, mimo że jesteś kompletnie zwariowana, nie chciałbym niczego w tobie zmienić.

Zacisnęłam usta i zaczęłam przygryzać wewnętrzną stronę policzka. Dzielnie odwzajemniłam jego spojrzenie.

– Uważasz, że jestem kompletnie zwariowana?

Przytaknęłam i westchnęłam.

– Tak. I ja... – Jego spojrzenie powędrowało na moje czoło, brwi, nos, policzki, usta, podbródek – Nie mogę przestać o tobie myśleć.

Wzięłam głęboki oddech, próbując wciągnąć jego zapach, próbując zrozumieć to pragnienie, które sprawiało, że chciałam wchłonąć jakąś jego część do swojego wnętrza i w ten sposób mieć go zawsze przy sobie. Zwiesił głowę, a moje powieki opadły ciężko.

– Janie...

Westchnęłam.

– Tak?

– O czym myślisz? – zniżył głos do szeptu, chuchając mi ciepło w policzek.

Zatrzepotałam rzęsami i otworzyłam szeroko oczy. Oblizywałam wargi, marząc o jego ustach, sprowokowana do szaleńczej szczerości.

– Kocham cię.

Bardziej wyczułam niż zobaczyłam jego usatysfakcjonowany uśmiech.

– To dobrze.

Delikatnie musnął wargami moje wargi. Natychmiastowa panika, która zrodziła się we mnie pod wpływem mojego wyznania, rozplynęła się bez śladu, kiedy jego bliskość spowiła mnie w kokon, o którym nie wiedziałam nawet, że go pragnę, ale który teraz okazał się niezbędny dla mojego dalszego funkcjonowania.

Zatraciłam się w nim i w sobie. Zaufałam i uwierzyłam. I w tym jednym momencie stałam się nieustraszona.

## **EPILOG**

### **Quinn, cztery miesiące później**

Kiedy wszedłem do luksusowego sklepu z armaturą na West Lake Street, z miejsca zaskoczył mnie widok rzędów muszli klozetowych, wiszących na ścianach. Podłoga była z surowego betonu. Ściany były ze zwykłej, czerwonej cegły. Zarówno podłogę, jak i ściany przesłaniały ciągi umywalek, wanien, kranów i muszli klozetowych. Przestrzeń była ogromna, ale wydawała się mała w natłoku sprzętów łazienkowych.

Odruchowo objąłem wzrokiem cały sklep, zlokalizowałem wyjścia ewakuacyjne, przyjrzałem się pozostałym klientom i tak dalej. Pewne nawyki zostają na zawsze. Kiedy poczułem się już pewnie, podszedłem do Elizabeth, która stała jakieś dwanaście metrów ode mnie i oglądała rzędy kranów na ścianie.

Nie podniosła na mnie wzroku, kiedy się zbliżyłem, przywitała mnie tylko ledwo

dostrzegalnym kiwnięciem głowy.

– Pan Ciacho.

– Elizabeth.

Nerwowo pomasowałem kark. Nie przeszkadzało mi, kiedy Janie używała tego głupiego przezwiska, ale w ustach jej przyjaciółek, a w szczególności Elizabeth, nie brzmiało już tak dobrze. Miałem nadzieję, że dzisiejsza rozmowa poprawi nieco nasze napięte relacje.

– Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie.

Elizabeth wzruszyła ramionami.

– Spoko. Dla Janie wszystko. Wspominała, że będzie tutaj o szóstej – odpowiedziała i zaczęła bawić się gałkami jednego z kranów.

Skoro Janie miała dołączyć do nas o szóstej, oznaczało to, że miałem tylko pół godziny, żeby wyciągnąć z Elizabeth, skąd bierze się jej wyraźne niezadowolenie z faktu, że spotykam się z Janie. Cierpliwie czekałem, aż na mnie spojrzy, ale ona tylko zmarszczyła się na widok metalowego kurka i przeszła do dalszej części sklepu.

– Dlaczego chciałaś się spotkać akurat tutaj? – burknąłem, z trudem powstrzymując zgrzytanie zębami.

– Chcę mieć nowy kran.

– Co jest nie tak z kranem, który jest w mieszkaniu?

– Nie podoba mi się.

Udało mi się nie wywrócić oczami, chociaż kosztowało mnie to wiele wysiłku.

– Okej.

Zaczęła bawić się uchwytami kolejnych baterii.

– Okej? Nie przeszkadza ci, że chcę wymienić kran?

Ponownie rozejrzałem się po sklepie i zauważyłem jeszcze trzy osoby, których nie wyłapałem przy pierwszych oględzinach.

– Słuchaj, Elizabeth, możesz zmienić w łazience, co tylko chcesz. Wszystko mi jedno.

– I ty za wszystko zapłacisz?

– Jasne, cokolwiek, niech będzie.

Wreszcie na mnie spojrzała. Zmrużyła swoje bladoniebieskie oczy i przyglądała mi się, jakbym był jakąś obrzydliwą bakterią.

Odkąd się poznaliśmy parę miesięcy temu, nasze relacje były nieustanną serią nieporozumień. Robiła się poirytowana za każdym razem, kiedy byliśmy sami. Zaledwie w zeszłym tygodniu, ostatnim razem, kiedy spędzaliśmy z Janie noc w ich mieszkaniu, Elizabeth pozwoliła sobie na pasywno-agresywne uwagi, sugerując, że nie potrafię zaparzyć dobrej kawy.

Potrafię zaparzyć kawę. Robię naprawdę dobrą kawę. Ona mnie po prostu nie lubi.

W innym wypadku w ogóle by mnie to nie obeszło, jednak tak się złożyło, że najlepszą przyjaciółką Elizabeth była kobieta, z którą zamierzałem spędzić resztę swojego życia. Wiedziałem, że muszę podjąć ten wysiłek.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wreszcie odezwała się pierwsza:

– No dobrze, panie Granitowa Twarz, o co chodzi? – spytała. – Dlaczego chciałeś

się spotkać ze mną przed przyjściem Janie?

Skrzyżowałem ręce na piersi, gotowy do negocjacji.

– Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się dogadać.

– Masz rację. – Nie wyglądała na zaskoczoną moją deklaracją.

– Jaki dokładnie masz ze mną problem?

Uniosła jasne brwi.

– Nie mam z tobą problemu.

Nie chciałem nazwać jej kłamczuchą, więc milczałem.

Cisza między nami wydłużała się, wreszcie jednak Elizabeth podjęła wątek:

– Nie chodzi o to, że cię nie lubię. Po prostu ci nie ufam.

– Dlaczego?

– Bo nie rozumiem twoich pobudek i nadal uważam, że coś ukrywasz – oznajmiła i skopiowała mnie, krzyżując ramiona. Była niewielka i wyglądała śmiesznie, kiedy próbowała udawać twardzielkę.

– Niczego nie ukrywam.

– Ach, tak? – Elizabeth potarła podbródek kciukiem i palcem wskazującym. – A co zrobiłeś z Jem? Co się stało z tamtymi zbirami z Bostonu? Dlaczego nikt nie wniósł oskarżenia?

– Omówiłem to wszystko z Janie. Wie, że się tym zająłem.

Elizabeth nawet nie próbowała ukryć gniewu.

– Problem w tym, że Janie nie chce mi nic powiedzieć.

– Być może robi to dla twojego dobra.

– Ale ja chcę wiedzieć, co się stało. Nie chcę, żebyście poklepywali mnie po głowie, a potem odganiaли jak jakąś muchę! A co, jeśli ci ludzie wrócą? Co z Janie?

– Janie jest silniejsza niż ci się wydaje. Poza tym, ja będę ją chronił.

– Muszę wiedzieć, co się stało, żeby móc się nią opiekować. Nie będziesz w stanie chronić jej do końca życia! – Elizabeth zaczęła wymachiwać nerwowo rękami. Zaczęła zwracać na siebie uwagę ludzi wokół. Niespecjalnie mnie to obchodziło, ale trochę jednak irytowało.

A ponieważ byłem poirytowany, odpowiedziałem bez zastanowienia:

– Owszem, będę. Kiedy się pobierzemy, będzie...

– Bierzecie ślub?! – Donośny krzyk Elizabeth niósł się echem wśród porcelanowych wanien, ściągając na nas uwagę wszystkich pozostałych osób w sklepie.

Rozejrzałem się wokół, reagując tylko niezbyt przyjemnym spojrzeniem, mającym wyrażać skruchę za jej wybuch, potem wziąłem Elizabeth pod ramię i zaprowadziłem ją na tył sklepu. Kiedy upewniłem się, że nikt nie słucha ani nie patrzy, odpowiedziałem cicho:

– Jeszcze nie poprosiłem jej o rękę.

Elizabeth zamrugała. Na przemian otwierała i zamykała usta. Nie wytrzymałem i przewróciłem oczami.

Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos zniżył się do napiętego szeptu:

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz się jej oświadczyć! – Ku mojemu zaskoczeniu wyglądała na podekscytowaną i szczęśliwą.

Zamrugalem. Na przemian otwierałem i zamykałem usta.

– O, mój Boże, musisz się zgodzić, żebym ci pomogła! Chcę ci pomóc! To takie ekscytujące! – Podskoczyła lekko, klaszcząc w dłonie.

– Nie – odpowiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Nie potrzebuję twojej pomocy. Dam sobie radę sam.

Natychmiast przestała skakać i skrzywiła się rozczarowana.

– Widzisz, właśnie dlatego cię nie lubię! – syknęła, nadal szeptem, ale nieco głośniejszym.

– Myślałem, że mnie lubisz.

– Nie, to znaczy lubię cię, ale ze względu na Janie, ale nie lubię cię za to, że tyle ukrywasz! Po co to robisz?

Przyglądałem jej się uważnie. Ręce oparła na biodrach i wcale nie wydawała się wściekła. Raczej urażona. Wiedziałem o Elizabeth tyle, ile powiedziała mi Janie. Było jasne, że Elizabeth od czasu college'u w ten czy w inny sposób opiekowała się Janie. Doszedłem do wniosku, że muszę zmienić swoje podejście.

Oblizałem usta i zerknąłem w kierunku drzwi. Uznałem, że łatwiej byłoby powiedzieć mi to, co miałem do powiedzenia, jeśli nie będę musiał na nią patrzeć.

– Słuchaj, nie jestem przyzwyczajony do dzielenia się – informacjami, środkami, a już na pewno ludźmi.

Westchnęła i odpowiedziała:

– Cóż, ja też nie. Ale kocham Janie, a tutaj chodzi o *jej* szczęście. Chcę, żeby była szczęśliwa.

– Przecież wiesz, że ją kocham – mruknąłem. Jej moralizatorskie słowa i ton głosu wprawiały mnie w irytację, co przełożyło się na moją nerwową odpowiedź.

– Wiem. Wiem, że ją kochasz. – Elizabeth uniosła ręce do góry, a jej wzrok i ton złagodniały. – Ale musimy znaleźć jakiś sposób, żeby się dogadać. Sam to powiedziałeś – znowu westchnęła. – Będziemy musieli nauczyć się dzielić.

Powoli wypuściłem powietrze z ust. Musiałem niechętnie przyznać, że Elizabeth miała rację. Musieliśmy nauczyć się dzielić Janie. Na tym polegał problem. Nie potrafiłem się nią dzielić. Nie byłem nawet pewien, czy tego chcę. Jakaś część mnie marzyła tylko o tym, żeby spędzać z nią w łóżku każdą sekundę każdego dnia i odkrywać jej idealne ciało. Była w tym pragnieniu jakaś dzika łapczywość, która nadal mnie zaskakiwała i wytrącała z równowagi. Ale kochałem Janie, a to znaczyło, że musiałem robić pewne rzeczy ze względu na nią tylko dlatego, że były dla niej dobre i sprawiały, że była szczęśliwa.

– Poza tym przekonasz się, że czasem dobrze jest mieć mnie po swojej stronie – Elizabeth rozciągnęła usta w przymilnym uśmiechu. – Jestem wartościowym sprzymierzeńcem. Na przykład doskonale opatruję rany.

Uśmiechnąłem się lekko, ale wiedziałem, że nie wypadłem do końca przekonująco. Zrozumiałem jednak, że próba zaprzyjaźnienia się z Elizabeth może okazać się o wiele lepszym rozwiązaniem niż tolerowanie jej i nic ponad to.

Potarłem twarz dłońmi. Pospiesznie przystałem na jej ofertę pomocy w obawie, że za chwilę zmienię zdanie.

- Dobrze, niech będzie.
- Dobrze? Niech będzie?

Z powrotem skoncentrowałem wzrok na niskiej blondynce, stojącej przede mną. Przyglądała mi się wyczekująco, z dłońmi złożonymi w błagalnym geście.

- Dobrze, niech będzie, możesz mi pomóc.

Jej przeraźliwy pisk wdarł się do moich uszu, aż się skrzywiłem. Elizabeth rzuciła mi się na szyję. Poklepywałem ją delikatnie po plecach, mając nadzieję, że uda mi się spacyfikować ten nadmierny przypływ czułości i podniecenia.

– Och, zobaczysz, nie pożałujesz tego! Boże, jestem taka podekscytowana! Wybrałeś już pierścionek?

Już zaczynałem tego żałować, ale uznałem, że nie będę się z nią dzielił tą myślą.

– Nie. Nic jeszcze nie zrobiłem. – Skrzyżowałem ręce na piersi i zerknąłem przy okazji na zegarek, a potem na drzwi wejściowe. Janie mogła przyjść w każdej chwili. Nie chciałem, żeby przyłapała nas na rozmowach o pierścionkach zaręczynowych.

– Nic nie szkodzi, znam jej gust. Mogę ci w tym pomóc, tylko pamiętaj, nie kupuj jej pierścionka z diamentem, chyba, że syntetycznym, bo...

– Tak, tak, wiem, okrutne praktyki przemysłu diamentowego w Afryce. Właściwie to, yyy, myślałem, żeby dać jej coś zabytkowego.

Elizabeth podniosła wzrok w zamyśleniu i po chwili przytaknęła.

– Tak, to bardzo dobry pomysł. Wiesz, że Janie bardzo lubi rubiny?

To ostatnie pytanie natychmiast zwróciło moją uwagę. To była rzeczywiście bardzo przydatna informacja.

– Nie, nie wiedziałem o tym.

*Może Elizabeth rzeczywiście będzie mogła się do czegoś przydać.*

– Ma to jakiś związek z faktem, że jeśli ten właśnie kamień szlachetny jest jakiegokolwiek innego koloru, nazywany jest szafirem, ale jeśli jest czerwony, to nazywamy go rubinem.

Poczułem, jak kąciki moich ust podnoszą się w uśmiechu. Rubin byłby idealny dla Janie.

Nagle rozległ się dźwięk dzwoneczka przy drzwiach wejściowych, oznajmiający przybycie nowego klienta. Wiedziałem, że to Janie, jeszcze zanim ją zobaczyłem. Jakkolwiek absurdalnie to brzmiało, ale za każdym razem, kiedy pojawiała się w pobliżu, czułem jak moje serce najpierw kurczy się, by po chwili się rozprężyć. Nauczony doświadczeniem wiedziałem już, kiedy spodziewać się tej niekontrolowanej reakcji, ale szczerze mówiąc jeszcze do niej nie przywykłem.

Nogi już niosły mnie w jej stronę, zanim umysł zdążył cokolwiek pojąć. Zbyt mocno pochłaniało mnie spostrzeżenie, że miała na sobie spódnicę, co najprawdopodobniej oznaczało, że miała pod spodem pończochy wykończone koronką. Wiedziała, że doprowadza mnie to do szaleństwa. Natychmiast zacząłem kombinować, jak by tu znaleźć się z nią sam na sam, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. Włosy miała spięte w kok, co z kolei sprawiło, że natychmiast zastanawiałem się, jak by tu pozbyć się wszystkich jej gumek do włosów.

Napotkałem jej spojrzenie, kiedy się do mnie zbliżała. Kiedy się uśmiechnęła,

poczułem nagle szarpnięcie w sercu. Przyjemne ciepło w piersi rozlewało się stopniowo po całym moim ciele i automatycznie odwzajemniłem jej uśmiech. Najzwyczajniej w świecie nie miałem wyboru.

– Hej. – Zbliżyliśmy się do siebie. Położyła dłoń na moim policzku i przywitała mnie krótkim pocałunkiem.

Nie wystarczyło mi to. Zawsze było mi jej mało.

Stłumiłem w sobie chęć pogłębienia naszego powierzchownego kontaktu i wbiłem rękę w kieszenie. Nigdy nie byłem zwolennikiem okazywania czułości w miejscach publicznych, teraz jednak z trudem trzymałem rękę przy sobie, a nie na ciele Janie. Trudno było mi też skoncentrować się na czymkolwiek ani kimkolwiek innym poza nią.

– Cześć – odpowiedziała, dzieląc swoją uwagę między mnie a wnętrze sklepu. Ostatecznie jednak wnętrze sklepu wygrało. – Cudowne miejsce – powiedziała, biorąc wdech, jakby w zachwycie.

Patrzyłem na nią, jak powoli kręci się w kółko. Jej oczy rozbłysły, chłonąc jednocześnie atmosferę sklepu, przepastnego i zatłoczonego.

– Dlaczego cudowne? – spytałem, przekonany, że spodoba mi się jej odpowiedź. Wiedziałam, że będzie zaskakująca i wyjątkowa. Wszystko, co wiązało się z Janie, było zaskakujące i wyjątkowe. Była moim światłem ekscentryzmu w tym bardzo przewidywalnym, zwyczajnym świecie. Sprawiała, że wszystko wydawało się nowe, interesujące i zabawne.

Janie rzuciła mi sceptyczne spojrzenie. Jestem pewien, że miało wyrażać podejrzliwość, ale dla mnie wyglądała po prostu uroczo i zachwycająco.

– Będziesz się ze mnie śmiał.

Uśmiechnąłem się mimo woli, co zdarzało mi się zaskakująco często, odkąd byliśmy razem.

– Nie będę się z ciebie śmiać. Naprawdę chciałbym wiedzieć. – Chwyciłem ją za rękę, przegrywając walkę z własną powściągliwością. Chciałem poczuć ciepło jej skóry. – Dlaczego tak ci się tutaj podoba?

Przekrzywiła głowę na bok. Jej orzechowe oczy błędziły chwilę po mojej twarzy, by na koniec napotkać moje spojrzenie. Domyśliłem się, że chce potwierdzenia szczerości moich słów. Miałem ochotę znowu ją pocałować, ale wiedziałem, że wtedy nigdy nie odpowie na moje pytanie.

– Właściwie to trochę wstydlivy temat i ma związek z najgorszym dniem mojego życia, który potem okazał się jednym z najlepszych, bo to był dzień, kiedy rozmawialiśmy ze sobą po raz pierwszy i kiedy spojrzałam ci w oczy. Wiesz, że miałam z tym ogromny problem? Spojrzenie ci w oczy było dla mnie potwornie trudne. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że jest sporo kultur, w których patrzenie komuś w oczy uważane jest za brak szacunku. Na przykład w Japonii dzieci w wieku szkolnym...

– Janie – schowałem nasze splecione ręce za jej plecami, przyciągając ją do siebie – dlaczego tak ci się tutaj podoba?

Zamrugnęła, rozchylając wargi. Na jej twarzy pojawił się rumieniec. Miażdżyło mnie to za każdym razem i sprawiało, że mój puls przyspieszał.

Na początku naszej znajomości często z premedytacją próbowałem sprawić, żeby

się zarumieniała. Lubilem wytrącać ją z równowagi i obserwować jej reakcje, a już najbardziej lubilem, jak spoglądała na mnie spod rzęs. Janie była mądra i śliczna. Rozkoszowałem się świadomością, że najwyraźniej byłem jedną z nielicznych osób, które potrafiły zaskoczyć ją na tyle, żeby wywołać w niej bezwiedną reakcję.

Janie nie była chłodna, to nie tak. Raczej z natury powściągliwa. Zawsze, kiedy obserwowałem ją w pracy albo wśród większej grupy, zdawała się trzymać z boku, z dala od centrum wydarzeń, ale nigdy nie odbierałem tego jako świadomego zachowania. Po prostu lepiej czuła się w roli obserwatorki. I może właśnie dlatego jej impulsywne reakcje sprawiały mi tak ogromną przyjemność.

– Chodzi ogólnie o armaturę – wyjaśniła. Chrząknęła, uniosła podbródek i odważnie spojrzała mi prosto w oczy. – Jestem fanką łazienek. Odkryłam, że są fantastycznym miejscem do medytacji.

Nie byłem w stanie powstrzymać śmiechu.

– Medytacji? Lubisz medytować w łazience?

Kiwnęła głową, z trudem powstrzymując uśmiech.

– No, powiedzmy, że to pewnego rodzaju medytacja. Miałam taki swój sposób: zawijałam wszystkie swoje myśli i wsadzałam je do pudełka, które kładłam na półce w szafie w swojej głowie. Ale ostatnio po prostu siadam w łazience i tam układam sobie w głowie różne rzeczy. To chyba przez tę porcelanę i kafelki. – Odsunęła się i spojrzała mi przez ramię. – Hej, Elizabeth! Nie wiedziałam, że już jesteś!

Szczerze mówiąc, kompletnie zapomniałem o obecności Elizabeth. Wypuściłem Janie z objęć i zrobiłem krok wstecz, żeby mogła przywitać się z przyjaciółką.

– Jestem, jestem już od jakiegoś czasu. – Elizabeth uśmiechnęła się ciepło do Janie i wskazała kciukiem za siebie. – Oglądałam sobie krany.

– Skończyłaś już? Na którą mamy rezerwację? Bo przyznam, że jeśli mamy jeszcze chwilę, chętnie bym się tu porozglądała... – Janie zerkała pełnym nadziei wzrokiem to na mnie, to na Elizabeth.

– Mamy mnóstwo czasu. Zarezerwowałem stolik na szóstą trzydzieści, a knajpa jest jakieś dziesięć minut stąd – zapewniłem ją, natychmiast otrzymując w nagrodę szeroki uśmiech.

Elizabeth wzięła Janie za rękę.

– Chodź, popatrz tutaj. Zobacz, jaki gładki jest ten kran...

Patrzyłem jak Janie i Elizabeth podchodzą do rzędu zlewozmywaków, bawią się bateriami, „ochując” i „achując” na przemian. Trzymałem się z dala i po prostu im się przyglądałem: Janie, wysokiej i cudownie zaokrąglonej dokładnie w tych miejscach, co trzeba, i kontrastującej z nią Elizabeth, niższej i chudszej. Pod wieloma względami stanowiły swoje kompletne przeciwieństwa, ale funkcjonowały z wypracowaną swobodą, tak charakterystyczną dla wieloletnich, zaufanych przyjacieli.

Kiedy ich czas dobiegł końca i wróciły do mnie, udawałem, że sprawdzam maile w telefonie. Nie chciałem przyznać się w obecności jej przyjaciółki, że przez ostatni kwadrans nieustannie ją obserwowałem, zachwycając się jej ruchami i gestami. Dzięki temu zobaczyłem też, jak swobodnie w towarzystwie Elizabeth czuła się Janie. Ta przyjaźń była dla Janie bardzo ważna. Była ważna dla nich obojgu.

Podniosłem wzrok i odpowiedziałem uśmiechem na uśmiech Janie.

– Wszyscy gotowi?

Janie kiwnęła głową i przygryzła wargę.

– Ja jestem bardzo gotowa. Jestem tak głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami, choć nie byłaby to demonstracja mojego wysokiego statusu ani złożenie ofiar bogom. Za pomocą tego kolokwializmu chciałam tylko zaznaczyć, że jestem bardzo głodna.

Elizabeth zachichotała w reakcji na jej sumienne wyjaśnienie i napotkała moje spojrzenie. Uśmiechnęła się lekko i nagle zmrużyła oczy, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Och, patrzcie państwo... – Nagle wyciągnęła z torebki swój szpitalny pager. – No nie, a to pech. – Podniosła wzrok na Janie i popatrzyła na nią przepraszająco. – Wygląda na to, że nie będę w stanie pójść z wami na kolację – na ułamek sekundy przeniosła wzrok na mnie i dodała: – Będziecie musieli spędzić ten wieczór tylko we dwoje.

Uniosłem brew – był to typowy odruch, kiedy byłem podejrzliwy wobec osoby lub sytuacji. Wiadomość na jej pagerze pojawiła się w zaskakująco dogodnym momencie i dokładnie wiedziałem, do czego zmierza Elizabeth. Właśnie dostała ode mnie piętnaście minut z Janie tylko i wyłącznie dla siebie. Chciała mi w ten sposób pokazać, że ona też potrafi się dzielić, subtelnie wymigując się z naszej wspólnej kolacji.

Janie posmutniała.

– A to szkoda. – Rzuciła mi krótkie spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Elizabeth. Kiedy się znowu odezwała, jej głos był nieco cichszy. – Bardzo liczyłam na to, że będziecie mieli z Quinnem okazję... no wiesz, porozmawiać sobie i trochę lepiej się poznać.

Patrzyłem, jak jej blondwłosa przyjaciółka uśmiecha się do niej ciepło.

– Niestety, dzisiaj musimy sobie odpuścić. Przepraszam. Naprawdę muszę lecieć – Elizabeth ścisnęła rękę Janie i ruszyła do wyjścia. – Bawcie się dobrze!

Ściągnąłem usta, a kiedy Elizabeth mnie mijała, posłałem jej pełen wdzięczności uśmiech, który tym razem dosięgnął również moich oczu. W odpowiedzi otrzymałem wymowne spojrzenie, które znaczyło: *Masz u mnie dług*.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem i że mam zamiar jej się odwdzińczyć. Planowałem do cna wyekspluatować wiedzę Elizabeth na temat Janie i jej preferencji odnośnie pierścionka i samych oświadczyń. W ten sposób moje relacje z Elizabeth mogłyby układać się w atmosferze obopólnych korzyści. Na dodatek, ku swojemu zaskoczeniu, autentycznie cieszyłem się na myśl, że się zakolegujemy. Cieszyłem się na myśl, jak bardzo uszczęśliwi to Janie.

Jej westchnienie wyrwało mnie z zamyślenia. Objąłem ją ramionami, kiedy dzwoneczek oznajmił wyjście Elizabeth.

– Wielka szkoda – powiedziała smutno, wtulając się we mnie.

– Jeszcze będzie okazja.

Janie mruknęła coś zamyślona, po czym podniosła głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Rozmawialiście przed moim przyjściem?

Przytaknąłem.

– A o czym?



Przekrzywiłem głowę na bok i przez chwilę obserwowałem jej rysy. Miała prześliczną twarz – idealne usta, delikatnie piegi, duże oczy. Kolor jej oczu przypominał omszałe złoto i sprawiał, że miałem ochotę tworzyć kiepskie wiersze i wynająć samolot, który pisałby je na niebie.

– Quinn?

Zamrugalem.

– Yyy, tak?

Zarumieniła się i zerknęła na mnie spod rzęs.

– O czym rozmawialiście z Elizabeth, zanim tu przyszedłem?

Chrząknąłem, grając na zwłokę. Nie chciałem kłamać, nie miałem takiego zamiaru, ale też nie mogłem wyjawiać całej prawdy. Zamiast tego uciekłem się do czegoś, co Janie nazywała *wybiórczą prawdą*. W tym wypadku uznałem, że jest to w pełni usprawiedliwione.

– Rozmawialiśmy o pewnym moim projekcie. Elizabeth uważa, że będzie w stanie mi pomóc, bo jest obeznana w temacie. – Wzruszyłem ramionami i zacząłem ukradkiem rozplątywać jej włosy.

– Ach, tak. – Przyglądała mi się badawczo, a ja niezłomnie wytrzymałem jej spojrzenie. – A ty pozwolisz jej, żeby ci pomogła?

Przytaknąłem.

– Tak. Ustaliliśmy, że mi pomoże. Myślę, że wyjdzie nam to na dobre. – Wreszcie udało mi się rozplątać jej włosy i poczułem, jak cały sztywnieję na widok jej bezbronnego, szczerzego wyrazu twarzy, otoczonej gęstwiną włosów.

Uśmiechnęła się powoli, z wyraźnym zachwytem, który zaparł mi dech w piersi.

– Tak się cieszę.

Patrzyłem na nią i przez chwilę poważnie rozważałem, czy nie paść przed nią na kolana tu i teraz, w sklepie z luksusową armaturą na West Lake Street. Patrzyłem na tę piękną kobietę i jedyne, co miałem w głowie, to „pragnę”, „moja”, „chcę”.

Zanim udało mi się ostatecznie powstrzymać swoje neandertalskie zapędy, Janie pocałowała mnie szybko i wyslizgnęła się z moich objęć. Wzięła mnie za rękę, splatając nasze palce i pociągnęła mnie w stronę wyjścia.

– Chodź. Im szybciej zjemy tego konia, tym szybciej wrócimy do twojego mieszkania – powiedziała, jednocześnie próbując zalotnie poruszać brwiami, co wypadło uroczo niezdarne. Pozwoliłem jej wyprowadzić się ze sklepu. Po drodze podziwiałem jej perfekcyjne kształty i smukłe nogi w absurdalnie wysokich szpilkach.

Szliśmy ulicą w stronę restauracji, trzymając się za ręce. Nic nie mówiłem, bo moje myśli w dalszym ciągu pędziły jak oszalałe. Oszalała mnie myśl, że ta kobieta mogłaby zostać moją żoną. Nie zasługiwałem na nią, na jej błyskotliwość i słodycz, ale miałem zamiar poślubić ją, jeśli tylko by mnie zechciała, i wiedziałem, że nigdy nie pozwolę jej odejść.

– Hej – szturchnęła mnie w zebra – czemu masz taką minę?

Przełknąłem ślinę, ścisnęło mnie w gardle. Kiedy się odezwałem, mój głos brzmiał chropowato, nawet dla mnie samego.

– Jaką?

– Taką poważną i zawziętą. Zawsze masz taką minę, kiedy masz zamiar rzucić na kogoś cały ból istnienia.

– *Zrzucić na kogoś cały ból istnienia?* Skąd to wytrzasnąłaś? – Popatrzyłem na nią z ukosa.

– Od Stevena. Opowiadał mi o tym, jak *zrzuciłeś cały ból istnienia* na Olivię w zeszłym tygodniu.

Właściwie to ją wylałem. I nie byłem przy tym specjalnie subtelny. Nie mam litości dla niekompetentnych pracowników.

Skrzywiłem się.

– *Źle wykonywała swoją pracę. Musiałem ją zwolnić.*

– Zgadzam się. Ale nie zmieniaj tematu. Dlaczego masz taką minę, tę od bólu istnienia?

– Nie mam, wcale nie – pokręciłem głową i nagle przystanąłem, zatrzymując również Janie. Objąłem ją ramionami i przyłgnałem do niej całym ciałem. Pocałowałem ją, delikatnie i niespodziewanie. Mimo początkowego zaskoczenia zareagowała cudownie i pozwoliła mi przyjąć od siebie to, czego tak potrzebowałem: jej ciepło i ślepe oddanie.

Tylko że Janie wcale nie była ślepa – była mądra. Wiedziała, jaki jestem i kochała mnie mimo to.

Odsunąłem się tylko na tyle, żeby nasze spojrzenia się spotkały. Jej rzęsy zatrzepotały, kiedy spojrzała na mnie ufnym, szczęśliwym wzrokiem.

– Kocham cię – zamruczałem.

Uśmiechnęła się.

– Wiem.

Odetchnęła lekko, a ja zatonałem w jej zielono-złotyach oczach.

– Nie zasługuję na ciebie.

Oblizła wargi i zawisła spojrzeniem na moich ustach. Uśmiechnęła się szerzej.

– Ależ tak, zasługujesz – pokiwała głową i znów spojrzała mi w oczy. – Dzięki tobie stałam się nieustraszona.

Było to wyznanie i poczułem, jak spada na moje serce jak wielki ciężar. Chciałem odwzajemnić się jej równie ważnym wyznaniem. Z trudem przełknąłem ślinę, a potem musnąłem ustami jej usta. Słowa, które wyszeptałem, przeznaczone były tylko dla niej:

– A ty sprawiasz, że jestem dobrym człowiekiem.

## Przypisy

[1] W oryginale Jeopardy. Polskim widzom lepiej znany jest format Va Banque. (Wszystkie przypisy zostały dodane w polskim wydaniu i pochodzą od tłumaczki).

[2] Gra słów – w jęz. ang. *asshole* – dupek.

[3] Yarn Harlot (właśc. Stephanie Pearl-McPhee) – pisarka, blogerka, maniaczka robótek na drutach.

[4] *Au contraire mon frère* – z jęz. franc. wprost przeciwnie, mój bracie.

[5] Amerykański serwis internetowy z drobnymi ogłoszeniami.

[6] *Wait for the other shoe to drop* – angielski idiom oznaczający oczekiwanie na finał czegoś.

[7] Mała, kocham cię na zabój – jęz. ang.

[8] Nawiązanie do jednego z numerów komiksu o Batmanie z końca lat 80.